



ISABEL WOLFF
PODSTĘPNIE i
ZNIENACKA

Przekład
Alicja Skarbińska

RS

Dla moich wnuków: Nadii, Raphaela i Laurie

Pisanie tej książki nie wyrządziło krzywdy żadnemu psu.

RS

Styczeń

To dziwne, jak wszystko potrafi się nagle zmienić, prawda? W jednej chwili, w jednej sekundzie. I to mi się chyba przydało dziś wieczorem, ponieważ, no, nie wiem sama, jak to wyjaśnić, ale coś się zdecydowanie zmieniło. Wieczór zaczął się dobrze i wydawało się, że zakończy się sukcesem. Siedzieliśmy w restauracji. Rozmawialiśmy i śmieliśmy się, jedliśmy i piliśmy. W osiem osób. Małe przyjęcie. Chciałam, żeby Peter się rozluźnił, bo ostatnio miał dużo problemów. Zaplanowałam więc ten wieczór jako niespodziankę. Peter niczego nie podejrzewał. W ogóle zapomniał o naszej rocznicy, co zdarzyło mu się po raz pierwszy. Kiedy wrócił z pracy, nie miałam wątpliwości, że ten dzień z niczym mu się nie kojarzy.

- Przepraszam, Faith - westchnął, kiedy otworzył kopertę z życzeniami ode mnie. - Dzisiaj szósty, prawda? - Skinęłam głową. - Obawiam się, że zupełnie zapomniałem.

- Nic nie szkodzi - odparłam wesoło. - Naprawdę, kochanie. Wiem, że ostatnio jest ci ciężko.

Peter ma problemy w pracy. Jest dyrektorem do spraw wydawniczych w Fenton & Friend i jeszcze niedawno lubił swoje zajęcie, ale rok temu zjawiła się nowa prezes Charmaine, która nie daje mu spokoju. Ona i jej obrzydliwy pomagier Oliver. A raczej Ojliwer, jak nazywa go Peter, oczywiście za jego plecami. Charmaine i Oliver nieustannie zatruwają mu życie.

- Jak ci dziś poszło? - spytałam ostrożnie, gdy wieształ płaszcz w przedpokoj.

- Okropnie - powiedział znużony, przeciągając dłonią po jasnych włosach. - Stara krowa uczepliła się cholernych wyników

sprzedazy - wyjaśnił, rozluźniając krawat. - Gadała i gadała. Przy wszystkich. To było coś straszego. A Oliver stał z uśmiechem na swojej tłustej gębie, ociekając wazeliną. Mówię ci, Faith - dodał z westchnieniem - moje dni są policzone.

- Zostaw to Andy'emu - poradziłam.

Peter spojrział na mnie nieobecny wzrokiem.

- O tak, Andy to moja nadzieja - odparł.

Chodzi o Andy'ego Metzlera. To łowca głów. Amerykanin. Jeden z najlepszych w branży. Peter ma o nim bardzo dobre zdanie. Ciągłe tylko słyszę: Andy to i Andy tamto, mam więc nadzieję, że się sprawdzi. Z drugiej strony. Peterowi trudno będzie odejść z Fenton & Friend, bo przepracował tam trzynaście lat. To trochę tak, jak nasze małżeństwo - mocny i szczęśliwy związek, oparty na uczuciu, lojalności i zaufaniu. Teraz wygląda na to, że jednak związek z wydawnictwem wkrótce się zakończy.

- Wszystko się zmienia - stwierdził ze smutkiem Peter, robiąc nam drinka. - Wcale nie żartuję, Faith - dodał, kiedy zdejmowałam z choinki ostatnie bombki. - Wyrzucą mnie, bo Ojliver chce zająć moje miejsce.

Peter stara się zachować filozoficzne podejście, ale wiem, że jest załamany. Nie jest taki wesoły jak zwykle i ma kłopoty ze snem. I dlatego prawie od pół roku śpimy w oddzielnych pokojach. Co zresztą nie jest takie głupie, biorąc pod uwagę, że wstaję o wpół do czwartej. Zapowiadam pogodę w AM-UK!, w programie telewizji śniadaniowej. Pracuję tam już sześć lat i uwielbiam to zajęcie, mimo że trzeba koszmarnie wcześnie wstawać. Zazwyczaj wyłączam budzik po drugim dzwonku, wstaję cicho i Peter znowu zasypia. Teraz jednak wszystko mu przeszkadza, przeniósł się więc do gościnnego pokoju na górze. Nie mam mu tego za złe. Rozumiem jego sytuację. W końcu seks to nie wszystko, prawda? Poza tym jestem nawet zadowolona, bo mogę spać z Grahamem. Uwielbiam Grahama. Jest piękny i niewiarygodnie bystry. Trochę chrapie, ale szturcham go w żebro i uciszam, a wtedy otwiera oczy, spogląda na mnie z miłością i znów zasypia. Tak po prostu. Ma szczęście. Dobrze sypia, choć czasami śni mu się chyba coś koszmarnego, bo zaczyna nagle drzeć i wierzgać nogami. Jemu nie przeszkadza, że wstaję w środku nocy, a nawet - co jest naprawdę słodkie - wstaje razem ze mną. Kiedy biorę prysznic, siedzi pod drzwiami łazienki. Kiedy słyszę, że podjechała taksówka, wkładam płaszcz i ściskam go na pożegnanie.

Niektórzy nasi znajomi uważają, że Graham to dziwne imię dla psa. Być może - w porównaniu z takimi imionami, jak Rover, Gnasher czy Shep. Nazwaliśmy go Graham, bo znalazłam go na Graham Road w Chiswick, tu, gdzie mieszkamy. Dwa lata temu. Byłam u dentysty i kiedy wyszłam, natknęłam się na kundla - bardzo młodego i chudego - który przyglądał mi się wyczekująco, jakbyśmy się znali od wieków. Poszedł za mną do domu, a potem usiadł przed furką i nie chciał odejść. W końcu zaprosiłam go do środka, poczęstowałam kanapką z szynką i został. Dzwoniliśmy na policję i do schroniska dla zwierząt, ale nikt się do niego nie przyznał. Co mnie zresztą bardzo ucieszyło, ponieważ, szczerze mówiąc, to była miłość od pierwszego wejrzenia, dokładnie tak samo jak z Peterem. Uwielbiam go. Grahama. Od razu nawiązaliśmy nić porozumienia. Kocham go tak bardzo chyba dlatego, że od samego początku bezgranicznie mi zaufał.

Peter przyjął Grahama spokojnie, też lubi psy, a dzieci były oczywiście zachwycone, choć Katie, która chce zostać psychologiem, uważa, że za bardzo Grahamowi matkuje. Twierdzi, że jestem sfrustrowana, bo chcę mieć jeszcze jedno dziecko i nadmiar uczuć macierzyńskich przenoszę na psa. Śmieszne, prawda? Ale nastolatki trzeba traktować bardzo poważnie, bo inaczej okropnie się złością. W każdym razie Graham jest naszym dzieckiem. Ma dopiero trzy lata. Nie ma wprawdzie rodowodu, ale to pies z dużą klasą, z rudawozłotym futrem, białą plamą na piersi i eleganckim lisim wdziękiem. Jest mieszańcem collie. Prawie wszędzie go ze sobą zabieramy, choć, oczywiście, nie do restauracji. Dziś wieczorem Peter posadził go na jego specjalnym siedzisku i włączył telewizor. Graham lubi program *Jedzenie i picie*.

- Nie martw się, stary - powiedział. - Mama i ja wychodzimy tylko coś zjeść.

Peter nie miał pojęcia, co zaplanowałam. Myślał, że idziemy na szybką kolację. Mówiłam mu, że zarezerwowałam stolik, ale był przekonany, że tylko dla nas dwojga. Kiedy przyszliśmy do restauracji i zobaczył dzieci oraz swoją matkę Sarę był zaskoczony i zadowolony. Zaprosiłam także Mimi, naszą starą przyjaciółkę ze szkoły, i jej nowego męża, Mike'a.

- To wygląda jak *Oto jest twoje życie!* - wykrzyknął Peter ze śmiechem, kiedy zdejmowaliśmy płaszcze. - Fantastyczny pomysł, Faith!

Prawdę mówiąc, zrobiłam to nie tylko dla niego. Także dla siebie, ponieważ chciałam w jakiś sposób zaznaczyć tę rocznicę. To w końcu piętnaście lat! Piętnaście lat. Prawie połowa naszego życia.

- Piętnaście lat - powiedziałam z uśmiechem, kiedy siadaliśmy przy stole. - I ani przez chwilę mi się nie dłużyło.

Moje małżeństwo było bardzo szczęśliwe. I nadal jest. Nigdy się nie nudzę. Nigdy. Zawsze mam masę rzeczy do zrobienia. Nie mamy dużo pieniędzy, nigdy nie mieliśmy, ale się dobrze bawimy. To znaczy, bawilibyśmy się, gdyby Peter nie musiał ostatnio tak ciężko pracować. Charmaine daje mu do czytania masę rękopisów, a ja muszę kłaść się o wpół do dziesiątej. Ale w weekendy mamy więcej czasu dla siebie i nadrabiamy braki z całego tygodnia. Dzieci przyjeżdżają do domu z internatu przy szkole w Kent i robimy mnóstwo rzeczy. Chodzimy na spacerów nad rzeką i pracujemy w ogrodzie. Idziemy na duże zakupy do Tesco. Czasami wpadamy do Ikei, tej w Brent Cross, a kiedy indziej, dla odmiany, wybieramy się do filii w Croydon. Czasem wypożyczamy film na wideo albo oglądamy coś w telewizji, a dzieci idą w odwiedziny do przyjaciół. To znaczy, poszłyby, gdyby miały do kogo. Obawiam się, że oboje są samotnikami. To mnie trochę martwi. Na przykład Matt - ma dwanaście lat - uwielbia siedzieć przed komputerem. Jest uzależniony, zawsze był. Ręka prawie przyrosła mu do myszy. Kiedy był młodszy, zawsze prosił, żeby obudzić go godzinę wcześniej, bo chciał przed wyjściem do szkoły posiedzieć przed komputerem. I tak mu już zostało. Co mnie martwi. Ale jest szczęśliwy ze swoimi grami i CD-ROM-ami, więc nie chcemy się wtrącać. Jak mówiłam, nie jest wszechstronnie uzdolniony. Okropnie pisze. Ale jest świetny nie tylko w komputerach, lecz także w matematyce. Nazywamy go nawet Matt-ematyk. I dlatego posłaliśmy go do Seaworth. ponieważ w poprzedniej szkole nie bardzo sobie radził. Oczywiście, nie chciał jechać bez Katie, a jej też to odpowiadało, bo... Nie chciałabym być w stosunku do moich dzieci nielojalna, lecz muszę powiedzieć, że nie są takie, jak inne. Po pierwsze, Katie jest stanowczo za poważna jak na swoje czternaście lat. Nie robi nic innego, tylko czyta. Ma to chyba po Peterze, bo interesują ją książki, a nie bity. Nie interesuje się modą jak inne dziewczyny w jej wieku; nie buntuje się jak typowa nastolatka, jest równie „sensowna” jak ja. Ponieważ ja nigdy się nie buntowałam, sądziłam, że może ona to zrobić. Wciąż mam na-

dzieję, że pewnego weekendu zjawi się w domu z zielonym irokezem nagłowie, a przynajmniej z kolczykiem w nosie. Obawiam się jednak, że się nie doczekam, bo Katie interesują wyłącznie książki. Jak już mówiłam, pasjonuje się psychologią, ma dużo książek Freuda i Junga i lubi trenować swoje psychologiczne techniki na całej rodzinie. I to właśnie robiła, kiedy byliśmy w restauracji.

- Jak się czujesz po rozwodzie, babciu? - spytała moją teściową. Spojrzałam na Sarę ze współczuciem, ale ona tylko się uśmiechnęła.

- Świetnie, moje dziecko - odparła. - Kiedy ludzie nie są ze sobą szczęśliwi, lepiej, żeby się rozstali.

- Jakie były, twoim zdaniem, główne czynniki rozpadu waszego związku z dziadkiem?

- Cóż, skarbie - powiedziała teściowa, odkładając kartę. - Wydaje mi się, że byliśmy za młodzi, kiedy się pobraliśmy.

Ludzie mówią to czasami o mnie i o Peterze. Wzięliśmy ślub, gdy mieliśmy po dwadzieścia lat i często mnie pytają, choć prawdę mówiąc, wolałabym, żeby sobie darowali, czy nie żałuję, że tak młodo wyszłam za męża. Nie. Nigdy, przenigdy, nie zastanawiam się, co by było, gdyby... ponieważ pod każdym względem jestem szczęśliwa. Naprawdę. Peter jest przyzwoitym i uczciwym człowiekiem. Ciężko pracuje, ma doskonały kontakt z dziećmi i jest miły dla swojej matki. Jest także przystojny, choć powinien trochę schudnąć. To dziwne, ale dziś wieczorem zauważyłam, że chyba ostatnio wyszczupłał. Przypuszczam, że stracił kilka kilogramów z powodu stresów. Zaczął się też lepiej ubierać. Odkryłam, że kupił sobie kilka ładnych krawatów. Mówi, że musi być w każdej chwili przygotowany na jakąś rozmowę w sprawie nowej pracy i dlatego chodzi do biura elegancko ubrany. Mimo zmartwień wygląda całkiem dobrze.

Po tylu latach z Peterem nie wyobrażam sobie, że mógłby mi się spodobać inny mężczyzna. Ludzie pytają mnie czasem, czy po piętnastu latach z tym samym facetem nie chciałabym spróbować z kimś innym. Moja odpowiedź to zdecydowane „raczej nie”. To znaczy, nie chciałabym być źle zrozumiana. W końcu jestem kobietą z krwi i kości. Potrafię docenić atrakcyjnego mężczyznę. Na przykład tego fachowca, który w zeszłym tygodniu przyszedł naprawić pralkę. Dzięki niemu program delikatnego prania znów działa. Obiektywnie rzecz biorąc, stwierdziłam, że był przystojny. Nawet bardzo, prawdę mówiąc. I muszę przyznać, że ostatnio mi

się śnił. To są niesłuchanie realistyczne sny, z różnymi dziwnymi przedmiotami, jak na przykład telefon komórkowy czy pilot od telewizora, a nawet - i to dopiero jest dziwaczne - karton sorbetu z czarnych porzeczek. Bóg jeden wie, co to znaczy. Spytałam o to Katie, a ona spojrzała na mnie podejrzliwie i powiedziała, że to moje ego zaczyna szaleć. Jak zwykle udałam, że biorę jej wyjaśnienia za dobrą monetę. Niewątpliwie te sny są spowodowane moją bujną wyobraźnią. Nie, nie oglądałam się za innymi mężczyznami, choć w pracy spotykam naprawdę atrakcyjnych facetów. Ale wcale mi się nie podobają, bo jestem szczęśliwą mężatką, a seks to nie wszystko, prawda?

Oczywiście Peter ma teraz dużo problemów. Ale nasze małżeństwo jest w świetnej formie i dlatego postanowiłam uczcić te piętnaście szczęśliwych lat. Zamówiłam stolik w Snows, w Brook Green. Rzadko jadamy poza domem. Czasem Peter musi chodzić na kolacje z autorami i agentami, ostatnio nawet dość często mu się to zdarza, a we dwójkę raczej nie wychodzimy. Nie możemy sobie na to pozwolić, w końcu musimy płacić za szkołę, choć na szczęście Matt dostał stypendium. W wydawnictwach dużo się nie zarabia. Ja pracuję tylko na pół etatu i już o jedenastej rano jestem z powrotem w domu. Pomyślałam, że Peterowi należy się jakaś rozrywka i dlatego postanowiłam, że pójdziemy do Snows.

Naprawdę knajpa nazywa się Snows on the Green, co pasowało do dzisiejszego dnia, bo śnieg leżał na trawie. Prawie trzy centymetry śniegu. Zaczęło padać rano, a po południu leżały już niewielkie zasy. Uwielbiam, kiedy pada śnieg, bo robi się bardzo cicho, jakby cały świat zasnął. Mam wtedy ochotę wybiec na dwór, zaklaskać w dłonie i krzyknąć: „Wstawajcie! Wstawajcie!“. I śnieg zawsze przypomina mi o naszym ślubie, bo tamtego dnia też prószyło.

Teraz siedziałam w restauracji, wyglądając przez okno, obserwowałam płatki śniegu, które wirowały za szybą i zastanawiałam się, co mi przyniesie następne piętnaście lat. Czułam ten lekki szmer w głowie po szampanie. Oczywiście nie piliśmy prawdziwego szampana, ale włoskie wino musujące. Jest bardzo dobre i kosztuje o połowę mniej niż szampan.

- A twoi rodzice? - spytała Sara, przegryzając oliwką. - Przyjdą?

- Nie, znów gdzieś wyjechali. Chyba nurkują w Santa Lucia - odparłam beztrosko. - A może skaczą na nartach z helikoptera na Alasce? Albo na bungee w Botswanie... - Rodzice są na eme-

ryturze i jeżdżą z jednej wyprawy na drugą w różne coraz bardziej egzotyczne miejsca. Czemu nie? W końcu przez całe życie ciężko pracowali i najwyższy czas, żeby się trochę zabawili.

- Nie pamiętam, dokąd wybrali się tym razem, Saro - powiedziałam. - Stale gdzieś jeżdżą.

- To dlatego, że mają klasyczną osobowość unikową - stwierdziła Katie z lekkim potępieniem w głosie. - Dzięki nieustannym wyjazdom unikają spędzania czasu z nami. Gdy tylko drugi dziadek przestał pracować w Abbey National, natychmiast wyjechali.

- Wiem, skarbie, ale przysyłają nam mnóstwo ślicznych widokówek - powiedziałam. - I dzwonią od czasu do czasu. Babcia lubi z tobą rozmawiać, prawda, Matt?

- No... tak - odparł nieco nerwowo, podnosząc głowę znad karty. - Chyba tak. - Ostatnio zauważyłam, że matka często dzwoni do Matta. Lubi sobie z nim pogadać. Dzwoni nawet do niego do szkoły. Uważam, że to bardzo dobrze, że mają taki dobry kontakt.

- Zazdroszczę twoim rodzicom - stwierdziła ze smutkiem Sara. - Bardzo bym chciała gdzieś wyjechać, ale jestem uwiązana w sklepie. - Sara jest właścicielką antykwariatu z książkami w Dulwich. Kupiła go dwadzieścia lat temu za alimenty od męża, który porzucił ją dla jakiejś Amerykanki i wyjechał do Stanów. - Przyniosłam mały rocznicowy upominek - dodała, wręczając mi przewiązaną wstążką paczkę, w której były dwie piękne kryształowe szklanki.

- Jakie piękne szklaneczki, Saro. Dziękuję.

- Tak, dziękuję, mamo - powiedział Peter.

- Piętnasta rocznica jest kryształowa - wyjaśniła. Na opakowaniu zauważyłam czerwoną nalepkę z napisem: UWAGA! SZKŁO! - Czy już wszyscy jesteśmy? - zapytała miło.

- Wszyscy oprócz Lily - odpowiedziałam. - Trochę się spóźni. - Peter wniósł oczy do góry.

- Lily Jago? - spytała Mimi. - Ojej, pamiętam ją z twojego ślubu, była druhną, prawda? A teraz jest sławna.

- Owszem - potwierdziłam z dumą. - I zasłużyła sobie na to, ponieważ bardzo ciężko pracuje.

- Jaka ona jest? - zapytała Mimi.

- Jak lady Makbet - powiedział Peter i zaśmiał się głucho. - Ale nie taka miła.

- Kochanie - powiedziałam z przyganą. - Nie mów tak, proszę. To moja najlepsza i najstarsza przyjaciółka.

- Traktuje swoich pracowników jak jednorazowe majtki - dopowiedział Peter - i bez pardonu idzie po trupach do celu.

- To niesprawiedliwe i sam o tym dobrze wiesz. Lily jest pracowita i genialna. Zasłużyła na sukces.

Kiedyś martwiło mnie, że Peter nie lubi Lily, ale w końcu się przyzwyczaiałam. Nie rozumie, dlaczego wciąż się z nią przyjaźnię, a ja już nie próbuję mu tego tłumaczyć. Lily po prostu jest dla mnie ważna. Znamy się od dwudziestu pięciu lat, od czasów szkoły klasztornej, a więc wiąże nas coś naprawdę mocnego. Oczywiście nie jestem ślepa i wiem, że Lily nie jest aniołem. Na przykład jest trochę przewrażliwiona i bardzo złośliwa. Bywa też zbyt swobodna w kontaktach z facetami, ale dlaczego miałyby nie być? Jest wolna i piękna, więc powinna się bawić. Dlaczego piękna, trzydziestopięcioletnia kobieta nie może mieć wielu kochanków? Dlaczego piękna, trzydziestopięcioletnia kobieta nie może czuć się pożądana i kochana? Dlaczego trzydziestopięcioletnia kobieta nie może spędzać romantycznych weekendów w eleganckich hotelach z jacuzzi i puszystymi ręcznikami? Dlaczego każda trzydziestopięcioletnia kobieta nie miałyby dostawać kwiatów, szampana i drobnych prezentów bez okazji? Jak człowiek wyjdzie za żonę, to tak się właśnie kończy: romantyzm wylatuje przez okno i na resztę życia masz przy sobie to samo ciało. Nie potępiam Lily, choć nie zawsze pochwalam jej wybory. Co tydzień widzimy ją na okładce „Halo!” albo „OK!” u boku jakiegoś piłkarza, piosenkarza lub aktora z serialu w Programie 4. A ja uważam, że mogłaby znaleźć kogoś lepszego. Nie ma dobrego gustu do facetów, ale ostatnio na szczęście przestała się interesować żonaty. Obawiam się, że przedtem robiła coś takiego. Raz przypomniałam jej, że cudzołóstwo jest grzechem przeciwko siódmemu przykazaniu.

- Nie popełniłam cudzołóstwa - stwierdziła oburzona. - Nie jestem mężatką, a to było tylko pieprzenie.

Lily nie interesuje małżeństwo, bo całkowicie poświęciła się karierze zawodowej.

- Jestem wolna i nie mam żadnych zobowiązań! - mówi często.

Z pewnością byłaby wyzwaniem dla mężczyzny, który chciałby zaangażować się w głębszy związek. Po pierwsze, jest szalenie uparta i nie zapomina o urazach. Peter uważa, że jest niebezpieczna, ale to nieprawda. Po prostu jest lojalna wobec przyjaciół i bezwzględna dla wrogów, a ja wiem, do której kategorii należę.

- Lily miała na dzisiejszy wieczór dwanaście zaproszeń - powiedziałam. - Zna mnóstwo ludzi.

- Tak, mam - stwierdziła spokojnie Katie - ale ty jesteś jej jedyną przyjaciółką.

- Może to prawda, skarbie - odparłam z dumą - mimo to uważam, że to ładnie z jej strony, że przyjdzie.

- Po prostu nadzwyczajnie - burknął Peter, który wypił już parę drinków. - Nie mogę się doczekać jej efektownego wejścia - dodał sarkastycznie.

- Kochanie - powiedziałam łagodnie. - Lily nie potrafi inaczej wejść. Nie można mieć pretensji, że jest taka piękna.

I to jest prawda. Na jej widok ludziom opadają szczęki. Nie mogą oderwać od niej oczu. Przede wszystkim jest bardzo wysoka i nieprzytomnie chuda, a poza tym zawsze ma na sobie coś szalonego. Nie tak jak ja. Dostaję z pracy niewielką kwotę na ubrania, w których występuję, i zazwyczaj kupuję je w Principles, bo lubię ich styl. Ostatnio zaczęłam interesować się ciuchami z Next i z Episode. Lily dostaje masę forsy na ubrania, w dodatku projektanci przysyłają jej swoje propozycje i dlatego zawsze wygląda oszałamiająco. Nawet Peter przyznaje, że Lily ma talent, odwagę i siłę przebicia. Zaczynała bardzo skromnie. Pamiętam dzień, gdy zjawiła się w St. Bede. Widzę matkę przełożoną, jak pewnego dnia po mszy stoi na scenie w sali gimnastycznej, a obok niej nowa uczennica. Wszystkie byłyśmy okropnie ciekawe, kim ona jest.

- Dziewczynki - powiedziała matka przełożona, kiedy zapadła cisza. - To jest Lily. Lily Jago. Musimy być dla niej bardzo dobre - kontynuowała dobrodusznie - bo Lily jest bardzo biedna.

Do śmierci nie zapomnę furii malującej się na twarzy Lily. A dziewczynki wcale nie były dla niej dobre. O nie! Przedrzeźniały jej akcent, wyśmiewały się z braku wdzięku, gardziły jej ewidentnym ubóstwem i okropnie naigrywały się z rodziny Lily. Nazywały ją Lily White, czego nienawidziła. A później, kiedy się zorientowały, że jest mądra, też jej za to nie lubiły. Ja jednak polubiłam Lily. Pociągała mnie, może dlatego, że ja także byłam kimś spoza układów. Dziewczyny często się ze mnie wyśmiewały. Przezywały mnie Głupia Faith, twierząc, że jestem bardzo naiwna. Ale też trudno mi było dokuczyć, bo nie rozumiałam dowcipów. Dla mnie kurczak przechodzący na drugą stronę ulicy robił to, bo potrzebował przejść na drugą stronę ulicy. Nie widziałam w tym

nic śmiesznego. A rower powinien mieć dzwonek, żeby uniknąć wypadku, prawda? To oczywiste. A zatem dlaczego miałoby być śmieszne? Dziewczyny mówiły, że można mi wszystko wmówić. Oczywiście, że nie. Ale wierzę ludziom. Ufam im. Daję każdemu margines wątpliwości i na ogół biorę to, co mówią, za dobrą monetę. Chcę taka być. Już dawno temu postanowiłam, że nie będę cyniczna, tak jak Lily.

Ona jest szalenie podejrzliwa i mimo że bardzo ją lubię, nie mogłabym być taka. Pewnie dlatego mam w portmonetce mnóstwo zagranicznych monet, bo nigdy nie sprawdzam reszty, którą dostaję. Sprzedawcy stale dajami dziesięciocentówki, fenigi i franki. Nie przeszkadza mi to, bo nie chciałabym być kobietą, która stale ma się na baczności. Jestem optymistką i zawsze wierzę, że jakoś to będzie. Wierzę także w sukces mojego małżeństwa. Nie sądzę, aby Peter kiedykolwiek zrobił jakiś skok w bok. Do tej pory się nie zawiodłam. Wierzę też, że można własnym umysłem i siłą woli oddziaływać na swój los. W pewnym sensie byłam zadowolona, że Lily bywa „niegrzeczna”, bo wiedziałam, że sama nigdy taka nie będę. Pamiętam, jak raz, gdy miałyśmy trzynaście lat, poszłyśmy do miasta, oszukując siostrę Wilfredę i twierdząc, że idziemy na spacer. Tymczasem pojechałyśmy do Reading, oczywiście za moje kieszonkowe, gdzie kupiłyśmy słodycze, a Lily kupiła papierosy i rozmawiała z chłopakami. W drodze powrotnej zrobiła coś strasznego; weszła do kiosku i buchnęła „Harpers and Queen”. Chciałam, żeby oddała, ale odmówiła, choć obiecała, że się z tego wypowiada. Później siedziała zafascynowana nad piśmem, z szacunkiem przewracając kartki, jakby to był jakiś święty tekst. Przysięgła głośno, że pewnego dnia zostanie naczelną redaktorką takiego pisma. Wszystkie dziewczyny się z niej śmiały, ale Lily robi dziś to, co zapowiedziała.

- Lily dość długo była w Stanach, prawda? - powiedziała Mimi, odrywając kawałek bułki. - Dużo o niej czytałam w prasie.

- Sześć lat - odparłam. - Pracowała w „Mirabelli” i w „Vanity Fair”. - Jedząc przystawki, opowiedziałam o karierze Lily i jej poświęceniu się pracy. Jestem bardzo dumna z naszej przyjaźni. Wspomniałam też o tym, że rzuciła studia w Cambridge, gdy otrzymała podrzędne stanowisko w „Marie Claire”. Ale to był początek jej długiej wspinaczki po namydlonym słupie kariery w mediach. Postanowiła dojść na szczyt i tego dokonała. Trzy miesiące temu została pierwszą czarną naczelną redaktorką „Moi!”

Chodzi naturalnie o pismo „Moi-Meme!” znane jako „Moi!”. Albo „Miau-miau”, jak mówi Peter, który takie pisma uważa za śmiecie. Nazywa Lily kapłanką błyskotek. Moim zdaniem Lily jest genialna w tym, co robi. Oczywiście niektóre historie są dość głupie. Zupełnie nie w moim guście. Chodzi o artykuły o tym, co jest modne, a co nie. *Szarość nową czernią! Grubość nową chudością! Starość nową młodością!* Ale pismo zawsze wygląda super, bo mają świetne zdjęcia i dobre pióra. Lily mówi, że zawsze potrafi oddzielić dowcip od kpin. O tak, Lily odniosła wielki sukces. Owszem, bywa złośliwa, nigdy jednak nie zrobiłaby mi przykrości. To wiem na pewno.

O dziewiątej Lily wciąż nie było. Skończyliśmy przystawki i czekaliśmy na główne danie, w moim przypadku kotlet barani. Rozmowa wróciła do naszego małżeństwa.

- Piętnaście lat! - wykrzyknęła ze śmiechem Mimi. - Nie mogę uwierzyć! Doskonale pamiętam dzień waszego ślubu. W kaplicy uniwersyteckiej. Padał śnieg, zupełnie jak dziś, i było potwornie zimno.

- To był biały ślub - powiedziałam. Peter się roześmiał.

- To zdumiewające, że obchodzicie piętnastą rocznicę - dodała Mimi. - Wielki Boże! Ja jeszcze nie miałam pierwszej. - Wszyscy uśmiechnęliśmy się, a ona spojrzała na Mike'a, swojego męża, rozmarzonym wzrokiem. - Dopiero co przeżyłam szczęśliwe zakończenie.

- Chyba początek - stwierdził Mike.

Poczułam się bardzo dziwnie, kiedy to powiedział, naprawdę bardzo dziwnie. Jednocześnie pomyślałam, że Mike ma rację. To był początek. Pobrali się w maju. Oboje spojrzeli teraz na sześciotygodniową córeczkę, Alice, która spała w krzesełku samochodowym na podłodze. Rzuciłam okiem na moje dzieci - czternastoletnie i dwunastoletnie - i znów uderzyło mnie to, że Peter i ja mamy zupełnie inne życie niż nasi rówieśnicy. Większość z nich, tak jak Mimi, dopiero się pobiera i ma dzieci. My zrobiliśmy to piętnaście lat temu i niedługo nasze dzieci opuszczą rodzinne gniazdo.

- Pobraliście się jeszcze na studiach, prawda? - spytał Mike.

- Na drugim roku - powiedziałam. - Nie mogliśmy dłużej czekać. Prawda, kochanie? - Peter spojrzał na mnie nad migotliwymi płomykami świec i uśmiechnął się lekko. - Byliśmy szalenie zakochani -? dodałam, rozochociona musującym winem.

- A dobrzy katolicy nie żyją w grzechu. - Nie jestem dobrą katoliczką, choć wtedy byłam. Teraz jestem katoliczką raczej od święta. Chodzę do kościoła trzy, cztery razy w roku.

- Pamiętam, jak się poznaliście - stwierdziła Mimi. - Na pierwszym semestrze w Durham, na balu pierwszaków. Spojrzałaś na Petera i szepnęłaś: „To jest człowiek, za którego wyjdę”. I tak zrobiłaś.

- Byliśmy jak superglue - zachichotałam. - Natychmiast wiedzieliśmy, że jesteśmy dla siebie stworzeni.

Sara, matka Petera, uśmiechnęła się lekko. Lubię ją. Zawsze miałyśmy dobry kontakt. Na początku miała wątpliwości i myślała, że prędzej czy później się rozwiedziemy, tak jak ona. Tymczasem ciągle jesteśmy razem i jestem pewna, że tak już zostanie. Jak już mówiłam, wierzę w przyszłość. Sara rozmawiała teraz z dziećmi - dawno ich nie widziała - a Peter rozluźnił się, gdy przekomarzaliśmy się z Mimi i Mikiem. Wszyscy już trochę wypiliśmy i byliśmy w dobrym nastroju, kiedy nagle poczuliśmy powiew zimnego powietrza: otworzyły się drzwi i wreszcie zjawiła się Lily.

Lubię patrzeć, jak Lily robi wejście. Prawie słyszy się stuk opadających szczęk. I tak było tym razem. Lily twierdzi, że się przyzwyczaiła i nie zwraca na to uwagi, ale mnie to zawsze rozśmiesza.

- Tak mi przykro, kochani! - zawołała, zbliżając się w obłoku Obsession i nie widząc pełnych podziwu męskich spojrzeń. - Strasznie przepraszam - dodała, zsuwając z siebie długie futro z polarnych lisów, złapane w locie przez kelnera. - Gore jest w mieście, Vidal, nie Al, i umówiliśmy się na szybkiego drinka w Ritzu, a potem musiałam pójść na Cork Street na wernisaż... - Zdjęła futrzaną czapkę. Na kruczoczarnych włosach do ramion leżały płatki śniegu. - Chanel promowała nowy zapach i musiałam się tam pokazać... - Wręczyła kelnerowi kilka różnych torebek i torebeczek. - Ale na przyjęciu z okazji Trzech Króli u lorda Linleya zostałam tylko dziesięć minut, bo chciałam być z wami.

Rzuciłam okiem na Mimi. Kompletnie ją замуrowało.

- Wszystkiego najlepszego, najdroższa Faith! - wykrzyknęła Lily, podając mi torebkę od Tiffany'ego. W środku, w wykładanym jedwabiem pudełeczku, leżał niewielki srebrny cylinder.

- To jest teleskop - stwierdziłam ze zdumieniem, przykładając go do lewego oka. - Nie! To jest... Ach, jaki śliczny! - Kiedy

kręciłam srebrną tubką, tysiące czerwonych, fioletowych i zielonych cekinów układało się w przepiękne wzory.

- Cudowne - mruknęłam. - Od lat nie widziałam kalejdoskopu.

- Nie wiedziałam, co ci podarować - powiedziała Lily. - Pomyślałam, że to ci się spodoba. To jest prezent dla was dwojga - dodała, uśmiechając się kocim uśmiechem do Petera.

- Dziękuję, Lily - powiedział.

- To fantastyczny prezent! - zawołałam, obejmując Lily. - I jesteś fantastycznie ubrana!

Miała na sobie bliźniak z jaskrawozielonego kaszmiru, gabarydną spódnicę do kolan i botki z wężowej skóry, prawdopodobnie od Jimmy Choo.

- Kaszmir to tylko Nicole Farhi - rzuciła. - Ale Voyage już mi się przejadł. Jill Sander przysłała spódnicę. To słodkie, prawda? Ostry fason. Dam ci, kiedy mi się znudzi.

- Dzięki, Lily - powiedziałam smutno. - Obawiam się, że na mnie nie wejdzie. - Lily nosi dziesiątkę, a ja czternastkę. Ona ma prawie metr osiemdziesiąt wzrostu (jeszcze więcej w butach na obcasach), a ja tylko metr sześćdziesiąt. To śmieszne, kiedy miałyśmy dziewięć lat, byłyśmy takie same. Wtedy ona nosiła ciuchy, które mi się znudziły, dziś oddaje mi swoje. Kiedyś ona była zawsze bez grosza, dziś dotyczy to mnie. Cóż, sami dokonujemy życiowych wyborów. Ja jestem szczęśliwa, że wybrałam to, co wybrałam.

Kelner nalał Lily chablis, a potem spojrzął na wielką torbę z nadrukiem Louisa Vuittona, którą trzymała na kolanach.

- Czy mogę wziąć tę torbę, proszę pani?

- Nie, nie, dziękuję - odparła, lekko zmieszana. - To jest moja podręczna torba.

- Naprawdę? - spytał podejrzliwie.

- Oczywiście. - Lily uśmiechnęła się do niego promiennie. Błyszczące zęby zabłyśły jak szron na tle jej ciemnobrazowej skóry. - Zawsze mam ją przy sobie - wyjaśniła. Wiedziałam dlaczego. Lily nigdy nie przestrzega zasad ani zakazów. Kiedy kelner się wycofał, postawiła torbę pod stołem i szybko otworzyła zamek. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się porozumiewawczo i chwyciła ostatni kawałek mięsa z mojego talerza.

- Masz, złotko - szepnęła, wsuwając rękę pod stół. - Od ciotki Faith. - Usłyszeliśmy prychnięcie i cichy jęk. Katie, Sara i ja

podniosłyśmy obrus i zajrzałyśmy pod stół, gdzie Jennifer kończyła właśnie moje jagnię. Jennifer oblizała mały, zarosnięty pyszczek różowym językiem i spojrzała na nas wielkimi, wytrzeszczonymi, czarnymi oczami bez wyrazu.

- Jaka słodka fryzura - zaśmiała się Sara. Loki Jennifer zebrane były na czubku głowy i spięte błyszczącą spinką.

- O tak, Jennifer jest taka piękna - odparła z westchnieniem Lily. - Prawda, Faith? Czyż nie jest najpiękniejszym i najśłodszym maleństwem na świecie?

- Jest - skłamałam, spoglądając na jej wystającą dolną szczękę, krzywe zęby, owłosioną brodę i płaską mordkę. - Jennifer jest cudowna - dodałam z fałszywym uśmiechem.

Ktoś mógłby pomyśleć, że Jennifer to dziwne imię dla psa. Naprawdę nazywa się Jennifer Aniston, ponieważ ma długie, jedwabiste, jasne włosy i ponieważ „jest tego warta”. Lily wydaje na nią połowę pensji. Na przykład ta torba od Louisa Vuittona kosztowała przynajmniej pięćset funtów. Jennifer ma też osiem obroży od Gucciego, pięć smyczy od Chanel, dwa płaszczyki burberry, trzy miski od Paula Smitha. A jej posłanie! Jest już wschodni namiot z chińskimi malowidłami i jedwabnym dywanikiem. Ma przypominać Jennifer o jej pochodzeniu ze starożytnego Pekinu. Shih tzu były psami świątynnymi i Lily wielbi swojego psa. Między nami mówiąc, Jennifer Aniston nie jest w moim typie. Ani Grahama. Zawsze przygląda się jej z niedowierzaniem, jakby nie był do końca pewny, czy to pies.

- Co słyhać w krainie magazynów? - spytałam, zmieniając temat.

- Jesteśmy na topie - odparła Lily. - Tu jest numer lutowy, spójr! Właśnie dostałam z drukarni. Rozwożą go po mieście. - Pismo było ciężkie i błyszczące. Tytuł „Moi!” widniał na górze, nad zdjęciem Kate Moss. Rzuciłam okiem na tytuły na okładce: Bez kolejki - pięciogwiazdkowe ubikacje, Proletariat - prawdziwe oblicze partii pracy, Damy - z lamy, Siła ciagnienia - dziesięć najlepszych pincetek.

- Nieśmiertelny myślnik - mruknął Peter, wznosząc oczy do nieba.

Dyskretnie kopnęłam go pod stołem, a potem obejrzałyśmy z Sarą pismo, pamiętając, aby wyrażać głośny podziw dla świetnych fotografii, interesujących artykułów i mody. I oczywiście reklam. W „Moi!” jest mnóstwo reklam. Wiem, że niektóre kosz-

tują trzydzieści tysięcy funtów za stronę, więcej niż moja roczna pensja. Moją uwagę zwróciła reklama drogiego kremu ze zdjęciem perskiego kociaka i mimo że jestem psiara, jęknęłam z zachwytem.

- To klasyczny, „uwarunkowany” refleks - stwierdziła z przekonaniem Katie. - Bardzo skuteczny przy sprzedaży. Tworzy asocjację między produktem a przyjemnym uczuciem. Stayman i Bartra przeprowadzili w 1991 roku fascynujące badanie, które potwierdziło, że stan emocjonalny wpływa na wybory konsumentów. - Jak już mówiłam, Katie nie jest taka, jak inne dziewczęta.

Tymczasem Lily paplała na temat liczby egzemplarzy, paginacji, cen prenumeraty i Bóg wie, czego jeszcze.

- Mamy sto dwadzieścia stron reklamowych - wyjaśniła z zachwytem - i sto trzydzieści reszty. To jest nasz najgrubszy numer, jak do tej pory.

Na początku był artykuł o odchudzaniu i profil Sharon Stone. Potem fragment nowej powieści Iana McEwana i felieton towarzyski *Szpiegują*, strony poświęcone kosmetykom i konkurs, w którym można było wygrać samochód. Uwielbiam konkursy i często biorę w nich udział, choć w tym akurat nie mogłam, jako bliska przyjaciółka redaktorki naczelnej. Ale zawsze, gdy mam czas, wysyłam odpowiedzi. I nawet ostatnio coś wygrałam - roczną porcję fińskiego płynu do zmywarki. Nigdy nie wygrałam czegoś poważnego, lecz może kiedyś mi się uda.

Mimi, która pracuje w Radio 4, zebrała się na odwagę i zaczęła rozmawiać z Lily o jej karierze.

- Inne pisma kobiece zmniejszają nakłady - powiedziała Mimi - a twój idzie w górę.

- Odkąd przejęłam „Moi!”, nakład wzrósł o dwadzieścia procent - stwierdziła triumfalnie Lily. - W „Vogue” trzęsą się ze strachu.

- Czy nie wzięłabyś udziału w *Kobiecej godzinie*? - zapytała Mimi. - Kiedy wrócę do pracy po urlopie macierzyńskim? Oczywiście mówiłabyś o „Moi!” i o swoim nowym stylu wydawniczym. Sądzę jednak, że słuchacze chcieliby także dowiedzieć się czegoś o tobie i o latach spędzonych w szkole klasztornej.

Lily prychnęła śmiechem.

- Nie byłam dobrą uczennicą. Spytaj Faith.

Uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Lily mówiła prawdę. Ale miała swoje powody, dla których utalentowana dziewczyna miała

kłopoty w szkole. Po pierwsze, została wyrwana z domu. Wprawdzie dokonano tego w zbożnych intencjach, jednak umieszczono ją w środowisku, do którego nie pasowała. Kiedy miała osiem lat, jej nauczycielka odkryła, że jest niezwykle zdolna, opowiedziała o tym miejscowemu księdzu, który skontaktował się z biskupem, a ten napisał do matki przełożonej. Matka przełożona zgodziła się dać jej stypendium. I w ten sposób Lily opuściła Karaiby, aby kształcić się w St. Bede.

- Lily była genialną uczennicą - powiedziałam. - Chciała być we wszystkim najlepsza i była.

- Oprócz zachowania - przypomniała Lily, śmiejąc się gardłowo.

Mówiła prawdę. W każdą sobotę przystępowałyśmy do spowiedzi i Lily spędzała w konfesjonale całe godziny. Byłam pewna, że zmyśla, i powiedziałam jej kiedyś, że wymyślanie przewinień jest samo w sobie śmiertelnym grzechem.

- To jest tak, jakbyś niepotrzebnie zwracała głowę policji - tłumaczyłam. - Nie możesz wymyślać grzechów.

- Niczego nie wymyślam - odparła, przewracając wielkimi, brązowymi oczami.

Obawiam się, że Lily nie była lubiana. Potrafiła być złośliwa i inne dziewczyny bały się jej ostrego języka. Kiedy miałyśmy po szesnaście lat, siostra Józefina rozmawiała z nami o przyszłości. Spojrzała na Dinah Shaw, która była strasznie tępa, i spytała:

- Kim będziesz, gdy ukończysz szkołę, Dinah?

Na co Lily wykrzyknęła:

- Dwudziestopięcioletnią babą.

Jeśli jednak Lily zachowywała się niewłaściwie, to z powodu pogardy, z jaką ją traktowano. Najgorsza była Venetia Smedley. Pochodziła z Wysp Normandzkich i nazywano ją Krową z Jersey. Pewnego dnia przy śniadaniu - nigdy tego nie zapomnę - Venetia oznajmiła na cały głos:

- Rodzice jadą w przyszłym tygodniu do St. Kitts. Zawsze zatrzymują się w Four Winds w Banana Bay. Czyż to nie zabawny zbieg okoliczności, Lily? Może twoja matka będzie sprzątać ich pokój.

Lily spojrzała na nią, opuściła łyżkę i odparła:

- Tak, Venetio, może będzie.

Parę miesięcy później straszliwie się zemściła. Venetia nosiła sztuczną szczękę, ponieważ dwa lata wcześniej wybiła sobie kilka

zębów podczas upadku z kucyka. Bardzo się tego wstydziła i starała się, żeby nikt nigdy nie zobaczył, jak jączyści. Lily przygotowała cukierki toffi; były bardzo klejące, ponieważ -jak się później dowiedziałam - dodała do nich kleju. Triumf malujący się na jej twarzy, kiedy Venetia zjadła cukierka i wypadły jej trzy zęby...

- Och, tak mi przykro, Venetio - powiedziała słodko. - Zapomniałam, że masz sztuczne zęby.

Znalazłam ją na podwórzu za szkołą, zwijającą się ze śmiechu. Spojrzała na mnie uradowana i szepnęła:

- Zemsta należy do mnie, powiedział Pan. Odpłacę się.

Do dziś odbiera swoje długi.

- Dziś rano zadzwoniła do mnie Camilla Fanshawe - powiedziała z grymasem, zjadając *guacamole*. - Wychodzi za jakiegoś głównianego bankiera i błagała mnie, błagała, Faith, żebym opisała jej ślub w rubryce *Szpiegują*. Zależy jej na tym wyłącznie dlatego, że o ślubie Letty Brocklebank napisano w „Tatlerze”. Camilla próbowała mi się podlizać, twierdząc, że w szkole bardzo mnie lubiła i że była pewna, iż daleko zajdę, ponieważ jestem taka mądra. I czy to zrobić? Dla starej koleżanki i tak dalej? Pozwoliłam jej się wygadać, a potem powiedziałam bardzo grzecznie: „Bardzo mi przykro, Camillo, ale obawiam się, że w »Moi!« nie opisujemy małych, prowincjonalnych ślubów”.

Lily, jak zwykle, śmiała się ostatnia. Zakasowała je wszystkie, pod każdym względem. Nie tylko intelektualnie, co było łatwe, lecz także towarzysko. Miała umysł jak radar i szybko łamała wszystkie kody. Nauczyła się dobrych manier, poprawiła wygląd i postawę, zmieniła sposób mówienia. Znikła jej bogata, karaibska wymowa i pojawiło się tłuczone szkło. Peter mówi, że Lily ma problemy z samogłoskami.

Mimi, wyraźnie zafascynowana Lily, wypytywała nas o St. Bede. Opowiedziałyśmy jej, że codziennie rano była msza, w środy błogosławieństwo, różaniec w czwartki, spowiedź w soboty i śpiewana msza łacińska w niedziele.

- A kiedy się uczyłyście? - spytał Mike.

- Na to też był czas - odparłam, lekko ubzdryngolona. - A Lily była najlepsza. Zdała dwanaście egzaminów podstawowych i cztery zaawansowane i przyjęto ją do Cambridge w wieku siedemnastu lat.

- A sport?

- Grałyśmy w hokeja i w siatkówkę.

- Szło mi beznadziejnie - stwierdziła ze śmiechem Lily. - Wszystkie te biegi i skoki potwornie mnie nudziły. Ze śpiewu też byłam kiepska - zachichotała. Nie odzywałam się; mówiła prawdę. Miała głos jak derkacz i trudno było koło niej wystać, gdy śpiewaliśmy hymny w kaplicy. - Do tańca też miałam dwie lewe nogi - dodała Lily. - I nic się nie zmieniło.

- Występowaliśmy w szkolnym teatrze - stwierdziłam entuzjastycznie. - To było fantastyczne. Zwłaszcza doroczna sztuka...

Nagle zobaczyłam, że uśmiech Lily znikł. Rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie. Wtedy mi się przypomniało. Szkolny teatr był drażliwym tematem. W ogóle o nim nie wspominałyśmy. Lily, w przeciwieństwie do mnie, co stwierdzam bez fałszywej skromności, nie miała talentu. Najgorsze było to, że uwielbiała teatr, ale zawsze szarżowała. Nie potrafiła się nawet przeżegnać, nie robiąc wrażeń, że dyryguje ruchem ulicznym. Aktorstwo nie było jej mocną stroną i przez to nasza przyjaźń lekko się zachwiała. Kiedy byłyśmy w przedostatniej klasie, matka przełożona wybierała dziewczyny do szkolnej sztuki. Postanowiła, że wystawimy *Otel-ła*, a Lily, jako jedyna kolorowa uczennica, była przekonana, że dostanie główną rolę. Pilnie się przygotowywała, a ja pomagałam jej nauczyć się roli. Gdy jednak po przesłuchaniach ogłoszono wyniki, okazało się, że to ja, a nie Lily, dostałam główną rolę. Obawiam się, że nie przyjęła tego najlepiej. Wpadła jak burza do gabinetu matki przełożonej, gdzie akurat byłam, i krzyknęła:

- To dlatego, że jestem czarna, prawda?

- Nie, Lily - odparła spokojnie matka przełożona. - Dlatego, że nie jesteś dość dobrą aktorką. Jesteś uzdolniona w wielu dziedzinach - mówiła dalej - i na pewno osiągniesz w życiu sukces, ale z pełnym przekonaniem twierdzą, że twoje przyszłe sukcesy nie będą sukcesami scenicznymi.

Lily wyszła. Nie odzywała się do mnie przez miesiąc. Co miałam zrobić? Odmówić? Rola była fantastyczna i wszyscy mówili, że genialnie ją zagrałam. Do dziś pamiętam te cudowne strofy: *Byłem szczęśliwy... Nic nie wiedziałem. A teraz żegnaj na zawsze spokojny umyśle.*

Lily przeżyła jakoś to rozczarowanie, choć nie przyszła na przedstawienie i nigdy więcej o tym nie rozmawiałyśmy. Aż do dziś. Wcale nie uważam, że uwaga o teatrze była nietaktowna, w końcu minęło osiemnaście lat i role się odwróciły. Teraz ona jest gwiazdą. Osiągnęła sukces. Ma pozycję, wielkie mieszkanie

w Chelsea i lodówkę pełną szampana i *foie gras*. Ja jestem nudną gospodynią domową z przedmieścia, z dwójką dzieci, w butach na płaskim obcasie, która uważa pójście do Ikea za wyjątkową przyjemność. Dlatego doceniam to, że Lily od tylu lat utrzymuje ze mną kontakt, mimo że nasze życie jest tak różne.

Koło wpół do dziesiątej przeszliśmy do deseru. Świece prawie się wypaliły i opróżniliśmy kilka butelek wina. Peter wypił chyba o jeden kieliszek za dużo. Zawsze to poznaję po jego zachowaniu. Rozmawiali z Mattem o Internecie, a Katie robiła Lily testy psychometryczne. Lily jest matką chrzestną Katie. twierdziła więc, że wcale jej to nie przeszkadza. Mimi natomiast, wciąż pod wrażeniem niedawnego zamążpójścia, pytała mnie o rady.

- Powiedz mi, Faith - szepnęła - w czym leży sekret udanego małżeństwa?

- Nie mam pojęcia - mruknęłam, podnosząc do ust łyżkę jeśniennych owoców w sosie waniliowym. - Wiem tylko, że po piętnastu latach nadal łączy mnie z Peterem niezwykła więź. Jesteśmy jak pędy wistarii rosnącej przed naszym domem, całkowicie ze sobą spleceni.

- Co w nim najbardziej podziwiasz? - spytała Mimi.

- Zdolność do odnajdywania moich szkieł kontaktowych - zachichotałam. - Jest w tym niezrównany.

- Ale naprawdę - nalegała Mimi. - Co ci się w nim najbardziej podoba?

- Jego przyzwoitość - odparłam. - I prawdomówność. Peter zawsze mówi prawdę.

Mike*owi tak się to spodobało, że zaproponował, aby Peter wygłosił mowę.

- O, nie - jęknął Peter. - Tylko nie to.

- Prosimy - przyłączyła się Mimi. - To w końcu jest specjalna okazja.

- No dobrze - zgodził się Peter po kolejnym łyku wina. - Hm... Chciałbym powiedzieć... - zaczął, niepewnie wstając - że Faith była moją pierwszą miłością i żęte piętnaście lat z nią wydam ją mi się kamieniem młyńskim...

- Freudowska pomyłka - zawołała Katie.

- Chciałem powiedzieć: kamieniem milowym - poprawił się Peter. - Kamieniem milowym, właśnie to miałem na myśli. Niewiarygodnym osiągnięciem. Kiedy się nad tym zastanowić. I nie wiem, gdzie się podziało ostatnie piętnaście lat mojego życia. - Skończył.

Usiłowałam się uśmiechnąć. Jak już mówiłam, jest bardzo zapracowany i nie taki rozluźniony i zabawowy, jak zwykle.

- Jest zmęczony - szepnęłam dyplomatycznie do Mimi i Mike'a.

- Wydaje się rozkojarzony - dorzuciła Lily.

- Tak - powiedziałam. - Ma teraz strasznie dużo spraw na głowie.

- Choć muszę przyznać, że dobrze wygląda - mruknęła Lily, kiedy podano kawę. - Chyba trochę schudł.

- Tak. Przyznaję, że nieźle wygląda.

- Ma ładny krawat - szepnęła z uznaniem.

- Tak. tak. Bardzo ładny.

Lily sięgnęła do torebki, wyjęła pudełko zapałek i zapaliła jedną. Zapałka zasyczała i rozjarzyła się, po czym przygasła do równego żółtego płomienia. Lily włożyła do ust cygaro, przyłożyła do niego zapałkę, głęboko się zaciągnęła i wydmuchała dym. Spojrzała na mnie poważnie i powiedziała bardzo, bardzo cicho:

- Jesteś wspaniała, że mu ufasz.

Uznałam to za dziwną uwagę, ponieważ zawsze ufałam Peterowi. Jest prawdomówny. Nie miałam pojęcia, o co jej tym razem chodziło, i nie zamierzałam pytać przy wszystkich. Poza tym Peter już poprosił o rachunek.

- ...Weźmy płaszcze.

- ...Czy to obejmuje napiwek?

- ...Nie, nie, to my zapraszaliśmy.

- ...Katie, podaj babci płaszczy.

- ...To miło z twojej strony. Następnym **razem nasza kolej.**

- ...Gdzie jest dziecko?

- ...O, już jest taksówka.

Nim zdążyliśmy się zorientować, staliśmy na chodniku i zegnaliśmy się.

- Fantastyczny wieczór - stwierdziła Mimi. Płatki śniegu delikatnie opadały na jej włosy. - Mam nadzieję, że i my doczekamy piętnastej rocznicy - dodała, przypinając dziecko w krzeselku samochodowym na tylnym siedzeniu.

- A ja mam nadzieję, że będziemy obchodzić trzydziestą rocznicę - powiedział szarmancko Mike. - Dziękujemy za pyszną kolację, pa!

Dzieci musiały znieść pożegnalne pocałunki Lily, choć oboje nie cierpią jej perfum, Jennifer została zapięta w torbie, a Sara

poszła do samochodu. Zatrzymałam przejeżdżającą taksówkę i wsiadłam do niej z Peterem i dziećmiakami.

- Wspaniały wieczór - powiedział Peter, gdy jechaliśmy mokra śliską ulicą.

- Tak, kochanie - przyznałam. - Świetnie się bawiłam.

Mówiłam prawdę, ale jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że coś się zmieniło. Choć nie potrafiłam określić co.

Jeśli pracuje się w telewizji śniadaniowej, ludzie zawsze zadają trzy pytania: O której wstajesz? O której kładziesz się spać? Czy to ci przeszkadza w życiu towarzyskim? Czasami myślę, że na przyjęciach mogłabym pokazywać transparent: „Wpół do czwartej. Wpół do dziesiątej. TAK!“. Do tego nie można się przyzwyczaić. Jeśli twierdziłam wcześniej coś wręcz przeciwnego, kłamałam. Nigdy nie można się przyzwyczaić do wstawania o takiej porze. To okropne, kiedy budzik dzwoni o wpół do czwartej, a twoje ciało jeszcze śpi. Jest jeszcze gorzej, jeśli człowiek czuje się nieszczęśliwy i w dodatku ma lekkiego kaca.

Graham zawarczał cicho, kiedy wstawałam, ale nie ruszył się, by sięść pod drzwiami łazienki. Wzięłam prysznic, spryskałam się Escape, moim chwilowo ulubionym zapachem, włożyłam granatowy kostium z Principles i zeszałam na dół do taksówki. Kiedy wyjeżdżaliśmy z Elliot Road, znów przypomniałam sobie słowa Lily: „Jesteś wspaniała, że mu ufasz... Ufasz... Jesteś wspaniała, że mu ufasz...“. Patrzyłam przez okno na błotniste ulice, rozmyślając nad słowami Lily i analizując je pod każdym kątem, jakbym studiowała rzadki kamień. Wciąż nie miałam pojęcia, o co jej chodziło. Nie byłam też pewna, czy chciałabym wiedzieć. Lily ma zwyczaj mówienia rzeczy, które nieszczęśliwie mi się podobają, ale zazwyczaj po prostu je ignoruję. I tego ranka zmusiłam się, aby przestać o tym myśleć i zaczęłam rozmyślać o pracy. W końcu mam poważne zajęcie. Ludzie na mnie polegają. Ich dzień zależy ode mnie. Kiedy zbliża się mój czas, Terry, główny prezydent, spogląda wprost w kamerę i mówi: „A teraz, drodzy widzowie, zobaczymy, jaka będzie pogoda. Oto Faith!“ Przedstawiam prognozę pogody i widzowie naprawdę mi wierzą. Od moich słów uzależniają to, czy wziąć płaszcz i parasol, wiedzą, jaka będzie wilgotność powietrza. Ostrzegam ich przed silnym wiatrem i mówię, czy żeglowanie lub jazda samochodem będą bezpieczne.

Uważam, że prognoza pogody jest naprawdę bardzo ważna, choć obawiam się, że moi koledzy są innego zdania. Uważają prognozę za nieważne trzy minuty przed dziennikiem. Dla nich to jest szlaban przed przejazdem kolejowym i zawsze usiłują obciąć mój czas na wizji. Należą mi się dwie i pół minuty, ale często mam zaledwie niecałą minutę. Nie mogę nic na to poradzić, bo wszystko kontroluje ekipa techniczna. Zdarza się, na przykład, że jestem w środku fascynującej historii o ciepłym froncie, kiedy nagle słyszę, jak dyrektor krzyczy mi do ucha, żebym skończyła. Czasem są niegrzeczni, wołając: „Zamknij się, Faith! Zamknij się!” To mnie okropnie rozprasza. Powinni spokojnie odliczyć od dziesięciu do zera i wtedy wiem, że jak słyszę „zero”, to kończę z miłym uśmiechem. Z kolei, kiedy brakuje im jakiejś informacji, ktoś krzyczy mi do ucha: „Mów, Faith! Mów! Mów!” Wcale mnie to nie niepokoi, ponieważ umiem dać sobie radę. Kiedyś przedłużyłam program z pół minuty do czterech! Potrafię zachować spokój i zakończyć dokładnie wtedy, kiedy trzeba. Ponieważ nadaję przy otwartym mikrofonie, często słyszę, jak w czasie mojego występu plotkują na galerii. Pogoda to ich czas wolny, kiedy nie muszą nic robić. Zmieniam grafikę za pomocą pilota, dostosowując odpowiednio komentarz, i nie potrzebuję napisów na teleprompterze. Słyszę, jak omawiają wcześniejszy program, każą wizażystce poprawić fryzurę Terry'ego, instruuja kamerzystę, żeby zrobił komuś zbliżenie, albo przechwalają się dziewczyną poderwaną w pubie. Zapominają, że lecę na żywo i że słyszę każde ich słowo. Tak więc przekazywanie prognozy pogody jest zajęciem dość stresującym. Aleja to lubię. Naprawdę, zwłaszcza o tej porze roku. Uwielbiam zimę nie tylko dlatego, że jestem optymistką, lecz także dlatego, że zima jest cudowna pogoda. W lecie mamy tylko trzy rodzaje pogody: pada deszcz, jest pochmurno albo świeci słońce. W zimie mamy wszystko. Lód, mgłę, mróz, deszcz, mżawkę, grad i inieg. Mamy także ładną, słoneczną pogodę, jeśli przychodzi wyż, ale może się też zdarzyć huraganowy wiatr. W meteorologii zima jest cudownym okresem. Wprawdzie mam okropne godziny pracy, ale kiedy już jestem na miejscu, dobrze się bawię. I dziś rano, mimo zmartwień i bólu głowy, gdy wjeżdżaliśmy przez bramę, poczułam dreszcze podniecenia.

Droga do budynku AM-UK! w Ealing, przerobionego ze starego magazynu, zabiera dwadzieścia minut. Nie jest to piękny budynek, ale ja go lubię. Główne biuro znajduje się na trzecim

piętrze, w otwartej hali, co ma oczywiście swoje wady, do których należy oglądanie codziennie rano bladych twarzy kolegów. Siedzą w zielonym świetle monitorów, niczym statyści w *Nocy żywych trupów*, ale to są skutki przebywania przez pół roku w niemal całkowitych ciemnościach. Przeważnie jestem na miejscu o czwartej, wypijam szybkie espresso z automatu i zabieram się do pracy. Najpierw czytam faks z Międzynarodowego Biura Meteorologicznego, który jest podstawą moich prognoz. Potem włączam komputer - z tęczowym wygaszaczem ekranu - i studiuję wykresy satelitarne. Nigdy wprawdzie nie uczyłam się meteorologii, ale znam swoją pracę, bo na samym początku telewizja wysłała mnie na sześciotygodniowy kurs. Nie odczytuję cudzych tekstów, lecz piszę własne. Chciałabym podkreślić, że nie jestem typową prezenterką prognozy pogody. Nicole Kidman w *Za wszelką ceną* to nie ja. Śliczna blondynka? Nie. Prawdę mówiąc, nie rzucam się w oczy i dlatego dostałam tę pracę.

- To, co nam się w pani podoba - powiedział nasz mięczakowaty wydawca Darryl, kiedy przeprowadzał ze mną rozmowę - to to, że jest pani miła i zwykła. Nie będzie pani zagrożeniem dla gospodyń domowych. Siedząc przed telewizorami, będą mogły myśleć: Ja byłabym lepsza od niej.

Szczerze mówiąc, nie byłam pewna, czy podobała mi się jego uwaga, postanowiłam jednak nie reagować. Teraz rozumiem, o co mu chodziło - szukał kogoś, kto wyglądałby sympatycznie, a zarazem profesjonalnie. I taka właśnie jestem. Nie jestem osobą, która chciałaby błyszczeć w światłach reflektorów. Po prostu zachowuję się właściwie i przyjaźnie. Jestem szczęśliwa, stojąc z pilotem przy mapach pogody i mówiąc o mrozie i słonecznych chwilach. Nie traktuję mojej pracy jako odskoczni do czegoś lepszego. To jest moja praca i tylko na niej mi zależy, w przeciwieństwie do naszej reporterki ze świata rozrywki, Tatiany.

- Cześć, Tatiano - powiedziałam miło, przechodząc obok jej biurka.

Zazwyczaj zachowuje się w miarę sympatycznie, bo wie, że jej nie zagrażam. Dziś jednak była zajęta i nie usłyszała mnie. Zajmowała się mordowaniem zdjęcia naszej nowej prezenterki, Sophie.

- Dzień dobry, Taty - spróbowałam jeszcze raz i Tatiana uśmiechnęła się do mnie półgębkiem. Odłożyła nóż, wrzuciła kawałki papieru do kosza i poszła porozmawiać z Terrym.

Staram się trzymać z daleka od biurowej polityki, ale tych dwoje wyraźnie coś knuje. Ostatnio połączył ich wspólny cel: obrzydzenie życia Sophie. Tatiana chce dostać jej stanowisko. Czekają na to parę lat. I kiedy nasza stara prezenterka Gaby odeszła do *Blankety Blank*, Taty była pewna, że dostanie tę pracę. Terry'emu też na tym bardzo zależało, bo wiedział, że Taty go nie zdemaskuje. On jest ze starej szkoły i nie uważa się za współprowadzącego program, lecz za głównego prezentera. Praca głównego prezentera, mężczyzny w średnim wieku, polega na przedstawianiu poważnych spraw, podczas gdy prezenterka pomocnicza - młoda blondynka - siedzi i patrzy na niego z podziwem, od czasu do czasu wygłaszając informację o robótce na drutach. Tak było z Terryem i Gaby, ale z Sophie jest inaczej.

- Dzień dobry! - zawołała wesoło Sophie, gdy studiowałam moje izobary. - Widzieliście, jak Jeremy Paxman przyłożył wczoraj rosyjskiemu ministrowi obrony? - zapytała, zdejmując płaszcz. - Mam dokładnie takie samo zdanie na temat Czeczenii. Paxman powiedział, że Organizacja Bezpieczeństwa i Współpracy w Europie powinna brać udział w negocjacjach. Też tak uważam.

- Naprawdę? - spytał Terry.

- A jeśli chodzi o podstępny sposób, w jaki Rosjanie przekazują swoje doświadczenia nuklearne Irakowi, to jest to, moim zdaniem, międzynarodowy skandal, nie sądzisz?

- Owszem.

Terry ma trzydzieści dziewięć lat (jak twierdzi) i trzecią lokatę ze studiów na politechnice w Wolverhampton. Nie może się przyzwyczaić, że prowadzi program razem z dwudziestoczteroletnią absolwentką z Oksfordu, która skończyła nauki polityczne, Filozofię i ekonomię z pierwszą lokatą. Zatrudnienie Sophie było szokiem.

Terry stale powtarza, że kiedy zaczęła u nas pracę, nie miała pojęcia o telewizji. To prawda. Przyszła z radia, była wydawcą w London FM, a Darryla zaproszono tam na dyskusję ze słuchaczami na temat przyszłości telewizji cyfrowej. Był tak zachwycony Sophie, że zaproponował jej pracę w telewizji śniadaniowej.

Sophie jest za mądra do takiego programu jak nasz. Nie chciałabym być niełojalna, ale nasz program to przeważnie bezmyślna papka i sieczka, a nie porządny program śniadaniowy. Pomieszanie tematów jest niesamowite. Weźmy dzisiejszy porządek dnia: wypadki gwiazd - nieudane operacje plastyczne; bohaterские cho-

miki i ludzie, których uratowały; psychiczna babcia przepowiada przyszłość; profil Brada Pitta przygotowany przez Tatianę; cysty jajników; dziesięć nowych sposobów układania chryzantem i gdzieś w środku tego wszystkiego wywiad z Michaeliem Portillo.

- Ja robię wywiad z Portillo - oznajmił Terry, pochylając się na obrotowym krześle.

- To jest zapisane dla mnie - zaprotestowała Sophie, zakładając za ucho kosmyk jasnych włosów.

- Właśnie widzę, ale to musi być pomyłka - powiedział obojętnie Terry. - Sama się przekonasz, że mnie się należy. Mam więcej doświadczenia - dodał.

- Chciałabym przypomnieć - stwierdziła ostrożnie Sophie - że już dwukrotnie przeprowadzałam wywiady z Michaeliem Portillo.

- Sophie, prowadzimy ten program razem. Obawiam się, że nie ma tu miejsca na wybujałe ambicje i to ja zrobię ten wywiad, dobrze?

I na tym się skończyło. Terry ma dużo do powiedzenia i dobrze o tym wie, bo to jego wybrały gospodynie domowe. Poza tym ma żelazny kontrakt na dwa lata i Darryl nie może za bardzo forsować pozycji Sophie. Czasem atmosfera staje się naprawdę napięta, ale Sophie nieźle daje sobie radę. Godziny naszego programu są tak straszne, że większość problemów rozwiązuje się za pomocą maczet. Sprawy, które nie miałyby znaczenia o trzeciej po południu, o piątej rano powodują morderczy atak wściekłości. Ale do tej pory Sophie traktuje prowokacje Terry'ego i Tatiany z tak zimną krwią, że oziębiliby szampana. Po prostu udaje, iż nie ma pojęcia, że mają coś przeciwko niej. I jest dla nich, mimo ich wstrętnych sztuczek, bardzo grzeczna. Ostatnio na przykład Tatiana zbliża się do niej na trzy sekundy przed wejściem na wizję i mówi: „Nie jestem pewna, czy to odpowiedni kolor”, albo: „O nie! Tusz ci się rozmazał”, lub: „Czy wiesz, że sterczą ci włosy?”.

Sophie tylko się uśmiecha i mówi: „Dziękuję, że mi powiedziałaś, Tatiano. Świetnie wyglądasz”. To robi wrażenie, ale jak już mówiłam, Sophie jest naprawdę genialna i wydaje mi się, że prowadzi własną grę. W pracy jest niezwykle profesjonalna i dyskretna. Nikt z nas nie wie nic o jej życiu prywatnym. Nigdy nie prowadzi prywatnych rozmów telefonicznych, choć myślę, że kogoś ma. W zeszłym miesiącu, po przyjęciu świątecznym, wróciłam do biura po torebkę i zastałam Sophie, która rozmawiała z kimś o imieniu Alex bardzo czułym głosem. Zakaszałam, żeby

wiedziała, że nie jest sama, a ona nagle podniosła głowę i znieruchomiła. Wzięłam torebkę i od razu wyszłam, ponieważ nie chciałam, żeby myślała, że coś słyszałam. Chociaż słyszałam. To też jest wada pracy w otwartej przestrzeni. Wszyscy o wszystkim wszystko wiedzą. Ja jednak podchodzę do tego w sposób staroświecki: nie słyszę niczego złego, nie widzę niczego złego i przede wszystkim nie mówię niczego złego.

Dziś rano siedziałam nad mapami atmosferycznymi, przygotowując prognozy, które przedstawiam co pół godziny w trakcie programu. Pierwsza jest o wpół do siódmej, więc dziesięć po szóstej zeszłam do charakteryzatorni na drugim piętrze. To tam dzieją się wszystkie ekscytujące rzeczy; jest studio, galeria techniczna, garderoba, przebieralnia, Zielony Pokój i Specjalne Biuro, gdzie zgłasza się uwagi i skargi. Kiedy szłam wykładanym dywanem korytarzem, wszędzie trzaskały drzwi, a dziennikarze przebiegali obok mnie z nerwowym wyrazem twarzy, kurczowo ściskając teczki z dokumentami. Zajrzałam do Zielonego Pokoju, gdzie w skórzanych fotelach przysypiali uczestnicy porannego programu, a Jean, nasza hostessa, usiłowała ich ożywić kawą.

- Może kawałek szarlotki? - usłyszałam jej głos. - Albo rogalik?

Ktoś wyleciał z wrzaskiem z galerii.

- Gdzie jest Phil? Gdzie, do diabła, jest Phil? Ty jesteś Phil? Dobra, wchodzisz na wizję.

Ogólnie rzecz biorąc, panował tu okropny hałas.

- Czy ktoś mógłby wezwać Tatianę?

- A może woli pani earl greya?

- Psychiczna babcia zgubiła kryształową kulę.

- Mam teżassam.

- Żakiet Sophie jest trochę pognieciony.

- Właśnie zjawił się kot z deskorolką.

Wejście do charakteryzatorni jest wejściem do oazy spokoju, gdzie Iqbal i Marian delikatnie przygotowują nasze niewyspane twarze na spotkanie z kamerą. Siadam na łagodnie obniżającym się fotelu, a Iqbal - nazywamy go Iqyy - zarzuca mi na ramiona nylonową pelerynkę w kwiatki i odgarnia z czoła moje krótkie, brązowe włosy. Na blacie przede mną stoją rzędy butelek z podkładem, pojemniki z pudrem, zestawy cieni, szminki i grzebienie. Pojemniki z lakierem do włosów błyszczą w świetle teatralnych żarówek umieszczonych naokoło lustra.

- Masz pod ręką jakiś cudowny środek? - spytałam sucho, przyglądając się swojej zmęczonej twarzy.

- Nie najlepiej wyglądasz - powiedział z troską. - Zabalowałaś wczoraj wieczorem?

- Tak. Obchodziłam rocznicę ślubu. Poszliśmy całą rodziną na kolację.

- To miło - stwierdził łagodnie.

- Owszem. W pewnym sensie było lub byłoby, gdyby...

Iqyy i Marian prowokują człowieka do rozmowy. Ma się ochotę przed nimi otworzyć. Są spokojni, sympatyczni i uprzejmi. Zupełnie jakby się było u terapeuty. Człowiek zaczyna opowiadać o swoich kłopotach. Dokonują cudów na zniszczonym obliczu, ale wydaje się, że reperują także dusze. Już miałam im powiedzieć, że w gruncie rzeczy wcale się tak dobrze nie bawiłam poprzedniego wieczoru, ponieważ moja najlepsza przyjaciółka, Lily, powiedziała coś dziwnego o moim mężu i przez cały czas usiłuję się domyślić, o co jej chodziło. Przez to, a także dlatego, że za dużo wypiałam, zupełnie się nie wyspałam.

- Jak długo jesteś mężatką? - spytała Marian.

- Piętnaście lat.

- Och. Wcześniej wyszłaś za męża.

- Tak, to prawda - odparłam z westchnieniem.

- Piętnaście lat - powtórzyła z niedowierzaniem. - No, tak, sama już jestem mężatką od ośmiu lat.

- A Will i ja jesteśmy razem od pięciu - powiedział Iqyy, tuszując moje jasne rzęsy. - Choć mamy swoje wzloty i upadki - dodał ze smutkiem. - Ale piętnaście lat to wspaniale. Nic dziwnego, że chciałaś to uczcić.

- Tak, tylko w gruncie rzeczy to było dziwne... - zaczęłam. - Bo... Nie wiem, co wy o tym sądzicie...

Zamilkłam, bo wszedł Terry. Chciał, żeby go bardziej upudrowali. Siedział i nadawał na Sophie. Ignorowałam go, jak zwykle, udając, że czytam swój skrypt. Dziesięć minut później, wymuska na i wymalowana, wróciłam do studia, które przypomina dział z meblami prowincjonalnego domu towarowego. Są w nim dwie duże kanapy z gąbczastymi poduchami, pokryte materiałem w różową kratkę, stół z blatem z przydymionego szkła, nieciekawe reprodukcje na ścianach, regał w stylu Habitatu z eleganckimi ozdobami i bukiety spłowiejących jedwabnych kwiatów. Z tyłu znajduje się fresk z widokiem Londynu, z jednej strony jest mała

scena, a obok niej tablica z moimi mapami pogody. Przeszłam do tablicy między czterema kamerami, omijając zwoje kabli i starając się nie uderzyć głową o niebezpiecznie nisko zawieszony sprzęt. Było bardzo gorąco. W studiu zawsze jest gorąco. To przez te wszystkie światła. Właśnie zaczęła się pierwsza przerwa na reklamy i Terry skorzystał z okazji, żeby zrobić jedną ze swoich awantur.

- Mówiłem ci, Sophie - jęknął - że zawsze siedzę z lewej strony kanapy.

- A dlaczego, jeśli mogę spytać? - zapytała grzecznie Sophie.

- Dlaczego? - powtórzył. - Dlaczego? Dlatego, że siedzę z lewej strony kanapy od dziesięciu lat i nie widzę powodu, żeby to zmieniać.

Wiedziałam, dlaczego się przy tym upierał. Był przekonany, że z lewej strony jest lepsze światło i dzięki temu młodziej wygląda.

- Wydaje mi się, że to nie ma większego znaczenia, Terry - powiedziała znudzonym tonem Sophie. - Ale jeśli to jest dla ciebie takie ważne, to proszę bardzo.

Inżynier dźwięku przypiął mi mikrofon do klapy żakietu, włożyłam do ucha słuchawkę i zajęłam miejsce przy tablicy. Słyszałam, jak dyrektor odlicza koniec przerwy. Zabrzmiał sygnał muzyczny i Terry pochylił się do kamery.

- Witam ponownie - powiedział. - Oglądają państwo telewizję śniadaniową AM-UK! Czy zdarzyło się państwu, żeby przesłanie zza grobu zmieniło państwa życie?

Wywiad z psychiczną babcią przebiegł całkiem dobrze, potem były wiadomości sportowe, informacja o księżniczce Annie i fundacji Ratujmy Dzieci, a potem nadeszła kolej Sophie. Przeprowadzała wywiad na temat cyst jajników, a lekarz mówił bardzo interesująco. Dotarła mniej więcej do połowy i kiedy na moment przerwała, ku mojemu zdumieniu, wtrącił się Terry.

- A jak tam dziś z pogodą? - spytał, uśmiechając się do kamery numer jeden.

Zauważyłam zdziwiony wzrok kamerzysty.

- Dajcie Faith! - zawołał Terry.

Oczywiście zrobił to celowo, żeby skrócić Sophie czas na wizji. Nie tylko podważa jej umiejętności, ale przeszkadza w prowadzeniu programu. Kiedy uważa, że za długo rozmawia, zwyczaj-

nie jej przerywa. Zwłaszcza jeśli wywiad dotyczy czegoś poważniejszego, na przykład związanego z medycyną lub polityką. A kiedy później na zebraniu Darryl usiłuje zwrócić mu uwagę, Terry spogląda na Sophie zranionym wzrokiem i mówi: „Przepraszam cię, Sophie. Myślałem, że skończyłaś”. Nie cierpię, kiedy robi coś takiego. Nie tylko dlatego, że to obrzydliwe. Nagle bez ostrzeżenia znajduję się na wizji. W kamerze numer dwa zapala się czerwone światełko i jestem na oczach widzów.

- Dzień dobry - powiedziałam, z szerokim uśmiechem, aby ukryć złość na Terry'ego oraz dlatego, że kiedy jest zła pogoda, zawsze więcej się uśmiecham. - Obawiam się, że prognoza nie jest najlepsza - zaczęłam, odwracając się do mapy. - Śnieg, który padał wczoraj w całym kraju, dziś zmienił się w deszcz ze śniegiem i w breję, a ponieważ temperatura jeszcze spadnie, oznacza to, że na drogach może być bardzo ślisko. Bardzo proszę o uwagę i rozsądek - dodałam, naciskając pilota i słysząc w słuchawce nieustanne komentarze.

- ...Terry jest wstrętny!
- Możliwość silniejszych wiatrów na południu i południowym wschodzie...
- ...Skrócił jej wywiad o dwie minuty...
- Znowu wieją te nieprzyjemne wiatry ze wschodu.
- ...a to było naprawdę ciekawe.
- Może trochę słońca na północy...
- ...Też kiedyś miałam taką cystę...
- Na pozostałym obszarze pochmurno i zimno.
- ...bardzo bolesne.
- Duże szanse na dalsze opady śniegu.
- ...wielkości cytryny...
- Front zimnego powietrza znad Atlantyku.
- ...z ropą w środku.
- Czekamy na okres niskiego nadciśnienia.
- Niskiego nadciśnienia?
- Chciałam powiedzieć: niskiego ciśnienia. Podsumowując...
- Faith kiepsko wygląda.
- Wszystkich nas czeka zimny nieprzyjemny dzień.
- Siedź prosto, Terry.
- Choć może odrobina słońca na północy.
- ...Ma okropną fryzurę. Gotowa, Faith? Dziesięć, dziewięć, osiem...

- Na południu i na południowym wschodzie możemy się spodziewać...

- Siedem, sześć, pięć...

- Najwyżej czterech stopni powyżej zera.

- Trzy, dwa...

- Należy się ciepło ubrać...

- Jeden i...

- Do zobaczenia za pół godziny.

- Zero. Przechodzimy do kota na deskorolce.

Jak już zrobię pierwszą prognozę, czas szybko leci. Między „występami” sprawdzam wykresy, dzwonię do biura meteo i odpowiednio modyfikuję prognozę. Ostatni raz występuję o wpół do dziesiątej i wtedy kończy się program. Szybkie zebranie, zmywam makijaż, a potem siadam za biurkiem i czytam pocztę. Dostaję masę listów. Większość od dzieci, które proszą o pomoc w przygotowaniu lekcji z geografii. Na przykład pytają mnie, z czego zrobione są chmury, dlaczego mróz jest biały, jaka jest różnica między śniegiem a deszczem ze śniegiem, skąd się bierze tęcza. Dostaję też podziękowania za podnoszenie ludzi na duchu. *Najbardziej podoba mi się u pani to* - napisał pan Barnes z Tunbridge Falls - że *nawet złe wiadomości mówi nam pani z uśmiechem*. Przychodzą też listy - tych nie cierpię - na temat mojego wyglądu. Najmniejsza zmiana, choćby przycięcie włosów, wywołuje protesty. Są także „prośby” od ludzi, którym wydaje się, że jestem Bogiem. *Droga Faith* - napisała pani McManus z Edynburga. - *Proszę, proszę, proszę, czy nie moglibyśmy mieć lepszej pogody w Szkocji. Nie widzieliśmy słońca od sylwestra!* Odpisuję każdemu, chyba że to jakiś kompletny wariat. Później porządkuję biurko i idę do domu. Ludzie często pytają mnie, jak spędzam resztę dnia. Nie robię nic szczególnego. Karmię Grahama i wychodzę z nim na spacer. Czasem umawiam się z jakąś koleżanką albo idę na zakupy. Sprzątam, czego nienawidzę, ale nie stać nas na sprzątaczkę, wypełniam rozmaite formularze i czytam. W idealnym świecie miałabym jeszcze jakąś pracę po południu, jednak jestem zbyt zmęczona. Poza tym to mogłoby być krępujące, bo ludzie znają moją twarz z telewizji. Ale zaraz po powrocie do domu zawsze kładę się spać na parę godzin i dziś też to zrobiłam. A przynajmniej usiłowałam zasnąć, ale znów zaczęłam myśleć o tym, co powiedziała Lily poprzedniego wieczoru. Jak już wspomniałam, mówi czasem rzeczy, które mi się nie podobają. Zwłaszcza niemiłe uwagi pod adresem Petera. Zazwy-

czaj o tym zapominam, ale tym razem nie mogłam. Dlaczego rzuciła taką uwagę i o co jej właściwie chodziło? Lily jest spiytna i mądra, na ogół nie mówi byle czego. Spróbowałam liczyć barany. Nie pomogło. Usiłowałam przypomnieć sobie wszystkie stacje w prognozie dla statków, ale i to nic nie dało. Starłam się wyliczyć wszystkich autorów Petera, lecz sen nie nadchodził. Włączyłam radio, zaczęłam czytać *Panią Bovary*. Nic. Wciąż wracałam myślą do słów Lily. Nie dawały mi spokoju, złościły mnie, niepokoiły, uwierały. Kręciły się w mojej głowie, jak komar w hotelowym pokoju. Usiłowałam je przepędzić, ale wróciły, więc nakryłam głowę kocem. Myślałam o dzieciach, o Grahamie, o programie, o rodzicach na ich ostatniej wycieczce i o facecie, który przyszedł naprawić dach. Pomyślałam o mojej karcie stałego klienta w Tesco i zastanawiałam się, ile punktów już zdobyłam. Słowa Lily wciąż brzęczały mi w uszach. O co jej chodziło? Co chciała mi powiedzieć?

- Do diabła! - powiedziałam do Grahama, odrzucając koc. - Zaraz się tego dowiem.

- Kochanie! - zawołała Lily, prawie dwie godziny później, wychodząc po mnie do windy na czterdziestym dziewiątym piętrze Canary Wharf. - Co za boska niespodzianka! Co ty tu robisz?

- Przechodziłam - skłamałam.

- Naprawdę? To wspaniale. Mogę się z tobą podzielić lunchem. Jak się dziś miewasz?

- Nie najlepiej - przyznałam. - Mam kaca.

- Ojej - mruknęła. - Zemsta winogron. Ale to był cudowny wieczór - dodała, utykając psa pod pachą. - Jennifer była zachwycona, prawda, skarbie? - Jennifer rzuciła mi obojętne spojrzenie. - Podziwiam cię, że możesz wstać po trzech godzinach snu i spokojnie zapowiadać pogodę - powiedziała, kiedy przechodziłyśmy przez salę redakcyjną. - Oglądałam cię w siłowni o wpół do siódmej. Ta Sophie jest chyba dość bystra, może powinniśmy napisać coś o niej w „Moi!”. Terry Jak-mu-tam natomiast jest strasznym nudziarzem, prawda? Klasyczny przypadek zera. A gdzie są twoje rozkoszne dzieci? - spytała, gdy mijałyśmy wieszaki z najmodniejszymi ubraniami.

- Wyjechały - wyjaśniłam. Po przejściu Lily perfumowany powiew poderwał do góry różowe boa. - Peter zawiózł je rano na dworzec. Szkoła się zaczęła.

- Są naprawdę urocze - wykrzyknęła Lily, gładząc łepkę Jennifer. - Katie i jej psychoanaliza! Choć mam wrażenie, że ma w sobie coś z Junga. Musimy wziąć ją do sesji *Przed i po* i wyperswadować jej te intelektualne ubrania. Posłuchaj, Jasmine... - Lily zatrzymała się przy biurku dwudziestolatki o bladej twarzy. - Mówiłam ci, żebyś nie piła kawy w południe, potem nie możesz po południu zasnąć.

Przeszliśmy obok działu fotograficznego, gdzie oceniano prace jakiegoś fotografa, a dziewczyny z długimi nogami pochylały się nad oświetlonym ekranem. W końcu weszliśmy do przeszklonego gabinetu Lily, ze storczykami w glinianych wazonach, zdjęciami modelek z wydętymi ustami, oprawionymi okładkami „Moi!” i błyszczącymi pucharami. Machnęła ręką w stronę regału, na którym leżały wszystkie konkurencyjne pisma.

- Gorszy świat - zażartowała. Z małej lodówki w kącie wyjęła butelkę z zielonym płynem.

- Chcesz soku z perzu?

- Nie, dziękuję.

Nalała sobie pełną szklanke, usiadła za biurkiem i podniosła talerz.

- Wegetariańskie suszi? - zaproponowała.

- Nie jestem głodna, dzięki.

- Te wodorosty są naprawdę dobre...

- Nie, dziękuję.

- A grzyby shiitake wprost doskonałe.

- Posłuchaj, Lily, chciałam cię o coś zapytać. No...

- Oczywiście, pytaj o co chcesz, kochanie.

Nagle ktoś zapukał do drzwi i pojawiła się w nich Polly, sekretarka Lily.

- Lutowe wydanie „Vogue”. Właśnie przyszło.

Lily skrzywiła się. Nie cierpi „Vogue”. Jest to jedna z jej obsesji. Nie znosi tego pisma, bo kiedy w 1994 roku pracowała tam jako redaktorka, nie dostała awansu na zastępcę redaktora naczelnego, co potraktowała jako błąd w profesjonalnej ocenie, którego nigdy im nie zapomni ani nie wybaczy. Zaczęła przerzucać miesięcznik w niedbały protekcyjny sposób.

- Boże, jakie to nudne... - mruknęła. - Ta stara historia... naprawdę *vieux chapeau*. O Boże, co za banał! W „Moi!” unikamy takich banałów jak ognia. O nie, tylko nie Catherine Zeta-Jones! Wielki Boże! - zawołała nagle przerażona. - Zatrudnili

Sally Desert. Tę bogatą karlicę, której nie pozwoliłabym napisać mi listy zakupów. Faith - oznajmiła, rzucając pismo na podłogę - będę miała większy nakład niż „Vogue”.

- Na pewno, Lily, ale...

- Dużo nam nie brakuje - powiedziała, opierając się wygodniej, splatając długie palce i wpatrując się w sufit. - Wiele firm, które się tam reklamowały, przechodzi do nas i trudno im się dziwić, prawda? - Było to niewątpliwie pytanie retoryczne. - My zupełnie inaczej traktujemy naszych klientów-kontynuowała gładko, karmiąc Jennifer kawałkami suszi. - Staramy się o nich. Prawimy im komplementy. Dajemy im dobre ceny...

- Lily.

- Opiekujemy się nimi. Dbamy o nich. Krótko mówiąc, nie gryziemy marki, która nas kanni.

- Lily.

- Poza tym wszyscy już wiedzą, że „Moi!” jest milenijnym magazynem mody. - Podeszła do okna i podniosła weneckie żaluzje. - Prawda, że to cudowne? - spytała, wpatrując się w katedrę. - Prawda, że cudowne? - powtórzyła. - Chodź tu, Faith, i zobacz sama. Spójrz na to... wszystko. - Wzięła mnie pod rękę. - Czy nie uważasz, że to jest po prostu fantastyczne?

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą, wdychając zapach jej Hypnotic Poison. - Dla mnie to tylko styl bez żadnej treści.

- Byłam tam - mruknęła rozmarzona, ignorując moją uwagę.

- Byłam tam, Faith, na tym przyjęciu.

- Wiem.

- Byłam razem z królową i z Tonym Blairem. Nie sądzisz, że to niesłychane, Faith? Że twoja koleżanka szkolna została tam zaproszona? - Spojrzałam na profil Lily i nagle przeniosłam się w czasie o dwadzieścia pięć lat. Przypomniałam sobie niezgrabną dziewczynkę, stojącą na scenie w niebieskiej sukience w kratkę, przerażoną i oszołomioną. A teraz była tutaj, na szczycie najwyższego budynku w Londynie, a świat rozciągał się u jej stóp.

- Nie uważasz, że to niesłychane? - powtórzyła.

- Co? No tak, a właściwie nie; zawsze wiedziałam, że daleko zajdziesz.

- Tak - odparła rozmarzona, gdy wpatrywałyśmy się w statki na rzece. - Udało mi się, mimo że ludzie usiłowali mi przeszkodzić.

- Jacy ludzie? - spytałam.

- Och, nikt ważny - powiedziała. - Same nieważne osoby, które myślały, że mi zaszkodzą. Wiem, kim oni są - dodała zło-wieszczo. - Nikt mnie nie powstrzyma - mruknęła. - Nikt.

- Posłuchaj - powiedziałam z nadzieją, że w końcu przesta-nie mówić i mnie wysłucha.

- Pokonałam wrogów - stwierdziła spokojnie - za pomocą moich wizji i ciężkiej pracy. „Moi!” będzie najlepszym koloro-wym pismem na rynku, ponieważ mamy najlepsze pomysły. A teraz - dodała entuzjastycznie, wracając do biurka - chcę, abyś mi doradziła w czymś, co planuję. Tylko pamiętaj, że to tajemni-ca. Co myślisz o tym? - Podała mi próbną stronę. Na górze wid-niał tytuł: Wszystko, co twój pies chciałby wiedzieć o urodzie.

Jestem psem rasy yorkshire terier - przeczytałam. - Mam bardzo delikatną, powiewną sierść. Trudno mi utrzymać ją w porządku. Co mam zrobić?

Jestem białym pudlem miniaturką - czytałam dalej. - Ale w tej chwili moja sierść jest brudna i poplamiona. To mnie bardzo denerwuje. Jakich produktów powinienem użyć, aby przywrócić futerku dawną świetność?

- Czytelnicy będą zachwyceni - powiedziała Lily podekscy-towana. - Chciałabym zrobić specjalny dodatek dla psów, może w wydaniu lipcowym, tak, chyba tak - mówiła dalej. - Mógłby się nazywać „Chienne”. Winalot byłby sponsorem.

- Lily! - Wstałam, żeby zwrócić na siebie jej uwagę. - Lily - powtórzyłam. - Nie przysłałam tu przypadkiem.

- Naprawdę?

- Nie, obawiam się, że cię okłamałam - powiedziałam, siadając.

- Tak? - Spojrzała na mnie okrągłymi oczami. - No, wiesz, Faith, to do ciebie niepodobne.

- Przysłałam tu celowo - wyjaśniłam. Serce waliło mi jak młot.

- Ponieważ muszę cię o coś zapytać.

- Faith, kochanie - odparła poważnie Lily. - Jennifer i ja zamieniamy się w słuch.

- Wiem, że to głupie - zaczęłam nerwowo - ale wczoraj wie-czorem powiedziałaś coś, co mnie zaniepokoiło.

- Och, Faith - powiedziała i upiła łyk soku z perzu. - Zawsze mówię rzeczy, które cię niepokoją. Obie dobrze o tym wiemy.

- Tak, ale to nie była twoja zwykła, bezmyślna i przypadko-wa uwaga. I chodzi mi nie tylko o to, co powiedziałaś, ale jak to powiedziałaś.

- Co takiego?
- No, powiedziałaś... Powiedziałaś... Powiedziałaś, że twoim zdaniem jestem „cudowna”, że „ufam” Peterowi. - Wygięte brwi Lily uniosły się jeszcze wyżej.
- Tak uważam, kochanie.
- Dlaczego?
- Ponieważ, moim zdaniem, każda kobieta, która ufa jakiegokolwiek mężczyźnie jest absolutnym cudem, biorąc pod uwagę, że faceci to potwory. Jak myślisz, dlaczego wciąż ich rzucam?
- Ach, rozumiem. Czyli to było coś w rodzaju uwagi ogólnej?
- Tak - zawołała wesoło. - Oczywiście! A ty się martwiłaś, głuptasie! Myślałam, że nigdy nie bierzesz moich słów poważnie.
- Nie biorę! - wykrzyknęłam. - To znaczy wiem, że przeważnie żartujesz. Lubisz mnie podpuszczać. Nie mam nic przeciwko temu, nigdy nie miałam, i wiem, że w moim przypadku to bardzo łatwe.
- Łatwowierna Faith - powiedziała Lily, potrząsając pobłażliwie głową.
- Tak, wiem. A ty jesteś Lily White.
- Owszem - stwierdziła z uśmiechem Lily. - Przepraszam, że cię zdenerwowałam - dodała, żując suszy z wodorostami. - To takie moje specyficzne poczucie humoru, kochanie. Sama wiesz.
- Wiem - przyznałam. - Jednak wczoraj wieczorem nie miałam pojęcia, czy to był tylko żart.
- Oczywiście. Nie myśl o tym więcej.
- To dobrze - westchnęłam z ulgą i pozwoliłam sobie na uśmiech.
- Ja żartowałam, Faith.
- Fajnie.
- Lubię czasem komuś przygadać.
- O tak.
- Chciałam cię troszkę podpuścić... - Lily przerzucała numer „Moi!”
- Wiem...
- To nie było nic poważnego.
- Mhm. Teraz rozumiem - powiedziała, wstając. - Cieszę się, że sobie to wyjaśniłyśmy.
- Chociaż... - zaczęła cicho Lily, nie podnosząc głowy.
- Chociaż co?

- No... - Westchnęła i spojrzała na mnie. - Teraz, skoro już o tym rozmawiamy, muszę przyznać, że Peter sprawiał na mnie wrażenie spiętego. Zachowywał się dość nieprzyjemnie. Z drugiej strony - dodała rozsądnie - Peter często bywa dla mnie nieuprzejmy. Wiem, że w gruncie rzeczy mnie nie lubi - stwierdziła filozoficznie. - Jestem jego *bete noire* - dodała i zaśmiała się gardłowo.

- To kwestia osobowości - powiedziałam dyplomatycznie. - Tak się czasem zdarza. Ale bardzo cię podziwia pod względem zawodowym.

- Naprawdę? - spytała sceptycznie.

- W każdym razie - dodałam szybko - między nami mówią Peter ma ostatnio sporo kłopotów w pracy i jest w tej chwili dość zestresowany.

- Zestresowany? Ależ kochanie, był wrażliwy jak primabalerina.

- No...

- Zauważyłam też, że świetnie wygląda. Widziałaś, że miał krawat od Hermesa?

- Tak? Nie zauważyłam. Nie znam się na tym.

- Tak, od Hermesa. Kosztują siedemdziesiąt funtów. Wiem, że nie ty mu go kupiłaś. I dlatego zastanawiałam się, skąd go ma.

Wpatrywałam się w nią bez słowa.

- Sam sobie kupił - powiedziałam w końcu.

- Naprawdę?

- Tak. Jako inwestycję. Powiedział, że jego łowca głów kazał mu się lepiej ubierać. Wiesz, Peter szuka nowej pracy. Nie mówiłam ci, ale wydaje nam się, że chcą go wywalić.

- Naprawdę? To straszne.

- Owszem, ponieważ do tej pory był bardzo szczęśliwy w Fenton & Friend.

- Ja myślę.

- Słucham?

- Chciałam powiedzieć, że każdy facet byłby zadowolony z pracy w Fenton & Friend.

- Co to znaczy?

- To, że tam pracuje mnóstwo fantastycznych dziewczyn - powiedziała, poprawiając klamerkę Jennifer w kształcie motyla.

- Ach tak?

- Wydaje mi się, że ktoś mówił, że widział Petera w restauracji z atrakcyjną blondynką. Ale może mi się tylko wydaje - dodała.

- Tak. Wydaje ci się. Po prostu praca Petera polega także na tym, że musi czasem zapraszać na obiad autorów i agentów.

- Oczywiście, Faith, wiem. Ale...

- Ale co?

- Peter jest wydawcą i może...

- Co?

- Nieprzyjemnie mi to mówić, ale może wypłaca komuś zaliczkę?

Spojrzałam w brązowe oczy Lily. Są wielkie i hipnotyzujące, lekko skośne, z długimi gęstymi i zakręconymi rzęsami.

- Zaliczkę? - powtórzyłam, słysząc bicie własnego serca.

- Może szuka nowego rozdziału - powiedziała cicho, popijając sok z perzu.

- O czym ty mówisz, Lily?

- Może w księgarni swojego życia szuka czegoś więcej niż książki w miękkiej okładce...

- Posłuchaj, ja...

- Mówię to tylko dlatego, że jego wczorajszy toast był bardzo dziwny. Katie zwróciła uwagę na freudowską pomyłkę, Faith, a ty nie?

- Ja...

- W końcu jesteście małżeństwem od wielu lat.

- Ale...

- Chciałabym ci tylko zasugerować, że ja na twoim **miejscu** byłabym uważniejsza.

- Uważniejsza?

- Bardziej czujna. Mówię to wyłącznie jako twoja przyjaciółka.

- Wiem...

- Dla twojego dobra.

- Tak, dziękuję...

- Uważam jednak, że powinnaś zrobić to, co Christine...

Spojrzałam na nią ze zdumieniem.

- Co? Christine Hamilton? - spytałam wstrząśnięta. - Mam przeszukiwać jego kieszenie?

Lily bawiła się koralikami buddyjskiej bransoletki.

- Wiele kobiet tak by postąpiło, Faith - odparła rzeczowo. - Ale nie przejmuj się, kochanie. Jestem pewna, że nie masz powodu do zmartwienia.

- Nie wiem - stwierdziłam z paniką. - Może mam.

- Nie, nie, jestem pewna, że wszystko jest w najlepszym porządku - powiedziała uspokajająco. - Mówię jedynie, jako twoja najlepsza i najstarsza przyjaciółka, że może powinnaś, no, trochę wyostrzyć zmysł obserwacji.

- Co?

- Nauczyć się zwracać uwagę na pewne szczegóły.

- Nie mam pojęcia, jak miałabym to robić -jęknęłam.

- Naturalnie, że nie, jesteś taka ufna. Ale tu akurat mogę ci pomóc, kochanie, ponieważ wyobraź sobie, że „Moi!” miało w zeszłym miesiącu duży materiał na ten temat. - Wstała i zaczęła szukać w stosie starych numerów na podłodze.

- Gdzie to jest? O, mam! - wykrzyknęła radośnie. - Masz szczęście. Czy twój mężczyzna jest szczerem w miłości? - przeczytała. - Siedem klasycznych znaków: po pierwsze, jest rozkojarzony i nieobecny duchem; po drugie, jest w dobrej formie fizycznej; po trzecie, „pracuje do późna”; po czwarte, nosi elegantsze ubrania; po piąte, nie jest zainteresowany seksem; po szóste, kupił sobie komórkę i po siódme... i to jest najważniejsze, Faith... - Nagle ktoś głośno zapukał do drzwi.

- Przepraszam, Lily - powiedziała Polly - ale mam na linii Madonnę.

- O Boże! - Lily wzniosła oczy do nieba. - Mówiłam jej, żeby nie dzwoniła w czasie przerwy na lunch. Ale cóż... - Westchnęła. - Chcemy ją na okładkę do czerwcowego numeru. Przykro mi, Faith, muszę iść. - Posłała mi całusa i pomachała łapką Jennifer.

- Pamiętaj, nie martw się - zawołała, gdy wychodziłam. - Poza tym uważam, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Sama zawsze to powtarzasz.

Wracałam do domu jak w transie. Dostałam za swoje. Moje niespokojne wątpliwości zastąpił paniczny strach. Peter ma romans. Lily nie wyartykułowała tego wyraźnie, ale najwidoczniej tak myślała. W końcu jest kobietą światową. Byłam załamana i kiedy wysiadłam na stacji Turnham Green i szłam w kierunku domu, przychodziły mi do głowy najróżniejsze głupie pomysły. Peter zakochał się w innej kobiecie. Rzuci mnie, bo byłam złą żoną, i poszuka pociechy gdzie indziej. Będziemy musieli sprzedać dom, a dzieci będą cierpiały i opuszczą się w nauce. Pies zwariuje i nigdy więcej nie pojedziemy do Ikei. Nagle - gdy położyłam rękę na klamce furtki, serce zabiło mi mocniej. Pod drzwiami leżał olbrzymi bukiet białych i żółtych kwiatów. Wzięłam go

do jednej ręki, drugą otwierając drzwi. Graham wyskoczył z powitaniem, a ja otworzyłam kopertę. Zadzwoił telefon, który zignorowałam, czytając słowa na małej karteczce:

Wszystkiego najlepszego z okazji rocznicy ślubu, Faith. Przykro mi, że zapomniałem. Kocham cię, Peter.

Z ulgą opadłam na krzesło.

- Oczywiście nie ma żadnego romansu - poinformowałam Grahama, sięgając po telefon. - Peter mnie kocha. I ja też go kocham. Halo?

- Faith? To ja, Lily, przepraszam, że nam przerwano.

- Nic nie szkodzi - stwierdziłam radośnie. - Powiedziałam, co miałam do powiedzenia i w gruncie rzeczy, Lily, choć to bardzo miło z twojej strony, że dajesz mi rady, i doceniam je, oczywiście, nie sędzę, żebyś miała rację. Prawdę mówiąc, trochę przesadziłam i miałam nie najlepszy humor, bo byłam bardzo zmęczona pracą, i...

- Posłuchaj, Faith, chciałam tylko coś dodać. Coś naprawdę ważnego. Siódmy znak. Podobno jest to niewątpliwa, niepodważalna oznaka tego, że mąż cię oszukuje.

- Tak? - spytałam słabym głosem. - Co takiego?

- Przysyła ci kwiaty.

- Jakie plany na dzisiaj? - spytał łobuzersko Terry parę dni później, pochylając się do kamery. - Doradzam telewizję śniadaniową, pełną werwy, zabawy i atrakcji! Dochodzi... - Spojrzał na zegar. - Siódma pięćdziesiąt. A w programie mamy jeszcze randki w Internecie, czyli jak się zalogować; kobiety z brodą, dlaczego wolą szorstkość od gładkości oraz naszą fobię tygodnia, czyli rowkowane patelnie. Plus wiadomości, pogoda i sport.

- Najpierw jednak - powiedziała Sophie, czytając z telepromptera - zadajemy odwieczne pytanie: co nam mówi imię? Jak wynika z badań Eda McCalla, bardzo dużo. Właśnie wydał książkę 0 imionach, o ich znaczeniu i o tym, jak mogą wpływać na nasze życie. Ed, witaj w naszym programie.

Stałam przy mapie pogody i pomyślałam, że to bardzo interesujące. Ciekawe rzeczy są rzadkością, jak zauważył złośliwie jeden z krytyków: „Jadłospis telewizji śniadaniowej jest niemal całkowicie pozbawiony faktów”. Jednak ten wywiad był ciekawy i Sophie doskonale go prowadziła.

- Spójrzmy najpierw na nazwiska - zaczął Ed McCall. - Doszedłem do wniosku, że ludzie często wybierają zawody, które odpowiadają ich nazwiskom. Na przykład człowiek, który nazywa się James Judge*, i jest sędzią. Sir Hugh Fish był szefem Thames Water; niedawno wyświęcono nową panią proboszcz, która nazywa się Linda Church. Odkryłem także policjantkę w Tasmanii, która nazywa się Laureen Order. W „Gardener's Question Time” pracują Bob Flowerdew i Pippa Greenwood, a poza tym jest znany ogrodnik Michael Bloom.

- Mam wrażenie, że w świecie medycyny też znajdziemy intrygujące przykłady - odpowiedziała Sophie.

- Oczywiście. Odkryłem alergologa, który nazywa się Aikenhead, dermatologów Whiteheada i Pittsa, urologa nazwiskiem Weedon i pediatrę Kidda.

- Fantastyczne, Sophie - powiedział w moim uchu Darryl.

- Jeszcze coś? - spytała z uśmiechem.

- Jest chirurg, który nazywa się Frank Slaughter, oficer policji, Andy Sergeant, wielu bankierów o nazwisku Cash i skazany przestępca Tony Lawless. Mamy wiele tego typu przykładów i doszedłem do wniosku, że ci ludzie, świadomie lub podświadomie, kierowali się w wyborze zawodu swoim nazwiskiem.

- Przypuszczam, że można by to określić jako determinizm nominacyjny - podsunęła Sophie na swój wykształcony sposób.

- No, na pewno - powiedział niepewnie. - Choć to bardzo techniczny termin. Ale tak, uważam, że nazwiska w jakiś sposób determinują nasze życie. Nie są tylko etykietkami, lecz także nieodłączną częścią naszej tożsamości.

- Czy to samo dotyczy imion? - zapytała Sophie.

- Absolutnie.

- Co zatem znaczy „Sophie”? - wtrącił z głupim uśmiechem Terry. - Zadowolona z siebie chwalipięta?

- Słucham?

- Niepoprawna lizuska?

- Zamknij się, Terry! - syknął mi w uchu Darryl.

* Każde z tych nazwisk coś oznacza: Judge - sędzia; Fish - ryba; Church - kościół; Order - porządek; Flowerdew - kwiatowa mgła; Greenwood - zielony las; Bloom - kwiat, kwitnienie; Whitehead - biała głowa; Kidds pochodzi od *kid* - dzieciak lub *kidding* - żartować; Slaughter - rzeźnik; Sergeant - sierżant; Cash - gotówka; Lawless - bezprawny (przyp. red.).

- Nie - wyjął McCall, wyraźnie zaszokowany beczelnymi słowami Terry'ego. - Imię „Sophie” oznacza „mądrość” i w tym wypadku doskonale pasuje ono do pani - dodał elegancko.

- A co oznacza „Terry”? - spytała spokojnie Sophie.

- „Terry” jest zdrobnieniem od „Terence'a” - odparł Ed. - Może też pochodzić od francuskiego imienia „Thierry”, z czasów normandzkich.

- Dziś to nie jest zbyt popularne imię, prawda? - kontynuowała słodko Sophie. Na pewno czytała tę książkę. - Twierdzi pan, że jest dość staroświeckie.

- Tak jest - przyznał Ed. - Było popularne w latach pięćdziesiątych.

- Pięćdziesiątych! - wykrzyknęła Sophie. - Jestem pewna, że Terry urodził się później, prawda, Terry?

- Owszem, znacznie później - powiedział Terry.

- No oczywiście - stwierdziła łagodnie Sophie, gdy kamerzysta sadystycznie pokazał zbliżenie zaczerwienionej twarzy Terry'ego. - Jestem pewna, że urodziłeś się o wiele później, Terry.

- Tak, później.

- Jestem przekonana, że nikt nie uwierzyłby, że podobno urodziłeś się w roku 1955 - stwierdziła z uśmiechem. *Touche*. Zasłużył sobie na to. Choć raz stracił koncept i nie wiedział, co powiedzieć.

- A nasza prezenterka pogody, Faith? - zapytała Sophie, gdy Terry nadymał się z wściekłości. Wskazała na mnie eleganckim gestem lewej ręki, gdy światło w mojej kamerze zmieniło się na czerwone.

- Faith jest jednym z tych abstrakcyjnych imion pochodzących od zalet, wymyślonych przez purytanów - wyjaśnił Ed. - Podobnie jak Charity, Verity i Grace. Oczywiście wszystkie te imiona nadawano przeważnie kobietom. Chciano, by dziewczynki o takich imionach rozwinęły w sobie pożądane cechy. Niektóre imiona były naprawdę okropne - dodał - ale na szczęście nie zachowały się do naszych czasów. Czy może sobie pani wyobrazić, że nazwałaby dziecko Abstinence, Humility lub Meek*?

- Straszne! - zawoła ze śmiechem Sophie.

* Faith - wiara, zaufanie; Charity - miłosierdzie; Verity - prawda; Grace - wdzięk; Abstinence - wstrzemięźliwość; Humility - pokora; Meek - łagodność; Joy - radość; Hope - nadzieja (przyj. red.).

- Jednak bardziej atrakcyjne imiona tego typu przetrwały i moim zdaniem, mają wpływ na charakter człowieka. Jeśli ktoś ma na imię Patience lub Verity, ludzie oczekują pewnych zachowań. Jak można być niezgrabą, mając na imię Grace? Albo być ponurą Joy, niewierną Virginią czy smutną Hope?

- Lub niewierną Faith - wtrącił Terry, chcąc koniecznie załusnąć. - A ty, Faith, jesteś wierna? - spytał dość beczelnie.

- Tylko mojemu mężowi - odparłam z uśmiechem.

- Jest też moda na nadawanie dzieciom imion od nazw geograficznych, prawda, Ed? - zapytała Sophie.

- O tak. Mamy już chyba każdy amerykański stan: Atlantę, Georgię, Savannah i tak dalej, choć Kentucky i Nebraska brzmią nieszczególnie. Oczywiście, jest także Chelsea i India. Ludzie często nazywają dzieci od miejsca, w którym zostały poczęte. Jak Posh Spice i David Beckham, którzy nazwali dziecko Brooklyn, po wycieczce do Nowego Jorku.

- Mogło być gorzej - stwierdziła z przekonaniem Sophie. - Przynajmniej nie nazwali go Queens. - Ed roześmiał się, a Sophie podziękowała mu za udział w programie. - To było naprawdę fascynujące - powiedziała ciepło. - Książka Eda *Gra w imiona* ukazała się dziś nakładem Thornsons i kosztuje sześć dziewięćdziesiąt dziewięć.

- A teraz - wtrącił Terry - przyszła pora na pogodę. Przekonajmy się, czy Faith nadal jest nam wierna.

Godzinę później Terry i Sophie zakończyli program, uśmiechając się do siebie przyjaźnie. Jednak gdy tylko zeszli z wizji, Terry wstał z kanapy, stanął nad Sophie i wrzasnął:

- Żebyś mi tego więcej nie zrobiła!

- Czego? - spytała słodko Sophie, zdejmując mikrofon przypięty z tyłu do spódnicy.

- Wara ci od mojego wieku! - syknął.

- A ja byłabym wdzięczna, gdybyś mnie nie obrażał na oczach widzów - powiedziała, wyjmując z ucha słuchawkę.

- Mam trzydzieści dziewięć lat! - krzyknął za nią, gdy szła zmyć makijaż. - Trzydzieści dziewięć, a nie czterdzieści sześć, rozumiesz, głupia krowo?

- Wiem, że masz trzydzieści dziewięć lat, Terry, jak mogłabym zapomnieć, skoro wszyscy od lat mówią, że masz trzydzieści dziewięć.

Terry zbladł z wściekłości. Sophie wypowiedziała mu wojnę. Byłam zadowolona, że wreszcie się postawiła, ale miałam nadzie-

ję, że tego nie pożałuje. Jednak, jak już mówiłam, trzymam się z daleka od kłótni w pracy. Podnosząc torebkę, zauważyłam, że na biurku leżą dwa egzemplarze *Gry w imiona*. Najwyraźniej nikt się nimi bliżej nie zainteresował. Wrzuciłam funta do pudełka na biednych i wzięłam jeden. Zajrzałam do indeksu na końcu i znalazłam Petera; to imię oznacza skałę, opokę, o czym wiedziałam. Peter zawsze był dla mnie oparciem; silnym, trwałym i pewnym. Pomyślałam o moim imieniu i - nie po raz pierwszy - zastanowiłam się, czy wpłynęło jakoś na mój charakter. Czy byłabym inną osobą, gdybym miała prowokujące imię, takie jak: Scarlett, Carmen lub Sky? Z drugiej strony, czy mogłabym zachowywać się prowokująco, mając na imię Faith? Postanowiłam, że zachowam się zgodnie z imieniem i na razie nie będę wątpić w intencje Petera. Kiedy otworzyłam drzwi i zobaczyłam, że Lily przysłała mi grudniowy numer „Moi!”, chciałam wyrzucić go do kosza, ale wiedziałam, że chciała mi pomóc.

Jestem pewna, że nie ma się czym przejmować - pisała dużymi, okrągłymi literami - lecz, dla własnego spokoju, przeczytaj ten artykuł, bo znajdziesz w nim dużo pożytecznych wskazówek. PS. Zajrzyj na stronę www.CzyOnOszukuje.com.

- To śmieszne - powiedziała do Grahama, przerzucając pismo. - Peter na pewno mnie nie zdradza. Mimo to przeczytałam artykuł. Z ciekawości.

Jak poznać, że twój facet ma kogoś na boku:

1. Jest rozkojarzony i nieobecny duchem.
2. Jest w dobrej formie fizycznej.
3. Pracuje do późna.
4. Nosi elegantsze ubrania.
5. Nie jest zainteresowany seksem.
6. Kupił sobie komórkę.
7. Przysyła ci kwiaty.

Przeraziło mnie trochę to, że wszystkie te punkty w moim przypadku się zgadzały. Postanowiłam jednak zachować spokój, ponieważ każdy punkt miał swoje racjonalne uzasadnienie. Peter jest rozkojarzony i nieobecny, bo ma dużo zmartwień. Z tej samej przyczyny schudł. Pracuje do późna, dlatego że jego szefowa jest okropna. Nosi elegantsze ubrania ze względu na spotkania związane z szukaniem pracy. Nie interesuje się seksem, ponieważ jest w depresji,

co odbija się na jego libido. Kupił komórkę, żeby jego łowca głów mógł się z nim w każdej chwili skontaktować. Przysłał mi kwiaty, aby mnie przeprosić za to, iż zapomniał o rocznicy ślubu.

- No i proszę - poinformowałam Grahama, kiedy przeczytałam dwukrotnie artykuł. - Nie mamy się czym martwić. - Spojrzałam mu w oczy koloru brązowego cukru i pogłaskałam aksamitny nos. Graham też się denerwował. Jest bardzo wrażliwy na moje nastroje i w ostatnich dniach czuł się trochę niepewnie. Wiem to, bo siada bliżej mnie niż zwykle, najchętniej wręcz na moich kolanach. Poza tym chodzi za mną krok w krok. Dziś po południu powiedziałam mu, że nie musi się podrywać za każdym razem, kiedy wstaję, ale i tak to robi. Przyszedł za mną na górę do gościnnego pokoju. Jak już mówiłam, nie sądzę, aby Peter mnie zdradzał, postanowiłam jednak sprawdzić jego kieszenie. Peter jest dość porządny i nie ma wielu garniturów, wiedziałam więc, że moje badania nie zabiorami dużo czasu. Gdy znów zajrzałam do pisma, poczułam przyspieszone bicie serca.

Musisz pamiętać, żeby zostawić wszystko tak, jak było. Jeśli będzie podejrzawać, że jesteś na tropie, zacnie się mieć na baczności i nigdy nie poznasz prawdy.

Czując się trochę jak złodziejka, co z jednej strony było naprawdę ekscytujące, a z drugiej okropne, starannie sprawdziłam ubrania Petera. Najpierw przeszukałam kieszenie sportowych marynarek. Znalazłam stary bilet autobusowy, chustkę do nosa i parę monet.

- Tu nie ma nic podejrzanego - poinformowałam Grahama.

Spojrzał na mnie z autentyczną ulgą. W koszu na brudną bieliznę było parę koszul. Graham i ja obwąchaliśmy je, ale nie odkryliśmy żadnego obcego zapachu, żadnych śladów szminki, jedynie znajomy zapach potu Petera.

- Dobrze nam idzie - powiedziałam do Grahama.

Postawił uszy i pomachał ogonem. Później zdjęłam z wieszaka sztruksowe spodnie Petera i wyrzuciłam kieszenie. Znalazłam tylko zapieczętowaną paczkę gumy do żucia i trochę kurzu.

- Mój mąż jest niewinny, nie nosi prezerwatyw ani miłosnych liścików - stwierdziłam. Czułam coraz większą ulgę. Wcześniej sprawdziłam schowek w samochodzie i nie znalazłam tam żadnych cudzych majtek. Zadzwoiłam pod numer 1471 i wyświetlił się jedynie numer Sary. Oczywiście nie mogłam przeszukać jego teczki, bo zabrał ją ze sobą do pracy.

- Aha, rachunek za komórkę - powiedziałam, gdy zauważyłam kopertę „Jeden-2-Jeden” na parapecie okna. Była już otwarta, wyjęłam więc rachunek i znalazłam na nim numer zaczynający się od 0207, który powtarzał się ponad trzydzieści razy. Zeszłam na dół, sprytnie wykręciłam 141, żeby ukryć mój numer (tak jak napisali w „Moi!”) i z bijącym sercem wykręciłam tamten numer.

- Andy Metzler i spółka - odezwał się kobiecy głos. Natychmiast odłożyłam słuchawkę.

- To łowcy głów - wyjaśniłam Grahamowi. - Peter nie ma nic na sumieniu. Daj piątkę! - Graham podał mi prawą łapę. Jeszcze raz rzuciłam okiem na „Moi!”

Większość zdrad można wykryć albo przez nieznane numery telefonów na wydrukach telefonicznych, albo przez podejrzane rozliczenia na wydrukach z kart kredytowych.

Nie miałam pojęcia, gdzie jest nasz wyciąg z banku, bo go nigdy nie widuję. Nie dlatego, że Peter go przede mną ukrywa, lecz dlatego, że przychodzi w brązowej kopercie, a ja nigdy, przynigdy nie otwieram brązowych kopert. Przypuszczam, że to rodzaj fobii. Otwieram wszystkie białe koperty, ale brązowych unikam. I dlatego to Peter zawsze sprawdza wyciągi bankowe. Poza tym bardzo rzadko używam kart), bo łatwo jest wydać za dużo pieniędzy. Zajrzałam do biurka w salonie i znalazłam mały czarny skoroszyt zatytułowany „Karty kredytowe”.

- Jak na razie Peter zdał egzamin na wierność śpiewająco - powiedziałam Grahamowi. - To, mój kochany piesku, jest ostatni sprawdzian. - Spojrzałam na pierwszy wyciąg, z datą czwartego stycznia. Tak jak się spodziewałam, było tam niewiele rubryk: zapłaciliśmy kartą za bilety do teatru w czasie Bożego Narodzenia, kupiliśmy kilka książek dla Katie oraz wydaliśmy w WH Smith sześćdziesiąt funtów na nową grę komputerową dla Marta. Ostatni rachunek był za kwiaty. Najwyraźniej za kwiaty dla mnie. Kosztowały czterdzieści funtów i zostały zamówione we Floribundzie. Wiem, gdzie to jest, niedaleko pracy Petera, w Covent Garden. I to by było na tyle. Żadnych podejrzanych rachunków za restauracje, hotele na wsi czy wypożyczenie bielizny z Knickerbox lub z La Perli. Moja detektywistyczna działalność została zakończona. Kiedy jednak zamknęłam folder i odłożyłam go do szuflady, poczułam ból serca, jakby ścisnęła je niewidzialna obca ręka. Kwiaty na rachunku nie były dla mnie. Jak mogłyby być, skoro dostałam je

dopiero wczoraj? Rachunek za moje kwiaty przyjdzie za trzy tygodnie, w wyciągu z lutego. Z trudem oddychając, usiadłam na najbliższym krześle. Potem wyszłam do przedpokoju, znalazłam w książce numer Floribundy i drżącą ręką wykręciłam numer. Ale o co spytać, gdy ktoś podniesie słuchawkę? Proszę mi powiedzieć, dla kogo mój mąż zamawiał kwiaty osiemnastego grudnia, ponieważ podejrzewam, że mnie zdradza? Może mogłabym udawać, że kwiaty były dla mnie, a ja ich nigdy nie dostałam? Czy wie pani coś o kwiatkach, które mój mąż Peter Smith zamówił osiemnastego grudnia? Tak, zgadza się. Obawiam się, że nie dotarły na miejsce, chyba zaszła jakaś pomyłka, czy może mi pani powiedzieć na jaki adres zostały wysłane?

- Floribunda, czym mogę służyć? - powiedział miły kobiecy głos.

- Ja... Ja... - Odłożyłam słuchawkę. Była mokra od potu. Nie mogłam tego zrobić. Nie chciałam wiedzieć. Siedząc na schodach, wsłuchiwałam się w gwałtowne bicie serca. Peter miał romans. *Byłam szczęśliwy... Nic nie wiedziałem*, przypomniałam sobie, zasłaniając twarz rękami. *A teraz żegnaj na zawsze spokojny umysł...* Siedziałam, wpatrując się w złote lustro w ramie w kształcie słońca, które dostaliśmy od Lily w prezencie ślubnym. Gapiłam się na nie zaszokowana przez parę minut. Nagle jęknęłam, uśmiechnęłam się i mocno uderzyłam dłonią w czoło.

- Ty kretynko! - wrzasnęłam. - Ty beznadziejna kretynko!

Przypomniałam sobie. Urodziny matki Petera są osiemnastego grudnia. Kupiłam kartę z życzeniami i srebrną ramkę do fotografii. A Peter najwyraźniej postanowił posłać jej także kwiaty. Oczywiście! Wzięłam w objęcia zdumionego psa.

- Jestem bardzo głupią mamusią - powiedziałam do Grahama, który nerwowo polizał mnie w ucho. - Wyobraziłam sobie coś idiotycznego. - Miałam naprawdę wyrzuty sumienia, że podejrzewałam Petera o tak niecny postępek, kiedy on miał tyle kłopotów. Czułam się okropnie. Już nigdy więcej nie będę go o nic podejrzewała - postanowiłam, biorąc folder z wyciągami bankowymi. Poszłam do kuchni i żeby to uczcić zrobiłam sobie kawę, prawdziwą. Intensywny zapach arabiki wypełnił całą kuchnię. Siedziałam sobie spokojnie przy stole, przerzucając od niechcienia „Moi!”, gdy zadzwonił telefon.

- Witaj, Faith - powiedziała Sara. - Chciałam ci podziękować za to cudowne przyjęcie w zeszłym tygodniu. Naprawdę świet-

nie się bawiłam - dodała ciepło. - Cieszę się, że widziałam dzieci. Urosły ostatnio.

- O tak - odparłam z zadumany uśmiechem.

- To, że urządziłaś wszystko jako niespodziankę dla Petera, było słodkie.

- Chciałam go trochę rozweselić - wyjaśniłam. - Chyba ci mówił, że ma problemy w pracy.

- Tak, dzwonił wczoraj wieczorem. Jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży, ale muszę powiedzieć, że jest trochę rozkojarzony.

- Tak - przyznałam. - Nawet zapomniał o naszej rocznicy - powiedziałam szczerze, czego miałam za chwilę pożałować. - To mu się nigdy do tej pory nie zdarzyło.

- Ha! - wykrzyknęła Sara. - O moich urodzinach też zapomniał!

- Słucham? - Poczułam się tak, jakbym spadała w głąb ciemnego tunelu. - Co powiedziałaś, Saro?

- Zapomniał o moich urodzinach - powtórzyła. - A zwykle pamięta o takich okazjach. Oczywiście dostałam twoją kartę i tę śliczną ramkę, ale Peter zawsze daje mi jeszcze coś małego, tylko od siebie. W tym roku, po raz pierwszy, nic od niego nie dostałam. Proszę, tylko nic mu nie mów - dodała szybko. - Ma i tak dość zmartwień.

- To znaczy nie dostałaś... - zaczęłam słabym głosem.

- Czego?

- Nie dostałaś... - Usłyszałam ostry dzwonek przy jej drzwiach.

- Muszę kończyć - powiedziała. - Przyszli moi partnerzy do brydża. Porozmawiamy kiedy indziej, Faith. Do widzenia.

Powoli odłożyłam słuchawkę.

- O Boże - powiedziałam do Grahama. - O Boże - powtórzyłam, oddychając szybciej. - Komu, do jasnej cholery, wysłał te kwiaty, i co ja mam teraz zrobić? - Jeszcze raz zajrzałam do pisma. Pod ramką: „Działania bojowe” widniała następująca rada:

Pod żadnym pozorem nie daj mężowi poznać, że go o coś podejrzewasz. Mimo trudności, musisz udawać, że wszystko jest w zupełnym porządku.

- Jak tam w pracy, kochanie? - spytałam z udawaną wesołością, gdy Peter wrócił do domu.

- Okropnie - powiedział znużonym głosem. - Wiesz, co wymyśliła ta stara kłępa?

- Co takiego?

- Chce mi zwalić na głowę Amber Dane.

- Myślałam, że Amber Dane przestała pisać te straszne powieści.

- Wszyscy mieliśmy taką nadzieję - powiedział z ponurym uśmiechem. - Tymczasem wyobraź sobie, że napisała kolejną książkę, którą nazwała „satyrą”. Z tego, co do tej pory przeczytałem, powieść jest tak satyryczna, jak pudełko czekoladek. Uważam, że w ogóle nie powinniśmy jej wydawać i głośno wyraziłem swoje zdanie. Ale Charmaine dała mi wydruk i oczekuje recenzji. Co za bezczelność - powiedział, rozluźniając krawat.

- Wyjątkowa.

- A ten gnojek - dodał z irytacją, nalewając sobie drinka - ten tłusty gnojek z Eton zwrócił mi uwagę, ponieważ nazwałem go Olly.

- A co w tym złego?

- Właśnie! Nic! Dużo ludzi tak do niego mówi. Charmaine tak do niego mówi. I ja też tak do niego dziś powiedziałem. Potem wziął mnie na bok, miał okropnie czerwoną i spoconą twarz, i powiedział ze złością, jakby był moim szefem: „Z łaski swojej, nie mów do mnie Olly. Mam na imię Oliver”. Nadęty gnojek. Wiesz, Faith, lubiłem kiedyś Fenton & Friend, ale teraz nie mogę się już doczekać, kiedy znajdę inną pracę.

- Andy nic nie ma? - zapytałam.

Peter lekko się zaczerwienił, zapewne dlatego, że nie miał żadnych nowych informacji.

- No... Nie - powiedział z westchnieniem, siadając w fotelu.

- Nic nowego. Jeszcze nie. Ale nie tracę nadziei.

Udało mi się utrzymać „normalny” nastrój, jak radzili w „Moi!” i w duchu pogratulowałam sobie takiego opanowania, podczas gdy w środku wszystko mi się kotłowało. Gdy usiedliśmy do kolacji, spojrzałam na niego ponad kuchennym stołem i zobaczyłam go w zupełnie nowym świetle. W jakiś nieokreślony sposób wydał mi się inny, ponieważ po raz pierwszy od piętnastu lat nie mogłam odczytać wyrazu jego twarzy. Jakbym przyglądała się nowoczesnemu zegarowi bez cyfr - trudno na nim odczytać czas. I wiedziałam, że już straciłam do niego zaufanie. Do tej pory nie było między nami takiej kwestii, jak brak zaufania. Może to naiw-

ne, ale prawdziwe. Nigdy nie musiałam się nad tym zastanawiać i współczułam kobietom, które nie były pewne swoich mężów. Teraz znalazłam się w sytuacji tysięcy kobiet na świecie, nie wiedząc, czy mój mąż przypadkiem mnie nie zdradza. Po tylu latach małżeństwa było to dziwne uczucie. Rozmawialiśmy, jedząc lazanę - przecenioną w Tesco o funta i z podwójnymi punktami na karcie stałego klienta - a ja znów pomyślałam o tym, co znaczy imię Peter, i o tym, że zawsze był dla mnie opoką. Silnym i pewnym oparciem. Do tej pory. W Biblii Piotr jest opoką, na której Jezus zbudował swój Kościół. Tak nas uczono w szkole. Ale Piotr także zawahał się w ogrodzie Gethsemani i trzy razy zaparł się Jezusa. A zatem Piotr Apostoł był kolosem na glinianych nogach. Mój Peter też.

- Dobrze się czujesz, Faith? - spytał nagle, odkładając nóż i widelec.

- Co?

- Gapisz się na mnie.

- Naprawdę?

- Tak.

- Przepraszam.

- Nic się nie stało? - zapytał. - W pracy wszystko dobrze?

- No...

- Jesteś jakaś spięta.

- Ach, nie. Wcale nie jestem spięta. Nie, nie, nie.

- Jak się udał program? Przepraszam, że dziś rano nie mogłem oglądać. Wiesz, że zawsze staram się obejrzeć.

- Całkiem dobrze. Był bardzo interesujący wywiad o imionach i ich znaczeniu. Twoje imię oznacza opokę - dodałam.

- Wiem.

- A moje... To oczywiste. I zawsze byłam ci wierna, jak wiesz.

- Tak, tak, wiem - odparł cicho. Zapadła cisza, słyszałam tylko tykanie kuchennego zegara. - A jaka była dziś pogoda? - spytał.

- Ładna. To znaczy, nieładna. Prognozy są dość niepewne - dodałam z namysłem. - Temperatura spada i dochodzi czynnik wychłodzenia.

- Oczywiście. Czynnik wychłodzenia.

Spojrzeliśmy na siebie.

- Wspaniałe kwiaty - powiedziała wesoło, wskazując na bukiet z kremowych żonkili i narcyzów, jasnych anemonów i złotych

gałązek mimozy. - Pięknie pachną. To naprawdę miło z twojej strony.

- Zasłużyłaś sobie na nie - odparł. Znów zapadła cisza. I w tej ciszy nagle postanowiłam - nie wiem dlaczego - zignorować wskazówkę z „Moi!”.

- Zazwyczaj kupujesz coś swojej matce na urodziny, prawda? - spytałam od niechcienia, odkładając sztucce.

- Do diabła! - wykrzyknął, klepiąc się w czoło. - Zupełnie zapomniałem.

- Dostała od nas tę srebrną ramkę, pamiętasz? I podpisałeś się na karcie z życzeniami.

- Wiem, ale na ogół posyłam jej kwiaty albo kupuję czekoladki. Wiesz, coś tylko ode mnie. Chwilowo mam kłopoty z pamięcią, Faith - stwierdził z westchnieniem, zbierając talerze ze stołu. - Pewnie z powodu stresów w pracy.

- Ale niektóre rzeczy... chyba pamiętasz - zasugerowałam delikatnie, otwierając zamrażarkę.

- Tak?

- Tak.

- Co na przykład?

- No, nie wiem - powiedziałam, wyjmując pudełko z lodami.

- Prawdę mówiąc, chciałam cię właśnie o coś zapytać.

- O czym ty mówisz, Faith? - spytał, wyjmując dwie miski.

- Och, o niczym - powiedziałam nonszalancko, zdejmując pokrywkę. - Choć wydaje mi się, że ostatnio o kimś pamiętałeś. O kimś, kogo nie znam.

- Posłuchaj, Faith - stwierdził poirytowany. - Nie mam czasu na zagadki. Jestem bardzo zmęczony. I mam przed sobą straszny wieczór, ponieważ muszę czytać Amber Dane. Jeśli chcesz mi coś powiedzieć, powiedz wyraźnie, o co ci chodzi.

- Dobrze, już mówię. - Odetchnęłam głęboko. - Peter, obejrzałam dziś wyciąg z naszej karty kredytowej i znalazłam rachunek za kwiaty. Wiem, że nie były to kwiaty dla twojej matki na urodziny, ponieważ powiedziała mi, że o nich zapomniałeś. Ciekawa więc jestem, dla kogo były.

Peter wziął miskę z lodami i spojrzał na mnie, jakbym oszalała.

- Kwiaty? - powtórzył z niedowierzaniem. - Kwiaty? Ja posyłałam kwiaty? Komu, oprócz ciebie i mamy, miałbym posyłać kwiaty?

- Właśnie o to cię pytam - stwierdziłam, chowając lody do zamrażarki.

- Kiedy to było? - spytał spokojnie, gdy stawiałam na stole sos czekoladowy. Jeśli kłamał, robił to przekonująco.

- Osiemnastego grudnia.

- Osiemnastego grudnia? Osiemnastego grudnia... - Zamyślony przygryzł dolną wargę, a potem wykrzyknął: - Clare Barry.

- Kto?

- Jedna z moich autorek. Kwiaty były dla niej. Na promocję jej książki. Zawsze posyłam Clare kwiaty.

- Rozumiem, ale...

- Ale co?

- Myślałam, że na wydatki służbowe masz drugą kartę.

- Tak. American Express.

- Posłanie kwiatów Clare Barry to jest raczej sprawa służbowa, prawda?

- No... tak.

- To dlaczego zapłaciłeś za kwiaty dla jednej z twoich autorek prywatną kartą kredytową?

- Ach, nie wiem - odparł zirytowany. - Może się pomyliłem. A może nie mogłem znaleźć American Express i w pośpiechu dałem drugą kartę. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Nie - powiedziałam beztrosko. - Nie ma. Jestem usatysfakcjonowana.

- Usatysfakcjonowana? - spytał zdumiony. - Usatysfakcjonowana? Aha! - zawołał nagle. - Aha, rozumiem! Myślałaś, że mam romans.

Spojrzałam na Grahama. Siedział prosto, z opuszczonymi uszami.

- Ależ nie. Nie, nie, nie. Nie, no, może. - Nabrałam powietrza. - A masz?

- Nie - odparł z jakby lekkim westchnieniem żalu. - Nie mam żadnego romansu. Taka jest prawda. Nie sądzisz, Faith, że dość mam w tej chwili zmartwień bez romansowania z jakąś panienką?

- Panienką? - Czy mogłabyś mnie nie męczyć? - Nie męczyć?

- Mam cię nie męczyć?

- Tak - stwierdził stanowczo. - I mam nadzieję, że mi wierzysz, kiedy mówię, że to były kwiaty dla autorki. Wierzysz mi, Faith? Tak czy nie?

- Tak - skłamałam.

Luty

Testem w tym coraz lepsza - poinformowałam Grahama, spraw-
I dzając dziś rano kieszenie Petera. Za drugim razem było lepiej,
"bo już się powoli przyzwyczajałam. Serce nie waliło mi tak, jak za
pierwszym razem. Nie czułam się tak, jakbym miała końcówki
nerwów przywiązane do poskręcanych drutów. W gruncie rzeczy
uznałam to za coś całkowicie oczywistego. Powiedziałam sobie,
że mam wszelkie prawo do przeszukiwania kieszeni mojego męża.

- Inne kobiety robią to przez cały czas - powiedziałam Gra-
hamowi. - Poza tym muszę sprawdzić, czy nie powinnam oddać
czegoś do pralni. - Tym razem nie znalazłam niczego niepokoją-
cego, poza jedną, naprawdę bardzo dziwną rzeczą. W kieszeni
szarych spodni była paczka papierosów lucky strike. Pokazałam
ją Grahamowi i wymieniliśmy znaczące spojrzenia.

- Chyba wybiorę się dziś wieczorem do siłowni - powiedział
Peter, kiedy wrócił do domu. - Nie ćwiczyłem od ponad tygodnia.

- Ach, tak?

Przedtem nie przywiązywałam do tego wagi i wesoło po-
machałam mu na pożegnanie, ale teraz poczułam niepokój. Dla-
czego nagle chciał pójść do siłowni? Z kim się tam spotykał? Może
umówił się na randkę? Dobrze, skończę z tym - postanowiłam.

- Czy ja też mogę pojechać? - spytałam. - Chciałabym po-
pływać.

- Oczywiście - powiedział.

Włączyliśmy Grahamowi *Pojedynek kulinarny*, wzięliśmy
sportowe torby i wyszliśmy.

- Andy nie ma nic nowego? - spytałam w samochodzie.

- Nie - odparł z westchnieniem. - Na razie nie. - Zmienił
bieg.

- Skończyłeś czytać książkę Amber Dane?

- Tak - stwierdził ze znużeniem. - Wreszcie. Satyra! Akurat.
To naprawdę coś niesłychanie infantylnego. Nie rozumiem, dla-
czego Charmaine ją trzyma. Boże, ta kobieta mnie wykończy.

- I dlatego zacząłeś palić? - spytałam od niechcenia, kiedy
stanęliśmy na czerwonym świetle.

- Słucham?

- Czy dlatego zacząłeś palić? - powtórzyłam. Chciałam się
przekonać, jak dobrze kłamię.

- Ja nie palę - powiedział z oburzeniem. - Dobrze o tym wiesz.

- Dlaczego w takim razie znalazłam w kieszeni twoich szarych spodni paczkę papierosów, kiedy je opróżniałam w pralni?

- Papierosów? - Nawet w półmroku widziałam, że się zaczerwienił. - Jakich papierosów?

- Lucky strike.

- O, tych - powiedział, ruszając. - No tak, nie chciałem cię martwić, ale... palę od czasu do czasu, bardzo rzadko, kiedy jestem zdenerwowany.

- Nigdy cię nie widziałam z papierosem - stwierdziłam, gdy wyrósł przed nami znak Hogarth Health Club.

- Wiedziałem, że ci się to nie spodoba. A poza tym, nigdy nie widziałas mnie w stresie. Jak jestem zestresowany, to czasami, tak, czasami zapalam szybkiego papierosa.

- Aha - powiedziałam. - Rozumiem. - I wtedy przypomniałam sobie jeszcze coś, co mi nie pasowało.

- Nie lubisz gumy do żucia, prawda? - spytałam, gdy parkował samochód.

- Nie. Nie cierpię - potwierdził.

- I nigdy jej nie kupujesz, prawda?

- Nie, oczywiście, że nie. Po co miałbym kupować?

- No, właśnie.

- Posłuchaj, Faith, mam nadzieję, że to koniec przesłuchania na dzisiaj - stwierdził, zaciągając ręczny hamulec.

- Żadnych więcej pytań - obiecałam z ponurym uśmiechem.

- A na przyszłość - dodał, przekręcając kluczyk - wolałbym, żebyś nie przeszukiwała mi kieszeni. Nigdy tego nie robiłaś i nie chciałbym, żebyś zaczęła.

Jasne, że nie chciał, bo w ten sposób miałabym pewność, a nie podejrzenia.

- Nie martw się - stwierdziłam od niechcenia. - Więcej tego nie zrobię.

Kiedy o wpół do dziesiątej wróciliśmy do domu, udałam, że idę spać, a w rzeczywistości poszłam po cichu do pokoju Matta, żeby użyć jego komputera. Wiedziałam, że nie będzie miał nic przeciwko temu. Na krześle leżała sterta CD-ROM-ów, a na łóżku - dziesiątki gier komputerowych. Wyglądało na to, że był w trakcie reorganizowania swej ogromnej kolekcji. Wzięłam do ręki

kilka gier i spoglądałam na dziwaczne nazwy: Zemsta Zombie, Strider, Super Pang i Rakieta Chu-Chu. Niech ma - pomyślałam - skoro mu to sprawia przyjemność. Usiadłam za biurkiem i włączyłam komputer. Iiiiiik. Brzdęk. Dzing. Bong. Ping. Biiip. Biiip. Biiip. Bloooop. Krzk. Krzk. I już byłam podłączona. Weszłam do Yahoo i wyszukałam www.CzyOnOszukuje.com. Po chwili się zalogowałam. To była jedna z tych interaktywnych stron. W Ameryce. Można się było zalogować pod pseudonimem, wysłać e-mail ze swoimi podejrzeniami i poprosić o radę. Zafascynowały mnie problemy innych. Sherry z Iowa denerwowała się, ponieważ znalazła w samochodzie męża damską pończochę. Brandy z Karoliny Północnej była w rozpacz, bo chłopak wciąż opowiadał jej o koleżance z pracy. Chuck z Utah przyłapał żonę na rozmowie telefonicznej z kochankiem.

Jestem prawie pewna, że mnie oszukuje - pisała Sherry. - Z jednej strony chciałabym wiedzieć, a z drugiej boję się poznać prawdę.

Śmiało, kobieto - radziła Mary-Ann z Maine. - Zawsze kieruj się kobiecą intuicją.

Może to jego własna pończocha - sugerował Frank z New Jersey. - Może twój mąż jest transwestytą i wstydzisz się do tego przyznać.

Pojedź za nim do pracy - radziła Cathy z Milwaukee. - Ale nie zapomnij włożyć peruki.

Nie mogę. Jest kierowcą ciężarówki i jeździ w długie trasy - odpisała Sherry.

Wpisałam się jako Emily, bo tak mam na drugie imię.

Wydaje mi się, że mój mąż ma romans - napisałam. - A może jestem niepewną siebie paranoiczką. Ale ostatnio dziwnie się zachowuje i wcale nie jestem przekonana, że to wszystko wynika z problemów w pracy. Jest wydawcą i spotyka się z różnymi znanymi ludźmi ze świata literackiego. Wiem, że do tej pory nigdy nie robił żadnych skoków w bok, jednak wydaje mi się, że teraz ma coś na sumieniu. Po pierwsze, w grudniu zamówił dla kogoś kwiaty, płacąc naszą wspólną kartą. Kiedy go o to spytałam, wyjaśnił - niezbyt przekonująco - że były to kwiaty dla autorki z okazji promocji jej książki. Po drugie, znalazłam w jego w kieszeniach dziwne rzeczy, na przykład gumę

do żucia, której nienawidzi. Dziś znalazłam paczkę papierosów, choć w ciągu piętnastu lat małżeństwa ani razu nie widziałam go palącego. Po prostu nie ufam mu, tak jak mu ufałam i bardzo źle się z tego powodu czuję; dlatego byłabym wdzięczna za wasze komentarze.

Następnego dnia po południu zadzwoniłam do Lily.

- Potrzebuję twojej rady.
- Nie ma sprawy, kochanie. Dla ciebie wszystko.
- Chodzi o Petera - wyjaśniłam.
- Ach tak? Ojej, co się stało?

Usiadłam na krześle w przedpokoju.

- Wydarzyło się kilka rzeczy.
- Naprawdę?
- Tak, ale nie wiem, co one znaczą.
- Zapewne nic - powiedziała z przekonaniem. - Ale powiem ci, co myślę.

- Dobrze... - zaczęłam nerwowo. - Przesłał mi kwiaty.

- Rozumiem - stwierdziła z namysłem. - Mhm - dodała z westchnieniem. - Wiesz, co to podobno oznacza?

- Tak, ale Peter wysłał kwiaty jeszcze komuś - powiedziałam żałośnie.

- Nie!

- Twierdzi, że były dla autorki, ale wcale nie jestem pewna.

A poza tym...

- Tak?

- Och, Lily, czuję się taka nielojalna, gdy ci o tym opowiadam - stwierdziłam, obracając na palcu obrączkę.

- Kochanie, nie jesteś nielojalna - powiedziała cicho. - Po prostu musisz się bronić.

- Bronić?

- Tak, dlatego że jeśli to coś poważnego, choć jestem pewna, że raczej nie, nie chcesz być zaskoczona. Powiedz mi, co jeszcze znalazłaś.

- No... - urwałam. - Nie, nie mogę, Lily. Czuję się jak zdrajczyni. To znaczy, nie chciałabym cię urazić, ale ty nigdy nie miałaś męża.

- Nie bądź głupia, Faith - powiedziała, chichocząc. - Dobrze wiesz, że miałam wielu. Cudzych. Co chciałaś powiedzieć?

Westchnęłam głąboko.

- W kieszeniach Petera znalazłam różne dziwne rzeczy. Na przykład gumę do żucia. On nie znosi gumy do żucia. A wczoraj znalazłam paczkę lucky strike'ów. Peter nie pali.

- To naprawdę dziwne.

- Dziś rano, kiedy wróciłam z pracy, znów przejrzałam kieszenie...

- Naturalnie...

- I w marynarce znalazłam notatkę.

- Notatkę? Jaka?

- Peter, *dziś rano byty już trzy telefony od Jean; twierdzi, że musi z tobą porozmawiać.* „Musi” jest podkreślone. Dwa razy - dodałam niespokojnie.

- Jean. Cóż, to może nic nie znaczyć, naprawdę. Niewinne stwierdzenie.

- Tak uważasz?

- Tak. A jeśli tak jest, o czym jestem przekonana, to Peter na pewno powie ci, kto to jest Jean. Radzę ci wprost go o to zapytać i zobaczyć, jak zareaguje. Nie martw się tym wszystkim, Faith - powiedziała Lily. - Modłę się za ciebie.

- Dzięki.

- Wczoraj wieczorem odmówiłam pięć *Zdrowaś Mario* i przez dwadzieścia minut śpiewałam psalmy.

- Fantastycznie. - Lily ma trochę niestandardowe podejście do religii.

- A dziś rano przeczytałam twój horoskop - stwierdziła poważnie. - W tej chwili istnieje duże napięcie między Saturnem i Marsem w twoim znaku, co prowadzi do niepomyślnej działalności na polu stosunków międzyludzkich.

- Rozumiem.

- Ale robisz to, co należy.

- Doprawdy? Wiesz co, Lily, chyba wolę zakopać głowę w piasek i pozwolić, aby życie biegło swoim torem, tak jak do tej pory.

- Mówią, że niewiedza jest błogosławieństwem, ale... - Westchnęła.

- Ale ja muszę to sprawdzić - stwierdziłam, a Lily przytaknęła. - Teraz, gdy już zaczęłam, przerodziło się to w obsesję. Mam wrażenie, że muszę poznać prawdę.

- Dobrze się do tego zabrałaś - powiedziała zachęcająco. - I choć nie chcę się wtrącać, wydaje mi się, że doskonale dajesz sobie radę. Twoje działania przynoszą rezultaty.

- Owszem - potwierdziłam - ale teraz nie wiem, co dalej.
- Prywatnie muszę powiedzieć, że twoja praca dedukcyjna daje efekty.

Prywatnie? Dedukcyjna? Eureka!

- Muszę znaleźć prywatnego detektywa - zawołałam.

- Widziałas to? - spytał Peter wczoraj wieczorem i pomachał „Guardianem”. - Artykuł o telewizji śniadaniowej.

- Co? Och, nie zauważyłam.

- Krytyk telewizyjny poszedł na całość.

Spojrzałam na artykuł. **MORDERCY PŁATKÓW OWSIANYCH.**
Nieźle.

Telewizja śniadaniowa przeważnie serwuje na śniadanie mnóstwo gładzenia - zaczęła Nancy Banks-Smith - z okazjonalną, odgrzewaną piosenkareczką. Jednak genialna Sophie Walsh wprowadziła nowe dania. Atmosfera między „mężem i żoną”, czyli starym wyjadaczem Doylem i Welsh jest tak gorąca, jak płynny azot. Niemniej jednak młoda Sophie traktuje sadystryczne żarty Doyle'a z godną podziwu zimną krwią. Jego prymitywne sztuczki, by skupić na sobie uwagę, są fascynujące, choć to Sophie wygrywa tę śniadaniową bitwę. Na razie.

- Cholera, wszyscy to zauważyli. Z drugiej strony, trudno byłoby nie zauważyć - powiedziałam.

- Na pewno wzrosnie oglądalność - stwierdził Peter. - Może taki jest cel Terry'ego?

- Nie sądzę.

- Idę na górę - oznajmił, otwierając teczkę. - Mam kolejny tekst do przeczytania.

- Czy mógłbyś mi najpierw coś powiedzieć? - spytałam.

- Jeśli potrafię - odparł zmęczonym tonem.

Wzięłam głęboki oddech.

- Czy mógłbyś mi powiedzieć, kto to jest Jean?

- Jean? Jean? - Wydawał się całkowicie zagubiony. Prawie mnie przekonał.

- A zatem nie znasz nikogo o imieniu Jean?

- Jean? - powtórzył, marszcząc brwi.

- Tak, Jean. Takie kobiece imię.

- Nie - stwierdził stanowczo. - Nie znam. - Nie miałam pojęcia, że jest takim dobrym aktorem. - Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. - Peter spojrział na mnie podejrzliwie, zatrzasnął teczkę i powtórzył, bardzo wolno:

- Nie znam żadnej Jean.

- W porządku.

- Ale wiem, dlaczego mnie spytałaś - dodał ze znużeniem. - I to naprawdę zaczyna mnie męczyć, Faith. Nie podoba mi się, że stałem się przedmiotem twoich brutalnych i niczym nieuzasadnionych podejrzeń. Aby je rozproszyć, podam ci teraz imiona wszystkich kobiet, które znam.

- Nie musisz.

- Ale chcę, ponieważ może dzięki temu wreszcie mi uwierzysz i zakończysz śledztwo. Szczerze mówiąc, jestem u kresu wytrzymałości, biorąc pod uwagę to, co mam każdego dnia w pracy. Zrozum, nie mam siły na dręczenie w domu.

- Wcale cię nie dręcę.

- Właśnie, że dręczysz - odparował. - Zadręczasz mnie od trzech tygodni. Nigdy tego przedtem nie robiłaś, ale nagle coś ci się stało, nie mam pojęcia dlaczego. Żeby cię więc przekonać, kochanie, że nie mam żadnych romansów na boku, wyliczę teraz, z pamięci, wszystkie kobiety, jakie znam. Chwileczkę. Najpierw w pracy: Charmaine, Phillipa i Kate w dziale wydawniczym, Daisya i Jo w reklamie, Rosanna, Flora i Emma w marketingu, Mary i Leanne w dziale sprzedaży. Mam z tymi kobietami regularne kontakty i z żadną z nich nie romansuję.

- Dobrze, dobrze.

- Potem są, oczywiście, wszystkie moje autorki. Clare Barry, której posłałem kwiaty, Francesca Leigh, Lucy Watt, Janet Strong, J.L. Wyatt, Anna Jones i... Kto jeszcze? Aha, Lorraine Liddel i Natalie Waugh.

- Nic mnie to nie obchodzi - stwierdziłam znudzona.

- Kto jeszcze? - Skrzyżował ręce na piersi i spojrział na sufit, szukając natchnienia. - Jest kilka agentek literackich, z którymi dość często rozmawiam. Betsy i Valerie w Rogers, Green, Joanna i Sue w Blake Hart, Alice, Jane i Emma w A.P. Trott i Celia w Ed McPhail.

- Dobrze.

- Nie, niedobrze, Faith. Pozwól, że będę wyliczał dalej. W tym śmiesznym Komitecie ds. Etyki Rodziny, w którym zasiadam cztery razy do roku, jest sześćdziesięcioletnia baronowa Warner, socjolog Dame Barbara Brown i dwie dość nudne mężatki, posłanki do parlamentu, które mają na imię Anne.

- Nie musisz...

- Inne kobiety, które znam, to: koleżanki łowcy głów, Theresa i Clare, no i naturalnie sąsiadki, ale ty też je znasz. Samantha spod dziewiątego, Jackie spod piętnastego i ta miła kobieta, jak ona się nazywa, którą spotykamy czasem w siłowni. Możesz dodać do tego nasze stare przyjaciółki ze studiów, jak Mimi, i to już wszystko. Ach, jeszcze Lily. Gdybyś jednak choć przez chwilę pomyślała, że coś mnie łączy z Lily, natychmiast zabrałbym cię do psychiatry.

- Dobrze, już dobrze - powiedziałam słabym głosem. - Wcale cię o to nie proszę.

- Ależ tak. Swoim podejrzliwym zachowaniem. Zapewniam cię jednak, że jedyną istotą z tego towarzystwa, która zeszła z drogi cnoty, jest Graham.

- Posłuchaj - zaczęłam zdenerwowana. - Ja tylko spytałam, czy znasz kogoś, kto ma na imię Jean.

- Nie - stwierdził stanowczo. - Nie znam.

Wiedziałam, że skłamałam. I to nawet nie było białe kłamstwo, lecz błyszczące, fluoryzujące, różowo-zielone. To dało mi do myślenia, ponieważ Peter jest człowiekiem prawdomównym, a tu łągał w żywe oczy. Nie mogłam jednak przyznać, że widziałam tę kartkę o Jean, bo dowiedziałaby się, że weszłam. Pomyślałam, że naprawdę powinnam znaleźć kogoś, kto by go śledził. Potem przypomniałam sobie, że to nie wchodzi w rachubę, bo prywatni detektywi nie są tani.

- W porządku, Faith? - spytał Peter, stojąc przy drzwiach.

- Co w porządku?

- Przekonałem cię? Czy możemy zapomnieć o twoich nonsensownych podejrzeniach? Chciałbym, aby nasze małżeństwo było...

- Jakie?

- Normalne.

- Chyba jest normalne.

Ostatnio praca stała się dla mnie odskocznią od małżeńskich stresów. W obrazach z satelity z masami chmur, jak z obrazów Turnera, kłębiącymi się nad niebieską planetą, jest coś, co sprawia, że zapominam o zmartwieniach. Odrywają mnie od nich także awantury w studio. Sophie miała bardzo zły dzień. Krasnoludki

na ekranie, z którego odczytuje tekst. Dziwne, pomyślałam. To znaczy, zwykle Sophie czyta płynnie i nigdy nie widziałam, żeby się zaplątała. U niej wygląda to wszystko szalenie naturalnie, jakby mówiła z głowy. Oczywiście naprawdę tak nie jest. Lisa na galerii ręcznie przesuwając tekst na ekranie, w tempie dopasowanym do prezentera. Jeśli prezenter zwalnia, Lisa także zwalnia, jeśli przyspiesza, ona też przyspiesza. Tym razem coś się popsuło.

- Witamy... z powrotem... w programie - powiedziała, jękając się Sophie po przerwie. - A teraz... - kontynuowała z prędkością trzydziestu trzech obrotów na minutę, a na jej twarzy zobaczyłam niepokój. - Raport o... seksualnym... równouprawnieniu... w sali konferencyjnej... stwierdza, że... ambitne... młode... kobiety... prowadzą... Wielką... Brytanię... w dwudziesty... pierwszy... wiek.

Aż przykro było patrzeć. Raz czy drugi zerknęła na tekst przed sobą, ale najwyraźniej się zgubiła. Potem znów spojrzała na ekran, ale tekst nadal pojawiał się na nim bardzo powoli. Zupełnie, jakbym widziała ją na torturach, choć dzielnie brnęła dalej.

- Prawie cztery... na... dziesięć...

- Co się dzieje, Liso? - usłyszałam w słuchawce głos Darryla.

- Nie mam pojęcia - zajęczała. - Chyba się coś popsuło.

- Dziś... w salach... konferencyjnych... rządzą... kobiety - mówiła dalej Sophie. - Najwyższy... wynik..., jaki... ostatnio... - Słyszałam, jak westchnęła. - Uzyskano. Kobiety są także...

- Pospiesz się, Sophie - przerwał jej nagle Terry. - Nie mamy czasu. Przykro mi - powiedział z przepraszającym uśmiechem - ale Sophie nagle straciła umiejętność wystawiania się. Pominie tę wiadomość i przejdziemy do reportażu Tatiany z Old Vic. Tak, cudowna Tatiana rozmawiała z Andrew Lloydem-Webberem o jego planach dotyczących tego ukochanego miejsca w Londynie, gdzie Laurence Olivier i John Gielgud stawiali pierwsze kroki.

- O co chodzi? - szepnęła Sophie do mikrofonu, gdy na wizji pojawił się reportaż Tatiany. - Co się stało z teleprompterem?

- Podobno coś się popsuło - wyjaśnił Darryl.

- Terry nie miał żadnych trudności - powiedziała. Widziałam, że jest bliska łez. - Nie rób tego więcej, Liso - dodała, przełykając ślinę.

- Ja nic nie zrobiłam - zajęczała Lisa. Prawdę mówiąc, nigdy jej nie lubiłam. - Coś się... zacięło.

- To rozetnij na mój następny kawałek - poradziła jej ostro Sophie. Miała rację. Nie ma nic gorszego, niż występowanie na

żywo przed milionową widownią zepsutym teleprompterem. Raz czy drugi i mnie się to zdarzyło i wyszłam na idiotkę. W dodatku widzowie pamiętają o tym przez całe lata. Mówią: „Widziałem panią w telewizji śniadaniowej”. Człowiek spodziewa się jakiegoś wspaniałego komplementu, a tymczasem słyszy: „Tak, dwa lata temu. To było bardzo śmieszne, teleprompter się zaciął”. I na to musi się powiedzieć: „O tak, to było bardzo śmieszne. Naprawdę. Ha, ha, ha!”

- Biedaczka - powiedział Terry do Sophie z udawanym współczuciem. - To musiało być okropne. Takie poniżające. I w dodatku w czasie najlepszej oglądalności. Pięć milionów ludzi przed telewizorami. Ojej, jaka szkoda.

Sophie spoglądała do swojego skryptu, udając, że go nie słyszy.

- Ale to są właśnie blaski i cienie telewizji na żywo - stwierdził filozoficznie Terry. - Nie zrozum mnie źle, skarbie, ale nie jestem pewien, czy się do niej nadajesz.

Później, na zebraniu, Darryl się wściekł.

- Powinnaś przeprosić Sophie, Liso - powiedział, krzyżując ramiona.

- Bardzo mi przykro, ale nie przeproszę - zajęczała. - To była usterka techniczna.

Do końca upierała się, że to nie była jej wina, kiedy jednak wychodziłam zauważyłam, że Terry i Tatiana jedli razem śniadanie w stołówce. Wyglądali na bardzo z siebie zadowolonych. Po chwili dosiadła się do nich Lisa. Nie trzeba być geniuszem, żeby się domyślić, co zaszło, choć ciekawa jestem, ile jej zapłacono.

Gdy wróciłam do domu, wzięłam Grahama na spacer nad rzekę, co uwielbia, a później znów zajrzałam na stronę internetową www.CzyOnOszukuje.com. Prosiłam o radę i ją otrzymałam.

Daj spokój mężowi, Emily - napisała Barbara z Nowego Jorku. - Nie masz żadnych dowodów, że ma romans, dlaczego więc szukasz kłopotów?

Jeśli masz wrażenie, że twój facet coś kręci, to na pewno tak jest - napisała Sally z Wichity.

Odpląć mu pięknym za nadobne, żeby wyrównać rachunki - zaproponował Mike z Alabamy.

Zakradnij się do jego biura i załóż mu podstuch na telefon - poradził ktoś inny.

Zadzwoń do adwokata !

*Wracaj do domu, do mamy.
Zatrudnij prywatnego detektywa.*

Zastanawiałam się nad tymi wszystkimi sugestiami, przygotowując w kuchni jarzyny na kolację. Nie zamierzałam szukać kochanka, uważałam to za niskie i tanie; nie mogłam w żaden sposób dostać się do biura Petera, nawet gdybym miała urządzenie podsłuchowe; nie stać mnie było na adwokata, więc to odpadało, i nie mogłam wrócić do mamy, bo jej nigdy nie było w domu. Nie miałam także serca wynająć kogoś, by śledził Petera. Ani kasy. Zadzwoiłam w parę miejsc i okazało się, że kosztowało by to co najmniej dwa kawałki. Nie wiedziałam, co robić.

- Dobrze się czujesz, mamó? - spytała Katie, która czyściła pojemnik swojej złotej rybki, Sigmunda.

- Co?

- Pytałam, czy się dobrze czujesz.

- Tak, oczywiście, kochanie. Dobrze. Dlaczego przypuszczasz, że nie?

- Obserwuję agresywny sposób, w jaki kroisz marchewkę.

- Naprawdę robię to agresywnie? - zdziwiłam się, z zawieszonym w powietrzu wielkim tasakiem.

- Tak, przypominasz mi Jacka Nicholsona w *Lśnieniu*. Odkąd Matt i ja wróciliśmy do domu, wyczuwam tu dużo stresu.

O Boże, pomyślałam przerażona. Wiedziałam, co mnie czeka.

- Wyczuwam dużo stresu - powtórzyła Katie - i mnóstwo tłumionego gniewu. Jesteś wrogo usposobiona, prawda?

- Nie jestem! - powiedziałam krótko.

- Czy jest coś, o czym chciałabyś mi opowiedzieć? - kontynuowała spokojnie. - Proszę, Siggy, masz wszystko czyściutkie.

- Opowiedzieć ci? - powtórzyłam zdumiona.

- Pytam, czy jest coś, co powinniśmy przedyskutować, mamó.

- Nie, dziękuję - odparłam, sięgając po sól.

- Wyczuwam tu duże zdenerwowanie.

- Naprawdę?

- Tak. Czy miewasz negatywne myśli?

- Negatywne? Nie.

- Czy się czegoś zapierasz?

- Z pewnością nie!

- Masz niepokojące sny?
- Oczywiście, że nie. Co za głupi pomysł. Nie.
- Widzisz, martwię się o twoje superego - dodała rzeczowo, nakrywając do stołki. - Wydaje mi się, że istnieją tu jakieś stłumione konflikty i dlatego musimy je przepracować, aby zdjąć presję z twojej podświadomości. Co byś powiedziała na swobodne skojarzenia? - spytała, wyjmując łyżki.
- Nie, dziękuję.
- Uważam, że bardzo pomogłoby to twojemu ego w otwarciu się.
- Moje ego zajęte jest przygotowaniem kolacji. Przykro mi, kochanie.
- Naprawdę, mam, to nic takiego.
- Wiem - powiedziałam, odcedzając fasolkę. - I dlatego nie mam na to ochoty.
- Musisz tylko usiąść, zamknąć oczy i mówić to, co ci przychodzi do głowy.
- Och, Katie, nie traktuj mnie jak królika doświadczalnego - rzuciłam z irytacją. - Nie możesz robić tego w szkole?
- Nie - stwierdziła z żalem.
- Dlaczego?
- Ponieważ wszystkie dziewczyny chodzą do psychoanalityka. Naprawdę, mam, swobodne skojarzenia są bardzo łatwe - nalegała, kiedy otworzyłam piekarnik, żeby sprawdzić zapiekankę. Wyjęła z kieszeni notes. - Mówisz to, co ci przychodzi do głowy, nawet rzeczy nieważne.
- O Boże...
- Nawet nieważne - mówiła dalej uspokajająco. - A także obrzydliwe i perwersyjne.
- Katie! - przywołałam ją do porządku. - Nie mam zamiaru poddawać się psychoanalizie pod okiem kogoś, kto jeszcze niedawno bawił się lalkami Barbie.
- Barbie interesowała mnie jedynie jako paradygmat amerykańskiego imperializmu kulturowego. Proszę cię, mam, tylko przez pięć minut.
- Och, niech ci będzie - zgodziłam się. - Mogę zrobić ci tę przyjemność. Ale wiedz, młoda damo, że dla mnie ta psychoanalityczna paplanina jest głupia i nieprzekonująca.
- Nic nie szkodzi - zapewniła. - Uwolnij swój gniew. Nie powstrzymuj niczego. Wszystko, co powiesz, będzie w porządku.

Usiądź. Zamknij oczy. Dobrze. Rozluźnij się. Oddychaj głęboko. Pozwól, aby twój umysł też się rozluźnił. Co ci przychodzi do głowy?

- Mmm...

- Nie, nie zastanawiaj się, powiedz. Od razu, dobrze? Już.

- No, marchewka.

- Tak.

- Krajanie.

- Dalej.

- Nóż... ostry... wbić... czas. Piętnaście. Szczęśliwa. Nie. Skończone. Może. Guma do żucia Wrigley. Kręta. Lucky strike. Uderzyć. Zranić. Serce. Kwiaty. Zdrada. Kłamstwo. Oszukiwanie. Romansowy typek. Tyle! - Nagle wstałam. - Nie chcę się już w to bawić.

- Wykazujesz klasyczny opór, mamo - powiedziała łagodnie Katie. - Nie przejmuj się, to całkiem naturalne i oznacza, że zbliżamy się do źródła problemu.

- Nie mam żadnych problemów. Cześć, Matt. Jesteś.

- Podświadomie walczyłaś z chęcią odkrycia ciemnych sekretów - powiedziała wesoło Katie, zamykając notes.

- Posłuchaj, córeczko - zaczęłam cierpliwie, ocierając czoło.

- Nie mam żadnych ciemnych sekretów i ten freudowski bełkot jest po prostu idiotyczny. Kolacja gotowa, więc wyświadczyć mi tę przysługę i idź, zabij ojca.

Kto to jest Jean? - rozmyślałam. Moja rywalka. Jak wygląda? Blondynka czy brunetka? Wysoka czy niska? Młodsza ode mnie? Ładniejsza? Przypuszczalnie. Szczuplejsza? To nic trudnego. Dowcipniejsza i bardziej inteligentna? Jak i gdzie się poznali? Czy to ona go poderwała, czy dała się poderwać? Czy Peter wyobraża sobie, że jest w niej zakochany czy to tylko fizjologia? O Boże. O Boże. Torturuję się, ale nie potrafię przestać. Dziś rano znalazłam w kieszeni Petera kolejny liścik na temat Jean, co mnie podwójnie zdenerwowało, bo weekend minął bardzo przyjemnie. Zachowywaliśmy się całkiem normalnie, jak rodzina. Wyszliśmy na spacer z psem. Wypożyczyliśmy film na wideo - *Depresja gangstera*. Dzieciom się podobał. Poza tym Matt, jak zwykle, przesiedział większość czasu w swoim pokoju, choć, o dziwo, wychodził kilkanaście razy do skrzynki pocztowej. Ale ogólnie było dobrze.

Zacęłam się relaksować i myśleć, że może jednak moje podejrzenia są bezpodstawne, bo w końcu nie mam żadnych dowodów na to, że Peter coś kręci, oprócz tych okropnych przeczuć. Ale dziś rano, kiedy wróciłam z pracy, zobaczyłam, że zapomniał swojej teczki. Otworzyłam ją - nie była zamknięta na kluczyk - i wiem, że to nieładnie, choć na swoją obronę mogę jedynie powiedzieć, że po prostu musiałam to zrobić. Przeżywam prawdziwe katusze. Straciłam spokój ducha. Dopóki nie dowiem się czegoś konkretnego, będę żyła w zawieszeniu. Otworzyłam więc teczkę i jestem z tego powodu zadowolona. Znalazłam. Schowany w bocznej kieszeni. Liścik od Iris, sekretarki Petera.

Peter, znów telefon od Jean, bardzo nerwowy. Mówi, że jesteś „niegrzeczny”, bo nie oddzwoniasz, i że „bardzo, bardzo, bardzo” prosi o telefon.

„Niegrzeczny”? O mój Boże! Przypuszczalnie jest sadomasochistką. Rozzłościłam się na Iris, którą do tej pory lubiłam, za pomaganie mojemu mężowi w tym *liaison dangereuse**. Potem spojrzałam na maszynopis, nad którym Peter pracował, i znów zobaczyłam imię Jean. Peter napisał je wiele razy na marginesach, jakby był opętany. Pisał „Jean”, a czasem tylko samo „J”. Gdyby to była kobieta, którą znał służbowo, z radością by mi o tym powiedział. Jednak fakt, że tak gorąco zaprzeczał, że zna jakąkolwiek Jean, jeszcze wzmógł moje podejrzenia.

- Umieram - powiedziałam wieczorem Lily. - Nie wiem, co robić.

Siedziałyśmy w Bluebird Cafe przy King's Road, niedaleko jej mieszkania.

- Napij się laurent perrier, to cię podniesie na duchu - powiedziała, przekrzykując hałas.

- Nie, dziękuję. Nie chcę być podniesiona na duchu! Wręcz przeciwnie. Czuję się, jakbym żyła z obcym człowiekiem - dodałam, popijając sok pomidorowy. - Nagle, nie wiadomo dlaczego, wszystko się zmieniło. Mam wrażenie, że wcale go nie znam.

- Jesteś pewna, że zrobiłaś wszystko, co można, jeśli chodzi o szukanie dowodów? - spytała rzeczowo, dyskretnie podsuwając chipsa Jennifer Aniston. - Czasem trzeba powęszyć.

- Węszyłam.

- Ale...

* *liaison dangereuse* (franc.) - niebezpieczny związek (przyp. red.).

- Nic nie dało.
- Oczywiście, że nie, bo nie wszędzie zajrzałaś. Moja ty biedna - dodała współczująco, zapalając cygaro. - Te wątpliwości muszą być dla ciebie straszne. Zakłócają ci spokój ducha.
- Tak, tak właśnie jest - przyznałam. - Straciłam spokój ducha.
- A zatem musisz go odzyskać - stwierdziła rozsądnie. - Mąż jednej z moich znajomych zaczął kręcić i ona skorzystała z pomocy podstawionej kobiety.
- Takiej, co podrywa twojego męża, żeby sprawdzić, czy da się skusić? - Lily skinęła głową. - O, nie, nie mogłabym zrobić czegoś takiego. To pułapka. Nie będę wodzić Petera na pokuszenie.
- Ależ Faith, wygląda na to, że sam już się tam zawiódł.
- No tak - przyznałam grobowym tonem. - Na to wygląda. Mogłabym śledzić go w drodze do pracy, ale na pewno od razu by mnie zauważył.
- Na pewno - przyznała.
- Mam wielką ochotę wynająć prywatnego detektywa.
- Tak, tak, pamiętam, że już o tym wspominałaś - stwierdziła z roztargnieniem. Spojrzałyśmy na siebie, popijając. - A właściwie dlaczego tego nie zrobisz?
- Bo są stanowczo za drodzy - odparłam. Rozejrzałam się po restauracji. Byłyśmy otoczone szczęśliwymi małżeństwami. - Spójrz na tych wszystkich ludzi - jęknęłam. - Są szczęśliwi ze swoimi partnerami.
- Nie jestem pewna, czy masz rację. A raczej - dodała, wdmuchując pióropusz błękitnego dymu - wiem, że się mylisz. Widzisz tę parę tam, przy oknie? - Podążyłam za jej spojrzeniem. Mężczyzna w garniturze w paski jadł kolację w towarzystwie atrakcyjnej brunetki. Rozmawiali i uśmiechali się, patrząc sobie w oczy. Wyglądali na zakochanych.
- On jest bankierem - wyjaśniła Lily. - Spotkałam go raz czy dwa riana przyjęciach.
- I co?
- Kobieta, z którą je kolację, nie jest jego żoną.
- Ach, tak? - Westchnęłam.
- Gdzie jest teraz Peter? - spytała szeptem.
- Na promocji książki.
- Przypuszczam, że to może nawet być prawda - mruknęła. - Muszę powiedzieć, że pomysł z prywatnym detektywem coraz

bardziej mi się podoba. Ale nic więcej nie powiem, bo jesteś moją najlepszą przyjaciółką i nie chcę się wtrącać.

- Boże, Lily, co za straszna niepewność. Jakbym usiłowała się wydostać z płynnego cementu. Jakbym biegła do góry ruchomymi schodami, które jadą w dół. Wiesz, naprawdę chciałabym, żeby ktoś go śledził. Szkoda tylko, że to tak drogo kosztuje.

- Biedna Faith - powiedziała Lily, unosząc kieliszek z szampanem do ust. - Hej! Mam pomysł. Ja zapłacę.

- Słucham?

- Ja zapłacę za wynajęcie detektywa - powtórzyła, otwierając torebkę. - Od razu wypiszę ci czek.

- Nie żartuj, Lily. Nie mogę się na to zgodzić.

- Aleja chcę.

- Dlaczego?

- Dlaczego?

- Tak, dlaczego?

Położyła mi rękę na kolanie.

- Ponieważ jesteś moją najdroższą przyjaciółką na świecie. Dlatego. Chociaż nie jest to jedyny powód - powiedziała nagle z podejrzanym chichotem. - Mam w tym swój ukryty cel.

- Naprawdę?

- Tak. Widzisz, od jakiegoś czasu planuję dla „Moi!” specjalny dodatek na temat niewierności. Chciałabym wydać go w czerwcu, żeby zrównoważyć te wszystkie mdłe i okropne śluby. Będzie miał tytuł: „Hultaj”.

- Coś takiego.

- Mogłabym przeprowadzić z tobą wywiad.

- O nie, w żadnym wypadku.

- Całkowicie anonimowo, oczywiście - pospieszyła z wyjaśnieniem. - Zapłaciłabym za twojego detektywa i wpuściła w koszty firmy. Mamy na to pieniądze. A w końcu to ja jestem szefową.

- Zapłaciłabyś?

- Tak. To byłby znakomity materiał dla pisma. Zrobiłabym ten wywiad z tobą, bo wiem, że mi ufasz. Nikomu nie zdradzę, kim jesteś. Napisałabym to w pierwszej osobie: **DLACZEGO KAZAŁAM ŚLEDZIĆ MOJEGO MEŻA?** Oczywiście mogłabyś przeczytać tekst przed publikacją. Nie martw się, nikt się nie domyśli, że chodzi o ciebie i Petera. I jak?

- No...

- To dobra oferta, prawda?

- No tak. Tak. Ale prawdę mówiąc, Lily, nie jestem pewna.
- Posłuchaj, Faith - powiedziała cierpliwie - to bardzo proste. Chcesz, żeby wrócił ci spokój ducha? Czy nie?
- Tak! - wykrzyknęłam. - Chcę!

Nadal luty

I tak znalazłam się w biurze firmy Osobiste poszukiwania. Wyszukałam ich, wbijając szpilkę w dział „Prywatnych dochodzeń” na żółtych stronach. Byłam umówiona na trzecią. Za dziesięć trzecia zaczęłam się wspinać po rozchwianych stopniach wąskiego budynku w Marylebone. Pukając do drzwi z półprzejrystą szybą, poczułam dreszcz podniecenia. Jednak za drzwiami nie dojrzałam prochowca ani charakterystycznego kapelusza. Nie było też pięknej sekretarki piłującej paznokcie. Był tam jedynie zmęczony facet, mniej więcej czterdziestopięcioletni, z krótkimi brązowymi włosami i brodą.

- Miałem ciężki dzień - oznajmił prywatny detektyw Ian Sharp, dypl. PD, grzebiąc w papierach na biurku. - Proszę mi jeszcze raz przypomnieć, z czym pani przychodzi. Czy chodzi o sprawę pracowniczą, finansową, polityczną, medyczną, oszustwo ubezpieczeniowe, sprawdzenie opiekunki do dziecka, sprawdzenie sąsiadów, porwanie dziecka, zaginięcie, poszukiwania adopcyjne czy stare dobre małżeństwo?

- Małżeństwo - odparłam, spoglądając na tabliczkę z napisem: **NIE MA RZECZY NIEMOŻLIWYCH**.

- Jeśli chodzi o małżeństwo, to powiem od razu, oszczędzając pani masę kasy, że to jest albo jego sekretarka, albo pani najlepsza przyjaciółka.

- Ani jedna, ani druga - powiedziałam, siadając na tanim, zielonym, plastikowym krześle.

- Skąd pani wie?

- Jego sekretarka, Iris, ma pięćdziesiąt dziewięć lat, a mojej najlepszej przyjaciółki nie znosi.

- A zatem kim może być ta kobieta? - spytał łan Sharp. - I dlaczego podejrzewa pani męża o zdradę?

- Ma na imię Jean - wyjaśniłam. - A mój mąż od tygodni zachowuje się podejrzanie.

- Jean? - powtórzył powoli. - Jean. Hmm. Sądząc po imieniu jest przypuszczalnie Szkotką. - To mi nie przyszło do głowy, ale teraz zabrzmiało prawdopodobnie. Powiedziałam mu o dwóch liścikach, o kwiatach, które wysłał Peter, o gumie do żucia i papierosach.

- Rozumiem. Coś jeszcze?

- Tak. Jest nieobecny duchem i rozkojarzony, późno wraca z pracy, dobrze wygląda, kupił komórkę, nie jest zainteresowany seksem, kupił sobie nowe ubrania i zaczął przysyłać mi kwiaty.

- Aha - powiedział, robiąc daszek z dłoni. - Same klasyczne oznaki.

- Właśnie.

- Ale żadnych dowodów?

- Na razie nie.

- Czyli na razie to jest tylko przeczucie - dodał, stukając czubkami palców jednej ręki o drugą. - Dzwoni dzwonek alarmowy. Pani antena odbiera sygnały.

- Jak szalona.

- W gruncie rzeczy to staje się obsesją- stwierdził rzeczowo.

- Tak.

- Czyli, przychodząc tutaj, szuka pani spokoju ducha?

- Tak, tak, oczywiście - potwierdziłam entuzjastycznie. - Chciałabym odzyskać spokój ducha.

- Być może. uda mi się pani pomóc - powiedział poważnie. Pochylił się do przodu, oparł łokcie na biurku i złożył ręce jak do modlitwy. - Być może, dostarczę pani faktów - mówił dalej - ale mogą one odnieść przeciwny skutek, jeśli chodzi o odzyskanie spokoju ducha. Ponieważ prawda jest taka, że intuicja kobiet na temat złego zachowania ich mężów sprawdza się w dziewięćdziesięciu procentach.

- Ach, tak - powiedziałam słabym głosem. - Rozumiem.

- Musi więc pani wziąć pod uwagę konsekwencje tego, co by się stało, gdybym znalazł dowody na niedyskrecję pani męża. Jeśli bowiem podejmę się sprawy, zapoznam panią z pisemnym raportem na temat tego, czego się dowiedziałem, być może, razem z kompromitującymi zdjęciami pani męża i tej kobiety.

- Wiem-szepnęłam.

- Musi się pani przygotować emocjonalnie na to, co przyniesie przyszłość. Być może, powiedzmy za tydzień, będzie pani siedziała tutaj w biurze i przyglądała się fotografii męża, trzymającej go za rękę inną kobietę...

- Och.
- Albo ją całującego.
- Ojej.
- Albo wchodzącego z nią do hotelu.
- O Boże. - Poczułam mdłości.

- Albo zdjęcie jego samochodu pod jej domem. Proszę więc, tak jak proszę wszystkich potencjalnych klientów w sprawach matrymonialnych, żeby się pani poważnie zastanowiła. Czy jest pani przygotowana na takie... nieprzyjemne widoki? - spytał.

Westchnęłam.

- Tak, myślę, że tak.

- W takim razie moja stawka wynosi czterdzieści funtów za godzinę plus VAT, pięćdziesiąt pięć za pracę wieczorem, plus wydatki ekstra, plus benzyna, za którą liczę skromne osiemdziesiąt pięć pensów za kilometr. Czy chce pani wersję podstawową?

- A z czego się składa?

- Jadę za pani mężem do pracy, siedzę w samochodzie z małym, ale niezawodnym aparatem fotograficznym pod ręką. Gdziekolwiek uda się pani mąż, będę w pobliżu, trzaskając zdjęcia.

- Czy istnieje niebezpieczeństwo, że pana zauważy?

- Niech pani powie - zaczął cierpliwie Ian Sharp - co panią we mnie uderzyło?

- Uderzyło? - powtórzyłam osłupiała. - Nic. Nie wiem, o co panu chodzi?

- Jakie mam cechy charakterystyczne?

- Ja nie wiem...

- Jakiego jestem wzrostu?

- No... średniego.

- A tuszy?

- No... normalnej. Nie jest pan ani chudy, ani gruby.

- Właśnie! - wykrzyknął triumfalnie. - Jestem całkowicie bezbarwny! - dodał z dumą. - Zwyczajny. Niezauważalny w tłumie. Ludzie mnie nie widzą. Nie pamiętają. W swej przeciętności jestem niewidzialny.

- Tak bym tego nie określiła.

- Nikt nie rozpoznałby mnie na okazaniu.

- Nie?

- Mój wygląd jest nijaki i pospolity.

- No...

- Co oznacza - kontynuował z przekonaniem - że pani mąż nie będzie sobie zdawał sprawy z mojej obecności. Podczas piętnastu lat kariery ani razu nikt mnie nie zauważył. Z drugiej strony, ci mężczyźni są przeważnie tak zajęci swymi problemami, że nie zdają sobie sprawy, iż ktoś ich śledzi. Ale ja jestem na tropie. Zawsze.

- Dobrze.

- To są zadania podstawowe. Nazywamy je Usługą Brązową. Mogę też pani zaoferować coś bardziej wyrafinowanego, co nazywamy Usługą Srebrną, kiedy noszę... - Nagle rozchylił poły marynarki, odsłaniając coś, co wyglądało jak kamizelka kuloodporna. - To!

- A...

- To jest specjalny sprzęt z ukrytą kamerą wideo. Czy widzi pani kamerę? Tak czy nie? Jeśli tak, to niech pani powie, gdzie ona jest?

- Nie - odparłam zgodnie z prawdą. - Nie widzę.

- Tutaj. - Pokazał na maleńką szpilkę w klapie. - W tej szpilce jest ukryty obiektyw o grubości zaledwie paru mikronów.

- Coś takiego!

- Jeśli miałbym używać kamery wideo, użyłbym właśnie tej, ale tego rodzaju wyposażenie jest drogie i dlatego kosztowałoby to panią dodatkowe dziewięćdziesiąt pięć funtów dziennie.

- Rozumiem.

- Moglibyśmy również użyć tego. - Wziął teczkę i położył ją na biurku. - To jest teczka magnetofonowa. Mógłbym umieścić ją w szafie w biurze pani męża; w środku jest bardzo czuły mikrofon, który rejestrowałby te wszystkie słodkie słówka rzucane przez telefon.

- Rozumiem.

- A jeśli chciałaby pani pełną pięciogwiazdkową Złotą Usługę, to musiałbym zatrudnić dodatkowo czterech moich kolegów, którzy obserwowaliby pani męża na okrągło, dwadzieścia cztery godziny na dobę, odnotowując każdy jego ruch. Nie mógłby się nawet podrapać w tyłek, żebyśmy o tym nie wiedzieli.

- To chyba nie będzie konieczne.

- Ja też tak sędzę. Uważam, że dla pani celów zupełnie wystarczy Usługa Brązowa. Czy ma pani pojęcie, jak wygląda tamta kobieta?

- Nie. I nie mogę się tego w żaden sposób dowiedzieć od Petera, ponieważ zaprzecza, że w ogóle zna jakąś Jean.

- Rozumiem. Czy ma pani zdjęcie męża?

- Tak. - Wyjęłam z torebki stosunkowo niedawne zdjęcie.
- Ile ma wzrostu? Z fotografii trudno się zorientować.
- Jakiś metr osiemdziesiąt. Waży osiemdziesiąt dwa kilo. Nie, ostatnio schudł i waży chyba jakieś siedemdziesiąt sześć. Ma jasne włosy i jasną, lekko piegowatą cerę.

- O której wychodzi do pracy?

- Mniej więcej piętnaście po ósmej. Wsiada do metra na linii District i dojeżdża do Embankment. Stamtąd idzie piechotą do biura przy Villiers Street. Pracuje na siódmym piętrze.

- Marka i numer rejestracyjny samochodu?

Powiedziałam mu.

- Dobrze. Biorę tę sprawę. Najpierw jednak poproszę o pięćset funtów zaliczki.

- Och, oczywiście. Mogę dać panu czek. - Wypisując czek, podziękowałam w duchu Lily za jej cudowną pomoc.

- Ostatnie pytanie, proszę pani - powiedział Sharp, gdy naciśkałam kławkę. - Czy postanowiła pani, co zrobi, kiedy pani podejrzenia się potwierdzą?

- Co zrobię?

- Tak. Jakie działania pani podejmie?

- Działania? Nie wiem. Nie myślałam tak daleko naprzód.

- Nie chciałbym się wtrącać, ale uważam, że powinna pani wypracować w sobie jakiś stosunek do jego zdrady.

- Do jego zdrady? - powtórzyłam. Co za straszne słowo. - Zdrady nie jestem w stanie zaakceptować.

- Podsumowując - powiedziałam z zawodowym entuzjazmem - zapowiada się typowy lutowy dzień...

- Terry, nie dłub w nosie... cztery, trzy...

- Z grubą warstwą chmur...

- Następni będątorysi...

- Prawie nad całym krajem.

- Dwa, jeden...

- A nazywa się dość depresyjnie...

- O cholera! Gdzie jest tekst o Williamie Hague?

- Jako zachmurzenie antycykloniczne.

- Nie wiem, kto ma taśmę.

- Obawiam się zatem, że w najbliższym czasie nie ma szans na poprawę pogody.

- To znajdź!
- Zwłaszcza w Chiswick.
- Co?
- Pod wieczór, w rejonach południowo-wschodnich, można się spodziewać opadów.
- Nie mogę.
- Na wszelki wypadek proszę nie zapominać o parasolach.
- O Boże, nawijaj, Faith, nawijaj!
- A propos parasoli, znane powiedzonko mówi, że padało tak, jakby z nieba leciały psy i koty...
- Półtorej minuty, Faith, błagam.
- Ale nie wiem, czy państwo słyszeli o opadach żab i ryb?
- Dobra robota.
- Wszyscy wiedzą, że te wielkie chmury, cumulonimbusy, przynoszą burze.
- Naprawdę?
- Czasami na ich dnie formują się tornada.
- Mam wrażenie, że u mnie też za chwilę wybuchnie tornado! Wczoraj zjadłem strasznie ostre curry.
- Gdy te niewielkie tornada przechodzą nad stawami, wysysają żaby i ryby.
- Nie mów!
- Później, kiedy front burzowy przechodzi, żaby i ryby spadają z nieba.
- O cholera!
- Znane są przykłady, gdy nad Tamizą spadały z nieba sole z Dover.
- Nie mów! Dobrze, Faith, trzy, dwa...
- Ale na szczęście to zdarza się bardzo rzadko.
- Zero. Dzięki.
- Do zobaczenia za pół godziny.

Idąc do swojego pokoju, zobaczyłam na biurku w planowaniu egzemplarz „Belli”. W oczy rzucił mi się tytuł CZY TWÓJ MAŻ MA KOGOŚ NA BOKU? Ostatnio zawsze, kiedy widzę coś na temat niewierności małżeńskiej, zabieram i czytam. Tym razem przeczytałam naprawdę okropne historie o kobietach, które w koszu na brudną bieliznę znajdowały cudze podwiązki albo po powrocie do domu zastawały męża in flagranti z dziewczyną do dziecka. Opowieści o tym, jak Ta Druga zdecydowała się wyjawić wszystko prawowitej żonie. Shirley z Kentu znalazła takie wyznanie za wycieraczką

samochodu, a kochanka męża Sandry z Penge zadzwoniła do niej, aby jej się zwierzyć. Natychmiast przeraziłam się, że Jean też zrobi mi coś takiego. Już ją nawet słyszałam w wyobraźni, dzwoniącą z pogrózkami, które z jakiegoś powodu wyrażała z akcentem bardziej Irvine Welsh niż panny Jean Brodie.

- To ty mnie posłuchaj - mówiła groźnym tonem. - Zakochałam się w twoim mężu.

- O nie!

- I nie miej żadnych złudzeń, on też mnie kocha.

- Proszę tak nie mówić!

- Spotykamy się od pół roku.

- O Boże!

- Zostawi cię i zamieszka ze mną!

Byłam tak przerażona, że od razu chciałam zadzwonić do Iana Sharpa i zapytać, co mam robić. Ale nie mogłam, bo nie pozwala dzwonić do siebie klientom, dopóki nie zakończy pracy. A poza tym ma rację, bo, po pierwsze, nie mogę dzwonić z pracy, gdzie wszyscy wszystko słyszą, a po drugie, gdybym zadzwoniła z domu, jego numer widniałby na wydruku i Peter mógłby sprawdzić, do kogo dzwoniłam. Musiałam więc uzbroić się w cierpliwość, choć byłam codziennie tak zdenerwowana, że z trudem funkcjonowałam. I dlatego wzruszyłam się, gdy dziś Sophie odezwała się do mnie w damskiej ubikacji, w czasie trzeciej przerwy na reklamę.

- Dobrze się czujesz, Faith? - spytała, gdy przeglądałam się w lustrze. Pomyślałam, że to było bardzo miłe z jej strony, bo właściwie nigdy nie rozmawiałyśmy.

- Dobrze - odparłam. - Dobrze. Dzięki. Dobrze. Dobrze. Naprawdę. Tak.

- To świetnie. Tylko że zwykle masz taki dobry humor, a teraz pomyślałam, że jesteś jakby... zmartwiona.

- O nie. Nie.

- Trochę rozkojarzona.

- Nie. Wcale nie. Dlaczego tak sądzisz?

- Dlatego, że właśnie spryskałaś włosy dezodorantem.

- Naprawdę? Ach, tak. Faktycznie. Jestem dość zmęczona - wyjaśniłam lekko. - Wszystko przez te okropne godziny. Wiesz, jak to jest. Mam zakłócony biorytm. Ale tobie dobrze idzie - dodałam, żeby zmienić temat. - Jesteś doskonałą prezenterką i radzisz sobie z Terryem. Ja na twoim miejscu co chwila bym płakała.

Wygląda na to - kontynuowałam, kiedy myła ręce - że masz przed sobą wspaniałą przyszłość w AM-UK!

Gdy to powiedziałam, spojrzała na mnie ze zdumieniem, a potem skrzywiła się, co mnie zdziwiło.

Następne dni wlokły się niemiłosiernie. Miałam zszargane nerwy i nie mogłam spać. Co gorsza, wszędzie widziałam imię Jean. Przeczytałam w „Mail”, że aktorka Jean Tripplehorn nakręciła nowy film. W „Hello!” napisali, że Jean Marsh z *Upstairs Downstairs* kupiła nowy dom. W „TV Quick” informowali, że powstaje nowy serial na podstawie powieści Jean Plaidy, a na Kanale 4 mieli wyświetlać stare filmy Jean Simmons. Z najwyższym trudem wynajdywałam sobie zajęcia, żeby nie myśleć wyłącznie o jednym. Skończyłam czytać *Panią Bovary* (zapłaciła wysoką cenę za zniszczenie własnego małżeństwa), chodziłam do siłowni i na basen. Wzięłam udział w kilku konkursach i poświęcałam mnóstwo czasu Grahamowi. I jakoś udało mi się powstrzymać przed dzwonieniem do lana Sharpa pięć razy na minutę. Choć przez cały czas wyobrażałam sobie, jak śledzi Petera. Biedny Peter, myślałam. Czułam się jak ostatnia zdrajczyni i było mi go żal. Prawdę mówiąc, nie bardzo wiedziałam, jak mogłabym spojrzeć mu w oczy, jednak na szczęście był bardzo zajęty i prawie się nie widywaliśmy. Miał trzy lunche z autorami, dwie promocje książek i, oczywiście, spotkania z Andym. Ciekawa byłam, czy na jeden z lunchów zaprosił Jean i do której restauracji się wybrali; o czym rozmawiali i czy bawili się w pieszczoty stopą pod stołem albo jeszcze coś gorszego, i czy Jean ma wyrzuty sumienia, że spotyka się z żonatym facetem. Zapisywałam bardzo szczegółowo moje odczucia, aby mieć dużo materiału dla Lily. Wreszcie nadszedł ten straszny dzień i poszłam do lana Sharpa.

Kiedy stukałam do drzwi jego gabinetu, serce waliło mi jak oszalałe. Czułam się tak, jakbym miała poznać wyniki jakichś okropnych badań. Odetchnęłam głęboko przez nos i przygotowałam się na najgorsze.

- Proszę mi wszystko powiedzieć - zaczęłam. - Muszę wiedzieć.
- Nie mam nic do powiedzenia - stwierdził Sharp.
- Nic? - powtórzyłam słabym głosem. - Och.
- Nie znalazłem absolutnie żadnych dowodów, że pani mąż ma romans.
- Żadnych? - powtórzyłam, zdając sobie sprawę, że nie wiadomo dlaczego, odczuwam raczej zdziwienie, niż ulgę.

- Nic - dodał, wzruszając ramionami. - *Zero. Nada. Nul.*
- Jest pan pewien? - spytałam, lekko urażona. W końcu wyszło na to, że się myliłam.
- Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent.
- A te trzy lunche w zeszłym tygodniu? Myślałam, że to z nią się spotykał.
- Nawet jeśli tak było, zapewniam panią, że nie ma między nimi żadnego romansu. Pani mąż za każdym razem zachowywał się bez zarzutu. Rozmawiał z zaproszoną na lunch osobą, płacił rachunek, zegnał się i wracał do pracy. Proszę - powiedział, otwierając zniszczony skoroszyt - pokażę pani. Miał lunch z tą panią...
- To Lucy Wart - stwierdziłam, przyglądając się czarno-białej fotografii. - Jest pisarką.
- Wyciągnął kolejne zdjęcie.
- A ta?
- To jest agentka. Poznałam ją kiedyś. Wydaje mi się, że pracuje w agencji A.P. Trott.
- Siedziałem przy sąsiednim stoliku i mogę panią zapewnić, że na każdym z tych spotkań pani mąż zachowywał się nienaganie. - Podał mi następne zdjęcie. - Z tym mężczyzną spotkał się na lunchu przy Charlotte Street.
- Nie wiem, kto to jest. Prawdopodobnie łowca głów, który szuka dla niego pracy, Andy Metzler.
- Spotkał się też któregoś wieczoru na drinku w Quaglino's z tą kobietą. - Spojrzałam na fotografię. Była trochę niewyraźna. Przy stole obok Petera siedziała atrakcyjna blondynka, mniej więcej w moim wieku, której nigdy dotąd nie widziałam. Peter wprawdzie uśmiechał się do niej, ale to wszystko. Wyglądał nawet na dość spiętego.
- Zna pani tę kobietę?
- Nie - odparłam, wzruszając ramionami. - Wygląda na twardą sztukę, prawda? Przypuszczalnie jest agentką, która wyklóca się o każde słowo w umowie autora, którego reprezentuje.
- Na końcu obejrzałam sześć zdjęć Petera na promocjach książkowych, z których jedna odbyła się w Groucho, a druga w Soho House.
- Dostał się pan tam? Podziwiam.
- Na obu było mnóstwo ludzi i mogłem wtopić się w tłum - wyjaśnił Sharp. - Jestem jak kameleon - dodał z dumą.

- Ale jak pan zrobił zdjęcia bez flesza?

- To moja firmowa sztuczka - powiedział, stukając palcem w nos.

Przyjrzałam się fotografiom. Na każdej z nich Peter rozmawiał z autorami, których książek dotyczyły promocje, z Robertem Knightem i Natalie Waugh, oraz z kolegami z działu wydawniczego. Na jednej widać było, że w cywilizowany sposób rozmawia z Charmaine.

- Po każdej z tych imprez pani mąż brał taksówkę i jechał prosto do domu. I wiem, że tak było, bo za każdym razem śledziłem go aż pod same drzwi. A więc na podstawie tego, co widziałem w ciągu tygodnia, wydaje mi się, że się pani myli. Wydaje mi się, że pani podejrzenia wynikły raczej z jakiejś paranoi, a nie z konkretnych faktów.

- Tak, tak, ma pan rację. - Odczuwałam taką ulgę, że najchętniej bym go ucałowała. - Tylko... Nie wiem... Coś mnie poniosło. Rozbuchała mi się wyobraźnia - powiedziałam z uśmiechem. - Ale teraz odzyskałam spokój ducha.

- Jednak moim obowiązkiem jest poinformowanie pani, że być może tej kobiety, Jean, nie było po prostu w tym tygodniu w Londynie. Mogła gdzieś wyjechać...

- Rozumiem, na przykład do Szkocji.

- I nie mogła się spotykać z pani mężem.

- No tak, to możliwe - przyznałam. Moja euforia wyparowała.

- Choć pani mąż wydaje się zupełnie niewinny, nie mogę być tego na sto procent pewien. Musiałbym go śledzić przez dłuższy czas.

- Tak, rozumiem.

- Radzę pani założyć, że wszystko jest w najlepszym porządku i prowadzić normalne życie. Prawdopodobnie tak właśnie jest, w porządku. Gdyby jednak znów nabrała pani jakichś podejrzeń, proszę się do mnie zwrócić.

- Oczywiście - powiedziałam. - Dobrze. Na razie tak to zostawię. Zakładam, że wszystko jest w porządku, bo tak robiłam do tej pory. A jeśli coś się zmieni, mogę zawsze do pana wrócić. Tak, tak będzie najlepiej. Dziękuję.

Wypisałam czek na tysiąc pięćset funtów - znowu dziękując w myśli Lily - i wróciłam metrem do domu. Z jednej strony, byłam zadowolona, że Sharp niczego nie znalazł, z drugiej - wciąż miałam wątpliwości. Liściki dotyczące Jean? Kwiaty, guma i papierosy?

Podejrzenia nie chciały odejść. Nagrałam się na automatyczną sekretarkę u Lily i zrobiłam sobie herbaty. Pół godziny później zadzwonił telefon.

- To na pewno Lily - powiedziałam do Grahama.

I już miałam zacząć od tego, że moje podejrzenia okazały się nieuzasadnione, gdy usłyszałam nieznanego mi męski głos.

- *Allo?* Czy to pani Smith?

- Tak - odparłam zaskoczona. - To ja.

- Aha. Usiłuję nawiązać kontakt z pani mężem Peterem. Jego sekretarka, mam nadzieję, że nie weźmie jej pani tego za złe, dała mi numer domowy.

- Tak?

- Muszę z nim porozmawiać.

- Rozumiem. Hm... A kto mówi?

- Mam na imię John.

- Jaki John?

- Nie, nie John. Jean. Jean Dupont. Dzwonię z Paryża.

- Jean? - powtórzyłam.

- Tak, Jean.

- Jean - powiedziałam znów.

- Tak. Tak. Jean. To się pisze...

- Wszystko w porządku - powiedziałam szybko. - Wiem, jak się pisze. Właśnie mi się przypomniało. Pisze się jot-e-a-en.

- *Exactement.*

- Jean!

- Tak jest. - Czułam wzbierający w gardle śmiech, jak bąbelki w szampanie. - Dzwonię z francuskiej agencji Hachette. Peter mnie zna, razem pracujemy nad książką.

- Ach tak. Rozumiem.

- Muszę jeszcze dziś z nim porozmawiać, ale jego sekretarka mówi, że nie wie, gdzie on jest. Pani mąż jest bardzo niegrzecznym chłopcem - dodał ze śmiechem. - Nie zawsze do mnie odzwania.

- Och. Tak. To bardzo niegrzecznie z jego strony - przyznałam.

- Dlatego bardzo proszę, niech go pani poprosi, aby zadzwonił do mnie do domu wieczorem. Ma pani coś do pisania? Podam mój numer.

- Naturalnie - powiedziałam, powstrzymując się od okrzyków radości. - Mam coś do pisania. Już piszę. Mam. I bardzo panu dziękuję.

- To ja dziękuję - powiedział, wyraźnie zdumiony moim entuzjazmem.

- To bardzo miło, że pan zadzwonił - dodałam ciepło. - Jestem z tego powodu szalenie zadowolona. Jak tylko Peter wróci do domu, powiem „niegrzecznemu chłopcu”, aby od razu do pana oddzwonił. *Au revoir, Jean, au revoir!*

Odłożyłam słuchawkę z radosnym okrzykiem i już miałam zadzwonić do Lily, żeby jej opowiedzieć o mojej kretyńskiej pomyłce, gdy nagle Graham zaszczekał i usłyszałam dźwięk przekręcanej w drzwiach klucza. Peter wrócił wcześniej.

- Kochanie! - wykrzyknęłam wesoło. - Posłuchaj, chcę ci coś powiedzieć.

- Nie - powiedział. Graham podskoczył, żeby go przywitać. - To ja mam ci coś do powiedzenia.

- Ale chciałam ci powiedzieć, że popełniłam okropnie głupi błąd i...

- Faith, cokolwiek masz mi do przekazania, może poczekać. Siad, Graham. Faith... Faith... - W słonecznym lustrze widziałam jego profil.

- Tak?

- Muszę ci coś powiedzieć.

Poczułam przyspieszone bicie serca.

- Tak?-powtórzyłam. Peter odetchnął głęboko.

- Odchodzę.

- Słucham?

- Odchodzę - powtórzył. Staliśmy w przedpokoju naprzeciwko siebie.

- Odchodzisz od kogo? - spytałam słabym głosem. - Ode mnie?

- Nie, głuptasie, z Fenton & Friend.

- Mój Boże! - zawołałam zdumiona. - Zrobiła to! Ta stara krowa cię wyrzuciła!

Peter nadal miał poważny wyraz twarzy, ale nagle się uśmiechnął.

- Nie, Faith, nie wyrzuciła mnie. Ja pierwszy złożyłem wypowiedzenie. I powiedziałem jej, że odchodzę...

- Mów.

- Bo zaproponowano mi inną pracę.

- Dostałeś inną pracę! - wykrzyknęłam. - Fantastycznie! - Objęłam go. To był naprawdę dobry dzień. - Super! Och, Peter! Gdzie?

- Zostałem nowym dyrektorem administracyjnym w Bishopsgate - odparł z szerokim uśmiechem.

- Bishopsgate! Bishopsgate? To ogromne wydawnictwo.

- Wiem - powiedział z niedowierzaniem, zdejmując płaszcz. - I właśnie dlatego, że w ostatnich latach tak bardzo się rozwinęli, szukali nowego dyrektora administracyjnego. Dwa razy chodziłem na rozmowy.

- Ale czemu nic mi nie powiedziałaś? - spytałem. Przeszliśmy do salonu.

- Bo bałem się, że nie dostanę tej posady, a tak bardzo mi na niej zależało. Dziś zaprosili mnie na lunch na ostateczną rozmowę, a potem zadzwonili z agencji i powiedzieli, że mam tę pracę.

- Och, jak się cieszę - powiedziałam i znów go uściskałam.

- I wiesz co, Faith - zaczął, nalewając sobie drinka. - Wyobraź sobie, że będę zarabiał trzy razy tyle, co dotychczas. Nie będziemy musieli tak się spinać.

- Boże, to fantastycznie! A co na to Charmaine?

- Była wściekła - odparł, siadając i rozluźniając krawat. - Pluła ogniem. Zwłaszcza kiedy ją poinformowałem o nowej pracy. Powtarzała, że to „oburzające”. To ulubione słowo tej starej kretynki. I ośmieliła się twierdzić, że to z mojej strony nielojalne. Wytknąłem jej, że z prawdziwą przyjemnością pracowałem w Fenton & Friend przez trzynaście lat i zacząłem szukać nowej pracy wyłącznie dlatego, że ona jest taką zołą.

- Och, kochanie, odważnie jej powiedziałaś. I, jak zwykle, zgodnie z prawdą.

- Na tym etapie nie miałem już nic do stracenia - wyjaśnił, wzruszając ramionami. - Na to usiłowała wyrzucić mnie ze skutkiem natychmiastowym, ale poinformowałem ją, że obowiązuje mnie trzymiesięczne wypowiedzenie. Potem zadzwonili z personalnego i zaproponowali dodatkowe pieniądze, jeśli zrezygnuję z pracy do czternastego. Teraz muszę zadzwonić do moich autorów - powiedział, szukając czegoś w teczce. - Mam wobec nich wyrzuty sumienia, ale nic się nie da zrobić. Przypuszczam, że połowa z nich wylądowała u tego koszmarnego Ojliviera. Biedacy. Wiesz co, Faith, nie jestem zachwycony tym, że odchodzę, ale naprawdę nie miałem wyjścia - dodał, kartkując notes z adresami i numerami telefonów. - Charmaine i Oliver chcieli mnie wykończyć, a ja, dzięki agencji łowców głów, wylądowałem bardzo dobrze. Andy ma u mnie lunch w Ritzu - dodał, sięgając po telefon.

- Och tak. Koniecznie musisz go zaprosić. Zasłużył sobie. Peter wykręcał jakiś numer i nie słuchał tego, co mówiłam.

- Najpierw zadzwonię do Clare Barry.

- Musisz też zadzwonić do Jeana. O tym właśnie chciałam ci opowiedzieć, kochanie. Muszę się do czegoś przyznać.

- Ty?

- Tak. Muszę ci powiedzieć, dlaczego ostatnio się tak... głupio zachowywałam. Naprawdę mi przykro. Widzisz, wymyśliłam sobie, że spotykasz się z kimś o imieniu Jean. Teraz jednak już wiem, że chodziło o mężczyznę. Dopiero dziś się o tym dowiedziałam. Kiedy Jean zadzwonił.

- Jean? Tak, Jean i ja pracujemy nad wydaniem pewnej książki o francuskiej gwiazdce filmowej, która ma się ukazać jednocześnie we Francji i w Anglii i dlatego ostatnio często rozmawialiśmy. Charmaine mnie w to wrobiła, ale to jest potwornie nudne, a poza tym byłem zajęty i zapomniałem do niego oddzwonić. Halo, czy to Clare? Mówi Peter...

- Nic? - zdziwiła się Lily, kiedy do niej zadzwoniłam ze sprawozdaniem. Wydała się lekko obrażona. - Jesteś absolutnie pewna?

- Tak - odparłam, cała szczęśliwa.

- Nic?-spytała ponownie.-Zero?

- Tak jest - potwierdziłam.

- Rozumiem. Czyli to było tylko kwestią prób i błędów.

- Tak - powiedziałam, chichocząc. - I przykro mi z powodu twojego artykułu, Lily...

- No cóż... - Była wyraźnie zawiedziona.

- Ale faktem jest, że Peter nie zszedł na drogę zdrady.

- Mhm.

- Nie wierzę, że byłam aż tak głupia - mówiłam dalej. - Dlaczego automatycznie założyłam, że imię Jean musi oznaczać kobietę?

- Bo jesteś osobą prostoduszną i łatwowierną- powiedziała z westchnieniem Lily.

- Wiem. Zamiast myśleć racjonalnie czy trochę się zastanowić, wpadłam w histerię. Wyciągnęłam fałszywe wnioski stanowczo zbyt pochopnie.

- Zawsze możemy przeprowadzić wywiad z kobietą, której podejrzania okazały się bezpodstawne.

- Czyli nie jest to kompletna strata czasu i pieniędzy?
- Nie, choć byłoby znacznie lepiej, to znaczy, oczywiście lepiej dla pisma, gdyby Peter był winien.

- Cieszę się, że tak nie jest - powiedziałam ze śmiechem. - Dziękuję ci bardzo za pieniądze na prywatnego detektywa, Lily. Wyświadczyłaś mi podwójną przysługę, ponieważ teraz ufam Peterowi jeszcze bardziej niż przedtem.

Zapadła nagle cisza, przerywana jedynie pochrząkiwaniem Jennifer, a potem Lily powiedziała:

- Cieszę się, że tak to się skończyło. Wiesz, nie chciałabym psuć ci humoru, ale...

- Ale co?

- Wciąż pozostają pytania bez odpowiedzi.

- Tak? Jakie?

- Te kwiaty. Naprawdę były dla autorki?

- Tak. Jestem przekonana, że tak.

- A papierosy i guma do żucia?

- Och, nie wiem - odparłam beztrosko. - Prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodzi. Jestem pewna, że istnieje jakieś niewinne wyjaśnienie, tak jak w przypadku Jeana.

- Mogę tylko stwierdzić, że niewielu Brytyjczyków pali lucyky strike'i. W gruncie rzeczy to amerykańska marka.

- Widocznie były dla jego łowcy głów.

- Oczywiście. Ale dlaczego od razu tego nie powiedział? Zrób coś dla mnie, Faith, dobrze? To tylko dla artykułu.

- Tak, dobrze.

- Czy mogłabyś spytać Petera o te inne rzeczy? - Westchnęłam. - Żeby zamknąć sprawę.

- Dobrze - zgodziłam się niechętnie. - Zrobię to, bo mam pełne zaufanie do Petera. Ale dopiero w środę.

- Dlaczego? Co będzie w środę?

- Zaprosiłam go na kolację. Na bardzo specjalną kolację. Właśnie zarezerwowałam stolik w La Caprice!

- To raczej przedwczesne.

- Wiem, ale Peter zasłużył sobie na to po wszystkich stresach ostatnich miesięcy. A ponieważ byłam w stosunku do niego podejrzliwa i niemiła, ja stawiam. Mamy wiele do świętowania - dodałam. - Nowa praca Petera, nasza przyszłość...

- I co jeszcze?

- W środę są walentynki!

Wieczorem czternastego lutego pojechałam metrem do Green Park. Londyn był zakochany i ja też. Na każdym peronie stali mężczyźni z kwiatami. Pomyślałam o dwóch tuzinach czerwonych róż, które wcześniej dostałam od Petera. Zatkąło mnie z wrażenia, kiedy je zobaczyłam - takie były piękne. Długie, z aksamitnymi płatkami i cudownym uderzającym zapachem. Idąc Piccadilly, musiałam przemykać się między spacerującymi parami. Powietrze wczesnego wieczoru aż pulsowało miłością i mimo że od dawna jestem mężatką, na widok Le Caprice poczułam przyspieszone bicie serca. Wiele lat temu byłam tu raz z Peterem, ale wiedziałam, że to jego ulubiona restauracja. Rozejrzałam się po wnętrzu, utrzymanym w jednym kolorze, i zobaczyłam, że Peter siedzi już przy stoliku i pije dzin z tonikiem. Wstał, aby mnie przywitać i zdążyłam pomyśleć, że wygląda bardzo elegancko, a jednocześnie dziwnie smutno, kiedy zadzwoniła jego komórka. A raczej nie zadzwoniła, tylko zagrała: *Fajny z niego facet*.

- To pewnie Andy - powiedziałam, kiedy Peter usiłował wyłączyć telefon. - Fajny z niego facet.

- Tak - przyznał Peter z niewyraźnym uśmiechem.

- Musi być zachwycony, że znalazł dla ciebie taką pracę - stwierdziłam, kiedy czytaliśmy menu. - Mam nadzieję, że dostanie dobrą premię.

- Tak, na pewno. - Peter dziwnie się zaśmiał. - A propos, napisali o moim przejściu do Bishopsgate w „Wiadomościach wydawniczych”.

Pokazał mi egzemplarz pisma, gdzie na trzeciej stronie, pod jego zdjęciem, widniał tytuł: **SPRYTNE PRZEJŚCIE PETERA SMITHA DO BISHOPSGATE**. Przeczytałam notatkę, puchnąc z dumy:

Szanowany dyrektor do spraw wydawniczych... bardzo szacowna lista... mówi się o konflikcie z Charmaine Duval... Bishopsgate planuje dalszy rozwój.

Zamówiliśmy szampana, tym razem prawdziwego szampana, i przyniesiono przystawki. Ja zamówiłam kurczaka Bang Bang, a Peter krem z kopru włoskiego. W restauracji pełno było par obchodzących walentynki. Czułam się rozluźniona i spokojna, choć muszę przyznać, że Peter zachowywał się trochę za spokojnie. Z drugiej strony specjalnie mnie to nie dziwiło, miał za sobą ostatni dzień w Fenton & Friend, co musiało być dość nieprzyjemnie.

- Zrobili przyjęcie pożegnalne?

- Mieliśmy małe spotkanie w moim gabinecie. Iris się popłakała. Ja też byłem przejęty.

- To wielka zmiana, kochanie, zwłaszcza po tylu latach. Ale jak większość zmian, obróci się na lepsze. Ostatnio miałeś tam same nieprzyjemności - dodałam, gdy kelner zmieniał talerze. - I jeszcze raz chciałabym cię przeprosić za to, że byłam taka niemiała i podejrzliwa. Nie mam pojęcia, co mi się stało.

Ścisnął mnie za rękę.

- Nie przejmuj się, Faith. To już przeszłość.

- Wypijmy za szczęśliwe zakończenia - zaproponowałam, unosząc kieliszek.

- Za szczęśliwe zakończenia - powtórzył Peter. - I za nowy początek.

- Za nowy początek - zgodziłam się z zadowoleniem. - Bez nieprzyjemnych zawirowań.

- Popieram.

- Nawet pogoda się poprawiła - dodałam ze śmiechem. - Front burzowy przeszedł i w perspektywie mamy bezchmurne niebo. - Peter uśmiechnął się. - Zaprosiłeś Andy'ego do Ritza? - spytałam, gdy kelner przyniósł drugie danie: miecznika dla mnie i pierś kurczęcia dla Petera.

- Hm... tak. Byliśmy tam w... we wtorek.

- Uważam, że Andy jest fantastyczny - stwierdziłam, biorąc sztucze.

Jedliśmy i rozmawialiśmy, aż Peter się w końcu rozluźnił. Rzuciłam okiem na czarno-białą fotografię na ścianie koło naszego stolika i rozpoznałam Mariannę Faithfull. To mi przypomniało prośbę Lily. Nie chciałam pytać Petera wprost, powiedziałam więc:

- Przykro mi, kochanie, że miałam wobec ciebie podejrzania. To okropne z mojej strony. Kwiaty z pewnością były dla Clare Barry. - Peter spojrzał na mnie. - Czy nie?

- Tak, oczywiście.

- Jak chodzi o papierosy, to też nic takiego wielkiego, w końcu możesz sobie czasem zapalić. Naprawdę głupio zareagowałam. Ufam ci od piętnastu lat i nie mam zamiaru tego zmieniać. Wiem, że nigdy mnie nie zdradziłeś - stwierdziłam, chichocząc - i wierzę, że nigdy tego nie zrobisz. - Peter milczał. - Przecież nigdy nie kłamiesz. - Napiłam się wina. - Prawda, kochanie? Jesteś z gruntu przyzwoitym i uczciwym człowiekiem. I prawdopodobnym. Chyba to najbardziej w tobie kocham i chcę powiedzieć, że...

- Przestań, Faith - przerwał mi nagle Peter. Bawił się nożem i miał dziwny wyraz twarzy. - Muszę ci coś powiedzieć.

- Kochanie, to nie ma znaczenia.

- Ma znaczenie. Dla mnie ma.

- Dzisiaj nic nie ma znaczenia - upierałam się, upijając duży łyk bordo.

- Ma. Ma bardzo duże znaczenie. Siedzisz i opowiadasz, jaki to jestem wspaniały, a ja nie mogę już tego słuchać.

- Przepraszam, kochanie, nie chciałam cię wprowadzić w zakłopotanie, ale jestem taka szczęśliwa i przypuszczalnie trochę za dużo wypięłam, i chciałabym cię przeprosić za to, że byłam taką podejrzliwą krową.

- Właśnie o to mi chodzi. Nie mogę tego wytrzymać.

- Dlaczego?

- Zrobiłem coś... dość głupiego - powiedział, bawiąc się kieliszkiem.

- Zrobiłeś coś głupiego? - powtórzyłam. - Jestem pewna, że to nic takiego.

- To nie jest nic.

- Doprawdy, Peter...

- Posłuchaj, kochanie - powiedział, patrząc mi prosto w oczy. Widziałam, że wciąga i wypuszcza powietrze. - Zdradziłem cię, Faith - mruknął.

Zastygłam z kieliszkiem wina uniesionym do ust.

- Słucham?

- Przykro mi, ale poszedłem z kimś do łóżka.

- Och - powiedziałam, zdając sobie sprawę, że jestem czerwona na twarzy.

- Ale tylko raz - dodał. - I to się nie liczy.

- Och - powtórzyłam.

- Mówię ci o tym, bo... No... Wkraczamy w nową erę, tak, zaczynamy nowy rozdział naszego życia i nie mógłbym żyć ze świadomością, że o tym nie wiesz.

- Och. - Z jakiegoś powodu było to jedyne słowo, jakie przychodziło mi do głowy.

- Widzisz, Faith - mówił dalej, wpatrując się w nietkniętego kurczaka - przez cały wieczór opowiadałaś, że jestem taki „uczciwy” i „prawdomówny”. Nie mogę więc ukrywać przed tobą faktu, że...

- Że co?

- No, że miałem romansik.

- Romansik? Z kim?
 - Posłuchaj, to nieważne. Już się skończyło. To był głupi błąd, którego więcej nie popełnię.
 - Bardzo mi przykro, kochanie - powiedziałam, starając się zachować spokój. - Wydaje mi się, że to nie jest z twojej strony w porządku poinformować mnie, że miałeś mały romansik, a potem odmówić zdradzenia, z kim go mianowicie miałeś, gdyż... Mój Boże, ty mnie zdradziłeś - dodałam ze ściśniętym gardłem.
 - Tak - przyznał cicho. - Ale to nieważne - powtórzył. - Taka była sytuacja. Wypiłem parę drinków i tak jakoś...
 - Powiedz mi, kim jest ta kobieta. - Spociły mi się dłonie.
 - Ja...
 - Proszę cię, chciałabym wiedzieć.
 - No...
 - Powiedz, jak się nazywa.
 - Nie.
 - Powiedz.
 - Nie mogę.
 - Możesz.
 - Posłuchaj...
 - Powiedz, jak ona się nazywa.
 - Dobrze. - Westchnął. - Andy Metzler.
- Dłonie pofrunęły mi do ust.
- Poszedłeś do łóżka z facetem?
- Peter wpatrywał się we mnie zszokowany.
- Nic się nie stało - powiedział. - Nie rozumiesz.
 - Właśnie, że się stało - odparłam. - Nie możesz mówić, że nic się nie stało!
 - Mogę - upierał się.
 - Nie możesz.
 - Mogę, bo... Andy jest kobietą.
 - Co?!
 - Andy Metzler jest kobietą - powtórzył.
 - Nigdy mi nie mówiłeś.
 - Nigdy nie pytałaś.
 - Ale mi nie powiedziałaś. Zawsze tylko Andy to, Andy tamto. Nie miałam pojęcia, że to kobieta.
 - Tak jednak jest - powiedział cicho. - Zgadzam się, że ma dziwne imię, jak na kobietę, ale jest Amerykanką i tak ma na imię. Pisze się A-EN-DE-I-E.

- Rozumiem. Jak Andie McDowell.
- Tak.
- I przespałeś się z nią? - Skinął głową. - Kiedy? - Bawił się solniczką.

- Kiedy, Peterze?
- We wtorek.
- We wtorek? Wczoraj? Ach tak, oczywiście - powiedziałam, kiwając głową. - Miałaś ją zabrać na lunch do Ritza. Żeby uczcić nową pracę. I uczciłeś.

- To tak samo wyszło - stwierdził z zakłopotaniem. - Ona mnie podrywała, Faith. I to już od dawna. Odkąd ją poznałem. A ty nagle stałaś się podejrzliwa, miałem tego dość, a poza tym byłem jej wdzięczny za tę nową pracę i jakoś... nie mogłem odmówić.

- Ach, rozumiem - powiedziałam sarkastycznie. - Przespałeś się z nią, żeby nie ranić jej uczuć. Prawdziwy z siebie dżentelmen. Jestem naprawdę z ciebie dumna. Poszłście do hotelu, co?

- Tak - przyznał cicho. - Poszliśmy.

I nagle, w tym momencie, w tym okropnym momencie, kiedy powiedział „poszliśmy”, doszłam do wniosku, że prawdomówność jest nieprzyjemną cechą Petera.

- Czyli dostała swoją premię - stwierdziłam ponuro, czując w gardle kulę wielkości cytryny. - Co za ironia - mruknęłam, mnąc w dłoniach serwetkę. - Prawdziwa ironia. Przez ostatnie dwa tygodnie miałam obsesję na tle jakiejś nieznannej Szkotki imieniem Jean, która okazała się Francuzem imieniem Jean, a ty teraz mówisz mi, że się przespałeś z Amerykanką o imieniu Andie, co do której byłam pewna, że jest facetem.

- No... tak.

Potrząsnęłam głową.

- Tak - szepnęłam gorzko. - Tak, tak, tak, tak. - Potem spojrzałam na niego i dodałam: - To boli.

- Przykro mi. Nie chciałem cię ranić. Ona mnie do tego skłoniła.

- Nie bądź śmieszny.

- Naprawdę - nalegał. - Dobrze wiedziała, że jestem żonaty. Kiedy jednak nasz kontakt zawodowy się skończył, ona...

- Postanowiła przejść do kontaktów prywatnych.

- Tak. Och, sam nie wiem. To wszystko przez ten stres.

- Nie wierzę ci - syknęłam. - Przespałeś się z nią, bo chciałeś.

- Nieprawda.
- Kłamiesz!
- Mów ciszej.
- Przyznaj!
- Dobrze, dobrze, przyznaję.
- Chciałeś?
- Tak. Zmusiłaś mnie, abym się do tego przyznał. Chciałem.
- Ty gnojku!

Zaszokowałam samą siebie, bo jeszcze nigdy w życiu tak do niego nie powiedziałam.

- Byłem potwornie zestresowany, Faith -jęknął. Oparł głowę na prawej dłoni. - Ostatnie pół roku było koszmarem. A jeszcze ty się na mnie uwzięłaś. Nie dawałaś mi spokoju. Bawiłaś się ze mną jak terrier ze szczurem i stale mnie wypytywałaś, a to o jakąś kobietę, a to o gumę, czy papierosy.

- Guma! - wykrzyknęłam. - Guma była dla niej.

Peter milczał.

- Tak czy nie? Przecież ty nie znosisz gumy. I papierosy też były dla niej? - Peter ponuro pokiwał głową. - Nosiłaś dla niej gumę i papierosy na wszelki wypadek. Jak to ładnie z twojej strony. Lucky strikeM! Zdradziłeś mnie! - zawołałam. - I to z kim? Och, Boże!

- Posłuchaj, to było całkiem spontaniczne - powiedział. - Pod wpływem chwili.

- To nieprawda!

- Ciii, nie krzycz.

- Od dawna chciałaś ją przelecieć.

- Nie.

- Ależ tak. Wiem dzięki Katie.

- Co Katie ma z tym wspólnego?

- Chodzi mi o jej psychoanalizę. Zawsze mówi o freudowskich pomyłkach, prawda? I że jeśli się o czymś nie powie, to też ma swoje znaczenie. Nigdy nie powiedziałeś mi, że Andie jest kobietą, i to o czymś świadczy.

- To nie było ważne.

- Właśnie, że było. Parę dni temu wyrecytowałeś całą listę kobiet, które znasz. Czy to zatem nie jest dziwne, że nawet o niej nie wspomnieliś? - spytałam twardo. - Peter poczerwieniał na twarzy i na karku. - Wymieniłeś dwie koleżanki Andie z agencji, ale ją starannie pominąłeś. Teraz wiem dlaczego! - wykrzyknę-

łam triumfalnie. - Bo nie chciałeś, żebym wiedziała. A nie chciałeś, żebym wiedziała, bo zamierzałeś pójść z nią do łóżka.

- Ja... Ja...

- Nie wypieraj się - powiedziałam pogardliwie.

- Dobrze. Przyznaję. Jest bardzo atrakcyjna. Wolna. Podobam się jej. I ona też mi się podobała.

- Ma jasne krótkie włosy - powiedziałam nagle. Oświeciło mnie w ułamku sekundy. Francuzi nazywają to *eclaircissement*. Andie była tą nieznaną blondynką, sfotografowaną z Peterem w Quaglino's. - Ma jasne krótkie włosy - powtórzyłam.

- Tak, ale skąd wiesz?

- Bo... - Cholera, nie mogłam mu powiedzieć. - Bo... No, kobieca intuicja - wyjaśniłam. - Jest mi niedobrze - oznajmiłam, bawiąc się łyżeczką deserową. - Zdradziłeś mnie. Jak mogłeś?!

- Zaraz ci powiem - zaczął też głośniej. - Ponieważ stale mnie o to podejrzewałaś i kiedy nadarzyła mi się okazja, pomyślałem, że mogę równie dobrze z niej skorzystać. - Zdałam sobie sprawę, że ludzie spoglądają w naszą stronę.

- Deser? - zaproponował kelner. - Byłbym bardzo wdzięczny, proszę państwa, gdyby mówili państwo trochę ciszej.

- Nie, nie mam zamiaru mówić trochę ciszej, bo mój mąż właśnie mnie zdradził! - Coraz więcej osób patrzyło w naszą stronę i słuchało z zainteresowaniem.

- Mam wrażenie, proszę pani...

- Nic mnie nie obchodzą pańskie wrażenia! - syknęłam. - Mam kłopoty małżeńskie. - Tymczasem w restauracji zapadła cisza i wszyscy gapili się na nas, ale mnie nic to nie obchodziło. - Po piętnastu latach małżeństwa - poinformowałam kelnera - mój mąż mówi mi, że mnie zdradził.

- Biedna kobieta - powiedział ktoś.

- Czy to nie jest ta prezenterka pogody z telewizji śniadaniowej?

- Wierny przez piętnaście lat? To jakiś święty.

- Ty zdradziłeś mnie już po pięciu.

- Nie musisz teraz tego przypominać.

- Bardzo mi przykro, proszę pani - powiedział kelner. - To Poważny problem.

- To nie jest problem - poprawiłam go - lecz kryzys.

- Ja sam jestem rozwiedziony.

- Przykro mi.

- Moja żona mnie zostawiła.
- Pech - wtrącił Peter.
- Współczuję pani, jednak muszę prosić, żeby mówiła pani o pół tonu ciszej.
- Tak, Faith - mruknął Peter. - Mów ciszej, proszę.
- O tak, mów ciszej - zaśmiałam się głucho. - Nie przeciągaj struny. Zachowuj się, jak dorosła kobieta. Nie przesadzaj. Nie płacz. A przede wszystkim, przede wszystkim nie przejmuj się. Ale ja się właśnie przejmuję - załkałam. - Strasznie się przejmuję. Jak mogłeś?
- Jak pan mógł? - spytała kobieta przy sąsiednim stoliku.
- Jak mogłem? - powtórzył Peter, odwracając się do niej. - Już to wyjaśniłem. Po pierwsze, miałem okazję, po drugie, byłem okropnie zestresowany, po trzecie, za dużo wypięm, po czwarte, wywierano na mnie naciski, a po piąte, moja żona doprowadzała mnie do szału okropnymi, nieuzasadnionymi podejrzeniami.
- Nie były nieuzasadnione - zaprotestowałam, przykładając chusteczkę do oczu.
- Wtedy były!
- Wcale mu się nie dziwię - powiedział facet z lewej strony.
- Nie wtrącaj się, Rodney.
- Sama jest sobie winna.
- Co za idiotka - powiedział ktoś inny.
- Żebyś mi się nie ośmielił zrobić czegoś podobnego, Henry.
- A ty?
- Co masz na myśli?
- Widziałem, jak patrzyłaś na Torquila.
- Na Torquila? Nie rozśmieszaj mnie.
- Moja żona odeszła z naszym lekarzem - powiedział kelner.
- Co za nadużycie zaufania - stwierdził Peter.
- Niech pan posłucha - zwróciłam się do kelnera. - Bardzo panu współczuję z powodu rozwodu, ale, prawdę mówiąc, nie ma to z nami nic wspólnego. O Boże! - jęknęłam. - To straszne! Nie wiem, co robić.
- Nie robisz z igły wideł - poradził mężczyzna w ciemnoszarym garniturze.
- Dokumentnie go oskubać - powiedziała jego żona.
- Poradzić się kogoś kompetentnego - zawołał facet od trzeciego stolika po prawej stronie.
- Wziąć się w garść!

- Zdrada to jeszcze nie koniec świata.
- Jasne, ludzie wybaczą i zapomną.
- Miałabym wybaczyć i zapomnieć? - powtórzyłam, czując w ustach smak słonych łez. - Wybaczyć i zapomnieć? Nie! Och, Peter - załkałam, sięgając po torebkę. - Byłam dziś wieczorem taka szczęśliwa. A ty wszystko popsujesz!

- Nie lubię krakać - powiedziała Lily w sobotę rano. - Naprawdę nie lubię krakać, ale miałam rację.

- Tak - zachrypiałam. - Miałaś rację. - Leżeliśmy obok siebie na skórzanych leżankach w klinice w Knightsbridge, pokryte grubą warstwą zielonego błota. Nagie, jedynie w wielkich papierowych majtkach. Terapeutka w białym fartuchu położyła nam na nogi jeszcze trochę zielonej brei, zawinęła nas w nagrzane ręczniki i przyciemniła górne światło.

- Zostawiam panie na dwadzieścia minut, żeby algi morskie mogły zacząć działać, oczyszczając system, tonując skórę i eliminując toksyny z ciała. - Szkoda, że nie mogłam wyeliminować toksyn z duszy. - Proszę się rozluźnić - dodała miłym głosem - zamknąć oczy i myśleć o czymś przyjemnym.

- Co za gnojek! - wykrzyknęła Lily, kiedy terapeutka zamknęła za sobą drzwi i mogłyśmy porozmawiać. - Jak mógł ci coś takiego zrobić?

- Nie mam pojęcia - szepnęłam, wpatrując się w sufit. - Wiem tylko, że to boli. - Początkowy szok, wywołany przyznaniem się Petera, minął, zostawiając przejmujący ból.

- Kiedy rozmawialiśmy o tym na samym początku, nawet nie przyszło mi do głowy, że to mogłaby być prawda - stwierdziła Lily. - Chciałam jedynie, abyś troszkę bardziej uważała, kochanie, ponieważ jesteś stanowczo zbyt łatwowierna.

- Teraz już nie.

- Jednocześnie zaczęło mi się wydawać, że coś tu nie pasuje - mówiła dalej. - Ale już rozumiem. Boże, to ma coś z ryb - dodała, marszcząc nos. - Będziemy śmierdziały jak targ rybny. Łowca głów! - wykrzyknęła z oburzeniem. - Łowca głów! Coś takiego! Chciała złowić coś więcej niż jego głowę.

- I chyba jej się udało.

- I dlatego Peter posłał ci te wspaniałe róże czternastego.

- Wyrzuciłam je.

- To nie były walentynkowe kwiaty, lecz kwiaty na uspokojenie wyrzutów sumienia.

- Cóż - rzekłam z westchnieniem. - Tak czy owak będziesz miała swój wywiad. To jakiś koszmar - jęknęłam, czując ścisk w gardle. - Żałuję, że nie da się cofnąć czasu.

- Nie da się - stwierdziła stanowczo Lily. - Poza tym to zbyt poważna sprawa. Często bywa powodem do rozwodu.

Przekręciłam głowę i spojrzałam w jej stronę.

- Ale ja nie chcę rozwodu - szepnęłam. - Nie wybiegam tak daleko w przyszłość.

- Powinnaś, moja droga, ponieważ faktem jest, że zdrada Petera jest poważna i nigdy o niej nie zapomnisz. - Gdy to powiedziała, poczułam fizyczny ból. -I oczywiście to by się znów powtórzyło.

- Naprawdę? To znaczy nie usprawiedliwiam Petera, ale może to był pojedynczy wypadek? W końcu żył w ciągłym stresie.

- Nie bądź idiotką, Faith. Niewierność to śliska i stroma droga. Jak facet raz na nią wejdzie, to koniec. Przez jakiś czas potrafi się poprawnie zachowywać, później jednak zaczyna się buntować. Tak, tak - dodała z przekonaniem. - Pierwszy romans jest zawsze początkiem końca. Czy masz dobrego adwokata?

- Jest Karen, nasza adwokatka rodzinna, ale rozwód doprowadziłby nas do bankructwa.

- Posłuchaj, skarbie - powiedziała cierpliwie, jakby usiłowała wyjaśnić coś tępemu dziecku. - Peter dostał tę nową wspaniałą pracę, to będzie mógł sobie pozwolić na rozwód.

- Wcale nie stanie się nagle bogaty - zaprotestowałam. - Będzie tylko zarabiał trochę więcej niż do tej pory. Ja na razie nie podejmuję żadnych decyzji w sprawie rozwodu. Wiem tylko, że nie jestem gotowa wybaczyć.

- A co się dzieje w domu?

- Unikamy się. - Westchnęłam. - Od walentynek prawie go nie widziałam. Na szczęście dzieciaki nie przyjeżdżają w ten weekend tło domu, bo mają jakieś zajęcia w szkole. O Boże, nie wiem, co mam robić - powtórzyłam. Łzy napłynęły mi do oczu.

- Od jak dawna się znamy, Faith? - spytała Lily.

- Od dwudziestu pięciu lat.

- Właśnie. Poznałyśmy się, gdy miałyśmy dziewięć. I dlatego wydaje mi się, że znam cię lepiej niż ktokolwiek inny. Znam cię lepiej niż Peter. I naprawdę wierzę, że to się okaże najlepszą rzeczą, jaka ci się mogła przydarzyć.

- Jakim cudem? - wychrypiałam.

- To, co cię nie zabije, wzmocni cię - odparła. Ścisnęła mnie za rękę i uśmiechnęła się uspokajająco. - To cię wzmocni, Faith. Wreszcie wydostaniesz się z tej podmiejskiej skorupy i staniesz się silną, niezależną kobietą. Nawiasem mówiąc, wpadłam do Harveya Nicksa i kupiłam ci ametystowy naszyjnik mocy.

- Dzięki.

- I zadzwoniłam do telefonu zaufania.

- Co?

- Wczoraj wieczorem zadzwoniłam do telefonu zaufania, udając, że jestem tobą. Nie martw się - dodała na widok mojego przerażonego spojrzenia. - Nie podałam im twojego nazwiska. Powiedziałam tylko, że mój mąż przyznał się do zdrady i mówiłam o bólu, upokorzeniu, strachu i tak dalej. Jak zwykle, namawiali mnie na psychoanalizę, mediację, pogodzenie się i takie bzdury. Wszyscy wiedzą, że to kompletna strata czasu.

- Tak?

- Oczywiście. Zdrady nie da się odwrócić. Wyrządza niepowetowane szkody. Możesz się starać zlepić kawałki swojego małżeństwa, ale zawsze będziesz widziała ślady sklejanja.

- Wszystko w porządku, moje panie? - Terapeutka wróciła. Gdy zdejmowała z nas koce, zmieniliśmy temat. Zmyłymiśmy z siebie pod prysznicem zieloną breję. Ubierałam się, gdy Lily powiedziała:

- Wydaje mi się, że moja okrężnica wymaga oczyszczenia. A twoja?

- Co?

- Mówię o lewatywie.

- Nie, dziękuję. - Na myśl o ataku od tyłu zrobiło mi się słabo.

- Ja to sobie bardzo chwale - stwierdziła z zadowoleniem. - Lubię być czysta i na zewnątrz, i w środku. Jeśli była to dobra praktyka dla starożytnych Egipcjan, to jest dobra i dla mnie. Poczekać na mnie czterdzieści pięć minut i pójdziemy na lunch.

Siedziałam w poczekalni, starając się nie wyobrażać sobie Lily ze szlauchem w tyłku i usiłując ignorować odgłosy dobiegające zza drzwi.

- Powinna pani lepiej gryźć jedzenie - powiedziała terapeutka. - Widziałam całą oliwkę.

Żeby oderwać się od irygacyjnych problemów Lily, zaczęłam przerzucać czasopisma. Na niskim szklanym stoliku leżał cały ich

wachlarz: „Moi!”, „Tatler”, „Marie Claire” i kilka tańszych. Szczerze mówiąc, wolę te bardziej popularne. Modelki nie są w nich takie wystrzałowe i jest więcej konkursów. Przejrzałam „Woman's Own” i „Woman's Weekly”, a potem wzięłam „Belle”, „That's Life” i „Best”. Nagle mój wzrok padł na okładkę „Chat” i aż mnie zatkało. Wpatrywałam się w prowokacyjny tytuł i słyszałam w głowie szept. Niemal wbrew własnej woli sięgnęłam po tygodek. WYGRAJ ROZWÓD!

Marzec

Kiedy bierze się ślub, mówi się „tak”. Teraz nieustannie zadaję sobie pytanie: czy tak mam zrobić, czy nie? Co robić? - powtarzam jak mantrę w nadziei, że coś mnie zniecka oświeci.

- Nie rób nic - poradziła Karen, nasza zaprzyjaźniona adwokatka. Słuchała mojej opowieści, siedząc w swoim biurze i robiąc jakieś notatki. - Radzę ci, żebyś nie robiła absolutnie nic - powtórzyła.

- Nic?

- Nic - potwierdziła. - Nie miałaś dość czasu na refleksję.

- Ale mnie to boli - powiedziałam, stukając się w pierś. - Tak jakbym tu miała otwartą ranę. Boże, Karen, ja tak strasznie cierpię.

- I dlatego powinnaś poczekać.

- Nie mogę nic zrobić - jęknęłam. - Dociera do mnie tylko to, że zdarzyło się coś okropnie poważnego.

- Zdrada jest rzeczą poważną - odrzekła, podając mi papierową chusteczkę. - Musisz pozwolić, aby szok emocjonalny minął, nim zdecydujesz się na jakieś działania.

- Jestem wściekła. I upokorzona.

- Jeśli teraz weźmiesz rozwód, będziesz jeszcze bardziej wściekła i upokorzona. Rozwód jest straszny. To bolesne, upokarzające, nieprzyjemne i bardzo kosztowne doświadczenie. Dla niektórych ludzi bywa emocjonalną i finansową katastrofą, z której nigdy się nie podnoszą. Minęły dopiero dwa tygodnie od wyznania Petera - dodała. - Daj sobie więcej czasu.

- Nie wiem, jak mogę znów... być z Peterem - załkałam. - Nie mogę znieść myśli, że spał z inną kobietą. Mam wrażenie, że moja przyszłość legła w gruzach.

- Nie wiesz, co spotka cię w przyszłości, Faith - powiedziała łagodnie Karen. - Powtarzam ci jeszcze raz to, co zawsze mówię moim klientom: niczego nie rób w pośpiechu. Zwłaszcza że masz dzieci. Możesz zacząć działania dopiero po długim namyśle. Ale musisz być absolutnie pewna, że chcesz się rozwieść, a nie, że wykorzystujesz rozwód, aby ukarać Petera - dodała poważnie. - Jak już raz zacznie się to wszystko, to potem bardzo trudno jest się wycofać. Proszę cię, poczekaj - powtórzyła, gdy wstałam.

- Dobrze - zgodziłam się z westchnieniem.

Wysłałam i odwiązałam Grahama, który siedział z nosem na kwintę w nadziei, że ktoś da mu coś do jedzenia. Kiedy jednak mnie zobaczył, podskoczył i wesoło zaszczekał. Widok kręcącego się z radości nie tylko ogona, lecz wręcz całego tyłka trochę mnie pocieszył.

- Hej, tęskniłeś za mną? - spytałam.

- Hau hau.

- Kochasz mnie, prawda?

- Hau hau!

W drodze do domu, w jasnym wiosennym słońcu, z Grahamem podskakującym obok rozmyślałam nad tym, co powiedziała mi Karen. Przypomniałam sobie całe moje małżeństwo, rok po roku, i pomyślałam, jak bardzo byliśmy szczęśliwi. Gdy wyobraziłam sobie, że to wszystko miałyby się skończyć, ogarnęło mnie przygnębienie. Nagle oczami wyobraźni zobaczyłam siebie i dzieci, stojących z walizkami i plastikowymi torbami na chodniku przed domem. „Rozwód może być katastrofą, ostrzegła Karen, emocjonalną i finansową... Nigdy nie dochodzą do siebie... Bardzo trudno się wycofać”. Na tę myśl aż zadrżałam.

- Karen ma rację - powiedziałam Grahamowi, gdy weszliśmy do parku. Schyliłam się i odpięłam mu smycz. - Ma absolutną rację - powtórzyłam, kiedy prysnął przed siebie jak strzała. Pół minuty później był z powrotem z czerwonym frisbee w pysku.

- Hej! - usłyszałam z oddali. - To nasze.

- Piąte przykazanie „Nie kradnij”, Grahamie - zwróciłam mu łagodnie uwagę. - Oddaj to.

Idąc wysadzaną platanami aleją, przyglądałam się prymulkom i późnym krokusom, z płatkami podziobanymi przez ptaki

i kępkom jasnozielonych pędów, które niebawem miały się zamienić w żonkile. Potem usiadłam na ławce, zamknęłam oczy. Poprosiłam Boga, aby pomógł mi przez to wszystko przejść. Zmówiłam krótką modlitwę. Dokładnie w tej chwili wyszło słońce - poczułam jego ciepło na twarzy - i miałam coś w rodzaju objawienia, przeczucie, że Peter i ja wyjdziemy z tego zwycięsko. Postanowiłam, że nie odrzucimy piętnastu udanych lat. Nie zniszczymy naszego wspólnego życia. W końcu, jak przekonywałam siebie i Grahama w drodze do domu, zdarzają się gorsze rzeczy. Znacznie gorsze. Straszne. Codziennie czyta się o nich w gazetach. Peter zdradził mnie tylko jeden raz i bardzo tego żałował.

- I dlatego się przyznał - powiedziałam Grahamowi, otwierając drzwi do domu. - Przyznał się, bo miał wyrzuty sumienia i jest przyzwoitym człowiekiem.

Nie powinnam była mu tego wytykać. Zachowałam się obrzydliwie i w dodatku głupio, wystarczy pomyśleć o wszystkich tych facetach, którzy bez przerwy zdradzają swoje żony bez cienia żalu. Wzięłam do ręki nasze zdjęcie ślubne w nieco zniszczonej srebrnej ramce i poczułam, że łzy napływają mi do oczu. „Aż do końca życia” - tak miało być. „Na dobre i na złe” - obiecałam. Mieliliśmy dużo dobrego, a teraz chwilowo przydarzyło nam się trochę złego. Na tym polega małżeństwo. Spojrzałam na otwartą przystojną twarz Petera i pomyślałam, że to jest mężczyzna, którego kocham. To jest mężczyzna mojego życia. Owszem, popełnił błąd, ale wszyscy je popełniamy, dlatego muszę mu wybaczyć. I wybaczę, pomyślałam niemal z zachwytem, włączając telewizor. Mylić się jest rzeczą ludzką, wybaczać - boską. Wyobraziłam sobie scenę, w której godzimy się z Peterem, i sama ta myśl przepełniła mnie radosnym ciepłem od stóp do głów.

Kochanie - powiem - popełniłeś bardzo poważny błąd w ocenie sytuacji i o mało nie poświęciłeś naszego małżeństwa dla chwili wyuzdanego pożądanego. Pozwoliłeś sobie być poprowadzonym na pokuszenie. I wpadłeś. Ale ja ci wybaczam.

Początkowo uśmiechnie się niepewnie, jakby nie wierzył własnym uszom, a potem rozjaśni się, gdy dotrze do niego to, co powiedziałam. Tak, kochanie - mruknę w jego objęciach. - Zaczniemy wszystko od nowa. Wykorzystamy ten niefortunny przypadek do wzmocnienia naszego małżeństwa, do pójścia naprzód. I będziemy jeszcze szczęśliwsi niż do tej pory.

Teraz wyobraziłam nas sobie w kościele, odnawiających przyrzeczenie małżeńskie przed małą, ale wybraną grupką ludzi, którzy wiedzieli, przez co przeszliśmy. Oczywiście będą tam nasze dzieci i nasi rodzice, i kilkoro najbliższych przyjaciół. Ze łzami w oczach wysłuchają na nowo, jak powiemy „tak”. Peter i ja też będziemy mieli łzy w oczach i z trudem uda nam się wymówić słowa przysięgi.

Po twarzy płynęły mi strugi łez, gdy bezmyślnie latałam po kanałach. Kiedy wycierałam twarz jedną ręką, a drugą drapałam Grahama pod brodą, na ekranie pojawiły się napisy programu *Rozpustne kobiety*.

- Wszystko będzie dobrze, piesku - powiedziałam, szlochając. - Mamusia i tatuś się nie rozejdą. Nie martw się.

Nagle Graham zaszczekał. Nie tyle dla poparcia moich słów, lecz dlatego, że przyszła druga poczta. Zeskoczył z kanapy i podbiegł do drzwi, gdzie na słomiance leżało pięć kopert. Dwie brązowe (zapewne z rachunkami), które zostawiłam dla Petera, pocztówka od mamy z Gwadelupy („Fantastycznie się bawimy”), dwa listy do Marta (ciekawe od kogo) i wąska biała koperta zaadresowana do mnie. Przesunęłam palcem, żeby ją rozerwać, i nagle zatrzymałam się, gdyż coś w telewizji zwróciło moją uwagę.

- *Łowienie głów jest względnie nowym, ale szybko rozwijającym się działem na rynku pracy - powiedział prezenter. - Dziś poważni kandydaci nie zgłaszają się na interesujące ich stanowiska, lecz są na nie zwabiani przez sprytnych pośredników, a raczej pośredniczki, gdyż najzdolniejszym łowcami głów są kobiety i właśnie mamy okazję poznać jedną z nich. Serdecznie witamy w studio Andie Metzler!*

Usłyszałam grzeczne oklaski i jak zahipnotyzowana weszłam do dużego pokoju. Spojrzałam na ekran. To była ona. Andie Metzler. Emocjonalny szok uderzył mnie jak topór po nogach i opadłam na krzesło. Była. Mówiła. Ta Druga. Kobieta, która spała z moim mężem. Kobieta, która paliła lucky strike'e. Kobieta, która załatwiła Peterowi bardzo dobrą pracę, ale mnie pozbawiła spokoju ducha.

- *Kobiety są wspaniałymi łowcami głów - mówiła. - Mają lepszą intuicję... bardziej subtelne podejście... są lepiej zorganizowane... Ffion Jenkins odnosi wielkie sukcesy jako łowczyni głów. Oczywiście jest także żoną Michaela Portilla.*

Nagle dotarło do mnie, że zdjęcie Iana Sharpa nie oddawało jej urody. Krótkie blond włosy błyszcząły jak złote nitki. Miała twarz w kształcie serca, bez żadnych zmarszczek. Siedząc, pokazywała długie nogi, a elegancki kostium otulała ją łagodnymi falami. Była cudowna, choć miała szorstki i chrapliwy głos.

- Łowczyńni głów znalazła Grega Dyke'a na stanowisko dyrektora generalnego w BBC - powiedziała. - ICI wykorzystuje kobiety do wyszukiwania pracowników na najwyższe stanowiska, a ja sama znalazłam dyrektorów dla banków handlowych, przedsiębiorstw telefonicznych i ostatnio także dla ważnego wydawnictwa.

Zrobiło mi się niedobrze i spojrzałam na nią z głęboką nienawiścią, taką, jakiej jeszcze nigdy nie czułam. Wyobraziłam ją sobie w Ritzu z Peterem. Wyobraziłam sobie, że jedzą lunch. Wyobraziłam sobie, że piją szampana. Wyobraziłam ich sobie w łóżku. Miałam ochotę wbić nóż w ekran i ją zabić. Chciałam, żeby zwała się na nią dekoracja. Chciałam, żeby zapadła się pod nią podłoga w studio. Palec miałam wciąż wsunięty pod kopertę i teraz przeciągnęłam wzdłuż, otwierając ją, a jednocześnie wciąż wpatrując się z nienawiścią w moją rywalkę.

- Kobiety osiągają sukcesy, ponieważ są nieustępliwe - powiedziała zachrypniętym głosem z amerykańskim akcentem. - Rozumiemy ambicje naszych klientów i wyszukujemy im najlepszych ludzi. Nigdy nie rezygnujemy, dopóki nie znajdziemy głowy, na której nam zależy.

- Mogę się założyć - syknęłam.

- Polujemy na nie i zawsze je w końcu zdobywamy - dodała z cichym śmiechem.

Kątem oka odruchowo zarejestrowałam słowo „Gratulacje!”. Spojrzałam na list.

Droga pani Smith - przeczytałam, gdy głos Andie nadal dobiegał z telewizora.

- Tak, polowanie na wybitnych ludzi jest bardzo intratną karierą...

W imieniu pism IPC mam zaszczyt zawiadomić panią...

- I to pod wieloma względami...

Wygrała pani pierwszą nagrodę...

- Poza tym można tę pracę doskonale pogodzić...

...W naszym konkursie pt.: Wygraj Rozwód!

- ... z małżeństwem i macierzyństwem...

Prawidłowo odpowiedziała pani na nasze pytania...

- Co dla mnie osobiście jest bardzo ważne...

...A zatem otrzymuje pani darmowy rozwód...

- ...ponieważ planuję zmianę stanu cywilnego...

...Który przeprowadzi nasz wybitny specjalista Rory Cheetham-Stabb.

Początkowo nic nie zrobiłam z tym listem. Przeżyłam za duży szok. Przez jakiś czas wpatrywałam się w arkusz papieru, obracając go w palcach. Potem poszłam na górę i schowałam go w szufladzie z majtkami. Nie spodziewałam się, że wygram, odesłałam tylko wypełniony kupon. Szybko, żeby się nie rozmyślić. Musiałam odpowiedzieć na trzy pytania: a) Ile pieniędzy dostała księżna Diana za rozwód? b) Czy Jerry Hall była oficjalnie żoną Micka Jaggera? c) Po jakim czasie *decree nisi** nabiera mocy urzędowej?

Odpowiedzi nie były trudne: a) siedemnaście milionów; b) nie i c) po sześciu tygodniach i jednym dniem.

Jak już mówiłam, nie potrafię sobie odmówić udziału w konkursach, choć wcale nie spodziewałam się wygranej. Teraz niechętnie myślałam o tym, że powinnam zadzwonić i zgłosić się po nagrodę. Dostałam coś, czego pozazdrościłoby mi mnóstwo kobiet - gotowy darmowy rozwód. Byłam jednak daleka od euforii. „Poczekaj” - mówiła Karen, więc czekałam, aż opuści mnie szok po obejrzeniu i usłyszeniu Andie Metzler. Szok powoli ustępował i pod wieczór byłam już prawie spokojna i rozsądna. Doszłam do wniosku, że absolutnie nie chcę rozwodu. W końcu Peter nie był w niej przecież zakochany. Raz się z nią przespał, w stresowej sytuacji, pod wpływem chwili. To nie było nic długotrwałego, a jedynie chwilowa utrata samokontroli. Andie nie była jego kochanką. Nie była dla mnie żadnym zagrożeniem. To tylko przelotna fascynacja.

Przez kilka następnych dni starałam się dojść do porozumienia z Peterem. Od czternastego lutego prawie się do siebie nie odzywaaliśmy, unikając się wzajemnie, co nie było szczególnie trudne ze względu na godziny mojej pracy. Byłam tak wściekła, że nawet nie spytałam go do tej pory o nową pracę, ale teraz pierwsza się do niego odezwałam. Rozmawialiśmy, początkowo z oporami,

* Wstępna umowa rozwodowa, która nabiera mocy po upływie określonego czasu i po przedstawieniu stanowiska obu stron (przyp. red.).

o jego pracy, o mojej, o dzieciach, a później, bardziej na luzie, o wszystkich sprawach, o których zwykle gawędziliśmy. Potem poszliśmy na spacer z Grahamem. Ale w ogóle nie wspomnieliśmy o jego zdradzie. Leżała między nami jak niezdetonowana bomba. Omijaliśmy ją lub przekraczaliśmy, udając, że nic tam nie ma. Wmawiałam sobie, że jeśli ją zignorujemy, to jakoś sama się zdetonuje i zniknie. Doszłam do wniosku, że Andie była tylko nieprzyjemnym wyskokiem na zdrowym kardiogramie naszego małżeństwa. Postanowiłam, że damy sobie radę. Tak jak tysiące innych par. Starałam się być ciepła i przyjacielska, choć - oczywiście - bez przesady. Peter musi mieć świadomość, iż nadal cierpię i że od czasu do czasu może oczekiwać mroźnego dotyku. Wiedziałam jednak, że w końcu się nad nim zlituję, ponieważ postanowiłam ocalić nasze małżeństwo. Na list z nagrodą więcej nie spojrzałam. Cztery dni później zadzwonił ktoś z redakcji, aby zaaranżować spotkanie z adwokatem, ale powiedziałam, że co najmniej przez tydzień nie będę miała czasu. Byłam pewna, że pogodzimy się z Peterem i że będą mogli oddać moją nagrodę komuś innemu. Na weekend przyjechały dzieci i robiliśmy to, co zwykle robimy w soboty i w niedziele. Chociaż Matt bez przerwy latał wysyłać jakieś listy.

W niedzielne popołudnie, gdy robiłam coś w kuchni, a Peter pakował samochód, żeby odwieźć dzieci do szkoły, zadzwonił telefon. Odebrała Katie. Słyszałam, że z kimś rozmawia i pomyślałam, że dzwoni ktoś z jej znajomych, kiedy zawołała:

- Tato! Telefon!
- Kto to jest? - odkrzyknął Peter.
- Nie wiem, jakaś Amerykanka, Candy czy Randy, czy Mandy, coś takiego. Mówi, że chce z tobą rozmawiać.

Wyskoczyłam z kuchni jak tarantula z pułapki. Suka! Bezczelna krowa! Dzwoni do mnie do domu, do mojego męża, mojego męża od piętnastu lat, ojca moich dwojga dzieci. Powiem jej! Ale Peter był pierwszy.

- Nie, nie - powiedział, trochę zdyszany od biegu do telefonu. - Nie, nie - powtórzył spokojniej, choć gwałtownie poczerwieniał na twarzy. - Och. Tak. Mhm. Dzięki za telefon. Cześć. - Odłożył słuchawkę i spojrzął na mnie z wyrazem winy.

Miałam tak mocno zaciśnięte usta, że aż mnie rozboleły. Dzieci zeszły na dół, pocałowałam je na pożegnanie i poszłam na górę.

Kiedy Peter wrócił trzy godziny później, byłam w kuchni. Usiadł bez słowa i objął głowę rękami.

- Znów się z nią widziałeś? - zapytałam. Cisza. Miałam całym sucho w ustach i serce waliło mi jak młotem. - Widziałeś ją znowu? - powtórzyłam.

Peter odetchnął głęboko i potrząsnął głową.

- Nie naprawdę.

- Nie naprawdę? Nie naprawdę? Co to ma znaczyć?

- No, dobrze - przyznał, patrząc na mnie. - Widziałem się z nią. Poszliśmy na drinka.

- Na drinka? Jak miło.

- Tylko tyle, Faith. Poszliśmy się napić.

- To po cholere dzwoni do nas do domu?

- Ona... - Znów objął głowę rękami. - Musiała ze mną porozmawiać, a miałem wyłączoną komórkę. Masz jednak rację, nie powinna była dzwonić do domu.

- Nie powinna - przytaknęłam i sama byłam zdziwiona swoim spokojem i opanowaniem. Jakbym słuchała kogoś innego. - Czy wie, że ja wiem?

- Tak - odparł z westchnieniem. - Wyjaśniłem, że to się nie może więcej powtórzyć, ale...

- Ale co?

- Ona nie chce...

- Przyjąć tego do wiadomości, tak? - dokończyłam.

Zaczerwienił się.

- Tak.

- Czyli zależy jej na tobie - powiedziałam ostro. - O to chodzi?

- Nie wiem. Dla niej to nie była jednorazowa przygoda. Mówi, że...

- Co?

- Że się we mnie zakochała.

- Och, jak romantycznie! - zawołałam. A potem spytałam drżącym głosem: - Peter, czy ty... Czy ty... - Musiałam przerwać. Zapadła cisza, przerywana jedynie miarowym tykaniem kuchennego zegara. - Czy ty jesteś w niej zakochany? - udało mi się w końcu.

- Nie, nie jestem, ale...

- Co? - Drapało mnie w gardle i szkła kontaktowe wypłynęły mi z oczu.

- Ale... Och, sam nie wiem - powiedział z rozpaczą. W jego oczach także błyszczały łzy. - Jestem kompletnie skołowany. Nie

pytaj, co czuję. Wiem tylko, że to jest piekło. To, że poszedłem z nią do łóżka, nic nie znaczyło. Nic.

- To po co to zrobiłeś?

- Bo jednocześnie czułem, że to jednak nie jest nic. Jak mogło to być nic, skoro nigdy przedtem cię nie zdradziłem? A więc jednak to nie było nic i w głębi duszy o tym wiedziałem. I teraz też to wiem.

- Ach tak - powiedziała. Było mi niedobrze. - Rozumiem. Masz zamiar znów to zrobić? - spytałem, wiedząc, że nie skłamię.

- Nie wiem - powiedział z rozpaczą. - Nie wiem.

W tym momencie poczułam, że coś we mnie pękło. Coś, czego już nigdy nie da się naprawić.

Ku mojemu zdumieniu, nie wpadłam w histerię ani we wściekłość. Zachowałam całkowity spokój. Wzięłam Grahama na spacer, a potem położyłam się do łóżka. Leżałam z psem w nogach, wpatrując się w ciemność i błyski światła przejeżdżających samochodów. Przeleżałam tak do wpół do czwartej, wstałam i poszłam do pracy. A kiedy wróciłam do domu, zadzwoniłam do pisma i zaakceptowałam wygraną.

Tydzień później siedziałam w gabinecie Rory'ego Cheethama-Stabba w Belgravii. Gdy zapisywał szczegóły dotyczące mojego rozwodu, dyskretnie rozejrzałam się po pokoju. Był absolutnym zaprzeczeniem spartańskiego gabinetu Karen w Chiswick; wielkości sporej sali balowej, umeblowany antykami pachnącymi woskiem, wyłożony miękkim dywanem, ze stertami grubych tomów oprawnych w skórę. Na ścianach wisały ciemne błyszczące obrazy olejne przedstawiające szkockie pejzaże i pełne dostojeństwa portrety koni i psów. Rory Cheetham-Stabb, który siedział za wielkim mahoniowym biurkiem, był wysokim mężczyzną z czarnymi włosami, orlim nosem i bardzo jasnymi niebieskimi oczami. Miał na sobie doskonale skrojony garnitur z ręcznie stebnowanymi klapami. Diamentowe spinki w mankietach koszuli odbijały błyski światła z żyrandola.

- Musi się pani całkowicie oddać w moje ręce - zaczął gładko. - Ja się panią zajmę. I proszę się nie martwić - dodał z wilczym grymasem - ponieważ zawsze dostaję dla moich żon to, czego chcą. Tak, tak, moje żony zawsze dostają to, czego chcą - powtórzył z zadowoleniem, zapalając duże cygaro. - Zauważy-

łam, że lubi mówić o „swoich” żonach i wyobraziłam sobie siebie w wielkim haremie.

- Zdecydowanie chce się pani rozwieść, prawda? - zapytał.

- Tak - odparłam cicho.

- Bardzo dobrze - powiedział i zaklaskał. - Bardzo dobrze.

W dzisiejszych czasach strasznie dużo mówi się o mediacjach, ugodach, poradach i tym podobnych bzdurach, kiedy faktem jest, że rozwód jest walką. Krwawą walką. Walką, którą ja zawsze wygrywam. Musimy tylko dobrze przygotować naszą sprawę. Powód rozwodu?

- Niewierność.

- W porządku - stwierdził, pisząc z zapalem. - Zdradza panią na prawo i na lewo.

- Ależ nie - zaprotestowałam przerażona. - Miał tylko jeden romans.

- Szczegóły, proszę pani, mało ważne szczegóły. Czy pani mąż pije?

- Lubi wypić dżin z tonikiem, kiedy wraca po pracy do domu, a gdy gdzieś wychodzimy, wypija jeden lub dwa kieliszki wina.

- Hm, poważne... problemy... alkoholowe - mruzczał pod nosem Cheetham-Stabb, pisząc. - Nie można oczekiwać, aby żona się na to godziła. Dobrze, na razie mamy notorycznego podrywacza i alkoholika. To musi być dla pani naprawdę straszne. Straszne. Sędzia na pewno weźmie pani stronę.

- Wydaje mi się, że to nie jest tak, proszę pana - zaprotestowałam grzecznie. - Nie chcę robić przykrości mojemu mężowi ani opowiadać kłamstw na jego temat. W zasadzie jest porządnym człowiekiem. Jednak zdradził mnie i nie potrafię dłużej z nim żyć. Dlatego chcę się rozwieść. To wszystko.

Na przystojnej twarzy adwokata pojawił się wyraz niezrozumienia pomieszany z rozczarowaniem. Rozsiadł się w fotelu w stylu Ludwika XVI i postukał w zęby piórem mont blanc.

- A zatem nie ma pani nic przeciwko temu, aby mąż zatrzymał dom? - spytał od niechcienia.

- Tego bym nie powiedziała.

- I nie ma pani nic przeciwko temu, żeby dostał opiekę nad dziećmi?

- Oczywiście, że mam.

- I nie przeszkadzałoby pani, gdyby płacił minimalne alimenty?

- Niczego takiego nie powiedziałam.

- I nie miałyby pani nic przeciwko temu, aby wyładować w skromnej kawalerce po niewłaściwej stronie rzeki, podczas gdy były małżonek rezydowałyby w rodzinnym domu z nową łalą? - Byłam zbyt zaszokowana, żeby odpowiedzieć. - Nie przeszkadza to pani? - powtórzył, unosząc brwi i uśmiechając się złośliwie.

Siedziałam oniemiała, rozważając koszmar, który mi przedstawił.

- Powiedziałem już pani, że rozwód to walka - stwierdził. - Może to być bardzo poważna walka. A kiedy zabiera się pani do walki, należy robić dużo hałasu, aby przestraszyć przeciwnika. I to właśnie robię, proszę pani. Przygotowuję się, żeby narobić dużo hałasu. Chce się pani rozwieść czy nie?

- Chcę - odparłam z westchnieniem.

- Dobrze. Jutro dostarczymy mu pozew.

Oczywiście zamierzałam ostrzec Petera. Nie chciałam, aby otwierając pocztę, został zniemacka zaskoczony pozewem rozwodowym. Tego wieczoru, szykując kolację, powiedziałam mu, że byłam u adwokata. Z wrażenia upuścił talerz.

- Wystąpiłaś o rozwód? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak.

- Aha. - Wyglądał na całkiem oszołomionego. - Aha - powtórzył. - Czy to naprawdę konieczne? - spytał.

- Czy naprawdę musiałaś mieć ten romans? - zareplikowałam. - Czy koniecznie musiałaś mi mówić, że nie jesteś pewien, czy to się nie powtórzy? Doszłam do wniosku, że nie potrafię żyć w takiej niepewnej sytuacji i mam zamiar zabezpieczyć swoje interesy.

- Posłuchaj, Faith - zaczął, wyciągając zmiotkę i szufelkę. - Wiem, że mamy w tej chwili pewne problemy, ale to szaleństwo. Musisz to przemyśleć.

- Bardzo długo nad tym myślałam - powiedziałam ponuro. - Myślałam o tym, że już ci nie ufam i że mam wobec ciebie inne odczucia, niż do tej pory. Poza tym odnoszę wrażenie, że twoja zdrada zmieniła nas oboje. I nasze wspólne życie. Może to uproszczone podejście, ale tak to właśnie odbieram.

- Rozwód nas zrujnuje - zaprotestował, wrzucając skorupy do śmieci. - Na litość boską, Faith, dopiero co zacząłem tę fantastyczną nową pracę...

- Twoja praca nie ma z tym nic wspólnego.

- W końcu sprawy obróciły się dla nas na lepsze.
- Szkoda wobec tego, że wdałeś się w romans.
- Mieliliśmy takie wspaniałe perspektywy - dodał z desperacją.

- Tak, dopóki nie przyznałeś się do zdrady.
- A teraz cała kasa pójdzie na adwokatów.
- Rozwód nic nie będzie kosztować - powiedziałam i wyjaśniłam mu sprawę nagrody.

- Wygrana w konkursie! - wykrzyknął. - Ależ to absurd, Faith! I nie chcę żadnych wzmianek w prasie! Zwłaszcza przy mojej nowej pracy!

- Nie przejmuj się - powiedziałam. - Zakreśliłam na formularzu kratkę „bez rozgłosu”. Poza tym powinieneś być zadowolony, że wygrałam ten rozwód, bo w przeciwnym wypadku płaciłbyś jak za zboże. Rory Cheetham-Stabb jest drogi.

- Rory Cheetham-Stabb! - jęknął Peter. - Na litość boską, ten facet to potwór, on mnie zrujnuje! Rory Cheetham-Stabb! - wrzasnął. - Wielki Boże, Faith, co ty sobie wyobrazasz?! Tak to sobie zaplanowałaś? Naciskasz na guzik z napisem „alimenty” i forsa płynie ci na konto?

- Nie bądź niesprawiedliwy - zaprotestowałam. - Nie zamierzam puścić cię z torbami. Uważam jednak, że mam prawo zakończyć nasze małżeństwo z powodów, które ci wyjaśniłam. I nie musisz się sprzeciwiać. Ale jeśli to zrobisz, to będziesz potrzebował adwokata i nie możesz wziąć Karen, bo ona jest naszą wspólną znajomą.

- Dzięki za radę - syknął. - A zatem rozwodzisz się ze mną - powtórzył z niedowierzaniem. - O Boże! - wykrzyknął, zdejmując z półki jeden z kryształowych kieliszków od swojej matki i nalewając sobie dużą miarkę dżinu.

- Jakiej reakcji oczekiwałeś ode mnie po tym, jak opowiedziałeś mi o Andie?

- Nie takiej! - wykrzyknął, przeciągając ręką po włosach. - Myślałem... Mój Boże, ależ się pomyliłem, myślałem, że docenisz moją uczciwość.

- Naprawdę? - spytałam. - A ja myślałam, że jestem naiwna.
- Spodziewałem się, że mnie zrozumiesz - stwierdził ponuro i podniósł szklankę do ust.

- W pewnym sensie cię rozumiem. Rozumiem, co to znaczy stracić do kogoś zaufanie. Teraz, po piętnastu latach, straciłam do

ciebie zaufanie. A jeśli już sobie nie ufamy, Peterze, to nic nam nie zostało.

- Jeszcze dużo nam zostało - zaprotestowałam, gdy zaczęłam obierać marchewkę. - Mamy dzieci, mamy naszą pracę, dom i psa.

- Grahama w to nie mieszaj. Chodzi o to, że wszystko się zmieniło.

- Zdaję sobie sprawę, że masz prawo być wściekła, Faith - powiedział cicho Peter. - Zasłużyłem sobie na to. Wiem, że wpłatałem się w... kłopoty. Ale to nie znaczy, że musimy od razu decydować się na rozwód. Czy nie możemy poczekać, aż temperatura trochę się ochłodzi?

- Ja już się ochłodziłam. Jestem zamrożona.

Peter przyglądał mi się z niedowierzaniem. Poczulałam się jak Gary Cooper w *W samo południe*.

- Chcesz rozwodu, Faith? - zapytał. Milczałam. - Naprawdę chcesz się ze mną rozwieść? Chcesz? - Wpatrywałam się w niego bez słowa. - Czy tego właśnie chcesz? Rozwodu? Czy chcesz się rozwieść? - powtórzył z desperacją.

- Tak, chcę.

Nagle odwrócił się i rzucił kryształowym kieliszkiem przez kuchenne drzwi, uderzając w lustro od Lily.

- Ach! - zawołałam, gdy rozleciało się na kawałki. - Ach!

Chciałam na niego wrzasnąć. Wykrzyczeć wszystko, co ze złością pomyślałam, ale nie mogłam, bo Peter wyszedł z domu, trzaskając drzwiami.

Następnego dnia przeprosił. Wyglądał strasznie i robił wrażenie, jakby naprawdę było mu przykro. Spojrzałam na rozbite lustro, które zdjęłam ze ściany i postawiłam na podłodze. Byłam zdumiona, bo Peter nigdy w czasie naszych wspólnych piętnastu lat nie zrobił czegoś takiego.

- Przepraszam - mruknął. - Straciłem nad sobą panowanie.

Oczywiście przyjąłam jego przeprosiny, lecz zaszokowana tym, co zrobił, spytałam, czy mógłby się wyprowadzić. Przez kilka sekund wyglądał przez okno, a potem skinął głową. Doceniałam to, ponieważ Rory Cheetham-Stabb poinformował mnie, że mężowie na ogół nie chcą się wyprowadzać z rodzinnego domu, aby go nie stracić. Wiedziałam jednak, że Peter zachowa się przyzwoicie.

Poza tym, jak mogliśmy pozostać razem pod jednym dachem? Ciekawa byłam, czy wprowadzi się do Andie; nie miałam wątpliwości, że przyjąłaby go z otwartymi ramionami. Ale kilka dni później powiedział mi, że znalazł małe mieszkanie w Pimlico, niedaleko Tate. Należy do przyjaciela kogoś, kto wyjeżdżał na rok za granicę, i jest stosunkowo niedrogi. Pomogłam mu spakować rzeczy. Dziwnie się czułam. Zwykle pakowałam go na wyjazd na Międzynarodowe Targi Książki we Frankfurcie albo na jakieś inne służbowe wyjazdy. Wyjmując z szafy koszule, spojrzałam na dwa nowe krawaty od Hermesa.

- Ona ci je dała, prawda?
- Tak - przyznał zażenowany.
- Nie powinienesz być ich przyjmować.
- Masz rację.

Spakowaliśmy dwie walizki. Pokój gościnny, w którym ostatnio sypiał, był pusty, a wieszaki stukały o siebie w lekkim powiewie powietrza. Kiedy się pakowaliśmy, Graham leżał na łóżku z łbem między przednimi łapami i przyglądał się nam uważnie. Potem Peter zszedł do kuchni i czekając na taksówkę, zrobił sobie ostatnią filiżankę kawy. Siedząc obok niego, widziałam przez otwarte drzwi walizki w przedpokoju. To niewiarygodne, pomyślałam. Surrealistyczne. Ale coś takiego zdarza się stu pięćdziesięciu tysiącom małżeństw rocznie.

- Powiem dzieciom w czasie weekendu - stwierdziłam. Obawiałam się ich reakcji. - Możesz spędzać z nimi tyle czasu, ile zechcesz. Z Grahamem też. Ale nie chcę, żeby widywali się z Andie, dobrze?

- Nawet nie wiem, czy ja ją będę widywał - odparł. Graham położył mu łeb na kolanach. - Boże, Faith - powiedział. - O Boże! - Sięgnął przez stół i wziął moje dłonie w swoje ręce. - To wszystko jest straszne. Proszę cię, zmień zdanie.

W tym momencie, czując uścisk jego rąk, widząc łzy w jego brązowych oczach i słysząc tak żałosną prośbę, omal tego nie zrobiłam. Wpatrywaliśmy się w siebie, jakbyśmy stali po dwóch stronach przepaści, wiedziałam jednak, że nie ma nad nią mostu. Rozległ się natarczywy dźwięk klaksonu. Peter podszedł do drzwi, zawołał coś i wyniósł przed dom jedną z walizek. Miałam zamiar wybiec za nim i powiedzieć: Zmieniłam zdanie. Popełniłam głupi błąd, ale nie mogłam dać sobie rady z moimi uczuciami i nie wiedziałam, co zrobić. Chciałam ci pokazać, jak bardzo mnie zraniłeś

i chciałam ci się odpłacić tym samym, ale teraz wyrównaliśmy rachunki i proszę cię, żebyś został. Wstałam i podeszłam do drzwi, gdy zadzwonił jego telefon komórkowy. Zostawił go na stole. Telefon wygrywał melodię *Fajny z niego facet*. Spojrzałam na ekranik, gdzie, ku mojemu zdumieniu, w takt muzyki podrygiwały dwa splecione serca. Potem zabłyśło czerwone światełko, oznaczające, że ktoś się nagrał. Wiedziałam kto. Peter wrócił po drugą walizkę i kiedy znów wyszedł z Grahamem depczącym mu po piętach, nacisnęłam guzik odgrywania.

- Skarbie - powiedziała Andie Metzler. - Mam nadzieję, że wszystko w porządku. Nie mogę się już doczekać. Przyjdź później. Wstawiam szampana do lodówki. Całusy. Pa!

- Faith... - powiedział Peter, stojąc na schodach przed domem. - Faith... Ja...

- Do widzenia - powiedziałam. I zamknęłam drzwi.

Niektóre kobiety walczą o swoich mężczyzn, prawda? Kiedy na horyzoncie pojawi się rywalka, wysuwają pazury i walczą. Bronią swojego terytorium z takim samym przekonaniem, z jakim pani Thatcher broniła Falklandów. Ja taka nie jestem. Kiedy usłyszałam słowa Andie, nie rzuciłam się do walki. Kiedy słuchałam jej głosu, serce zaczęło mi bić trzy razy szybciej niż zwykle, nie mogłam złapać tchu i dostałam gęsiej skórki. Gdy nazwała go „skarbem”, to jakby wbiła mi nóż w serce. I ta bezczelna intymność „całusów”. Na myśl o chłodzącym się szampanie, którego później przyniesie do sypialni, zrobiło mi się niedobrze. A jednak perwersyjnie wyobraziłam sobie, jak Andie, w bieliźnie z La Perli, rozbiera Petera. Pociera mu pierś kostką lodu. Głaszcze go po głowie wymanikiurowanymi palcami. Całuje go i pociąga ku sobie. Wyobraziłam sobie, jak się kochają i niemal słyszałam jej jęki i westchnienia. I od razu zobaczyłam siebie, jak wpadam do jej sypialni i wbijam jej w serce mój największy nóż kuchenny. Moja nienawiść do niej była tak prymitywna i gwałtowna, że sama byłam zaskoczona. Nigdy bym siebie nie podejrzewała o tak głęboką nienawiść, ale teraz zrozumiałam, że byłam zdolna do takiego uczucia. Romans Petera ukazał mi moją ciemną stronę, o której nie wiedziałam. Ale Peter należał do mnie. Był moim mężem od piętnastu lat. A ta wstrętna, przebrzydła kobieta weszła w nasze

życie i chciała mi go zabrać. Oczywiście, że miałam ochotę ją zabić. Choć wiedziałam, że tego nie zrobię. Poradzę sobie z tym wszystkim, choć moja duma nie pozwoli mi o niego walczyć. To by było zbyt ryzykowne. Wystarczyło przypomnieć sobie sprawę biednej Delii Bovey. dzielnie walczyła przeciwko Anthei Turner i wygrała tylko na chwilę. Byłam pewna, że Andie także dostanie Petera. W końcu zajmowała się polowaniem na ludzi. O nie, nie zamierzałam z nią walczyć.

- Masz absolutną rację, kochanie - powiedziała Lily, gdy spotkałyśmy się następnego dnia na lunchu, na Greycoat Square, gdzie odbywał się festiwal Umysł, Ciało, Dusza. - To by uchybiało twojej godności i byłoby zbyt ryzykowne - dodała, gdy wchodziłyśmy po schodach. - Prasa miałaby używanie.

- Dlaczego? - spytałam bez większego zainteresowania. - Peter i ja nie jesteśmy sławni.

- Ty trochę jesteś. Pięć milionów ludzi ogląda codziennie twoją prognozę pogody. A Peter jest w tym swoim Komitecie do spraw Etyki Rodzinnej.

- Ach, tak, zupełnie zapomniałam.

- Gdyby w gazetach ukazało się coś o jego rozwodzie, byłoby to dla niego bardzo krępujące i niewygodne. Zwłaszcza - dodała, pokazując strażnikowi nasze bilety - że Bishopsgate wydaje te wszystkie poradniki, jak się nie rozwodzić.

- Naprawdę?

- Tak. Na tym zrobili pieniądze. Mają swój znak firmowy.

- Skąd wiesz?

- Bo zawsze przysyłają do „Moi!” egzemplarze do recenzji. Godne wycofanie się jest o wiele lepsze, Faith. Choć przez jakiś czas będzie to naprawdę straszne.

- Już jest - powiedziałam słabym głosem, czując znajomy ucisk w gardle. - Przeżywam piekło, Lily - szepnęłam, wyjmując chusteczkę. - Nie miałam pojęcia, że coś może tak bardzo boleć.

- Posłuchaj - zaczęła, ściskając mnie za ramię. - Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, kocham cię i pomogę ci, jak tylko będę mogła. Skoro tu jesteśmy, musisz spróbować jakiejś terapii.

- Muszę? - spytałam smutno. Wcale nie chciałam tu przychodzić, ale Lily mnie wyciągnęła. Był taki tłum, że z trudem przesuwaliśmy się od stoiska do stoiska. Gdzieś daleko słyszałyśmy jęklliwe zawodzenie tybetańskich instrumentów. W powietrzu wisi ciężki zapach paczuli i drewna sandałowego.

- Może powinnaś oczyścić sobie aurę - powiedziała z namysłem. - Albo sprawdzić pole biomagnetyczne. To wspaniale robi na stres. I tak długo byłaś mężatką - dodała, gdy zatrzymałyśmy się przy paragwajskich patykach do sprowadzania deszczu. - Tkwiłaś zamknięta w świętym sakramencie, pozbawiona klucza. Na razie tego tak nie widzisz, ale to jest początek wszystkiego, Faith. Wreszcie otwierają się przed tobą drzwi życia.

- Nigdy nie były zamknięte - odparłam ponuro, gdy przepychałyśmy się przez tłum. - Małżeństwo i macierzyństwo są dla mnie życiem.

- Ale to nie jest prawdziwe życie. Kiedy w zeszłym roku wróciłam ze Stanów, pomyślałam, że tkwisz w przeszłości, wciąż w tym samym nudnym kieracie...

- Lubię mój kierat...

- Wciąż na tym samym nudnym przedmieściu.

- Jestem osobą z przedmieścia.

- Teraz rozkwitniesz i zabłyśniesz. Masz trzydzieści pięć lat, jesteś w połowie życia, ale na twojej dotychczasowej drodze były pewne przeszkody. Uwierz mi - powiedziała wesoło - że rozwód okaże się najlepszą rzeczą, jaka ci się w życiu przydarzyła. Co weźmiesz? - spytała.

Nie miałam pojęcia. Czy powinnam wyleczyć sobie karmę czy zostać kosmicznąmyślicielką? Zrobić specjalny ayurwedyczny lifting czy odkryć w sobie boginię? Przeszłyśmy obok stoiska, na którym sprzedawano tęczowe kryształy i indiańskie łapacze marzeń. Po prawej stronie leżącej kobiecie wkładano do ucha niezapalony koniec świecy.

- To są świece Indian Hopi - powiedziała Lily ze znajomością rzeczy. - Bardzo dobre na migreny. Wiedziałaś, że uszy są bramą do poprzednich żywotów?

RESTRUKTURYZACJA DNA! - głosił napis na stoisku z prawej strony. Zatrzymałam się zaintrygowana.

- Możemy zrestrukturyzować pani DNA - zaproponował jakiś mężczyzna.

- To fantastycznie.

- To bardzo prosta procedura - wyjaśnił. - Przesławiamy i przesuujemy pani chromosomy, i w ten sposób umożliwiamy pani absolutne połączenie się z Siłą Boga.

Zabrzmiało to tak radykalnie, że się zawahałam, ale Lily pociągnęła mnie za ramię.

- Nie bądź taka łatwowierna - syknęła. - Wszyscy wiedzą, że to bzdury. Idę teraz ułatwić dostęp moim aniołom - dodała. - Spotkamy się za pół godziny.

- Czytanie z palców u nóg! - krzyczała jakaś kobieta, gdy Lily poszła na górę. **DOWIEDZ SIĘ. JAKĄ MASZ OSOBOWOŚĆ. NA PODSTAWIE PALCÓW U NÓG** - głosił napis na stoisku. **TYLKO DZIŚ SPECJALNA OFERTA- JEDYNE DZIESIĘĆ FUNTÓW! DOKŁADNA ANALIZA OSOBOWOŚCI I PERSPEKTYWY NA PRZYSZŁOŚĆ.**

Nie wiem, dlaczego przemówiła do mnie ta reklama. Zapłaciłam, zdjęłam buty i podwinęłam nogawki dżinsów.

- Bardzo interesujące - stwierdziła terapeutka, gdy usiadłam na fotelu i wystawiłam stopy do inspekcji. Spojrzała na nie przy-mrużonymi oczami i zaczęła je ugniatać i obmacywać. - Ma pani odstępy między palcami - powiedziała - co oznacza awanturni-czy charakter. Z pewnością żyje pani w sposób niekonwencjonal-ny.

- Nie - odparłam rozczarowana. - Wprost przeciwnie.

- Aha. Te palce są bardzo impulsywne - mówiła dalej, poru-szając trzecim palcem prawej stopy. - Spontaniczne. Latinoame-rykańskie. Jest pani trochę lekkomyślną osobą, prawda?

- Nie. Jestem rozsądna i ostrożna.

Ścisnęła duży palec.

- Ma pani przyjemne palce do ściskania. I takie duże.

- Naprawdę?

- Tak, są duże i soczyste, co oznacza artystyczną naturę. Ma pani artystyczne ciagoty, prawda? Zdolności do malarstwa?

- Nie - odparłam. Mój entuzjazm gdzieś się ulotnił. - Nie potrafię malować.

- I w dodatku jest pani utalentowana muzycznie, prawda? - dodała rozpaczliwie.

- Wcale nie.

- Gra pani na flecie.

- Nie.

- Szósty stopień. Z odnaczeniem. - Mówiła kompletne bzdury

- Nie chciałabym być niegrzeczna - powiedziałam zniechę-cona - ale to chyba strata czasu.

- Wie pani - zaczęła, gdy sięgałam po buty - to nowe dla mnie zajęcie i jeszcze nie bardzo mi wychodzi. Ale mam wyrzuty sumienia, że wzięłam od pani pieniądze, a ponieważ jestem

dobrym medium, mogłabym za darmo odczytać pani los z kryształowej kuli, dobrze?

Zanosiło się na kolejne bzdury, ale nie chciała za to pieniędzy, więc się zgodziłam. Włożyłam buty i czekałam, a ona położyła obie dłonie na wielkiej kryształowej kuli.

- Ma pani okropne kłopoty małżeńskie - oświadczyła po chwili.

- To prawda - przyznałam zdumiona.

- Po długim okresie domowej stabilizacji w pani życiu zaszły dramatyczne zmiany. Przeżyła pani szok emocjonalny.

- Zgadza się.

- Pani mąż przyznał się do zdrady.

- To prawda.

- Ale to jego pierwszy raz i ma wyrzuty sumienia. Nie wie, co ma robić.

- To wszystko prawda - przyznałam. - Ale co będzie dalej? - spytałam gorączkowo. - Niech mi pani powie, co mnie czeka.

- Rozwiedzie się pani - odparła cicho. Dreszcz przebiegł mi po krzyżu. - Ale znów będzie pani szczęśliwa - dodała. - Szybciej niż pani myśli. Przeżyje pani te wszystkie trudności. Bóg uwolni panią od bólu - zakończyła.

Bóg uwolni mnie od bólu?

- Faith! - To była Lily. - Och, Faith, widziałam tyle aniołów! - wykrzyknęła w ekstazie. - Widziałam fantastyczne światło anielskich chórów. Jakby mnie wchłonęło. Było takie naprawdę, naprawdę białe. A najlepsze było to, że aniołowie zabrali moje problemy.

- Tak?

- Tak. Moje zmartwienia dotyczące cen okładek i stawek za prenumeratę poszły z aniołami do nieba. Cherubiny i serafiny zabrały je ze sobą. A Archanioł Michał powiedział mi, że z całą pewnością będę miała większy nakład, niż „Vogue”. Czy to nie cudowne?

- Niewiarygodne.

- Co robiłaś?

- Poszłam na czytanie z palców stóp.

- Dobrze?

- Nie. Później jednak ta kobieta zajrzała do kryształowej kuli i wszystko z niej wyczytała. I powiedziała, że wszystko się dobrze skończy. Że Bóg uleczy mnie z bólu. Ale nie wiem jak, Lily.

- Bóg wyleczy cię z bólu? - powtórzyła z namysłem. - To może znaczyć tylko jedno, Faith. Spotkasz jakiegoś mężczyznę.

- Nie bądź głupia - jęknęłam. - To za szybko. Jeszcze się nawet nie rozwiodłam.

- Peter też się nie rozwiodł, a już kogoś spotkał. - Kiedy to powiedziała, poczułam się tak, jakby ktoś nadepnął mi na serce. - Peter ma kogoś - dodała ciszej - to i ty możesz.

- Nie mogę wybiegać tak daleko w przyszłość - mruknęłam z irytacją.

- Nie możesz też stać w miejscu. Jest tylko jedno wyjście, musisz znów zacząć spotykać się z facetami.

- Nie wiem, jak się do tego zabrać - powiedziałam i zaśmiałam się ponuro. - Nigdy tego nie robiłam.

- To prawda. Nie wyobrażam sobie, żebyś potrafiła kogoś poderwać.

- Nawet bym nie chciała.

- Czyżby?

- Oczywiście, że nie - stwierdziłam z godnością.

- Dlaczego nie?

- Wolę, żeby to mężczyźni mnie podrywali.

- Aha. W takim razie musisz nauczyć się flirtować. A ja ci w tym pomogę.

Nie wiem, dlaczego zgadzam się na różne pomysły Lily. Naprawdę nie wiem. Ale jej zawsze udaje się namówić mnie na wszystko, co jej przyjdzie do głowy. Zawsze tak było. Ona kieruje, a ja siedzę przypięta pasami na miejscu pasażera. To chyba siła jej osobowości. Jest jak lawina - zmiata mnie za sobą. Inaczej nie mogę wytłumaczyć, dlaczego cztery dni później znalazłam się razem z nią na warsztatach z flirtowania.

- Zgodziłam się tu przyjść, ponieważ nadal nie doszłam do siebie po szoku, jaki przeżyłam - powiedziałam, kiedy stawiłyśmy się w hotelu Sloane przy Earls Court.

- O nie, Faith - zaprotestowała, gdy wchodiliśmy do środka. - Robisz to, bo w głębi duszy tego pragniesz. Wiesz, że to będzie dla ciebie coś dobrego. Musisz się nauczyć, jak znów dawać sobie radę z mężczyznami - dodała arogancko, zdejmując płaszcz. - Musisz się nauczyć, jak na nich pozytywnie i zdrowo reagować. Flirt sprawi, że będziesz dla nich atrakcyjniejsza, a to

podniesie cię na duchu i poprawi twoje samopoczucie. Zostałaś zdradzona - powiedziała poważnie, kiedy znalazłyśmy salę konferencyjną. - Dlatego czujesz się gorsza od innych. I myślisz, że nikt cię nie kocha.

- Dziękuję za wyjaśnienie.

- Czujesz się niechciana i niepożądana. Nieważna i brzydka.

W gruncie rzeczy czujesz, że poniosłaś totalną klęskę.

- Dobrze, dobrze, rozumiem, co chcesz powiedzieć.

- Kiedy nauczysz się flirtować, znowu poczujesz się pociągająca, piękna i seksowna.

- Bardzo wątpię.

- A potem, kiedy będziesz gotowa, poznasz jakiegoś wspa-
niałego mężczyznę, z którym zaczniesz nowe życie.

- Nie chcę zaczynać nowego życia z obcym facetem.

- Teraz nie chcesz, kochanie - powiedziała. - Ale zechcesz.

To dopiero sprawi przykrość Peterowi.

- Co?

- Fakt, że znajdziesz sobie kogoś.

- Nawet jeśli to on mnie zdradził?

- Oczywiście.

Gdy Lily to powiedziała, coś we mnie podskoczyło i pomyśla-
łam, po raz pierwszy, że wcale nie byłoby mi żal, gdyby Peter
trochę pocierpiał. A nawet chciałabym tego. W końcu ja przez
niego cierpiałam. Zdradził mnie. Złamał mi serce. Cała ta sytu-
acja była wyłącznie jego winą. To nie ja miałam romans. Czeka-
jąc na rozpoczęcie zajęć, zaczęłam sobie wyobrażać słodką zem-
stę. Nie chciałam już zabijać Andie, przyszła kolej na Petera.
Chętnie bym go przejechała - pomyślałam spokojnie. Albo ze-
pchnęła ze skały, albo wrzuciła mu truciznę do kawy, albo...

- Witam wszystkich! - Moje rozmyślenia przerwało przy-
ście naszej „nauczycielki” Brigitte, mniej więcej czterdziestopię-
cioletniej brunetki, która wyglądała jak nadmuchana.

- Fantastyczna frekwencja - powiedziała i prześwidrowała
oczami zebranych. Rzeczywiście, było nas ponad trzydzieści osób,
pół na pół kobiet i mężczyzn. Wszyscy uśmiechaliśmy się nie-
śmiało. Wszyscy oprócz Lily. Ona mrugała do dość przystojnego
faceta, który siedział naprzeciwko niej.

- Chcecie nauczyć się flirtować, prawda? - spytała Brigitte
z anielskim uśmiechem. Lily bawiła się brzegiem spódnicy. - Chce-
cie stać się bardziej atrakcyjni dla płci przeciwnej. - Lily odpięła

górną guzik bluzki. - To bardzo dobrze, że ludzie flirtują- kontynuowała Brigitte. Lily oblizała usta. - Inaczej rasa ludzka by wymarła. Ja dużo flirtuję - przyznała - i uważam, że to niezła zabawa. A teraz - zaproponowała, klaszcząc w dłonie - czas na pierwsze ćwiczenie. Podzielmy się na sześciuosobowe grupki i rzucajmy w siebie tymi piłkami tenisowymi, jednocześnie przedstawiając się sobie w seksowny sposób. - Zachichotaliśmy i zaszuraliśmy nogami, a potem wstaliśmy niechętnie i podzieliliśmy się na grupy.

- Halo, mm, ha, ha, ha, jestem Brian.
- Halo, jestem Sue.
- Cześć, jestem Mike.
- Hej, jestem Faith.
- Dzień dobry, mam na imię Dave.
- Hej, witaj, Dave, seksowny z ciebie facet. Jestem Lily.

Dave upuścił piłkę. Mężczyzna zastraszony - pomyślałam.

- Bardzo dobrze - pochwaliła nas Brigitte po paru minutach. - Następane ćwiczenie dotyczy kontaktu wzrokowego. Większość z nas czuje zażenowanie, wpatrując się komuś głęboko w oczy. Ale właściwy kontakt wzrokowy jest bardzo sexy i może przynieść nieoczekiwane efekty. Teraz poćwiczmy. Będziemy chodzić dookoła sali i obrzucać się prowokacyjnymi i jawnie ostrymi spojrzeniami.

To niesamowite - pomyślałam, kiedy tak chodziliśmy, przyglądając się sobie natrętnie, choć trudno było obrzucać bezczelnym wzrokiem facetów, gdyż wszyscy gapili się na Lily.

- Bardzo dobrze - zawołała entuzjastycznie Brigitte. - Rozglądajcie się na wszystkie strony. Spoglądajcie innym prosto w oczy. Tak, doskonale, zatrzymujcie ich spojrzenia. Niech wasze oczy przemawiają do drugiej osoby. Niech mówią: „Heej, kotku”.

To było nie do wytrzymania. Paliła mnie twarz. Później musieliśmy dobrać się w pary i prawić sobie wyszukane komplementy. Moim partnerem był Chińczyk, student medycyny o imieniu Ting.

- Mówcie sobie komplementy! - powtarzała Brigitte. - A po każdym z nich proszę powiedzieć „dziękuję” i uśmiechnąć się. Jasne?

- Ma pan ładne błyszczące włosy - powiedziałam.
- Cienkuję. A pani ma gumowy lód.
- Dziękuję. Ma pan ładne zęby.

- Ma pani dobre jaja.
- Aha. Podoba mi się pana nos.
- Pani spódnica jest fajna.

Brigitte znów zaklaskała w dłonie.

- Flirtowanie opiera się na tym, że ludzie lubią tych, którzy ich lubią- wyjaśniła. - Dlatego właśnie imitacja jest najbardziej szczerą formą pochlebstwa. Teraz zajmiemy się odzwierciedlaniem ruchów ciała, co nazywa się odbiciem postury. Naśladujcie swoje ruchy jak najdokładniej. Spróbujcie także naśladować sposób oddychania. A teraz - powiedziała po piętnastu minutach - następane zadanie. Musicie odszukać wewnętrzne zwierzę. Tak, musicie znaleźć zwierzę, które najbardziej odpowiada waszej osobowości i pozwolić, aby to zwierzę obmacało wasze ciało. Dobrze? Lily, jakim pani jest zwierzęciem?

- Jestem panterą-wymruczała.
- A pani, Faith?
- Eee... Nie wiem. No, jestem pancernikiem.
- Lepiej wymyślić coś innego - poradziła Brigitte. - Pancerniki mają pancerze.
- Dobrze, mogę być psem.
- Ja jestem lwem.
- A ja orłem.
- Ja kameleonem.
- Ja jestem fretką.
- A ja papuzką.

Na tym etapie wszystko tak bardzo przypominało farsę, że moje zahamowania znikły i poczułam się swobodniej. Kiedy zajęcia się kończyły, zaczynałam się niezłe bawić.

- Świetnie wam poszło - stwierdziła ciepło Brigitte. - Na koniec dam wam jeszcze jedno zadanie. Szalenie ważne. Musicie w drodze do domu rozkosznie uśmiechnąć się do każdej napotkanej osoby.

- Bardzo dużo skorzystałam - powiedziała Lily, gdy wychodziłyśmy z hotelu. - Naprawdę dużo się nauczyłam.

- Nie mów - stwierdziłam sceptycznie. Lily otworzyła drzwi swojego granatowego porsche.

- Oczywiście! - wykrzyknęła entuzjastycznie, opuszczając dach. - Pamiętaj, Faith - dodała, gdy wyjeżdżałyśmy na Earls Court Road. - Musimy się uśmiechać do każdej napotkanej osoby.

- Nie martw się. Będę się uśmiechać - obiecałam z przekonaniem. W końcu świeciło słońce, kwitły wiśnie i po raz pierwszy od wielu tygodni porządnie się uśmiełam. Tak, mimo kłopotów miałam ochotę się uśmiechać. Przystanęłyśmy na czerwonym świetle na skrzyżowaniu z Brompton Road, gdy obok nas stanął mgf z opuszczonym dachem. Nagle zdałam sobie sprawę, że kierowca samochodu gapi się na nas. Odwróciłam głowę w lewo i spojrzałam wprost na uśmiechniętego mężczyznę. Ale do kogo się uśmiechał? Zapewne do Lily. Spojrzałam jeszcze raz. Nie, nie uśmiechał się do Lily, lecz do mnie. Patrzył na mnie. I uśmiechał się. Po prostu. Co za bezczelność! Obrzuciłam go ostrym spojrzeniem. Nic nie pomogło. Uśmiechnął się szerzej. Gdyby mój wzrok mógł zabijać, już byłby martwy. Musiałam z tym skończyć.

- Na co się pan gapi? - warknęłam.

- Na panią - odparł z uśmiechem.

- To bardzo niegrzecznie!

Roześmiał się. Śmiał się ze mnie! Co za bezczelność! Obrzuciłam go karcącym spojrzeniem. Nic sobie z tego nie robił, siedział i się śmiał. Nie miałam wyjścia. Musiałam wykonać naprawdę nieładny gest i to obiema rękami.

- Faith! - wykrzyknęła Lily. - Co ty, do diabła, robisz? Miałaś się do niego uśmiechać, idiotko!

- Nie mam najmniejszego zamiaru - syknęłam. - Ten facet mnie wnerwia. Gapi się na mnie. Bezczelny! Co on sobie myśli? Do jasnej cholery! Mam tego dość! Jeszcze tego mi trzeba! Jak pan śmie? - powiedziałam, odwracając się do mężczyzny w samochodzie. - Jak pan śmie siedzieć w tym swoim głupim sportowym samochodzie i gapić się na nas? Tam jest policjant - dodałam ze złością. - Zaraz go zawołam i każę pana aresztować za molestowanie seksualne. Halo, panie oficerze! - zawołałam teatralnie.

Mężczyzna w sportowym samochodzie związał się ze śmiechu.

- Niech pan przestanie!

- Zamknij się, Faith! - powiedziała Lily.

- O nie! Nie pozwolę na to! - wrzasnęłam. - Zapiszę sobie pana numer. I podam na policję, słyszy pan? Napiszę do Scotland Yardu!

- Proszę bardzo. - Zaśmiał się na cały głos. - I nie musi pani zapisywać mojego numeru, proszę! - Sięgnął do kieszeni marynarki i gdy światło zmieniło się na żółte, rzucił mi na kolana małą

białą kartkę. Po sekundzie światło zmieniło się na zielone i już go nie było.

- To... To oburzające! - wykrzyknęłam. - Widziałas, Lily? Co za bezczelność!

- Niczego się dziś nie nauczyłaś? - spytała ze złością Lily. - Podobałaś się temu facetowi, kretynko.

- Co? Och.

- I wrzeszczałaś na niego, jak nawiedzona tylko dlatego, że jesteś wściekła na Petera.

- Nie.

- Tak. Tak zwany gniew zastępczy. Dałaś niezłe przedstawienie - dodała, potrząsając głową. - Musisz się jeszcze dużo nauczyć.

Spojrzałam na wizytówkę. W rogu był namalowany mały pędzelek, a napis głosił: JOSIAH CARTWRIGHT - ARTYSTA NA WOLNOŚCI. Miałam ogromną ochotę od razu wyrzucić wizytówkę przez okno, ale nie zrobiłam tego. Nieładnie jest śmiecić. Starannie schowałam kartkę do torebki.

Nadal marzec

W piątek wieczorem przyjechały dzieci. Rozmowa z nimi nie była łatwa, ale postarałam się przekazać im wiadomość o rozwodzie jak najdelikatniej.

- Kiedy mamusia i tatuś nie kochają się już w ten specjalny sposób - zaczęłam, gdy usiedliśmy w kuchni - postanawiają... Matt, czy mógłbyś odłożyć gazetę? Chciałam z wami porozmawiać.

- *Pardon* - powiedział od niechcenia, spoglądając na mnie znad „Financial Timesa”. - W Boliwii wybuchło powstanie.

'- To bardzo nieprzyjemne, ale mam wam coś ważnego do powiedzenia. Widzicie - zaczęłam jeszcze raz - gdy mamusia i tatuś już nie... No... Sami wiecie... Wtedy postanawiają...

- Rozwieść się? - wtrąciła Katie. - Daj spokój, mamo, i przejdź do rzeczy. Rozstajecie się z tatą.

- No... cóż, tak bym tego nie określiła. Ale z drugiej strony - powiedziałam, kręcąc na palcu obrączkę - ostatnio nam się nie układa.

- Już dawno to zauważyłam.
- Postanowiliśmy żyć w separacji.
- Dzięki Bogu! - wykrzyknął Matt.
- Słucham? - spytałam.

Spojrzał znad gazety.

- Rząd odzyskał władzę.

- Posłuchaj, Matt - powiedziałam zirytowana. - Jestem bardzo zadowolona, że interesujesz się polityką, ale usiłuję powiedzieć wam coś ważnego, coś bardzo ważnego, i byłabym wdzięczna, gdybyś mnie wysłuchał. Jak już mówiłam, ojciec i ja podjęliśmy trudną i bolesną decyzję. Ale nadal będziecie go często widywać. Mówię to po raz ostatni, Matt, odłóż gazetę - dodałam ze złością.

- Co? Och, przepraszam - powiedział z roztargnieniem - ale w Japonii było trzęsienie ziemi. Co się tutaj dzieje?

- Mama powiedziała, że się rozwodzą z tatą- wyjaśniła cierpliwie Katie. Przez chwilę panowała złowieszczą cisza. - A to oznacza - mówiła dalej Katie - że ty i ja nie będziemy już żyli ze stygmatem dzieci szczęśliwych rodziców. - Spojrzałam na nią zdumiona. - W Seaworth rodzice wszystkich dzieci sąrozwiedzeni - stwierdziła rzeczowo. - My byliśmy jedyni z pełnego małżeństwa. To było bardzo żenujące.

- Ach tak - powiedziałam słabym głosem. - Rozumiem.
- Większość z nich ma już trzecich mężów i żony.
- Naprawdę?
- O nas się nie martw. Damy sobie radę.
- Aha. Dobrze. Świetnie.
- Złożone stosunki rodzinne są dzisiaj normą.
- Tak.

- Komórka rodzinna nie istnieje. Ale musimy być bardzo ostrożni wobec Grahama - dodała poważnie. - Dla niego to może być traumatyczne przeżycie. W końcu przyszedł do nas z rozbitej rodziny.

- Z rozbitej budy - poprawił ją Matt.

- Będzie się czuł niepewnie. Musimy go podbudowywać emocjonalnie - mówiła Katie, gładząc uszy Grahama. - Musimy mu wytłumaczyć, że w dzisiejszych czasach są najrozmaitsze rodziny.

Skinęłam głową. Miała absolutną rację. Nigdy się nie spodziewałam, że to przydarzy się akurat nam, ale teraz mieliśmy zostać „inną” rodziną. To straszne, straszne - pomyślałam. Nagle zadzwonił telefon i Katie pobiegnęła odebrać.

- Cześć, tato - usłyszałam. - Wszystko dobrze. Tak, wiemy. Czyli rozstanie. Chcesz nas gdzieś zabrać? Jasne! Matt! Tata nas zaprasza.

Następnego dnia o drugiej po południu zadzwonił dzwonek i za drzwiami, jak jakiś uprzejmy gość, stał Peter. Graham rzucił się na niego, szczekając i piszcząc z radości.

- Cześć, kochanie - powiedział Peter i ukucnął, żeby pies mógł go polizać po uchu.

- Mogłeś otworzyć sobie drzwi kluczem - powiedziałam cicho. - To nadal jest twój dom.

- Na razie - odparł sucho. - Dopóki Rory Cheetham-Stabb się za mnie nie weźmie.

- Nie kłóćmy się. Dokąd zabierasz dzieci?

- Do Muzeum Nauki, mają tam nowy dział. A potem na przejażdżkę na Ferris Wheel. I na hamburgera w Hard Rock Cafe.

- Zapowiada się nieźle. Bardzo fajnie. - Postanowiłam, że będę się zachowywać w cywilizowany sposób.

- Też mogłabyś się z nami wybrać - zaproponował.

- Naprawdę? Fantastycznie. Bardzo chętnie, tylko wezmę płaszcz... - Zaraz, zaraz, co ja powiedziałam? Oczywiście, że nigdzie się nie wybieram. Przecież się rozstaliśmy. - No tak, dziękuję, ale jednak nie - wycofałam się. - Muszę wyjść z Grahamem. A potem idę na basen. Chodźcie, dzieci, nie kaźcie tacie czekać.

- Zaraz!

Kiedy dzieci wkładały płaszcze, staliśmy z Peterem w przedpokoju, uśmiechając się do siebie niepewnie, jakbyśmy byli obcymi ludźmi, rozmawiającymi o głupstwach na jakimś nudnym koktajlu.

- Faith - powiedział nagle Peter, podchodząc bliżej. - Faith - powtórzył. - Nie rób na razie niczego drastycznego. Chciałbym, żebyśmy wybrali się na terapię.

- Na terapię?

- Tak. Myślałem nad tym i uważam, że powinniśmy pójść do Resolve.

- Do Resolve? Większości ludzi nie potrafią pomóc.

- Sądzę, że powinniśmy spróbować - nalegał.

- Ja tak nie uważam. I nie mam zamiaru dyskutować o naszym małżeństwie z kimś obcym.

- Może dzięki terapii zobaczymy wszystko w innym świecie, nim zrobimy coś nieodwracalnego. Taylorom terapia w Resolve pomogła.

- Aha, a ona teraz bierze prozac.
- Proszę cię, Faith - powiedział błagalnie Peter. - Proszę cię. Musimy spróbować.
- Sama nie wiem - odparłam niechętnie. Nagle Graham podskoczył, oparł łapy na mojej piersi i spojrzał na mnie prosząco.
- Proszę, Faith - powtórzył znów Peter.
Pogłaskałam Grahama po uszach.
- No... dobrze, niech ci będzie - powiedziałam z westchnieniem.

- Dobrze wyglądasz - stwierdziła Marian ciepło, kiedy w poniedziałek rano weszłam do charakteryzatorni.

- Aha - powiedział Iqbal. - Fantastycznie. Chyba trochę schudłaś, co?

- Czyżby? - powiedziałam zdumiona. - Tak, chyba rzeczywiście schudłam.

- Twarz ci wyszczuplała - odkryła Marian, nakładając podkład. - Wyglądasz ślicznie - dodała wspaniałomyślnie. - Nie tak...

- Pękato? - spytałam z uśmiechem.

- Tak bym tego nie określiła.

- Jej chodzi o to - powiedział z uśmiechem Iqbal - że dieta, którą stosujesz, działa.

Miałam wielką ochotę powiedzieć im, że stosuję dietę rozwojową, która świetnie pomaga schudnąć, ale nie mogłam tego zrobić. Wszystko by się wydało, a ja nie chciałam, żeby w pracy dyskutowano o moich problemach małżeńskich. Doskonale mogłam sobie wyobrazić te plotki: Biedna Faith... Jakaś kobieta... Wiesz, Amerykanka... Ach, nie, to porządny facet... Za wcześniej się pobrali, to się zdarza... Nie, w żadnym wypadku nie chciałam stać się obiektem współczującej troski moich kolegów. Ludzie rozwodzą się co tydzień, pomyślałam. Muszę być silna i dać sobie radę. Z drugiej strony, obiecałam Peterowi, że pójdę z nim na terapię, choć nie wierzyłam, że to coś da. Po zakończeniu programu dyskretnie zadzwoniłam do Resolve i zamówiłam wizytę.

- Kto nas przyjmie? - spytałam, gdy już zapisałam datę.

- Nasza główna terapeutka - powiedziała recepcjonistka. - Nazywa się Zillah Strindberg. Jest bardzo dobra.

Po południu poszłam na basen. W domu bez Petera było okropnie pusto. Coś strasznego. Czułam się jak pogrążona w żałobie. Brakowało mi jego obecności, naszych niespodziewanych rozmów

i tego, że wiedział, o czym myślę, nie pytając mnie o to. I brakowało mi klucza przekręcanego w drzwiach każdego wieczoru. Stałam się wypełnić jakoś wczesne wieczory, bo inaczej bym tego nie wytrzymała. Posadziłam Grahama przed *Pojedynkiem kulinarnym*, poszłam na basen i przepłynęłam swoje zwykłe trzydziści długości. Woda podtrzymywała mnie i unosiła w prawdziwie terapeutyczny sposób. Później usiadłam w barze z filiżanką ziołowej herbaty i „Timesem”, gratulując sobie w myśli tego, że przynajmniej usiłuję ratować moje małżeństwo i odruchowo czytałam ogłoszenia matrymonialne. Nigdy przedtem nie zwracałam na nie uwagi, ale teraz stałam się ich wierną czytelniczką. Tytu jest samotnych mężczyzn! W dzisiejszej gazecie byli „wysportowani trzydziestoparolatki”, „wysocy profesjonalści” i „kawalerowie do wzięcia, czterdzieści trzy”. Lily twierdziła, że w końcu zaczną się rozglądać za innymi facetami. Na to, oczywiście, było znacznie za wcześnie. Przypomniał mi się głupawy kierowca w idiotycznym sportowym samochodzie, który rzucił mi wizytówkę. Jak on śmiał, pomyślałam, wyjmując wizytówkę z torebki. Wyjątkowo bezczelny, stwierdziłam, odczytując numer telefonu. Prosta, doszłam do wniosku. Naprawdę sądził, że do niego zadzwonię? Moje doświadczenia z mężczyznami były minimalne, ale tego rodzaju podryw zupełnie mnie nie interesował.

- Przepraszam, czy to miejsce jest wolne? - Podniosłam głowę, spoglądając z zaskoczeniem na mężczyznę, który uśmiechał się niepewnie. - Czy to miejsce jest wolne? - powtórzył.

- Nie - odparłam, czując, że się czerwienię. - To znaczy tak. Jest wolne. Nie jest zajęte. Chodzi mi o to, że... - Przerwałam. - Niech pan siada - powiedziałam słabym głosem i wróciłam do czytania, wciąż lekko zmieszana. Jednocześnie dyskretnie obserwowałam spod spuszczonej powieki tego zdecydowanie przystojnego faceta. Był wysoki i dobrze zbudowany. Włosy miał jeszcze wilgotne od prysznicy. Usiadł i kiedy się do mnie uśmiechnął, zauważyłam, że ma niebieskie oczy.

- Jestem Stanley - powiedział nagle. Oderwałam się od gazety zaskoczona, że chce ze mną rozmawiać. - Stanley - powtórzył - Stan Plunkett.

- Halo. Ja jestem Faith.

- Wiem - powiedział. - Zapowiada pani pogodę w BBC.

- To nie do końca jest prawda - odparłam ze śmiechem, zaróżowiona z dumy. - Pracuję dla drugiej strony, w AM-UK!

- Często pani tu przychodzi?

- Dość często. Lubię pływać. - Zakładałam, że odzywa się do mnie z grzeczności, skoro siedzieliśmy przy tym samym stole. Pomyślałam, że wypije kawę i pójdzie. Ale on wciąż mówił. Siedzieliśmy razem przez jakieś dziesięć minut i opowiadał mi o swojej pracy, którą jest czymś niezwykłym, związanym z bronią nuklearną, i właśnie się rozkręcił, gdy nagle rzuciłam okiem na zegar i zobaczyłam, że jest wpół do dziesiątej.

- Obawiam się, że muszę iść - powiedziałam. - Bardzo mi przykro, ale to przekleństwo telewizji śniadaniowej.

- Szkoda, było mi bardzo miło w pani towarzystwie.

- Muszę się kłaść o dziesiątej.

- A może znów się spotkamy? - zaproponował.

- No... dobrze - stwierdziłam niepewnie. - Jestem przekonana, że się tu zobaczymy.

- Mam na myśli umówione spotkanie - wyjaśnił ciepło. Aha.

- Wybierzmy się na drinka. Czy ma pani czas w... - Wyciągnął kalendarz. - W czwartek?

W końcu pojęłam. Chciał się ze mną umówić. Miałam zamiar powiedzieć: Bardzo mi przykro, choć oczywiście mi to pochlebia, ale jestem mężatką, kiedy przypomniałam sobie, że wszystko się zmieniło. Że żyję w separacji. Że Peter się wyprowadził. I że przestałam nosić obrączkę.

- Moglibyśmy pójść do Cafe Rouge - zaproponował. - Nad rzeką.

Spojrzałam na niego i pomyślałam: właściwie dlaczego nie? Tak, dlaczego by nie?

- Czy w czwartek ma pani czas? - powtórzył.

- Tak.

W czwartek więc szykowałam się na pierwszą od piętnastu lat randkę. Dla mnie była to historyczna chwila. Nikt nigdy o mnie nie zabiegał, nie zapraszał na obiady czy kolacje z winem. Nie chciałam być źle rozumiana. Peter i ja byliśmy szczęśliwym małżeństwem do jego wysokości. Dopóki w nasze życie nie wkroczyła Andie Metzler, nasz związek przypominał piknik bez os. Pasowaliśmy do siebie. Żyliśmy w harmonii. Aż do tego roku nigdy się nie kłóciliśmy. Optymistycznie szliśmy wspólną drogą, zadowoleni i ufający sobie wzajemnie, widząc w sobie to, co najlepsze. Mieliliśmy naprawdę bardzo udane małżeństwo i wierzyłam, że tylko śmierć nas rozłączy. Ale w końcu to nie śmierć nas

rozłączyła. Czytałam, że niektórzy ludzie, kiedy kończy się ich związek z ukochaną osobą, chcą zniszczyć przeszłość i wspomnienia o wszystkim, co było dobre -jakby zdrada przekreślała całe dotychczasowe szczęście. Przypuszczam, że to rodzaj mechanizmu obronnego. Ale sama tak nie czułam. Nawet to, że Peter mnie zdradził i że byłam na niego zła, nie zmieniło faktu, iż nadal uważałam nasze małżeństwo za udane. Z drugiej strony, pobraliśmy się tak wcześnie, że na pewno coś mi umknęło. Peter był moim pierwszym chłopakiem i dopiero teraz, w wieku trzydziestu pięciu lat miałam zacząć chodzić na randki z innymi facetami.

Oczywiście byłam przerażona i w dość podłym nastroju, ale jednocześnie byłam także lekko podekscytowana. Przyznaję, byłam trochę podekscytowana. Ponieważ usłyszałam, że w mojej głowie otwiera się furtka. Weźmy, na przykład, Mimi. Zanim spotkała Mike'a, miała paru chłopaków i choć byłam szczęśliwa z Peterem, zazdrościłam jej tych spotkań. I ja, i Lily, i wszystkie samotne kobiety uważałam za osoby niezależne, silne i dzielne. Teraz ja też miałam stać się kobietą niezależną. Kobieta spotykającą się z mężczyznami. Gdy przed wyjściem spojrzałam po raz ostatni do lustra, przekonałam się, że Marian miała rację - schudłam. Byłam zbyt zajęta swoimi problemami, aby to zauważyć, ale teraz widziałam to bardzo wyraźnie. Spódnica była za luźna w pasie i trochę zmniejszył mi się biust. Znikł drugi podbródek - dzięki Bogu - a moje rysy nabrały ostrości. Straciłam mamuśkowaty budyniowy wygląd. Urosły mi włosy. Przeglądając się w lustrze, poczułam nagły ucisk w sercu. Zdałam sobie sprawę, że nawet bez specjalnych starań potrafiłam zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Wychodząc na spotkanie ze Stanem denerwowałam się, lecz także nabrałam pewnej nowej śmiałości. Kiedy wchodziłam do Cafe Rouge, przepowiedziałam sobie w myśli kilka anegdotek z pracy, bo byłam pewna, że mu się spodobają. Jeszcze go nie było, gdy przyszedłam, zajęłam więc stolik przy oknie, zadowolona, że wzięłam ze sobą gazetę, bo spóźnił się pół godziny.

- Strasznie przepraszam - wysapał - ale zatrzymała mnie praca. Byłem w Izbie Gmin.

- O! - powiedziała. Byłam pod wrażeniem. I naturalnie, spytałam go, co tam robił, a on odparł, że musiał się spotkać z pewnym posłem z Partii Pracy. A potem opowiedział mi o swojej organizacji „Zacznij znów”, która ma na celu naciskanie na

rządy, aby likwidowały broń nuklearną. Otworzył teczkę i wyjął grube akta w formacie A-4.

- To jest nasze roczne sprawozdanie - oznajmił. - Przyniosłem je dla pani.

- Och - powiedziałam zdumiona. - Dziękuję.

- Chcę, żeby je pani przeczytała.

- Dobrze.

Przerzuciłam strony i na wewnętrznej okładce zobaczyłam zdjęcie bardzo poważnego Stana. Było podpisane: „Stan Plunkett, dyrektor-założyciel”. Dyrektor-założyciel! Coś takiego!

- To bardzo interesujące zajęcie - stwierdziłam.

- Bardziej niż interesujące - powiedział poważnie, kiedy przyszedł kelner. - Jest niezbędne. Konieczne. Świat może się rozpaść w każdej chwili. Butelkę chilijskiego chardonnay poproszę. Czy nie martwi pani bezpieczeństwo świata?

- Prawdę mówiąc, chyba nie.

- A powinno, Faith - oświadczył z przekonaniem. - Sytuacja jest bardzo niestabilna.

- Naprawdę? Ojej. Myślałam, że zimna wojna już się skończyła.

- To prawda - przyznał - ale groźba ataku nuklearnego jest dziś większa niż wtedy. W gruncie rzeczy - powiedział z przekonaniem, maczając kawałek ciabatty w oliwie - jesteśmy na progu zagłady.

- Och, nie.

Z żalem pokiwał głową.

- To się może zdarzyć w każdej chwili. Większość nuklearnych łodzi podwodnych jest w stanie alarmu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę i wystarczy jeden fałszywy ruch - powiedział i przez następne czterdzieści pięć minut bez przerwy mówił o wojnie nuklearnej. - Cruise i pershing... Obrona przed pociskami... Układ Warszawski... Oczywiście Pakistan jest prawdziwym zagrożeniem... Atak na Tajwan... Pakt o broni... Władimir Putin... Polaris... Czy wie pani, że pod ręką są tysiące starych SS24? A Wielka Brytania stale powiększa swoje zasoby nuklearne przez związek z tridentem. - Pochylił się do przodu. - Czy wie pani, że jedna głowica tridenta może wyrządzić osiem razy więcej szkody, niż jedna bomba zrzucona na Hiroszimę? - Zaczynałam wpadać w depresję. - Prawdę mówiąc - dodał ze złością - trident zaprzecza twierdzeniom rządu o zaangażowaniu w rozbrojenie.

- Coś takiego.
- Chcę, żeby nasz kraj zrezygnował z tridentów - oznajmił, uderzając pięścią w stół.
- Rozumiem.
- Do tego właśnie dążę, do świata bez broni nuklearnej.
- To byłoby wspaniałe.
- Wiedza o tej broni masowego rażenia spędza mi sen z powiek - powiedział z misjonarskim zapałem. Dyskretnie stłumiłam ziewnięcie. Stan sięgnął nagle do teczki i wyjął cztery kartki papieru formatu A-3. To były kserokopie z wybranych artykułów, które napisał.

- To dla pani.
- Bardzo dziękuję. - Rzuciłam okiem na kartki i schowałam je do torebki. Nastąpiła chwila ciszy i pomyślałam, że teraz zapyta o moje sprawy. Ale nie zrobił tego. Nalał nam wina i zaczął mówić o swoim niedawnym wyjeździe do Waszyngtonu.

- Byłem na konferencji prasowej w Ministerstwie Obrony - wyjaśnił. - I wie pani, przydarzyło się coś zabawnego - stwierdził z fałszywie skromnym uśmiechem. - Nagle rzecznik prasowy powiedział: „Chcielibyśmy poznać opinię pana Stana Plunketta”.

- Coś takiego! - zawołałam.

Potrząsnął głową i znów się uśmiechnął. Kiedy ponownie się rozgadał, przyjrzałam mu się i doszłam do wniosku, że wcale nie jest atrakcyjny. Miał cofniętą szczękę, a gdy się uśmiechał, widać było trzy, a nawet cztery podbródki. Miał także wąskie wargi i małe żółte zęby. Mówił w afektowany sposób. Jest nudny jak flaki z olejem, pomyślałam ze złością. I wcale nie był inteligentny. A mimo to nieustannie się przechwalał. - Mówił wyłącznie o sobie. Peter nigdy nie zanudzał ludzi opowieściami o swojej karierze. Nie chwalił się osiągnięciami. Wzięłyby tego faceta za bęcwałę, pomyślałam. Zrozumiałam, że Stan Plunkett tylko dlatego się ze mną umówił, że byłam dla niego rodzajem lustra, w którym mógł podziwiać swoje bohaterskie odbicie. Zerknęłam dyskretnie na zegarek i zobaczyłam, że dochodziła dziewiąta.

- Obawiam się, że muszę już iść - powiedziałam. - Mam randkę z poduszką. Miło mi było pana poznać - dodałam z fałszywą uprzejmością. - Powodzenia w ratowaniu świata!

Wróciłam do domu i wyrzuciłam jego papiery do śmieci.

- Co za nudziarz! - zawołała Lily, kiedy opowiedziałam jej przez telefon o randce.

- Chyba miał kompleks Supermana - stwierdziłam. - Niemal oczekiwałam, że wskoczy do budki telefonicznej i założy rajstopy.

- Straszny egomaniak - powiedziała z oburzeniem. - W dzisiejszych czasach groźba ataku nuklearnego jest prawdziwym przeżytkiem. Ale wiesz co... - dodała nagle. - Może... tak... Może należałoby ją ożywić.

- Co?

- Tak. To doskonały pomysł. Powrót zimnej wojny. ..Moi!* przygotuje specjalny dodatek - powiedziała z ożywieniem. - Nazwiemy go „Nucleaire” albo raczej ..NewCieaire*. Moglibyśmy sfotografować modelki w tych pięknych rosyjskich płaszczach i kapeluszach a la Breżniew - mówiła z entuzjazmem. - I oczywiście w tych genialnych futrach. Moglibyśmy poprosić na sponsora La Maison de la Fausse Fourrure. A dział wewnątrz mógłby dotyczyć przebudowanych bunkrów...

- Lily...

- Moglibyśmy ogłosić konkurs, gdzie wygraną byłby rejs po morzu. Zrobimy to w listopadzie. Genialny pomysł, Faith. Nigdy bym na niego nie wpadła bez twojej pomocy. Ale wiesz co, nie powinnaś spotykać się z takimi beznadziejnymi facetami. Czy masz jeszcze kogoś na oku?

- Nie, nie mam.

- A ten mężczyzna w sportowym samochodzie na Brompton Road? Podobałaś mu się.

- A on mnie nie - odparłam, odruchowo otwierając torebkę i wyjmując wizytówkę.

- Wydawał mi się w dobrym guście - dodała Lily. - Powinnaś dać mu szansę.

- Absolutnie i kategorycznie nie mam najmniejszego zamiaru - powiedziałam, odczytując jeszcze raz jego nazwisko. Josiah Cartwright. Josiah to w dzisiejszych czasach niespotykane imię - pomyślałam, odkładając słuchawkę. Ze zwykłej ciekawości sięgnęłam po książkę z imionami i odszukałam Josiaha. Kiedy zobaczyłam, co to imię oznacza, dreszcz przeszedł mi po plecach. Dowiedziałam się, że Josiah jest żydowskim imieniem, które znaczy: »Bóg uzdrawia". Bóg uzdrawia? Bóg uzdrawia! Z wrażenia dostałam gęsiej skórki. „Bóg uzdrowi twoje cierpienie” - powiedziała roi ta kobieta. „Bóg uzdrowi twój ból". To był znak, niewątpliwy

znak, że nadszedł czas, aby pójść dalej. Jeszcze raz spojrzałam na wizytówkę, przeczytałam adres i telefon, podeszłam do telefonu i wykręciłam numer. Po dwóch dzwonekach ktoś odebrał i usłyszałam sympatyczny głos: „Bardzo mi przykro, ale mnie nie ma. Proszę zostawić wiadomość po sygnale i obiecuję, że na pewno od razu oddzwonię”. Głos był normalny, grzeczny i przyjemny. Zaczzerwieniłam się, kiedy przypomniałam sobie, jak na niego nakrzyczałam. Usłyszałam szereg sygnałów dźwiękowych, widocznie miał dużo nagranych wiadomości, a potem nagle zapadła cisza, a ja powiedziałam:

- To może śmieszne, ale tydzień temu dał mi pan swoją wizytówkę. Staliśmy na świątłach na Brompton Road. Nie byłam dla pana zbyt grzeczna. W gruncie rzeczy potraktowałam pana bardzo niegrzecznie, ponieważ mnie pan zaskoczył. Mam na imię Faith. Jak już mówiłam, to dość śmieszne i pewnie pomyśli pan, że jestem okropna, jeśli by jednak chciał pan kiedyś do mnie zadzwonić, to byłoby mi miło. - Podałam swój numer telefonu i odłożyłam słuchawkę.

Następnego dnia serdecznie pożałowałam swojej spontaniczności. Nie oddzwonił. Ani tego dnia, ani następnego. Ani jeszcze następnego. Jestem kompletną kretynką, pomyślałam, siedząc przy biurku między kolejnymi zapowiedziami pogody. Jak mogłam zrobić coś tak głupiego? - zastanawiałam się, przeglądając „Independent”. Chyba zwariowałam, żeby dawać zupełnie obcemu człowiekowi domowy numer telefonu, ganiłam się w myśli, przeglądając gazetę. Ale to w końcu nic dziwnego, skoro jestem w środku kryzysu małżeńskiego i najwyraźniej mam problemy z logicznym myśleniem, usprawiedliwiłam się w duchu. I w tym momencie serce mi zamarło. O Boże! O Boże! To nie był zwykły zbieg okoliczności, lecz coś doprawdy niesamowitego. Weszłam w strefę cienia, ponieważ zobaczyłam przed sobą duże, czarno-białe zdjęcie podpisane: Josiah Cartwright. Przeżyłam taki szok, że o mało nie zgubiłam szkieł kontaktowych. W dziale sztuki był z nim wywiad pod tytułem: CARTWRIGHT WPROWADZA CZARY DO ROYAL EXCHANGE. Serce waliło mi jak oszalałe, gdy szybko czytałam tekst. Niezwykła dekoracja do Burzy... Niesamowita wyobraźnia wizualna Cartwrighta... Gęsta, bogata, surrealistyczna... Najlepszy współczesny projektant.

W wywiadzie napisano, że ma trzydzieści siedem lat, urodził się w Coventry, studiował w Slade, a oprócz tego, że był świet-

nym malarzem, często robił scenografię dla teatru. Na zdjęciu wyglądał przystojnie, w rozpiętej koszuli i sportowej marynarce, Miał dość długie ciemnoblond włosy i duże, wyraziste szare oczy. Uśmiechał się nieśmiało, jakby był zdumiony własnym powodzeniem.

Przypuszczam, że miałem szczęście - powiedział w wywiadzie. - To, co robię, robię z pasją. Życzenia reżysera są zawsze najważniejsze. Ładnie powiedziane. Nie skąpił też pochwał innym scenografom: Carl Toms był geniuszem. Podziwiam Williama Dudleya. Prace Stephanosa Lazaridisa są po prostu cudowne.

Wywiad był fantastyczny. Skopiowałam go i schowałam do torebki, czując się bardzo dziwnie, a potem wróciłam do studia, gdzie usiłowałam skoncentrować się na pracy i zignorować napaści Terry'ego na Sophie. Darryl powinien coś z tym zrobić, ale w ogóle nie reaguje. Terry zabrał Sophie sprzed nosa jej wywiad i po raz kolejny skrytykował ją na wizji. Wypadła jedna wiadomość, musiałam więc przedłużyć prognozę, a później okazało się, że labrador pływający na tratwie się spóźnił. Musiałam pocieszać Iqbala, który miał problemy ze swoim partnerem, Wilfem, i naprawdę miałam ciężki dzień, przez co udało mi się na trochę zapomnieć o Josiahu.

Kiedy zakończyliśmy program, z radością wróciłam do domu i położyłam się do łóżka, wiedząc, że Josiah nie zadzwoni. Obudziłam się o pierwszej i chodziłam po domu w nocnej koszuli, żałując rozstania z Peterem i oglądając rzeczy, które zostawił. W korytarzu wisały dwie stare sportowe marynarki. Z tęsknotą wtuliłam w nie nos, wdychając znajomy spleśniały zapach. Na podłodze stały jego gumki, nosi dziesiątkę. Wsunęłam do środka jedną nogę. Dom nadal promieniował obecnością Petera. Wciąż mi się wydawało, że za chwilę stanie w drzwiach. Często w ciągu dnia myślałam o różnych sprawach, o których chciałam z nim porozmawiać, a potem przypominało mi się, że go nie ma. Czułam się pusta, pogrążona w żałobie, zupełnie jakby Peter umarł. Żeby się trochę oderwać od tego wszystkiego, oglądałam głupie programy w telewizji. Siedziałam, gapiąc się na ekran i odruchowo wsunęłam rękę między poduszki kanapy. Poczułam coś miękkiego i wyciągnęłam jedną skarpetkę Petera. Łzy napłynęły mi do oczu. Dynamika naszego małżeństwa zmieniła się na zawsze i nie było już powrotu do tego, co straciliśmy. Moja matka twierdzi, że

praca jest najlepszym lekarstwem na rozpacz, więc ubrałam się i poszłam do ogrodu. Przycinając powojnik, zaczęłam się ochraniać. I postanowiłam, że z tego wyjdę. Wytrzymam ból. Podjęłam słuszną decyzję w sprawie rozwodu i niedługo będę to miała za sobą. W końcu przede mną całe życie. W lepszym nastroju posadziłam lilie stargazer, podczas gdy Graham udawał sfinksa na trawniku. Z zadowoleniem przyglądałam się efektom swojej pracy, gdy nagle zadzwonił telefon.

- Czy to Faith? - spytał miły męski głos.

- Tak.

- No... -Zaczął się śmiać. -Ja... -Zaczął od nowa. Poczułam przyjemne ciepło i także się uśmiechnęłam. - Proszę posłuchać - powiedział. - Kiepsko mi to idzie, ale mówi Josiah Cartwright.

- Tak, wiem, że to pan. Cześć! - odparłam ze śmiechem.

- Cześć! Właśnie odsłuchiwałem pani wiadomość. Oczywiście, że panią pamiętam. Jak mógłbym zapomnieć? Bardzo chciałbym się z panią spotkać!

Kwiecień

Bardzo rzadko chodzę do kościoła. Może to reakcja na całe lata obowiązkowego uczestniczenia we mszy w St. Bede. Mieliśmy mnóstwo nabożeństw, wystarczy do końca życia. Jednak mimo że nie jestem już praktykującą katoliczką, nie udało mi się całkiem porzucić Kościoła. Mówi się, że katolik do śmierci pozostaje katolikiem i to jest prawda. Choć od dziesięciu lat nie byłam u spowiedzi i nie jestem pewna, czy wiedziałabym, co powiedzieć. Kiedy byłam młoda, spowiedź nawet mi się podobała. Lubiłam odchodzić od konfesjonału z poczuciem absolutnego oczyszczenia. Zakonnice uczyły nas, że nasze dusze są białymi koszulami, które brudzą się w codziennym użyciu. Wyjaśniały nam, że zwykłe grzechy zostawiają małe plamki, jak długopis, jajko czy kawa, ale grzechy śmiertelne zostawiają duże plamy, jak po keczupie, czarnej farbie czy oleju. Mówiły, że chodzenie do spowiedzi to wkładanie koszuli do pralki. Kiedy Lily spytała, czy powinnyśmy nastawić program na czterdzieści czy na sześćdziesiąt stopni, musiała za karę napisać dwieście razy: „Nie będę żartować z religii”-

Jednak reszta z nas wierzyła, że po spowiedzi nasze dusze będą nowe i błyszczące czystością. Nadal myślę, że to prawda. Czasem chciałabym zrobić coś naprawdę grzesznego, a potem pójść do spowiedzi, żeby znów mieć poczucie, że jestem rozgrzeszona. Ale katoliczka ze mnie żadna. Do kościoła chodzę zazwyczaj na Wielkanoc i na Boże Narodzenie. Ponieważ w niedzielę wielkanocną dzieci z Grahamem były u Petera, zadzwoniłam do Lily, czy by się ze mną wybrała.

- Mogłybyśmy pójść do katedry - zaproponowałam.
- Bardzo dziękuję, ale nie skorzystam. Już się umówiłam w Świętej Trójcy w Brompton.
- Ależ to kościół anglikański - powiedziałam zdziwiona.
- No, tak - odparła powoli. - Wydaje mi się, że mogłabym przejść na anglikanizm.
- Myślę, że znam prawdziwą przyczynę - powiedziałam ze śmiechem. - Liczysz, że spotkasz jakiegoś fajnego faceta.
- Faith! - zawołała Lily z oburzeniem. - Ależ się zrobiłaś ostatnio podejrzliwa. Choć muszę przyznać, że mają tam dość przyzwoitego wikarego - dodała, zaciągając się cygarem. - Najważniejsze jest jednak to, że mają specjalne miejsce, gdzie mogą zostawić Jennifer Aniston.

I tak w niedzielę wielkanocną wybrałam się na mszę sama. Postanowiłam pójść do naszego lokalnego Kościoła św. Edwarda, przy Chiswick High Road. O wpół do jedenastej siedziałam w ławce z prawej strony, wdychając ostry, lecz znajomy katolicki zapach kadzidła, wosku i kurzu, i przyglądając się krucyfikowskiemu rzeźbom i płomieniom wotywnych świec, migoczących w przeciągu. Zaczęłam się zastanawiać nad wszystkim, co mi się przydarzyło w ciągu ostatnich trzech miesięcy.

- Panie, zmiłuj się nad nami - powiedział ksiądz.
- Jeszcze w styczniu byłam szczęśliwą mężatką.
- Chryste, zmiłuj się nad nami.
- Teraz jestem zdradzoną żoną, która podjęła kroki rozwodowe.
- Panie, zmiłuj się nad nami.
- A mój mąż się wyprowadził.
- Módlmy się.

Kiedy pochylił się głowę, aby zastanowić się nad cudem Zmartwychwstania, ja zastanowiłam się także, czy nie mogłabym wskrzesić mojego małżeństwa, chociaż było to bardzo wątpliwe. Andie weszła między nas i trochę się nas zrobiło za dużo. Poza

tym wróżka od palców od nóg powiedziała, że na pewno się rozwiodę. Co za okropna sytuacja! Gdy wstaliśmy, żeby odmówić wyznanie wiary, zmusiłam się, by skoncentrować się na mszy.

- Wierzę w jednego Boga... - Po co chodzić do kościoła, jeśli myśli się o czym innym?-Ojca wszechmogącego... -Choć ciekawa byłam, jak często Peter spotyka się teraz z tą amerykańską krową? - Stworzyciela nieba i ziemi... - Nigdy go o to nie pytam, ponieważ, prawdę mówiąc, nie chcę wiedzieć. - Wszystkich rzeczy widzialnych i niewidzialnych... - Jedno jest jednak pewne, jeżeli Peter spotyka się z Andie, to ja też mogę umawiać się z innymi mężczyznami. - I w jednego Pana Jezusa Chrystusa, Syna Bożego jednorodzonego... - Przypomniało mi się, że nie mogę się doczekać spotkania z Josiahem. - Który z Ojca jest zrodzony... - Chwilowo pracuje w Manchesterze. - Bóg z Boga, światłość ze światłości... - Dlatego wcześniej do mnie nie oddzwonił. - Bóg prawdziwy z Boga prawdziwego... - Ale odsłuchał nagrania na automatycznej sekretarce i zadzwonił z Manchesteru. - Współlistotny Ojcu... - Zdumiewające, prawda? - A przez Niego wszystko się stało... - Jest wybitnym scenografem. - On to dla nas, ludzi, i dla naszego zbawienia zstąpił z nieba... - Jest fenomenalnie przystojny. - I stał się człowiekiem... - Naprawdę bardzo atrakcyjny. - Ukrzyżowany również za nas pod Poncjuszem Piłatem... - Ciekawe, czy był kiedykolwiek żonaty? - Został umęczony i pogrzebany... - Przypuszczalnie. - Który z Ojcem... - Ciekawe, czy ma dzieci? - Wspólnie odbiera uwielbienie i chwałę... - Założę się, że byłby doskonałym ojcem. - Wierzę w jeden, święty, powszechny i apostołski Kościół... - Ma takie cudowne szare oczy. - Wierzę w jeden chrzest na odpuszczenie grzechów... -I bardzo ładny uśmiech. - I oczekuję wskrzeszenia umarłych... - Odkąd zadzwonił, poczułam się znacznie lepiej. - I życia wiecznego w przyszłym świecie. - Mężczyźni!

- A teraz posłuchajmy czytania ze Starego Testamentu - powiedział ksiądz, kiedy usiedliśmy. Nie wierzyłam własnym uszom - to była opowieść o Jozjaszu

- Jozjasz rządził w Jerozolimie trzydzieści jeden lat. - To kolejny znak - pomyślałam z przejęciem, pochylając się do przodu. - Czynił on to, co jest słuszne w oczach Pańskich... Nie zbaczając ani na prawo, ani na lewo.

Opowieść mówiła o tym, jak wielkim królem był Jozjasz, i o tym, jak zniszczył posągi rzeźbione i odlewane z metalu, usta-

wionę przez Izraelitów; przy okazji musiał też, niestety, zabić paru ludzi. W kazaniu ksiądz podjął ten temat i wyjaśnił, że Jozjasz był siłą sprawczą odnowy i że przekonał ludzi do powrotu od duchowej niewierności do wierności. Pomyślałam, że Bóg wyraźnie chciał mi coś przekazać. Byłam ofiarą niewierności i przybył Joziah, aby uleczyć mój ból. Kiedy jednak przed komunią przekazaliśmy sobie znak pokoju, znów wróciłam myślą do Petera.

- Przekażcie sobie znak pokoju.

Tak to jest ze mną ostatnio, niby Janus patrzę jednocześnie do tyłu i do przodu.

- Pokój nam wszystkim - mrużeliśmy pod nosem, podając sobie nieśmiało ręce. - Pokój nam wszystkim.

Czy mogłam uratować moje małżeństwo? Nie miałam pojęcia.

Jednak tego samego dnia o siódmej wieczorem miałam trochę większe pojęcie. Dzieci wróciły do domu z eleganckimi torbami, w których przyniosły największe czekoladowe jajka wielkanocne, jakie kiedykolwiek widziałam. Na pewno kosztowały masę forsy. A Graham dostał całą torbę psich czekoladek.

- Miło, że tata kupił wam słodycze - powiedziałam, zabierając się do kolacji.

- Nie są od taty - poinformowała mnie Katie.

- Nie? - spytałam zaskoczona.

- Nie - powiedział Matt, zdejmując aksamitną wstążkę z opakowania. - Andie nam dała.

- Andie? - wycedziłam przez zaciśnięte wargi.

- Tak, Andie. Dziś ją poznaliśmy - dodała Katie.

- Aha. Rozumiem. A gdzie dokładnie ją poznaliście, jeśli mogę spytać?

- W mieszkaniu taty - wyjaśnił Matt. - Szkoda że nie widziałas jajka, które dała tacie. Większe od naszych.

- W jego mieszkaniu? - syknęłam. Ladaczniczka usiłowała przeproczyć moje dzieci. Wyobraziłam sobie, że chodzi prawie nago w obecności dzieci.

- Nie przejmuj się, mamó - powiedziała Katie. - Nic nie robili. Przyszła niezaproszona, żeby dać nam prezenty.

- Dlaczego, skoro nawet was nie zna?

- Bo chciała się nam podlizać - wyjaśniła Katie cierpliwie. - Dać nam łapówkę. To typowe zachowanie kobiety, która spodziewa się, że zostanie macochą - dodała z przekonaniem, odłamując

wielki kawał czekolady. - Potencjalni partnerzy usiłują wkraść się w łaski potomstwa osoby, na którą polują, żeby przełamać ich naturalną niechęć i zostać zaakceptowanym. Ale nie martw się. mamó - dodała radośnie. - Ze mną i z Mattem jej się nie uda.

- Z Grahamem też nie - powiedział pogardliwie Matt. - Nawet nie dała mu prawdziwej czekolady.

- Nie zgadzam się, żeby Andie miała coś wspólnego z dziećmi - syknęłam, kiedy trzy dni później spotkałam się z Peterem w Resolve, w wysokim wąskim budynku w połowie Wimpole Street. - Nie próbuj więcej takich numerów!

- Czym mogę państwu służyć? - spytała miło recepcjonistka, gdy stanęliśmy przy jej biurku.

- Przyszła niespodziewanie - wyjaśnił znużonym tonem Peter. - Nie miałem pojęcia, że się do mnie wybiera.

- Wystarczy, że ty spotykasz się z tą... suką- prychnęłam. - Nie musisz w to wciągać dzieci ani Grahama.

- Czy państwo są umówieni?

- Ja ich w nic nie wciągam.

- Jak to nie? Naraziłeś ich na to spotkanie.

- Ona nie jest zakaźną chorobą.

- Czym mogę państwu służyć?

- Są moralnie rozchwiani.

- Nie są.

- Właśnie że są - skłamałam. - Byli... zdenerwowani, gdy wrócili do domu.

- Nieprawda!

- Jakie nazwisko?

- Nie podoba mi się, że się z nią spotykasz - warknęłam.

- Dlaczego miałbym się nie spotykać? W końcu ty mnie wyrzuciłaś.

- Dobrze, to prawda. Ale dlaczego zgodziłeś się przyjść ze mną tutaj, skoro wciąż się z nią widujesz?

- Bo... Bo... Och, bo nie wiem, co się wydarzy - powiedział, przeczesując ręką włosy.

- Rozumiem - stwierdziłam sarkastycznie. - Zabezpieczasz się na wszystkich frontach. Otóż to ci się nie uda.

- Proszę państwa...

- O co chodzi?-burknęliśmy oboje.

- Czy mogę prosić o nazwisko?
- Smith.
- Czy to państwa prawdziwe nazwisko?
- Tak.
- I przyszli tu państwo, żeby ratować swoje małżeństwo?
- Zgadza się.
- Pani Strindberg przyjmie państwa za dziesięć minut. Proszę przejść do poczekalni.

Duża poczekalnia była umeblowana podrabianymi antykami i obstawiona licznymi wazonami z wypłowiałymi suszonymi kwiatami. Na krzesłach pod ścianami, z zaciśniętymi ustami i spiętymi twarzami, siedziało sześć par, rozglądając się wokół ukradkowo i wstydliwie. Żeby się rozerwać przerzuciłam kilka pism, przeważnie bardzo starych. Numer „Chat” z możliwością wygrania rozvodu i grudniowy „Moi!” Sięgnęłam po „Marie Claire” i jednocześnie podniosłam głowę. O Boże! Samantha i Ed spod dziewiątego. Zawsze uważałam ich za doskonałe małżeństwo, raz czy dwa byliśmy u nich na przyjęciu. Poczułam, że się czerwienię. To musi być dla nich okropne, pomyślałam, spotkać sąsiadów w Resolve. Samantha uśmiechnęła się krzywo, a ja odwzajemniłam uśmiech na tyle ciepło, na ile to było możliwe w tej sytuacji. Zastanawiałam się, czy dodać parę słów, kiedy nagle usłyszałam głosy. Dochodziły zza drzwi po lewej stronie, na których była tabliczka z nazwiskiem: PANI ZII-LAH STRINDBERG.

W środku najwyraźniej coś się działo. Początkowo słyszeliśmy jedynie pojedyncze słowa: „pogodzenie... bzdury... wybaczyć... nie ma mowy... jeszcze raz spróbować... nie zwracaj głowy...”

Para, która przyszła na terapię, musiała mieć jakieś trudności. W poczekalni zapadła cisza i słyszeliśmy wyraźnie całą rozmowę.

- Pracowaliśmy nad sobą.
- Ach tak?
- I doszliśmy do wniosku, że nie chcemy się rozwieść.
- Co takiego?
- Postanowiliśmy zostać razem - powiedział męski głos.
- Nie powinniście tego robić.
- Porządnie wszystko przemyśleliśmy.
- Mówi pan od rzeczy.
- Mamy zamiar jeszcze raz spróbować.
- Nieraz coś takiego słyszałam. .

- Niepotrzebnie zawracaliśmy sobie głowę drobiazgi.
 - To wcale nie są drobiazgi.
 - Najważniejsze jest coś innego.
 - Co?
 - Że wciąż się kochamy.
 - To nie ma z tym nic wspólnego!
 - Dziękujemy pani za pomoc, ale zostajemy małżeństwem.
 - Bardzo mi przykro - stwierdziła piskliwie Zillah Strindberg - ale uważam, że powinniście się rozwieść.
 - Kiedy nie chcemy...
 - Dla mnie nie ulega wątpliwości...
 - Naprawdę, właśnie podjęliśmy decyzję.
 - ...że zupełnie do siebie nie pasujecie.
 - Pasujemy.
 - Nie.
 - Tak. Jest nam ze sobą bardzo dobrze.
 - Przykro mi! - krzyknęła. - Nie wierzę! Jestem absolutnie pewna, że powinniście się rozjeść.
 - Ale my już nie chcemy. Przedtem chcieliśmy, a teraz nie chcemy.
 - Proszę posłuchać - powiedziała. - Moim zdaniem...
- Nagle drzwi się otworzyły i szybko wyszło przez nie dwoje ludzi. Za nimi pojawiła się Zillah Strindberg, czerwona i zdenerwowana. Przyglądała włosy, spojrzała na kartkę, którą trzymała w ręku, i delikatnie odchrząknęła.
- Państwo Smith - oznajmiła z niewyraźnym uśmiechem. Peter i ja spojrzeliśmy na siebie i uciekliśmy.

Poniedziałek.

- Zbliży się fala deszczów - powiedziałam, naciskając autopilota.
- Faith schudła. Dziesięć...
- Co oznacza niemiły początek dnia.
- Niezła z niej teraz babka. Osiem...
- Spójrzmy teraz na zdjęcie satelitarne.
- Oczywiście wiesz, dlaczego schudła. Siedem...
- Widać front z kwietniowymi opadami.
- Poważne problemy małżeńskie. Sześć...
- Pogoda będzie się zmieniać.

- Sypia z jakąś Amerykanką. Za pięć...
- Zwłaszcza w śródmieściu Londynu.
- Trzy. I go wywaliła. Dwa...
- Choć może na chwilę zaświeci słońce.
- Moja siostra widziała ich w Resolve. Jeden...
- Ale proszę na to nie liczyć.
- Mieszka przy tej samej ulicy.
- I na tym na razie kończymy. Do zobaczenia o **dziewiątej**.
- Jest szansa, że zostaną razem?
- Zero.
- Dziękuję, Faith - powiedziała Sophie z cudownym uśmiechem. - Oglądają państwo AM-UK! A teraz przyszła pora na nasze główne wiadomości...

Odpinając mikrofon, czułam się chora. Boże, Boże, wszyscy już wiedzą. O wszystkim. A ja tak bardzo starałam się zachować dyskrecję. Poszłam na górę i udawałam, że jestem zajęta sprzątaniami biurka. I tak musiałam to zrobić, bo wszędzie leżały sterty faksów i papierów, na nich stały trzy filiżanki po kawie, mój kawałek wodorostu spadł z haczyka, a domek pogodowy pokrył się kurzem. Peter mi go kupił, gdy dostałam pracę w telewizji śniadaniowej. Przez trzy miesiące pracowałam jako wolny strzelec, a potem zwolnił się etat. Dzieci chodziły już do szkoły i z radością skorzystałam z propozycji. Domek wygląda jak szwajcarska chatka, a w środku jest człowieczek w skórzanych spodniach i jego żona w ludowej spódniczce. Człowieczek trzyma parasol. Kiedy wychodzi z domku, a jego żona zostaje, to oznacza, że będzie padał deszcz. Kiedy wychodzi z domku żona, a jej mąż zostaje w środku, oznacza to, że będzie ładna pogoda. Czasami, kiedy sytuacja nie jest jednoznaczna, wychodzą razem. Dziś człowieczek wyszedł sam. Jest w tym jakaś metafora - pomyślałam ponuro, otwierając listy.

Pierwszy list był okropnie nabazgrany, w końcu jednak udało tni się go odczytać.

Uważa się pani za kogoś wyjątkowego, co? - pisał Mark z Solihull. - *To fcale nie prawda. O Boże, jakiś tępak. Nie wiezę Pani, ani nikt co znam. Wszędzie słyszę że się pani nie zna ' podaje złom pogodę. Fszyscy tak mówią, w kolejkach, na poczcie, na przystanku, w kinie i w pubie.*

A ja to słyszę w pracy. Na litość boską! Podarłam list i wrzuciłam do kosza. Pozostałe listy były na szczęście sympatyczne, w większości komentujące to, że schudłam.

Niech pani nie chudnie za bardzo - radziła pani Brown z Stafford. - Me chcemy, aby wyglądała pani jak Posh Spice.

Wolałem panią, jak była pani gruba - pisał pan Stephenson z Stoke. Dłuższe włosy są ładniejsze - komentowała pani Daft z Derby - ale na pani miejscu bym je wycieniowała.

Skąd się biorą tęcze? - pytał dziesięcioletni Alfie z Hove. Przykro mi, że ma pani kłopoty małżeńskie - napisała pani Davenport z Kent. Co?! - Właśnie przeczytałam o tym w „Hello”. Pomyślałam, że do pani napiszę. Sama rozwiodłam się w lipcu zeszłego roku. To okropne, ale wiem, że pani sobie poradzi.

Z bijącym sercem pobiegłam do biurka planistów i wzięłam ostatni numer „Hello!”. W dziale z wiadomościami o znanych osobach było moje małe zdjęcie z tytułem: CHMURY BURZOWI-DLA DZIEWCZYNY OD POGODY. Kto im, do diabła, powiedział?

Faith Smith z AM-UK! zamierza się rozwieść z mężem wydawcą, który przyznał się do romansu. Dowiedzieliśmy się z dobrego źródła, że zrozpaczona Faith, mimo terapii, nie ma nadziei na uratowanie małżeństwa. Nowe stanowisko Petera Smitha w wydawnictwie Bishopsgate może być zagrożone, gdyż właścicielami firmy jest grupa Bibie Belt Americans, która ma bardzo surowe poglądy na prywatne życie swoich pracowników.

Wrzuciłam pismo do kosza, usiadłam za biurkiem i oparłam głowę na rękach. Teraz już wiedzą wszyscy. Mój rozwód stał się sprawą publiczną. Kto i po co im powiedział? „Hello!” nie płaci za takie informacje. Poza tym nie byłam naprawdę znaną osobą, komu więc mogłoby zależeć... Och, wiedziałam. Oczywiście. Ależ ze mnie idiotka. To na pewno ta krowa Andie. Chciała zapewnić sobie to, że faktycznie się rozstaniemy. Nie mogła zostawić nas w spokoju, musiała popchnąć sprawę. Ta amerykańska stara panna chciała zagwarantować sobie zwycięstwo. Jeszcze raz przeczytałam notatkę. Zrozpaczona Faith... Wcale nie jestem zrozpaczo-
na - pomyślałam, czując na policzku gorącą zęb. Nie ma nadziei... Nie jestem znów taka beznadziejna - powiedziałam sobie, gdy wypadły mi szkła kontaktowe. W gruncie rzeczy świetnie sobie radzę w tej okropnej sytuacji - przekonywałam samą siebie, zbiegając szybko do damskiej ubikacji. Dzięki Bogu nikogo w niej nie było. Weszłam do kabiny, opuściłam deskę, usiadłam i zaczęłam szlochać jak dziecko. Znosiłam się płaczem, twarz miałam czerwona i mokra. W końcu spuściłam wodę i wyszłam. W łazience ktoś był. Włożyłam szkła i niewyraźna postać nabrała kształtu.

- Faith! - wykrzyknęła cicho Sophie. - To ty. Słyszałam, że płaczesz. Co się stało?

- Nic - zaszlochałam.

- Coś musiało się stać - powiedziała, gdy podeszłam do umywalki. - Powiedz mi. - Nie miałam zamiaru niczego jej mówić, to była zbyt osobista sprawa. - Powiedz mi, co się stało - powtórzyła, gdy obmyłam twarz zimną wodą i spoglądałam w lustro na swoje zapuchnięte oblicze. Westchnęłam.

- Dostałam nieprzyjemne listy, nic takiego.

- Przynajmniej dostajesz jakieś listy - zawołała entuzjastycznie. - Do mnie ostatnio nic nie przychodzi. Ale nie warto z tego powodu płakać - dodała. - Tylko o to chodzi?

- Tak, tak - powiedziałam, wyciągając zielony papierowy ręcznik. - Wiesz, jak to jest tutaj z tymi strasznymi godzinami. Człowiek naprawdę przesadnie reaguje na najdrobniejszą rzecz.

- Ale co się stało, Faith? - spytała. - Może mogę ci jakoś pomóc? - Położyła mi rękę na ramieniu. Wpatrywałam się w nią z gardłem bolącym od powstrzymanego płaczu. Łzy znów napłynęły mi do oczu i zamazały twarz Sophie.

- Rozwodzę się - wychrypiałam. Przez łzy widziałam na twarzy Sophie współczucie, ale nie zdziwienie. Już wiedziała. To było jasne. Najwyraźniej wszyscy w pracy wiedzieli. - Płacę jednak dlatego - mówiłam dalej - że w najnowszym „Hello!” jest na ten temat wzmianka. Dopiero kiedy ją zobaczyłam, czarno na białym, dotarło do mnie, że to wszystko dzieje się naprawdę. Napisali w gazecie! - jęknęłam. - Nie możesz sobie nawet wyobrazić, jakie to okropne.

- Mogę - odparła Sophie, wzdrygając się. - Byłabym przerażona, gdyby brukowce zajęły się moim życiem. O mój Boże! - dodała i zaśmiała się nerwowo. - To by dopiero była gratka dla tych pismaków.

- Rozwodzę się - załkałam i nowe łzy spłynęły mi po policzkach.

- Czy naprawdę musisz, Faith? - spytała Sophie cicho, obejmując mnie ramieniem.

Patrzyłam w podłogę. Czy faktycznie muszę?

- Tak, muszę.

- Dlaczego? - Dlaczego?

- Bo mój mąż miał... romans. I nie mogę sobie z tym poradzić. Nie mogę zapomnieć. Mam wrażenie, że wszystko jest brudne i popsute.

- Wiem, że za dobrze się nie znamy - powiedziała Sophie, podając mi chusteczkę - ale czy mogłabym dać ci radę?

- Tak - mruknęłam. Z uczuciem lekkiego zażenowania zdałam sobie sprawę, że Sophie jest ode mnie co najmniej o dziesięć lat młodsza.

- Byłam w sytuacji takiej, jak twój mąż - wyjaśniła. To pewnie z tym facetem, Alekssem. - Niedawno kogoś zdradziłam. Zachowałam się bardzo głupio i ta druga osoba o wszystkim się dowiedziała. - Zawahała się, musiało jej być ciężko o tym mówić. - I ten ktoś nie może zapomnieć i mi wybaczyć. Niejestem mężatką, więc nie ma mowy o rozwodzie, ale mimo to jest to... - Westchnęła. - Coś straszego.

Spojrzałam na nią, opanowując płacz, przejęta jej wyznaniem, zwłaszcza że na ogół była bardzo zamknięta. Podzielenie się własnymi problemami było dla niej na pewno bardzo trudne, a zrobiła to wyłącznie, aby mi pomóc.

- Jeśli możesz mi wybaczyć, zrób to - poradziła. - Będziesz szczęśliwsza.

- Może - mruknęłam bez przekonania. - Sama nie wiem. Ale bardzo mi pomogłaś, Sophie. Dziękuję.

Nagle usłyszałyśmy odgłos spuszczonej wody, drzwi jednej z kabin otworzyły się i wyszła z niej Tatiana.

- Tak, Sophie - powiedziała z afektowanym uśmiechem. - Bardzo ci dziękuję.

My, prognostycy, gdy wychodzimy z domu, zawsze robimy jedną rzecz - spoglądamy w niebo. Z kształtu chmur zawsze potrafimy przewidzieć nadchodzącą pogodę. Na przykład, jeśli na niebie są chmury pierzaste, nadal będzie ładnie. Chmury pierzaste są długie, drobne i bardzo wysokie. Są z lodu, czasem nazywamy je „ogonami klaczy”. Jeśli widzimy chmury kłębiaste, wiemy, że będzie burza. Są to wielkie, czarne, beczkowate chmury, które sprowadzają grzmoty, błyskawice i deszcz. Są także chmury wielowarstwowe - płaskie, szare warstwy produkujące mżawkę lub mgłę. Dziś jednak, kiedy wybrałam się do biura Rory’ego Cheethama-Stabba, na niebie kłębiły się bufiaste białe cumulusy. Uwielbiam cumulusy, ponieważ zapowiadają moją ulubioną pogodę - słońce na przemian z deszczem. O tej porze roku, kiedy spojrzysz się w niebo, widać wielkie chmury jak falujące poduchy, a między

nimi plamy błękitnego nieba. Chmury mogą być szare albo białe, czasem lekko ozłoczone. Gwałtowne wiosenne wichury pchają je po niebie, przynosząc niespodziewane krótkie ulewy. A kiedy mija deszcz i wychodzi słońce, pojawia się tęcza. Dlatego uwielbiam cumulusy i właśnie dziś je zobaczyłam. Lubię spojrzeć od niechcienia w górę i wiedzieć, co mnie czeka. Szkoda że w życiu nie jest tak łatwo. Tu nie da się niczego przewidzieć. Obraz satelitar-ny wcale nie jest jasny. Z jednej strony wszystko zmierza do roz- wodu, z drugiej - już na samą myśl robi mi się słabo i chciała- bym się z tego wycofać. Myślałam o tym, co powiedziała Sophie. I o tym, o co w tym wszystkim chodzi. Peter najwyraźniej też się waha. Ale nasze stosunki tak się zmieniły, że po prostu nie wiem, co robić. Czuję się tak, jakby nasze małżeństwo rozbiło się przy lądowaniu i teraz oboje szukamy czarnej skrzynki.

- Jedynym powodem wahania pani męża - powiedział Rory Cheetham-Stabb, kiedy siedziałam w jego gabinecie godzinę póź- niej - jest świadomość, że słono go to będzie kosztowało.

- Ach, tak - stwierdziłam z żalem. - A ja sądziłam, że mnie kocha i ma nadzieję, że się pogodzimy.

- Proszę pani - powiedział cierpliwie Rory Cheetham-Stabb - nie chciałbym wyjść na cynika, lecz tak się na ogół dzieje z mężami, kiedy przychodzi do konkretów. Zaczynają kwiczeć jak zarzynane świnię. Oczywiście chcieliby utrzymać małżeństwo, a jednocześnie nie rezygnować z kochanki. Czy zgodziłaby się pani na to? - Potrząsnęłam głową. - A poza tym się waha, ponie- waż wie, że rozwód może mieć wpływ na jego nową pracę.

- Czytał pan ten kawałek w „Hello!” - stwierdziłam z nie- smakiem.

- Tak.

- Jest na półrocznej umowie próbnej, więc dla niego akurat nie mogło się to zdarzyć w gorszym czasie. Mamy swoje proble- my, nie chciałabym jednak, żeby go wyrzucili, niech mi pan wie- rzy-dodałam.

- Ja też nie - powiedział Cheetham-Stabb. - Przecież jest naszą złotą kurą. W końcu była pani doskonałą żoną. Przez pięć- naście lat trzymała pani kartę wiernego klienta i teraz coś się pani za to należy. - Zaczęłam się zastanawiać, jaką kartę ma Andie. Niewątpliwie kartę niesprawiedliwej przewagi.

- Tak się składa, że wiem trochę o Bishopsgate - wyjął Rory Cheetham-Stabb. - To cholernie irytujące wydawnictwo.

Wydają wszystkie te głupie poradniki o tym, jak ratować małżeństwo. Od tego zaczęli. Właścicielem jest amerykańskie konsorcjum z Georgii. Prezes Jack Price jest do pewnego stopnia purytaninem i nie lubi, żeby jego pracownicy mieli problemy osobiste. Twierdzi, że to nie pasuje do wizerunku wydawnictwa i prawdopodobnie ma rację. Na pewno nie będzie więc zachwycony, że jego nowy dyrektor administracyjny jest w separacji z żoną. Pani mąż powinien unikać problemów osobistych, dopóki nie skończy mu się okres próbny. Ciekaw jestem, kto nadał tę sprawę do prasy?

- Wydaje mi się, że Andie Metzler.

- Hm. A kto jeszcze wie o sprawie?

- Ktoś mógł nas widzieć w Resolve. No i okropnie się pokłóciliśmy w walentynki w Le Caprice. Choć z drugiej strony, ni jesteście znanymi ludźmi. Ktoś, kto przekazał to prasie, musia mieć w tym jakiś własny interes i dlatego uważam, że to był Andie.

- Dlaczego?

- Bo strasznie jej zależy, żeby Peter się rozwiódł.

Cheetham-Stabb zetknął czubki palców i zmrużył jasnioni bieskie oczy.

- Wątpię, żeby to była ona, proszę pani. Niech pani pamięta, że pani mąż jest nie tylko jej kochankiem, lecz również klientem. Jeśli straci pracę przed upływem okresu próbnego, ta pani będzie musiała zwrócić swoją dużą prowizję. Nie, ta teoria nie ma sensu.

- Przypuszczalnie ma pan rację - przyznałam z westchnieniem. - Ona za nim szaleje i raczej nie chciałaby, aby go wyrzucili.

Cheetham-Stabb nie słuchał. Wyraźnie myślał o czymś innym.

- W gruncie rzeczy chyba ma pani rację! - wykrzyknął nagle.

- Tak! Właśnie do tego doszedłem. To ona! Co to za przebiegła kobieta!

- Nie rozumiem.

- Chce, żeby Peter się z panią rozwiódł, ale nie chce, żeby stracił pracę. I dlatego będzie na boku zapewniać dyrekcję wydawnictwa, z którą nadal jest w kontakcie, że prywatne życie Petera unormuje się, gdy tylko...

- ...ożeni się z nią?

- Właśnie.

Zrobiło mi się niedobrze.

- W ten sposób - mówił dalej prawnik - zyskuje dodatkową władzę nad pani mężem. Może go delikatnie naciskać, żeby się zdeklarował, jednocześnie pilnując, aby nie rezygnował z rozwodu.

- Genialny pomysł - powiedziała znużonym tonem. - Pochwyciła, że dostanie Petera i przed niczym się nie cofnie. Sama jest na okresie próbnym i doskonale o tym wie. Chce stałego kontraktu. Ale skąd pan wie to wszystko o Bishopsgate?

- Stąd, że była żona Jacka Price'a jest Angielką. W zeszłym roku przeprowadziłem jej rozwód.

- Price jest rozwiedziony?

- O tak. Żona wytrzymała jego zdrady przez trzydzieści lat i w końcu miała dość.

- Jeśli sam jest rozwiedziony, to czemu ma takie purytańskie poglądy w stosunku do swoich pracowników?

- Ponieważ może sobie pozwolić na luksus hipokryzji. Tak, odniosłem spory sukces - wspomniał, zapalając cygaro. - Pani Price dostała osiem milionów. Funtów, nie dolarów. A teraz przejdźmy do drugiego stopnia pani rozwodu, dobrze? To jest protokół uzgodnień - wyjaśnił, podsuwając mi kwestionariusz. - Proszę podpisać na dole. Dobrze. Dobrze. Doskonale.

- Bierz, ile się da - poradziła Lily, gdy w parszywym nastroju poszłam do niej wczoraj wieczorem. Nalegała, że ubierze mnie na spotkanie z Josiahem. Sięgnęła do błyszczącej lodówki i wyjęła butelkę szampana i kilka kanapek. Jennifer pochrząkiwała u jej stóp.

- Nie żebz, skarbie - powiedziała, podsuwając psu trochę *foiegras*. - Nie chciałam komentować obrzydliwego zachowania Petera - dodała, wyciągając dwa kieliszki - ale cała ta sytuacja jest wyłącznie jego winą.

- Tak, wiem. Nie chcę jednak stać się jedną z tych chciwych żon. Chcę mieć... No, po prostu wystarczająco.

- Nie bądź śmieszna - powiedziała pogardliwie. - Peter powinien zapłacić! Niech Rory Cheetham-Stabb wyciągnie z niego, ile się da.

- Może - stwierdziłam z powątpiewaniem. - Sama nie wiem.

- Czy Peter wziął adwokata?

- Tak.

- No to niech to załatwiają między sobą.

Gdy Lily otwierała butelkę laurent perriera, przyglądałam się ręcznie wykańczanym szafkom kuchennym, jasnej drewnianej podłodze i błyszczącym blatom z granitu, z maszynkami do wyciskania soku i do parzenia kawy. Całe mieszkanie wyglądało jak ze zdjęcia w „Ideał Home”. Przeszliśmy do wielkiego salonu z białym dywanem, dekoracyjnie ustawionymi wazonami z czerwonymi amarylisami, obrazem Damiena Hirsta i koniem na marmurowym cokole dłuta Elisabeth Frink. I, oczywiście, stosami pism. Wszędzie. Świeciły okładkami z każdego kąta, leżały też na podłodze. Okładki błyszczały jak szkło w świetle żarówek, które ozdabiały sufit niby gwiazdy. Ostrożnie lawirowaliśmy między pismami, trzymając w rękach kieliszki z szampanem.

- Jesteś mężatką od piętnastu lat - powiedziała Lily, stawiając przede mną trzy wielkie torby z markowymi ciuchami. - Zastąpiłaś na to, by elegancko wyglądać. A potem będziemy się bawić.

- Naprawdę? - spytałam z powątpiewaniem. Lily otworzyła pierwszą torbę.

- O tak! - zapewniła. - Będziesz robiła wszystko to, czego jeszcze do tej pory nie robiłaś. Zaczniemy od zakupów - dodała ze śmiechem. - Koniec ze sklepami Oxfamu.

- Ale ja lubię Oxfam - zaprotestowałam. - Czy to koszula od Clementsa Ribeiry?

- I koniec z kupowaniem w Principles.

- Uwielbiam Principles - odparłam, rzucając się na dżinsy od Cerrutiego.

- Będziemy chodziły na przyjęcia i do klubów - planowała z zapałem. - I robiły wszystko to, co sobie obiecywałyśmy w młodości, a czego byłaś tragicznie pozbawiona przez tyle lat.

- Wcale nie jestem pewna, czy czegoś mi brakowało - powiedziałam, przymierzając jedwabny top od Prądy. - Poza tym nocne kluby nie są w moim stylu. Wolę spokojne życie.

- Spójrz tylko na moje życie! - zawołała z zapałem Lily, podając mi koszulę od Agnes B. - Spójrz na moją półkę nad kominkiem. - Spojrzałam. Była biała od kartoników z zaproszeniami. Stały jak miniaturowe billboardy, reklamując sukces, olbrzymi sukces, towarzyskiego życia Lily. Przeszła ostrożnie między sterkami pism i zaczęła odczytywać zaproszenia.

- Poniedziałek: promocja książki w Ivy; wtorek: koktajl w Home House dla Tybetu; środa: pokaz mody na pomoc dla La-

lek Przeciw Narkomanii; czwartek: trzy prywatne pokazy; piątek: obiad z Tomem i Nicole; sobota: impreza na cześć Marie Helvin w Trampie.

- Rozumiem - powiedziałam.

- Takie może być także twoje życie, Faith - stwierdziła z przekonaniem.

- Nie, ja nie jestem dość atrakcyjna. A poza tym, czy tobie się to naprawdę podoba? Czy faktycznie znasz tych wszystkich ludzi?

- Nie, nie zostaję na żadnej imprezie dłużej niż parę minut.

- To o co chodzi?

- O to, żeby tam być, żeby się pokazać.

- Ale czy to ci się w końcu nie znudzi, Lily, takie latanie z jednej imprezy na drugą? Czy nie chciałabyś się w końcu ustatkować?

- Ustatkować? - Spojrzała na mnie ze zdumieniem. - Wolałabym od razu udać się na własną sekcję.

- Czy jesteś naprawdę szczęśliwa, Lily? - dopytywałam się.

- O tak, jak bulimiczka przy darmowym bufecie - stwierdziła z przekonaniem. - Wyciśnij z Petera, ile tylko się da.

- No, nie wiem. A poza tym wcale nie jestem pewna, czy będzie miał z czego płacić, bo może straci pracę. - Nie miałam zamiaru mówić o tym Lily, ale szampan trochę mnie rozluźnił. - Być może, wyrzucą go z Bishopsgate.

- Naprawdę? - powiedziała Lily spokojnie. - To byłoby straszne. Przymierz ten płaszcz od Miu Miu.

- Napisali o nas w „Hello!” - wyjaśniłam, zdejmując spódnicę od Laury Ashley.

- Ach tak? I co napisali?

- Że mamy problemy małżeńskie i że Peter może stracić pracę.

- Dlaczego?

- Bo w Bishopsgate nie lubią, gdy pracownicy mają problemy małżeńskie. Peter ma kontrakt tylko na półroczny okres próbny. Jeśli gazety zaczną się o nas rozpisywać, mogą nie przedłużyć z nim umowy.

- To byłoby okropne - powiedziała ze współczuciem. - Myślę jednak, że ta transatlantycka dziwka znajdzie mu nową pracę - dodała, popijając szampana.

- Być może, choć na pewno nie tak dobrą. Jego wartość rynkowa będzie znacznie niższa, gdy wyrzucą go z Bishopsgate.

- No tak, oczywiście - powiedziała z namysłem. - To dla ciebie przykra i denerwująca sytuacja, ale Jennifer i ja zapaliłyśmy dla ciebie świece, spójrz! - Kapliczkę Buddy we wnęce obok kominka rozświetlały migoczące wotywno światełka. - I odmówimy za ciebie pięć dziesiątków różańca, prawda, Jen? - Jennifer na moment podniosła puszystą mordkę i wydała z siebie świńskie chrząknięcie.

- Ach! - westchnęła Lily. - Biedactwo jest wykończone. Miała dziś ciężki dzień w biurze.

- Naprawdę?

- Tak. Nominowałam ją na redaktora „Chienne”. To niełatwe zajęcie. Och, Faith, w tym wyglądasz świetnie - powiedziała ciepło. - Pod warstwą tłuszczu faktycznie miałaś całkiem niezłą figurę. A więc Peter może stracić pracę?

- Tak i jeżeli tak się stanie, moja sytuacja też nie będzie ciekawa.

- Mhm. Rozumiem. Ale z drugiej strony - zaczęła z ożywieniem - Andie zarabia masę forsy i to ona byłaby głównym źródłem twoich alimentów. W tym sensie dobro zwyciężyłoby nad złem.

- Aha.

- W związku z taką poważną zmianą w życiu powinnaś mieć więcej ambicji.

- Na przykład jakich?

- Żeby zostać prawdziwą prezenterką.

- Ale ja nie chcę. Lubię moją pracę i prognozy pogody.

- Wszystko się zmienia, Faith. I to jest jedyny pewnik w życiu. Zobacz, jakie zmiany zachodzą w twoim życiu prywatnym. Najwyższy czas, żebyś postarała się o awans w pracy. Weź na przykład Ulrikę Johnsson. Najpierw tylko zapowiadała pogodę, a teraz wszyscy ją znają.

- Tak?

- A ta, jak jej tam, Tracey Słoneczko, Tanya Bryer? Zaczęła od strzałek i frontów meteorologicznych, a dziś...

- Mhm.

- I Gaby Roślin. Zapowiadała pogodę i zrobiła wspaniałą karierę. Ty też byś mogła. Tak, tak - dodała, podjadając kanapkę. - Ten rozwód to doskonała okazja, żebyś wreszcie zmieniła swoje życie.

- Może masz rację.

- Mam. I zamierzam ci pomóc, bo na mnie zawsze możesz liczyć.

- To prawda - powiedziałam niepewnie.

- Załatwię ci pozytywne wzmianki w rubrykach towarzyskich. Wyrobię ci opinię. Wydrukuję twoje zdjęcia na naszych stronach o znanych ludziach. Jednym słowem, zostanę twoim nieoficjalnym PR. Twoje życie się zmieni - oznajmiła z przekonaniem. - To będzie nowy początek.

- Ta-ak.

Dolała nam szampana i podniosła kieliszek.

- Za twoje nowe cudowne życie, Faith! - powiedziała z uśmiechem. - Za twoją przyszłość.

- Wiesz, że bardzo lubię Lily - powiedziałam wieczorem Grahamowi. - Uważam jednak, że w idiotyczny sposób antropomorfizuje swojego psa. Można by pomyśleć, że Jennifer Aniston jest człowiekiem - parsknęłam. - To pewnie dlatego, że mieszka sama i pies jest dla niej substytutem drugiej osoby. Chcesz obejrzeć Gary'ego Rhodesa czy Keitha Floyda, Grahamie? - spytałam, podnosząc w górę obie kasety.

Dziesięć minut później byłam w metrze, w drodze na Tottenham Court Road na spotkanie z Josiahem. Zaproponował, żebyśmy poszli na drinka do Bertorellego przy Charlotte Street. Byłam zdenerwowana, ale wiedziałam, że dobrze wyglądam. Miałam na sobie spódnicę do kolan od Versacego, białą bluzkę od Prądy i przepiękny żakiet w kratkę od Galliana. Sama siebie nie poznawałam.

- To chyba ja - powiedziałam ze zdumieniem, oglądając się w lustrze przed wyjściem z domu. - Choć na pewno nie są to ubrania z Principles.

Lily poradziła mi, żebym się trochę spóźniła, weszłam więc do baru dziesięć po siódmej. Josiah już tam był i czytał „Week”. Nagle podniósł głowę, zobaczył mnie i zerwał się na równe nogi. Podałam mu rękę. A on - to było urocze - uniósł ją do ust!

- To, aby pani wynagrodzić moje niegrzeczne zachowanie w samochodzie - powiedział z uśmiechem. - Musiała mnie pani wziąć za okropnego gbura.

- No, nie... Nie całkiem. - Roześmiałam się. - Choć przyznam, że byłam lekko zaszokowana.

- Zachowałem się dość bezpośrednio, muszę przyznać. Na ogół nie uśmiecham się do obcych kobiet, tym razem jednak potraktowałem panią jak znajomą, ponieważ znałem panią z telewizji. Jestem pewien, że to się pani często zdarza.

- Czasami - odparłam. Byłam bardzo przejęta.

- A potem pani zareagowała tak gwałtownie - powiedział. - I to mnie rozśmieszyło. Kiedy jednak wykonała pani ten niecenzuralny gest, byłem nieutulony w żalu. Uwielbiam śmiałe kobiety - dodał, gdy zajmowaliśmy miejsca.

- Naprawdę? - To mi się podobało.

- O tak, są cudownym wyzwaniem. - Znów się uśmiechnął. Jego szare oczy zabłyśły. - Nie wiem, jak pani, Faith, ale chętnie napiłbym się szampana.

- Ja też. - Ku mojemu zdumieniu poprosił o butelkę kruga!

- Przepraszam, że to nie jest znany rocznik, ale staram się oszczędzać - powiedział z uśmiechem, kiedy kelner przyniósł kubek z szampanem.

Przesiedzieliśmy w barze ponad godzinę, rozmawiając jak starzy znajomi. Rozmowa z nim przychodziła mi bez trudu, miałyśmy wrażenie, że znam go od lat. Był doskonale wychowany, bo za każdym razem, kiedy zaczynałam pytać o niego, wracał do mojej osoby. Zauważyłam też, podekscytowana, że ze mną flirtuje. Wynioskowałam to z tego, że powtarzał mój język ciała. Siedzieliśmy twarzami do siebie i założyliśmy nogę na nogę dokładnie w ten sam sposób. Kiedy podniosłam kieliszek do ust, Josiah zrobił to samo. Pochyliłam się trochę do przodu i on też. Ta kobieta z kursu flirtowania miała rację. Gdy ktoś podświadomie naśladuje twoje ruchy, czujesz się wspaniale. Jak ona to określiła? Już wiem: „Ludzie lubią tych, którzy ich lubią”. Josiah znowu się do mnie uśmiechnął i zaczął pytać o AM-UK!

- Bardzo mi się podoba pani sposób prezentowania pogody.

- Występuję tylko przez parę minut.

- Tak, ale świetnie to pani robi. Szczególnie podoba mi się to, że kiedy zapowiada pani złą pogodę, więcej się pani uśmiecha. I chcę powiedzieć - dodał nieśmiało - że w rzeczywistości jest pani dużo ładniejsza. I szczuplejsza. Podobno telewizja dodaje każdemu parę kilogramów. - Nie wyjaśniłam mu, że wyglądam szczupłej, bo właśnie o parę kilogramów schudłam. - Była pani mężatką, prawda? - spytał z wahaniem. - Gdzieś o tym czytałam.

- Zgadza się. To znaczy wciąż jestem, ale żyjemy w separacji - stwierdziłam z lekkim westchnieniem. - I wygląda na to, że się rozwiedziemy.

- Bardzo mi przykro - powiedział taktownie. - Czy nie będzie mi pani miała za złe, jeśli zapytam o powód?

- Nie - odparłam i faktycznie nie miałam mu za złe. - Mój mąż miał romans.

- To straszne. To musiał być dla pani wielki szok.

- Owszem - przyznałam. - Okropny. I w dodatku to było coś zupełnie nieoczekiwanego. Ale daję sobie radę. Chyba.

- Czy jest pani głodna, Faith? - zapytał. - Czy zje pani ze mną kolację? - Przez moment patrzył mi w oczy i poczułam w środku dziwne ciepło. - Czy zje pani ze mną kolację? - powtórzył.

- Z przyjemnością - odparłam z uśmiechem. - Tutaj?

- Nie, znam czarujące miejsce niedaleko stąd - wyjaśnił. - Ale trzeba być w awanturnicznym nastroju. Czy jest pani dziś w awanturnicznym nastroju?

- Tak - powiedziałam, uśmiechając się.

Przeszliśmy Charlotte Street, skręciliśmy w prawo w Howland Street i doszliśmy do Whitfield Street, odchodzącej od Fitzroy Square.

- To tutaj! - oznajmił. Staliśmy przed małą restauracją, która nazywała się Klatka. Gdy weszliśmy, aż mnie zatkało. Wnętrze było bardzo małe i dziwaczne. Goście siedzieli na krzesłach wyściełanych bogato haftowanymi materiałami, w otoczeniu złotych posągów Buddy i tybetańskich młynków modlitewnych. Na jaszkrawoczerwonych ścianach wisiały wypchane żółwie, erotyczne obrazy nagich mężczyzn i stare klatki dla ptaków. Wentylator na suficie rozwiewał pawie pióra w wazonach.

- Zabawnie tu, prawda? - powiedział. - To się nazywa wschodnia mieszanka. Ale niech pani poczeka na jedzenie!

Czarna kelnerka w jasnoniebieskiej peruce posadziła nas przy stoliku koło okna, na którym leżały dziwne rzeczy: indonezyjski flet, szkło powiększające i nakręcany plastikowy ptaszek.

- Tematyka dekoracji opiera się na zabawie - wyjaśnił Josiah. - Lubią tu sobie pożartować.

- Właśnie widzę. - Roześmiałam się. Kelnerka przyniosła nam dwie książki w twardej oprawie, na których przyczepione były złożone karty potraw.

- Ja dostałem *Czarodziejską górą* - powiedział, oglądając swoją książkę. - A pani?

- Ja mam *Królową wieszczek* - odparłam. Kiedy zajrzałam do menu, myślałam, że oczy wyjdą mi na wierzch: *carpaccio* z renifera, wędzonego w dymie jałowcowym... Rosół z kozła z irlandzkim mchem... Filety z białej ryby w korze drzewnej, z kartoflami o smaku lawendy... Kabalistyczna sałatka uzdrawiająca.

Wybrałam zupę z kokosa, złoty liść *foie gras*, a Josiah zamówił placuszki z ryżem i gorzkim kaktusem. Kelnerka przyniosła nam dwa piwa iguazu, które - jak nas z dumą poinformowała - zawierały ekstrakt z jaszczurki, i gotowane jajka pawie na przystawkę.

- Czy to są naprawdę pawie jaja? - spytałam. Skinęła głową.

- To jest magiczne - szepnęłam.

- Magiczne - powtórzył Josiah. - Magiczne. Tak, to właściwe słowo. - Znów spojrział mi głęboko w oczy, a ja poczułam, że się rumienię. Gdy jedliśmy dziwne przystawki, udało mi się nakłonić go do mówienia o sobie. Opowiedział mi o przedstawieniu *Burzy* w Royal Exchange w Manchesterze i o tym, co robił w Mediolanie. Powiedział mi także, że dostał zamówienie na scenografię do *Madame Butterfly* w Operze Królewskiej.

- Jest pan rozchwytywany - stwierdziłam, bawiąc się złotym liściem.

- Tak, chyba tak - przyznał. - I wiem, że mam fart. Ale jestem naprawdę szczęśliwy, kiedy mogę malować.

- Jakie obrazy pan maluje?

- Specjalizuję się we freskach - wyjaśnił, kiedy przyniesiono główne dania. - Robię malowidła ściennie na zamówienie. Nie ma dla mnie nic lepszego niż namalowanie cudnego pejzażu Toskanii na ścianie angielskiej łazienki czy fragmentu Maroka w czyjejsz jadalni. Daję moim klientom całkiem nowe perspektywy i otwieram ich na świat.

- A pańskie życie prywatne? - spytałam zuchwale, grzebiąc widelcem w risotto z wodorostami i konopiami indyjskimi.

- Co by pani chciała wiedzieć? - odpowiedział pytaniem na pytanie, wzruszając ramionami.

- Był pan żonaty? - Potrząsnął głową. - A zaręczony? - Uśmiechnął się.

- Oczywiście miałem różne kobiety, choć nie jestem playboyem. Nigdy jednak nie spotkałem takiej, z którą chciałbym spędzić

dzić resztę życia. To ogromne zobowiązanie, prawda? Od dziś aż do śmierci. Kwestia, z kim zechcemy dzielić resztę naszego życia, nie jest łatwym problemem. Pani było łatwiej, bo wyszła pani za chłopaka ze studiów.

- To prawda.
- I nigdy pani nie żałowała, że tak młodo wyszła za męża? - spytał, nakładając sobie na talerz purpurowe kartofle.
- Raczej nie... Może czasem. Ale nie, właściwie nie.
- Wiele pani straciła.
- To prawda. - Westchnęłam.
- To może teraz będzie pani mogła nadrobić zaległości?
- Może...
- W moim towarzystwie?
- Może... - powtórzyłam z uśmiechem.

Odwzajemnił uśmiech, patrząc mi w oczy, a ja czułam się tak podekscytowana, jakbym zjeżdżała z góry na nartach. Zjeżdżałam tak szybko, jakbym frunęła. Albo spadała. Nie wiedziałam. Byłam jednak świadoma tego, że nie chcę, aby ten wieczór się skończył.

- Czy napije się pani kieliszek wina budyniowego? - zapytał, zaglądając do menu. - Ze skorpionem w czekoladzie?
- To brzmi pysznie, ale chyba nie mam już miejsca.
- Ja zamówię dla siebie.

Przyniesiono nam to na marmurowej płytce: mały skorpion, pokryty ciemną czekoladą, oparty niby od niechcienia na łożyczce trawy cytrynowej. Nie wierzyłam, że jest prawdziwy, ale był. Widziałam nawet żądło w nieruchomym ogonie.

- Naprawdę pan to zje? - spytałam z chichotem.
- Oczywiście, ale pod jednym warunkiem.
- Jakim?
- Że znów się pani ze mną umówi. I to wkrótce. - Spojrzałam na niego, uśmiechnęłam się i skinęłam głową. Wziął skorpiona do ust i schrupał na dwa razy.

- Fantastycznie się bawiłem w pani towarzystwie - powiedział, kiedy czekaliśmy przed restauracją na taksówkę. Ponownie uniósł do ust moją dłoń. - Cieszę się, że panią spotkałem.

- Ja też.

Przyjechała moja taksówka. Wsiadłam i otworzyłam okno.

- Bardzo dziękuję.
- To ja dziękuję. Czy wie pani, co będę robił jutro rano?

- Nie.
- Włączę sobie panią.

Maj

Zapominam. Zapominam, że ludzie mnie rozpoznają. Właściwie nigdy o tym nie myślę, bo zapowiadanie pogody to moja praca. Jednocześnie jednak jest to praca, w której codziennie widzi mnie ponad pięć milionów ludzi. Nie jestem wprawdzie gwiazdą, ale czasem ktoś mnie zauważy. I dlatego Josiah - teraz mówię na niego Jos - uśmiechnął się wtedy do mnie na ulicy. Zazwyczaj na szczęście nie zdaję sobie nawet sprawy, że ktoś się na mnie gapi, ale czasem przychodzi otrzeźwienie. Idę, na przykład, ulicą i słyszę, że ktoś śpiewa *Sztormową pogodę* albo gwizdże *Kropłe deszczu lecą mi na głowę*. Albo robię zakupy i nagle widzę, że ktoś się we mnie wpatruje. I odruchowo myślę: „Dlaczego? Czy może mam coś na twarzy?”. A potem przypominam sobie, że to pewnie z powodu telewizji. Czasami ktoś podchodzi do mnie i mówi: „Jestem pewien, że się znamy”. Na co ja odpowiadam, że na pewno nie, ale ten ktoś uporczywie twierdzi, że na pewno gdzieś się już spotkaliśmy. Uważam jednak, że bardzo niegrzecznie byłoby powiedzieć: Naprawdę pan mnie nie zna, tylko się panu tak wydaje, bo widział mnie pan w telewizji. Stoję więc, z uśmiechem przyklejonym do twarzy, a ten ktoś usiłuje dojść, skąd mnie zna.

Wczoraj znów mi się to zdarzyło w Tesco. Stałam przy stoisku delikatesowym, pogrążona w szczęśliwych myślach, zastanawiając się, czy Jos lubi krewetki, kiedy podszedł do mnie jakiś mężczyzna. Najpierw stał i bezczelnie się na mnie gapił, a potem powiedział:

- Ja panią znam, prawda?
- Potrząsnęłam głową.
- Właśnie, że znam - upierał się.
- Nie sędzę.

Przyglądał mi się jeszcze przez chwilę, a później wykrzyknął:

- Już wiem! Pani jest z telewizji, prawda? Pani jest z telewizji!

Skinęłam głową i uśmiechnęłam się niewyraźnie, z nadzieją, że w końcu sobie pójdzie.

- Chcę pani coś powiedzieć - zaczął podekscytowany. - Chcę pani coś powiedzieć...

- Tak? - powiedziałam, przygotowując się w duchu na jakiś zenujący komplement.

- Ja pani za bardzo nie lubię.

- Och.

- Moja mama też nie.

- Żyjemy w wolnym kraju - powiedziałam, wzruszając ramionami.

Na ogół tego rodzaju uwaga wprawiłaby mnie w podły nastrój. Wróciłabym do domu upokorzona i zadręczałabym się do wieczora. Jednak w tym momencie czułam się niezwyciężona, ponieważ - prawdę mówiąc - zwariowałam na punkcie Josa. Od naszego spotkania w Klatce widziałam się z nim jeszcze dwukrotnie i wydaje mi się, że jestem pod jego urokiem. Już zapomniałam, że tak zachowuje się człowiek, kiedy jest zakochany. Ma na sobie coś w rodzaju emocjonalnej zbroi. Miłość jest naturalnym środkiem znieczulającym, napełnia człowieka pewnością siebie i przywraca poczucie własnej godności. I dlatego następnego dnia opowiedziałam Josowi o spotkaniu w Tesco, śmiejąc się z tego.

- Moja mama uważa, że jesteś cudowna - stwierdził lojalnie. - I ja też. Dziś rano wyglądałaś fantastycznie - dodał. - Wręcz szałowo. Byłem z Ciebie bardzo dumny - powiedział cicho, a ja poczułam, że się czerwienię.

- Moja praca nie jest szczególnie trudna. Zapowiadam pogodę od dawna.

- Ale robisz to nadzwyczajnie - nalegał. A potem zaczął śpiewać do słuchawki *Nikt nie robi tego lepiej: - Nikt nie robi tego ani w połowie tak dobrze, jak ty* - zaśpiewał, a ja stłumiłam chichot. - *Skaaarbie, jesteś najlepsza.* A teraz - dodał rzeczowo - powiedz, kiedy się znów zobaczymy.

- Znów? - powtórzyłam ze śmiechem. - Widzieliśmy się trzy razy w ciągu dziesięciu dni.

- A ja chcę więcej. Naprawdę, Faith. Kiedy cię znów zobaczę?

- A kiedy byś chciał?

- Natychmiast. Albo jeszcze szybciej. Dziś wieczorem? - zaproponował.

- Obawiam się, że dziś nie mogę - skłamałam.
- A jutro?
- *Ditto.*
- W porządku, Panno Bardzo Zajęta i Lekko Się Certoląca, a zatem umawiamy się na czwartek.
- Wydaje mi się, że czwartek mam wolny - przyznałam. - Gdzie?
- U mnie. - Och. - To będzie już nasze czwarte spotkanie, Faith, więc uważam, że...
- Tak?
- ...powinnaś zobaczyć, jak mieszkam. Przygotuję kolację. Zgadzasz się?
- O tak - odparłam entuzjastycznie.

Odkładając słuchawkę, czułam się jak zakochana nastolatka. Pochlebiał mi fakt, że taką zwykłą, nie pierwszej młodości matkę dwojga dzieci z przedmieścia adoruje mężczyzna o wielkim talencie i ogromnym wdzięku. Na co komu narkotyki? - pomyślałam, opróżniając zmywarkę. Byłam na haju z radości. Byłam odurzona, upojona, ożywiona, podniecona i podekscytowana. Byłam... Nagle zaszczekał Graham. Przynieśli pocztę. Na wycieraczkę leżały trzy listy do Marta (ostatnio dostaje dużo listów) i jeden zaadresowany do mnie. Ku mojemu zdumieniu był to list od Petera.

Droga Faith,

Pomyślałem, że łatwiej mi będzie do Ciebie napisać, niż z Tobą rozmawiać. Chcę Cię tylko zawiadomić, że po dłuższym namyśle postanowiłem nie sprzeciwić się rozwodowi. Uważam, że masz rację. Zbyt wiele przydarzyło się nam w ciągu ostatnich trzech miesięcy, abyśmy mogli wrócić do tego, co było. Podpisałem więc papiery i odesłałem oryginał do sądu. Żeby ułatwić życie nam wszystkim, przyznałem się do cudzołóstwa, co zresztą jest prawdą. Nie potrafię wytłumaczyć, dlaczego tak się stało. Wszystko wydaje mi się nierealne. Z drugiej strony chyba powinniśmy być wdzięczni losowi za to, że tak długo byliśmy szczęśliwi. I choć teraz sytuacja jest taka, jaka jest, zawsze będę się cieszył, że się z tobą ożeniłem.

Peter

Moja euforia gwałtownie opadła i utonęła we łzach. Oparłam głowę na kuchennym stole, ściskając kurczowo list. Graham poło-

żył mi łeb na kolanach i odruchowo podrapałam go za lewym uchem. Siedzieliśmy tak przez dłuższy czas, a potem zadzwoniłam do Lily.

- To okropnie smutne - powiedziała miękko. - Mnie też jest przykro. To jasne, że się zdenerwowałaś, bo ten list świadczy o tym, że koniec twojego małżeństwa jest coraz bliżej.

- Wiem - załkałam. - Wiem. Och, Lily, to jest takie...; beznaziejne. Chciałabym żebyśmy do siebie wrócili.

- Obawiam się, że to raczej niemożliwe - powiedziała bardziej zdecydowanie.

- Niemożliwe? - powtórzyłam. Oderwałam kawałek papierowego ręcznika i przyłożyłam do oczu.

- Niemożliwe. Oczywiście nie chcę wciąż podkreślać okropnego zachowania Petera, ale musisz jednak pamiętać o faktach, Faith. A faktem jest, że Peter ma kogoś...

- Kogoś innego - zajęczałam. - A ja bym chciała, żeby miał tylko mnie.

- Posłuchaj, kochana - powiedziała powoli Lily. - Wydaje mi się, że trochę histeryzujesz. Przemyśl to sobie. Być może, Peter zgadza się na rozwód, bo chce być z...

- Z nią - zaszlochałam. - Pewnie, że chce. Chce być z tą... tą... suką. Tą głupią krową, która... uuueee... ukradła mi męża.

- Posłuchaj, Faith - zaczęła surowym tonem Lily. - Ona nie ukradła twojego męża. Twój mąż dał się ukraść. - O Boże, tak, faktycznie tak było. - I dlatego nie możesz teraz do niego wrócić - zakończyła zdecydowanie.

- Dlaczego nie? W końcu jeszcze nie jesteśmy rozwiedzeni. Ja bym chciała do niego wrócić.

- Nie możesz. Nawet gdyby zrezygnował z Andie i obiecał, że się już nigdy w życiu z nianie spotka, fakt jego zdrady zawsze tkwiłby między wami.

- Naprawdę?

- Tak. Niby jakiś nie dający się usunąć zapach, którego żadna ilość wody kolońskiej Jo Malone nie mogłaby usunąć.

- Och, tak - załkałam. To była prawda. Lily miała rację. Miała rację. Choć wolałabym, żeby nie określała wszystkiego tak brutalnie. Teraz ton jej głosu znów się zmienił i mówiła pozytywnie, zachęcająco i miło.

- Idziesz do przodu - powiedziała. - Tak jak przewidywałam. Idziesz naprzód i jesteś bardzo dzielna...

- Tak, jestem dzielna - zgodziłam się przez łyzy. Glut spłynął mi na górną wargę.
- Bardzo dzielna - powtórzyła. - Zwłaszcza jeśli weźmiem pod uwagę, na co naraził cię Peter.
- O tak - przyznałam. - Przeszłam przez niego piekło.
- Właśnie, Faith, i dlatego nie zasługuje na ciebie. Teraz jednak jesteś wolna i w dodatku kogoś poznałaś.
- To prawda - powiedziałam przez łyzy.
- Poznałaś kogoś fantastycznego. Kogoś, kto jest tobą zafascynowany.
- No... chyba tak. Tak - zgodziłam się, biorąc się w garść. - Wydaje się być zainteresowany.
- Jest przystojny, utalentowany...
- Tak, tak.
- Wolny i szalenie miły.
- Naprawdę miły - powiedziałam, pociągając nosem.
- Wydaje się wprost doskonały.
- Raczej tak - przyznałam, połykając łyzy. - Uważam, że jest doskonały pod każdym względem.
- Czyli masz szczęście, że znalazłaś kogoś takiego, prawda?
- Mhm.
- Pomyśl o tych wszystkich porzuconych żonach, które przez całe lata nie mogą nikogo znaleźć.
- Naprawdę?
- Tak, to koszmar. Nie zdajesz sobie sprawy? Jest tyle samotnych rozwiedzionych kobiet. A ty prawie od razu znalazłaś sobie nowego przyjaciela.
- To prawda - powiedziałam z westchnieniem. Przystałam płakać i moje szlochły zniknęły, jak fale odpływu.
- Powinnaś być wdzięczna za takie zrzęczenie losu. I patrz przed siebie, w przyszłość. Wierzę, że masz przed sobą jasną przyszłość. Kiedy się znów spotykasz z Josem? - spytała.
- W czwartek - odparłam, wyrzucając mokry kawałek papieru do śmieci. - Chcę zrobić dla mnie kolację.
- Zrobić dla ciebie kolację? - powtórzyła podekscytowana Lily. - Coś takiego! To może znaczyć tylko jedno. Czy masz jakiś szalony ciuch? Mam mnóstwo bielizny z La Perli. Wiesz, pończochy, podwiązki...
- Lily! - wykrzyknęłam. - Za bardzo wybiegasz w przyszłość. Nie jestem gotowa na... No, wiesz, na „to”.

- Ty może nie, ale on jest. - Och, poczułam w brzuchu trzepotanie miliona motyli. - Dobrze się czujesz, Faith? - spytała troskliwie Lily.

- Tak. I dziękuję ci za to, że jesteś taką cudowną przyjaciółką.
- Drobiazg.

- Dolejcie dwie łyżki mleka - powiedziała Delia w czwartek, kiedy po raz ostatni przeglądałam się w lustrze. - Dobrze wymieszajcie i dosypcie dwie szczypty pieprzu - mówiła dalej, gdy spryskałam się jeszcze odrobiną CK Contradiction. -1 najważniejsze: duża szczypta soli...

- Do widzenia, Grahamie! - zawołałam. - Nie wrócę późno.
Spojrzał na mnie z lekkim wyrzutem i wbił wzrok w telewizor.

Cicho zamknęłam za sobą drzwi i poszłam na stację Turnham Green. Jos mieszkał w World's End i podróż tam nie trwała dłużej niż pół godziny. World's End, Koniec Świata- myślałam, siedząc w pociągu. Koniec Świata - to śmieszne. Jeszcze niedawno sądziłam, że mój świat się skończył, a tymczasem nowy się właśnie zaczynał. Przeszłam wzdłuż Lots Road, skręciłam w lewo w Burnaby Street i na końcu ulicy znalazłam numer osiemdziesiąt sześć. Tarasowaty dom z płaskim frontem był pomalowany na kremowobiały kolor. Przód obrosnięty był cudowną wistarią w pełnym rozkwicie. Przez chwilę wdychałam zapach kwiatów, a potem zadzwoniłam.

- Faith! - wykrzyknął Jos i wziął mnie w ramiona.

- Fantastyczne powitanie - powiedziałam. - Podoba mi się twój kwiecisty fartuch - dodałam. - Czy bardzo się namęczyłeś?

- Bardzo. Ale dostaniesz najlepszą tikkę z kurczaka, jaką można dostać poza Bombajem. Czego się napijesz? Hej, Faith, pytałem, czego się napijesz?

- Co?

Spoglądałam ze zdumieniem na ściany i sufit. Miałam wrażenie, że wistarią wpełzła do środka i rosła w korytarzu. Wielkie fioletowe kiście zwisały w dół niczym olbrzymie grona winogron. Miałam ochotę wtulić w nie nos i wdychać zapach papierowych płatków. Miałam ochotę przesunąć palcami po sękatych, splątanych konarach. Na ścianach były nawet pszczoły, z zapyłonymi odnóżami, odpoczywające na pierzastych liściach.

- Fantastyczne - szepnęłam. - To też jest magia.
- Nie, Faith, zaledwie iluzja.
- Ale cudowna iluzja.
- Owszem, całkiem niezła - przyznał. - Choć sam tak twierdę. Oczywiście teraz jest najlepsza pora roku, aby ją oglądać. Moja wistaria często jest przyczyną hysterii - dodał ze śmiechem.
- Chodź, Faith. - Wziął mnie za rękę i zaprowadził do kuchni, gdzie znów mnie zatkało. Białe ściany obwieszane były różowymi szynkami, sznurami czosnku, bażantami. Skręcone gałązki rozmarynu i szaławii suszyły się nad kuchenką.

- To jest... niewiarygodne - powiedziałam. - To znaczy wprost przeciwnie: wiarygodne. Absolutnie prawdziwe. Oczy mnie mylą.

- Na tym właśnie polega *trompe l'oeil* - wyjaśnił Jos. - Ogłupiacz oczu. Artyści oszukiwali w ten sposób ludzi od niepamiętnych czasów. Zeuxis malował winogrona tak realistycznie, że podobno ptaki przylatywały, żeby je dziobać. Masz ochotę na kieliszek szampana?

- Owszem - powiedziałam, gdy sięgał do lodówki. - No, proszę, znów krug! Fantastycznie.

- To jedna z moich ekstrawagancji - stwierdził lekko zażenowany. - Choć obawiam się, że i dziś nie jest to najlepszy rocznik.

- Nie szkodzi.

Uśmiechnęliśmy się do siebie i stuknęliśmy kieliszkami, a potem przeszliśmy do małej cieplarni, gdzie kolibry i tropikalne motyle fruwały między roślinami. Jos namalował nawet kilka przezroczystych gekonów na szybie. Jeśli się uważnie spojrzeło, można było zobaczyć ich małe serduszka.

- Co za cudowne oszustwo - mruknęłam.

- Na tym polega całe malarstwo - wyjaśnił Jos. - Taka sztuczka, gdzie dwa wymiary udają trzy. A teraz - zaproponował, kiedy popijaliśmy szampana - pokażę ci inne obrazy, dobrze?

Kiwnęłam głową jak oczarowane dziecko i pozwoliłam pokazać mi pozostałe pokoje.

Na pierwszy rzut oka jadalnia wyglądała zupełnie zwyczajnie. Miała ściany pomalowane na kolor byczej krwi, mahoniowy kredens i stół, ale jedna ściana - tak mi się przynajmniej wydawało - była zastawiona pięknymi, starymi książkami. Niektóre stały w zwartych szeregach, inne leżały poziomo. Złote litery tytułu *Zmierzch i upadek Gibbona*, a obok *Wojna i pokój*, *David Copperfield* i pamiętniki Churchilla. Miałam ochotę zdjąć je z półek, po-

wąchać starą skórę i poczuć w rękach ich wagę. Później weszliśmy po schodach i po drodze przypatrywałam się zafascynowana włoskiemu, górzystemu pejzażowi, namalowanemu między rzeźbionymi kolumnami średniowiecznego podwórca. Na wypalonej trawie rosły wysmukłe cyprysy i zakurzone drzewa oliwkowe z powykęcanyimi pniami. Na górze jedna ściana została zamieniona we francuski sad, gdzie późne wieczorne słońce przeświecało przez gałęzie jabłoni. Jos otworzył drzwi do łazienki i przez białe ściany mauretańskiego pałacu spoglądałam na błękitne morze. Piekące słońce niemal zmuszało do osłonięcia oczu, a daktyle na palmach zachęcały do zrywania.

- To jest Maroko - powiedział. - Uwielbiam ten kraj. Byłaś tam? - Potrząsnęłam głową. - Wybierzemy się kiedyś razem. - Poczułam, że się czerwienię i lekko zakręciło mi się w głowie. - Czy chciałabyś teraz zobaczyć moją sypialnię? - spytał ze znaczącym uśmiechem. Wziął mnie za rękę i poprowadził korytarzem. Serce zabiło mi mocniej. Otworzył drzwi i zajrzałam do środka. Wszystko było białe: dywan, szafy i wyszywana kapa na wielkim łóżku. Potem spoglądałam na przeciwległą ścianę. Cierniste magnolie o płaskich czubkach rosły pośród wypalonego słońcem pejzażu, a na horyzoncie dwie żyrafy splotły się szyjami na tle ciemnego nieba. Na pierwszym planie samotny lew pił wodę z małego jeziorka. Prawie słyszałam, jak ją chłepcze.

- Niesłychane - powiedziałam, śmiejąc się i potrząsając głową. - Leżysz w łóżku, patrzysz na to i myślisz, że jesteś w Afryce.

- To lepsze od tapet - powiedział. - Ale skończmy już z moimi obrazami - dodał. - Mam nadzieję zachwycić cię moją sztuką kulinarną.

Wróciliśmy do kuchni, gdzie rozchodził się cudowny zapach.

- Umiesz robić curry! - zawołałam z podziwem.

Jos zajrzał do garnka z gotującym się ryżem.

- To nic trudnego. Sztuka polega na właściwym dobraniu przypraw. Robię sam garam marsalę; łącząc kminek, koper włoski, kurkumę, kardamon, pieprz i goździki. Trochę to przypomina mieszanie farb na palecie - dodał ze znajomością rzeczy.

- Pachnie cudownie - powiedziałam. - I smakuje też cudownie - dodałam dziesięć minut później, gdy nałożył potrawę na talerze. Kiedy siedzieliśmy w kuchni, rozmawiając z ożywieniem, zdałam sobie sprawę, że Jos nie jest już dla mnie kimś obcym. Opowiedział mi o swojej rodzinie - jest bardzo związany z matką

- i o swojej pracy. Poznałam nazwiska kilku jego przyjaciół, choć jak do tej pory, nie wspomniał o żadnych byłych kobietach. I prawdę mówiąc, miałam nadzieję, że tego nie zrobi, bo wcale nie chciałam wiedzieć. W końcu to były początki naszej znajomości i mogłabym usłyszeć coś, co by mi się nie podobało. Postanowiłam więc nie pytać o jego przeszłość i cieszyć się chwilą. Poczułam się pełna, zadowolona i lekko pijana. Nagle Jos pochylił się i położył swoją dłoń na mojej.

- Posłuchaj, Faith - zaczął. - Ja... - Nagle rozległ się ostry dzwonek telefonu.

- Pieprzony telefon! - zawołał. - Przepraszam - dodał, wstając. Ale nie podniósł słuchawki aparatu w kuchni, tylko wyszedł do przedpokoju. Nie chciałam, żeby myślał, że słucham, więc zajęłam się sprzątaniem ze stołu. Nacisnęłam nogą pedał metalowego kosza, podnosząc przykrywkę. Miałam zamiar wyrzucić resztki ryżu z talerza, gdy coś zauważyłam. Na wierzchu leżało duże kolorowe opakowanie z nazwą: **DZIŚ TANDOORI**. Spojrzałam na nie zdumiona. **GOTOWE DO PODANIA. ŻADNYCH DODATKOWYCH PRZYGOTOWAŃ** - głosiły napisy. Byłam kompletnie zaskoczona. Cała ta opowieść o kminku i kurkumie, a użył gotowego sosu! Początkowo poczułam się urażona, ale zaraz się roześmiałam. No, oczywiście. To słodkie z jego strony. I dość zabawne. Chciał zrobić na mnie wrażenie, sam to mówił. Kiedy wrócił do kuchni, rzuciłam mu wyrozumiały uśmiech.

- Przepraszam - powiedział, przeczesując ręką gęste włosy. - To była moja mama. Lubi pogadać.

Spojrzałam na zegarek, było dziesięć po dziesiątej.

- Kolacja była pyszna - stwierdziłam. - Dziękuję za wszystko, ale teraz muszę już wracać do domu.

- Naprawdę? - spytał ze smutkiem.

- Tak. Z powodu Grahama.

- Nie ufa obcym mężczyznom? - zapytał Jos ze znaczącym uśmiechem.

- Do tej pory nie było o tym mowy. Ciekawe, jak by na ciebie zareagował? Jestem pewna, że sympatycznie, boja cię lubię.

- Tak? - Jos stał blisko mnie. - Lubisz mnie? - dopytywał się jak dziecko. - Jak bardzo mnie lubisz? - Na twarzy czułam jego ciepły i słodki oddech.

- Bardzo-odparłam nieśmiało.

- Naprawdę, Faith? - Objął mnie w pasie.

- Tak-szepnęłam.
- Czy lubisz mnie bardzo, bardzo?
- Tak - mruknęłam, gdy dotykał wargami moich ust. - Lubię cię bardzo, bardzo, bardzo. - Teraz całował mnie w szyję.
- Czy bardzo, bardzo, bardzo, czy może bardzo, bardzo, bardzo, bardzo?
- Bardzo, bardzo, bardzo, bardzo, bardzo. - Zaczął rozpinąć mi bluzkę.
- Czy bardzo do szóstej potęgi?
- Nie, bardzo do dziesiątej potęgi.
- Czyli naprawdę bardzo mnie lubisz?
- Tak, naprawdę.
- Chciałabyś pojechać ze mną do Afryki?
- Do Afryki? No... chyba tak. Tak. Dobrze.
- Ale nie możemy przeszkadzać lwu - szepnął, prowadząc mnie na górę.
- Nie, w żadnym wypadku. Musimy być bardzo cicho.
- Tak, ciiii.
- Ciiiiiii.
- Ciiiiiiiiiii. Och, spójrz, teraz go przestraszyliśmy. - Chichotaliśmy oboje, zdejmując najpierw buty, a potem resztę ubrania. Ściągnęłam mu koszulę, a on w tym czasie rozsunął mi suwak spódnicy. Później powoli rozpiął moją jedwabną bluzkę i pozwolił, aby opadła na podłogę. Przewróciliśmy się, śmiejąc się i całując, na wielkie białe łóżko. Spojrzałam na sufit i dopiero teraz zauważyłam, że pomalował go na niebiesko, z białymi smugami. Samotny jerzyk przecinał powietrze, polując na komary.
- To są chmury pierzaste - mruknęłam. - Wróżą ładną pogodę.
- Aha. A wiesz, co ja prognozuję? - spytał, zsuwając powoli ramiączko od stanika. - Że ty i ja będziemy się kochać.
- Mhm - mruknęłam, czując falę pożądania.
- Jesteś bardzo piękna.
- Naprawdę? - spytałam jak w transie. - Nie sądzę.
- Owszem, jesteś. Wierz mi - dodał cicho. - Jestem artystą i znam się na tym.

Nagle, może z powodu wypitego wina, poczułam się bardzo dziwnie. Spojrzałam w duże szare oczy Josa i wyobraziłam sobie, że są brązowe. Pogłaskałam jego ciemnoblonde włosy, żałując, że nie są rudawe. Obrzuciłam spojrzeniem jego wysportowane ciało

i zatęskniłam za grubszym Peterem. Jos był fantastycznym facetem, ale moje pożądanie znikło jak poranna rosa.

- Co się stało?

- Nic. Nic, tylko że...

- Co takiego? - Czułam na sobie jego oddech. - Co ci jest? - powtórzył.

- No... - Westchnęłam. - To jest pierwszy raz, odkąd Peter...

- Aha. Rozumiem. Nie chcesz? - zapytał delikatnie.

- Chcę. Tak, chcę. To znaczy nie. Chyba nie. Nie jestem pewna.

Nie wiem. Widzisz... - Przerwałam na chwilę. - Widzisz... - zaczęłam znów, ale miałam ściśnięte gardło i trudno mi było mówić. - Widzisz, jeszcze nigdy w życiu nie spałam z żadnym mężczyzną oprócz mojego męża. Wcześniej się pobraliśmy - wyjaśniłam - a przed nim nikogo nie miałam. I choć to on mnie zdradził, czuję, że to... nie jest w porządku. I dlatego... Ja tylko... Przepraszam, Jos - skończyłam słabym głosem. Usiadłam i sięgnęłam po bluzkę.

- Och, nic nie szkodzi - powiedział, wzruszając ramionami.

- Nie chciałam wprowadzać cię w błąd - wychrypiałam, a łza spłynęła mi po policzku. - Myślałam, że chcę iść z tobą do łóżka. Chciałam. Ale teraz... Nie mogę. Przepraszam - powtórzyłam.

Podejrzewałam, że będzie zły, ale nie był. Objął mnie i delikatnie przytulił.

- Nie przejmuj się - powiedział. - To naprawdę nie ma znaczenia. Może zagramy w scrabble?

- Czy działacie zbyt pośpiesznie? - spytała Sophie dziś rano o dziewiątej piętnaście, patrząc w kamerę numer 2. - Zwłaszcza gdy siedzicie za kierownicą? W przyszłości może się okazać że prędkość waszego samochodu jest kontrolowana przez globalnego satelitę. - Na twarzy Sophie, gdy usiłowała nadać za tekstem na teleprompterze, malowało się absolutne zaskoczenie. - Jeżeli System Inteligentnej Zmiany Prędkości zostanie wprowadzony - oznajmiła, starając się zachować spokój - elektronicznie ograniczisz szybkość, mogąc być przymusowo. Zwolennicy systemu twierdzą, że może on chronić ponad dwadzieścia osób narok. - Boże, biedna dziewczyna. - Podłączony do satelity nawigacyjnego odnajdywałby pozycję każdego pojazdu i automatycznie ograniczał prędkość do legalnego limitu. Zwolennicy systemu uchcają, aby został wprowadzony prawem dorokudwaście pięćdziesiąt.

- Sophie, Sophie - przerwał jej poirytowany Terry. - Sama znacznie przekroczyłaś prędkość. Bardzo państwa przepraszam - stwierdził gładko, obracając się do kamery numer 3. - Poczekamy, aż Sophie powróci na wolniejszy pas. Proponuję, żebyśmy przeszli teraz do reportażu Tatiany z teatru Stephena Josepha w Scarborough, gdzie dziś wieczorem odbędzie się premiera nowej sztuki Alana Ayckbourn.

Kiedy zaczynał się reportaż Tatiany, Sophie siedziała i mruzczała coś do mikrofonu.

- Mówiłaś, że to się więcej nie zdarzy - syknęła do Lisy na galerii.

- Przepraszam, Sophie - zajęczała Lisa. - Jakaś usterka techniczna.

- Dziwnym trafem Terry nigdy nie ma problemów z usterekami.

- Mnie do tego nie mieszaj - zażądał Terry. - To nie moja wina, że nie potrafisz czytać z telepromptera.

Sophie zachowała spokój, widziałam jednak, że zaczerwieniła się pod grubą warstwą makijażu. Jasne światła w studiu nieprzyjemnie podkreśliły łyzy gromadzące się w kąciakach oczu. Kiedy wyłączono kamery, ruszyła do toalety.

- Sophie! - zawołałam chwilę później. - Sophie, to ja, Faith!

Wyszła z kabiny z opuchniętą twarzą. Ponieważ zwykle była taka opanowana i spokojna, jej płacz mnie zaszokował.

- Tych dwoje nie spocznie, dopóki nie zrezygnuję - załkała, trzymając się kurczowo umywalki.

- I właśnie dlatego absolutnie nie powinnaś tego robić - powiedziałam, podając jej chusteczkę.

- Ale ja już nie wytrzymuję - przyznała. Potężny szloch wstrząsnął jej delikatną sylwetką. - Nie dość, że pracuję w takich okropnych godzinach, to jeszcze mną pomiatają. A Darryl wcale mi nie pomaga.

- Darryl to dupa. A poza tym niewiele może zdziałać, bo Terry ma żelazny kontrakt.

- Ja tylko usiłuję wykonywać moją pracę - powiedziała i nowe łyzy spłynęły jej po policzkach.

- I bardzo dobrze ci to idzie - stwierdziłam. - Przypuszczalnie to właśnie złości tę parę.

- To było obrzydliwe i poniżające - załkała. Jej twarz wyglądała jak zmięta pusta paczka papierosów. - Pięć milionów ludzi

widziało moją kompromitację. Pięć milionów! Wszyscy się będą ze mnie śmiali.

- Mam wrażenie, że to ty się będziesz śmiała ostatnia.
- Naprawdę tak sądzisz?
- Tak.
- Jakim cudem? - spytała ponuro.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie wiem. Mam jednak przeczucie, że zajdziesz daleko, a Terry i Tatiana nie będą mieli przy tobie żadnych szans.

- Dzięki - powiedziała, pociągając nosem i głęboko wzdychając. - Bardzo ci dziękuję. Lepiej się czuję. - Rzuciła mi słaby uśmiech i umyła umazaną tuszem twarz.

- A co u ciebie? - spytała, przeglądając się w lustrze.

- Zdecydowanie wystąpiłam o rozwód.

- Przykro mi. - Wyciągnęła z pojemnika gruby zielony papierowy ręcznik.

- Ale najdziwniejsze jest to, że poznałam kogoś nowego.

- Nie mów! To świetnie.

Nie powiedziałabym nic więcej o Josie, gdyby Sophie nie spytała nagle:

- Jaki on jest?

- Naprawdę fajny - powiedziałam z zapałem. - Fantastyczny. - Podeskcytowana własnym entuzjazmem trochę się rozpędziłam. - Jest bardzo miły i przyzwoity - dodałam, gdy Sophie poprawiała makijaż. - I szalenie zdolny. Jest rozchwytywanym scenografem, w dodatku bardzo przystojnym. Ma ciemnoblond kręcone włosy. - Nagle Sophie spojrzała na mnie w lustrze.

- Jak on się nazywa? - spytała.

- Jos Cartwright.

Dłoń ze szminką zatrzymała się w powietrzu.

- Słyszałaś o nim? - zapytałam.

Zapadła chwila ciszy.

- Uhm... Tak, słyszałam.

- Znasz go? - kontynuowałam, czując, że moje serce przeskoczyło kilka uderzeń.

- Nie - odparła krótko. - Osobiście nie.

- Tylko o nim słyszałaś?

- Tak - powiedziała i zaczerwieniła się.

- Z powodu jego osiągnięć artystycznych?

- Tak, właśnie.

- To mnie zupełnie nie dziwi. Jest dość znany. Poznałam go zaledwie kilka tygodni temu i jeszcze jest za wcześnie, żeby coś prognozować, ale bardzo go lubię. I on mnie chyba też.

Sophie miała bardzo dziwny wyraz twarzy.

- Posłuchaj, Faith... - zaczęła, ale nie dałam jej dojść do słowa.

- Okropnie się cieszę, że go poznałam. Zaczynałam już wpadać w depresję. Przy Josie jestem szczęśliwa i czuję się... pożądana. Po tych potwornych ostatnich paru miesiącach myślałam, że już nigdy się tak nie poczuję.

Znów zapadła cisza, po czym Sophie skinęła głową i dziwnie się uśmiechnęła.

- Bardzo się cieszę - powiedziała, zamykając torebkę. - Mam nadzieję, że wszystko ci się ułoży.

I tak jest. Układa mi się. Niewątpliwie. Jestem szczęśliwa z Josem. Jest dowcipny, atrakcyjny i utalentowany. I dobrze wychowany. Udowodnił to tamtego wieczoru. Sądziłam, że moje zachowanie go zniechęci, że mnie sobie odpuści jako neurotyczną kobietę z przeszłością, jaką w gruncie rzeczy jestem. Tymczasem niczego takiego nie zrobił. Zrozumiał, że potrzebuję więcej czasu. Dlatego nie spieszymy się i dobrze nam ze sobą. Dziś zapytał, czy zjadłabym z nim lunch. Umówiliśmy się w Covent Garden, ponieważ wcześniej miał spotkanie w operze w związku z *Madame Butterfly*. Kiedy usiedliśmy na słońcu przed barem Tuttons, pokazał mi rysunki kostiumów.

- To są kimona Butterfly - wyjaśnił.

- Niezrównane - mruknęłam. - Jest w nich tyle ruchu. Chętnie bym je oprawiła i powiesiła na ścianie.

Potem pokazał mi szkice dekoracji, którą niedługo będą budować.

- Najpierw robimy model w miniaturze, z zachowaniem każdego szczegółu. Kiedy reżyser go zaaprobuje, zbudujemy dekoracje. Mój projekt jest dość tradycyjny, z prostą herbaciarnią, tutaj, pośrodku sceny, ale z tyłu dodałem ten nieco ponury budynek mieszkalny. Zasadniczo *Madame Butterfly* jest prostą operą i nie prowokuje żadnych awangardowych pomysłów. Z drugiej strony, dziesięć lat temu w Glyndebourne pokazano bardzo ciekawą inscenizację - dodał po namyśle.

- Ach, tak? - skomentowałam od niechcenia, oglądając szkice

- Pojedziemy? - spytał nagle.
- Dokąd?
- Do Glyndebourne. Nowy sezon zaczyna się dwudziestego piątego maja.

Serce zabiło mi mocniej. Glyndebourne? Nigdy tam nie byłam.

- Chętnie - powiedziałam. - Ale chyba trudno będzie o bilety-

- Z moimi znajomościami? - wykrzyknął. Uśmiechnął się, a potem postukał palcem w nos. - Ma się swoje sposoby. Jestem pewien, że dostanę bilety. *Cosi Fan Tutte*\

- Co?

- *Cosi Fan Tutte*. To dają na otwarcie. Uwielbiam to, a ty?

- O tak. Chyba tak. Nie widziałam tego od wieków. W ogóle zapomniałam, o czym jest.

- O niewierności - wyjaśnił. - Och, Faith, czy myślisz, że wytrzymasz?

- Jasne - odparłam ze śmiechem. - Nie daję sobie rady z niewiernością wyłącznie w rzeczywistości.

- I w przeciwieństwie do rzeczywistości opera dobrze się kończy. Ale może i ciebie czeka szczęśliwe zakończenie.

- Mam nadzieję.

- Może i ja się doczekam - powiedział ze smutkiem, a potem uśmiechnął się. - Może nawet... - dodał znacząco i wziął mnie za rękę - oboje będziemy szczęśliwi.

Odwzajemniłam uśmiech z nadzieją, że nie słyszy radosnego bicia mojego serca.

- Dobrze! - zawołał, klaszcząc w dłonie. - Załatwione. Jedziemy do Glyndebourne. Zabierzemy ze sobą pyszną wałówkę i mnóstwo szampana.

- Jaki rocznik?

- Nie zadawaj trudnych pytań. - Pochylił się nad stołem i wziął moją twarz w dłonie. - Jakie masz plany na dzisiejsze popołudnie?

- Nie mam żadnych.

- To dobrze - szepnął. Jego szare oczy promieniały radością. - Miałem nadzieję, że to powiesz. Ja też nie mam już dziś żadnych zajęć. Moglibyśmy pójść do mnie...

- Tak?

- I...

- Co?
- Spędzić w łóżku parę namiętnych godzin. Jak myślisz? - Zapadła chwila ciszy. Wstałam. - Czy cię zaszokowałem? - spytał.

Wyciągnęłam do niego rękę.

- Chodźmy - powiedziałam.

Następnego dnia zadzwoniłam do Petera do pracy i spytałam, czy mógłby się zająć dziećmi. Teraz, kiedy mój nowy związek nabierał rumieńców, mogłam z nim rozmawiać bez szczególnej przykrości. Komunikuję się z moim eks, pomyślałam spokojnie, gdy czekałam, aż podniesie słuchawkę. Ciekawe, czy można by to określić jako ekskomunikę? Peter ucieszył się na dźwięk mojego głosu. Zawsze się cieszy, kiedy się z nim kontaktuję, co mnie wzrusza.

- Dlaczego mam dopilnować dzieci? - spytał podejrzliwie.

- Bo jest przerwa w szkole i będą w domu.

- Ale czemu miałbym się nimi zajmować? Dokąd się wybierasz?

- Dlaczego pytasz?

- Nie odpowiadaj pytaniem na pytanie. Wciąż jesteś moją żoną i chciałbym wiedzieć.

- Do Glyndebourne.

Peter gwizdnął przeciągle.

- Glyndebourne! Proszę, proszę.

- Nigdy tam nie byłam - powiedziałam znacząco.

- Czy to jest wymówka? Doskonale wiesz, że chętnie bym cię tam zabrał, ale nigdy nie mieliśmy dość forsy.

- Mogłeś pożyczyć - stwierdziłam bezsensownie. - Gdyby nasze małżeństwo naprawdę było dla ciebie ważne, pożyczylbyś pieniądze i od czasu do czasu mógłbyś mi sprawić tego rodzaju przyjemność.

- Tak sądzisz? - Zaśmiał się głucho. - Kto, jeśli mogę spytać, zabiera cię do Glyndebourne?

- Co cię to obchodzi?

- Jak już mówiłem, wciąż jestem twoim mężem i wydaje mi się, że mam prawo wiedzieć.

- Straciłeś to prawo, kiedy mnie porzuciłeś - powiedziałam ze złością.

- Nie przekręcaj faktów. To ty mnie wyrzuciłaś. Kim jest ten facet, Faith? Znam go?

- Ja cię nie wypytuję o twoje stosunki z... nią- stwierdziłam sucho. - Bądź uprzejmy zapewnić mi taką samą dyskrecję.

- Nie bądź taka nadęta. Dzieci i tak mi powiedzą. Albo Graham. Graham mi wszystko powie. Kto to jest? Musi być niezłe nadziany, skoro zabiera cię w to miejsce operowych i syberyckich rozkoszy.

- Nie jest nadziany - odparłam z godnością. - Ale dobrze mu się powodzi. Jest artystą.

- Jak artysta może mieć tyle forsy, żeby cię zabrać do Glyn-debourne, Faith? Jesteś pewna, że nie dorabia, handlując narkotykami?

- Jestem. On jest bardzo uzdolniony. Projektuje scenografię i kostiumy do przedstawień operowych. I jest też wspaniałym malarzem. Specjalizuje się w *trompe l'oeil*.

- Czy on jest heteroseksualny? - spytał nagle Peter. - Trochę mnie zaniepokoiłaś.

- Oczywiście - burknęłam zniecierpliwiona. - Bardzo heteroseksualny - dodałam znacząco. - Jest też bardzo przystojny.

- Ach, tak?

- Tak. I w dodatku świetnie gotuje.

- Oooo! Na pewno jest gejem.

- Na pewno nie!

Głos Petera zanikł w oddali, gdy przypomniałam sobie wczorajsze cudowne popołudnie w łóżku. Było fenomenalnie. Bosko. Już zapomniałam, jaki wspaniały jest seks.

- Mylisz się, Jos jest szalonym heteroseksualistą - powiedziałam złośliwie.

- Och, Faith. Czy ty? Nie, prawda? To do ciebie niepodobne. I to jeszcze przed rozwodem. To nie było miłe z twojej strony. Ale cóż, dziewczyny ze szkół klasztornych...

- Skoro ty zrobiłaś to pierwszy, to dlaczego ja miałam sobie odmówić?

- Naprawdę, Faith, odpowiedz na moje pytanie: poszłaś z nim do łóżka?

- Tak, jeśli chcesz wiedzieć. - Kiedy to powiedziałam, poczułam sadystyczną przyjemność i coś bliskiego zemście. - Prześpałam się z nim - powtórzyłam. - I było wspaniale, jeśli chcesz wiedzieć.

Zapadła cisza.

- Nie chcę.
- Czy możesz zająć się dziećmi w następny czwartek? - spytałam rzeczowo.

- Nie, nie mogę.

- Jak to nie możesz?

- Nie mogę. Nie mam czasu. Jestem zajęty. Jednym słowem, nie ma mowy.

- Czym będziesz zajęty?

- Konferencją na temat sprzedaży książek. Będę szkolił wiernych żołnierzy w hotelu w Warwickshire. Rozumiesz sama, że to bardzo ważne, prawda? Zwłaszcza że jestem na kontrakcie próbnym i dokładnie mnie obserwują. Bardzo mi przykro, naprawdę, ale to niemożliwe. Nawet gdybyś poprosiła mnie z trzymiesięcznym wyprzedzeniem, co jest, oczywiście, niemożliwe, bo trzy miesiące temu byliśmy szczęśliwym małżeństwem i nie wybierałaś się do Glyndeboume ani nie sypiałaś z obcymi mężczyznami, ale nawet wtedy musiałbym ci odmówić. Przykro mi. Nie mogę. Posłuchaj opery na CD.

- Nie bądź okropny, proszę cię. Chciałabym tam pojechać.

- To zapłać komuś za przypilnowanie dzieci. Pytałaś moją matkę?

- Nie, ze względu na sklep.

- A twoi rodzice? Teraz, gdy dzieciaki są już duże, mogliby się czasem poświęcić. O ile uda ci się ich gdzieś dopaść.

Nie udało mi się. Nigdy mi się nie udaje. Dzwoniłam, ale nikt nie odpowiadał. Chodziło mi po głowie, że wybrali się na obserwację ptaków do Tobago. Albo na spływ do Kolorado. A może żeglowali naokoło Seszeli w ramach Wyprawy po Oceanie Indyjskim. Nie byłam pewna i miałam właśnie znów do nich dzwonić, gdy - ku mojemu zdumieniu - zadzwoniła mama.

- Jak leci, skarbie? - spytała.

- Dość ciekawie. Cieszę się, że dzwonisz, ponieważ zastanawiałam się, czy nie moglibyście z tatą przyjechać i...

- Poczekaj, Faith, kończą mi się pieniądze. Gerald! Daj mi jeszcze pięćdziesiąt pensów! Dzięki. Przepraszam, skarbie, jesteśmy na lotnisku. Nasz samolot niedługo odlatuje, więc nie mogę długo rozmawiać.

- Dokąd się wybieracie tym razem? - spytałam znużonym tonem. - Myślałam, że dopiero co wróciliście.

- Do Walii.
 - Do Walii? Po co lecicie do Walii?
 - Nie zrozumiałaś mnie, skarbie. Lecimy oglądać nerwale.
- W Norwegii - wyjaśniła.
- Oglądaliście wieloryby w zeszłym roku na Cape Cod.
 - To są zupełnie inne zwierzęta. Podobno te norweskie wyskakują wprost z wody z wielkim pluskiem. A później lecimy do Laponii na dwutygodniowe wypasanie reniferów.
 - Fantastycznie.
 - Tak, i w dodatku te tereny nie są już radioaktywne.
 - Świetnie.
 - Nie rozmawialiśmy od wieków, skarbie. Coś się dzieje?
 - Tak. Jeśli chcesz wiedzieć, rozwodzimy się z Peterem.
 - Naprawdę? Uważaj na bagaże, Geraldzie!
 - Już się wyprowadził i mieszka w Pimlico, niedaleko od swojej nowej pracy. Został dyrektorem administracyjnym w Bishopsgate. Aleja mam nowego faceta, który nazywa się Jos...
 - Ach tak?
 - Jest uznanym scenografem.
 - Super!
 - W przyszłym tygodniu zabiera mnie do Glyndebourne.
 - Tobie to dobrze.
 - A Peter rzucił mnie dla swojego łowcy głów. - Mama się zachnęła. - Nie martw się, mamo. Andie jest kobietą.
 - Dzięki Bogu.
 - Dzieci podchodzą do tego wszystkiego szalenie spokojnie.
 - To dobrze. Matt jest bardzo zdolny, prawda? - dodała z dumą. - Myślę, że świetnie mu idzie.
 - Tak. I Katie też. Ale martwię się o Grahama. - Usłyszałam gong.
 - Wołają nas do samolotu. Muszę lecieć, skarbie. Mówiłaś, że martwisz się o Grahama?
 - Tak. Nie jest zadowolony z rozwodu.

I to jest prawda. Graham jest negatywnie nastawiony do rozwodu. Stracił swój zwykły dobry humor. Zauważyłam, że się zmienił. Na przykład wiecie, jak się zachowują psy, kiedy chcą się położyć? Najpierw chodzą w kółko. Nie wiem dlaczego, ale tak jest. Graham chodzi w kółko dłużej niż zwykle, a potem kładzie się z westchnieniem. Poza tym spędza dużo czasu wyglądając przez okno. Wiem, bo zostawia ślady nosa na szybie. I zawzięcie poluje

na muchy, co nadaje mu lekko głupawy wygląd. W ogóle nie jest sobą. W ciągu tych ośmiu dni po mojej rozmowie z mamajeszcze mu się pogorszyło. Znow zwróciłam na to uwagę w czwartek po południu, kiedy czekałam na Josa. Lily wspaniałomyślnie zaofiarowała się, że popilnuje dzieci, i miała się zjawić o drugiej. Jos przyjeżdżał po mnie samochodem piętnaście po drugiej. Jazda do Glyndebourne trwa dwie godziny, potem mieliśmy wypić drinka na świeżym powietrzu, a opera miała się zacząć punktualnie o piątej. Lily była tym wszystkim niesłychanie podekscytowana i bardzo mi pomogła. Gdy opowiedziałam jej o moim zmartwie- niu, nie tylko natychmiast zaproponowała, że zajmie się dziećmi, zapowiadając, że weźmie wolne popołudnie, lecz także pożyczyła mi cudowną długą suknię od Armaniego, z jasnoróżowego jedwa- biu, z odpowiednią etolą. Byłam tak podniecona, że wyszykowałam się o wiele za wcześnie. Tak jak wtedy, kiedy byłam dzieckiem. Żeby zabić czas, postanowiłam zrobić Grahamowi sprawdzian z posłuszeństwa.

- Siad! - powiedziała do niego w kuchni. Ku mojemu zdu- mieniu spojrzął na mnie wyzywająco. - Siad! - powtórzyłam. Nic. - Siad, Graham - powiedziałam jeszcze raz cierpliwie. - Siad, piesku. - Ziewnął. - Siad! - warknęłam. Nadal stał. Matt podniósł wzrok znad gazety.

- Siad, Graham - powiedział poważnie. - Siad. - Nic. - Siad. Proszę. - Graham powoli opuścił tyłek na podłogę.

- Nigdy do tej pory nie musieliśmy go prosić - zauważyłam. - Zwykle jest bardzo posłuszny. Coś mu się stało.

- Sprawdza parametry twojego autorytetu, mamó - powie- działa Katie, wsypując jedzenie dla rybek do akwarium Siggy'ego. - To klasyczne zachowanie małolatów przy rozwodzie. Kiedy na miejscu zostaje tylko jedno z rodziców, potomstwo zaczyna prze- kraczać granice. Głównie po to, żeby się przekonać, jak daleko można się posunąć. Na szczęście to jest tylko etap przejściowy.

- Nie zgadzam się z tą analizą - powiedział Matt. - Moim zdaniem, Graham jest w depresji, ponieważ wie, że przyjdzie tu Jennifer Aniston. On ją uważa za sukę.

- Nie wiem, co mu się stało - powiedziałam. - Chciałabym, żeby się wziął w garść. Drogi Grahamie, nie chcesz chyba, żeby Jos wziął cię za niegrzecznego szczeniaka, prawda? - spytałam, targając go za jedwabiste uszy. - Jesteś dużym chłopcem, masz już trzy lata.

- Nie traktuj go jak dziecko, mamó - zwróciła mi uwagę Katie. - To jest pies.

- Słyszałeś, Grahamie? - spytałam z uśmiechem. - Twoja duża siostra myśli, że jesteś psem.

- On jest psem.

- Nie, nie jest - powiedziałam. - Uważam, że to niesprawiedliwe.

- Graham jest psem, mamó - powtórzyła Katie. - Jednak - kontynuowała gładko - jest psem z wyjątkowym, prawie ludzkim zrozumieniem i intuicją, a zatem masz rację, martwiąc się o jego zdrowie psychiczne. To przez rozwód - dodała rzeczowo. - Czuje się poważnie zaniepokojony. A także winny, jakby uważał, że rozwód jest jego winą. Ale zasadniczo nie bardzo wie, co się dzieje. Może powinniśmy pójść z nim do psiego analityka.

Nagle ktoś zastukał klapką od skrzynki na listy i usłyszeliśmy wyraźny głos Lily.

- Haloóóó! Otwierajcie! Jesteśmy! Opieka do dzieci. Kochanie, wyglądasz cudownie! - zawołała, wchodząc do środka. - Tak, ta suknia to prawdziwe marzenie. Na co się gapisz, Faith?

- Na nic - skłamałam. A naprawdę gapiłam się na Jennifer, która miała na sobie małą bawełnianą koszulkę z napisem „Taka ładna!” i czapkę bejsbolową w gwiazdy i paski. Długie uszy były przewleczone przez specjalne otwory po obu stronach.

- Prawda, że jej strój jest absolutnie słodkiiii! - zachwycała się Lily. - Kupiliśmy go u Crufta i Jennifer specjalnie chciała go dziś włożyć, prawda, aniołku? Myślałam, że moglibyśmy wszyscy pójść do parku. Pod warunkiem, że Graham będzie się zachowywał.

- Na pewno, jest dość przygaszony. Uważamy, że jest w depresji z powodu rozwodu.

- W przeciwieństwie do mnie - oznajmiła Lily. - To znaczy, daję sobie radę - poprawiła się szybko. - To jest, naturalnie, bardzo smutne - dodała pośpiesznie - ale takie jest życie. A gdzie jest ten twój cudowny nowy facet? Nie mogę się doczekać, żeby go poznać.

Dwie minuty później jej życzenie się spełniło. Usłyszeliśmy podjeżdżający samochód, kroki na ścieżce i nagle w przedpokoju stanął Jos. Wyglądał jak Bóg. Nie, jak anioł. Właśnie tak wyglądał. Jasne loki opadały mu delikatnie na kołnierz marynarki. Emanował magnetycznym ciepłem, jak dalekie ognisko w zimową noc. Wyglądał tak cudownie, że myślałam, że zemdleję z pożądania.

Dziękuję ci, Boże, pomyślałam, za to, że zesłałeś mi Josa.
Na Lily też zrobił duże wrażenie.

- Jakże się cieszę, że mogę pana poznać. Wiele o panu słyszałam, same dobre rzeczy. Muszę zrobić z panem wywiad do „Moi!” - stwierdziła z entuzjazmem. - Nasze strony artystyczne są najlepsze.

- Dziękuję pani - powiedział Jos. - Ja także słyszałem o pani wiele dobrych rzeczy. I uwielbiam pani pismo. Jest znacznie lepsze od „Vogue'a” - Lily była oczarowana.

- A ty jesteś Katie, prawda? - powiedział Jos z uśmiechem do mojej córki.

- Owszem - przyznała z udaną obojętnością.

- Ty więc musisz być Mattem geniuszem.

Matt zaczerwienił się i powiedział:

- Cześć.

Jos uśmiechał się do nas wszystkich łaskawie, a my podziwialiśmy jego męską urodę i wdzięk.

- Gdzie jest Graham? - zapytał.

Zabawne. Graham zniknął. Matt poszedł go poszukać i wrócił po chwili, ciągnąc Grahama za obrozę. Na pysku psa malowały się strach i pogarda, na ogół zarezerwowane dla weterynarza.

- Przywitaj się z Josem, piesku - powiedziałam wesoło.

Jos wysunął rękę, aby go poklepać i w tej samej sekundzie Graham wyszczerzył zęby i lekko go ugryzł.

- Au! - wykrzyknął Jos, potrząsając ręką. Początkowo był przerażony, później zdegustowany, wreszcie się roześmiał.

- To moja wina - powiedział. - Chyba go przestraszyłem.

- Nic podobnego - stwierdziłam. - Graham! To było bardzo, bardzo niegrzeczne i mamusia jest na ciebie zła. - Graham położył uszy po sobie. - Przepraszam cię, Jos - powiedziałam. - Czy mam poszukać plastra? - Zaprzeczył ruchem głowy. - Zazwyczaj Graham jest bardzo przyjacielski, ale w tej chwili trochę się pogubił.

- To nieprawda, mamo - powiedziała autorytatywnie Katie. - Graham jest zazdrosny.

- Zazdrosny?

- O Josa.

- Ha, ha, ha. No, wiesz, kochanie - powiedziałam. - Co za śmieszny pomysł. Katie bardzo lubi analizować wszystkich i wszystko - wyjaśniłam. - Uważaj, bo niedługo weźmie się za ciebie, Jos. Prawda, Katie?

- Tak - odparła bezbarwnym tonem. - Na pewno.

Zapadło niezręczne milczenie. Po chwili Jos uśmiechnął się i powiedział:

- Sam bardzo się interesuję psychiatrią. Przyjaźnię się z Anthonym Clare.

- O! - zawołała Katie, rozpromieniając się. - On jest fantastyczny, choć nie zgadzam się z jego poglądami na temat Freuda.

- Chciałabyś go poznać? - spytał Jos. - Mógłbym to zaaranżować.

Myślałam, że oczy wyskoczą jej z orbit.

- Strasznie bym chciała.

- Załatwione - obiecał z uśmiechem. Wziął koszyk zjedzeniem, pożegnaliśmy się i wyszliśmy.

- Cudownie wyglądasz - powiedział, kiedy wyjeżdżaliśmy z Chiswick jego odkrytym samochodem. Wyciągnął rękę i pogłaskał mnie po kolanie.

- Ty też. Niesłychanie przystojnie. - Spojrzałam na ślad po zębach Grahama na środkowym palcu. Na szczęście nie przegryzł skóry. - Przepraszam cię za psa.

- Nic nie szkodzi - odparł sucho. - Cieszę się, że nie miał pistoletu.

- Ostatnio się zmienił - wyjaśniłam. - Nie wiem, co mu się stało.

- Ja wiem. Katie ma rację, jest zazdrosny. I to jest zrozumiałe. Graham kocha ciebie i wie, że ja także cię kocham. - Moje serce zrobiło potrójną przewrotkę i stanęło na głowie. Brakowało mi tchu, kręciło mi się w głowie i czułam się wniebowzięta. Jos ma zwyczaj mówić zniecka coś, co mnie kompletnie zatyka. Peter nigdy tego nie robił, ale Peter nie jest romantykiem. Chociaż zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem przy Andie nie zachowuje się romantycznie. Może i tak... Szybko jednak odpędziłam od siebie te niedobre myśli, ponieważ już poszłam dalej. Lily miała rację, mówiąc, że pójdę naprzód. I poszłam razem z Josem.

Kiedy jechaliśmy do Sussex, czułam się jak we śnie. Kiedy samochód musiał zwalniać z powodu dużego ruchu, przyglądałam się szlachetnemu profilowi Josa, a on wtedy odwracał się i brał mnie za rękę. Nie zależało mi wcale na tym, żebyśmy dojechali do Glyndebourne; sama jazda była szczęściem. Wkrótce zostawiliśmy za sobą wypełnione spalinami arterie południowo-wschodniego Londynu i jechaliśmy wąskimi drogami Sussex

Pejzaż był zielony jak sałata. Trybule leśne rozrastały się w żywopłotach, a drzewa ubrane były w kolor jasnej limonki. Wysokie kasztany potrząsały na lekkim letnim wiatereku różowymi i białymi świecami. Przejechaliśmy tunelem z buków, których liście wyglądały jak zrobione z przezrystej, troszkę miedzianej zieleni, i nagle znaleźliśmy się pośród bentleyów, mercedesów i rollsów.

- Witam w Glyndebourne - powiedział Jos, gdy skręciliśmy w długi, wysadzany drzewami podjazd, którym dojechaliśmy na parking. Kiedy wyciągał rzeczy z bagażnika, rozejrzałam się wokół. Miałam wrażenie, jakbym znalazła się na planie filmu w studio Merchanta-Ivory'ego. Mężczyźni w smokingach i szerokich pasach paradowali wszędzie niby błyszczące czarne kruki; kobiety, dumne ze swoich ciuchów *haute couture* lub baloniastych jedwabi, potykały się elegancko na trawniku. Z daleka widać było białe owce na tle pofałdowanych pól.

- Najpierw zajmijmy sobie jakieś miejsce na piknik - powiedział Jos - i wypijemy parę drinków. Obiad zjemy w czasie długiej przerwy o wpół do siódmej.

Przenieśliśmy koc i koszyk przez ogród, obok rabat z różami i stawu z liliami. Piękno elżbietańskiego domu z oknami obrośniętymi wistarią, z ciepłej czerwonej cegły, błyszczącej w popołudniowym słońcu brązem, zaparł mi dech w piersiach. Owce pasły się z nonszalancką obojętnością, a my rozłożyliśmy miękkie koc pod półkolistym murkiem.

- To jest ha-ha - poinformował Jos, otwierając szampana. - Ha-ha jest po to, żeby chronić owce przed miłośnikami opery.

- Ha, ha!

- Przepraszam, że krug nadal jest z nie najlepszego rocznika - dodał, podając mi kieliszek. - Najlepsze roczniki pijam jedynie przy wyjątkowych okazjach.

Uśmiechnęłam się. Dla mnie był dostatecznie dobry.

- Jaka będzie pogoda? - zapytał.

Spojrzałam w niebo.

- Ładna - odparłam z zadowoleniem. - Z długimi słonecznymi okresami. - Popijaliśmy szampana i pogryzaliśmy kanapki z wędzonym łososiem, gdy rozległ się dźwięk dzwonka.

- To jest inny świat - szepnęłam, gdy szliśmy, trzymając się za ręce, w stronę domu.

- Masz rację - przyznał Jos.

- ...Nie, przyjechałam z Rothschildami.

- ...Będziesz w tym roku w Ascot?
- ...Dwoje najmłodszych jest w Radley.
- ...Tak, tak. Mozart jest super!
- Większość tych ludzi ma nadmierne poczucie własnej wartości - szepnął Jos, gdy znaleźliśmy nasze miejsca. Orkiestra się nastroiła, światła przygasły i zapadła pełna szacunku cisza.

Kocham to - pomyślałam, kiedy kurtyna poszła w górę. Jos trzymał moją prawą rękę w obu dłoniach i wyczuwałam delikatne poruszanie się jego ciała z każdym oddechem. Opera była po włosku, ale przeczytałam wcześniej streszczenie w *Kobbe* Petera. Historia wydała mi się dość głupia, pełna podstępów i oszustwa. Dwaj przebrani mężczyźni podrywają sobie wzajemnie dziewczyny, chcąc sprawdzić, czy będą im wierne. Robią to, bo założyli się ze swoim cynicznym przyjacielem don Alfonsem. Człowiek nie wierzy własnym oczom, gdy obie dziewczyny nie rozpoznają własnych facetów, z którymi dopiero co rozmawiały, tylko dlatego, że przebrali się za Albańczyków. Kobiety dzielnie opierają się pokusie, ale mężczyźni zaczynają stosować nieczne sztuczki. Udają, że zażyli truciznę i przed śmiercią może ich uratować jedynie uległość kobiet. Więc te ulegają. To jest okropnie niesprawiedliwe, bo ci faceci najpierw je oszukali, a potem jeszcze mają pretensje. Jednak najbardziej zainteresowała mnie postać służącej, Despiny. Wydawała się miła i lojalna, a w rzeczywistości okazała się kimś wręcz przeciwnym i manipulowała akcją, jakby była lalkarką. Jak mogła im to zrobić? - pomyślałam. Jakimi ukrytymi motywami się kierowała? I, prawdę mówiąc, opera raczej mnie zaniepokoiła niż rozbawiła. Później doszłam do wniosku, że treść się nie liczyła, bo muzyka była fantastyczna. Kurtyna opadła przy wtórze okłasków. Wszyscy wyszliśmy na przerwę.

- ...Lepsze niż Birtwhistle, co?
- ...Lubię nowoczesną operę pod warunkiem, że jest normalna.
- ...Czy to nie książę Norfolk?
- ...W tym roku znów pojedziemy do Cap Ferrat.
- ...Obsługa była skandaliczna. Skandaliczna!
- ...Nie, jestem z Merril Lynch.
- Josiah? - Jos zatrzymał się nagle. Tuż przed nim stanęła atrakcyjna dwudziestoparoletnia kobieta, blokując nam drogę. - Dawno cię nie widziałam - powiedziała z dziwnie wyzywającym wyrazem twarzy.

- To prawda - przyznał z uprzejmym uśmiechem, choć nie wyglądał na zadowolonego.

- Co słyhać? - spytała dziewczyna, owijając szczupłe ramiona aksamitnym szalem.

- Wszystko dobrze. Świetnie. A co u ciebie?

- Doskonale - odparła znacząco. - Pracuję w Opera North.

- Aha. To wspaniale. - Myślałam, że mnie przedstawi, ale nie zrobił tego. - Miło było znów cię zobaczyć - dodał - ale nie chcemy cię zatrzymywać. - Objął mnie ramieniem i ruszył przed siebie.

- Słyszałam, że zajmujesz się niesłuchanie interesującymi projektami! - zawołała za nami, gdy weszliśmy na trawnik.

Jos zatrzymał się i odwrócił do niej. Zauważyłam, że drży mu mięsień w kąciiku ust.

- Tak - powiedział. - To prawda. Do widzenia, Debbie.

Wróciliśmy na nasz koc i znów popijaliśmy szampana w wieczornym słońcu. Ale po tym dziwnym spotkaniu krug stracił smak.

- Wiem, że to nie jest moja sprawa - powiedziałam, wyjmując talerze z koszyka - lecz ta dziewczyna... Kim ona jest? Była dość nieprzyjemna.

- Masz rację - powiedział, wzdychając z irytacją, po czym zamilkł na moment. Najwyraźniej nie chciał o niej rozmawiać i może popełniłam błąd, że w ogóle pytałam.

- Przepraszam, nie zamierzałam cię wypytywać.

- Nic nie szkodzi - stwierdził i znów niecierpliwie westchnął. - Mogę ci powiedzieć. To młoda projektantka - wyjaśnił, kiedy podałam mu udko wędzonego kurczaka. - Kiedyś ją zatrudniłem. W gruncie rzeczy do malowania dekoracji - dodał, gdy nałożyłam mu sałaty. - Ma jednak wybujałe ambicje i chce zrobić karierę. I... Kiedy usłyszała, że mam projektować *Madame Butterfly* w operze, napisała do mnie, żebym ją zatrudnił jako asystentkę. Ale... Uważałem, że się do tego nie nadaje i... Poinformowałem ją, że zatrudniłem już kogoś innego. Zupełnie o tym zapomniałem, lecz ona, jak widać, nie.

- Nie przejmuj się, kochanie - powiedziałam, podając mu papierową serwetkę.

Jego wyjaśnienie mnie uspokoiło, bo zaczęłam już odczuwać pewne poczucie własności wobec Josa i obawiałam się, że to ja-kaś jego była dziewczyna. Z problemami na tle zawodowym mogłam sobie poradzić.

- Obracam się w trudnym środowisku, Faith. Lubię pomagać młodym talentom, nie mogę jednak promować kogoś, kto nie jest naprawdę dobry.

- Rozumiem. Zapomnijmy o tym - zaproponowałam, podając mu sałatkę ziemniaczaną.

I choć na pozór wszystko było w porządku, druga część wieczoru upłynęła w innym nastroju niż pierwsza. Raz czy dwa zerknęłam na Josa, kiedy siedzieliśmy w teatrze podczas drugiej części, i wydawało mi się, że wciąż jest spięty. Potem jednak zajęłam się operą i byłam zdumiona zakończeniem. W streszczeniu wspomnieli o happy endzie, gdy obaj mężczyźni „wybaczą” swym narzeczonym kontakty z „Albańczykami” i wszystko kończy się szczęśliwie do wtóru weselnych dzwonów. Tak jednak nie było. Obie kobiety, kiedy dowiedziały się, że zostały oszukane, wpadły w furję, spojrzały pogardliwie na mężczyzn, rzuciły na ziemię zaręczynowe pierścionki i we łzach odeszły za kulisy.

- Nie całkiem szczęśliwe zakończenie - powiedziałam, gdy szliśmy do samochodu.

- Nie - przyznał. - Wtrąciło się samo życie.

Gdy wracaliśmy do Londynu, był przygaszony.

- Wciąż myślisz o tej dziewczynie? - spytałam cicho. Usiłowałam odczytać wyraz jego twarzy, ale nie widziałam jej wyraznie. - Mam nadzieję, że się nie martwisz.

- Trochę - powiedział, zmieniając biegi. - Zastanawiam się, czy zaczniesz rozrabiać.

- Na pewno nie. Poza tym, co mogłaby zrobić? Masz bardzo dobrą reputację. Jesteś genialnym scenografem i wszyscy o tym wiedzą. - Odwrócił się do mnie w półmroku i rzucił mi wdzięczny uśmiech. - Ludzie tak utalentowani jak ty często stają się obiektem niechęci i zazdrości. Wysoko mierzysz i inni chcieliby podciąć ci trochę skrzydła.

- Dzięki. Ciekaw jestem, jak wysoko mierzy twoja Lily? - stwierdził, gdy skręcaliśmy w Elliot Road. Zastaliśmy ją śpiącą przed wideo z serialem *Przyjaciele* i z chrapiącą Jennifer Aniston, przytuloną do piersi.

- Piękna i bestia - powiedział z uśmiechem Jos. - To miło, że została z dziećmi.

- To prawda - szepnęłam w odpowiedzi. - Przykro mi, że nie możesz zostać - dodałam i spojrzałam na Grahama. Leżał na dolnym schodku.

- Wiem, że nie mogę. Po pierwsze, Graham nie wpuści mnie na górę, a po drugie, za trzy godziny musisz wstać do pracy. - Pocałował mnie. - Biedactwo - pożałował, przyciskając mnie do siebie. - Jutro będziesz strasznie zmęczona.

- I bardzo szczęśliwa.

- Będę cię oglądał - obiecał, jeszcze raz mnie pocałował i wyszedł w noc. Lily obudziła się i ziewając, zbierała swoje rzeczy. Podziękowałam jej i ruszyłam na górę. Dzieci już dawno poszły spać, ale zdziwiłam się, widząc smugę światła pod drzwiami Marta.

- Matt! - wykrzyknęłam cicho. Siedział w piżamie przy biurku. - W końcu kiedyś oślepniesz.

- Co? - Spojrzał na mnie zmrużonymi oczyma i odwrócił się do monitora.

- Co ty robisz? Jest za piętnaście pierwsza. Masz dopiero dwanaście lat, młody człowieku. - Spojrzałam z zającego pleców na ekran. Matt wystukał coś na klawiaturze.

- To nic, to tylko mój chat.

- Chat? Nie chcę żebyś się w to bawił. Na chatach jest pełno świrów.

- To jest specjalny chat.

- O czym rozmawiacie?

- Przeważnie o najnowszych wydarzeniach. Wiesz, o Chinach i Tajwanie, OPEC, przyszłych kierunkach rozwoju brytyjskiego przemysłu.

- Rozumiem. To wszystko brzmi bardzo interesująco, ale masz natychmiast skończyć. - Wyprostowałam się i ze zdumieniem spostrzegłam, że ściany jego pokoju były puste. - Gdzie są wszystkie twoje gry komputerowe?

- Eee... Pozbyłem się ich - odparł, wyłączając komputer.

- Wszystkich? Miałeś prawie sto.

- Wiem. Już mi się znudziły. - Wzruszył ramionami i położył się do łóżka.

- Nawet Zombie Revenge i Chu-Chu Rocket?

- Jasne, mam. Grałem w nie milion razy.

- Rozumiem. I oddałeś je komuś, tak?

- Aha.

- Do sklepu z rzeczami dla biednych?

- Mhm.

- Były bardzo drogie. Wydaliśmy na nie masę pieniędzy. A ty je po prostu oddałeś?

- Tak.

- Nie bardzo mi się to podoba. Mogłeś je zanieść do sklepu z używanymi gramami i dostałbyś za nie sporo pieniędzy. - Matt wzruszył ramionami. - Tak, jestem zła.

Kiedy to powiedziałam, zdałam sobie sprawę, że wcale się nie złościę. Spędziłam cudowny wieczór. W moim świecie wszystko było w porządku, a Matt kierował się odruchem serca.

- To było bardzo ładne z twojej strony - pochwaliłam i pocałowałam go na dobranoc. - Są naprawdę dużo warte.

- Wiem - powiedział znacząco. Zgasiłam światło i podeszłam do drzwi.

- Mamo? - zawołał nagle z ciemności, gdy cicho zamykałam za sobą drzwi.

- Tak?

- Czy opera ci się podobała?

- Tak, kochanie, bardzo, choć cała historia była dość dziwna.

- A lubisz Josa, mamó? - spytał cicho.

- Czy lubię Josa? Tak, lubię. A ty? Spodobał ci się?

Zapadła cisza.

- Nie wiem - szepnęła po chwili. - Chyba tak. Wydaje się bardzo miły.

Czerwiec

Matt ma absolutną rację. Jos jest czarujący. Jest niewiarygodnie czarującym mężczyzną w czasach, kiedy naprawdę czarujący mężczyźni należą do rzadkości. Jest przystojny, przyjacielski, dobrze się z nim rozmawia, zawsze ma na podorzędziu jakieś celne powiedzonko. Jest kimś, z kim chce się być, bo wprawia cię w dobry nastrój. I dlatego ludzie lgną do niego, jak ćmy do światła. Nie wierzę we własne szczęście, że w ogóle go spotkałam. Moje życie zupełnie się odmieniło. Wystarczy przeczytać najnowszy numer „Moi!”, żeby to zrozumieć. W piśmie jest dodatek o niewierności, z wywiadem, który przeprowadziła ze mną Lily. Nikt nie wie, o kogo chodzi, bo nazwała nas Fiona i Rick. Miałam wrażenie, jakbym czytała o kimś obcym, ponieważ teraz, gdy spotkałam Josa, już zdążyłam zapomnieć, jak bardzo wtedy cierpiałam.

Zaczęłam podejrzewać mojego męża... Zrobiło mi się wręcz niedobrze... Przeszukiwałam jego rzeczy... Ulga, kiedy detektyw niczego nie znalazł... Straszny szok, gdy Rick się przyznał... Co ja mam teraz zrobić?... Mam wrażenie, że mój cały świat zamienił się w proch.

To było zaledwie trzy miesiące temu, ale od tego czasu moje życie całkowicie się zmieniło, Jos stał się moim uzdrowicielem. Zgodnie z tym, co sugeruje jego imię. Pod wpływem kilku zgrabnych pociągnięć jego magicznego pędzla szare niebo odzyskało swój błękitny kolor.

Dzieci raczej go lubią, co mnie cieszy. To duże przeżycie, gdy się przedstawia nowego mężczyznę własnym dzieciom. Są wobec niego w porządku, tylko Graham nie umie się zachować. Ale w końcu jest tylko psem i nie może sobie wydedukować, o co tu chodzi. I oczywiście nie podoba mu się, że czasem zamykam przed nim drzwi do sypialni. Jos nie zostaje u mnie podczas weekendów, bo wtedy są w domu dzieci, ale zdarza mu się to czasem w tygodniu. I nie przeszkadza mu dźwięk budzika o wpół do czwartej. Budzi się i znowu zasypia. Wychodzi do pracy koło wpół do dziewiątej. Nasz związek ładnie się rozwija i tylko Graham ma mu coś za złe. Choć to, że Jos w ogóle przejmuje się zachowaniem Grahama, też o nim dobrze świadczy. Rozmawialiśmy na ten temat wczoraj w łóżku.

- To nie takie łatwe - powiedział i westchnął z irytacją. - On jest bardzo grzeczny, kiedy jesteś w domu, ale gdy tylko wychodzisz, zamienia się w potwora.

- Chyba cię nie ugryzł? - spytałam zaniepokojona.

- Nie, nie całkiem. Ale od czasu do czasu łapie mnie zębami, żeby przypomnieć, kto tu rządzi. Czuję się, jakby chodziła za mną pirania.

- Wychodzi jego instynkt psa pasterskiego. Nie bierz jego zachowania do siebie. On cię tylko pilnuje. Chce cię mieć na oku - dodałam, całując go. - Ja też.

- Biorę to do siebie - odparł urażony Jos. - Nie podoba mi się fakt, że nadal zachowuje się wobec mnie wrogo, kiedy ja się tak staram.

To prawda, Jos bardzo się stara zaskarbić sobie sympatię Grahama. Przynosi mu kawałki mięsa i rzuca piłkę w ogrodzie. Kupił najnowsze wideo Delii Smith i śliczną nową obrozę. Wychodzi ze skóry i mam nadzieję, że Graham to w końcu doceni. Rozmawiałam

o tym z Katie, kiedy w piątek wieczorem oglądałyśmy w telewizji show Frasiera.

Halo, Seattle, mówi doktor Frasier Crane.

- On naprawdę zachowuje się ekshibicjonistycznie i neurotycznie - dodałam. - Na przykład to nieustanne polowanie na muchy jest klasycznym objawem obsesyjno-kompulsywnym.

Słucham pana, Russell.

- Nie, mam, psy się tak po prostu zachowują.

- Graham ma w sobie dużo gniewu - mówiłam. Pies wstąpił z zadowoleniem. - Przypuszczalnie z powodu niewyjaśnionych problemów z przeszłości. Jeśli teraz dodasz do tego naturalny strach przed porzuceniem, jasne jest, że obecność Josa jest wyzwaniem dla jego delikatnego ego.

Dziękuję panu, Russell. Kto jest naszym następnym, gościem?

- Poza tym - powiedziałam, głaszcząc Grahama po uszach - być może ma nierozwiązany kompleks Edypa i chce zastąpić postać „ojca”, w tym przypadku Josa, i się ze mną ożenić.

Katie spojrzała na mnie sceptycznie.

- Nigdy nie chciał zastępować taty.

- To prawda. Wiesz, te wszystkie psychologiczne sprawy okropnie mnie kiedyś nudziły, ale teraz jestem nimi zafascynowana. I wyraźnie widzę, że Graham okazuje objawy początków paranoi.

- Bardzo się starasz, mam, ale jest prostsze wyjaśnienie.

- Jakie?

- Graham po prostu nie lubi Josa.

- Och, rozumiem - powiedziałam zbity z tropu.

- To się zdarza - stwierdziła, wzruszając ramionami. Machnęła rękaw kierunku telewizora. - Eddie nie znosi Lilith, zawsze wyczuwają na odległość. To zderzenie osobowości, nic więcej. Nadmierne analizowanie niczego tu nie da, ponieważ faktem jest, że Graham nie cierpi Josa - dodała radośnie. - Dla mnie znacznie bardziej interesujące jest to, że Josowi tak bardzo to przeszkadza.

- Przeszkadza, bo Graham łapie go zębami i warczy na niego.

- Nie, mam - wyjaśniła cierpliwie Katie. - Josowi przeszkadza to, że Graham go nie lubi.

- Wszyscy chcemy być lubiani. To naturalne.

- To prawda, ale większości ludzi jest zupełnie obojętne, czy jakiś pies ich lubi, czy nie.

Staram się nie sprzeciwiać Katie, bez względu na jej pomysły, ale mam na ten temat inne zdanie. Jos jest niezadowolony, ponieważ uważa Grahama za członka naszej rodziny i chciałby być akceptowany przez wszystkich bez wyjątku. Ja go uwielbiam, dzieci też go lubią, a Lily wpatruje się w niego jak w obrazek i uważa, że wyjątkowo mi się w życiu poszczęściło.

- On jest absolutnie cudowny - stwierdziła parę dni później w klubie Cobden, gdy Jos poszedł po nasze drinki. Załatwiła nam zaproszenia na promocję nowej książki kucharskiej *Nosh Kosh* znanej mistrzyni kuchni Nutelli Prince.

- Jest wprost fantastyczny - powtórzyła Lily. Wokół słychać było ożywiony gwar. - Jest bosko przystojny, szalenie towarzyski, modny i zabawny. - Spojrzałam na Josa, który ruszył w tłum w poszukiwaniu szampana. Lily miała rację. Naprawdę się wyróżniał, nawet wśród tych światowych ludzi. Serce spuchło mi z dumy na myśl, że ten rozkoszny człowiek jest ze mną.

- On jest ci przeznaczony - powiedziała Lily. - Okropnie się cieszymy z Jennifer.

- A gdzie jest Jennifer?

- W domu. Pomyślałam, że ten wieczór będzie dla niej zbyt ekscytujący, a ma za sobą męczący tydzień.

- Czym się tak zmęczyła? Siedzeniem? Jedzeniem *foie gras*?

- No wiesz, Faith - prychnęła z oburzeniem Lily. - Jennifer pomaga mi wyszukiwać nowe pomysły dla pisma. Spójrz, tam jest ten znany lekarz od sztucznego zapłodnienia Godfrey Barnes. To mi coś przypomina. Wiesz, Jennifer chciała mieć szczeniaki, oczywiście dlatego, że ma taki znakomity rodowód, ale niestety, weterynarz stwierdził, że nie jest dość silna.

- To przykre.

- I dlatego zamierzam ją sklonować.

- Co?

- Mamy owieczkę Dolly i krowę Dolly, nie rozumiem więc, dlaczego nie mielibyśmy mieć psa Dolly. Jest specjalna firma w Stanach, która zajmuje się tymi problemami. Zgłosiłam tam Jennifer. Nie sądzisz, że to byłoby cudowne: setki małych Jennifer Aniston?

- Mhm - mruknęłam i entuzjastycznie pokiwałam głową. - Fantastyczne przyjęcie - powiedziałam, żeby zmienić temat. Naprawdę było super. Dwustu członków najmodniejszej londyńskiej socjety napychało się kanapkami ze skorupiakami i zapijało szampanem. Pośrodku sali obracała się rzeźba z lodu w kształcie wielkiego

łososia. Dwie wysokie dekoracje kwiatowe stały na warcie przy drzwiach.

- Uważam, że Jos jest cudowny - powtórzyła z entuzjazmem Lily. - Pilnuj go, Faith, bo zabierze ci go jakaś inna kobieta, a tego byśmy nie chciały, prawda?

- O nie! A jak twoje życie uczuciowe? - spytałam, zanurzając maleńką bezę w metrowym „wulkanie” z czekolady, w którym bulgotał roztopiony karmel.

- Jak zwykle okropne - powiedziała z westchnieniem Lily. - Zerwałam z Frankiem - poinformowała mnie dyskretnie, wycierając z ust słodkie okruchy.

- Z kim? - Na ogół nie nadałam za jej narzeczonymi.

- Z tym dyrygentem. No wiesz.

- Zupełnie nie pamiętam. W jakiej orkiestrze pracował?

- W autobusie numer jedenaście* - parsknęła. - Był niesamowicie przystojny, ale beznadziejny w... No wiesz.

- W myśleniu?

- Nie, w łóżku. Sposób, w jaki krzyczał „Trzymaj mocno!” w krytycznym momencie, zaczął mnie w końcu denerwować.

- A ten piosenkarz rockowy Ricky czy jakoś tak?

- Ricky był kontrowersyjny - wyjaśniła. - Bardzo go lubiłam, ale za moimi plecami umawiał się z dziewczynami ze swojego chórk.

- Może powinnaś spotykać się z kimś bardziej normalnym, na przykład z jakimś lekarzem. Albo [milionerem.dot.com](#). A co się stało z tym handlarzem win?

- Okazał się beznadziejny.

- A facet z BBC?

- Za mało zarabiał.

- A ten sympatyczny makler? Wysoki, w okularach?

- Ach, ten - odparła, przewracając oczami. Chwyliła z tacy przechodzącego kelnera paróweczkę koktajlową i pomachała mi nią przed nosem. - Był taki - stwierdziła pogardliwie.

- O Boże!

- A jaki jest Jos w te klocki? - spytała. Jos właśnie przepychał się przez tłum w naszą stronę.

- W porządku - odparłam z chichotem. - Wręcz doskonały. Miło jest być znów... No, wiesz... aktywną. Z Peterem nie robiliśmy tego od dawna.

* *Conductor* (ang.) - dyrygent, ale także konduktor (przyp. tłum.).

- On to na pewno teraz nadrabia. - Kiedy to powiedziała, poczułam, jakby ktoś dźgnął mnie nożem w samo serce. I pożałowałam, jak to mi się często zdarza, że Lily najpierw mówi, a potem myśli. Niezależnie od tego, że jestem szczęśliwa z Josem, nadal nienawidzę myśli o Peterze w łóżku z Andie. Zaczęłam się zastanawiać, jak mu się teraz wiedzie. W tym momencie spojrzałam na salę i zobaczyłam Ojlivera. Co gorsza, siedł w moją stronę.

- Witaj, Faith - powiedział z bezczelną poufałością, nim zdążyłam uciec.

- Witaj, Oliver - odparłam sucho. - To jest Lily Jago.

Uśmiechnęli się do siebie bez zainteresowania. Spojrzałam na jego dużą nalaną twarz, jak zwykle pokrytą kropelkami potu. Był lepki. Wyglądał, jakby się coś z niego wylewało i wyciekało.

- Przykro mi z powodu twojego rozvodu - powiedział. Milczałam. - Oczywiście było nam też przykro, że Peter odszedł - dodał obłudnie. Akurat, ty wstrętny hipokryto, pomyślałam.

- Peterowi doskonale się wiedzie w Bishopsgate - poinformowałam go.

- Naprawdę? - zdziwił się Oliver.

- Tak, naprawdę. Bardzo mu się tam podoba. I jest doceniany.

- Czyżby?

- Tak.

- Cieszę się - stwierdził oleistym głosem i odpłynął.

- Co za typ - powiedziała Lily.

- Okropny.

- Jest Jos z naszym szampanem.

- Proszę - powiedział, podając nam kieliszki. - Przepraszam, że to tak długo trwało, ale wciąż natykałem się na kogoś znajomego. W gruncie rzeczy... O, tam jest Melvyn Bragg. Czy nie masz nic przeciwko temu, że pójde z nim pogadać, Faith?

- Nie.

- Jesteś pewna?

- Tak. - Uśmiechnęłam się. - Idź. - Jos pocałował mnie w rękę i niebawem pogрузił się w rozmowie z lordem Braggiem. Zauważyłam, że lord śmiał się i wyglądał na oczarowanego. Zauważyłam, że Jos czarował zarówno kobiety, jak i mężczyzn. Tymczasem ja i Lily, obie na lekkim rauszu, ruszyłyśmy w modnie ubrany tłum.

- ...Nie widziałem cię w Cannes.
- ...Jest agentem Alego G.
- ...Przyjaciel Zadie Smith.
- ...Nie, wziął to Faber.
- ...Spójrz, tam, z Grahamem Nortonem.
- ...Nazywamy to pieprzenie.dot.com.

Dla mnie atmosfera była zbyt wyszukana, ale Lily czuła się jak ryba w wodzie. Czasem wydaje mi się, że te wszystkie przyjęcia muszą ją nudzić, jednak wcale tak nie jest. Lily jest Królową Nocy.

- Spójrz, tam stoi ta pisarka Amber Dane - powiedziała z ironicznym uśmiechem. - Jej książki są powszechnie nieczytane. A tam jest Zuleika Jones, aktorka. Niepowodzenie nie robi na niej żadnego wrażenia. Widzisz tego wysokiego faceta? - Skinęłam głową. - Jest genialnym politykiem.

- Naprawdę?

- Tak. Jednym z najlepszych, jakich można kupić. O Boże - skrzywiła się. - Tam jest ta okropna kobieta od mody, jak ona się nazywa, która pisze głupoty, wiesz gdzie. Jak ktoś, kto wygląda jak ekspedientka, może być wyrocznią w kwestii piękna i stylu? - Czasami złośliwe uwagi Lily nudzą mnie i złością, ale dziś, pod lekkim znieczuleniem lauranta perriera, jej żądłace bon moty nawet mnie śmieszyły.

- Ooo, spójrz, czy to nie jest Ta Dziewczyna, Tarara Dipstick? - spytałam na widok długowłosej blondynki w sukni w cętki lamparta.

- Raczej Była Dziewczyna - parsknęła złośliwie Lily. - Ma co najmniej trzydzieści pięć lat. Uważa się za syrenę - dodała pogardliwie. - Ale z syreny ma wyłącznie głos. Widzisz tę dziewczynę, która jest z nią? To Saskia Smith. Dla niej liczą się tylko pieniądze.

Zaczęłam się rozglądać za Josem, ale nigdzie go nie widziałam. Melvyn Bragg rozmawiał już z kimś innym. Lily nadal rzucała swe jadowite komentarze, gdy ja zastanawiałam się, gdzie się podział Jos.

- O Boże! - wykrzyknęła, dając mi kuksańca pod żebra. - Tam stoi ta krowa Citronella Pratt, ten gruby babsztyl z rudymi włosami. Okropna, nie?

Gdzie jest Jos? Chciałam, żeby już wrócił i porozmawiał ze mną. Złośliwe uwagi Lily zaczynały mnie nudzić. Nagle przesta-

łam słyszeć jej głos, jakby ktoś ściszył dźwięk, gdyż w końcu zauważyłam Josa. Stał przy oświetlonym na zielono napisie „Wyjście”. Właśnie miałam ruszyć w tamtą stronę, kiedy zobaczyłam, że zbliża się do niego ktoś znany mi z widzenia. Kto to jest? Ach, tak. Will, przyjaciel Iqbala. Spotkałam go raz czy drugi na naszych przyjęciach bożonarodzeniowych, choć za bardzo mi się nie podobał. Częściowo dlatego, że daje w kość Iqbalowi. Zrada go i łamie mu serce. Iqyy nie chce się z nim rozstać, ponieważ go uwielbia. Will też pracuje w operze, jest chyba asystentem reżysera. Teraz szedł w stronę Josa. Chciałam podejść i zabrać stamtąd Josa, ale byłoby to dość niezręczne, ponieważ najwidoczniej świetnie się znali.

- Citronella zamieszcza swoje potworne felietony w tej niedzielnej szmacie - powiedziała Lily. - Straszne. Ta krowa wiecznie się wyżłóśliwia pod adresem innych kobiet.

- Naprawdę? - mruknęłam roztargniona. Nie słuchałam Lily, tylko obserwowałam coś dziwnego. Nie jestem ekspertem od języka ciała, coś mi się tu jednak nie zgadzało. Spojrzałam na Willa. Jest chudy, ma krótkie, niebiesko-czarne włosy i ponurą minę. Trzeba przyznać, że wygląda dość egzotycznie z dużymi jajowatymi oczami, gęstymi brwiami i dziwnym woskowym połyskiem skóry. Przypomina bardziej kabotyńską wersję kapitana Scarletta, takiej kukiełki z telewizji. Sprawiał wrażenie jakby był zrobiony z czegoś sztucznego i fałszywego, w przeciwieństwie do Iqbala, który jest ciepły i prawdziwy. Bardzo lubię Iqyy'ego. Jest wspaiałym facetem, a na widok Willa dreszcze przechodzą mi po plecach. Jos wyglądał przy nim niezwykle męsko - z ciemnoblond włosami opadającymi na kark, szerokimi ramionami, męskimi rysami twarzy i w przyciągającym wzrok ubraniu: jasnozielonej lnianej koszuli i dżinsach.

- To była niezła zabawa - powiedziała Lily. - Mąż Citronelli rzucił ją dla fryzjera. Jest tak okropna, że zmieniła faceta w geja.

Nie przyszło mi do głowy, że Will i Jos się znają, ale przecież obracają się w tym samym środowisku. Patrząc na nich, można by przypuszczać, że są bliskimi przyjaciółmi. Tak... Bardzo dobrymi. Coś skręciło mi się w żołądku, bo Will stał stanowczo zbyt blisko Josa. Wprawdzie sala była zatłoczona, nie musiał jednak stawać aż tak blisko. Wkraczał w jego przestrzeń osobistą. On... Tak jest, podrywał Josa. To było widać gołym okiem. Podrywał go i to dość nachalnie. Jak śmie - pomyślałam. Jak śmie! I jakie to musi być

dla Josa nieprzyjemne. Żenujące. Twarz paliła mnie ze wstydu, który odczuwałam za Josa. Miałam właśnie podejść i go uratować, gdy nagle stanęłam jak wryta. Dotarło do mnie, że Jos wcale się nie cofa. Jeśli nawet Will przysunął się za blisko, Josowi zupełnie to nie przeszkadzało. W gruncie rzeczy robił wrażenie... Tak, robił wrażenie, jakby mu się to podobało. Stał twarzą w twarz z Willem, a teraz odchylił głowę do tyłu i zaczął się śmiać. On... Nie! Spojrzałam uważniej. Tak. Jos flirtował. Flirtował z mężczyzną. Na ramionach poczułam gęsią skórę. Nie wiedziałam, co robić. Chciałam interweniować. Chciałam podejść do Willa i powiedzieć mu, żeby się odczepił. Nie mogłam jednak tego zrobić, bo czułam się jak intruz, a nawet jak *voyeur*. Will położył obie ręce na ramionach Josa i pocałował go w policzek.

- W ogóle nie słuchasz tego, co mówię, Faith.
- Co? Och, przepraszam.
- Tam jest Jos, chodź, podejźmy do niego.

Przepychając się przez tłum, chciałam zatrzymać się na moment i opowiedzieć Lily, co widziałam, ale ona parła do przodu niby Mojżesz przez Morze Czerwone. Kiedy doszliśmy do Josa, Willa już nie było.

- Kochanie - zawołał Jos i wziął mnie w ramiona, jakby nie widział mnie co najmniej od tygodnia. - Stęskniłem się za tobą. Masz już dość? - spytał z przewrotnym uśmiechem. - Skinęłam w milczeniu głową. - To dobrze, ponieważ uważam, że powinniśmy pójść do domu.

Zostawiliśmy Lily, która wciąż się dobrze bawiła, i ruszyliśmy powoli przez zachodnią część Londynu, w zmierzchu letniego dnia. Jos opuścił dach i mogłam oglądać czerwonożłoty zachód słońca na turkusowym niebie.

- Czerwony zachód słońca wróży dobrą pogodę - powiedział Jos. - Prawda? - dodał ze śmiechem.

- Hm, tak.

Nie miałam ochoty z nim rozmawiać. Byłam zbyt zdenerwowana i chciałam spokojnie zastanowić się nad tym, co widziałam. Postanowiłam nic na ten temat nie mówić, jednak nie wytrzymałam.

- Czy mogę cię o coś zapytać, Jos? - Staliśmy na czerwonym świetle.

- Możesz mnie pytać o wszystko - odparł i wziął mnie za rękę.

- Ten facet, z którym rozmawiałeś - zaczęłam, gdy znów ruszył. - Ten Will.

- Znasz go?

- Znam. Mieszka z jednym z naszych wizażystów, z Iqqym.

- I co?

- Lubisz go?

- Czy go lubię? - powtórzył Jos, skracając w Goldhawk Road.

Był zaskoczony moim pytaniem. - No... Nie, raczej nie.

- To dlaczego, na litość boską, go pocałowałaś? - Serce waliło mi jak młotem i miałam wilgotne dłonie.

- Nie pocałowałam go, Faith. Nie żartuj.

- Owszem, pocałowałaś. Sama widziałam.

- Nie. To on mnie pocałował.

- No dobrze, ale dlaczego mu na to pozwoliłaś? Nie jesteś gejem. Byłam... - Przełknęłam ślinę. - Prawdę mówiąc, byłam zaskokowana.

- Faith, kochanie, to tylko dlatego, że jesteś taka naiwna i byle co cię szokuje - powiedział z pobłażliwym uśmiechem. - Zawsze wszystko traktujesz dosłownie, ale sprawy nigdy nie są takie, jak się wydają.

- Co mam myśleć, kiedy widzę, jak mój facet całuje się z mężczyzną?

- Powinnaś wiedzieć, że w dzisiejszych czasach to zupełnie nonnalne, że heteroseksualny mężczyzna pozwala się pocałować gejowi.

- Aha. Rozumiem - mruknęłam ponuro.

- I tylko w policzek. Naprawdę, Faith - dodał z uśmiechem. - Francuzi całują się cały czas. Uważasz, że wszyscy są gejami?

- Niejasne, że nie. Ale to nie to samo, oni żyją w innej kulturze.

- Och, Faith! - wykrzyknął Jos. Przejeżdżaliśmy właśnie koło czerwonego znaku „Zakaz wjazdu”. - Podejrzywałaś, że jestem gejem?

- No, nie... To znaczy, chyba nie. Po prostu... się zastanawiałam - powiedziałam słabym głosem. Jos zaczął się śmiać, choć nie był to jego normalny, dobroduszny rechot, lecz dziwny, złośliwy, wysoki śmiech, jakiego nigdy u niego nie słyszałam.

- Moja kobieta uważa mnie za geja! - wykrzyknął. Był nie-naturalnie podniecony tym pomysłem. Kilka razy uderzył otwartą dłonią w kierownicę. - No, to dopiero pyszna historia! - Potrząsał

głową i śmiał się, jak nawiedzony. Nagle zaczęłam śmiać się razem z nim. W moim przypadku śmiech wyrażał ulgę.

- Oczywiście, że nie jestem gejem - oznajmił Jos, kiedy przestaliśmy chichotać. Otarł łzy z oczu. - Wcale nie. Naprawdę. Absolutnie. Ale muszę czasem grać taką rolę.

- Jaką rolę? - spytałam ze zdumieniem.

- W moim środowisku wielu facetów jest gejami.

- Zgoda, ale dlaczego musisz z nimi flirtować? Tego nie rozumiem. A ty przecież flirtowałeś z Willem. Widziałam na własne oczy.

- Skarbie, ja flirtuję ze wszystkimi - powiedział, przejeżdżając pod znakiem: „Wszystkie kierunki”. - Lubię flirtować. Nie zauważyłaś? To mi pomaga.

- Pomaga? - powtórzyłam, czując coś w rodzaju wstrętu pomieszanego z pogardą.

- Czasami dzięki temu dostaję pracę - wyjaśnił, skracając w stronę Stamford Brook.

- Myślałam, że dostajesz pracę, bo jesteś bardzo dobry w tym, co robisz.

- Do pewnego stopnia. Ale dobrych projektantów jest wielu. Muszę dbać o mój interes.

- Co musisz?

- Chciałem powiedzieć - zaczął z chichotem, skracając w Chiswick High Road. - Chciałem powiedzieć - powtórzył niepewnie - że muszę być na bieżąco. Wiem, że podobam się Willowi. Flirtuję z nim, żeby go do siebie nie zrażać.

- Dlaczego nie? On nie jest nikim ważnym.

- Owszem, jest. W przyszłym roku wystawia *Żywot rozpustnika* w Met w Nowym Jorku, a ja chciałbym zaprojektować do tego dekoracje i kostiumy. I jeśli mam flirtować z tym facetem, żeby dostać tę pracę, to, prawdę mówiąc, będę to robił.

Poczułam się jeszcze bardziej zagubiona. Sama już nie wiedziałam, co jest gorsze - flirtować z gejem, kiedy jest się hetero, czy flirtować z facetem, którego się nawet nie lubi?

- Flirt jest niezbędny w interesach - powiedział Jos. - Cały czas flirtuję. Trzeba być atrakcyjnym dla innych. I tego się trzymam. Rozumiesz?

- Mhm, chyba tak.

- Jeśli nawiądziesz pozytywny kontakt wzrokowy i właściwie zagrasz językiem ciała, to sprawisz, że druga osoba się dobrze poczuje. W ten sposób masz ją po swojej stronie.

- Ach, tak. Rozumiem. A zatem to wszystko jest jedynie... strategią, tak?

- Tak. W dodatku całkiem nieszkodliwą. Bo faktem jest, Faith, że wprawdzie flirtuję z wieloma osobami, ale umawiam się tylko z tobą.

W milczeniu podjechaliśmy na Elliot Road. Spojrzałam na dom, szyby błyszczały purpurą zachodzącego słońca. Wistaria, która dwa tygodnie temu wyglądała tak ładnie, teraz przywiedła i wyblakła. Postanowiłam, że następnego dnia pozrywam przekwitłe kwiaty. Graham siedział w oknie na straży. Jos też go zauważył i jęknął.

- Nie będę wchodził, dobrze? O dziewiątej mam spotkanie w sprawie *Madame Butterfly* i muszę na nowo rozrysować pewne szkice. Poza tym nie jestem pewien, czy dałbym sobie radę z Grahamem - dodał ponuro.

- Nie przejmuj się - powiedziałam z uśmiechem. - Naprawdę, wszystko doskonale rozumiem.

W gruncie rzeczy odczułam ulgę. Wyjaśnienia Josa uspokoiły mnie, ale nadal miałam pewne wątpliwości. Chciałam sobie w spokoju przetrwać to, co mi powiedział, zabrałam więc Grahama na szybki spacer, a potem zadzwoniłam do Lily na jej komórkę.

- Słucham? - Wracała właśnie do domu taksówką. Powiedziałam jej, co widziałam.

- Na twoim miejscu bym się nie martwiła - stwierdziła od niechcienia. - Przypuszczalnie było dokładnie tak, jak mówił.

- Ale Peter nigdy nie flirtował z facetami.

- Nie, to prawda. Za to flirtował z kobietami. Z dość niefortunnymi konsekwencjami. Posłuchaj, Faith - dodała stanowczo. - Jeśli Jos twierdzi, że nie jest gejem, to nie jest. Dlaczego miałyby cię oszukiwać?

- Może ma gejowską przeszłość? Wiesz, że takie rzeczy się zdarzają. A jeśli by tak było, to nie jestem pewna, jakbym się z tym czuła.

- Hm. No tak, rozumiem, o co ci chodzi. I nie chciałybyśmy, żeby odfrunął z jakimś facetem, jak mąż Citronelli Pratt.

- Jego wyjaśnienia niezupełnie mnie zadowolają, ponieważ gdy rozmawialiśmy na ten temat w samochodzie, powiedział coś dziwnego. Oświadczył, że flirtuje z mężczyznami, bo musi dbać o swój interes.

- Och, co za nieudolny dobór słów.

- Prawda? A później dość szybko się poprawił i wtedy pomyślałam, że to mogła być freudowska pomyłka. I tak energicznie protestował, że nie jest gejem. Aż do przesady. Wiesz, jak to jest, gdy ktoś za głośno protestuje. Może jest gejem i postanowił przez jakiś czas spotykać się z kobietami?

- Czy wspominał kiedykolwiek o jakichś byłych kobietach?

- Nie. A ja nigdy nie pytałam.

- Jest blisko związany z matką?

- Szalenie.

- To jeszcze nie znaczy, że jest gejem. Wycina przepisy kulinarne z gazet?

- Nie.

- Zna dużo musicali?

- Tak.

- Ale czy zna słowa wszystkich piosenek?

- Nie.

- Czy ma dużo kwiatów w domu?

- Tak. Och Lily, jestem taka skołowana. Sama nie wiem, co myśleć.

- Biedna Faith - użaliła się nieszczerze Lily. - Trzy miesiące temu miałaś obsesję na punkcie zdrady Petera, a teraz się martwisz, czy twój nowy facet nie jest przypadkiem gejem. Moglibyśmy napisać coś na ten temat w „Moi!” - stwierdziła, chichocząc. - „Czy twój facet jest gejem - dziesięć najważniejszych symptomów”.

- Bądź poważna, Lily. Ja mam zmartwienie.

- Dobrze. Przepraszam. Nie ma nikogo, kogo mogłabyś zapytać?

- Ewentualnie Sophie w pracy.

- Porozmawiaj z nią - poradziła Lily. - Niech powie, co wie. Zgadzam się z tobą, że musisz drać tę sprawę do samego dna. O przepraszam, freudowska pomyłka.

Następnego dnia napisałam swój tekst w rekordowym tempie i już po szóstej pobiegłam do charakteryzatorni. Na ogół wtedy przychodziła też Sophie. W AM-UK! jak zwykle panował chaos.

- ...Gdzie jest tekst Terry'ego?

- ...Psychiczna babcia chce wiedzieć, o której wchodzi na wizję.

- ...Czy Sophie poszła się malować?

- ...Jak jest psychiczna, to powinna wiedzieć.
- ...Kto ma rozkład wyścigów jeży?
- ...O nie! Śpiewająca papuga rzyga.

Otworzyłam drzwi do charakteryzatorni. Ani śladu Sophie, a Iqbal wyglądał dość ponuro.

- Wcześniej dziś przyszłaś - powiedziała, kiedy usiadłam.
- Tak, udało mi się szybko napisać tekst. Co u ciebie, Iqy?
- Lepiej nie pytaj - jęknął. - Marian jest chora, to znaczy mam na głowie podwójną robotę, a prawdę mówiąc, też się niespecjalnie czuję.

- Przykro mi. - Iqbal założył mi plastikową pelerynkę. - Boli cię głowa? - spytałam obłudnie.

- To nie jest fizyczne... - zaczął, odgarniając mi grzywkę z twarzy. - Zdecydowanie wolałbym ból fizyczny. Z tym bym sobie poradził. To sprawa... emocjonalna - wyjaśnił z westchnieniem.

- Ojej. Nie chciałabym się wtrącać, ale może mogłabym ci w czymś pomóc?

Ze znużeniem potrząsnął głową.

- Dzięki, ale nikt nie może mi pomóc. Obawiam się, że to typowy problem. - Spojrzałam na jego twarz w lustrze, gdy nakładał mi podkład. Był nieogolony i miał worki pod oczami.

- To Will - mruknął ponuro. - Wczoraj wieczorem okropnie się pokłóciliśmy. On mnie wykańcza - mówił, rozprowadzając mi podkład po brodzie. - To znaczy, wiem, że nie jest mi wierny. Zawsze wiedziałem. Ale nie znoszę sposobu, w jaki mnie poniża. Lubi, kiedy jestem nieszczęśliwy.

- Och, Iqy, nie zasługujesz na to.

- Nie, na pewno nie. Cześć, Sophie - powiedziała, gdy drzwi się otworzyły. - Zaraz do ciebie przyjdę. - Sophie cicho zamknęła za sobą drzwi i uśmiechnęła się do mnie.

- Niech to diabli! - wykrzyknął nagle Iqy, szukając czegoś wśród kosmetyków na ladzie. - Nie ma pudru! Tylko tego brakowało. Jest trochę na dole - zawołał przez ramię, lejąc do drzwi. - Poczekajcie sekundę.

Sophie usiadła i znów uśmiechnęłyśmy się do siebie. Zajrzała do swojego tekstu. Miałam doskonałą okazję, żeby spytać ją o Josa, ale słowa nie bardzo chciały mnie słuchać.

- Sophie - zaczęłam nerwowo. - Czy mogę cię o coś zapytać? - Skinęła głową. - Pamiętasz, powiedziałaś, że znasz mojego... No, mojego przyjaciela Josa.

- Tak - odparła po krótkim namyśle. - A raczej znam jedną czy dwie osoby, które go znają. Dlaczego pytasz?

- Ponieważ, no, wiesz, to zabrmi zupełnie idiotycznie - powiedziałam nieswoim głosem. Zaschło mi w ustach i miałam przyspieszone tętno. - Ale ktoś, kogo znam, to znaczy jedna moja znajoma zasugerowała, oczywiście zupełnie bez sensu, że, no, Jos może jest albo kiedyś był, na pewnym etapie swojego życia, że był gejem.

Sophie dziwnie mi się przyglądała, a jej twarz nagle poczerwieniała. O Boże, Boże, to była prawda. Był gejem. To mi chciała powiedzieć wtedy, w ubikacji.

- Gejem? - powtórzyła.

- Tak. Czy wiesz albo może słyszałaś, no, wiesz, coś w tym stylu?

- Nie! - wykrzyknęła Sophie. - Gejem? - powtórzyła znów ze zdumieniem i roześmiała się głucho. - Wielki Boże, to coś zupełnie nowego.

- O, czyli to nie jest prawda - powiedziałam. Teraz ja roześmiałam się z ulgą. - Nawet przez chwilę w to nie wierzyłam - wyjąkałam - ale sama wiesz, jak to jest. Tyle się słyszy głupich plotek. Na pewno są tacy, co podejrzewają, że ja jestem lesbijką — dodałam wesoło.

- O nie - powiedziała stanowczo Sophie. - Nigdy w życiu nie przyszłoby mi to do głowy. I nie sądzę, żeby Jos Cartwright był gejem.

- To dobrze. Fantastycznie. Naprawdę, co za bzdurny pomysł. - Zaśmiałam się głośno. Zapanowała chwila ciszy. Słyszałam bicie własnego serca. - A zatem nie ma gejowskiej przeszłości, co?

- Nie - odparła, potrząsając głową. - Nigdy niczego takiego nie słyszałam.

- Od jak dawna twoi znajomi go znają?

- Och, jakieś pięć lat. - No, tak, teraz wiedziałam. Pytanie o to było okropne, ale przynajmniej uzyskałam taką odpowiedź, na jaką liczyłam. Jos nie był gejem. Dzięki Bogu. Nie był. Oczywiście, że nie. Przepętniona ulgą uśmiechnęłam się do Sophie, lecz nie odwzajemniła uśmiechu.

- Jesteśmy przyjaciółkami, prawda, Faith? - spytała poważnie, patrząc na mnie w lustrze.

- Oczywiście.

- W takim razie nie będziesz miała nic przeciwko temu, że udzielię ci pewnej rady. Na temat Josa. - Moje ożywienie gdzieś

się ulotniło. - Mam nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Jestem pewna, że uważasz go za czarującego człowieka, tak jak większość ludzi. I choć nie chciałabym się wtrącać, to jednak chciałabym ci poradzić, żebyś była... ostrożna.

- Ostrożna? - powtórzyłam i spojrzałam na nią. Ostrożna? O co jej chodzi? Trochę złościło mnie, że krążyła opłotkami i nie mówiła wprost tego, co chciała powiedzieć. Zbierałam się w sobie, żeby ją spytać, kiedy drzwi się otworzyły i wbiegł Iqyy.

- W porządku, Sophie - zawołał bez tchu, odstawiając puder. - Siadaj na gorącym miejscu. - Teraz już nie mogłam jej spytać, co miała na myśli. Odpowiedni moment minął i to mnie rozżłościło. A z drugiej strony, byłam zadowolona, tak, przyznaję, byłam zadowolona, bo naprawdę wcale nie chciałam wiedzieć. Mimo to przez cały ranek zastanawiałam się nad różnymi możliwościami.

- Nie mam pojęcia, o co chodziło Sophie - powiedziałam Lily, kiedy zadzwoniłam do niej po południu.

- Dzięki temu Jos jest jeszcze bardziej tajemniczy - odparła. - Może bierze narkotyki - spekulowała. - Wiesz, takie, co się wciąga nosem. Nie cieknie mu z nosa?

- Nie.

- Może ma problem alkoholowy?

- Chyba bym zauważyła.

- Albo kryminalną przeszłość? Lub podejrzane koneksje? Czy często mówi o „współpracownikach”?

- Nie.

- Może ma perwersyjne upodobania seksualne? Widziałaś jakieś łańcuchy lub bicze?

- Nie.

- A sukienki?

- Też nie. - Roześmiałam się.

- Nie jest żonaty?

- Nie.

- Żona wariatka na poddaszu?

- Nie słyszałam żadnych krzyków.

- No to nie masz powodów do zmartwienia. Na twoim miejscu bym się nie przejmowała - dodała wspaniałomyślnie. - Na razie jedyną podejrzaną rzeczą, jaką zrobił, w twoim mniemaniu, jest flirt z mężczyzną. Skoro jednak wiemy, że na pewno nie jest gejem, nie zwracaj sobie tym głowy. Świat opery jest bardzo intymny i czułościowy. Musisz to wziąć pod uwagę. Podejrzewam,

że Jos jest towarzyskim kameleonem. Przystosowuje się do otoczenia. To nic złego.

- Ale dlaczego Sophie mnie przed nim ostrzegęła? Nie rozumiem.

- Może sama ma na niego oko.

- Jestem pewna, że nie. Nie tylko mam wrażenie, że go nie lubi, lecz także wiem, że ma faceta, który nazywa się Alex.

- Może Jos jest kanibalem albo głосуje na Torysów - zastanawiała się Lily.

- Albo jest kimś z innej cywilizacji. Och, Lily, masz rację. Zachowuję się neurotycznie, a on jest w gruncie rzeczy doskonały.

- To prawda - przyznała. - Nie szukaj ukrytych wad. Już to mówiłam i jeszcze raz powtórzę. Jos jest atrakcyjny, utalentowany, seksowny i zabawny. Ponadto jest troskliwy, wypłaczalny i miły dla twoich dzieciaków.

Lily ma rację. Jos jest dla nich cudowny. To mnie wzrusza. Stara się jak może. Na przykład w sobotę Katie skończyła piętnaście lat i Jos przyjechał z olbrzymim tortem. I dał jej najnowszą książkę Anthony'ego Clare'a z dedykacją autora. Kiedy ją przeczytała - „Dla Katie, od jednego psychiatry dla drugiego” - myślałam, że oczy wydają się na wierzch.

- Dzięki, Jos - powiedziała. - To fantastyczne.

- Nie ma za co. Dostałaś dużo kartek z życzeniami?

Nagle usłyszeliśmy stuk pokrywki od skrzynki na listy i Graham, szczekając, poleciał pod drzwi. Na słomiance leżało pięć urodzinowych kartek dla Katie, kilka listów do Marta i jedna brązowa koperta zaadresowana do mnie. Spojrzałam na nią, wstrząsnęłam się i położyłam ją na górze grzejnika, razem z innymi, nieotwartymi brązowymi kopertami. Dam je Peterowi przy następnej wizycie. W tym momencie zadzwonił telefon - mama. Dzwoniła ze swojej komórki z Budapesztu. Katie porozmawiała z nią chwilę i zawołała Marta.

- Babcia chce z tobą rozmawiać, jak zwykle. Ale musisz krzyknąć, bo strasznie słabo słyhać. - Znów pomyślałam, jak to miło, że moja mama ma taki dobry kontakt z Mattem. W gruncie rzeczy ostatnio rozmawia z nim częściej niż ktokolwiek z nas. Gadają całymi godzinami. Kiedy siedzieliśmy z Josem i Katie na słońcu w ogrodzie, dolatywały nas strzępki ich konwersacji: - Boliwia... Rząd... Amazonka... - Oczywiście interesował się Ameryką Ła-

cińską. - Niedźwiedzie... Drapieżnik... Kłusownictwo... - Matt mówił trochę zdenerwowanym tonem. Najwyraźniej rozmawiali o ochronie niedźwiedzi na Węgrzech. Jestem naprawdę szczęśliwa, że Matt wreszcie wyłazi ze swojej skorupy. Oddał wszystkie gry komputerowe, bo sam się zorientował, że już z nich wyrósł i był gotów na kontakty z dorosłym światem.

- Nowa technologia... Nie - usłyszałam. Może zostanie dziennikarzem, pomyślałam z zadowoleniem. Tak bardzo interesuje się wydarzeniami na świecie.

W końcu dołączył do nas i zjedliśmy - w ciepłym letnim słońcu - urodzinowy tort i wypiliśmy kawę. Katie i Jos rozmawiali o Wagnerze. Graham siedział przy grządce z kwiatami, polując na pszczoły.

- Graham! Tylko nie przychodź do mnie, jeśli cię któraś uza-dli.

- Przynajmniej przestanie to robić - stwierdziła Katie. - To będzie rodzaj terapii awersyjnej. Nauczy się kojarzyć pszczołę z żądłem i przestanie.

- Jesteś pewna, że umie tak racjonalnie wnioskować? - spytał Jos.

W trakcie tej rozmowy Matt wyciągnął swój nowiutki laptop i zaczął coś na nim z przejęciem pisać.

- Szkoda że nie możemy zastosować terapii awersyjnej do ciebie, Matt - powiedziałam żartobliwie. - Żeby cię odzwyczaić od komputera. Czy nie mógłbyś go na chwilę odstawić, kiedy są urodziny twojej siostry?

- Dobrze. - Kiedy niechętnie zamykał komputer, nagle zdałam sobie sprawę, że nigdy go do tej pory nie widziałam.

- Czy to jest nowy laptop, synku? - spytałam. Skinął głową.

- Skąd go masz?

- Znikąd.

- Jak to, znikąd?

- Naprawdę, mam, znikąd - powiedział i zaczerwienił się.

- Proszę mi powiedzieć, skąd masz ten komputer, Matt - powiedziałam, oceniając dłonią oczy.

- No... Eee... Nie pamiętam.

- Posłuchaj, Matt, przypadkowo wiem, że laptopy są bardzo drogie, a twoje kieszonkowe wynosi zaledwie dziesięć funtów tygodniowo. Dlatego chciałabym, żebyś mi powiedział, skąd masz ten komputer.

Matt jękał się i kręcił nerwowo, prawie zrobiło mi się go żal. Ale z drugiej strony byłam rozczarowana, bo zawsze uczę moje dzieci, żeby nie kłamały.

- Matt - zaczęłam cicho i spokojnie, bo nie chciałam go zawstyżać przed Josem. - Powiedz mi, skąd masz takie drogie urządzenie. Tata ci go nie kupił, prawda? - Matt potrząsnął głową i znów się zaczerwienił. I wtedy zrozumiałam. To był prezent od Andie. Strasznie jestem niedomyślna. A ona - wyjątkowo bezczelna. Znowu zaczęła przekupywać dzieci, żeby je tylko przeciągnąć na swoją stronę. Matt nie chciał się przyznać, bo wiedział, że sprawi mi przykrość.

- To od Andie, prawda? - Milczał. Ale ja nie zamierzałam rezygnować. - Czy to prezent od Andie? - Matt potrząsnął głową. - To powiedz mi od kogo?

- Nie mogę.

- Dlaczego?

- Ponieważ to jest osobista sprawa - wyjaśnił. - Przepraszam, mam - powiedział, bawiąc się mankietami od koszuli - ale naprawdę nie mogę.

- Jestem twoją matką i nie życzę sobie, żebyś miał przede inną takie sekrety. - Spojrzał na mnie, a potem spuścił wzrok. Końce uszu miał jaskrawoczerwone. Porządnie się już na niego rozłościłam, ale nagle przyszła mi do głowy straszna myśl.

- Mam nadzieję, że dostałeś ten komputer w sposób uczciwy.

- Co to znaczy?

- Ma nadzieję, że... Nie, ty byś nie zrobił czegoś takiego, prawda? Nigdy byś niczego nie ukradł.

- Oczywiście, że nie! - wykrzyknął zaszokowany. - Proszę, nie pytaj mnie, mam.

- Matt, masz dopiero dwanaście lat i odmawiasz mi odpowiedzi na pytanie, skąd wzięłeś bardzo drogi nowy komputer. Ale ja naprawdę chcę wiedzieć. Wydaje mi się, że dostałeś go od Andie i jeśli to prawda, musisz go jej zwrócić, ponieważ nie zgadzam się aby cię w ten sposób przekupywała.

- Wcale nie od niej, naprawdę, mam. Uwierz mi.

- No to od kogo?

- Nie mogę powiedzieć, mam - zajęczał Matt. - Naprawdę nie mogę. - O Boże, był bliski łez.

- Jeśli to nie jest prezent od Andie ani od taty, ani ode mnie, to od kogo? - spytałam cierpliwie. Matt milczał. - Matt, za chwilę bardzo się zdenerwuję. Powiedz mi, proszę.

Zapadło złowieszcze milczenie.

A potem odezwał się Jos:

- Ode mnie.

Spojrzałam na Matta. Był tak samo zdumiony, jak ja.

- Postanowiłem unowocześnić swój system komputerowy - wyjaśnił Jos - i zdałem sobie sprawę, że mój laptop nie jest... mi już potrzebny. I dlatego oddałem go Mattowi.

- O - powiedziała zaskoczona. - Ale to jest bardzo droga rzecz.

- Używane komputery nie są już... specjalnie wartościowe - powiedział, wzruszając ramionami. - Pomyślałem, że może... mu się przyda.

- Czy to prawda, Matt?

Spojrzał na mnie tępo i nic nie powiedział. Widocznie Jos mówił prawdę.

- Nie rozumiem, dlaczego nic mi nie powiedziałeś, Jos?

- Podejrzewałem, że ci się to nie spodoba. Nie chcesz, żeby dzieci dostawały drogie prezenty od Andie, więc myślałem, że to samo dotyczy mnie. Nie chciałem, abyś uważała, że staram się przekupić. Umówiliśmy się z Mattem, że nic ci nie powiemy. Przykro mi, że to spowodowało także to nieporozumienie - dodał. - Tego wolałbym uniknąć.

- Winna ci jestem przeprosiny, Matt - powiedziała, przełykając ślinę. - Przepraszam, że ci nie uwierzyłam. Masz prawdziwe szczęście, że dostałeś taki świetny komputer, prawda? - Matt w milczeniu skinął głową. - Dziękuję ci, Jos. To bardzo ładnie z twojej strony, że o nim pomyślałeś.

Nie powinnam była nigdy w niego wątpić - pomyślałam. Był naprawdę cudownie hojnym i dobrym człowiekiem. Wzięłam go za rękę i uściśnęłam z wdzięcznością, a łzy napłynęły mi do oczu.

Lipiec

Wyżę i niżej. Na tym to polega. Mam na myśli pogodę. W tej

W chwili mamy wyż. Temperatura rośnie i niebo jest niebieskie, bez jednej chmurki. W nocy niebo jest fioletowe. Barometr

zatrzymał się na „pogodzie”. Mała kobietka wyszła z mojego pogodowego domku, a wodorosty na biurku są suche. Krótko mówiąc, jest gorąco. Wszystkie znaki, techniczne i naturalne, wskazują na ten jeden prosty fakt. Jest gorąco. Bardzo gorąco. I codziennie coraz goręcej.

- Fiu - powiedział Jos. Stał w wannie, w szortach i bawełnianej koszulce, i robił ołówkiem znaki na ścianach. Przerwał na chwilę i otarł ręką czoło. - Ciepło, co?

- Mmmm-odparłam rozmarzona.

Prawe ramię Josa poruszało się jak metronom tam i z powrotem, gdy szkicował skrzycone liście palmy. Kilкома szybkimi ruchami zarysował brzeg morza i muszle na pierwszym planie.

- Gdzie to jest?

- Tajemnicze miejsce - powiedział, stukając palcem w nos.

- Powiedz, nie daj się prosić.

- To jest Parrot Cay na Turkos i Caicos. Moje najbardziej ulubione miejsce na całym świecie. Gdy skończę ten fresk, zabiorę cię tam.

- Kiedy to będzie? - spytałam z uśmiechem.

- Przypuszczam, że w okolicach Bożego Narodzenia. O Boże, ale upał - westchnął, szkicując samotnego ptaka na niebie. - To się chyba nazywa ciepły front.

- Nie, to jest antycyklon.

- Co?

- Obszar wysokiego ciśnienia. Antycyklony dają spokojną suchą pogodę, w przeciwieństwie do depresji, które przynoszą wiatr i deszcz. Antycyklony są stałe - wyjaśniłam. - Mogą siedzieć w jednym miejscu bardzo długo.

- To znaczy, że ta pogoda utrzyma się jeszcze przez jakiś czas?

- Tak. W gruncie rzeczy zanoszą się na poważną falę upałów. Prognozy pogody stają się nudne. Dzień dobry, mówię. Zapowiada się kolejny gorący i słoneczny dzień, a więc włożcie czapki dzieciom, trzymajcie psy w cieniu i posmarujcie się kremem numer 15. Ładna pogoda jest nieciekawa - dodałam - ponieważ niewiele można o niej powiedzieć.

- Mnie nie przeszkadza - stwierdził Jos, wychodząc z wanny. - Im goręcej, tym lepiej. Spójrz na to niebo! - wykrzyknął, wyglądając przez okno. - Wygląda jak obraz Hockneya albo Yvesa Kleina. Pojedźmy nad morze - zaproponował, przypatrując się swojej pracy. - Moglibyśmy zabrać dzieciaki.

- I Grahama.

- Dobrze - zgodził się z westchnieniem, wycierając kark. - Pod warunkiem, że będzie dla mnie miły.

- Słyszysz, piesku? - spytałam Grahama, który leżał nieruchomo przy drzwiach. - Jeżeli będziesz miły dla Josa i obiecasz, że go nie ugryziesz, zabierze cię na cały dzień nad morze.

Graham uniósł cynicznie brew, po czym zamknął oczy z niezadowolonym westchnieniem.

- Pojedziemy w przyszły weekend, dobrze? - zasugerował Jos. - Moglibyśmy pojechać do Hastings albo do Rye.

- Piętnastego? To zakończenie roku szkolnego. Muszę pojechać do Kent.

- Chcesz, żebym pojechał z tobą? Dla moralnego wsparcia?

- Ja... No... - Byłam trochę zaskoczona. - To bardzo miło z twojej strony - stwierdziłam ostrożnie - ale najpierw musiałabym porozmawiać o tym z Peterem.

Zadzwoiłam do niego tego samego wieczoru. Wykręcając numer, zdałam sobie sprawę, że jeszcze ani razu nie dzwoniłam do Petera do jego nowego mieszkania. Teraz, słysząc kolejne sygnały, usiłowałam wyobrazić sobie, jak tam jest. Dzieci taktownie niczego mi nie opowiadały, a ja nie chciałam pytać. Ciekawa byłam, czy zachował spartańskie wnętrza, czy je raczej gustownie urządził. I czy w kuchni miał wszystkie nowoczesne udogodnienia. I jakich miał sąsiadów?

- Hallo? - Usłyszałam nagle powolny głos Andie, z amerykańskim akcentem i poczułam gwałtowny ból. - Hallo? - powtórzyła. - Kto dzwoni? - Twarz zaczęła mnie palić.

- Mówi żona Petera - oznajmiłam ostro. - Czy mogę mówić z moim mężem? - I od razu wściekłam się na siebie, że niechcący spytałam ją o pozwolenie.

- Skaarbiee - usłyszałam, jak woła zachrypniętym głosem. - Do ciebieeee.

Serce waliło mi tak mocno, że bałam się, że Peter to usłyszy. Świadomość, iż jest związany z Andie, to było jedno, jej głos w słuchawce - coś zupełnie innego. Naprawdę zachowałam się jak głupia, dzwoniąc do niego do domu, kiedy istniała realna szansa, że ona tam będzie.

- Faith! - wykrzyknął ciepło Peter. Jego przyjacielski ton mnie zaskoczył. - Jak się miewasz?

- Dobrze.

- Jesteś zła?
- Nie, wcale nie.
- Dzwonisz, żeby pogadać?
- Nie - odparłam krótko. - Dzwonię, żeby spytać, czy się wybierasz na zakończenie roku. Piętnastego.
- Naturalnie, że się wybieram. Dlaczego pytasz?
- Ponieważ musimy to ustalić. A poza tym - dodałam ostrożnie - zastanawiałam się, czy nie pojechać z... Josem.
- Z Josem? - powtórzył. - Twoim kochankiem?
- Z moim partnerem - sprostowałam oziębło.
- Z twoim partnerem? Ach, jak nowocześnie. Chcesz go ze sobą zabrać? Hm, nie jestem pewien, czy mi się to podoba. Nie uśmiecha mi się być przez cały dzień piątym kołem u wozu. Już wiem! - wykrzyknął z zadowoleniem, jakby przyszedł mu nagle do głowy genialny pomysł. - Weź Josa, a ja wezmę Andie. Co ty na to? Stworzymy cywilizowany kwartet - powiedział z entuzjazmem. - Będzie fajnie, co?

- Wiesz co, właśnie zmieniałam zamiar - stwierdziłam. Jestem szczęśliwa z Josem, ale to nie znaczy, że muszę znosić jej towarzystwo.

- No cóż - westchnął teatralnie. - Będziemy więc musieli pojechać we dwójkę i zaprezentować wspólny front. Możesz pojechać pociągiem i spotkać się ze mną na miejscu. Albo zabiorę cię samochodem. Jak wolisz.

I tak w sobotę rano wybrałam się do mieszkania Petera w Pensonby Place. Dom był biały, przy pozbawionej drzew ulicy. Wyglądał „elegancko” i dość sterylnie po ciepłej przytulności Elliot Road. Nacisnęłam na dzwonek, usłyszałam szybkie kroki, drzwi otworzyły się i stanął w nich Peter. Obawiałam się, że za jego plecami stanie z miną właścicielki Andie, ale, dzięki Bogu, nie było jej widać. W pierwszej niezręcznej chwili nie bardzo wiedzieliśmy, jak się zachować. Co mówi w tych sprawach protokół, gdy jest się w trakcie rozwodu? Pocałunek w policzek? Uścisk dłoni? Dyplomatyczny uśmiech? Wybraliśmy pocałunki w powietrzu, co wypadło sztucznie i nieszczerze. Jakbyśmy byli aktorami w sztuce, nie najlepiej jeszcze przygotowanej, i nagle zapomnieliśmy naszych ról. Peter miał na sobie jasny lniany garnitur, którego nigdy jeszcze nie widziałam, i kolejny drogi jedwabny krawat. Odkąd się rozstaliśmy, jego sposób ubierania zdecydowanie się zmienił.

- Elegancko wyglądasz - zauważył, obrzucając wzrokiem moją lnianą sukienkę od Miu Miu. - Nigdy czegoś takiego nie nosiłaś.

- Dzięki - powiedziałam niepewnie, nie wiedząc, czy miał to być komplement. Znowu uśmiechnęliśmy się do siebie nieśmiało.

- Wejdiesz?

- Słucham?

- Nie chcesz zobaczyć, jak mieszkam? - Och.

- Chętnie. Czemu nie? - I natychmiast pożałowałam, bo wiedziałam, że znajdę tam jej ślady. To będzie wprost okropne, otworzyć drzwi do łazienki i zobaczyć na półce rząd kosmetyków czy dostrzec w sypialni jej seksowną nocną bieliznę.

- Eee... Właściwie może innym razem - wyjąkałam.

- Och. - Wyglądał na lekko rozczarowanego. - Jak chcesz. W porządku. - Klasnął w dłonie ze sztucznym ożywieniem. - Wobec tego jedźmy. To ten niebieski rover zaparkowany przy chodniku.

- Czy to służbowy samochód? - spytałam, gdy pilotem otworzył drzwi.

- Tak, mogłem wziąć merca albo bmw, czułem jednak, że powinienem wykazać się patriotyzmem.

Było dopiero w pół do jedenastej, ale słońce już mocno przegrzewało, a niebo miało intensywny błękitny kolor. Kiedy przejechaliśmy przez rzekę, zobaczyłam obłok smogu owijający miasto jak całun.

- Fajnie jest, co, Faith? - powiedział Peter, gdy jechaliśmy z otwartymi oknami. - I chciałbym podkreślić, że absolutnie nie mam zamiaru prosić cię, żebyś się dołożyła do benzyny.

- Dziękuję - odparłam sucho.

- Ja funduję. Jedziesz za darmo. Żadnych kosztów.

- To miło z twojej strony - powiedziałam, opuszczając daszek chroniący przed słońcem.

- Fajnie jest! - powtórzył.

Spojrzałam na niego spod oka. Zdałam sobie sprawę, że po raz pierwszy, odkąd się wyprowadził, jestem z nim sam na sam. Był w beztroskim nastroju, czym trochę mnie denerwował. Wydawał się szczęśliwy. W nienaturalny sposób. Na pewno dlatego - pomyślałam podejrzliwie - że tak mu się świetnie układa z Andie.

- Ale fajnie! - wykrzyknął jeszcze raz, stukając palcami o kierownicę. - Zupełnie jak za dawnych czasów, co?

- Nie całkiem - stwierdziłam znużonym tonem, wkładając słoneczne okulary. - Dawne czasy się skończyły.

- To prawda - przyznał z westchnieniem. - Tak, chyba tak. A jak idzie rozwód? - spytał uprzejmie, skręcając w kierunku Blackheath. - Czy domagasz się domu, czy też ja walczę o opiekę nad dziećmi? Kto weźmie kolekcję płyt i czy będziemy się kłócić o Grahama?

- Nie wiem, co się aktualnie dzieje - powiedziałam, nie reagując na jego żarty. - Rory Cheetham-Stabb nie odzywał się do mnie od paru tygodni.

- Ja swoje zrobiłem - poinformował, gdy jechaliśmy przez Catford. - Odesłałem formularz, więc jakiegokolwiek opóźnienia nie są moją winą.

- Bardzo jesteś z siebie zadowolony - prychnęłam.

- To wisielczy humor. Jestem zrezygnowany. W końcu jeśli chcesz się rozwieść, to nie mogę cię powstrzymać, ale, jak wiesz, to nie był mój pomysł.

- To nie był mój pomysł, żebyś mnie zostawił dla twojego łowcy głów - odparłam, gdy objeżdżaliśmy rondo.

- Wcale cię nie zostawiłem, to niesprawiedliwe, co mówisz. Cholera! Gdzie jest ten znak?

- Ale się z nią zadałeś.

- To prawda - przyznał, objeżdżając rondo po raz drugi. - Ale dopiero wtedy, jak mnie wyrzuciłaś.

- Tak, ale bym cię nie wyrzuciła, jak to nieelegancko określiłeś, gdybyś nie miał romansu.

- Dla ciebie wszystko jest słuszne, logiczne i proste, prawda, Faith? - powiedział Peter, jeszcze raz okrążając rondo. - Jeden dodać jeden równa się dwa.

- Wiem, że jeden dodać jeden dodać jeden równa się trzy - odpaliłam. - A w małżeństwie to jest o pięćdziesiąt procent za dużo.

- Twoja matematyka zwała mnie z nóg. To ty powinnaś dziś dostać nagrodę z matematyki, a nie Matt. W każdym razie - dodał spokojnie - znalazłaś sobie kogoś z godną podziwu szybkością. - Nie odezwałam się. Tak było. - Dzieci mówiły, że ten twój nowy facet, jak mu tam, pan Glyndebourne, emanuje wdziękiem na skalę przemysłową- powiedział, jadąc za znakami na Sidcup.

- Mają rację. Jos jest czarujący. Poza tym jest także szczodry, uprzejmy i uważający. Czy wiesz, że oddał Mattowi swój stary

laptop? Czyż to nie słodkie? A dziś zgłosił się na ochotnika, żeby posiedzieć z psem.

- To faktycznie miło z jego strony - przyznał Peter.

- Bardzo, zwłaszcza że nawet nie lubi Grahama.

Zapadła chwila ciszy.

- Co to znaczy „nie lubi Grahama”? - spytał cicho, zmieniając biegi.

- Posłuchaj, Peterze, to, że my mamy fioła na punkcie naszego psa, nie znaczy jeszcze, że każdy musi go lubić.

- Graham nie jest jakimś psem. On jest bardzo wyjątkowym psem.

- Wiem, ale Jos tak nie myśli. I to nie jest wcale dziwne, bo Graham też go raczej nie lubi.

- Naprawdę? To bardzo ciekawe. Dlaczego, jeśli wolno spytać?

- Nie mam pojęcia. Chwilowo jest trochę... trudny. Katie uważa, że to z powodu rozwodu.

- Albo dlatego, że wie o czymś, o czym ty nie wiesz - zasugerował Peter, gdy zatrzymaliśmy się na czerwonym świetle. - Zawsze twierdziłem, że ten pies jest geniuszem. Od pierwszego dnia, kiedy przyszedł za tobą do domu. A więc Graham nie lubi twojego faceta - powiedział i roześmiał się. - Ojoj! A jak to okazuje?

- To jest strasznie żenujące - zaczęłam sztywno, gdy Peter zjechał na autostradę. - Gdy Jos próbuje... no, wiesz...

- Co?

- Na przykład mnie pocałować, żeby się nie wdawać w szczegóły, to Graham usiłuje go ugryźć.

- To mnie nie dziwi. Przypuszczalnie zrobiłbym to samo.

- I prowadzi przeciwko Josowi kampanię psychologiczną. Ostentacyjnie okazuje mu swoją niechęć i często bywa wobec niego zimny i zamknięty w sobie. Jednak dzisiaj Jos wspaniałomyślnie odłożył na bok swoją urazę, żeby mi pomóc.

- To bardzo ładnie z jego strony.

- Owszem.

- Albo usiłuje pokazać, jakim jest wspaniałym facetem.

- Nie musisz być taki cyniczny. Może właśnie jest wspaniałym facetem.

- A ty nie musisz być taka drażliwa na jego punkcie - powiedział Peter, gdy wjechaliśmy na autostradę. - Mówię tylko, że

pozostawanie z własnej i nieprzymuszonej woli, przez dłuższy czas, z psem, który może ci nawet zrobić krzywdę, wykracza poza zwykłą grzeczność. I dlatego zastanawiam się, co usiłuje w ten sposób udowodnić.

- Nic - powiedziałam ze złością. - Nie musi niczego udowodniać, bo wie, że uważam go za wspaniałego mężczyznę.

- Naprawdę? - spytał Peter znudzonym głosem. - Facet ma szczęście.

- Posłuchaj, Peterze, nie mam nastroju do kłótni, a poza tym jest zbyt gorąco. Czy możemy się umówić, że zostawiamy naszych partnerów w spokoju? Obiecuję, że nic nie powiem o niej, jeśli nie będziesz krytykować Josa.

- Zgoda, umowa stoi. *Pax*?

- *Pax*. - Miałam właśnie przejść na bezpieczniejszy temat nowej pracy Petera, gdy włączył kierunkowskaz i skręcił w lewo na stację benzynową.

- Muszę wziąć benzynę - powiedział. - To zajmie chwilę.

Kiedy nalewał benzynę, poszłam do sklepu i kupiłam wodę mineralną, dropsy miętowe i gazetę. „Timesa” już nie było, więc wzięłam „Mail”.

- A jak ci idzie w Bishopsgate? - spytałam kurtuazyjnie, kiedy znów ruszyliśmy w drogę.

- Bardzo dobrze - odparł, spoglądając w lusterko, gdy wymijał samochód przed nami. - To oczywiście o wiele bardziej komercyjne wydawnictwo - wyjaśnił. Podałam mu miętówkę na zgodę. - Wydają wyłącznie poradniki i albumy. Niestety, brakuje mi fikcji. Ale z drugiej strony, mam więcej do powiedzenia i więcej szmalu.

- Rory Cheetham-Stabb część tego szmalu ci zabierze.

- Niewątpliwie - jęknął. - I dom. W dostatku i w biedzie - dodał sucho. - Ale to obiecywałem ci w małżeństwie, nie przy rozwodzie.

Zalała mnie fala smutku i coś ścisnęło mnie w gardle. Spojrzałam przed siebie na czarną wstęgę autostrady, która prowadziła daleko, daleko naprzód, i pomyślałam, że Peter i ja jesteśmy na takiej właśnie drodze, która nieubłaganie prowadzi nas do rozwodu. Jesteśmy na niej unieruchomieni, praktycznie bez szans na zjazd w bok. Zawrócenie jest niemożliwe, bo na drodze jest wielka blokada. A raczej bariera na środku, oddzielająca dwa kierunki. Bariera w postaci zdrady Petera, której nigdy nie potrafię prze-

kroczyć. A teraz jechaliśmy do szkoły dzieci, jakby nic się nie stało, choć w rzeczywistości rozpoczęliśmy proces, który miał nas za pół roku rozdzielić. To było surrealistyczne. Nierzeczywiste Westchnęłam głośno. Słyszałam tylko nieustanny świst opon.

- Mijamy Maidstone - zauważył Peter po chwili. - Uważaj na Nettlebury Green. dobrze? Zawsze przegapiam ten zjazd. Pomóż mi prowadzić, Faith. Faith, słyszysz mnie?

Nie słuchałam. Czytałam gazetę i właśnie doszłam do strony z plotkami. Na górze znajdowało się zdjęcie Rory*ego Cheethama-Stabba na tropikalnej plaży, z obleśnym uśmiechem i z piękną blondynką u boku. To dlatego ostatnio się do mnie nie odzywał. Był na urlopie w swoim domu w Mustique. Później spojrzłam niżej i zaskoczona zobaczyłam drugie, znacznie mniejsze zdjęcie. Przedstawiające Petera i mnie. Z podpisem: „Pogodynka Faith Smith w szczęśliwszych czasach”.

- Tu jest ten znak - powiedział Peter i zwolnił. - Co tak zamilkłaś, Faith? Faith?

Nie odpowiadałam, z rosnącym oburzeniem czytając tekst pod zdjęciem.

Faith Smith z AM-UK! rozwodzi się z mężem Peterem. Atrakcyjna pogodynka wyznała znajomym, że „ma dość” jego ugania się za kobietami. Ciekawe, jak zareagują nowi szefowie Smitha na jego kłopoty rodzinne? I co z jego miejscem w rządowym Komitecie do spraw Etyki Rodzinnej? Czy może nadal tam pracować? Niektórzy twierdzą, że Smith powinien złożyć rezygnację.

- Co się stało, Faith? - zapytał Peter, skręcając w lewo, w żelazną bramę szkoły. - Co się stało? - powtórzył, wjeżdżając na parking.

- Spójrz na to - powiedziałam ponuro, gdy zaciągał ręczny hamulec. Podałam mu gazetę i kiedy rzucił okiem na tekst, wybuchł.

- Kto to robi, do jasnej cholery?! Podam ich do sądu. Latanie za kobietami? Niczego podobnego nie robię i nie robiłem. Byłem ci wierny przez piętnaście lat! Kto się za tym kryje?! - wykrzyknął ze złością, kiedy wysiadaliśmy z samochodu.

- Nie wiem - powiedziałam, biorąc żakiet i torebkę z tylnego siedzenia. - Ale mam pewne podejrzenia.

- Ach tak? Kogo podejrzewasz?

- Uważam, że to robota Andie - stwierdziłam, opierając się o samochód.

- Andie? Niemożliwe!
- Uważam, że to ona - powtórzyłam spokojnie.
- Wiem, że jej nie lubisz, ale to, co mówisz, nie ma żadnego sensu.

- Owszem, ma - nalegałam. - Choć to dziwna logika. Ona...
- Zawahałam się, bo przykro było mi to mówić. - Chce wyjść za ciebie, prawda? To znaczy, zakładam, że ma taki cel. - Spojrzałam na Petera, który odwrócił głowę.

- W jaki sposób coś takiego miałoby jej pomóc w osiągnięciu celu? - spytał, ściągając wargi.

- Rory Cheetham-Stabb sądzi, że to jej subtelny sposób wywierania na ciebie nacisku. Myśli, i ja się z nim zgadzam, że to ona sprzedała wiadomość do „Hello!”.

- Dlaczego miałyby to robić? Nie rozumiem.

- Dlatego, że jeśli rozwód psuje ci trochę szyki w nowej pracy z powodu takich wzmianek w prasie, Andie może spokojnie zapewnić Bishopsgate, że twoje życie osobiste niedługo wróci „do normy”. Przy niej.

- Rory Cheetham-Stabb wysłał to ze swojego wymanikiowanego palca. Nie zna warunków mojego kontraktu. Na pewno mnie nie wyrzucą dlatego, że się rozwodzę. Gdyby to był warunek zatrudnienia, to połowa pracowników musiałaby odejść. Te wszystkie plotki są złośliwymi spekulacjami. Nie mają żadnego uzasadnienia. Poza tym, gdyby mnie wyrzucono przed upływem pół roku, Andie musiałaby oddać prawie całe swoje honorarium. Cheetham-Stabb się myli. Jedyny skutek, jaki osiągają te pomówienia, to dyskredytacja mojej osoby. Kto to robi i w jakim celu?

- Nie wiem.

- Kto aż tak mnie nie lubi, że posuwa się do oczerniania mnie publicznie?

Kto, myślałam. Kto? I wiedziałam.

- Ojliver - powiedziałam. No oczywiście.

- Ojliver? Nie! Choć jest dostatecznie złośliwy i mnie nie lubi.

- Chyba wciąż cię nie lubi. - Opowiedziałam mu o wstrętnych uwagach Olivera na czerwcowej promocji.

- Mmm, to bardzo interesujące. Czyli nadal coś do mnie ma?

- Ale dlaczego? Przecież w końcu doprowadził do tego, że odszedłeś, a on zajął twoje miejsce.

Peter milczał, wpatrując się przed siebie. Zawsze tak robi, gdy się nad czymś zastanawia.

- Dlaczego Oliver miałby to robić, skoro w niczym już mnie nie zagrażasz? - spytałam.

- Ciekawe - powiedział cicho. - Ciekawe. Ale może coś w tym jest. Tak, chyba tak. Jedno ci powiem. Faith. Ja się i tak dowiem, kto za tym stoi. Mhm, Ojliver- mrucał, zamykając samochód. - To bardzo interesujące. Chodźmy poszukać Marta i Katie.

Przeszliśmy przez parking po wyschniętej trawie. Wchodząc z innymi rodzicami przez furtkę, przeczytałam wyryte motto szkoły: *Gardę Ta Foy*. Ja z pewnością zachowałam wiarę - pomyślałam. Przez całe piętnaście lat. A to jest ostatni raz, kiedy przyjeżdżamy tu z Peterem jako mąż i żona. Za rok o tej porze będziemy rozwiedzeni. Mimo upału przeszedł mnie zimny dreszcz, gdy pomyślałam, że moje życie tak szybko się zmieniło. Zaraz jednak przestałam o tym myśleć, bo zauważyłam dzieci. Matt wyglądał bardzo dorosłe, choć wydawał się lekko zdenerwowany. Pewnie przejmował się tym, że niedługo ma odbierać nagrodę. Katie natomiast wyglądała bardzo elegancko w zielonej lnianej sukience, którą kupiliśmy jej w Hobbsie. Najpierw zapędzili nas wszystkich na lunch do wielkiego namiotu. Chodząc w tłumie zauważyłam kilka znajomych twarzy. Parę razy rozmawialiśmy wcześniej z Dobbsami i z Blackami - ich dzieci były w tym samym budynku w internacie z naszymi. Na szkolnym przedstawieniu w zeszłym roku poznałam także Thompsonów. Ich syn był w tej samej klasie co Matt, Johnny i jeszcze jeden szesnastoletni chłopak. Uśmiechnęłam się do Dobbsów i ich syna Jamesa. Ku mojemu wielkiemu zdumieniu nie zareagowali.

- Czy mi się zdaje, czy Dobbsowie są jakoś wrogo do nas nastawieni? - spytałam szeptem Petera, gdy staliśmy w kolejce.

- Wyobraź sobie, że przed chwilą David Black potraktował mnie bardzo nieuprzejmie - odparł Peter.

- To chyba nie z powodu tego kawałka w „Mail”, prawda? Peter wzruszył ramionami.

- Raczej nie. Wielu spośród tu obecnych się rozwiodło.

Rozejrzałam się. Tak, to była prawda. Piosenkarz rockowy Rod McShagg miał już trzy żony. Z boku stała aktorka Sheryl Love ze swoim czwartym mężem. A ten facet z drugiej strony, producent płyt... Czytałam o jego interesującym życiu w „Hello!” Dlaczego ktoś miałby potępić mnie lub Petera?

- Dzień dobry pani - powiedziałam do pani Thompson, ubranej w paskudną fioletową garsonkę. - Miło mi znów panią zobaczyć.

- Przypuszczam, że Matt jest z siebie bardzo zadowolony powiedział z dziwnym uśmiechem.

- Matt? - Kompletnie mnie zaskoczyła.

- Tak, Matt.

- Chodzi pani o tę jego nagrodę z matematyki?

Zaśmiała się głośno.

- Dziwię się, że ją dostał - stwierdziła, przyklepując sztywną trwałą.

- No - powiedziałam zdumiona, czując, że usta otwierają mi się i zamykają jak u ryby. - Dostał ją, bo jest dobry z matematyki.

Pani Thompson uśmiechnęła się krzywo i odeszła. Byłam tak zaszokowana jej niegrzecznym zachowaniem, że cała się trzęsłam. Jak śmiała coś takiego powiedzieć?! I właściwie dlaczego? Oczywiście. Była zazdrosna, bo jej syn Johnny nie dostał żadnej nagrody. Na litość boską, pomyślałam, ludzie naprawdę są niemożliwi. To nie wina Matta, że jest taki bystry. To nie jego wina, że jest genialny, a Johnny Thompson jest przeciętnym kretynek. Rodzice zawsze przesadzają w ocenie swych dzieci.

Jedząc zimną zapiekankę, zauważyłam, że Ellis-Jonesowie dziwnie się nam przyglądają. Byłam coraz bardziej zła, a poza tym zrobiło mi się gorąco w sukience i zakiecie. Postanowiłam jednak, mimo zdenerwowania, zachowywać się tak, jakby się nic nie stało.

- Dzień dobry pani - powiedziałam serdecznie. - Dzień dobry, Jack - zwróciłam się do przyszczonego szesnastolatka. - Jak się miewasz?

- Er... Nieźle mimo wszystko.

Mimo wszystko? O co mu chodzi?

- Masz jakieś interesujące plany na wakacje? - spytałam, równie serdecznie.

- Nie - odparł. - Nie mam. Miałem - dodał tajemniczo. - Odłożyłem pieniądze na wyprawę z Tomem Northern, ale teraz nie mogę sobie na to pozwolić.

- Przykro mi - powiedziałam. Nie miałam pojęcia, dlaczego mi o tym mówi, ale nie należałam na bliższe wyjaśnienia.

- Wiesz co, Katie? - szepnęłam. - Mam wrażenie, że nie jesteśmy dziś bardzo popularni.

- Mhm. Odczuwam złe prądy i grupową wrogość. Spodobałam się czegoś takiego.

- Co masz na myśli?

- Jest coś, o czym chyba powinnaś wiedzieć, mamo - powiedziała z namysłem, wkładając do ust truskawkę.

- Co takiego? O czym ty mówisz? - Nie miałam czasu, żeby się dowiedzieć, bo właśnie zadzwonił dzwonek i zaproszono nas do środka na rozdanie nagród. Wszystkie dzieci przeszły do przodu, a rodzice zostali z tyłu.

- Atmosfera jest dość napięta - szepnęłam do Petera, kiedy usiedliśmy.

- Masz rację. Dzieje się coś dziwnego, ale może to tylko ten upał.

Zaczęłam się wachlować kartką papieru, na której wypisano wszystkich zdobywców nagród. Gdy przeczytałam nazwisko Maty na końcu listy, poczułam przypływ matczynej dumy. Dyrektor szkoły wszedł na podium, aby wygłosić doroczne przemówienie.

- W zeszłym roku... postępy... duch wspólnoty... wyniki krykieta... doskonałe... niestety... wydalenia... perspektywy... nielegalne substancje... przemoc... nowe skrzydło dla laboratorium... drogie... nieudane... szalenie doceniamy... kubeł. A teraz - dodał ciepło - przystępujemy do rozdania nagród. Jesteśmy niewymownie wdzięczni naszym sponsorom, gdyż dzięki ich szczodrości możemy wręczyć te cenne nagrody. Jesteśmy szczególnie zobowiązani panu Billowi Gatesowi za sprezentowanie dla zwycięzcy wśród najmłodszych matematyków bonu na książki wartości dziesięciu funtów. - Wszyscy zaklaskaliśmy. Dyrektor chrząknął i zaczął przedstawiać zwycięzców:

- Nagrodę Ali G. z gramatyki dostała Caroline Day. - Chuda dziewczynka z czarnymi włosami odebrała swój bon i wróciła na miejsce pośród oklasków. - Nagrodę Emina w dziedzinie malarstwa dostaje Laetitia Banks. - Entuzjastycznie biliśmy brawo, gdy mała dziewczynka ścisnęła dłoń dyrektora. - Nagrodę Marka Thatchera za orientację otrzymał Rajiv Patel. - Zaklaskaliśmy, gdy chłopak nonszalanckim krokiem, z rękami w kieszeniach, przeszedł przez scenę. - A nagroda Archera za aktorstwo przypadła Britney Scott. - Nagrodziliśmy Britney Scott zwyczajowymi oklaskami. - Nagrodę al Fayedą za politykę, w gotówce, dostała Mary Ross. - Ręce już mnie lekko piekły. - Nagrodę Barbary Windsor za wymowę otrzymała Jennifer Johns. Nagrodę za debatę Kena Livingstone'a dostała Barbara Jones. I na koniec - powiedział, gdy znów zaklaskaliśmy - nagroda dla młodego matematyka od

Billa Gatesa dla Matthew Smitha. - Kiedy Matt podniósł się z miejsca. Peter i ja zaczęliśmy entuzjastycznie bić brawo. Gdy jednak wszedł na scenę, zdaliśmy sobie sprawę, że jesteśmy jedy-
nymi osobami, które go oklaskują. W sali panowała cisza i tylko
nasze brawa odbijały się od ścian. Co za bezczelność - pomyśla-
łam. To ja mogłam klaskać wszystkim tym dzieciakom, a ich ro-
dzice nie mogą okazać aplauzu mojemu synowi? Twarz paliła mnie
ze złości, lecz wreszcie inni też zaczęli bić brawo. Dzięki Bogu.
Mieli trochę spóźniony refleks. Nagle zrozumiałam, że to nie były
grzeczne oklaski, lecz powolne, rytmiczne uderzanie dłoni o dłoń.
Matt gwałtownie się zaczerwienił. Klap, klap, klap, klap, klap, klap.
Oklaski stawały się coraz głośniejsze i bardziej rytmiczne, aż
w pewnej chwili ktoś głośno zahuczał. - Bzdura! Precz! - usłysza-
łam okrzyki, gdy Matt ścisnął dłoń dyrektora. Dyrektor, widząc, że
dzieje się coś nieprzewidzianego, postanowił interweniować.

- Musimy serdecznie docenić naszych zwycięzców - powie-
dział. - Matt jest bardzo utalentowanym młodym matematykiem.
Bardzo utalentowanym. Choć nie zawsze mu się udaje.

- To prawda! - krzyknął ktoś z trzeciego rzędu.

- Niektóre z ostatnich wyliczeń Matta były trochę mylne.

- Nam nie musi pan mówić.

- Wierzmy jednak - kontynuował dobrotliwie dyrektor - że
jego ostatni pechowy rachunek był jedynie... drobną pomyłką.

- Mam nadzieję! - pisnął jakiś chłopak. Johnny Thompson. -
Przez niego straciłem trzysta funtów. - Co takiego?

- A ja pięćset - powiedziała siedząca za nim chuda dziew-
czynka.

- Mnie to kosztowało sześćset pięćdziesiąt - powiedział Jack
Ellis-Jones. - Miałem zamiar objechać za pieniądze Europę.

- Uważam, że powinien poćwiczyć jeszcze procenty - oświad-
czył dyrektor. - Jednak jestem pewien, że da sobie z nimi radę
w następnym semestrze. I nie mam wątpliwości, że potrafi pomóc
kwestorowi w zbieraniu pieniędzy na nowe skrzydło.

- Co tu się dzieje? - syknął Peter.

- Skąd mam wiedzieć?

- Na tym zakończyliśmy rozdawanie nagród - oznajmił dy-
rektor. - Gratuluję wszystkim wyróżnionym.

Matt zszedł powoli ze sceny, a my z Peterem przeszliśmy do
przodu. Nasz syn siedział sam, w pierwszym rzędzie, głęboko nie-
szczęśliwy.

- O co tu chodzi? - spytałam. - Co się stało?
- To nie moja wina - mruknął, międląc w rękach książeczkę z kuponami. - Mówiłem im, że to ryzykowne.
- Co to znaczy? - Matt milczał. - Powiedz nam, Katie, dobrze? Czy Matt zrobił coś złego?
- Nie - odparła powoli. - Raczej nie. On tylko spekulował.
- Wyścigi konne? - zawołałam przerażona.
- Nie, oczywiście, że nie. Na giełdzie. Początkowo zarobił masę forsy - wyjaśniła. - Miał dobrą passę. Wyliczył wszystko na komputerze.

- Inwestowałeś na giełdzie? - spytałam. - W jaki sposób? I za co? Skąd wzięłeś pieniądze, Matt? Daliśmy ci tylko osiemdziesiąt funtów na cały semestr.

Zaszurał nogami, westchnął i przemówił.

- Sprzedałem moje gry komputerowe - wyjaśnił cicho. - Założyłem stronę internetową i tam się ogłaszałem. Zarobiłem prawie dwa tysiące.

- Dwa tysiące funtów! - wykrzyknął Peter.

- Myślałam, że oddałeś je dla biednych.

- Nie, sprzedałem je po dwadzieścia funtów. To całkiem tanio. Ludzie składali zamówienia przez Internet, a potem przysyła-li mi forszę.

To dlatego dostawał tyle poczty.

- I zainwestowałeś te pieniądze w akcje i obligacje? - stwierdziłam pytająco.

- Tak.

- Ale przecież jesteś na to za młody - powiedział Peter. - Nie możesz niczym handlować. Nie masz szesnastu lat. Jesteś nawet za młody, żeby założyć sobie konto w banku. Jak to zrobiłeś? - Matt wbił wzrok w podłogę. - Jak to zrobiłeś? - powtórzył łagodnie Peter. - Gdzie wpłacałeś gotówkę? Powiedz nam, Matt. Obiecuję, że nie będziemy się na ciebie gniewać.

- No... - Matt spojrział na nas błagalnie. Widziałam, że jest bliski płaczu. - Nie mogę wam powiedzieć. To tajemnica. Wielka tajemnica. - Duża łza spłynęła mu po policzku.

- Nie chcemy, żebyś miał przed nami wielkie tajemnice - stwierdziłam. - Wolimy, żebyś mówił nam prawdę.

- Ja naprawdę nie mogę, mam. Naprawdę.

- Dlaczego?

- Bo obiecałem babci.

- Babci? - powiedzieliśmy jednocześnie. Przerażony Matt zrozumiał, że palnął gafę i objął głowę rękami.

- Tak, babci - wychrypiał. - Wpłacałem pieniądze na jej konto. Dała mi dwa tysiące, mieliśmy więc razem cztery na inwestycje. Ja jej mówiłem, co ma robić i dzieliliśmy się zyskami po połowie.

- Chcesz powiedzieć, że babcia zachęcała cię, żebyś spekulował na giełdzie?

- Nie całkiem. Robiliśmy to razem.

Jasne, teraz rozumiałam dlaczego zawsze chciała z nim rozmawiać.

- Kupiła mu nawet laptop - dodała Katie. - Żeby mieli łatwiejszy kontakt.

- Babcia kupiła ci komputer? Myślałam, że dostałeś go od Josa. Że to był jego stary laptop.

- O nie - poinformowała nas Katie, potrząsając głową. - To jest najnowszy model.

Zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Jos mnie oszukał. Dlaczego, do diabła, powiedział, że to on dał Mattowi komputer.

- Ile zarobiłeś? - spytałam cicho.

- Na początku bardzo dużo - odparł, pociągając nosem. - Zarobiłem pięćset procent.

- Ile to jest?

- Dwadzieścia tysięcy funtów.

- O mój Boże!

- Niektóre dzieciaki dowiedziały się o tym i zaczęły prosić Matta o wskazówki - dodała Katie.

- Nie chciałem tego robić, ale Ellis-Jones i Thompson są prefektami i kazali mi powiedzieć, jakie kupić akcje. Na początku oni też dużo zarobili - załkał. - Później jednak akcje dotcomów gwałtownie spadły.

- Dotcomy?! - wykrzyknął Peter. - Równie dobrze mogliście kupować losy na loterię.

- Wiem - przyznał Matt. - Mówiłem im. Powiedziałem, że powinni wycofać się z tego sektora. Sam przeniósłem się na boliwijskie kopalnie srebra, ale one też nie były szczególnie korzystne. Później przeszliśmy na zbiory soi. Ale oni powiedzieli, że chcą kupić dotcomy i je trochę potrzymać, i byli wściekli, kiedy rynek się załamał. Przedtem szło nam bardzo dobrze.

- Rozumiem. - Westchnęłam. Teraz miałam wszystko jak na dłoni. Zrozumiałam, dlaczego moją matkę stać było na te wszyst-

kie wspaniałe wyjazdy i dlatego inni rodzice byli do nas wrogo nastawieni. Zrozumiałam, dlaczego Matt wciąż latał do skrzynki i dostawał tyle listów. Zrozumiałam także, że jego zainteresowania sytuacją na świecie nie były dokładnie tym, za co je brałam. I wściekałam się, że moja matka zachęcała go do hazardu, a nie do nauki.

- Ellis-Jones i Thompson byli naprawdę źli - powiedział Matt.
- Uważali, że to moja wina.

- Ile w to włożyli?

- Sto. Potem doszli do ponad sześciuset i spadli do początkowego kapitału. Ostrzegałem ich, że coś takiego może się zdarzyć. Wiedzieli.

- Teraz wszystko jest jasne - stwierdził spokojnie Peter. - Będziesz musiał ponieść konsekwencje.

- Nie całkiem - wtrąciła Katie. - Dyrek też się w to włączył. Muszą zdobyć milion na nowe skrzydło z laboratorium, a teraz także sporo stracili.

W tej sytuacji nie zostaliśmy na podwieczorku. Dzieci zabrały swoje bagaże i pojechaliśmy do domu. Jadąc w ciszy, zastanawiałam się, ile lekcji opuścił Matt. Oczywiście to się musi skończyć. Musimy też napisać do rodziców, przeprosić i zwrócić im pieniądze. O Boże! I będę musiała porozmawiać z moją matką. Chciałabym także wiedzieć, dlaczego Jos mnie oszukał. To było zupełnie bez sensu. Na szczęście, gdy wróciliśmy, już go nie było. Rozzłościło mnie jego kłamstwo w sprawie komputera, a poza tym nie chciałam na razie poznawać go z Peterem. Tak czy inaczej, byłam kompletnie wykończona.

Kiedy przekreśliłam klucz w zamku, Graham wyskoczył jak rakietą, a gdy zobaczył Petera, omal nie przewrócił go z radości na ziemię. Peter ukląkł koło niego, a Graham płakał ze szczęścia.

- Hej, kochany piesku, tęskniłeś za mną? - Graham polizał Petera po uszach i jęknął z radości. - Lubisz, kiedy cała rodzina jest razem, co? Tak? Całe twoje małe stadko?

- Tak - stwierdziła stanowczo Katie. - To o to chodzi.

- A gdzie jest Jos? - spytał Grahama. - Och, nie! Ty chyba nie...? Byłeś bardzo niegrzeczny, piesku, i obawiam się, że mamusia będzie zła. Faith! - zawołał. - Boję się, że Graham zjadł Josa.

- Nie zjadł - odparłam beztrąsko, czytając kartkę, którą zostawił Jos.

- Naprawdę, Faith. Ma winę wypisaną na pysku.

- Jos żyje i ma się dobrze - powiedziałam. - Wyszedł stąd pół godziny temu.

Przed wyjściem zostawił psu dużo wody i kilka herbatników, których Graham nie tknął, ale teraz, uszczęśliwiony naszym powrotem, ruszył do kuchni w poszukiwaniu miski. Peter przyszedł za nim i stanął w drzwiach. Jest bardzo przystojnym mężczyzną.

- Zjesz z nami kolację? - spytałam.

- Chętnie.

- Doskonale.

- Chętnie bym zjadł, ale nie mogę.

- Szkoda - rzuciłam od niechcienia. - A dlaczego nie? - zapytałam, choć wiedziałam.

- Andie na mnie czeka. - Skinęłam w milczeniu głową. - Mówiłem, że będę w domu o ósmej.

- Jesteś w domu, tato - stwierdziła rzeczowo Katie.

- No tak, w pewnym sensie. - Spojrzał na mnie i uśmiechnął się z bolesną rezygnacją. Staliśmy blisko siebie, byliśmy jednak od siebie bardzo oddaleni.

- Dobrze - powiedziałam rażno. - Nie będziemy cię zatrzymywać. Dziękuję, że mnie wzięłeś, to znaczy, że mnie tam wzięłeś, to znaczy, że mnie zabrałeś swoim samochodem. To właśnie chciałam powiedzieć. - Rzuciłam okiem na Katie, która spojrzała na mnie znacząco. Doprawdy, nie mam pojęcia, o co tej dziewczynie chodzi. Peter pocałował dzieci i potargał za uszy Grahama. Potem, ku mojemu zdumieniu, objął mnie niezręcznie i na moment przytulił policzek do mojego policzka.

- To na razie - mruknął.

- Na razie.

- Po piętnastu latach - powiedział. Odwrócił się i wyszedł. Słuchając jego oddalających się kroków, poczułam żal. Graham też; gdy Peter wyszedł, pies usiadł w oknie i bardzo długo przez nie wyglądał.

Nadal lipiec

Dziś rano zostawiłam Josa pogrążonego w głębokim śnie w moim łóżku i poszłam na mszę o ósmej. Miałam ochotę na

spokojną refleksję na temat ostatnich wydarzeń oraz na temat winy i pokuty.

- Módlmy się i wyznajmy nasze grzechy - powiedział ksiądz, ja jednak nie myślałam o moich grzechach, lecz o grzechach mojej matki. Odbyłyśmy dramatyczną rozmowę przez telefon.

- To była tylko zabawa - broniła się.

- Zabawa! - wykrzyknęłam.

- Matt lubi takie zagadki i to był nasz mały sekret.

- Jasne, mogę się założyć, że nikomu nie mówiłaś. Tata na pewno by tego nie popierał, a poza tym znasz moje poglądy na te sprawy. Równie dobrze możesz uprawiać hazard w kasynie.

- Giełda jest absolutnie w porządku, kochanie - stwierdziła spokojnie matka. - Pod warunkiem, że wiesz, co robisz.

- Matt najwyraźniej nie wiedział. Ale niby skąd miałby wiedzieć, ma dopiero dwanaście lat. Nie mogę uwierzyć, że wykorzystywałaś własnego wnuka dla korzyści finansowych.

- Nie robiłam tego dla korzyści finansowych - zapewniła żarliwie. - Nie miałam pojęcia, że aż tyle zarobimy. Myślałam, że to się Mattowi przyda.

- Ach tak?

- Rozszerzy mu horyzonty. Żeby z sukcesem grać na giełdzie, należy znać się na tym, co się dzieje na świecie. Teraz wie wszystko o polityce Boliwii - dodała entuzjastycznie. - I o zbiorach soi w Stanach.

- Tak, ale to akurat nie na wiele mu się przyda. Ma zaległości z łaciny i braki w starożytnej grece. Z francuskiego i z historii dostał D minus. Jestem wściekła, mammo.

- Przykro mi, Faith. Naprawdę. Ale wiem, jak wszystko naprawić.

I tak w zeszłym tygodniu rodzice zabrali dzieci na miesiąc do Francji. Wynajęli mały domek koło Bordeaux, żeby Matt mógł szlifować francuski. Matka ma mu pomóc z pozostałych przedmiotów. To jest jej pokuta. W dodatku całkiem niezła, pomyślałam, pochylając głowę w modlitwie. Dużo zabawniejsza niż odmawianie zdrowasiek i litanii. Dzieci szalenie się ucieszyły z wyjazdu, a ja także byłam zadowolona, między innymi dlatego, że mogę spędzać więcej czasu z Josem. Kiedy mi powiedział o laptopie, najpierw strasznie się zdenerwowałam. Nie podobało mi się to, że mnie okłamał. Bardzo mi się nie podobało. Kiedy jednak w końcu zrozumiałam, dlaczego to zrobił, poczułam wdzięczność.

- Widzisz, Faith - przyznał następnego dnia po zakończeniu roku szkolnego - bardzo polubiłem Matta. To fantastyczny dzieciak, oboje są fantastyczni, i nie mogłem znieść, że jest w trudnej sytuacji. Oczywiście nie miałem pojęcia, skąd wziął komputer-dodał. - Ale Matt nie umiał sobie z tym poradzić i chciałem mu pomóc. Dlatego powiedziałem, że to prezent ode mnie.

- A on nie miał najmniejszego zamiaru zaprzeczać, ponieważ wyciągnąłeś go z tarapatów.

Jos skinął głową.

- Kochanie! - wykrzyknęłam, zarzucając mu ręce na szyję. - To było cudowne i bezinteresowne z twojej strony.

Spojrzał na mnie z uśmiechem. Tak, to prawda, że Jos mnie oszukał, ale zrobił to z altruistycznych pobudek.

Obawiam się, że Katie ocenia to bardziej cynicznie. Uważa, że Jos skłamał za Matta, żebym miała u niego emocjonalny dług wdzięczności. Powiedziałam jej, że to idiotyczna teoria, bo Jos nie mógł wiedzieć, że dowiem się o jego kłamstwie.

- Posłuchaj, mamó - powiedziała znudzonym tonem. - Jos doskonale wiedział, że tak czy inaczej dobrze na tym wyjdzie. Albo będzie uchodził za dobrego wujka od drogich prezentów, albo za superfaceta, który kryje „grzeszki” syna swojej kobiety. Musi się dość marnie czuć, skoro ucieka się do takich sztuczek, aby zyskać sympatię - dodała rzeczowo.

- To, co mówisz, jest złośliwe i nieprzyjemne - stwierdziłam ze złością. - Zwłaszcza że dał ci tę bardzo drogą książkę na urodziny i ogromny tort. Nie musiał tego robić, prawda?

- No właśnie, mamó.

Muszę powiedzieć, że cynizm Katie działa na mnie dołująco. W dodatku jest taka młoda. Teraz jednak, siedząc w kościele, poczułam, że stresy i smutki ostatnich dni odpływają. Słońce zaświeciło przez witraże, rozświetlając czerwone, złote i błękitne promienie, niby fragmenty roztrzaskanej tęczy.

- Bóg z wami - powiedział ksiądz, unosząc dłonie.

- I z duchem twoim.

- Idźcie w pokój, ofiara skończona.

Odeszłam w pokój. Czułam się znacznie lepiej. Choć raz nie złego się wokół mnie nie działo. Peter zachowywał się rozsądnie i nasze stosunki były zupełnie poprawne. Może zostaniemy zaprzyjaźnionymi byłymi partnerami, jak Mick Jagger i Jerry Hall - pomyślałam z nadzieją. Moja matka usiłowała odkupić swoje za-

chowanie, zabierając dzieci na cudowne wakacje. A ponadto spotykałam się, zupełnie na poważnie, z utalentowanym, miłym i kochającym facetem. Skręcając w Elliot Road, spojrzałam na zegarek. Była dopiero za dziesięć dziewiąta. Pomyślałam, że Jos na pewno jeszcze nie wstał. Mieliśmy czas na śniadanie. Później wybieraliśmy się do Windsoru na mecz polo. Lily zaprosiła nas do Cartiera, nigdy jeszcze na czymś takim nie byłam. Otwierając furtkę, znów pomyślałam, że naprawdę wszystko szczęśliwie mi się układa. Ku mojemu zdumieniu, usłyszałam podniesione głosy, a raczej jeden podniesiony głos. Otworzyłam drzwi kluczem i cicho weszłam na górę. W sypialni, w spodniach od piżamy, tyłem do drzwi, stał Jos.

- Jaki masz problem, Graham? - ryknął. Tkwiłam nieruchomo, jak zahipnotyzowana. - Jaki jest twój pieprzony problem, co? - Graham przypatrywał się mu z wyrazem obojętnej pogardy. - Dlaczego mnie nie lubisz? Dlaczego? - krzyczał Jos, trzymając się pod boki. - Wszyscy mnie lubią. A ty nie. Musisz być inny. I w dodatku nie mam pojęcia, dlaczego mnie nie lubisz, ty głupi kundlu, ponieważ staram się być dla ciebie bardzo dobry. - Graham nadal przyglądał mu się zimnym pogardliwym wzrokiem. To go jeszcze bardziej rozwścieczyło. - Ty chyba masz poważne problemy - powiedział, potrząsając głową. - Potrzebujesz pomocy, psie. Wiesz o tym, prawda? Słyszysz, co do ciebie mówię? - wykrzyknął, machając psu palcem przed nosem. - Jesteś beznadziejny. Tak, właśnie beznadziejny. I potrzebujesz pomocy. Ty. Naprawdę. Ponieważ masz bardzo poważne problemy emocjonalne!

- Jos - powiedziałam cicho. Odwrócił się i spojrzał na mnie zaszokowany. - Jos - powtórzyłam, gdy Graham podskoczył, aby mnie przywitać. - Wolałabym, żebyś nie krzyczał na psa.

- A ja bym wolał, żeby ten cholerny pies mnie nie gryzł! - krzyknął Jos. Nigdy do tej pory nie widziałam go tak bardzo rozłoszczonego. Miał czerwoną twarz, pulsujące żyły na szyi, cały się trząsał i był bliski łez. Pokazał na swoją lewą kostkę i obrzucił Grahama oskarżycielskim spojrzeniem.

- Nic nie widzę - powiedziałam.

- Bo nie patrzysz.

Ukucnęłam i przyjrzałam się jego nodze. Rzeczywiście, tuż nad kostką zobaczyłam lekkie zadrapanie.

- Ojej - mruknęłam. - Znów. Przykro mi.

- Mnie też, Faith. Bardzo przykro. I jestem okropnie zdenerwowany tym, że po dwumiesięcznej znajomości ten pies traktuje

mnie jak złodzieja. Chciałem tylko wstać z łóżka - wyjaśnił z wściekłością. - A on się na mnie rzucił.

- Może myślał, że chcesz go kopnąć - podsunęłam.

- Następnym razem na pewno to zrobię.

- Przepraszam - powiedziałam bezradnie. - Ale nie wygląda to tak źle. Chcesz, żebym nakleiła ci plaster?

Jos skinał głową i zasznurował usta.

- Ten pies jest niebezpieczny! - zawołał, gdy szukałam plastra w apteczce. - Może w każdej chwili ugryźć kogoś obcego.

- Nigdy jeszcze tego nie zrobił. - Miałam dodać, że w gruncie rzeczy Jos jest jedyną osobą, która ma problemy z Grahamem, ale w porę się powstrzymałam.

- Może ugryźć kogoś na ulicy - kontynuował z oburzeniem Jos, kiedy wróciłam do sypialni z plastrem. - Może ugryźć jakieś dziecko - dodał gwałtownie, gdy odrywałam plastikowe paski. - Jest tylko jedno wyjście - oznajmił z furją, kiedy przyklejałam plaster na jego bezkrwawą „ranę”. - Uważam, że powinnaś go załatwić.

- Co? - spytałam, podnosząc na niego wzrok.

- Uważam, że powinnaś go załatwić - powtórzył.

- Załatwić? - powiedziałam, nie rozumiejąc.

- Obciąć - warknął. - To byłoby bardzo miłosierne cięcie.

- Masz na myśli wazektomię? - spytałam. Zrobiło mi się niedobrze.

- Nie, mam na myśli kastrację. Obcięcie jaj.

- O nie! - wykrzyknęłam przerażona. - Nikt nie dotknie mojego psa.

- Być może, będziesz zmuszona się na to zgodzić, Faith. Gdybyś go naprawdę kochała, zrobiłabyś to, żeby nie był taki agresywny.

Ale przecież Graham nie jest agresywny - pomyślałam.

- Nie myślę teraz o sobie - powiedział ciszej Jos. - Martwię się wyłącznie o ciebie. Jeśli Graham kiedykolwiek ugryzie kogoś obcego, kto zgłosi to na policję, co jest bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę panujące nastroje, być może trzeba go będzie uśpić. A o tym napisaliby w gazetach.

Przyłożyłam rękę do ust.

- Tak, tak - cmoknął Jos. - Miałabyś bardzo negatywną prasę. - Prasę?!

- Nie obchodzi mnie cholerna prasa! - wrzasnęłam. - Nie chcę, żeby Grahamowi coś się stało.

- Ale tak właśnie będzie - stwierdził Jos, potrząsając głową. Jeśli pies jest niebezpieczny, to się go usypia.

Wyobraziłam sobie Grahama przywiązanego do pala, z chustką na oczach. Wyobraziłam go sobie w celi śmierci, czekającego na krzesło elektryczne. Wyobraziłam sobie czyjaś dłoń, zawieszoną nad nim ze strzykawką. W końcu nic już sobie nie wyobrażałam, bo oczy zasły mi łzami.

- Nie chcę go usypiać - płakałam. - To jest mój pies. Mój. Kocham go. Kocham cię, Graham. - Pies podskoczył i polizał mnie po twarzy. - Nie chcę, żebyś umierał. Nigdy!

- Posłuchaj, skarbie - powiedział Jos. - Nie chciałem cię zdenerwować i przykro mi, że musiałem być aż tak dosłowny. Niestety jest faktem, że choć Graham jest dla ciebie słodkim pieskiem, jest także psem o, eufemistycznie mówiąc, chwiejnym charakterze. Jest dziki. Musisz bronić ludzi przed nim i musisz bronić jego przed nim samym. - Podniosłam róg kołdry i przyłożyłam do oczu. - Wiesz dobrze, że Ustawa o Niebezpiecznych Psach nadal obowiązuje, prawda? - Boże, Boże, tak, chyba ma rację. Niczego już nie byłam pewna. Wiedziałam tylko, że tak dobrze zaczęty dzień zmienił się w koszmar.

- Naprawdę, Faith - powiedział Jos, siadając obok mnie na łóżku. Objął mnie i przytulił. - Uważam, że tak będzie najlepiej. Psy robią się znacznie sympatyczniejsze - mówił uspokajająco. - Przestają uganiać się za sukami.

- On nie interesuje się dziewczynami.

- Może jest gejem - stwierdził pogardliwie Jos.

- Na pewno nie.

- Możemy porozmawiać na ten temat kiedy indziej - zaproponował, idąc do łazienki. - Teraz musimy szykować się do wyjścia.

W ponurym nastroju przebrałam się, gdy Jos brał prysznic. Zadzwonił dzwonek i Graham, szciekając, popędził do drzwi. Przyszła Sara, która miała zostać z psem.

- Jestem ci bardzo wdzięczna - powiedziałam.

- Przynajmniej tyle mogę dla ciebie zrobić, żeby zrekompenzować choć trochę potworne zachowanie Petera. Biedna Faith! - Objęła Grahama i ucałowała go.

- To miło, że trzymasz moją stronę - przyznałam, robiąc jej kawę. - Nie wszystkie teściowe by tak postąpiły. - Chociaż oczywiście doskonale wiedziałam, dlaczego tak się zachowywała. Dwadzieścia lat wcześniej, kiedy Sara miała trzydzieści pięć lat,

John zostawił ją dla Amerykanki. W naszej rodzinie historia lubi się powtarzać, jak często mawia Katie.

- Jaki ojciec, taki syn. - Sara znów westchnęła. - Maybelline! - prychnęła. - Co za kretyńskie imię! I co to dla niego za życie? Mieszka na Florydzie i cały dzień gra w golfa. - Westchnęła i potrząsnęła głową. - Nie mam zamiaru jej oglądać.

- Maybelline?

- Nie, Andie.

- Może jednak powinnaś. Na pewno da ci jakiś wspaniały prezent.

- Wstyd mi za to, co zrobił Peter - powiedziała gorzko Sara.

- Tak, to było bolesne, ale teraz jakoś sobie z tym radzimy - wyjaśniłam. - Nie jestem już taka zła, zwłaszcza odkąd poznałam Josa. - Spojrzałam na Sarę i pomyślałam, jakie to smutne, że nigdy nie poznała innego mężczyzny. Lily ma rację, życie rozwódek nie jest łatwe. Ja jednak spotkałam Josa, a wiedząc, z której strony chleb jest posmarowany, postanowiłam się go trzymać. Mimo pewnych... powiedzmy, napięć, nadal go ceniłam. Wszedł do kuchni, w blezerze i bawełnianych spodniach. Wyglądał jak marzenie. Uspokoił się już i znowu był opanowanym eleganckim mężczyzną.

- Dzień dobry pani - powiedział ciepło, wyciągając rękę. - Miło mi panią poznać. Tyle o pani słyszałem. - Sara uśmiechnęła się do niego z zachwytem. Odniósł kolejny dyplomatyczny sukces. - Bardzo chętnie wybiorę się któregoś dnia do pani księgarni - dodał. - Podobno jest wspaniała.

- Z przyjemnością pana w niej powitam - odparła lekko zażenowana jego komplementami.

- Dziękuję, że zgodziła się pani zaopiekować Grahamem. To taki miły piesek. Nie chcielibyśmy, żeby siedział sam w pustym domu.

- Bawcie się dobrze - życzyła nam ciepło Sara, odprowadzając nas do drzwi. - Posiedzę w ogrodzie i poczytam.

- Proszę uważać na słońce - powiedział z troską Jos. - Zapowiada się kolejny upalny dzień.

- To ja powinnam tak powiedzieć! - zawołałam ze śmiechem. - Jak twoja kostka? - spytałam, gdy wsiedliśmy do samochodu i ruszyliśmy.

- Dobrze - odparł niechętnie, przekrzykując hałas silnika. - Przykro mi, że się pokłóciliśmy. Zapomnijmy o tym, dobrze? Chciałbym, żebyś spędziła przyjemny dzień.

To nie było nawet takie trudne - stwierdziłam - gdy pół godziny później jechaliśmy w upale przez Windsor Great Park. Mimo gorąca, przywitał nas chłodny widok. Eleganckie kobiety spacerowały w powiewnych sukienkach i w pantofelkach. Wszyscy mężczyźni mieli na sobie białe bawełniane spodnie i ciemne blezery. Niektórzy nosili kapelusze panama. Każdy samochód był kabrioletem. Wszystkie oczy osłaniały firmowe słoneczne okulary. Wydarzenie było okazją do pochwalenia się tym, co kto ma. Jos i ja przypięliśmy plakietki z nazwiskami i poszliśmy poszukać namiotu Lily, przygotowanego przez Madisona, wydawcę „Moi!” Mijaliśmy stoiska z siodłami, kapeluszami do konnej jazdy i apaszkami Hermesa; po drodze widzieliśmy konie z elegancko zaplecionymi ogonami i zabandażowanymi pęcunami. Wreszcie znaleźliśmy biały namiot „Moi!” Proporzec smętnie zwisał w nieruchomym gorącym powietrzu.

- Faith! Jos! - wykrzyknęła Lily, obejmując nas serdecznie. Pachniała Egoistę. Musiała wylać na siebie z pół litra. - Jakże się cieszę, że was widzę - pisnęła. - Wyglądacie szalenie dystyngowanie.

- Ty też wyglądasz wspaniale - powiedziałam. Faktycznie tak było. Lily miała na sobie sukienkę w kolorze kawy. podkreślającą cynamonowy odcień jej Skóry. Jej eleganckie ramiona ozdabiały dwa błyszczące amulety z brązu. Całości dopełniały złote sandały na płaskim obcasie, z których wyzierało dziesięć perfekcyjnie pomalowanych paznokci. Mało nie pękłam z dumy, że ta oszałamiająca kobieta jest moją najlepszą przyjaciółką.

- Co za piękny namiot! - zawołałam. Miał wewnątrz w żółte pasy, na podłodze parkiet. Były też okna z podwójnymi szybami.

- W środowisku nazywa się to viagrą- prychnęła. - Na wpół permanentną erekcją. Idźcie i weźcie sobie jakiegoś alkoholowego drinka, a ja się będę udzielać.

Goście Lily byli równie wypielęgowani, jak konie. Kobiety miały nogi jak rasowe klacze i błyszczące grzywy, a mężczyźni końskie twarze, porządne obuwie i emanowali dobrym rodowodem. Wszędzie mnóstwo błękitnych genów - pomyślałam ironicznie, kiedy spacerowaliśmy z Josem po wnętrzu namiotu.

- ...Tak, pojechaliśmy do Cowdray.
- ...Odwiedziliśmy Jemimę w Lahore.
- ...Taka dziura w Highlands.
- ...Kumpel księcia Williama.

- ...Spryciarze inwestują w Bishopsgate.
- ...Jakieś trzy tysiące arów.

Na stołach przybranych kwiatami leżały egzemplarze „Moi!” rozłożone jak wachlarz. Jos poszedł po coś do picia, a ja od niechcienia spojrzałam na okładkę. ODDZIAŁY DLA GWIAZD - ODKRYWAMY PRYWATNE LECZNICTWO; PRACA W DOMU - CZYŚCISZ I CHUDNIESZ; WŁÓŻ NOWY MODEL - SPECJALNY DODATEK O KOSTIUMACH KĄPIELOWYCH; MITY O BICIU - PRAWDA O PRZEMOCY KOBIECEJ; MODA Z BRYSTOLU - DZIESIĘĆ NAJLEPSZYCH STANIÓW.

- Sporo niezłych laleczek - stwierdził z aprobatą Jos, gdy wrócił z dwoma kieliszkami pimma.

- Co?
- Polo dziewczyny. Te, co chodzą za graczami.
- Rozumiem - powiedziałam z podejrzliwym uśmiechem.
- Ty jesteś moją laleczką - powiedział, obejmując mnie. Nagle usłyszałam ciche pstryknięcie i błysk fluoryzującego światła. Fotograf robił nam zdjęcie.

- Nie mają państwo nic przeciwko? - spytał, pstrykając. - Lily prosiła, żebym sfotografował państwa do rubryki towarzyskiej.

- Nie - odparłam z uśmiechem. Lily mówiła, że chce mnie trochę pokazać, a poza tym dlaczego nie miałabym się fotografować z Josem? W końcu jest moim facetem. A fakt, że się rozwodzę już dawno nie był tajemnicą. Pisano o tym w „Hello!” i w „Daily Mail”. Na zewnątrz usłyszeliśmy głos komentatora. Gra się zaczęła.

- Chodźmy zobaczyć - zaproponowała Lily. - Chciałam wam przedstawić dyrektora administracyjnego Madisona i wydawcę „Moi!” Ronnie Keatsa. - Uśmiechnęliśmy się i uścisnęliśmy dłoń sympatycznego mężczyzny koło pięćdziesiątki, a potem wyszliśmy i stanęliśmy przy niskim białym ogrodzeniu. Z daleka siedzący tłum wyglądał jak kolorowe konfetti. W upalnym powietrzu wisiał zapach końskiego nawozu, perfum i cygar. Nigdy nie oglądałam gry w polo i Lily z Josem szybko wytłumaczyli mi zasady.

- Nie trzymają pobijaków, tylko kije; gracze nie noszą bryczesów, lecz spodnie; nie jeżdżą na koniach, tylko na kucach, a teren nie jest boiskiem do krykieta, ale trawnikiem. W każdej drużynie jest czterech graczy i gra podzielona jest na sześć siedmiominutowych odcinków, które nazywają się czuka. W połowie gry zmienia się kuce. Kapujesz? Teraz trwa trzecia czuka. Grają drużyny Anglii i Australii w półfinałach o Puchar Korony.

Osiem kuców galopowało tam i z powrotem po trawniku. Gracze niemal stali w siodłach, trzymając kije. W kaskach i specjalnych siatkach na twarzach wyglądali jak rycerze.

- I znów odejście - powiedział z głośnika komentator, gdy kij opisał łuk w powietrzu, uderzając w piłkę. - Fantastyczny strzał... co najmniej dwa i pół metra... dobra kontrola Gilmore'a i wspaśniały ostry skręt White'a. Genialne uderzenie z lewej strony... Hardy bierze... bierze... z powrotem i dawaj, dawaj, dawaj... tak, tak, tak... Gol!

Rozległy się krzyki i wszyscy zaklaskaliśmy, a gracze wrócili na środek trawnika. Spojrzałam na prychające kuce, z postawionymi uszami i błyszczącymi szyjami i bokami. Ciekawe, kto się bardziej poci - my czy one? Było okropnie gorąco. Miałam czerwone policzki i wilgotne czoło. Strumyk potu ściekał mi po plecach. Ciemne okulary z trudem chroniły oczy przed intensywnym piekącym słońcem. Teraz, gdy wznowiono grę, spojrzałam na odległe dęby. W dwa uderzył kiedyś piorun. Ich nagie poszarpane konary wyciągały się w niebo niby oskarżające okaleczone palce. Rzuciłam okiem w górę i po raz pierwszy od miesiąca dostrzegłam długie sznureczki pierzastych chmur. To oznaczało, że w powietrzu było trochę wilgoci. I że pogoda ma się zmienić.

- Świetna piłka Gilmore'a - powiedział komentator, a my usłyszeliśmy ostre uderzenie kija o piłkę. - Australia prowadzi dziewięć do siedmiu, a przy trzydziestu sekundach na zegarze... dwudziestu... i... - Znów rozległy się okrzyki i informacja z głośnika: - Koniec pierwszej połowy. Panie i panowie, proszę depnąć.

Nagle wszyscy wpadli na boisko, niczym kibice piłkarscy. Zaczęliśmy deptać trawę, jak dzicy wojownicy, z chichotem i głośnym śmiechem. Jos rozmawiał z Lily, postanowiłam więc zagaść do Ronnie Keatsa. Okazało się, że Keats zna Petera.

- Znam pani męża z kontaktów zawodowych - powiedział, gdy udeptywaliśmy popękany torf. - Zajmujemy się dystrybucją książek wydawnictwa Fenton & Friend w Południowej Afryce. Peter to fajny facet. I bardzo mądry. Podobno świetnie mu idzie w Bishopgate - dodał ciepło.

- Tak, to prawda.

- Peter zawsze podejmuje trafne decyzje.

- Tak - powiedziałam, choć w duchu pomyślałam, że nie w sprawach męsko-damskich.

- Jest naprawdę szanowany w środowisku.

- Wiem. - Nagle poczułam się skrępowana, rozmawiając o Peterze z zupełnie obcym człowiekiem i zmieniłam temat. - Na pewno jest pan bardzo zadowolony z tego, co Lily robi w „Moi!”.

- O tak. Jesteśmy w siódmym niebie. W ciągu tych dziesięciu miesięcy, odkąd została naczelną, nakład wzrósł o dwadzieścia procent. Dużo ryzykowaliśmy, zatrudniając ją - przyznał. - Ale świetnie się sprawdza. - Pomyślałam, że to dziwne i bardzo niedyskretne stwierdzenie. O co mu chodziło? Może o kolor jej skóry, ponieważ do tej pory żadna czarna kobieta nie była naczelną redaktorką pisma. Gdyby to jednak miał na myśli, tym bardziej nie powinien był tego mówić, zwłaszcza jej najbliższej przyjaciółce. Prawdopodobnie wypił za dużo szampana - pomyślałam, gdy wracaliśmy na nasze miejsca. Gra nie zaprzętała już tak bardzo mojej uwagi, zaczęłam więc przerzucać najnowszy numer „Moi!”. Znalazłam dział „Chienne” ze zdjęciem Jennifer Aniston z niebieską kokardą na szyi, radzącej, **JAK SOBIE RADZIĆ Z PAPA-RAZZI - I ZGUBIĆ OGON: SZKOLENIA DLA NIEGRZECZNYCH WŁAŚCICIELI: LABRATORY - NOWE KIERUNKI W PSIEJ HAUTECOUTURE.** Jennifer wyrażała także swoje opinie na temat różnych produktów pielęgnacyjnych. To tylko taka sztuczka - pomyślałam lekceważąco. Przecież pies nie może dawać rad. Szczególnie taki głupi, jak Jennifer. Postanowiłam jednak, że spróbuję ziołowego środka przeciw pchłom, który rekomendowała. Zauważyłam, że ostatnio Graham zaczął się drapać. Potem przeczytałam resztę „Moi!”, zerkając od czasu do czasu na grę. Miałam już odłożyć pismo, kiedy natknęłam się na kwestionariusz zatytułowany: **CZY TY I TWÓJ PARTNER PASUJECIE DO SIEBIE?** Lubię takie rzeczy. Nigdy nie mogę im się oprzeć. Podobnie jak konkursom. Wyjęłam z torebki długopis i zaczęłam odpowiadać na pytania. Do wyboru miałam trzy odpowiedzi: Tak, Nie i Nie jestem pewna.

„Czy podoba ci się twój partner?” - brzmiało pierwsze pytanie. Spojrzałam na Josa, który oglądał mecz. Jego ciemnoblond włosy były rozjaśnione słońcem. Zaznaczyłam „tak”. „Czy twój partner okazuje ci uczucie?” Znów zaznaczyłam „tak”. „Czy twój partner bierze pod uwagę twój punkt widzenia?” „Tak”. „Czy, jeśli się kłóćcie, szybko dochodzicie do zgody?” „Tak”. „Czy twój partner ma drobne irytujące przywary?” Pomyślałam przez króciutką chwilę i zaznaczyłam „nie”. „Czy ty i twój partner często się razem śmiejecie?” Jasne. „Czy twój partner zawsze mówi praw-

dę?" To było podchwytliwe pytanie. Jos kłamie tylko ze słusznych powodów, więc w zasadzie odpowiedź brzmi „tak”. „Czy twoja rodzina i przyjaciele lubią twojego partnera?” Zdecydowane tak. „Czy on poszerza twoje horyzonty?}* O „tak”. „Czy twój partner stara się sprawić ci przyjemność?” Cały czas. Niemal wpadłam w euforię. Wszystko mi świetnie wychodziło. „Czy jesteś dumna z zawodowych osiągnięć swojego partnera?” „Tak”, jestem. Bardzo dumna. I wreszcie: „Czy miewasz mieszane uczucia na temat niektórych rzeczy, jakie twój partner robi lub mówi?” Z rosnącą irytacją wpatrywałam się w pytanie, z ręką zawieszoną nad pismem.

- Dalej... dalej... - krzyczał komentator. - Czas mija! Szybciej!

Mieszane uczucia? To nie było łatwe pytanie. Spojrzałam na Josa. Przypomniało mi się, jak flirtował z tym gejem i jak się przede mną usprawiedliwiał. Przypomniałam sobie tę dziewczynę, która zaczepiła go w Glyndebourne i jak go to zdenerwowało. Przypomniałam sobie o aluzjach Sophie, choć nadal nie wiedziałam, o co jej chodziło. Przypomniałam sobie, że Jos zawsze odsłuchuje nagrania na automatycznej sekretarce z maksymalnie ściszym głosem. I przypominałam sobie także jego potrawę „własnej roboty” i laptop Matta. Oraz to, co się zdarzyło dziś rano, kiedy krzyczał na Grahama. Musiał wyczuć, że o nim myślę, bo nagle się odwrócił i uśmiechnął do mnie tym swoim rozczulającym uśmiechem. „Czy miewasz mieszane uczucia?” - pytali w kwestionariuszu. Uśmiechnęłam się do Josa i zdecydowanie zaznaczyłam odpowiedź „nie”. Dodałam swoje wszystkie odpowiedzi. Jeśli miało się więcej niż siedem odpowiedzi „tak”, pasowało się do siebie. Jeśli się miało dziesięć odpowiedzi „tak”, związek był po prostu idealny. I taki właśnie wynik mieliśmy z Josem: na dziesięć pytań dziesięć odpowiedzi „tak”.

- Co za niewiarygodny wynik! - dobiegło z głośnika. Zgadza się - pomyślałam. - Piętnaście do czternastu dla Anglii. Anglia przechodzi do finału.

Kiedy poszliśmy na herbatę, znów poczułam się szczęśliwa. Jos i ja byliśmy doskonałą parą. Mieliśmy naturalnie drobne spięcia, ale w końcu nie powinno to dziwić. Kiedy pobraliśmy się z Peterem, byliśmy tak młodzi, że nie mieliśmy żadnych ostrych kantów. Byliśmy elastyczni, jak młode drzewka. Dorastaliśmy razem, dopasowując się wzajemnie do siebie. W wieku trzydziestu

pięciu lat miało się już swoje nawyki i przyzwyczajenia. Co oznaczało, że wobec nowego partnera należało od czasu do czasu, pójść na kompromis. Tak postępują dorośli dojrzały ludzie - pomyślałam. Starają się być elastyczni. I ja się tak właśnie zachowywałam wobec Josa. Gdy szliśmy przez trawnik, Lily wspomniała o irytujących telefonach.

- Dprowadzają mnie do szału - stwierdziła. - Zdarzają się przypadkowi wariaci czy ludzie, których wyrzuciłam, ale najczęściej to stare wydania.

- Co takiego? - spytał Jos.

- Och, byli faceci - wyjaśniła od niechcienia. - Choć łatwo sobie z nimi poradzić.

- Naprawdę? - zapytał Jos. - Jak?

- Możesz nie przyjmować ich telefonów.

- W jaki sposób?

- To się nazywa „Wolność Wyboru”. Wykręcasz numer 14258, potem dwie gwiazdki, a na końcu wstukujesz numer osoby, z którą nie chcesz rozmawiać. Następnym razem, gdy dzwoni ten człowiek, automatyczny głos każe mu się odczepić. Używam tego cały czas - stwierdziła z zadowoleniem. - To świetny wynalazek.

- Faktycznie - przyznał Jos.

- Też masz tego rodzaju problemy?

- Eee... Ja... Nie, właściwie nie, ale ciągle dzwoni do mnie... ten facet, który usiłuje... Namówić mnie na ubezpieczenie. Straszna nuda. Wiesz, jacy są agenci. Nie przyjmuje do wiadomości, że nie skorzystam z jego oferty.

- Następnym razem, jak zadzwoni, naciśnij ten kod - poradziła Lily. - Więcej nie uda mu się dodzwonić.

- Ten upał mnie rozkłada, Faith - powiedział po chwili Jos. - Czy moglibyśmy wrócić do domu? - Skinęłam głową. Też miałam już dość. Idąc na parking, spojrzałam w niebo. Pierzaste chmury wydłużyły się i zaczęły się zakręcać jak bumerang. To oznaczało, że antycyklon uderzył w ciepły front, co zapowiadało napływ niskiego ciśnienia. Gdy wracaliśmy do Londynu, niebo z kobaltowego zmieniło kolor na metalowoszary. Kiedy weszłam do domu, spojrzałam na barometr. Poszedł na „zmianę”*. Sara wyszła, Jos też poszedł do domu. Gdy całował mnie na pożegnanie, Graham zawarczał głośno.

Jos rzucił mu pogardliwe spojrzenie i powiedział:

- Zobaczysz, co cię czeka.

Zrobiło mi się przykro, bo to było kiepskie zakończenie dnia. Spoglądając na Josa, który odchodził ścieżką, zauważyłam, że niebo ma już ołowiany kolor. Kłębiły się na nim cumulonimbusy i słychać było dalekie grzmoty. Mieszane uczucia - pomyślałam. Mieszane uczucia. Nigdy ich przedtem nie miałam. Oczywiście zdarzało się, że Peter mnie złościł. Zostawiał podniesioną deskę w łazience, zapominał zakreścić pastę do zębów, chrapał przez pół nocy albo opowiadał dowcipy, które słyszałam już sto razy. Nigdy jednak nie miałam tego dziwnego wrażenia, które odczuwam czasem w obecności Josa. Nie, z Peterem nie było żadnych mieszanych uczuć, aż do początku tego roku. Wtedy wszystko się zmieniło, stwierdziłam gorzko. Rozległ się głośny grzmot. Wtedy wszystko ruszyło w złym kierunku. Nagle zapragnęłam z nim porozmawiać. Wystukałam jego numer.

- Halo, Peter - powiedziałam szybko. W końcu wciąż jest moim mężem. - Peter, ja...

- Halo, Faith. Cieszę się, że dzwonisz. Ja...

- Tak?

- Ja... - zaczął znów i się roześmiał. Ja też się roześmiałam.

- Ty pierwszy - powiedziałam.

- Właśnie miałem zamiar do ciebie zadzwonić.

- Naprawdę? - Poczułam się szczęśliwa. Wyrzałam przez okno. Rozdwojona błyskawica przecięła czarne niebo.

- Posłuchaj, Faith - powiedział jakoś tak nieśmiało. - Chciałem z tobą porozmawiać.

- Tak? - Serce zabiło mi szybciej. Na ścieżkę padały krople wielkości naboju, rozpryskując kurz.

- Chciałem powiedzieć...

- Tak? - Stukot wielkich kropli prawie go zagłuszał.

- Właściwie to chciałem cię zawiadomić, że przez parę dni mnie nie będzie.

- Wyjeżdżasz służbowo? - Znów rozległ się głośny grzmot.

- Nie - odparł lekko zażenowanym, jakby przeproszającym tonem. - Wyjeżdżam na urlop.

- Na urlop! To fantastycznie! - wykrzyknęłam, a jednocześnie coś boleśnie ukłuło mnie w serce. - Dokąd się wybierasz?

- Do Norfolk...

- Jak miło - przerwałam. Szyby były zupełnie zamazane deszczem. - Wielkie piaszczyste plaże i niebieskie niebo...

- Jadę do Norfolk w Wirginii. Poznać rodziców Andie - dodał. Wielka łąza rozprysła mi na dłoni.

Sierpień

Teraz miewam inne sny niż kiedyś. Dobrze to wiem, boje zapisuję. Na przykład na początku roku śniły mi się telefony komórkowe. Pewnie dlatego, że mieliśmy z Peterem problemy z porozumiewaniem się. Śniły mi się też ogórki, co zapewne oznaczało stłumioną potrzebę lata. Kiedy zaczęłam podejrzewać Petera, śniło mi się, że utkwiałam na zboczu jakiejś góry. Najdziwniejsze jednak było to, że we śnie nie wiedziałam, czy idę pod górę, czy w dół. Kiedy Peter przyznał się do skoku w bok, miałam powtarzające się sny, w których spadałam z wysokich budynków. Lecąc w dół twarzą do ziemi, byłam przerażona. Pod sobą widziałam jedynie beton i asfalt - żadnej trawy. Gdy przyzwyczaiłam się już do myśli o upadku, nagle zdawałam sobie sprawę, że mam skrzydła i że już wcale nie spadam w dół, lecz fruвам. To było bardzo dziwne. W ostatnich dniach powtarza się jeden sen, w którym Peter leży w łóżku. Po prostu leży w wielkim podwójnym łóżku i patrzy na mnie. Zapewne oznacza to, że jak sobie pościelił, tak się wyśpi. Ostatnio w moich snach występują mosty. Myślę, że symbolizują fakt, iż staram się przejść na drugą stronę do Josa. Byłabym głupia, gdybym się wzbraniała, bo on jest coraz bardziej zaangażowany.

- Kocham cię - mruknął w niedzielny poranek, gdy leżeliśmy w łóżku. Słyszałam to już od niego dobrych parę razy. Zaczął też przysyłać mi do pracy romantyczne e-maile. - A ty? Też mnie kochasz? - spytał. Skinęłam głową. - Wydaje mi się, że od tego meczu w polo stałaś się... trochę daleka. Jakbyś... Słuchasz mnie, Faith?

- Co? Przepraszam.

- Jakbyś miała jakiś problem.

- Nie, nie, wcale nie. Nic podobnego - zaprzeczyłam i zaczęłam opowiadać mu o moich snach. Nie żebym chciała zmienić temat czy coś takiego.

- Czy stałem po drugiej stronie mostu? - zapytał, gładząc mnie po głowie. - Czy to ja czekałem na ciebie na drugim brzegu?

- Tak. Wyraźnie widziałam twoją twarz. - To nie była prawda. Josa w moim śnie nie było, ale nie chciałam mu robić przykrości. Nie mam z tego powodu wyrzutów sumienia, bo tak samo. Jak on, kłamię tylko ze szlachetnych pobudek.

- Przypuszczam, że masz fascynujące id - mruknął i mnie pocałował. - I dlatego masz takie wyraźne sny. Mnie śniło się coś śmiesznego - dodał, zakładając ręce pod głowę. - W pewnym sensie to był koszmar. Śniło mi się, że stałem w foyer opery i z jakiegoś powodu zacząłem się rozbierać.

- Naprawdę? - spytałam ze śmiechem.

- Tak. Zdejmowałem ubranie, a ludzie właśnie wchodzili do opery.

- Okropne.

- Byłoby niesłychanie żenujące, gdyby nie to, że nikt mnie nie widział. Ja jednak bałem się, że mnie zauważą. Naprawdę byłem przerażony, że zobaczą mnie bez ubrania.

- I zobaczyli?

- Trudno powiedzieć. Podejrzewałem, że mnie widzą, ale taktownie odwracają wzrok. Przy końcu snu stałem w foyer całkiem nagi, modląc się, żeby nikt mnie nie zobaczył.

- Bardzo dziwne - powiedziałam, chichocząc. - Ciekawe, co to znaczy. Wiem! To znaczy, że jesteś bardzo uczciwy, gotów zrehabilitować się publicznie do rosołu. Zapytam Katie, jak wróci. Ona jest dobra w te klocki.

O tak, Katie bardzo lubi sny. Zgadza się z Freudem, że sny są „królewską drogą do podświadomości”. Wierzy, że zawierają ważne przesłania od nas do nas.

- Ciekawa jestem, co się śni Grahamowi - powiedziałam, spoglądając na psa, który drzemał przy drzwiach.

- Przypuszczalnie nożyczki i noże - powiedział Jos, uśmiechając się ponuro. - Mówię poważnie - dodał. - Powinnaś porozmawiać z weterynarzem.

- Muszę? - spytałam z westchnieniem.

Jos pocałował mnie w czoło.

- Tak - powiedział cicho. - Musisz. Jeśli Graham i ja mamy razem mieszkać, to obawiam się, że nie ma innego wyjścia. A jak się posuwa rozwój? - spytał, siadając na łóżku i przeciągając się.

- Chwilowo stoi w miejscu. A nawet chyba utknął na poboczu. Rory Cheetham-Stabb nie kontaktował się ze mną od dobrych paru tygodni.

- Wyobrażam sobie, że Peterowi się raczej spieszy - stwierdził Jos, wstając. - Jego związek z Andie ma wyraźnie poważin charakter.

O tak - pomyślałam gorzko. Bardzo poważny. Kiedy Jos poszedł do łazienki, przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z Peterem.

„Muszę pojechać do Stanów - powiedział. - Muszę poznać rodziców Andie”. Wynikało z tego, że ich związek jest naprawdę poważny. Złamał mi serce tą wiadomością, bo choć i tak mieliśmy się rozstać, miałam wrażenie, że obrotowe drzwi naszej separacji zastąpiła żelazna brama z napisem: „Wstęp wzbroniony”. Jednak od czasu naszej ostatniej rozmowy przemyślałam sobie wszystko. I, jak nieustannie powtarza Lily, muszę iść naprzód. Muszę porzucić starą egzystencję, gdyż - no, oczywiście, właśnie o tym był mój sen! - muszę przejść przez most do nowego życia. Życia, w którym Peter nie będzie już zajmował centralnej pozycji, lecz znajdzie się na uboczu. Andie chciała zdobyć jego głowę i udała się jej. Później wróciła po resztę.

- Kiedy poznam twoich rodziców? - spytał Jos, gdy weszłam za nim do łazienki.

- Jak wrócą w przyszłym tygodniu z Francji. Naprawdę chcesz ich poznać? - zapytałam, wkładając szkła kontaktowe.

- Tak. W końcu jesteśmy razem od trzech miesięcy. To poważna sprawa, prawda?

Poważna, znów to słowo.

- Owszem - przyznałam cicho.

Jos sięgnął do wspólnej szklanki po swoją szczoteczkę do zębów. Prawdę mówiąc, nie chciałam, żeby ją tam trzymał, ale nie wiedziałam, jak mu to powiedzieć. Wycisnął pastę i zauważyłam, że robi to bardzo porządnie, od końca, a nie tak jak Peter, ze środka.

- Uważam też, że powinnaś poznać moją matkę - stwierdził Joś, starannie zakręcając tubkę. - Chciałabyś?

- Oczywiście.

Umył zęby, splunął do umywalki i pocałował mnie na miętowe

- Kocham cię - powiedział z uśmiechem. - I mam wobec ciebie pewne plany.

Spojrzałam na wpół wykończone malowidło na ścianie. Morze było przejrzyste turkusowe, a niebo na suficie błękitne. Pal-

my wyglądały tak realistycznie, że niemal słyszałam szum liści na wietrze. Zdałam sobie sprawę, że Jos odmienił moją perspektywę. Miałam przed sobą widoki, jakich nigdy przedtem nie widziałam. A jednak...

- Mogłabyś powiedzieć, że ty też mnie kochasz - mruknął, oglądając twarz w lustrze.

- Też.

- To powtórz: „kocham cię”.

- Powtarzam.

Spojrzał na mnie zmrużonymi oczyma, a potem wycisnął na dłonie krem do golenia.

- A właściwie dlaczego mnie kochasz? - spytałam nagle, siadając na brzegu wanny.

- Dlaczego cię kocham? - powtórzył. Rozsmarowywał krem na brodzie i na szyi. - Dlaczego cię kocham? Bo jesteś tego warta. Dlatego. - Znowu spojrzał w lustro i uśmiechnął się. - Dlaczego pytasz?

- Ponieważ jestem tylko przeciętnie ładna i nie jestem bogata ani sławna. Mam dwoje dzieci i psa, którego nie znosisz. Na świecie są miliony kobiet. Co cię pociąga akurat we mnie? - spytałam wprost. - Dlaczego akurat mnie wybrałeś ze wszystkich kobiet, które mogłeś mieć?

- Powiem ci - odparł, przykładając brzytwę do lewego policzka. - Twoja rozłoszczona buzia. Kobiety zwykle się do mnie uśmiechają. Flirtują ze mną i usilnie starają się mnie poderwać. A ty zachowałeś się zupełnie inaczej - mówił, skrobiąc skórę. - Powiedziałaś, że bym się odpieprzył.

- To prawda - przyznałam ze śmiechem.

- Im bardziej wrogo się zachowywałaś, tym bardziej mówiłem sobie, że zmuszę cię, abyś mnie pokochała...

Wyrzałam przez okno na opalizujące niebo z lekką zapowiedzią letniego deszczu. Słońce, starając się przebić przez welon z chmur, wyglądało jak zamazane białe koło.

- Powiedz. - Jos wziął mnie w ramiona. Spojrzałam w dół i spostrzegłam, że popękał mi lakier na paznokciach u nóg. - Kochasz mnie?

- Tak - mruknęłam.

Rzucił mi dziwny uśmieszek, potargał mi włosy, ubrał się ' poszedł do pracy. W Covent Garden często mają próby w czasie weekendu i dziś zespół *Butterfly* miał pierwszą próbę w dekoracjach.

Jos musiał przy tym być, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku.

- Będę w domu o siódmej! - zawołał od drzwi. - Słyszysz, Faith? - W domu? - Słyszysz, Faith? Będę o siódmej.

- Super- odpowiedziałam, choć nie używam tego słowa.

Parę minut później zaszczekał Graham. Poczta. Przyszła kartka od dzieci - *Ons 'amuse!* - napisały - i kolejna obrzydliwa brązowa koperta. Położyłam ją na stercie innych brązowych kopert na grzejniku i nastawiłam Radio 4. Nadawali „Gorzkie prawdy” i między innymi mówili o albumach fotograficznych. W tle słychać było ten stary przebój: *Z tego powstają wspomnienia*. Wyciągnęłam nasze albumy i przeglądałam je, pijąc herbatę. - *Weź jeden świeży i czuły pocałunek* - śpiewał Dean Martin - / *dodaj jedną skradzioną noc rozkoszy*. Znalazłam nasze zdjęcie z uniwersytetu. Byliśmy owinięci szalikami. *Jeden chłopak, jedna dziewczyna*. Nawet nie było widać, gdzie się kończył jeden szalik, a zaczynał drugi. *Trochę radości, trochę smutku*. Obejmował mnie i byliśmy roześmiani od ucha do ucha. To było zdjęcie z marca 1985 roku, chodziliśmy ze sobą dopiero od miesiąca. *Z tego powstają wspomnienia*. Podobał mi się od balu dla pierwszego roku, ale byłam zbyt nieśmiała, żeby go zaczepić. Jednak pewnego dnia usiadł obok mnie na wykładzie i tak to się zaczęło. *Twoje wargi na moich. Dwa łyki wina*. Znow spojrzałam na zdjęcie. *Z tego powstają wspomnienia*. Z wiekiem lekko wyblakło. Byliśmy tacy młodzi i tacy zakochani, ale mieliśmy zaledwie po dziewiętnaście lat. Był moim pierwszym chłopakiem, a ja byłam jego trzecią dziewczyną. *Dodaj dzwony weselne*. W następnym albumie były zdjęcia z naszego ślubu, który odbył się w następnym roku. Peter wyglądał na szczęśliwego, choć trochę zaskoczzonego, jak wszyscy młodzi narzeczeni. *Dom zamieszkały przez kochanków*. Miałam na sobie pelerynę z aksamitu, która chroniła mnie od zimna. Na zdjęciu Sara rozmawia z moją matką. Była wtedy niewiele starsza ode mnie dzisiaj. I, oczywiście, Lily, elegancka, choć jakby lekko rozczarowana, ł Mimi, z długimi włosami, rozmawia z moim ojcem.

Troje dzieci dla rozrywki. W następnym albumie były wczesne zdjęcia Katie, która już wtedy wyglądała bardzo poważnie. *Spędzaj wesoło każdy dzień*. Peter w todzie na rozdaniu dyplomów, z Katie na ręku. Założył jej na głowę czapkę studencką, ja stoję obok, w ciąży z Mattem, w sukience od Laurry Ashley. *To są marzenia, które zachowasz*. W kolejnym albumie były zdjęcia

z wakacji w Walii, to musiał być 1989 rok. *Z tego powstają wspomnienia.* Peter był asystentem w Fenton & Friend i mieliśmy strasznie mało forsy. Spędziliśmy jednak cudowny tydzień w Tenby, a Matt postawił pierwsze samodzielne kroki na plaży. Za każdym razem, kiedy się przewracał i pędziłam, żeby go podnieść, protestował z krzykiem, bo chciał wszystko robić sam. *Z tego powstają wspomnienia.* Znajomy głos Johna Peela mruczał w radiu, a ja otworzyłam następny album zatytułowany: „Chiswick, 1993”. Właśnie kupiliśmy ten dom. To był dla nas szok finansowy, ale Peter znów awansował, a ja pracowałam na zastępstwie w AM-UK! Na zdjęciu byliśmy we czwórkę w kuchni, pierwszego dnia w nowym domu. Dzieci cieszyły się z ogrodu, bo przedtem znały tylko mieszkanie w bloku, a ja ugotowałam masę spaghetti bolognese. *Przypraw wszystko mi/ością.* Śmiałyśmy się, gdy sos kapał nam po brodzie, a Peter obejmował mnie i dzieci. *Jeden mąż, jedna żona.* Zakładałam śliniak Mattowi na i tak już poplamioną koszulkę. *Jedna miłość, jedno życie.* Chyba ustawiłam aparat na samowyzwalacz. *Z tego powstają wspomnienia...*

- A teraz - powiedział John Peel, gdy ucichła muzyka - romantyczna opowieść kobiety, która znalazła nową miłość... z byłym mężem.

Najpierw wysłuchiłam ponurej historii rozwodu.

- *Niczego się nie spodziewałam... Ktoś, kogo poznał w pracy... Jakby twoje serce przeszło przez niszcarkę do dokumentów... Jakby życie się zatrzymało... Nie mieliśmy dzieci, więc się wyprowadziłam do Devon... Zostawiłam go jej - parsknęła. A ja uśmiechnęłam się smutno. - Powoli zaczęłam wracać do siebie... Jeden czy dwa romanse... Nowi przyjaciele... Mimo to.. .*

- Właśnie - powiedział John Peel. - Mimo to...

- *Mimo to chciałam powrotu do starego życia. Przez Pięć lat usiłowałam zagłuszyć wspomnienia, ale one wracały. Wszystkie te lata wspólnych doświadczeń i wspólnej historii. Zdjęcia z albumu. Nasza historia. Chciałam, żeby to wróciło i ta tęsknota za Przeszłością stawała się coraz silniejsza. Przekonałam się, że nie potrafię zrzucić starego życia, jak jaszczurka zrzuca skórę.*

- I co pani zrobiła?

- Któregoś dnia zadzwoniłam do niego do pracy. Nie rozmawialiśmy przez sześć lat. Nie miałam pojęcia o jego sytuacji. Słyszałam, że ten pierwszy romans nie trwał długo, ale nie wiedziałam, czy kogoś nie ma. Nie wiedziałam nawet, co chciałam powiedzieć. To był taki moment, kiedy człowiek postanawia działać i wie, że jeśli tego nie zrobi właśnie w tym ułamku sekundy, to nie zrobi tego już nigdy. Strasznie się denerwowałam, kiedy telefonistka mnie łączyła. On podniósł słuchawkę i usłyszałam jego głos. Powiedziałam: „Mark, mówi Gili”. To wszystko. Zapadła cisza i pomyślałam, że popełniłam bardzo głupi błąd, którego będę żałowała do końca życia. A on nagle powiedział: „Powiedz mi, gdzie jesteś i nie ruszaj się stamtąd. Jadę do ciebie”. Od tego czasu nie rozstaliśmy się nawet na jeden dzień.

- A jak jest teraz? - spytał John Peel.

W czasie krótkiej ciszy usłyszałam stuk pazurów Grahama na linoleum i poczułam delikatny ciężar jego łba na kolanach.

- Skłamałabym, gdybym powiedziała, że jest lepiej niż było. Oczywiście byłoby lepiej, gdyby ten romans się nigdy nie zdarzył. Ale jest inaczej. Tak, nasze małżeństwo się naprawiło. - Odruchowo głaskałam Grahama po uszach. - Widzimy, naturalnie, łaty, ale są one po prostu częścią naszej historii, tego kim jesteśmy, i mają swoje miejsce na zdjęciu.

Przerzucałam fotografie psa, leżącego u Petera na kolanach, łapiącego piłki tenisowe na łące, podskakującego wysoko w górę ku radości dzieci, które śmiały się i klaskały w dłonie. Przewróciłam kartkę i zobaczyłam siebie. Nie było to zbyt interesujące zdjęcie - prasowałam akurat koszulę Petera. Nie mam pojęcia, dlaczego je w ogóle zrobił. Spoglądałam prosto w aparat i śmieję się. To musiało być jesienią 1999 roku. Zanim Peter zaczął mieć problemy w pracy. Kiedy wszystko jeszcze było dobrze. Patrząc na zdjęcie, nagle zobaczyłam zamiast siebie Andie, jak się śmieje i prasuje jego koszulę. Nie mogłam znieść myśli, że mogłaby zrobić dla niego coś tak przyziemnego. Wkładać do pralki jego ubrania. Myć mu plecy w wannie. Nie mogłam znieść myśli, że mogłaby znać te wszystkie szczegóły, które znam ja. Na przykład to, że nie ma małego palca u lewej stopy. Albo że lubi Gladys Knight i Pip⁵-

[nie mogłam znieść myśli, że dzieli z nim chwile domowej intymności, która do tej pory była zawsze i wyłącznie moim udziałem. Wiedziałam, że nasza przytulna wspólnota zostanie już tylko na wyblakłych zdjęciach. Kiedy program się skończył, znów puścili Peana Martina, a ja poczułam znajomy ucisk w gardle i ból w sercu. Przed oczami miałam zdjęcie, na którym stoimy z Peterem, w ogrodzie za domem, zrobione w maju zeszłego roku. Peter mnie obejmuje, a ja się do niego przytulałam. *Jeden mąż, jedna żona*. Zdjęcie zadrżało mi w dłoniach i rozmazało się przed oczyma. Rozpłakałam się z żalu nad sobą. *Jedna miłość, jedno życie*. Usłyszałam mruknięcie Grahama - nie cierpi, kiedy płaczę. Położył mi łapy na kolanach i próbował polizać mnie po twarzy. *Z tego powstają wspomnienia*. Na pewno, pomyślałam gorzko. Na wszystkich fotografiach byliśmy razem. Razem. Wkrótce jednak będziemy na zawsze oddzielnie. Wyrwał mi się głośny szloch. I następny.

- Och, Peter - powiedziałam.

Kiedy człowiek się rozwodzi, jest wytracony z równowagi. Emocje przypominają huśtawkę, wszystko wygląda jak w krzywym zwierciadle. Boi się zaufać własnemu sądowi.

- Musisz trzymać uczucia na wodzy - poradziła Lily tydzień później, gdy siedziałyśmy w Nail Bar przy Maddox Street. Przyszła na cotygodniowy manikiur. Jennifer Aniston pochrząkiwała na moich kolanach.

- Źle się czujesz nie dlatego, że chciałybyś, żeby Peter wrócił - zauważyła, gdy przycupnęłyśmy w zygzakowatym wnętrzu na różowych krzeselkach barowych w stylu Barbie - lecz dlatego, że jest z kimś innym. - Wcześniej nie przyszło mi to do głowy, teraz jednak uznałam, że coś w tym jest. - To typowy syndrom - mówiła dalej, gdy manikiurzystka, a raczej „techniczka paznokci” sprawnie usuwała stary lakier w kolorze *rouge noir*. Paznokcie Lily od tak dawna nie widziały dziennego światła, że stały się zjadliwie żółte. - Przecież nie zależy ci na Peterze - dodała, przekrzykując muzykę.

- Nie?

- Jasne, że nie. Nie chcesz jednak, żeby miała go Andie.

- To prawda.

- Od tygodnia jesteś w złym nastroju, bo Peter wybiera się z nią do Stanów.

W tym momencie wyobraziłam ich sobie w Wirginii, na jachcie w Chesapeake Bay lub na wyprawie w górach Blue Ridge.

- Przykro mi, że musiałam powiedzieć ci to wprost - powiedziała Lily. delikatnie pociągając przez słomkę sok z kwiatów czarnego bzu. - Wiesz, że na ogół tego rodzaju uwagi nie są w moim stylu, lecz jedynie przez brutalną analizę wydarzeń mogę ci pokazać, co jest prawdą. Zależy ci na Josie. - Manikiurzystka nałożyła podkład na perfekcyjnie opielowane paznokcie.

- Tak? - spytałam, wdychając zapach acetonu.

- Tak. Choć sentymentalnie kochasz Petera.

- Czuję się sentymentalnie - powiedziałam. Lily wsunęła dłoń pod suszarkę. Spojrzałam na moje postrzępione skórki. - W końcu byłam jego żoną przez piętnaście lat.

- To bardzo ładnie, kochanie, ale nie popadaj w przesadę. Z drugiej strony podziwiam, że w świetle tego, jak cię potraktował, w ogóle coś do niego czujesz.

- Co ja na to poradzę? - jęknęłam.

- Głupio robisz - orzekła, gdy manikiurzystka nakładała warstwę twardego lakieru krótkimi szybkimi pociągnięciami pędzelka. - Poza tym rozczulasz się nad sobą. Nie powinnaś tego za często robić, bo zniechęcisz Josę. - Spojrzała na mnie kątem pięknego skośnego oka. - A tego byś nie chciała, prawda? - Milczałam. - Chciałabyś tego, Faith? - Usiłowałam sobie wyobrazić, jak by wyglądało moje życie bez Josy.

- Chcesz być samotna? - spytała Lily.

- Nie - odparłam ponuro. - Nie chcę.

- Chcesz bywać na przyjęciach i koktajlach zupełnie sama? Wierz mi, moja droga, że to wcale nie jest zabawne.

- Ty robisz wrażenie, jakbyś się dobrze bawiła.

- Ja zawsze byłam sama, ale dla ciebie to byłoby piekło. Zjadłyby cię nieśmiałość i strach, czułabyś się wystawiona na ludzkie spojrzenia i bardzo samotna. Dodaj do tego fakt, że za każdym razem, gdy poznawałabyś jakiegoś sensownego faceta, polowałoby na niego jeszcze pięćset innych bab. Trawa naprawdę nie jest zieleńsza po drugiej stronie parkanu.

- Tak, wiem. Tyle że czuję się trochę... niepewnie.

- Dlaczego? Co jest z nim nie tak?

- Nie wiem. To nic konkretnego. Zachowuje się wobec mnie bez zarzutu. Ciągłe mnie adoruje i ma doskonałe maniery. Chociaż niedawno krzyczał na Grahama, co bardzo mi się nie podobało.

- Najwyraźniej nie przypadli sobie do gustu. Ale ty i Jos tak. Ma meczu polo pomyślałam, że naprawdę do siebie pasujecie.

- Pasujemy? - mruknęłam, przypominając sobie kwestionariusz. - Być może. Jos jest utalentowany, przystojny i zdają sobie sprawę, że mam szczęście, jednak jest coś... - Gapiłam się na jej pomalowane paznokcie. - Nie potrafię tego zdefiniować.

- Uważam, że nieźle się załapałaś - stwierdziła Lily. - Wiele kobiet wiele by dało za takiego faceta.

- Mówisz, jakby Jos był wygraną na loterii. To nie jest konkurs.

- Oczywiście, że jest! - wykrzyknęła. - Nie bądź naiwna! Nasza redaktorka od działu urody oglądała wasze zdjęcia z meczu polo i powiedziała, że Jos jest cudowny.

- Naprawdę? - spytałam lekko oburzona.

- Owszem. Okropnie jej się spodobał. I jeszcze paru młodym dziewczynom w „Moi!”.

- Ach, tak. - Nie wiedziałam, czy się cieszyć, czy raczej de-nerwować.

- Czyli i tak konkurujesz z innymi kobietami - podsumowała Lily. - I na razie wygrywasz. Ale Jos nie będzie się ciebie trzymał, jeśli się okaże, że wciąż myślisz o Peterze, więc na twoim miejscu trochę bym go podbudowała.

- Pewnie masz rację - powiedziałam, wzdychając.

- Mam. - Obejrzała swoje błyszczące, krwawoczerwone paznokcie. - W porządku. Gotowe - oznajmiła z uśmiechem. Potem wzięła ode mnie Jennifer Aniston, posadziła ją sobie na kolanach i oparła jej przednie łapy na kontuarze.

- To jest pani następna klientka - powiedziała. - Proszę użyć koloru Perfectly Pink Chanel.

W następny piątek rodzice przywieźli dzieci. Spieszyli się i nawet nie weszli do domu, bo następnego dnia lecieli do Ziemi Ognistej. Katie i Matt trochę urosli i byli opaleni. Graham oszalał, gdy ich zobaczył Szczekał i piszczął z radości.

- Dobrze się bawiliście? - spytałam, przytulając ich na powitanie.

- *Formidable* \ Wspaniale - powiedział Matt.

- To dobrze. A więc babcia wywiązała się z obietnicy?

- O tak - powiedziała Katie. - Przez cały czas rozmawiali-
by po francusku.

- *Tout le temps*. Przez cały czas - dodał Matt.
- No to... bardzo dobrze - ucieszyłam się. - Tu jest list do was - dodałam, gdy ruszyli na górę. Podałam Katie niebieską lotniczą kopertę, w której był list od Petera. Przyszedł poprzedniego dnia.
- Czy tata dobrze się bawi? - spytałam na tyle od niechcenia, na ile było mnie stać, gdy Katie czytała list w kuchni.
- Czy dobrze się bawi? - powtórzyła. - Sama się przekonaj. - Podała mi list.

To jest bardzo interesująca część Stanów Zjednoczonych. Miejsce pierwszej europejskiej osady w Ameryce Północnej (1607)... Stan nazwano na cześć Elżbiety I, Królowej Dziewicy... Znany jest także jako Stan Starego Dominium... Jeden z pierwszych trzynastu stanów USA. Główny producent tytoniu, orzeszków ziemnych, jabłek, pomidorów... Drewno... Wydobycie węgla też jest bardzo ważne. Liczne historyczne miasta, takie jak Williamsburg, Jamestown i Fredericksburg... Sześć i pół miliona ludności... Główne punkty orientacyjne to pasmo górskie Blue Ridge... Rzeka Shenandoah... Chesapeake... Rodzice Andie wydają się sympatyczni.

- Najwyraźniej przeżywa fascynującą przygodę - orzekłam, podając list Mattowi.

- Tak, bardzo się zainteresował historią stanu - potwierdziła Katie.

- Bo jest ciekawa.
- Oraz florą i fauną - dodała.
- Faktycznie.
- I polityką.
- Mhm.
- Wniosek? - spytała Katie.

- Bardzo mu się tam nie podoba - powiedział Matt. Serce omal nie wyskoczyło mi z piersi z radości.

. - To jest freudowskie pomijanie - stwierdziła Katie. - W ogóle nie wspomina o Andie. A to zdanie: „Rodzice Andie wydają się sympatyczni”, świadczy o tym, że w ogóle mu się nie podobają-

- Tak sądzisz?

- Wiem. Biedny tata - dodała, wykrzywiając się. - Ale ona złapała go na haczyk i nie zamierza puścić. Co słysząc u Josa? - spytała nagle.

- Wszystko w porządku. Jutro przychodzi na kolację. Fajnie* prawda?

- *Jem 'enfou*. Szaleję - odpowiedziała, wzruszając ramionami-

- *Cela m 'est egal*. Wszystko mi jedno - dodał Matt.

- Nie jesteście zbyt entuzjastycznie nastawieni.

- Nie - przyznał Matt.

- To nieładnie, Jos jest dla was zawsze bardzo miły. A co się wam nie podoba?

- Och, nic szczególnego - powiedziała niechętnie Katie. - Tylko za bardzo się stara.

- To jeszcze nie przestępstwo.

W sumie nie było najgorzej. Jos namalował dla nich transparent „Witajcie w domu” i powiesił go nad schodami. Prawdę mówiąc, wołałabym, żeby tego nie robił. Przyniósł im także drobne upominki. Wypytał ich dokładnie o pobyt we Francji i jak zwykle bardzo się starał. Dzieci zachowywały się chłodno i obojętnie, ale to typowe dla nastolatków, prawda?

- Co robiliście we Francji wieczorami? - spytałam, gdy jedliśmy *boeuf bourgignon*.

- No... Graliśmy w karty - odparła Katie, grzebiąc widelcem w talerzu.

- W karty? Świetnie. A w co? W remikę?

- Urn... No... Tak - powiedział Matt, bawiąc się pieprzniczką.

- Czy może babcia nauczyła was grać w brydża?

- Tak, tak - powiedzieli oboje, gdy wstałam, żeby sprzątnąć ze stołu.

- Pyszne było, mamó - powiedziała Katie.

- Doskonałe - przytaknął Jos. - Po prostu pieskie jaja! - Spojrzałam na niego z lekka zdumiona. Matt i Katie się roześmiali. - A skoro już mówimy na ten temat. Faith... Czy nie powinniśmy powiedzieć dzieciom o... zabiegu Grahama?

- Jakim zabiegu? - wykrzyknęli zaszokowani. - Czy Graham jest chory, mamó? - spytał Matt i pobiegł do psa, który leżał na swoim posłaniu.

- Nie, nic mu nie jest - powiedziałam.

- To o czym wy mówicie? - zapytała Katie.

- Graham jest wprawdzie wspaniałym psem - zaczął Jos - ale ma niefortunny zwyczaj łapania ludzi zębami.

- Nieprawda - stwierdziła Katie. - Nie ma takiego zwyczaju. Łapie tylko ciebie.

- Katie! - Rzuciłam jej ostrzegawcze spojrzenie.

- Ale to prawda, mamó. On rzuca się tylko na Josa.
- Nie będziemy się na ten temat spierać - powiedział gładko Jos, nadal z miłym uśmiechem. - Faktem jest, że dla psa z tendencją do agresywnego zachowania najlepszym rozwiązaniem jest...
- Jos! - przerwałam mu, spoglądając nerwowo na Grahama.
- *Pas devant le chien s'ii vous plait!*
- Co to znaczy? - spytał.
- To znaczy „nie przy psie” - wyjaśnił mu Matt.
- To wiem. Ale dlaczego nie? - spytał Jos.
- Bo on rozumie wszystko, co mówimy - odparłam szorstko.
- Nie żartuj, Faith - powiedział Jos. - Wydaje ci się.
- Tak jest - odezwała się Katie. - Rozumie masę rzeczy. Ma fantastycznie wysoki poziom inteligencji i, naszym zdaniem, zaśób co najmniej pięciuset słów.
- Wątpię, żeby znał słowo „kastracja” - zaśmiał się Jos. To mi się nie spodobało.
- Kastracja? - powtórzyła Katie.
- Co to jest? - zapytał Matt.
- Jak wycinają... no, wiesz... te rzeczy - wyjaśniłam. Na twarz) Matta pojawił się wyraz niedowierzania pomieszanego z ewidentnym strachem. - Psy stają się wtedy miłsze.
- Graham jest bardzo miły - zaprotestował Matt.
- Ale ma problemy ze współżyciem z innymi - powiedział Jos. - To prosty rutynowy zabieg. Nic nie boli i Grahamowi niczego nie będzie brakowało, możecie mi wierzyć.
- Skąd ty możesz wiedzieć? - spytała Katie. - Tobie by brakowało, nie?
- Katie! Nie bądź niegrzeczna.
- Wiesz, Katie - powiedział Jos, który wcale nie przejął się jej uwagą. - Dużo ludzi robi ten zabieg swoim psom. I słusznie, bo wtedy nie latają za dziewczynami.
- Dlaczego nie miałyby latać za dziewczynami? - spytała z oburzeniem Katie. - Ty to robisz.
- Katie! - powiedziałam ostro. - Za dużo sobie pozwalasz.
- Graham nie lata za dziewczynami, tylko za kotami - stwierdził Matt. Na to Graham zerwał się z posłania i szczekając, poleciał do tylnych drzwi.
- I po co to powiedziałaś? - jęknęłam. - Graham, tam nie ma żadnego kota. Chodź i się połóż. - Graham spojrział na mnie skonfundowany, a potem wrócił na kocyk.

- Tak czy inaczej, Faith i ja uważamy, że należy to zrobić - powiedział, zupełnie nieskonfundowany Jos.

- Założę się, że mama tak nie uważa - powiedziała Katie.

- Bardzo ci dziękuję, ale umiem mówić sama za siebie. Uważam, że powinniśmy... Powinniśmy... Zaczekać, aż wróci tata. - Jos wzniosł oczy do nieba.

- Dobrze - zgodziła się Katie. - Zaczekamy, aż wróci tata. I mogę wam powiedzieć, że on się na nic takiego nie zgodzi. Poza wszystkim, to by oznaczało, że Graham nie mógłby mieć dzieci.

- Tak, ale to nie ma większego znaczenia, bo wasz pies nie jest żadnym rasowym czempionem - zauważył Jos.

- Wiesz co - powiedziała wyniośle Katie - Graham nie jest może, jak raczyłeś podkreślić, rasowym czempionem, ale jest za to prawdziwym i naturalnym džentelmenem.

- Dobrze, dobrze. - Jos podniósł ręce do góry. - Żałuję, że w ogóle poruszyłem ten temat.

- My też - powiedział Matt, dając Grahamowi swój talerz do wylizania.

- Nie rób tego, Matt! - zawołałam. - To obrzydliwe.

- Tak samo jak obcięcie mu jaj. Chciałem mu poprawić samopoczucie - dodał Matt, gdy wyrwałam mu talerz. - Na wypadek, gdybyście zranili jego uczucia.

- Nikt się nie przejmuje moimi uczuciami - poskarżył się Jos. - Nikomu nie przeszkadza, że pies mnie gryzie.

- Czy kiedykolwiek ugryzł cię do krwi? - zainteresowała się Katie.

- No, nie.

- To nie było wobec tego żadne ugryzienie.

- Tak, ale któregoś dnia ugryzie mnie porządnie.

- Porządnie - mruknął pod nosem Matt.

- Czy moglibyśmy zapomnieć o tej rozmowie i zmienić temat? - zaproponowałam, gdy wróciliśmy do stołu. Wyjęłam z lodówki mus czekoladowy i zaczęłam nakładać go do miseczek. Graham zamknął oczy.

- Zasnął - powiedziała z ulgą. - Czy myślisz, że psy mają sny, Katie?

- O, tak. Mają fazę REM, poruszania gałkami, kiedy drżą im Powieki. Ludzie w tym czasie śnią więc u psów jest zapewne tak samo. Graham czasem jęczy przez sen, jakby śniło mu się coś złego. A czasami porusza łapami, jakby gonił za królikami.

- Sny są bardzo dziwne, prawda? - zauważyłam, gdy jedliśmy deser.

- Zazwyczaj są spełnieniem marzeń, w których nasze ego, dziecinna, szukająca przyjemności część naszej podświadomości, spełnia swe najgłębiej skrywane zachcianki - wyjaśniła Katie.

Jedliśmy w milczeniu, a ja zastanawiałam się nad tym, co powiedziała.

- Wczoraj miałam sen - powiedziałam po chwili. - Śniło mi się, że prasowałam koszule. Ale dokładnie wiem, dlaczego to akurat mi się śniło - dodałam, choć nie zamierałam tego wyjaśniać.

- Sen o prasowaniu oznacza, że chciałybyś wygładzić aktualne kłopoty - stwierdziła Katie. Jej słowa mnie zirytowały.

- Ja też miałem niedawno bardzo dziwny sen - powiedział Jos, zdeterminowany, żeby stopić otaczającą go od pół godziny warstwę lodu. I opisał swój sen, w którym rozbierał się w operze. Kiedy opowiadał, Katie uważnie go obserwowała. Najwyraźniej nie była pewna, co jego sen może znaczyć.

- Moim zdaniem, sen świadczy o tym, że Jos jest bardzo uczciwym człowiekiem - powiedziałam. - Może się nawet rozebrać w publicznym miejscu. Przynies swój sennik, Katie. Może będzie tam coś takiego.

- Nie muszę - odparła. - Dokładnie wiem, co taki sen oznacza.

- Ach, tak? - podchwycił Jos. - Co takiego? Bardzo chciałbym wiedzieć.

- Chodzi o odsłonięcie się - powiedziała spokojnie. - Sny o rozbieraniu oznaczają, że boisz się, iż ktoś dowie się o tobie czegoś, co wolałbyś ukryć.

Jos spojrzął przez moment w oczy Katie, a potem spuścił wzrok.

- Ten mus jest absolutnie genialny - powiedział. - Czy mogę dostać dokładkę?

Drogi Alfie - napisałam w poniedziałek, po ostatniej prognozie. - Błyskawica jest iskrą statycznej elektryczności, przelatującą między chmurą burzową a ziemią, lub między dwiema chmurami. Jeżeli błyskawica wyskakuje z chmury, nazywa się błyskawicą rozwidloną. Jeśli przeskakuje z jednej chmury do drugiej, nazywa się błyskawicą płaską. Mam nadzieję, że Ci się to przyda do pracy z geografii.

Droga Vicky. Pioruny są takie głośne, ponieważ w czasie burzy błyskawice rozgrzewają powietrze do bardzo wysokich temperatur - pięć razy wyższych, niż wynosi temperatura na powierzchni Słońca. Gorąco sprawia, że powietrze nagle się rozszerza z ponaddźwiękową prędkością, a to daje w efekcie ogłuszający hałas, który nazywamy piorunem. Taki sam efekt powstaje, gdy nad głową przelatuje nam samolot concorde. Mam nadzieję, że Ci się to przyda do pracy z geografii.

Droga Anil, mróz to zamrożnięta rosa. Jest biały, bo kryształki lodu są wypełnione powietrzem. Jeśli jest bardzo, bardzo zimno, kryształki lodu tworzą ostre igiełki. Nazywamy to szronem. Dziękuję za list i powodzenia w pisaniu referatu.

Włączyłam drukarkę, podniosłam głowę znad komputera i uśmiechnęłam się na widok Sophie.

- Kolejne listy od wielbicieli? - spytała, widząc stertę poczty na moim biurku.

- Niezupełnie. Listy od uczniów, którzy muszą napisać prace wakacyjne przed rozpoczęciem nowego semestru w przyszłym tygodniu.

- Ja nie dostaję żadnych listów - stwierdziła smutno.

- Niemożliwe.

- Naprawdę. Tyle co nie.

- To mnie bardzo dziwi. Poza wszystkim innym, powinnaś dostawać setki listów z oświadczeniami.

- Oświadczyły? - podchwycił Terry, który właśnie przechodził. Przystanął i rzucił jej figlarny uśmiešek. - Och, Sophie to nie interesuje, prawda, Sophie?

- Nie - odparła spokojnie. - Wcale nie. Mam dopiero dwadzieścia cztery lata i jestem o wiele za młoda na małżeństwo. - Skrzywił się, bo ugodziła w jego piętę achillesową. - Zamierzam najpierw zrobić karierę.

- Nie licz na to - powiedział i zaśmiał się głucho. - Może się okazać, że masz przerwę na reklamy. Nie byłbym za bardzo pewien swego na twoim miejscu - dodał znacząco.

- Nie jestem - odparła dwuznacznie, a potem odwróciła się do niego tyłem i podjęła rozmowę ze mną.

- Brawo - szepnęłam za plecami Terry'ego. - Jeden zero dla ciebie.

- Dzięki. - Choć wydawała się spokojna i opanowana, drżały jej dłonie. - A co u ciebie? - spytała, przysiadając na brzegu biurka.

- Och, wszystko w porządku. Tak, tak. Jos jest szalenie zapracowany. Aktualnie pracuje nad *Madame Butterfly*.

- *Madame Butterfly!* - powtórzyła.

- Nowe przedstawienie w operze. Premiera za trzy tygodnie. Dziś rano zabrał moje dzieci na próbę. Jest dla nich bardzo dobry.

- Naprawdę? - spytała z niedowierzaniem, baw iąc się moim domkiem pogodowym.

- Tak, wręcz fantastyczny. Cały czas się stara. Szczerze mówiąc, nie bardzo go doceniają, ale czego można się spodziewać po nastolatkach.

- A więc jest dobry dla twoich dzieci? - upewniła się.

- Tak, bardzo dobry.

Matt i Katie przyjęli ofertę Josa, żeby zwiedzić operę od kulis z umiarkowanym entuzjazmem. Wciąż traktowali go chłodno ze względu na psa, ale potrafili docenić ciekawą propozycję. W skrytości ducha miałam nadzieję, że wycieczka do Covent Garden trochę ich do siebie zbliży. Może gdy się przekonają, jak bardzo Jos jest uznawany i szanowany w swoim środowisku zawodowym, wyrobią sobie o nim lepszą opinię. Z drugiej strony nie byłam w stanie za bardzo się tym przejmować, bo czułam się wykończona. W poniedziałki zawsze jestem zmęczona, ale do środy przyzwyczajam się na nowo do wczesnego wstawania i tak mnie to nie męczy. Dziś jednak marzyłam o łóżku. Ku mojemu zdumieniu, kiedy wróciłam do domu, Graham nie czekał na mnie przy drzwiach. Zjrzałam do ogrodu, lecz tam też go nie było. Najwidoczniej zabrali go ze sobą - pomyślałam, z trudem wchodząc na górę. Jasne, gdy dzieci są w domu, Graham nie odstępuje ich na krok, stwierdziłam, rozbierając się i padając na łóżko. Graham uważa się za ich młodszego brata i chce robić to samo, co oni.

Byłam tak zmęczona, że zasnęłam, gdy tylko przyłożyłam głowę do poduszki. I znów miałam dziwne sny. Byłam w centrum handlowym i jechałam w górę ruchomymi schodami. Trzymałam w rękach kilka toreb z zakupami i z przyjemnością rozglądałam się dookoła. Kiedy już prawie dojechałam na górę, schody zatrzymały się i ruszyły w przeciwnym kierunku. Teraz zjeżdżałam w dół, co uznałam za bardzo dziwne, ale pomyślałam, że kiedy dojadę na dół, prawdopodobnie schody znowu ruszą do góry. Podniosłam głowę i zobaczyłam na górze tłum ludzi, którzy coś do

mnie krzyczeli. Widziałam, że krzyczą bardzo głośno, ale nie słyszałam ani jednego słowa, bo nagle okazało się, że ogłuchłam. Z ich zachowania i sposobu w jaki gestykulowali wywnioskowałam, że ostrzegają mnie przed jakimś niebezpieczeństwem. Odwróciłam się i spojrzałam w dół. Sklepy znikły i na ich miejscu ujrzałam wielką przepaść. Schody niosły mnie wprost nad krawędź i byłam już prawie na samym dole. Zaczęłam desperacko biec pod górę, lecz moje nogi nie nadały. Brakowało mi tchu, dostałam kolki, a kiedy znów spojrzałam w górę, zobaczyłam Petera z dziećmi. Stali na samym przedzie i krzyczeli, zagrzewając mnie do pośpiechu. W końcu, w końcu usłyszałam słowa. „Prędejj, mamoo! Prędejj!” - wołał Matt.

Wszystko w porządku, już cię słyszę.

- Mamoo! - krzyknął znów. Poczułam jego ręce na ramionach.

- Mamoo. obudź się! Graham zginął!

- Co?!

Kiedy otworzyłam oczy i zobaczyłam przy łóżku zdenerwowanego Matta, natychmiast zapomniałam o śnie. Na schodach usłyszałam kroki Katie i po chwili ona także wbiegła do sypialni.

- Przeleciałam całą ulicę - powiedziała bez tchu. - Nigdzie go nie ma.

- Co?

- Graham zginął, mamoo - powiedział z płaczem Matt. - Nie możemy go znaleźć.

- Myślałam, że wzięliście go ze sobą.

- Nie! Zostawiliśmy go w domu. Dopiero co wróciliśmy. Przyjechaliśmy metrem.

- Graham zginął?

- Tak. nie ma go.

- Nie denerwujcie się - powiedziałam, czując przyspieszone bicie serca. - Znajdziemy go, znajdziemy go, znajdziemy go, ale musimy zachować spokój. Która godzina? Wpół do piątej? O mój Boże! Nie ma go od dawna! - Włożyłam szkła kontaktowe, ubrałam się i popędziłam na dół.

- Graham! - zawołałam, wychodząc do ogrodu i klaszcząc w dłonie. - Graham! Chodź tu! Graham!

- Już go wołaliśmy - powiedział Matt. - Nie ma go.

- Jak się wy dostał?

- Przez okno w kuchni.

- Było tylko trochę uchylone.

- Wiem, ale jakoś się prześlizgnął. Spójrz, tu jest trochę jego sierści.

- O Boże! Co robimy?

- Zadzwońmy do taty! - zaproponowała Katie. Oczywiście! Szybko wystukałam numer komórki Petera. Odebrał po pięciu dzwonekach.

- Halo.

- To ja. Posłuchaj, nie możemy znaleźć Grahama. Wyszedł z domu i nie ma go już cały dzień. Szalejemy z niepokoju.

- Wyszedł? O Boże! Nie martwcie się, pomogę wam go odzyskać. Zaraz przyjadę i... O, nie! Przecież jestem w Ameryce! Dzwoniłaś na policję? Musisz zadzwonić na policję, musisz zadzwonić na policję, musisz zadzwonić na policję i do schroniska dla psów w Battersea, a potem musisz wziąć samochód i go szukać. Zadzwoń za dwie godziny. Pa!

Zadzwoniłam na komisariat w Chiswick, do wydziału zaginionych psów, i podałam dyżurnemu oficerowi opis Grahama:

- Mieszaniec owczarka szkockiego... Puszysta sierść koloru czerwonożółtego... Troszeczkę podobny do lisa... Białe plamy na piersi i na szyi... Grzbiet charta... Długi ogon... Oczywiście, że ma obroź z adresem... Nie, bez mikrochipów... Bardzo mądry... Naprawdę... Graham... Tak, zgadza się... Wiem, że dziwne... Dobrze, poczekam.

Zapadła przeraźliwie długa chwila ciszy, gdy policjant sprawdził spis psów.

- Mam dwa owczarki alzackie, teriera rasy West Highland, Jack Russella i trzy kundły, ale żaden nie pasuje do pani opisu. Zadzwońmy, jeśli ktoś go przyprowadzi. Powinna pani zadzwonić do schroniska w Battersea.

- Zaraz zadzwonię.

- I do miejscowych weterynarzy.

- Weterynarzy? Dlaczego?

- Bo psa mógł przejechać samochód. - Poczulałam się, jakby ktoś wbił mi nóż w serce.

- Wiesz, dlaczego tak się stało? - powiedziała Katie, gdy dzwoniłam do schroniska. - Dlatego, że Graham nie chce żadnego zabiegu. Rozwiniął się w nim syndrom Strachu Przed Kastracją. Mówiliśmy Josowi - dodała gwałtownie - że Graham wszystko rozumie, ale on nam nie wierzył.

- Halo, schronisko dla zwierząt w Battersea - powiedział głos w słuchawce.

Podawałam opis Grahama, usiłując powstrzymać łzy.

- Nigdy nam do tej pory nie uciekał - wyjaśniłam drżącym głosem. - Ma obrożę z tabliczką identyfikacyjną.

- Wiele psów przybywa do nas bez obroży - powiedziała kobieta. - Niech pani powie, czy ma jakieś znaki szczególne, bo mieszańce szkockich owczarków często się trafiają.

- Znaki szczególne? - Spojrzałam na dzieci, żeby mi coś podpowiedziały. Matt pokazał na ucho. - Ach, tak, jedno z jego uszu jest trochę krótsze, ł bardzo macha ogonem.

- Rozumiem - powiedziała grzecznie kobieta. - Przeglądałam w tej chwili naszą kartotekę i nie widzę niczego podobnego. Zadzwońmy do pani, gdyby się u nas znalazł. Jesteśmy otwarci do ósmej wieczorem.

Z bijącym sercem zadzwoniłam do pięciu klinik weterynaryjnych. Grahama w żadnej z nich nie było.

- Zostań w domu, Katie, żeby odbierać telefony, a my z Mattem pójdziemy go poszukać.

Najpierw poszliśmy na łąkę i wołaliśmy. Gdyby tam był, przyłeciałby w mgnieniu oka. Potem przeszliśmy po Chiswick High Road. Był duży ruch i myśl o tym, że mogłby chcieć przejść na drugą stronę napełniała mnie przerażeniem. Matt szedł jedną stroną ulicy, a ja drugą. Minęłam Waterstone'a, M&S, Linka, kościół i Cafe Rouge, a później ruszyłam w kierunku Kew Green. Wyglądałam na pewno jak głupia, lecąc ulicą z przerażonym wyrazem twarzy i wołając jego imię. Byłam jednak potwornie zdenerwowana i nic mnie nie obchodziło, co myślą ludzie. Wróciłam do domu o wpół do szóstej.

- Nikt nie dzwonił? - spytałam Katie. Z trudem oddychałam i byłam spocona.

- Tata, żeby się dowiedzieć, co się dzieje, a tuż przed chwilą Jos. Powiedziałam mu o Grahamie i zaraz przyjedzie, żeby pomóc nam szukać.

- To miło z jego strony - powiedziałam, siadając na schodach.

- Tak - przyznała Katie z zażenowaniem.

Z góry zszedł Matt z plakatami, które przygotował na komputerze.

- Poprzyklejam je do latarni - powiedział. - Wam zostawiam dwadzieścia sztuk.

Kiedy wyszedł, zaczęliśmy się z Katie zastanawiać, dokąd Graham mógł pójść.

- Dokąd lubi chodzić?
- Do Chiswick House. I nad rzekę. O, jest Jos.

Jos nacisnął klakson. Wybiegłam z plakatami Matta i taśmą klejącą wskoczyłam do jego samochodu.

- Dziękuję - szepnęłam i ścisnęłam go za rękę.
- Jeśli kochasz mnie, kochasz mojego psa - odparł, wzruszając ramionami. - Mam nadzieję, że go znajdziemy.

Przejechaliśmy przez główną ulicę i pojechaliśmy Duke's Avenue, jadąc bardzo powoli i omiatając wzrokiem ogrody i boczne uliczki w poszukiwaniu plamy rudego futra. Duke's Avenue przechodziła w Great West Road. Spojrzałam przerażona na pędzące samochody i wyobraziłam sobie, że Graham mógłby chcieć właśnie tu przejść na drugą stronę.

- Nie przeżyłby tego - stwierdziłam słabym głosem. - To tak, jakby przechodzić przez autostradę.

- Uważam, że jest za mądry i zbyt przestraszony, żeby próbować.

Jakoś przejechaliśmy skrzyżowanie i skręciliśmy w lewo do Chiswick House. Jos zaparkował i weszliśmy przez boczną furtkę.

- Graham! - zawołałam. - Hej, piesku! Graham! Chodź tutaj! Graham!

Setki psów spacerowały z właścicielami. Setery i pointery, dalmatyńczyki i owczarki alzackie. Chodziliśmy po parku przez dwadzieścia minut, mijając łonie Tempie, Palmiarnię i dom Camelli. Zapadał zmrok i powoli traciłam nadzieję. Przykleiłam do drzew parę plakatów, modląc się w duchu, żeby ktoś go odnalazł. Kiedy zrobiło się ciemno, pojechaliśmy nad Tamizę. Zaparkowaliśmy przy kortach tenisowych i chodziliśmy po okolicy, wołając Grahama. Słysząc było tylko plusk wody i wiatr poruszający gałęziami drzew.

- Powinniśmy wracać - stwierdził Jos. Skinęłam głową. Kiedy jechaliśmy z powrotem, wyobrażałam sobie, że Graham leży gdzieś ranny albo błąka się, zdenerwowany i zestresowany, nie mogąc odnaleźć drogi do domu. Otwierając furtkę, byłam całkiem załamana. Podniosłam rękę, żeby włożyć klucz w zamek, ale Katie szybko otworzyła mi drzwi. Płakała. O Boże, Boże!

- Mów! - rozkazałam. Ja też płakałam.
- Jest w Battersea - wychrypiała, ocierając łzy. - Właśnie dzwoniли. Nic mu nie się nie stało. Możemy go jutro odebrać.

O wpół do jedenastej byliśmy pierwsi w kolejce na chodniku przed schroniskiem.

- Prędkiej! - niecierpliwiał się Matt. - Otwierajcie.

W końcu podniesiono metalową kratę i weszliśmy do środka. Na podłodze namalowane były kolorowe ślady łap. Recepcjonistka powiedziała nam, żebyśmy poszli za żółtymi śladami do działu zaginionych psów. Z daleka słyszeliśmy kanonadę oburzonego szczekania, warczenia i jęczenia. Wypełniłam formularz, wylegitymowałam się i pracownica schroniska wpisała nasze dane do komputera. Kiedy czekaliśmy, obejrzelśmy tablicę ogłoszeń z takimi plakatami jak nasz, oferującymi po tysiąc funtów nagrody, a nawet więcej. Jedne psy uciekły i się zgubiły, inne skradziono. Na tablicy ogłoszeń wisiało zdjęcie owczarka alzackiego o imieniu Toby, którego ukradziono sprzed sklepu Sainsbury w Kenton i szczeniaka Bumble'a, charta, „którego ostatni raz widziano, jak czterech mężczyzn złapało go i wrzuciło do samochodu”.

- To straszne - powiedział Matt.

Wreszcie pracownica schroniska poprowadziła nas do bok-sów ze znalezionymi psami. W powietrzu czuło się ostry zapach środka dyzjenfekującego i psów.

- Jest tam, na końcu - powiedziała. Bullteriery i labradory przyglądały nam się ze smutkiem. Młody spaniel zaofiarował nam swoją zabawkę. Jack Russell podskoczył z piskiem na nasz widok. Minęliśmy dwa owczarki alzackie, chow-chow bez jednej łapy, śpiącego maltańczyka i w końcu zatrzymaliśmy się przed ostatnim boksem. - Czy to on? - spytała pracownica. Taki sam kolor. Ten sam wzrost. Podobny. Ale dla nas to równie dobrze mógłby być dog. Wróciliśmy w milczeniu do domu i ponuro zasiedliśmy w kuchni. Matt nalał wody do miski Grahama i położył na jego talerzu kilka herbatników.

- Będzie głodny, jak wróci.

- Tak, skarbie, na pewno.

- Będziemy go musieli wykapać. Na pewno będzie brudny.

- Mhm. Prawdopodobnie.

- Mam coś dla niego - dodał, pokazując mi kasetę z *The NakedChef*, serialem o tematyce kulinarnej.

- To miło z twojej strony. Graham chyba tego nie zna.

Żeby zabić czas, zaczęliśmy grać w scrabble i w karty. Dzieci opowiedziały mi o wizycie w operze i genialnych dekoracjach Josa. W porze lunchu zadzwonił Peter i powiedzieliśmy mu, że

nie ma żadnych wiadomości. Później Jos zadzwonił z pracy z komórki. O piątej telefon odezwał się ponownie.

- Czy mówię z panią Smith? - spytał nieznajomy męski głos.
- To ja.

- Dzwonię z Rady Gminnej w Westminster City. Jestem opiekunem zwierząt. Mamy pani psa.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknęłam, siadając na krześle w przedpokoju. Lewą rękę przyłożyłam do serca. - Dzięki Bogu - powtórzyłam spokojniej. - Mam nadzieję, że to na pewno nasz pies.

- O, niewątpliwie. Ma na sobie obrozę z plakietką. Może nie powinienem się wtrącać, ale wydaje mi się, że Graham to dziwne imię dla psa.

- Wiem - powiedziałam ze śmiechem, a łzy radości spływały mi po policzkach. - Bardzo dziwne. I śmieszne. Idiotyczne, w gruncie rzeczy. Bardzo panu dziękuję. - Pociągnęłam nosem. - Bardzo się martwiłszy. Ale gdzie go pan znalazł? - spytałam.

- Blisko Tate.
- Tate? - powtórzyłam ze zdumieniem.
- Tak. Siedział przed domem przy Ponsonby Place.
- Ponsonby Place?
- Tak. Numer siedemdziesiąt osiem.
- Numer siedemdziesiąt osiem? - powtórzyłam.
- Zna tam pani kogoś?
- Owszem. Tam mieszka mój mąż.

Wrzesień

Kości dla psa

- 3 filiżanki mąki
- 1,5 filiżanki mąki kukurydzianej
- 1 filiżanka mąki ryżowej
- 1 filiżanka rosółu z kurczaka
- 1 łyżka roztopionego masła
- 0,5 filiżanki mleka
- 1 całe jajko
- 1 żółtko

Wymieszać razem wszystkie rodzaje mąki. Połączyć rosół stopione masło i mleko, potem połączyć z suchymi składnikami. Dodać jajko i żółtko. Zagnieść twarde ciasto, rozwałkować na grubość półtora centymetra i wykrawać kawałki w kształcie kości dla psa. Ułożyć na papierze do pieczenia i piec w piekarniku nagrzanym do temperatury 160° przez 45 minut. Wystudzić i przechowywać w szczelnym pojemniku. Wychodzi 24-30 ciastek.

Jeszcze raz przeczytałam liścik od Lily, który przypięła do przepisu:

Droga F. dostałam ten przepis od szefa kuchni w Four Seasons w Los Angeles. Ciastka są pyszne i na pewno będą smakować Grahamowi po jego okropnych przeżyciach. Zawsze robię ich trochę dla Jennifer, kiedy jest zestresowana. Hau. hau! Całusy, L.

Pomyślałam, że jedyny stres, na jaki narażona jest Jennifer, to zmuszanie jej do noszenia obroży Burberry, zamiast od Gucciego, ale Lily chciała jak najlepiej. Graham nie robił wrażenia zbyt uszkodzonego, choć wciąż był obrażony za to, że został siłą zabrany z chodnika pod domem Petera. Sąsiadka powiedziała nam, że siedział tam dwadzieścia cztery godziny.

- Nie waż się zrobić mi czegoś takiego po raz drugi - powiedziałam, wyrabiając ciasto. - Zresztą nie będziesz mógł, bo przez okno w kuchni już nie wyjdiesz. Tata bardzo się zdenerwował - dodałam. - Mogłeś zginąć.

- Tak, tak. - Matt pomachał mu palcem przed nosem. - Przeszliśmy przez ciebie piekło.

- Zachowałeś się zupełnie nieodpowiedzialnie - stwierdziła poważnie Katie.

Graham westchnął ciężko. Został entuzjastycznie powitany, uściskami, pocałunkami i łzami radości, ale teraz trzeba go było trochę skarcić.

- Nigdy więcej tego nie rób - powiedziałam surowo. - Możesz kopać dziury w trawniku, możesz rozsiewać włosy po całym domu, możesz nawet rzygać w samochodzie, ale nie wolno ci ginąć.

Graham wyglądał na bardzo skruszonego.

- Mieliliśmy przez ciebie masę kłopotów - powiedział Matt.
- I podniósł się nam poziom stresu - dodała Katie. - Wszyscy cię szukaliśmy, nawet Jos.

- Właśnie, nawet Jos - podkreśliłam. - Co było wyjątkowo miłe z jego strony, nie sądzisz? - Graham nie był szczególnie przejęty. - Ale skąd znał drogę do mieszkania Petera? - zastanowiłam się na głos.

- Był tam raz, na Wielkanoc - powiedział Matt. - Najwyraźniej zapamiętał.

- To jego zmysł węchu - zauważyła Katie. - Psy mają węch dwieście pięćdziesiąt tysięcy razy silniejszy niż ludzie. Podobno potrafią wyniuchać kropelkę octu w czterdziestu tysiącach galonów wody.

- Nie wszystkie - stwierdził Matt. - Założę się, że Jennifer Aniston nie wyczuje octu w barze z rybą i frytkami. Ale Graham jest bardzo mądry - dodał, głaszcząc go po uszach. - Choć trochę niegrzeczny, prawda, piesku?

- Wydaje mi się, że już dość powiedzieliśmy na ten temat - wtrąciłam, wkładając ciastka do piecyka. - Jak to mówią, wszystko dobre, co się dobrze kończy.

Dokładnie w tym momencie zadzwonił telefon.

- To twój adwokat! - wrzasnęła Katie.

- Dzień dobry pani - powiedział sympatyczny kobiecy głos. - Mówi sekretarka pana Cheethama-Stabba. Prosił, abym ponagliła panią w sprawie dokumentów, które wysłał pani w czerwcu.

- Jakich dokumentów?

- Oświadczenia na temat chęci rozwodu, które miała pani podpisać w obecności innego prawnika i zwrócić do naszej kancelarii. Na tym dokumencie miała pani także przysiąc, że podpis pani męża na jego poświadczeniu o otrzymaniu pozwu jest prawdziwy.

- Dlaczego ja mam to robić?

- To ma zapobiec fałszowaniu podpisów mężów przez żony, żeby dostać rozwód.

- Naprawdę to robią?

- W każdym razie próbują. Wysłaliśmy pani te papiery trzy miesiące temu. Pan Cheetham-Stabb wrócił z wakacji i chciałby przyspieszyć sprawę.

- No tak. Oczywiście - powiedziałam, wzdychając.

- Dziwię, że ich pani nie dostała - dodała. - To była brązowa koperta formatu A5.

- Ach, tak? Nigdy nie otwieram brązowych kopert - wyjaśniłam - To taka moja fobia. Zawsze zostawiam je mojemu mężowi, ale on wraca ze Stanów dopiero w przyszłym tygodniu.

- W takim razie wyślę pani drugi egzemplarz. W białej kopercie.

- Dziękuję. Ale niech się pani nie spieszy. Jestem pewna, że ma pani dużo innych spraw.

Biała koperta wylądowała na wycieraczkę o ósmej rano następnego dnia. Otworzyłam ją, ale byłam zajęta wyprawianiem dzieci do szkoły i nie zwracałam na nią przez kilka dni. W końcu w niedzielę usiadłam w kuchni i obejrzałam kwestionariusz na kremowym papierze. Składał się z prostych pytań i odpowiedzi.

PYTANIE: Proszę zwięźle wyjaśnić przyczyny, dla których pan/i twierdzi, że pozwany/a popełnił/a przypisywaną mu/jej zdradę.

ODPOWIEDŹ: Sam się przyznał.

PYTANIE: Którego dnia dowiedział/a się pan/i, że pozwany/a popełnił/a przypisywaną mu zdradę?

ODPOWIEDŹ: W dzień św. Walentego.

PYTANIE: Czy dalsze życie z pozwanym/a jest dla pana/i niemożliwe?

ODPOWIEDŹ: Chyba tak.

To było straszne. Straszne. Odłożyłam formularz. Nie byłam w nastroju, żeby go akurat teraz wypełniać. Dzieci wróciły do szkoły, a Josa nie widziałam niemal od tygodnia.

- Przepraszam cię, kochanie - powiedział, gdy zadzwonił tego samego wieczoru. - Zaniedbuję cię. Obawiam się, że tak już będzie do premiery - wyjaśnił.

- Nie szkodzi. Rozumiem. Wiem, że pracujesz całymi dniami.

- Przyjdź do mnie jutro do pracy - zaproponował. - Możesz obejrzyć próbę teatralną, a potem wymknijmy się na herbatę.

Następnego dnia pojechałam metrem do Covent Garden i poszłam do bocznego wejścia przy Floral Street. Głośnik w recepcji był włączony i czekając na Josa, słyszałam hałasy i walenie młotkiem na scenie.

- Próba techniczna będzie kontynuowana za dwadzieścia minut - rozległo się w głośniku. - Pracownicy techniczni proszeni są o powrót na scenę za dwadzieścia minut.

Czekając na Josa, przeglądałam program, który kiedyś od niego dostałam. Na widok jego nazwiska i życiorysu serce spuchło

mi z dumy. Potem jeszcze raz przeczytałam streszczenie sztuki. Butterfly, piętnastoletnia gejsza, „wychodzi za mąż” za przystojnego Amerykanina, porucznika Pinkertona. Dla niego to przelotne uczucie, ale ona jest zakochana i zmieniła dla niego wiarę. Kiedy statek Pinkertona odpływa do Ameryki, Butterfly jest pewna, że do niej powróci. Wraca trzy lata później i młoda kobieta szykuje się na radosne powitanie, nie wiedząc, że Pinkerton w międzyczasie ożenił się z Amerykanką Kate. Pinkerton wysłał konsula Sharplessa, aby przygotował Butterfly. Konsul odkrywa, że Japonka nie tylko nadal kocha porucznika, lecz także urodziła jego syna. Nie potrafi się zmusić, żeby wyjawić Butterfly okrutną prawdę. Następnego dnia przychodzi do niej Pinkerton. Japonka śpi po nieprzespanej nocy, kiedy na niego czekała. Na widok dziecka, tak do niego podobnego, czuje szok i wyrzuty sumienia. Jednak jest zbyt wielkim tchórzem, zostawia więc wyjaśnienia Kate i Sharplessowi. Kiedy Butterfly się budzi i widzi w ogrodzie Kate, domyśla się strasznej prawdy. Kate mówi, że chcieliby z Pinkertonem adoptować chłopca. Butterfly zgadza się pod warunkiem, że Pinkerton przyjdzie po niego osobiście. Kiedy zostaje sama, całuje synka i popełnia samobójstwo. Nie ma już po co żyć.

- Okropne - mruknęłam. Dostałam gęziej skórki, a w oczach czułam łzy. - Okropne - szepnęłam powtórnie.

- Faith! - Szklane drzwi rozsunęły się nagle i podszedł do mnie uśmiechnięty Jos. - Hej! - powiedział, całując mnie. - Co się stało?

- Nic takiego.

- Wyglądasz bardzo poważnie. Rozchmurz się.

Od razu poczułam się lepiej. Tragiczna historia Pucciniego znikła i miałam wrażenie, że nagle zaświeciło słońce. Obok mnie stał uśmiechnięty Jos. Miał potargane włosy, wyciągniętą ze spodni koszulę i zarost, a mimo to wciąż był przystojnym mężczyzną. Po tym, jak pomagał mi szukać Grahama, na nowo się w nim zakochałam. Mam szczęście - powiedziałam sobie. Wprawdzie nic nie jest doskonałe i czasem nie jestem pewna... Ale Lily ma rację. Mam wielkie szczęście, że spotkałam kogoś takiego jak Jos.

Wpisał mnie do książki odwiedzających i z dumą przedstawił recepcjonistce jako: „moją wspaniałą dziewczynę, Faith”. Potem poprowadził mnie szarymi korytarzami na drugie piętro.

- Muszę wziąć notatki, które zostawiłem w modelarni - wyjaśnił. - A potem pójdziemy na widownię na początek drugiego

aktu. Modelarnia nazywa się modelarnią, bo są w niej same modele, sami przystojniacy, jednym słowem.

- Ty na pewno.

W rzeczywistości modelarnia wyglądała jak pracownia architekta. Nad deskami kreślarskimi siedzieli projektanci, rysując coś na kalce technicznej lub wycinając kształty z tektury. Z jednej strony stało kilkanaście modeli scenografii z przedstawień operowych i baletowych. Jeden zestaw zatytułowany był *Coppelia*, inny - *Kawaler srebrnej róży*, a ja podeszłam do modelu *Madame Butterfly*. Jakbym zaglądała do domku dla lalek.

- Robimy je w skali jeden do dwudziestu pięciu - wyjaśnił Jos, grzebiąc w biurku. - Są dopracowane w każdym szczególe, łącznie z wieńcami z kwiatów, jakimi Butterfly przystraja dom na powitanie Pinkertona. Na szczęście *Madame Butterfly* to prosta opera i dekoracje zwykle też są proste.

Jeszcze raz spojrzałam na projekt. Znajdował się tu dom Butterfly, malutki sześcianik z białą żaluzją z gazy. W środku był futon, amerykańska flaga i wazon z kwiatami. Na ścianie wisiało maleńkie lustro. Wokół domu biegła weranda. Deski podłogi zrobiono chyba z patyczków od lodów. Przed domem był mały ogród ze stawem i mostkiem. Przy drzewie wiśni stała maleńka postać samej Butterfly, wyglądającej swojego ukochanego Pinkertona. Na drugim planie, zamiast portu w Nagasaki, pełnego statków, stał brzydki dom czynszowy.

- Podoba ci się? - spytał Jos.

- Tak. Chociaż ten dom z tyłu nie bardzo tu pasuje.

- Zrobiłem to celowo - odparł Jos. - Ma to oznaczać, że Butterfly jest ślepa na twardą rzeczywistość. Reżyser nie był pewien, czy tak to powinno wyglądać, ale go wreszcie przekonałem. Kiedy Butterfly poznaje Pinkertona, wydaje jej się, że życie jest wiązką kwiatów wiśni. Musi w końcu przekonać się, że nie ma racji.

- Biedna Butterfly - mruknęłam. - Ona naprawdę cierpi.

- Jest głupią małą idiotką - powiedział Jos.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- To chyba zbyt surowa ocena?

- Prawdziwa. Sama jest wszystkim winna - stwierdził z krzywym uśmiechem. - Wszyscy po kolei ostrzegają ją przed Pinkertonem, ale nie chce nikogo słuchać. Znała przecież reguły - dodał z irytacją, gestykulując. - Wiedziała, że to było tylko chwilowe rozwiązanie, więc nie może mieć do nikogo pretensji.

- Ale wiedzieć to co innego, niż odczuwać - powiedziałam. - Poza tym była bardzo młoda.

- Była głupia - stwierdził, ignorując mnie. - I to podwójnie, bo odrzuciła oświadczyzny japońskiego księcia.

- Nie chciała iść na kompromis. Nie mogła. Wolała umrzeć za swoją miłość.

- Jej samobójstwo było aktem egoizmu - powiedział pogardliwie. - Chciała ukarać Pinkertona.

- Pinkerton był wredny i powinien zostać ukarany.

- Nie zgadzam się. - Wyglądał na wściekłego i nagle pomyślałam, że chyba oszaleliśmy. Kłóciliśmy się o kogoś, kto nigdy nie istniał.

- Uważam, że jej samobójstwo jest tragiczne - powiedziałam spokojnie. - Wyrzeka się wszystkiego. Jest to szlachetne i cudowne.

- Przykro mi, moja droga - stwierdził stanowczo Jos, biorąc swoje papiery. - Nie mogę się użalać nad jakąś zwariowaną patetyczną kretyką, która chce zrobić z siebie męczennicę. Na szczęście dla nas opery pełne są takich ludzi.

Okrutne słowa Josa niemiło mnie uderzyły, postanowiłam jednak na razie o nich zapomnieć. Czasami mówi rzeczy, które zupełnie mi się nie podobają. Rzeczy, od których coś ściska mnie w środku. Uznałam, że najlepiej nie zwracać na nie uwagi i skoncentrować się na jego zaletach. Poza tym - mówiłam sobie w duchu, gdy szliśmy na dół - nie możemy wszyscy mieć takich samych poglądów. Przecież mamy rozmaite doświadczenia życiowe. Jeśli chce się denerwować z powodu *Madame Butterfly*, to proszę bardzo. W końcu to on pracował nad operą od kilku miesięcy i z pewnością miał na jej temat bardziej wyrobiony pogląd. Tymczasem znaleźliśmy się za sceną, gdzie dźwiękowcy i oświetlniowcy stali w grupkach, czekając na Josa. Zostałam za kulisami, a Jos zaczął rozmawiać z projektantem od świateł, z reżyserem i producentem. Kilku mężczyzn w słuchawkach na uszach wpatrywano się w nadscenie. Stolarz poprawiał żaluzję w oknie domu *Butterfly*, a trzech malarze - wyglądali strasznie młodo - kończyli malować tło.

To jest inny świat, pomyślałam, siadając na widowni. Zapadłam się w pluszowy czerwony fotel. Jos kręcił się po scenie niby król. Wszyscy go słuchali. Wszyscy chcieli z nim porozmawiać. Wszyscy chcieli poznać jego zdanie. Wszyscy spoglądali na niego z szacunkiem.

To jest to, co ludzie zapamiętają na długo, stwierdziłam. Śpiewaków i orkiestrę zapamiętają na jakiś czas, ale dla większości widzów najważniejszym wspomnieniem będzie dekoracja i kostiumy.

Mam szczęście - pomyślałam jeszcze raz, gdy światła przygasły i zaczęła się próba. O, tak, mam szczęście - powtarzałam sobie jak mantrę. Mam wielkie szczęście.

- Masz wielkie szczęście - powiedział parę dni później Peter.
- Wiesz o tym, prawda? - Klęczał na podłodze w kuchni z głową na wysokości pyska Grahama, który nerwowo machał ogonem. - Miałeś naprawdę dużo szczęścia. Lepiej teraz uważaj. - Pies polizał go w nos. - Następnym razem, jak będziesz chciał do mnie wpaść, najpierw zadzwoń. W porządku. Kazanie skończone. Daj piątkę. - Graham wyciągnął do niego prawą łapę. - Byłem okropnie nieszczęśliwy, że nie mogłem pomóc ci go szukać - powiedział Peter, wstając.

- Nie mogłeś, to nie mogłeś. Wszyscy go szukaliśmy, nawet los.

- To miło z jego strony. Bardzo miło, biorąc pod uwagę, że się nie lubią. - Nalałam mu kawy do kubka. - Zaraz do nich zajrzę - obiecał, pokazując stertę brązowych kopert. - Powinnaś się przebrać i pokonać strach.

- Masz rację, ale nie potrafię.

- W końcu będziesz musiała. Kiedy się rozwiedziemy - przeciągnął ręką po szyi - nie będę tego robił za ciebie.

Skinęłam głową.

- A jak tam sprawy między tobą a Josem? - spytał nagle. - Trochę zaskoczył mnie tym pytaniem, a także lekkim przyjacielskim tonem. Zawsze zakładałam, że Peter nie ma ochoty słuchać o Josie, tak samo jak ja nie chciałam słuchać o Andie. - Wszystko dobrze?

- Świetnie. Doskonale. No, wiesz. Świetnie. - Czułam się bardzo niezręcznie, rozmawiając o moim facecie z mężczyzną, który wciąż był moim mężem. - Po prostu doskonale - powtórzyłam z westchnieniem.

- Dobrze. Dobrze. To dobrze - powiedział, kiwając głową. W milczeniu piliśmy kawę. - A więc wszystko się korzystnie rozwija - stwierdził miłym tonem.

- **No**, tak - odparłam, bawiąc się łyżeczką. - Tak. Naprawdę, chociaż...

- Co?

- Chociaż Jos jest bardzo zajęty w operze.

- Oczywiście. Ma rzeczywiście bardzo interesującą pracę.

- Mhm. Tak.

- I wszystko idzie dobrze, tak?

- Mhm. Tak. Doskonale. Zazwyczaj.

- Zazwyczaj? - powtórzył, unosząc brwi.

- Tak, zazwyczaj. To znaczy naprawdę jest świetnie. Świetnie. Choć naturalnie nie perfekcyjnie, wiesz.

- Nie? - Teraz on bawił się cukierniczką.

- Nie w pełnym znaczeniu tego słowa.

- Co to znaczy?

- Nic specjalnego. Drobne rzeczy.

- Na przykład jakie? Graham?

- Nie, nie Graham. Tu akurat sytuacja nieco się polepszyła.

Inne nieważne rzeczy.

- Rzeczy?

- To znaczy pola konfliktu.

- Konfliktu?

- No wiesz, różnice zdań. Tylko o to mi chodzi. Inne podejście. Ale to nic ważnego, naprawdę. W końcu to chyba normalne, nie?

- Tak?

- Jasne. Jestem pewna, że nam się to też zdarzało. Na początku.

- Tak?

- Chyba tak. - Zapadła cisza. - Tak, jestem prawie pewna.

- Co na przykład?

- No... - Spojrzałam na niego, nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Nic nie przychodziło mi do głowy. - Musiałabym się zastanowić, to było tak dawno temu.

- To prawda - przyznał. - Bardzo dawno temu. Pamiętam jedną rzecz! - oznajmił nagle z triumfem. - Nie odpowiadał ci mój gust muzyczny.

- Mnie?

- Tak. Żartowałaś sobie ze mnie.

- Naprawdę?

- Mhm. Bo podobała mi się Gladys Knight i zespół Pips.

- Ach, tak. Faktycznie. - Spojrzeliśmy na siebie i uśmiechnęliśmy się.

- Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła - powiedział cicho Peter.

- Słucham? - Poczulałam, że piecze mnie twarz i serce zabiło mi mocniej.

- *Jesteś najlepszą rzeczą, jaka mi się kiedykolwiek przydarzyła* - powtórzył.

- Naprawdę?

- Tak, to był ich najlepszy utwór.

- Och. Chyba tak. Ja za nimi nie przepadałam.

- Wolałaś Toma Jonesa.

Skinęłam głową.

- Nic dziwnego - powiedziałam.

- Zawsze myślałam, że to raczej dziwne, skoro należał do poprzedniego pokolenia.

- *To nic dziwnego* jest moją ulubioną piosenką - wyjaśniłam.

- A poza tym on ciągle się podoba. Ma zwolenników w różnych pokoleniach.

- Tak. A więc u ciebie i Josa wszystko w porządku - powtórzył zadowolonym tonem. Skinęłam głową. - To dobrze. Nie masz większych zmartwień?

- Ależ skąd.

- Niczym się nie denerwujesz?

- Nie.

- I nie macie problemów z porozumieniem się?

Potrząsnęłam przecząco głową.

- A dlaczego pytasz?

- Dzieci dzwoniły do mnie z Francji i Katie zasugerowała, że są jakieś... no, jakieś problemy.

- Doprawdy? Obawiam się, że nie ma racji. Wiesz, jak ona lubi wszystko analizować. Aż do przesady.

- Niewątpliwie. Więc jesteś szczęśliwa z Josem, tak?

- Tak. A skoro już rozmawiamy na tak osobiste tematy, to co u ciebie? Masz jakieś?

- Co?

- Poważniejsze problemy.

- Co? Z Andie? - Skinęłam głową. - Ach, nie - odparł, potrząsając głową. - Tak jak u ciebie jest najwyżej kilka, wiesz... - Głośno wciągnął powietrze. - Niewielkich nieporozumień.

- Na jakim tle? - spytałam. Nie żebym była ciekawa. Peter wypuścił głośno powietrze.
- Och, nic takiego. Nieważne i nieistotne drobiazgi.
- Jak co?
- No...
- Tak?
- Byłbym niełojalny, gdybym o tym mówił.
- Oczywiście. Też tak uważam.
- A poza tym to naprawdę drobiazgi.
- To... świetnie.
- Owszem.
- Bo drobiazgi się nie liczą.
- Nie.
- Udał ci się urlop?
- Och. Tak, fantastycznie - powiedział i znów zamieszał kawę.
- Był... znakomity. To interesująca część Stanów.
 - Podobno.
 - W Wirginii osiedlili się pierwsi europejscy przybysze.
 - W 1607 roku.
 - Nazwano ten stan Wirginią na cześć królowej Elżbiety I, Królowej Dziewicy.
 - Oczywiście.
 - Znany jest także jako Stan Starego Dominium.
 - Mhm. Słyszałam także, że jest głównym producentem tytoniu.
 - Tak. Oraz orzeszków ziemnych, jabłek i pomidorów.
 - I drewna.
 - Rozumiem, że wydobycie węgla także jest ważną gałęzią gospodarki.
 - Tak, naturalnie. I mnóstwo tam historycznych miast. Na przykład Norfolk czy Richmond. Jamestown jest bardzo interesujące.
 - Rzeczywiście fantastycznie spędziłeś czas.
 - A jak się czuje twoja matka?
 - Jest pełna skruchy - odparłam. - Poprawiła się, pracując z Mattem, który chyba nieźle się podciągnął. Znacznie poszerzył francuskie słownictwo. I nauczyła ich grać w brydża.
 - To dobra gra. Chciałbym zabrać dzieci na weekend. Nie widziałem ich od blisko dwóch miesięcy. Myślałem, że może wybierzemy się do Tate Modern.

- Dobry pomysł.
- Albo do Akademii Królewskiej.
- Świetnie.

Uśmiechnęliśmy się niezręcznie.

- Dobrze. Lepiej przejrzę te koperty - dodał, biorąc je do ręki. - Rachunek za gaz - oznajmił. - Siedemdziesiąt trzy funty sześćdziesiąt. Proszę. To list od twojego doradcy finansowego. Tu jest monit z urzędu skarbowego, a to... - Rozerwał kopertę. - O, to jest od producenta dezodorantu Impuls. Gratuluję. Wygrałeś kolejny konkurs. Weekend dla dwóch osób w Rzymie.

- Naprawdę? - Wyrwałam mu list z ręki.

- Zadzwoń, żeby powiedzieć, że przyjmujesz. Jakie wymyśliłaś hasło?

- Co to było? Nie pamiętam. O, już wiem. „Mężczyźni muszą działać impulsywnie, ponieważ... nie czują poczucia odpowiedzialności”. „Nie czują”, żeby podkreślić, że chodzi o zapach.

- Wiem, od razu zrozumiałem. Genialne. I świetna nagroda. Choć nie tak dobra, jak rozwód, prawda? - dodał szybko. - A właśnie ta koperta zawiera jakieś obrzydliwe dokumenty od Rory'ego Cheethama-Stabba. - Rzucił okiem na jasnożółty formularz. - Poświadczenie pozywającego w poparciu wniosku.

- Ach to. Przysłali mi duplikat.

- Wypełniłaś już? - spytał od niechcienia.

- Tak - odparłam cicho.

- Kiedy? - Wyrzał przez okno. Padało.

- Wczoraj. Dziś rano Karen poświadczyła mój podpis. *Decree nisi* uprawomocni się pod koniec listopada.

- Takie są przewidywania.

- Co?

- Tak mówicie o pogodzie, nie?

- Raczej nie - wyjaśniłam. - Ostatnio mówi się o procentach.

Na przykład: „Jest sześćdziesiąt procent szans, że będzie dziś padało”. Albo: „Jest dziesięć procent szans na opady śniegu”.

- I sto dziesięć procent szans, że będę miał kłopoty, jeśli się spóźnię po Andie - powiedział, wstając nagle. - Chyba lepiej już pójdę. Pa, skarbie. Wiesz, że cię kocham.

- Pa, kochanie - powiedziałam. Lekko zdumiała mnie jego deklaracja, ale zaraz zrozumiałam, że mówił do psa.

- Pa, piesku - powiedział, obejmując Grahama. - I proszę, bez żadnych samotnych spacerów, dobrze? Niedługo znów się

zobaczymy. - Miałam nadzieję, że Peter mnie także pocałuje, ale nie zrobił tego. Uśmiechnął się krzywo i wyszedł.

- Do zobaczenia! - zawołał od drzwi.

- Do zobaczenia! - Czekałam na szczęknięcie zamka, ale się nie doczekałam. Dziwne. Zostawił uchylone drzwi.

- Dziesięć, dziewięć, osiem...

- I dlatego na dwoje babka wróżyła - zakończyłam w poniedziałek o wpół do dziesiątej.

- Siedem, sześć...

- Choć o tej porze roku moglibyśmy się spodziewać ładnej pogody.

- Pięć...

- Czekają nas opady i zachmurzenia.

- Cztery...

- A wszystko z powodu tych kolczastych linii na izobarach, które zapowiadają zamknięty front.

- Co? - spytał głos w słuchawkach.

- Zamknięty front tworzy się, gdy spotkają się front ciepły z zimnym, co zazwyczaj prowadzi do bardzo pochmurnej pogody, jaką będziemy mieli przez następne kilka dni.

- Trzy, dwa...

- I pięćdziesiąt procent szans na deszcz.

- Jeden...

- Co, z drugiej strony, oznacza pięćdziesiąt procent szans na ładną pogodę.

- I zero...

- Do zobaczenia jutro.

- Dzięki, Faith.

- Dziękuję państwu za uwagę - powiedział Terry. - Jutro mamy wywiad z kobietą, która założyła „Dwa Straszdyła”, biuro matrymonialne dla bardzo brzydkich osób. Poznamy także niektórych z jej klientów.

- Ponadto - dodała Sophie - pokażemy państwu kolejne błędy w projektowaniu wnętrz oraz będziemy rozmawiać z autorami *Wielkiej księgi rajstop*, która pokazuje, jak robić różne rzeczy ze starych rajstop. Nim się jednak pożegnamy, chciałabym podziękować państwu za listy. Przepraszam, że nikomu nie odpisałam, ale mieliśmy tu mały problem z pocztą, który, na szczęście, został rozwiązany.

Uśmiechnęła się zabójczo do kamery, poczekała, aż pojawią się napisy i pewnym krokiem zeszała z wizji.

Ja tymczasem zmyłam makijaż specjalnym kremem, jeszcze raz sprawdziłam mapy pogody i poszłam do sali konferencyjnej na cotygodniowe spotkanie. Terry bezmyślnie dłużał w zębach, Tatiana szeptała do komórki. Za stołem siedzieli producenci i dziennikarze z teczkami i folderami, oraz - oczywiście - Darryl.

Przez chwilę czekaliśmy, aż wszyscy się zbiorą, zaczęłam więc przerzucać czasopisma. Na spodzie sterty leżał najnowszy październikowy numer „Moi!” Zajrzałam do rubryki towarzyskiej i od razu zobaczyłam moje zdjęcie z Josem na meczu polo. Z najzwyczajszym podpisem: „Jos Cartwright i pani Peterowa Smith”. Jos obejmował mnie i oboje się uśmiechaliśmy. Było to sympatyczne zdjęcie, choć zauważyłam, że uśmiecham się samymi ustami. Ale to było wtedy, gdy Jos nakrzyczał na Grahama. Panowało między nami pewne napięcie. Teraz jednak wszystko znów wróciło do normy. Mniej więcej. W końcu nic nie jest idealne, prawda? Nie ma czegoś takiego, jak mężczyzna doskonały. W nowych związkach trzeba być bardziej elastycznym. Moje rozmyślenia przerwało nagle ostre stukanie ołówkiem o stół. Stukał Darryl i nie wyglądał przy tym zbyt miło.

- Gdzie jest Sophie? - spytał z irytacją. - Chciałbym już zacząć.
- Idę! - zawołała. Wpadła do sali konferencyjnej z uśmiechem, lekko zadyszana, przyciskając do piersi duży karton.

- Przepraszam za spóźnienie.
- Co to jest? - zapytał Darryl.

- Pokażę ci. - Sophie uśmiechnęła się do Terry'ego i Tatiany, po czym nagle przechyliła karton i wysypała morze listów. Rozlały się po stole grubą papierową warstwą, niczym lawa. Białe, różowe, żółte i brązowe koperty. Pergaminowe niebieskie listy lotnicze z ładnymi zagranicznymi znaczkami. Pocztkówki i drogie papeterie. Pisane zielonym atramentem, niebieską kredką, zamazany ołówkiem i beżowym flamastrem. Wiele napisano na maszynie, niektóre niewyraźnie nabazgrano, inne starannie wykaliografowano. Dużo z nich miało na kopertach przyklejone gwiazdy i serca. Było ich z pewnością ponad pięćset i wszystkie zaadresowane do Sophie.

- Moja zaginiona poczta od telewizzów - oznajmiła spokojnie. - Znalazłam te listy dziś rano. Śmieszne, prawda? Pomyślałam sobie, że może zechcesz zobaczyć.

- Mój Boże! - wykrzyknął Darryl. - Gdzie je znalazłaś?
- To bardzo dziwne - powiedziała, obrzucając Tenyego i Tatianę uważnym spojrzeniem. - Przed programem szukałam wskaźnika i zajrzałam do szafki z przyborami piśmiennymi. Na samym dniu stał ten karton i możesz sobie wyobrazić moje zdumienie, gdy zobaczyłam, co w nim jest. Listy z ostatniego pół roku.

- Czy wiesz coś na ten temat, Terry? - spytał Darryl.

- Ja nie mam z tym nic wspólnego - zaprzeczył Terry.

- Nie wiesz przypadkiem, kto mógł to zrobić? - spytał Darryl.

- Chłopak, który roznosi pocztę - zasugerowała Tatiana. - Chciał zostać prezenterem.

- Naprawdę? - Sophie spojrzała na nią wielkimi oczami. - Zapytajmy go o to.

- Nie możemy - wyjaśnił Darryl. - Odszedł z pracy w zeszłym tygodniu.

- Dokąd przeszedł? - spytała Sophie.

- Do Savoya.

- To mu nie pomoże w karierze telewizyjnej, prawda Taty? - stwierdziła Sophie.

Tatiana wzruszyła ramionami.

- To tajemnicza sprawa - powiedział Terry. - Ponieważ jednak sądzę, że nie uda nam się jej rozwiązać, proponuję, żeby zacząć zebranie.

Darryl nie słuchał, czytał listy, które podsuwała mu Sophie.

- Oczywiście wszystkich jeszcze nie otworzyłam - wyjaśniła. - Nie miałam czasu. Ale posłuchajmy kilku z nich. Jestem pewna, że Terry bardzo chciałby wiedzieć, co myślą o mnie telewizyście.

Droga Sophie, uważam, że jesteś najlepsza w telewizji śniadaniowej.

Kochana Sophie, bez Twego słonecznego uśmiechu i dowcipnych słów nie mogłabym zacząć dnia.

Droga Sophie, wstaję wcześniej tylko dla Ciebie.

Droga Sophie, jesteś znacznie inteligentniejsza od tego podrzędnego starego aktorzyzny, który siedzi przy Tobie na kanapie.

- Przepraszam, Terry - powiedziała z emfazą. - Nie chciałam być nietaktowna.

Droga Sophie - przeczytała początek kolejnego listu. - Dlaczego Ty nie jesteś główną prezenterką?

Rozerwała małą brązową kopertę.

Kochana Sophie, dlaczego pracujesz w gównianej telewizji śniadaniowej? Powinnaś być prezenterką Wiadomości.

Terry siedział z zaciśniętymi ustami.

- Dobrze wiedzieć, że jesteś taka popularna - powiedział Darryl. - Ale czy chcesz wyjaśnić sprawę kradzieży tych listów? Sophie potrząsnęła głową.

- Nie chcę rozrabiać - powiedziała, wpatrując się w Terry'ego. - Uważałam jednak, że wszyscy powinni o tym wiedzieć.

- Dobrze - powiedział Terry. Założył ręce na piersiach i odchylił się do tyłu. Na twarzy miał bezczelny uśmiech. - To prawda, że wszyscy powinni wiedzieć. Absolutnie wszyscy powinni o tobie wiedzieć - powtórzył gwałtownie. Temperatura spadła z upalnej do minus dwunastu. - Są pewne rzeczy, które wszyscy powinni o tobie wiedzieć - powtórzył ze złośliwym grymasem. I rzucił Sophie nienawistne spojrzenie, które ona odwzajemniła. Docinki i dokuczanie ostatnich dziesięciu miesięcy były zaledwie drobnymi potyczkami. Teraz nastąpiło wypowiedzenie wojny. - Czy jest tu dużo listów od mężczyzn? - spytał Terry niewinnym tonem, biorąc do ręki jedną z kopert i odrzucając ją na stos. - Czy też jesteś bardziej popularna wśród kobiet?

- Jestem popularna wśród wszystkich widzów - warknęła, ale na szyi wystąpiły jej czerwone plamy.

- Hm, naprawdę? - spytał sceptycznie. - Nie byłbym taki pewien.

- No, dobrze - powiedział Darryl. Przełknął nerwowo ślinę, a jabłko Adama podskoczyło mu o kilka centymetrów. - Dziękuję, że zwróciłaś nam uwagę na ten problem, Sophie, a teraz, eee, zaczniemy lepiej zebranie. Czekam na wasze pomysły. I nie zapomnijcie, że to program rodzinny.

W piątek wieczorem dzieci wróciły do domu. Odebrałam je na Charing Cross. Następnego dnia pojechały metrem do Petera i zobaczyłam je dopiero o ósmej wieczorem.

- Udał się wam dzień z tatą? - spytałam, myjąc sałatę.

- O, tak - powiedział Matt. - Fantastycznie. Rano poszliśmy do Tatę Modern.

- A co robiliście po południu? - Cisza. - Co robiliście?

- Nic takiego - stwierdził Matt.

- Coś musieliście robić, nie było was przez cały dzień.
- Poszliśmy na herbatę, nic wielkiego. Wiesz, nic specjalnego-
- Dokąd? Hej, zdradź tajemnicę.
- Nie warto nawet opowiadać - upierał się Matt.
- Dobra, przestańmy udawać - powiedziała Katie. - Poszliśmy do Andie, mamó.
- Ach, tak? Rozumiem - powiedziała przygnębiona.
- Jeśli Jos tak często tu przychodzi, to nie rozumiem, dlaczego tata nie może być u Andie.
- Może. - Byłam boleśnie zraniona. Wiedziałam, że do niej chodzi. Oczywiście. Nadal jednak wzdrygałam się na myśl, że bywają tam także moje dzieci.
- Musisz to zaakceptować, mamó - stwierdziła rzeczowo Katie. - Minęło już pół roku, odkąd się rozstałście.
- Spojrzałam na nią i westchnęłam. Miała rację. Nie mogę mieć wszystkiego.
- Jak mieszka? - spytałam, przełykając ślinę.
- Luksusowo! - wykrzyknął Matt.
- To mnie zupełnie nie dziwi. Gdzie?
- Notting Hill.
- To też mnie nie dziwi.
- Ma pięć sypialni - oznajmił z podziwem.
- Tym mnie nie zaskoczysz.
- I wielkie łóżko! - Zrobiło mi się niedobrze. - A wiesz, co ma na łóżku, mamó?
- Nie i nie chcę...
- Przytulanki!
- Co?
- Mnóstwo przytulank - powiedział. - Dziesiątki. I wszystkie mają imiona.
- To trochę dziwne u trzydziestosześcioletniej kobiety.
- Wcale nie, mamó - zaprotestowała Katie.
- Ja uważam, że tak.
- Nie, ma więcej niż trzydzieści sześć.
- Naprawdę? Skąd wiesz?
- Bo widziałam jej paszport. Zostawiła go na stole w kuchni, więc szybko zajrzałam.
- Katie, nie powinnaś być. Ile ma lat?
- Czterdzieści jeden.

- O la la. Tata wie?
- Nie mam pojęcia. Nie pytałam go.
- Ona jest śmieszna - powiedział Matt.
- Śmieszna? Nie sądzę - stwierdziłam, przypominając sobie ponurą blondynkę, którą widziałam w telewizji.
- Mam na myśli dziwnie śmieszna. Zaczęła nazywać tatę różnymi imionami. Dziecinnymi - dodał ze śmiechem.

- Dziecinnymi imionami? Jakimi?

Matt zachichotał.

- Mówi do niego „mój słodyczku”.

- Nie!

- I „mój króliczku”.

- Faj!

- I „mój misiaczku”.

- Straszne.

- I „mój aniołeczku”.

- Dość. - Graham oparł mi przednie łapy na kolanach. - Nigdy czegoś takiego nie robiłam, prawda, mój najdroższy klusieczku? A jak tata na to reaguje?

- Jakoś tak dziwnie się uśmiecha - powiedział Matt.

- A jak on do niej mówi?

- Andie. Ale ona nazywa siebie...

- Nie, nie mów!

- Andie Pandie! - Oczy wyszły mi na wierzch. - Tacie się to za bardzo nie podoba. Chyba uważa, że to głupie i ośmieszające. Myślę, że nie rozumie, dlaczego ona to robi. - dodała Katie. - A ja wiem. To jest forma samoudziecinnienia - wyjaśniła. - Andie ma wyraźny kompleks na tle swojego wieku. Usiłuje także uchodzić za osobę o wrażliwości dziecka, aby ukryć, że jest twarda i chciwa. Przytulanki także się z tym wiążą i, oczywiście, na głębszym poziomie podświadomości wszystko łączy się razem wraz z pięcioma sypialniami, które oznaczają jej wyraźne marzenie o...

- Chwileczkę - przerwałam jej. - Ta kobieta jest pewną siebie bezlitosną łowczynią głów. Nie chce uchodzić za małą dziewczynkę.

- W domu chce. Chce być małą dziewczynką taty, żeby musiał się nią opiekować, bo wie, że mężczyźni lubią małe bezbronne kobiety. Dlatego Lily jeszcze nie wyszła za męża. Po drugie - kontynuowała z przekonaniem - to jest także forma manipulacji. Nazywa tatę tymi wszystkimi dziecinnymi zdrobnieniami, żeby

nim rządzić. To sposób podporządkowywania sobie mężczyzny, aby spełniał żądania kobiety - zakończyła.

- Biedny tata - powiedziałam.

- To jest również sposób okazywania prawa własności - dodała Katie. - Jej wszystkie zdrobnienia poprzedzone są słówkiem „mój”. I to dopiero zdradza poziom jej desperacji.

- Mój Boże. To naprawdę dziwne - powiedziałam. - Czy jesteś pewna, że nie przesadzasz z tą analizą? Tata wydaje się całkiem zadowolony z życia. Mówił mi, że nie ma żadnych większych żartów, a on zawsze mówi prawdę. - Dzieci milczały. - Jest zadowolony, prawda? - powtórzyłam. Matt wzruszył ramionami.

- Nie wiem.

- Nie pytaliśmy go wprost - zaczęła ostrożnie Katie. - Możemy jedynie wyciągać wnioski z tego, co widzimy. Ale powiedziałabym, że tata jest równie szczęśliwy z Andie, jak ty z Josem.

- Ja jestem bardzo szczęśliwa z Josem - stwierdziłam sztywno. - Nasz związek jest poważny.

- Tak, wiemy - odrzekła z tym swoim dziwnym uśmiechem, który u niej złości mnie tak samo, jak u jej ojca. Jest bardzo podobna do Petera.

Tego wieczoru jej irytujące uwagi wracały i nie pozwalały mi zasnąć. W pewnej chwili chyba jednak zapadłam w sen, bo pamiętam, że przyśniła mi się góra lodowa. Z pewnością nie był to spokojny głęboki sen, ponieważ obudził mnie stuk skrzynki do listów, kiedy przyniesiono gazetę. Na w pół przebudzeni, zeszedliśmy z Grahamem na dół. Zrobiłam sobie herbaty - z mlekiem, bez cukru, niezbyt mocną - i wzięłam „Sunday Timesa”. Czytałam, trzymając gazetę tuż przy twarzy, bo nie włożyłam jeszcze szkieł kontaktowych. Od razu otworzyłam dział kulturalny, bo spodziewałam się jakiejś informacji o operze. Tymczasem, ku swojemu zdumieniu, znalazłam artykuł zatytułowany: *PROJEKTANT BUTTERFLY W PEŁNYM ROZKWICIE*. Jos uśmiechał się do mnie ze zdjęcia z potarganymi włosami, boski jak zawsze. W jego szarych oczach było coś, co przyciągało każdego. Dziennikarz też najwyraźniej dał się oczarować i napisał bardzo pochlebny artykuł. W gruncie rzeczy był to bardzo podobny tekst do tego sprzed pół roku w „Independent”. Chyba miałem dużo szczęścia - mówił Jos. - Uwielbiam to, co robię... Praca Stefanosa Lazaridisa jest fantastyczna... Życzenia reżysera są zawsze najważniejsze.

Ta ostatnia uwaga zabrzmiała dziwnie i przypomniałam sobie, co powiedział Jos, kiedy pokazywał mi dekoracje: „Reżyser nie był przekonany, ale w końcu go namówiłem”. Ale zaraz o tym zapomniałam, bo nagle zobaczyłam swoje nazwisko.

Ostatnio nazwisko Cartwrighta łączy się z pogodynką z AM-UK!, Faith Smith - napisał dziennikarz. Nie wiem, co bym zrobił bez Faith - powiedział Jos. Pół roku temu oczarowało mnie jej słoneczne usposobienie i jestem cały czas pod jej wrażeniem. Myślę, że to zdanie przeczytałam dziewięćdziesiąt pięć razy. I jeszcze raz. Następnie wypowiedział się na temat *Madame Butterfly*: Najwspanialsza opera Pucciniego... Chciałem ukazać wrażliwość Butterfly... Jej śliczny domek przystania cień obrzydliwej kamienicy, na tle której wygląda samotnie i krucho... Tak, sądzę, że jest najważniejszą bohaterką Pucciniego. Ma skrzydła ze stali. Porzuca wszystko dla mężczyzny, którego kocha... Jej szlachetność i odwaga są niezapomniane. Jej rozdzierające poświęcenie napełnia podziwem moje serce.

Oczy wyszły mi na wierzch, a szczeka lekko opadła. Poszłam na górę po szkła kontaktowe i przeczytałam to jeszcze raz, żeby się upewnić. Wyrzałam przez okno w kuchni. Chorągiewka na dachu sąsiedniego domu trzepotała w porannym wietrze. Wróciłam do gazety i spojrzałam na fotografię Josa. Jak mógł powiedzieć coś takiego? Czułam, że w środku wszystko mi się przekręca. Jak mógł mówić o Butterfly z taką pogardą w prywatnej rozmowie, a później, oficjalnie obdarzać ją pochwałami? Niewidzącym wzrokiem wpatrywałam się przed siebie, usiłując coś z tego zrozumieć. Nagle zadzwonił telefon i drgnęłam nerwowo. Kto, u diabła, dzwoni do mnie o wpół do ósmej rano w niedzielę?

- Faith! - wrzasnęła Lily. - Wstawaj i leć po „Sunday Timesa”!

- Już mam.

- Widziałaś ten kawałek o Josie?

- Mhm. Tak - mruknęłam.

- Czy to nie jest niewiarygodne, skarbie?

- Tak - powiedziałam cicho. - Całkiem niewiarygodne.

Galowa premiera *Madame Butterfly* miała być prawdziwym wydarzeniem, na które zaproszono mnóstwo gwiazd i ważnych osobistości. Pomyślałam, że powinnam czuć się niesłychanie

podekscytowana, a tymczasem byłam znużona. Spoglądając w niebo, doszłam do wniosku, że jestem niska i płaska, jak chmura warstwowa. Czułabym się znacznie lepiej, gdyby poszła ze mną Lily, ale musiała wziąć udział w jakiejś imprezie dobroczynnej. Byłam w tak dziwnym nastroju, że nawet nie pomyślałam wcześniej, w co się ubrać i teraz zabrałam się za przegląd ciuchów. Miałam starą „wyjściową” suknię z Principles. To byłby bezpieczny wybór: czarny aksamit i dobry krój, ale nie nosiłam jej od wieków. Na sąsiednim wieszaku wisiała ładna sukienka z Next. Kupiłam ją pod wpływem chwili i nigdy się sobie w niej nie podobałam. Miałam też, a jakże, satynową sukienkę z What She Wants, która, mimo że tania, wyglądała całkiem nieźle. Wiedziałam jednak, że się nie nadaje. Doszłam do wniosku, że nie mam nic odpowiedniego i spytałam Lily, czy mogłabym znów pożyczyć różową suknię od Annaniego.

- Tę, którą miałas w Glyndebourne?
- Tak.
- Nie bądź śmieszna. Oczywiście, że nie możesz.
- Och, przepraszam, że spytałam.
- Nie ma mowy. Ktoś mógłby to zauważyć! Jak mogłabyś pójść na galę do Covent Garden w sukni, którą już wszyscy widzieli?
- Jest bardzo ładna, a poza tym tam będą inni ludzie.
- Nie możesz ryzykować - stwierdziła. - Jutro wszyscy będą się na ciebie gapili. Będą cię fotografować. Nie tylko ze względu na to, że jesteś trochę znana sama z siebie, lecz przede wszystkim dlatego, że będziesz z Josem. Mam cudowny wzór od Clementsa Ribeiry. Tę ci pożyczę.

Przysłała mi suknię przez gońca we wtorek po południu, pięć godzin przed podniesieniem kurtyny. Uszyta była z ciemnoszarego jedwabnego dżerseju, skrojona ze skosa, z bardzo ładnymi diamentowymi ramiączkami. Wyglądała cudownie: błyszcząca, ale bez przesady, elegancka, ale dyskretnie.

- Lily się zna - poinformowałam Grahama, przeglądając się w lustrze. Zadzwoniłam do Josa i powiedziałam, że podjadę metrem do miasta, ale się nie zgodził.
- W żadnym wypadku.
- Dlaczego nie? Możemy się spotkać w Covent Garden.
- Przyjedziemy razem limuzyną. Chyba zapomniałaś, mówiłem ci o tym w zeszłym tygodniu.

Piętnaście po szóstej przed domem zatrzymał się duży mercedes, czarny i błyszczący jak kruk. Wsiadłam do ciemnego wnętrza i pojechaliśmy na Burnaby Street. Jos miał na sobie smoking. Przypominał modela ze zdjęcia w „GQ”\

- Ślicznie wyglądasz - powiedział, kiedy wsiadł do samochodu. Ścisnęłam go za rękę.

- Ty też.

- To jest najważniejsze wydarzenie mojego życia - stwierdził. - Widziałas artykuł w „Sunday Timesie”*?

- Tak - szepnęłam. - Wspaniały.

Po drodze kilka razy spoglądał nerwowo na zegarek, gdy od czasu do czasu staliśmy w ulicznych korkach. Przy Haymarket było już dziesięć po siódmej, ale jechaliśmy powoli StranDEM, a potem skręciliśmy w lewo, w Wellington Street i znaleźliśmy się przed korynckim portykiem opery i masywnym łukowatym oknem Floral Hall. Lily miała rację - na chodniku stał tłum paparazzich. Kogo fotografowali? Wykręciłam trochę głowę, żeby zobaczyć Annę Ford i jej nowego partnera. Byli tam także Emma Thompson z Gregiem Wise'em i chyba Stephen Fry.

- Gwiazdy będą świecić dziś wieczorem - powiedział Jos. - Odetchnij głęboko. Teraz my.

Kierowca wysiadł, obszedł limuzynę i otworzył drzwi. Wsiadłam pierwsza.

- Faith! Tutaj! Faith! Halo! - Przystanęliśmy na dolnym stopniu i odwróciliśmy się z uśmiechem. Poczułam dłoń Josa w dole pleców.

- Jeszcze raz - szepnął. - Bardzo dobrze. Wchodzimy.

Foyer błyszczało odbitymi błyskami diamentów, kryształów i złota. W powietrzu unosiły się niezwykle zapachy perfum i drogich wód kolońskich. Weszliśmy szerokimi schodami, wyściełanymi czerwonym dywanem i zajęliśmy miejsca w głównej łoży. Spojrzałam na czerwone pluszowe kurtyny ze złotym haftem i królewskim herbem. Pod nami były rzędy foteli na parterze, a nad nami wznosiły się balkony, niby pokłady na statku. Rozejrzałam się dyskretnie. Oczywiście gwiazdy zdarzały się i w AM-UK!, ale to było co innego. Na końcu naszego rzędu siedziała Cate Blanchett z mężem, a tuż przed nami - William i Ffion Hague. Z lewej strony na parterze zauważyłam Michaela Portillosa, a z prawej - Blairów. W jednej z bocznych łoż wypatrzyłam Joanę Lumley, a w innej - Michaela Buerka. Otaczało mnie tak wielu

sławnych ludzi, że poczułam nieprzepartą ochotę, aby zacząć meksykańską falę.

- Jak twój włoski? - spytał z uśmiechem Jos.
- Niezbyt *caldo*, obawiam się. Będę czytać libretto.

Światła zamigały i zgasły. Zapadła cisza. Wyszedł dyrygent, którego przywitano oklaskami. Przeszedł przez kanał dla orkiestry, stanął na podium, skłonił się, odwrócił i uniósł batutę. Przez jedną krótką chwilę trwała cisza, a potem, do wtóru skrzypiec, wielka czerwona kurtyna poszła w górę i zobaczyliśmy Pinkertona w dniu „ślubu”. Liryczne soczyste dźwięki muzyki były przeciwieństwem jego cynicznych słów:

Żenię się zgodnie z japońskim obyczajem... - zaśpiewał. - I będę mógł się rozwiść... - Wzniósł toast. - Kiedy zechcę się ożenić z prawdziwą Amerykanką. Z boku sceny rozległ się słodki wysoki głos Butterfly, która podeszła do domu ze swoimi służącymi.

Jestem najszczęśliwszą dziewczyną w Japonii - zaśpiewała. - To dla mnie wielki zaszczyt.

Podeszła do Pinkertona w ozdobnym kimonie, z kwiatami we włosach.

Motyl nie może już ulecieć - zaśpiewał w trakcie ceremonii zaślubin. - Złapałem cię i jesteś moja.

Na całe życie - odparła w ekstazie.

Potrząsnęłam głową, wiedząc, jaki spotkają los. I chyba westchnęłam, bo nagle poczułam nacisk ramienia Josa. Kątem oka zobaczyłam, że przyłożył palec do ust. Nie mogłam nic na to poradzić. Tak bardzo było mi jej żal. Kiedy pół godziny później kurtyna opadła po pierwszym akcie, gardło bolało mnie od powstrzymanego szlochu.

- Mam nadzieję, że nie będziesz się cały czas mazała - powiedział Jos, gdy szliśmy do bufetu.

- Niewykluczone - odparłam z uśmiechem.

- Proszę, nie rób tego. To irytujące.

- Dobrze, ale to wszystko jest takie smutne. Powinni przypiąć kilka chusteczek do programu - zażartowałam. Jos się nie roześmiał, wyraźnie myślał o czymś innym. W końcu to był dla niego wielki wieczór. Chwilowo o tym zapomniałam.

- Dekoracja wygląda cudownie - powiedziałam, kiedy wróciłam z szampanem. - Jesteś genialny. Jestem z ciebie taka dumna. - Wreszcie się uśmiechnął. Bar w Floral Hall pełen był *haute couture* i czarnej serży.

- ...Ma fantastyczny głos.
- ...Wolę laurenta perriera.
- ...Nigdy go nie słyszałam. Czy jest dobry?
- ...Pyszne miejsce, mówię ci.
- ...Nie przepadam za librettem.
- ...Najmłodszy są w Stowe.

Zadzwonił dzwonek i wróciliśmy na miejsca. Od szampana zakręciło mi się w głowie. Nie wolno mi płakać - pomyślałam, czekając, aż zgasną światła, bo Jos będzie bardzo niezadowolony. Żeby się rozerwać, znów rozejrzałam się po audytorium. Najpierw obejrzałam łoża, a potem zwróciłam wzrok na parter. I nagle serce zabiło mi tak mocno, że myślałam, iż wyskoczy mi z piersi. W jednym ze środkowych rzędów po prawej stronie siedział Peter z Andie. Poczułam się tak, jakby wypchnięto mnie z samolotu.

- Coś się stało, Faith? - spytał Jos. Serce upadło mi na podłogę.
- Nie-mruknęłam.

Pałała mnie twarz i zaschło mi w gardle, a po krzyżu przeszedł dreszcz. Żołądek kręcił mi się w kółko, jak betoniarka, a ktoś usiłował wbić w moje serce tępy nóż. Boże, Boże! Nigdy dotąd nie widziałam ich razem. Teraz siedzieli obok siebie: mój mąż od piętnastu lat i ona. Jak masochistka nie mogłam oderwać od nich wzroku, choć wcale nie chciałam na nich patrzeć. Peter miał na sobie smoking, a ona - suknię z czerwonego jedwabiu. Coś do niego mówiła, zdjęła mu pyłek z ubrania, a potem oparła głowę na jego ramieniu. Miałam ochotę wstać i krzyknąć: **WON Z ŁAPAMI OD MOJEGO MEŻA, TY DRAPIEŻNA SUKO!** Ale przypomniałam sobie, gdzie jestem. To było straszne. Dlaczego musieli przyjść akurat dziś? I dlaczego Peter mnie nie uprzedził? Mógł się domyślić, że tu będę. Światła przygasły i Andie wzięła Petera za rękę. Ciekawe, co mu szeptę do ucha? „Robi się ciemno, mój słodczku, więc musisz się zaopiekować twoją dziewczynką, bo ona się troszeczkę boi ciemności”? Było mi słabo i niedobrze, od szampana kręciło mi się w głowie, orkiestra zagrała i kurtyna poszła w górę. Westchnęłam ponuro.

- Ciiii! - szepnął Jos.

Muzyka pasowała do mojego nastroju - smutna, wręcz porzebowa, z nieustającym biciem bębna. Butterfly, trzy lata później, sama i biedna. Porzuciła kimono i miała na sobie zachodnią suknię. Przed domem wisiała amerykańska flaga. Służąca, Suzuki, mówiła, że Pinkerton na pewno nie wróci.

Wróci - powiedziała stanowczo Butterfly. *Powiedz: wróci!*

A potem zaśpiewała arię *Pewnego pięknego dnia*. o tym, jak statek Pinkertona wpływa do portu, a on wchodzi na wzgórze do jej domu.

Nazwie mnie „swoją małą żonką”, u ciebie „zapachem werbeny”, tak jak zwykł był mówić, kiedy przebywał tu za pierwszym razem. Nadal go kochała i trzeba było mieć serce z kamienia, żeby się nie wzruszyć. Przyszedł Sharpless z listem od Pinkertona i od razu było wiadomo, co to oznacza. Jednak Butterfly z całą mocą upiera się, że Pinkerton wciąż ją kocha. Sharpless stara się taktownie wszystko jej wyjaśnić, ale ona go nie słucha. Muzyka jest coraz bardziej złowróżbna, gdy nagle Butterfly wbiega do domu i wychodzi po chwili z dzieckiem na ręku. Wyzywająco trzyma w objęciach maleńkiego chłopca, a muzyka nabiera niewiarygodnej mocy. Słychać ryk puzonów, fagotów i rożków francuskich, a w końcu ogłuszający huk wielkiego gongu.

A co z nim? - zaśpiewała, podchodząc bliżej z dzieckiem, głosem wzbijającym się w niebo. *Czy o nim także zapomniał?*

Sharpless jest zaszokowany.

Czy to jego dziecko? - pyta słabym głosem.

Czy ktoś widział japońskie dziecko z niebieskimi oczami? - śpiewa Butterfly. - *Spójrz na jego usta i jasne włosy.*

Poczułam, że Jos sztywnieje. Spojrzałam na niego. Nie płakał. Nie uronił ani jednej łzy. Przypuszczałam, że bardziej koncentrował się na scenografii i kostiumach, niż muzyce i przebiegu akcji. Później przeniosłam wzrok na parter, żeby sprawdzić, czy po ciemku zobaczę Petera. On też prawdopodobnie płakał, bo jest tak samo sentymentalny jak ja. Byłam pewna, że Peter nie porzuciłby Butterfly. O nie! Postąpił tak, jak należy.

Butterfly, przekonana, że Pinkerton nadal ją kocha, zaczęła przybierać dom kwiatami i włożyła swoje ślubne kimono. Czekać na jego przybycie, zasnęła. Czułam, że publiczność zastyga w miarę intensyfikowania się dramatycznej akcji. W końcu przybył Pinkerton z żoną i Sharplessem. Sharpless przypomina mi, że zawsze ostrzegał go przed siłą uczuć Butterfly.

Tak - zaśpiewał Pinkerton. - *Popęłniłem błąd. I obawiam się, że nigdy nie uwolnię się od tego cierpienia. Nigdy! Jestem tchórzem!*

O tak - pomyślałam. Jesteś.

Jestem tchórzem.

Kiedy zobaczył, że Butterfly się budzi, uciekł.

A ja pomyślałam, że to dziwne, żeby mężczyzna, w dodatku dzielny oficer marynarki, uciekał przed kobietą z małym dzieckiem. Rozległo się stłumione łkanie, gdy Butterfly zdała sobie sprawę z okropnej prawdy.

Wszystko już dla mnie umarło! - zaśpiewała. - *Wszystko się skończyło!* I nadszedł ten straszny moment, kiedy żegna się z synkiem. *Czy to ty, mój skarbie? Mam nadzieję, że nigdy się nie dowiesz, co Butterfly zrobiła dla ciebie... Żegnaj, moja miłości. Idź się bawić.*

Wokół słyszałam powstrzymywany płacz. Usiłowałam przełykać łzy, które wypływały mi z oczu. Nie mogłam patrzeć, jak wzięła specjalny miecz swojego ojca i wbiła sobie w bok. Ludzie prychnęli i pociągali nosem, muzyka jeszcze raz wezbrała i ucichła.

Cisza, która zapadła, kiedy opadła kurtyna i zasłoniła martwe ciało Butterfly, trwała co najmniej pół minuty. Potem zaczęły się oklaski, coraz mocniejsze, dochodzące do grzmotu, który wbił się pod dach. Ludzie krzyczeli „Brawo!” Ja też chciałam krzyknąć, ale nie mogłam, gdyż byłam zbyt wyczerpana emocjonalnie. Otarłam szalem mokre policzki. Kurtyna lekko się rozdzieliła i powoli wyszli przed nią wszyscy śpiewacy.

- Brawo! Brawo! *Encore!*

Nagle Jos wstał.

- Mnie też oczekują na scenie - szepnął. - Zobaczymy się później w foyer.

Butterfly kłaniała się, szeroko rozkładając ręce, żeby pokazać, iż docenia aplauz i róże, które padały u jej stóp. Ludzie stali i bili brawo, a mnie łzy nadal płynęły z oczu. Trwało to w nieskończoność. Następnie na scenę wyszedł dyrygent z reżyserem i z Josem, i oklaski znów przybierały na sile. Mężczyźni skłonili się z uśmiechem i zaklaskali orkiestrze. Muzycy wciąż siedzieli w kanale.

Kiedy wstał pierwszy skrzypek, spojrzałam w dół i zauważyłam, że Peter wyciera łzy. Oklaski niemal ucichły i zapalono światła. Kiedy wróciłam do rzeczywistości, poczułam, że zalewa mnie fala paniki. Co powinnam zrobić? Zostać na miejscu, aż wszyscy wyjdą? Nie mogłam spotkać się z Peterem i z nią. Postanowiłam odczekać, ale okazało się to niemożliwe, bo reszta widzów z mojego rzędu chciała wyjść. Szłam w kierunku wyjścia uniesiona

przez tłum. Spojrzałam na otaczające mnie twarze - wszystkie były smutne i zmęczone, na wielu widać było ślady łez. Przedstawienie wywarło ogromne wrażenie. Gdy schodziliśmy schodami do foyer, ciągle miałam łzy w oczach. Na dole rozejrzałam się nerwowo, żeby sprawdzić, czy Peter i Andie nie stoją gdzieś blisko mnie. Odwróciłam głowę za ledwie na ułamek sekundy i poczułam, że wypada mi szkło kontaktowe. O Boże! Przestałam ostro widzieć. Poczulałam jak szkło spada, muskając mój policzek. Tego tylko brakowało! Wokół stało dużo ludzi i bałam się, że ktoś na nie nadejrze, więc opadłam na kolana i zaczęłam macać ręką po dywanie. Po chwili zdałam sobie sprawę, że ludzie trochę się odsunęli.

- Zgubiła pani szkło, co? - spytał jakiś facet. Skinęłam głową. - Pomogę pani szukać.

- Dziękuję.

- Twarde czy miękkie? - zapytała jakaś kobieta.

- Twarde. - Nawet bez szkła dojrzałam, że kolejne kilka osób zaczęło poszukiwania.

- Dobrze, że nie miękkie - powiedział ktoś. - Cholernie ciężko je znaleźć.

- Naprawdę?

- Tak. Wysychają i dużo trudniej je zauważyć.

- ...Choć z drugiej strony łatwiej je nosić.

- ...Tego bym nie powiedziała.

- ...Na pewno można je nosić dłużej.

- ...Mam! O nie, to cekin.

- ...Moje są kolorowe.

- ...A ja tam wolę okulary.

- Od dawna je pani nosi? - spytał ktoś.

- Od wielu lat. I wcale tak często ich nie gubię. A teraz nagle wypadło.

Mimo że wszyscy starali się mi pomóc, czułam się jak idiotka. Wiedziałam, że Jos dostanie szału. Zejdzie triumfalnie na dół i zastanie swoją partnerkę na kolanach.

- Mam nadzieję, że ma pani zapasowe - powiedziała jakaś kobieta.

- Nie mam - odparłam zgodnie z prawdą.

- No to musimy je znaleźć, bo będzie pani miała poważny kłopot.

- Potrzebna jest nam latarka - powiedział mężczyzna w smokingu. - Nikt nie ma?

- Chyba nie.

Westchnęłam. Nigdy tego szkła nie znajdziemy. Będę musiała pójść jutro do pracy na wpół ślepa. Boże, Boże! Co za okropny wieczór. I co za farsowe zakończenie.

- Poddaję się - oznajmiłam. - To bardzo miło z państwa strony, ale raczej nic z tego nie wyjdzie.

Nagle zobaczyłam przed sobą dłoń z moim małym szkieletem.

- Dzięki Bogu! - mruknęłam. Wzięłam szkło, naplułam na nie i szybko włożyłam do oka. - Bardzo dziękuję - powiedziałam, podnosząc głowę. - Ja...

- Nie ma za co - stwierdził Peter.

- Znalazła, tak? - ktoś spytał. - Tak czy nie?

- Tak, tak, już mam, bardzo dziękuję. Dziękuję, Peterze. - Oboje wstaliśmy na drżące nogi, a tłum falował wokół nas. Peter uśmiechał się do mnie, zauważyłam jednak, że ma zaczerwienione i przekrwione oczy.

- Podobała ci się opera? - zapytał.

- Tak. Nie. Raczej nie. Za smutna.

- U mnie to samo. Straszna.

- Straszna. - Uśmiechnęliśmy się słabo. - Nie wiedziałam, że tu będziesz - dodałam cicho.

- Ja też nie. To była niespodzianka.

- To cudownie! - powiedziałam radośnie, choć czułam się tak ponuro, jak bagna w Yorkshire. Nerwy miałam zszarpane, w dodatku nie wiedziałam, kiedy pojawi się Andie. Peter znów się uśmiechnął. Bardzo smutno. I nagle złapał mnie za rękę.

- Faith! - powiedział i przełknął ślinę. - To szaleństwo, Faith! Nie mogę tego znieść. Tej zwariowanej rzeczy, którą robimy. Ja nie chcę się rozwodzić - powiedział błagalnie.

- Wiem. Gdzie ona jest? - spytałam szybko.

- W toalecie. Zaraz przyjdzie. A gdzie jest on? Gdzie Jos?

- Też tu zaraz będzie.

- Nie mamy czasu. - Peter tak mocno ścisnął mnie za rękę, że bałam się o swoje palce. - Musimy porozmawiać. Musimy poważnie porozmawiać, Faith. Nie mamy dużo czasu. Musimy... - Nagle puścił moją dłoń, jakby go parzyła.

- Peter, kochanie! - Schodziła na dół jak harpia, żeby porwać ofiarę. - Chodź, mój skarbeczku - powiedziała tym swoim szorstkim głosem. - Chcę, żebyś mnie zabrał do domu. - Nagle zauważyła

mnie i kompletnie ją zatkało. Po sekundzie rzuciła mi krzywy uśmiech, odwróciła się i pociągnęła Petera za sobą.

Październik

Ta Butterfly ma skrzydła - oznajmiał „Teiegraph”. Butterfly wznosi się do nieba! - ogłaszał „Times”. Perfekcyjny Puccini - zachwycał się „Guardian”. Butterfly w ogniu! - pisał „MaiP*”. Krytycy byli zgodni i jednogłośni - przedstawienie stało się wielkim sukcesem. W sobotę, jedząc z Josem śniadanie, przeczytałam każdą recenzję po parę razy. Rodzierające serca... Covent Garden we łzach... Butterfly w wykonaniu Li Yuen to więcej niż ofiara... Dumna i godna... Pinkerton w wykonaniu Marka Bella to człowiek gruboskórny, ale okazał też cierpienie... Wspaniałe projekty Josa Cartwrighta stawiają go w jednym rzędzie z najlepszymi.

- Dokonałeś tego - powiedziałam. - Jesteś gwiazdą.
- Całkiem nieźle wyszło - przyznał. -I dziś czuję... satysfakcję.

- Słusznie - stwierdziłam z przekonaniem. - Cały świat ma dla ciebie propozycje. - Josa zasypano ofertami pracy. Zaproponowano mu *W kleszczach lęku* w Glyndebourne, *Żywoć rozpustnika* w Met, *Don Giovanniego* w San Francisco i *Rigoletta* w Rzymie. Zamawiano u niego projekty do oper, które miały być wystawiane dopiero za trzy czy cztery lata.

- Będę się musiał dobrze zastanowić - powiedział. - Nie zamierzam podróżować tyle, co kiedyś. A to dlatego - podniósł moją rękę do ust - że nie chcę być zbyt daleko od ciebie. Przez to nie udawały mi się poprzednie związki. Nigdy mnie nie było. Teraz mam inne priorytety. Skończyłem trzydzieści siedem lat, Faith. Tak naprawdę to chciałbym zrobić *Pierścień Nibelungów* - dodać ze znaczącym uśmiechem.

- *Pierścień Nibelungów?* - powtórzyłam. - Och.
- Czemu nie? - mruknął, głaszcząc moją lewą dłoń. - W końcu jesteśmy ze sobą na poważnie. A co z rozwodem? Wciąż na tapecie?

- Mhm. O ile wiem, tak.

- Chciałbym także zabukować tę wycieczkę do Parrot Cay - powiedział, wstając. Wybrał się na squash. - Możesz wziąć urlop na początku grudnia? - Skinęłam głową. - To dobrze, spróbujemy się wybrać. A teraz muszę się pospieszyć - dodał, biorąc sportową torbę. - Boisko jest zarezerwowane od wpół do jedenastej. - Podszedł do kredensu, żeby wziąć kluczyki do samochodu i coś zwróciło jego uwagę.

- Ładna kartka - powiedział. - Dla kogo?

- Dla starej przyjaciółki ze szkoły - wyjaśniłam. - Na jej... rocznicę ślubu.

- Wysyłasz przyjaciółkom kartki z życzeniami? - Skinęłam głową. - Och, Faith, to takie typowe dla ciebie. Do zobaczenia za parę godzin - dodał, całując mnie na pożegnanie.

Byłam zaszokowana, że tak gładko skłamałam. Kartka wcale nie była dla szkolnej przyjaciółki, ale na urodziny Petera, które wypadały w przyszłym tygodniu. Jos właśnie zapalił silnik i odjeżdżał. Spojrzałam na kartkę. Znowu przypomniało mi się, co Peter powiedział tamtego wieczoru: „To szaleństwo... To, co robimy... Nie mamy dużo czasu... Musimy porozmawiać..” Patrzył na mnie przy tym tak przejmująco, ale od tamtej pory się nie odezwał. Może powiedział to tylko pod wpływem emocji? Może wypił za dużo szampana. Może lepiej mu się układało z Andie? Może za dużo pracował? Nadal jednak był moim mężem i chciałam, żeby wiedział, że myślę o nim w dniu jego urodzin. Wyjęłam kartę z celofanowej torebki i wypadł z niej kawałek papieru: „Ta karta nie ma żadnego napisu, abyś mógł umieścić własne życzenia”. Co właściwie powinnam napisać? Wiele lat szczęścia. Jasne. Napisałam. Jak się podpisać? Ucałowania od Faith? Moc całusów od Faith? Całuję i pozdrawiam, Faith? A może samo F. I kilka krzyżyków symbolizujących pocałunki? Dwa albo trzy. Napisałam to sobie na brudno, ale wciąż nie byłam pewna. Może powinnam dodać: „PS. Miło było cię zobaczyć w operze”. Chociaż, prawdę mówiąc, to był jeden z najgorszych dni w tym roku. Westchnęłam na samo wspomnienie, a potem napisałam: *Całusy od Faith i Grahama*. Dodałam jeden krzyżyk i dwa ślady psich stóp i dopisałam: *Mam nadzieję, że u ciebie wszystko w porządku*. Zadowolona z miłego a jednocześnie nie narzucającego się napisu, jeszcze raz spojrzałam na kartkę. Był na niej rysunek dwóch wyciągniętych dłoni, prawie się dotykających. Kupiłam ją bez żadnych specjalnych podtekstów, po prostu najbardziej mi się

podobała. W każdym razie napisałam na niej adres wydawnictwa Petera i wrzuciłam do skrzynki. Nie żeby mi się jakoś spieszyło, ale akurat przyszła pora na spacer Grahama. Nie liczyłam też za bardzo, że Peter się odezwie, to w końcu była tylko kartka z życzeniami. Kiedy spacerowałam z Grahamem, zastanawiałam się, jak Peter spędzi dzień swoich urodzin. Może Andie wyda dla niego koktajl? Może zjedzą romantyczną kolację we dwoje? Może zabierze go do teatru. A co mu kupi w prezencie? Prawdopodobnie złote spinki do mankietów. A raczej złote kajdanki. Lub elastyczną smycz. Zatopiła w nim zębiska piranii i nie zamierzała go wypuścić.

Kiedy mijały dni i Peter się nie odzywał, usiłowałam w ogóle o nim nie myśleć. Jos w dodatku bardzo o mnie dbał, często się widywaliśmy, a i w pracy sporo się działo, choć Terry i Sophie zachowywali chłodny dystans. Jeśli jednak w studio panowały temperatury w okolicach zera, na dworze trochę się poprawiło. Front zokludowany przeszedł i zbliżała się strefa wysokiego ciśnienia.

- Temperatura przyjemnie idzie w górę - powiedziałam za pięć ósma w czwartkowy rano.

- Odliczamy, Faith.

- Jak państwo widzą z rozmieszczenia izobar - nacisnęłam pilota - ciśnienie zaczyna wzrastać.

- Osiem, siedem...

- Możemy się spodziewać pięknej, słonecznej pogody.

- Dzięki Bogu.

- Po kiepskim wrześniu.

- Mnie nie musisz mówić. Sześć, pięć...

- Przy odrobinie szczęścia możemy nawet...

- Trzy, dwa, jeden...

- Mieć prawdziwe babie lato.

- Zero.

Zaczęły się wiadomości, a ja poszłam na górę, żeby sprawdzić wykresy. Spojrzałam na pogodowy domek - mały mężczyzna był w środku, a jego żona na zewnątrz - i czytałam właśnie najnowszy komunikat z biura meteorologicznego, gdy zadzwonił wewnętrzny telefon.

- Dzwonię z recepcji, Faith - powiedział kobiecie głos. - Czy możesz zejść? Przeszedł twój mąż. - Zaszokowana, pobiegłam korytarzem. Co on tu robi o tej porze? - pomyślałam zdenerwowana, naciskając guzik windy. W głowie dzwoniły mi dzwonki alarmowe. Musiało stać się coś złego.

- Co jest? - zawołam bez tchu, kiedy zobaczyłam go w recepcji. - Powiedz, co się stało?

- No... - zaczął. Był bardzo przejęty i spięty.

- Tak? - Brakło mi tchu. - Co?

- Widzisz... - zaczął znów. To było straszne.

- Powiedz mi, Peter. Co się dzieje?

Zaczerwienił się nagle.

- Dziś... są moje urodziny - oznajmił nieśmiało. Co takiego?

- Tak - powiedziałam ze zdumieniem. - Wiem.

- I... chciałem ci podziękować za życzenia.

- Ach, tak - szepnęłam. - Rozumiem.

- Kartka przysłała wczoraj i uważam, że... jest bardzo ładna. Chciałem ci to powiedzieć osobiście. Wiedziałem jednak, że nie będę mógł się z tobą zobaczyć wieczorem, ponieważ muszę wyjść z Andie. I nie mogę przyjść w ciągu dnia, bo jestem w pracy. Pomyślałem więc, no, wiesz... że wpadnę teraz.

- Ach, tak. Ale twoja firma jest zupełnie gdzie indziej. Musiałeś nadłożyć co najmniej piętnaście kilometrów.

- Chyba tak, ale chodzi o to - powiedział i znów się zaczerwienił - że zawsze cię widziałem w swoje urodziny i w tym roku też chciałem cię zobaczyć.

Uśmiechnęłam się i westchnęłam z ulgą.

- Wszystkiego najlepszego, Peterze - powiedziałam. Wpatrywał się we mnie bez słowa, zrobiłam więc krok do przodu i pocałowałam go w policzek. - Wszystkiego najlepszego - powtórzyłam, powstrzymując śmiech. - O to chodziło, tak? - Skinął głową. - Dzięki, że wpadłeś.

- Nie odchodź. - Położył mi rękę na ramieniu. - Musiałem cię zobaczyć - dodał ciszej. - Widzisz, jest mi niezręcznie, bo... - Nagle z jego kieszeni rozległ się głośny, metaliczny śpiew *Happy Birthday*. Peter drgnął, wyjął komórkę i otworzył klapkę.

- Tak, cześć. Tak. Mhm. Posłuchaj, jestem na roboczym śniadaniu. Porozmawiamy później. Oczywiście, że do ciebie zadzwonię. Pa. - Schował telefon i spojrzał na mnie zażenowany. - Lubi wiedzieć, gdzie jestem.

- Strasznie się cieszę, że cię zobaczyłam, Peterze, naprawdę, ale muszę już iść, bo za dziesięć minut wchodzę na wizję.

- Dobrze, naturalnie.

Uśmiechnęłam się na pożegnanie.

- Faith! - powiedział nagle.

- Tak? - Odwróciłam się. Czoło miał zroszone potem.
- Jest coś jeszcze.
- Tak?
- Tak. Chcę ci coś powiedzieć.
- Co takiego?
- A właściwie o coś poprosić.
- Słucham?
- Czy pójdziesz ze mną na kolację w przyszłym tygodniu?

W poniedziałek szykowałam się na spotkanie z Peterem, a w piersi rósł mi balon lęku. Randka z mężem - pomyślałam ironicznie. Co włożyć? Zasypałam podłogę w sypialni stosami ubrań, starając się coś znaleźć i wciąż zmieniałam zdanie. Wreszcie włożyłam różową sukienkę bez rękawów z Principles nie tylko dlatego, że podobała się Peterowi, lecz dlatego, że zrobiło się cudownie ciepło. Nie mówiłam Josowi o spotkaniu z Peterem, naprawdę nie musiał wiedzieć. Po co szukać kłopotów - pomyślałam - jeśli można ich unikać. Przez moment miałam problem, gdy Jos zadzwonił z propozycją pójścia do kina.

- Przykro mi, kochanie, ale dziś nie mogę.
- Dlaczego?
- W związku z... pracą. Wiesz...
- Z pracą? Co takiego? - Nie spodziewałam się, że mnie o to zapyta. Gorączkowo poszukiwałam jakiegoś wiarygodnego wykrętu.

- Seminarium.
- Naprawdę? Na jaki temat?
- Globalnego ocieplenia.

Piętnaście po szóstej jeszcze raz przejrzałam się w lustro w przedpokoju i poszłam do metra. Peter zaproponował spotkanie w Odette, przy Regent's Park Road. Kelner zaprowadził mnie do stolika na dole, w dyskretnej wnęce z tyłu sali. Na mój widok Peter wstał, pocałował mnie w policzek i nagle wziął w objęcia.

- Tak się cieszę, że cię widzę.
- Ja też.
- Podoba mi się twoja sukienka - stwierdził z uśmiechem, gdy siadaliśmy.
- Co, ta starość? Mam ją od wieków.
- Wiem. Pamiętam. Dobrze ci w różowym.

Przyszedł kelner i zamówiłam kieliszek białego wina. Ponad kartami z menu przyglądaliśmy się sobie trochę nieśmiało. Goście przy innych stolikach w życiu by się nie domyślili, że jesteśmy małżeństwem z piętnastoletnim stażem.

- To miło znów cię zobaczyć - powiedział z zadumą. - Przepraszam, że tak daleko cię zaciągnąłem, ale tu jest bezpiecznie. Przed nią.

- To nie brzmi dobrze.

- Nie jest dobrze.

- To gdzie, jej zdaniem, jesteś teraz?

- Na promocji książki. Powiedziałem, że wrócę o dziesiątej. Musiałem jednak z tobą porozmawiać, bo... - Westchnął. - Musiałem. - Wbił ponury wzrok w dżin z tonikiem. - Przeżywam piekło, Faith - wychrypiał.

- Rozumiem - mruknęłam, bawiąc się widelcem. Może potrzebował mojej rady?

- Usiłowałem ci to wyjaśnić na *Madame Bulterfly* - powiedział z gorzkim westchnieniem. - Chciałem do ciebie zadzwonić na drugi dzień, ale bałem się, że weźmiesz mnie za wariata.

Pociągnął duży łyk dżinu. Ja popijałam wino.

- Mam dość - jęknął i zmiął serwetkę. I nagle wszystko się z niego wylało. Że Andie jest potwornie zazdrosna; że nim manipuluje i jest podstępna; że jej głupie dziecinne odzywki go krępują; że urlop w Stanach był okropny; że ona nie ma ani jednej książki; że go oszukała w kwestii wieku.

- Powiedziała, że ma trzydzieści sześć lat. Nieprawda, ma czterdzieści jeden.

- W życiu nie przyszłoby mi do głowy, że będę kiedyś bronić Andie - powiedziałam, co mnie samą zdziwiło - ale wiele kobiet odejmuje sobie parę lat. To nie jest przestępstwo.

- Tak, ale oszukiwała mnie przez pół roku. Dopiero jak Katie zajrzała do jej paszportu, dowiedziałem się prawdy. Teraz się zastanawiam, w czym jeszcze mnie oszukała. Ten związek jest bez sensu i ja się wycofuję.

- Naprawdę?

Skinał głową.

- Tak. Jak najszybciej, gdy tylko będzie to możliwe. Mógłbym jej zostawić list na kuchennym stole, ale to byłoby tchórzostwo. Niezależnie od tego, co zrobię, będzie wściekła. - Peter spojrzął na mnie i wziął mnie za rękę.

- Strasznie mi przykro, Faith... Przepraszam cię za to wszystko.

- Nie szkodzi - szepnęłam. - Nic nie szkodzi.

- Wiem, że to moja wina. Zachowałem się jak idiota, mówiąc ci o tym jednym razie.

- O nie - zaprotestowałam stanowczo. - Nie w tym rzecz. Zachowałeś się jak idiota, ponieważ w ogóle do tego dopuściłeś.

- No... tak. Ale ona mnie poderwała. Była atrakcyjna. Cała sytuacja mnie ekscytowała i dałem się ponieść. Nigdy nie przestałem cię kochać, Faith, ale ostatnio niezbyt dobrze nam się układało.

- Źle też nie - powiedziałam.

- Nie, ale byliśmy ze sobą tak długo. Tak długo - powtórzył z niedowierzaniem, jakby sam nie mógł w to uwierzyć. - Piętnaście lat, Faith. Piętnaście lat. Czy tobie się nigdy nie znudziło?

- Nie - odparłam, pociągając nosem. - I dlatego jest mi bardzo przykro, że tobie się znudziło.

- Potem spotkałem Andie i jej zainteresowanie sprawiło, że... odżyłem. Nigdy tego nie chciałaś? Żeby się coś zdarzyło? C całkiem nieoczekiwanego?

- Nie - powiedziałam, bawiąc się pieprzniczką. - Byłam dowolona z tego, co mieliśmy.

- I nigdy nie pragnęłaś choćby małej zmiany?

- Mieliśmy dość zmian, dziękuję bardzo. Igrałeś z ogniem, Peter.

- Tak, zgadza się. I byłem tym zachwycony. Tym, że coś się stało, coś się zmieniło. Ty ostatnio wciąż podejrzewałaś mnie o zdradę, pomyślałem więc: dlaczego nie? Zrobię sobie skok w bok. I to było tylko tyle - jeden skok w bok. Nie sądziłem, że to nam w jakikolwiek sposób zaszkodzi, aż tu nagle nasze małżeństwo się rozpadło. Nie jest jeszcze za późno - dodał z desperacką nadzieją. - Czy nie możemy go posklejać? - Wpatrywałam się w przystawkę z kraba w majonezie, a w głowie kłębiły mi się różne sprzeczne myśli.

Wpadł w panikę na myśl, że miałyby zostać sam.

Trzymaj się Josa, on cię dobrze traktuje.

Zbyt wiele zaszło w ostatnim czasie.

Zdradził raz, może to zrobić znowu.

- Powiedz coś, Faith - nalegał Peter. - Powiedz, że mogę do siebie wrócić.

- Posłuchaj - zaczęłam powoli. - To nie jest takie proste...

- Dlaczego?
- Ponieważ... ja jestem z kimś innym.
- Ale nie jesteś szczęśliwa, prawda?
- To jest bardzo aroganckie założenie. Owszem, jestem szczęśliwa.
- Nie sądzę.
- Jestem bardzo szczęśliwa - powiedziała i przełamała na pół kawałek bagietki.
- Nie wierzę ci, Faith. Na przykład urodzinowa kartka, którą mi przysłałaś, wskazuje na to, że chciałaś do mnie wrócić.
- Nic podobnego - stwierdziłam z oburzeniem. - Spodobała mi się i tyle.
- Poza tym nie napisałaś: „Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin”, tylko: „Wiele lat szczęścia”.
- Nadajesz temu zbyt duże znaczenie. Tymczasem ja jestem szczęśliwa z Josem.
- Mnie nie oszukasz. Znam cię lepiej niż siebie samego. Freud powiedział, że prawda wychodzi z nas wszystkimi porami. Widzę twoją prawdę.
- Naprawdę jestem przy nim szczęśliwa - upierałam się. Kelner przyniósł sałatkę.
- Czyżby?
- Oczywiście. Pewnie, że na początku mieliśmy jakieś drobne problemy - dodałam, biorąc widelec. - Jos bywa... skomplikowany. Poza tym są pewne rzeczy, których nie jestem do końca pewna. - Urwałam i spojrzałam przed siebie. - Ale poza tym pasujemy do siebie i jesteśmy teraz razem.
- Dlaczego jesteście razem? Co ci się w nim podoba?
- Na litość boską- powiedziała nagle - wystarczy mi Katie i jej psychoanalizy. Z tobą nie będę tego wszystkiego omawiała.
- Jestem tylko ciekaw, co cię w nim pociąga. Gdyby ci na nim rzeczywiście zależało, powiedziałaś mi.
- Kiedy się rozstaliśmy, czułam się samotna i niepewna siebie. Wtedy pojawił się Jos, który niebawem podniósł mnie na duchu. Poza tym jest bardzo atrakcyjny, utalentowany, dogaduje się z dziećmi i... No, nie wiem. Przyzwyczyłam się do niego.
- Przyzwyczyłaś się? Mówisz, jakby był meblem, który niezbyt ci się podoba. I to są twoje powody, Faith?
- Tak.
- To za mało.

- Wystarczy. Ludzie są ze sobą z mniej ważnych przyczyn.
- Jednego jednak nie powiedziałaś - dodał, biorąc do ręki nóż. - Opuściłaś bardzo ważną rzecz. Najważniejszą.
- Jaka?
- Nie powiedziałaś, że go kochasz.
- No...
- Tego jednego nie powiedziałaś.
- Bo nie musiałam - odparowałam. - Najwyraźniej tak jest.
- To wcale nie jest oczywiste.
- Zaczynasz mnie irytować.
- Oszukujesz samą siebie.
- Posłuchaj, przykro mi, że twój romans cię rozczarował, ale jeśli sądzisz, że to cię upoważnia do czepiania się mojego aktualnego związku, to się grubo mylisz.

Peter uśmiechnął się jednym z tych swoich denerwujących uśmieszków i rozparł na krześle.

- Aktualny związek? - powtórzył ironicznie. - Jesteś pewna, że to potrwa jakiś czas?
- Oczywiście, że jestem pewna - warknęłam. - Jos i ja zamierzamy się ochajtnąć.
- Ochajtnąć? Co to znaczy?
- Pobrać.
- Naprawdę? A więc to poważna sprawa?
- Tak, bardzo poważna.
- To gdzie, jego zdaniem, jesteś teraz?
- Słucham?
- Gdzie, zdaniem Josa, teraz jesteś?
- No...
- Czy wie, że jesteś ze mną?
- Nie - powiedziałam i napiłam się wina. - Nie, nie wie.
- Aha!
- Myśli...
- Tak?
- Myśli, że jestem na seminarium.
- Oszukałaś go.
- Nie.
- Tak!
- Wcale nie - powtórzyłam z uporem, bawiąc się kieliszkiem.
- Właśnie, że tak - stwierdził z triumfem. - Okłamałaś go, bo nie chciałaś się przyznać, że się ze mną umówiłaś.

- Ale...
- Gdyby wasz związek był tak doskonały, jak twierdzisz, powiedziałaś Josowi prawdę. - Postukałam paznokciami w stół.
- Nie chciałaś, żeby wiedział.
- Posłuchaj - zaczęłam ze złością. Twarz mnie paliła. - Faktem jest, że jestem z Josem. Nigdy mnie nie zranił - dodałam znacząco. - I bardzo go lubię.
- Ale go nie kochasz.
- Nie o to chodzi.
- O to. I dlaczego nie patrzysz mi w oczy?
- Powtarzam: nie mogę rzucić Josa tak sobie, bo ty postanowiłaś rzucić Andie.
- Możesz! - powiedział z naciskiem. - Oczywiście, że możesz. Co to jest pół roku w porównaniu z piętnastoma latami? Wróć do mnie, Faith. Nie kochasz Josa. Wróć i zacznijmy od nowa.
- Nie mogę. To byłoby nieuczciwe wobec Josa. Jesteśmy razem. Często się widzimy i planujemy wspólny wyjazd.
- O cholera! - wykrzyknął Peter, spoglądając na zegarek. - Pół do dziesiątej! Muszę lecieć.
- Zapłacił rachunek, a potem oboje stanęliśmy przed restauracją, czekając na taksówkę.
- Jedź pierwszy - zaproponowałam na widok złotego światła na dachu. Podał taksówkarzowi adres Andie i odwrócił się do mnie.
- Nie chcę cię stracić - powiedział cicho. - Przemyśl to sobie, zanim będzie za późno.
- Nie mogę.
- Ale byś chciała. Widzę to. Kusisz los - dodał z uśmiechem.
- Posłuchaj, Peterze - zaczęłam z westchnieniem. - Nie chcę ranić twoich uczuć i cieszę się, że się dziś spotkaliśmy, i bardzo mi przykro, że nie jesteś szczęśliwy, i doceniam, że z trudem przyznałeś się do błędu, jeśli jednak myślisz, że znów wpiączę się w emocjonalną huśtawkę dlatego, że doszedłeś do wniosku, po spowodowaniu wielkiego kryzysu w naszym życiu, że powinniśmy wrócić do siebie, niby bohaterowie romantycznej powieści, to ja...
- Nagle Peter porwał mnie w ramiona i pocałował. Fala adrenaliny przeszła mnie niczym rozgałęziona błyskawica. Nie całował mnie w ten sposób od lat.
- Przepraszam - mruknął i odsunął się. - Kocham cię. Zawsze cię kochałem i uważam, że ty również mnie kochasz. - Wsiadł do taksówki, po czym opuścił szybko. - Prawda?

- Nie, nieprawda - odparłam słabym głosem.
- Właśnie, że kochasz. Wciąż się złościysz i bez sensu upierasz, ale mnie kochasz. Wiem.
- Nie słyszałeś, co powiedziałam? Nie!
- Kłamiesz! - wykrzyknął z zadowoleniem, gdy taksówka ruszyła.
- Nie kłamię!
- Nadal mnie kochasz, Faith - usłyszałam, gdy taksówka zniknęła za zakrętem. - Dlatego wciąż tu stoisz.
- Ani cię nie Kocham, ani tu nie stoję, do jasnej cholery!

- Było bardzo ciekawe - poinformowałam Josę następnego dnia, gdy zadzwonił, żeby spytać o przebieg seminarium.

- A gdzie się odbywało?
- W Królewskim Towarzystwie Geograficznym - odparłam, dumna, że tak szybko potrafiłam wymyślić coś w miarę prawdopodobnego. - Globalne ocieplenie jest bardzo poważnym zagrożeniem - powiedziałam, zagrzewając się do tematu.

- Są jakieś nowe rozwiązania?
- Eee... tak. Kilka.
- Co na przykład?
- Meteorologowie na nowo oceniają sytuację.
- W jaki sposób?
- Jesteśmy wprawdzie przekonani, że atmosfera się ociepla, ale nie wiemy jeszcze, czy... to przypadkiem nie jest czasowe. To fantastyczne zjawisko - dodałam. - Zapowiedziano serię wykładów, które mają się odbywać dwa razy w tygodniu i mam ochotę na nie pochodzić. Problem w tym, że gazy cieplarniane... - Nagle zaszczekał Graham. - Przepraszam cię, Jos, ale ktoś przyszedł. Zadzwonił do ciebie.
- Pani Smith? - spytał posłaniec. Trzymał w ręku ogromny bukiet.

- Tak?
 - Jestem z Floribundy. Czy może pani tu podpisać?
- Wzięłam od niego bukiet dużych różowych róż i zamknęłam drzwi. Otworzyłam kopertę. *Chciałbym cię zatrzymać* - było napisane na karteczce.

- Dziękuję, Peterze - powiedziałam chwilę później, kiedy wystukałam numer drżącymi palcami. - Dziękuję - powtórzyłam.
- Są piękne.

- Wiem, że lubisz różowe.
- O tak. - Zapadła cisza. Żadne z nas nie bardzo wiedziało, co powiedzieć.
- Fajnie, że się wczoraj spotkaliśmy - powiedział.
- Mhm.
- Nie chcę cię stracić.
- Wiem.
- Zastanawiałaś się nad tym?
- Tak.
- I co?
- Obawiam się, że odpowiedź nadal brzmi „nie”.
- To chyba znów powinniśmy umówić się na kolację, co? - Przez chwilę bawiłam się sznurem od telefonu.
- No, tak, chyba tak.

Postanowiłam nie mówić Lily o spotkaniach z Peterem. Na ogół nie mam przed nią tajemnic, lecz w tym przypadku odniosłam wrażenie, że to jej się nie spodoba. Powie, że chyba oszalałam, ryzykując zerwanie z Josem. Ale to wszystko było zupełnie niewinne. W końcu nikogo nie zdradzałam. Nikomu nie powinno być przykro. Ostatecznie mogłam się przyjaźnić z moim, wkrótce byłym, mężem. W końcu nie musiałam się tłumaczyć ani przed Lily, ani przed Josem. Jednak starannie schowałam karteczkę, którą Peter przysłał z różami. Kiedy Jos spytał, od kogo te kwiaty, powiedziałam, że od wielbiciela moich programów.

- Kto to jest? - spytał, przyglądając się trzydziestu długim różom.

- Nie wiem. Jakiś facet.
- Najwyraźniej bardzo mu się podobasz.
- Mhm - mruknęłam od niechcenia. - Chyba tak.
- Wiesz coś o nim?
- Niewiele.

Akurat.

- Powinnaś opracować jego profil psychologiczny.

- Może masz rację.

- Musisz być bardzo ostrożna z takimi wielbicielami - stwierdził poważnie. - Jeśli stałoby się to u niego obsesją, daj mi znać. Zrobisz to, Faith? Powiesz mi?

- Nie martw się, powiem.

W następny czwartek znów spotkałam się z Peterem, tym razem w Pont de La Tour w Docklands. Miło było usiąść na świeżym powietrzu przy cudownej pogodzie i wpatrywać się w błyszczącą jak srebro Tamizę.

- Fantastyczne, prawda? - powiedział Peter, gdy spoglądaliśmy na most Tower. Skinęłam głową. - Śnią mi się mosty - dodał. Znieruchomiałam.

- To śmieszne, bo mnie też. I góry lodowe - powiedziałam. Rzeką przepływał statek. - I pajęczyny.

- Co słysząc u Lily? - spytał zniecała.

- W porządku. Jak zwykle. Nic specjalnego. Jest szalenie zapracowana w „Moi!” i ostatnio często wyjeżdżała po nowe kolekcje. Nawiasem mówiąc, nie wie, że cię widuję. Uznałam, że tak będzie bezpieczniej.

- Widujesz mnie? - powtórzył. - Widzisz mnie, prawda?

Pochyliłam się i zdjęłam mu paproch z marynarki.

- Dlaczego pytasz?

- Jos wie, gdzie teraz jesteś? - zapytał, delikatnie gładząc mnie po rękę.

- Na kolejnym seminarium na temat zmian klimatu.

- Czyli atmosfera trochę się ociepla, tak?

- Tak. Chyba tak.

- Klimat zawsze podlegał pewnym naturalnym różnicom - wyjaśniłam potem Josowi - ale głównym problemem, z którym mamy teraz do czynienia jest to, że nikt nie wie, jak zmieni się temperatura. Może się podnieść i może zostać na dotychczasowym poziomie. Powinniśmy jednak umieć to przewidzieć.

- Co powoduje ocieplanie?

- Gazy cieplarniane. Przede wszystkim dwutlenek węgla, który pochodzi z zanieczyszczenia powietrza spalinami. Spalanie węgla, ropy i drewna także daje w wyniku dwutlenek węgla, a metan z pól ryżowych i hodowli bydła również stanowi poważny czynnik zagrożenia. Ponadto są CFC, inaczej znane jako chlorofluorowęglany - z aerozoli i z lodówek.

- Dużo się dowiadujesz na tych seminariach - powiedział.

- Chyba tak.

Przez kilka następnych dni Peter dzwonił częściej i jego telefony stały się punktem kulminacyjnym moich dni. Kiedy mi po-

wiedział, że jedzie do Frankfurtu na targi książki, zrobiło mi się przykro. Mimo iż był tam bardzo zajęty, wciąż do mnie dzwonił.

- Jak ci idzie? - spytałam. W tle rozbrzmiewał gwar rozmów.

- Dla ciebie byłoby to bardzo interesujące, ponieważ pełno tu gorącego powietrza. W gruncie rzeczy ilość nadętego mniemania o sobie uniosłaby w górę „Hindenburga”. A mówiąc o nadętych osobnikach, zgadnij kogo właśnie spotkałem?

- Nie Charmaine i Ojlivera?

- Bingo! Niósł jej torebkę.

- Co za kretyn. Rozmawiali z tobą?

- O nie! - prychnął. - O tym nie ma mowy. Uważają, że przewróciło mi się w głowie.

- Tym razem ty się śmiałeś ostatni - powiedziałam i zachichotałam.

- Mhm, nie całkiem.

- Co to znaczy?

- Nic takiego.

- Kiedy wracasz?

- W sobotę. Bardzo chciałbym znów cię zobaczyć. Czy **nie** wybierasz się przypadkiem na jakieś seminarium?

- Chyba się wybiorę.

Bez trudu oszukiwałam Josa. Jeśli nawet coś podejrzewał, nie dał tego po sobie poznać. Starał się jeszcze bardziej czuły niż do tej pory.

- Ostatnio jesteś w dobrym nastroju - zauważył, gdy wracaliśmy w sobotę wieczorem do Chiswick. Byliśmy w The Globe na *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*.

- Jestem szczęśliwa. - Ścisnął mnie za rękę. - I z każdym dniem coraz szczęśliwsza.

- To zasługa miłości, prawda? - powiedział, parkując samochód.

- Zgadzam się w stu procentach - powiedziałam, kiedy zaciągał ręczny hamulec. Otwierając drzwi do domu, zauważyłam, że miga zielone światelko telefonu. Ktoś się nagrał podczas mojej nieobecności. Zaczekałam, aż Jos pójdzie na górę i nacisnęłam odtwarzanie.

- Witaj, skarbie, tu mama. Wyjeżdżamy na Malediwy. - Gong. - Pasażerowie lotu Icarus 666 proszeni są o przejście do wyjścia numer trzynaście. Gerald! Gerald! Gdzie są nasze paszporty? Wracamy za dziesięć dni...

- Mamo, mówi Katie. Przez najbliższych parę weekendów nie będziemy przyjeżdżać do domu. Mamy próby w szkolnym teatrze...

- Witaj, kochanie, mówi Peter. - Ściszyłam maksymalnie głos i przytknęłam ucho do maszyny. - Wróciłem z Frankfurtu... Marzę, żeby cię zobaczyć... Kocham cię, pa.

- Faith. - Jos stał na dolnym schodku i gapił się na mnie. Nie słyszałam, jak schodził z góry. Wyprostowałam się tak gwałtownie, że omal nie złamałam kręgosłupa. - Co ty robisz, na litość boską?

- Sprawdzam nagrania.

- Dlaczego tak się z tym kryjesz?

- Kryję? - powtórzyłam z oburzeniem. - No. wiesz, Jos, z niczym się nie kryję. Nigdy czegoś podobnego nie robię. Wiedziałeś, żebym się kiedyś z czymś kryła? Ja? Nic podobnego.

- Odsłuchiwałaś tę wiadomość jakbyś nie chciała, abym też usłyszała.

Ty kiedyś robiłeś dokładnie to samo - pomyślałam, choć nie odważyłam się powiedzieć tego na głos.

- Tylko dlatego, że ktoś nagrał... dziwną wiadomość - wyjaśniłam z westchnieniem.

- Dziwną?

- Trochę podejrzaną.

- O Boże! Czy mogę posłuchać?

- Nie, już wymazałam.

- Czy to był ten twój nieznajomy wielbiciel? - Jos był przerażony.

- Tak. Nie chciałam ci mówić, żeby cię nie denerwować.

- Skąd miał twój numer? - Wzruszyłam ramionami. - Musisz sobie zainstalować to urządzenie, które blokuje niechciane rozmowy.

- Zastanowię się.

- Powinnaś koniecznie to zrobić.

- Czy masz dużo zajęć w przyszłym tygodniu? - zapytał, kiedy byliśmy w łóżku.

- Tyle co zwykle. W poniedziałek mam następne seminarium.

- Mam nadzieję, że będzie interesujące.

- Czuję się jak kompletna łajdaczka - powiedziałam Peterowi w poniedziałek, gdy siedzieliśmy w Frederick's w Islington. - Nigdy czegoś takiego nie robiłam.

- To mnie bardzo cieszy.
- Potajemne spotkania w nieznanach restauracjach, w odległych dzielnicach miasta. Odsłuchiwanie nagrań telefonicznych ze ściszym głosem. Wykryty i oszukiwanie Josa, podczas gdy zawsze byłam prawdomówna. Myślenie o tobie, a nie o nim.
- Myślisz o mnie?
- Tak - mruknęłam. - Myślę o tobie przez cały czas. - Uśmiechnęliśmy się do siebie ponad migoczącą świecą. - A co z Andie? - zapytałam. - Zauważyła coś? - Potrząsnął głową. - Kiedy powiesz jej, jak się sprawy mają?
- W końcu miesiąca. Ma w tej chwili duży problem w pracy, zaczekam więc, aż to się skończy i wtedy powiem jej o nas. Będzie wściekła, ale da sobie radę. Poszuka sobie innej głowy.
- Kiedyś jej nienawidziłam, a teraz jest mi jej żal - powiedziałam. - W taki sam sposób, w jaki ona zapewne żałowała mnie.
- Nie sądzę. Współczucie nie należy do jej repertuaru emocjonalnego.
- Czuję się jak... oszustka. Wszystko przez te ukradkowe spotkania. Może powinnam się przyznać?
- Nie zrobiłaś niczego złego, Faith.
- To prawda.
- W tej chwili nasz związek jest czysto platoniczny.
- O, tak, masz rację. Zupełnie niewinny - dodałam beztrosko, czując jak Peter dotyka stopą mojej stopy.
- Przecież my nie... No, wiesz... Prawda? - powiedział, gładząc wnętrze mojej stopy palcami nóg.
- Nie, Peter - mruknęłam. - Czy mówiłam ci, że w przyszły weekend Jos wyjeżdża do Nowego Jorku?
- Naprawdę? To bardzo ciekawe.
- Wiedziałam, że tak powiesz. Ma spotkanie w Met. Chce, żebym z nim poleciała, ale nie mogę ze względu na Grahama.
- Oczywiście, że nie możesz. To nie wchodzi w rachubę. Ponieważ wyjedziesz ze mną. - Nakrył moją dłoń ręką. - Pojedziesz?
- Chyba nie sugerujesz, żebym zdradziła Josa - powiedziałam. Twarz stanęła mi w ogniu.
- Dokładnie to sugeruję - odparł z nieśmiałym uśmiechem. - Wyjedź ze mną, Faith.
- No, może. Sama nie wiem.
- Dlaczego się wahasz, kochanie? - Pogłaskał mnie po policzku.

- Dlatego, że nigdy nie spałam w jednym czasie z dwoma facetami. Niewinny flirt to co innego.

- Ułatwię ci to. Pojedziemy do hotelu na wsi. - Westchnęłam. Zabrzmiało to cudownie. - Wybiorę naprawdę luksusowe miejsce - kusił dalej. - W Cotswolds. Takie, gdzie można zabrać psa.

- Wiejski hotel?

- Tak. Z jacuzzi i szampanem.

- I luksusowymi kosmetykami w łazience?

- Oczywiście.

- I paterami z owocami, przewiązаныmi wstążką?

- Mhm.

- I pełnym barkiem?

- Naturalnie. Z czekoladkami toblerone.

- I z puszystymi ręcznikami?

- Tak.

- Czy to będą bardzo puszyste ręczniki?

- Nadzwyczaj puszyste.

- W takim razie odpowiedź brzmi: „tak”.

- Martwię się o ciebie, skarbie - powiedział Jos następnego ranka.

- Dlaczego? - spytałam sennym głosem. - Czuję się świetnie.

- W nocy dwa razy słyszałam, jak wymawiałaś przez sen imię Petera.

- Naprawdę? - Usiadłam gwałtownie na łóżku. - Pewnie coś mi się śniło. To musiał być jakiś koszmar - dodałam, śmiejąc się ironicznie. - Może śniło mi się, że ma kolejny romans? Tak, oczywiście - mruknęłam zgrzyliwie. - Co za człowiek.

- Nie denerwuj się - powiedział Jos i pocałował mnie. - To się już skończyło. Jesteś teraz ze mną. Czy na pewno nie chcesz polecieć do Nowego Jorku?

- Bardzo bym chciała, kochanie, ale nie mogę zostawić Grahama.

- Twoi rodzice nie mogliby się nim zająć?

- Wciąż będą na Malediwach - skłamałam.

- A Peter?

- Ona ma już jakieś plany.

- Akurat w ten jeden weekend?

- No tak, pechowo się złożyło.

- A co zrobisz z psem, kiedy pojedziemy do Parrot Cay?
- To dopiero za sześć tygodni. Coś wymyślę.
- W przyszłym miesiącu chciałbym przedstawić cię mamie - powiedział. - Chcesz, prawda?
- Oczywiście.

Kłamiąc w żywe oczy, czułam się fatalnie. Nigdy go nie zdradziłam, a teraz się do tego szykowałam. Pomyślałam o nowej bieliźnie z La Perli, jeszcze nie odpakowanej z bibułki i schowanej głęboko w szufladzie.

- Pojedziemy na małe wakacje z tatusiem - szepnęłam później w kuchni Grahamowi. Polizał mnie w nos i zamiótł podłogę ogonem. - Ale Jos nie może się dowiedzieć. To tajemnica, dobrze? - Wyciągnęłam rękę. Graham podał mi lewą łapę.

- Będę za tobą tęsknił w Nowym Jorku - powiedział Jos. - Codziennie będę dzwonił. - Siedziałam i uśmiechałam się do niego, czując się jak Judasz. Jos mi ufał, a ja miałam w piątek zaufanie jego zaufanie. Musiałam jednak spędzić trochę czasu sam na sam z Peterem. Musiałam. Wtedy się okaże...

- Zapowiada się piękny weekend - oznajmiłam entuzjastycznie tuż przed wpół do dziesiątej w piątkowy ranek.

- Sześć, pięć...
- Wręcz upalny. Wysokie temperatury. Ostatni wyskok lata.
- Cztery, trzy...
- Wykorzystajmy tę złotą okazję.
- Dwa, jeden...
- Ja, w każdym razie mam taki zamiar.
- I zero.
- Przyjemnego weekendu.
- Dzięki, Faith.
- Do zobaczenia w przyszłym tygodniu.

Jak na skrzydłach wybiegłam z telewizji i wróciłam do domu się przespać, a potem spakować. Dla Grahama przygotowałam smycz, miskę, legowisko, jedzenie i przegryzki.

- Jedziemy do luksusowego hotelu - wyjaśniłam, szczotkując mu sierść. - Musisz więc wyglądać elegancko.

Umówiłam się z Peterem, że stanie za rogiem, żeby sąsiedzi nas nie widzieli. W końcu przyzwyczaili się już, że przyjeżdża po mnie Jos swoim mg.

- Dokąd jedziemy? - spytałam z uśmiechem, kiedy o wpół do szóstej wsiedliśmy z Grahamem do samochodu Petera.

- Tajemnica.
- Chipping Camden?
- Nie, bardziej na południe.

Graham, jak zwykle, stał na tylnym siedzeniu i opierał łeb na lewym ramieniu Petera.

- Podoba mu się twój nowy samochód - zauważyłam, opuszczając osłonę przeciwsłoneczną.

- Pewnie. Lubi rovery. Czy wciąż warczy na Josa?

- Nie, wygląda na to, że nastąpiło zawieszenie broni. Może mu się znudziło.

- Nie, żal mu Josa, prawda, piesku? Założę się, że siedzi i myśli: Biedny facet, gdyby wiedział...

- A ty co powiedziałaś Andie?

- Że wybieram się do Szkocji z autorem nowej książki, aby się skoncentrować na pracy redakcyjnej.

- Kupiła to?

- Chyba tak.

- I nie będzie do ciebie dzwoniła na komórkę?

- Sam zadzwonię do niej od czasu do czasu.

Jechaliśmy na północny wschód, autostradą M4, mijając Bracknell i Reading. Graham spał, zwinięty w kłębek, uśpiony łagodnym kołysaniem samochodu. Później zjechaliśmy z autostrady i ruszyliśmy na Cirencester zalesionymi wiejskimi drogami. Z lewej strony opadające zbocza wzgórz podzielone kamiennymi murkami płonęły jesiennymi kolorami drzew. Przejechaliśmy przez Bisley, gdzie domy koloru miodu błyszcząły w zachodzącym słońcu jak stare złoto. Wreszcie dojechaliśmy do Painswick i zatrzymaliśmy się przed georgiańskim dworem.

- Witaj w hotelu Painswick - powiedział Peter.

- Jak tu cudownie - westchnęłam.

Dom był duży, w stylu palladiańskim, z mnóstwem pnących różowych róż od frontu. Z lewej strony balkon we włoskim stylu, opleciony wistarią, wychodził na gładki trawnik do krykieta. Szyby wysokich okien pobłyskiwały w wieczornym słońcu.

- Państwa nazwisko? - spytał recepcjonistka.

- Smith - odpowiedział Peter. Kobieta uśmiechnęła się głupio. Była przyzwyczajona do takich numerów.

- A to jest... - Spojrzała na Grahama.

- Graham Smith - powiedziała. Graham oparł łapy na blacie i chciał jej dać całusa.

- Mają państwo pokój numer jeden na pierwszym piętrze. Zwołałam kogoś, żeby zaniósł państwa bagaże.

Kiedy mieliśmy mało pieniędzy, co zdarzało się nagminnie, fantazjowałam na temat hotelu na wsi, który wyglądał dokładnie jak ten. W naszym pokoju było łóżko z baldachimem, na ścianach tapety Colefaksa i Fowlera, wypolerowane antyki i toaletka ze szczotkami i grzebieniami w oprawie ze srebra. Wielkie wykuszone okno z miękką ławeczką wychodziło na wzgórza, na których pasły się owce. W łazience była wanna z jacuzzi o rozmiarach basenu i stos puszystych białych ręczników. Nagle przyszła mi do głowy straszna myśl

- Skąd znasz to miejsce? - spytałam. - Byłeś tu z nią?

- Skądże znowu. Znalazłem w Internecie.

Ktoś zastukał do drzwi. Kelner.

- Pański szampan.

Pięć minut później Graham siedział przed telewizorem, oglądając program Delii Smith, a my z Peterem zanurzyliśmy się po szyję w kąpieli z bąbelkami.

A teraz pokażę państwu, jak zrobić bułeczki z makiem - powiedziała Delia.

- O czym jest ta książka, którą redagujesz? - spytałam ironicznie, popijając szampana.

Przesunął stopą wzdłuż mojej nogi.

- O języku ciąła.

- O języku ciąła? Rozumiem.

Najlepsze jest to, że...

- Tak. Język ciąła.

Szybko rosna.

Peter odstawił kieliszek i przyciągnął mnie do siebie.

Wlewamy płynne drożdże w otwór pośrodku...

- To, na przykład - powiedział, całując mnie - jest pozytywnym językiem ciąła.

- Naprawdę? - mruknęłam. - A to? - szepnęłam, kładąc mu dłoń na udzie.

I zagniatamy porządne, twarde ciasto.

- Tak, to też jest pozytywny język.

Powinno być sprężyste i elastyczne.

- I jest.

- A to - powiedział, przesuając ręką po moich piersiach - jest oznaką bardziej niż przypadkowego zainteresowania.

- Nie mów.

Odstawiamy w ciepłe miejsce do wyrośnięcia...

- To natomiast - dodał, wsuwając rękę między moje uda - oznacza, że bardzo dobrze nam idzie.

Wstaliśmy, nadal się całując, i osunęliśmy się na podłogę łazienki.

Układamy je obok siebie...

- Och, Faith - powiedział Peter z twarzą tuż przy mojej twarzy.

Posypujemy makiem...

- Och, Peter.

- Kocham cię.

- Ja też cię kocham.

Wsuwamy bułeczki do piecyka.

Następnego dnia, kiedy się obudziłam, leżałam, rozkoszując się dotykiem czystego lnu na skórze. Równomierny oddech Petera brzmiał dla mnie jak muzyka. Gdy słońce wlało się do pokoju przez szparę w zasłonie, miałam wrażenie, że nastąpił jakiś cud. Czułam się także jak kobieta rozwiązła. Pani Bovary. *J'ai un amant*, powiedziałam sobie. To już nie były niewinne żarty, lecz prawdziwy romans. Zaszokowana, zdałam sobie sprawę, że dopuściłam się zdrady. Zgrzeszyłam przeciwko siódmemu przykazaniu. Popełniłam cudzołóstwo. Które było absolutnie cudowne. Na myśl o Josie poczułam ukłucie żalu, ale nie winy. W moim mniemaniu nasz romans się skończył - ostatniej nocy. Postanowiłam, że po powrocie powiem mu, bardzo delikatnie, że nie możemy kontynuować naszego związku. Ciekawe, jak zareaguje, pomyślałam, a potem stwierdziłam, że właściwie niewiele mnie to obchodzi. Peter ma rację; nie kocham Josa. Jest atrakcyjny, intrygujący i troskliwy, a poza tym przyzwyczaiałam się do niego. I to wszystko. Teraz jednak porzuciłam rozważania o Josie i odwróciłam się do Petera, obejmując jego śpiące ciało. To jest mężczyzna mojego życia, pomyślałam, przytulając policzek do jego nagiego ramienia. Nie chcę nikogo innego. Leżeliśmy tak blisko siebie, że rzęsammi połaskotałam jego skórę. Poruszył się, otworzył oczy i uśmiechnął się do mnie.

- Kocham cię - powiedział sennym głosem.
- Ja też cię kocham.
- Od jak dawna nie spaliśmy ze sobą?
- Nie wiem. Od ponad roku?
- Musimy to nadrobić, prawda? - Skinęłam głową. Pocałował mnie i pogłaskał po twarzy. - To jest nasz nowy początek, Faith - dodał poważnie.
- Tak, wiem.
- Nowy rozdział. - Uśmiechnęłam się. - Musiałem zastosować nieco *Perswazji*- powiedział żartobliwie. - Pełna byłaś *Dumy i uprzedzenia*.

- Nie, byłam *Rozważna i romantyczna* - stwierdziłam. - Ze względu na twoje *Niebezpieczne związki*.
- Ty też miałaś *Niemoralne propozycje*, prawda?
- Tak i dlatego odbyło się *Pożegnanie z bronią*.
- Ale teraz jesteśmy *Zdała od zgiełku*.
- *W Pokoju z widokiem*.

Wiedziałam, że zawsze będę wspominać ten weekend jako jeden z najbardziej magicznych w moim życiu. Na niebie nie było ani jednej chmurki. Powietrze było tak przejrzyste, iż zdawało się świecić. Lasy przystroiliły się w złoto, czerwień i brąz. Zapamiętam to na całe życie - pomyślałam, gdy wybraliśmy się z Grahamem na spacer przez wzgórza Cotswold.

- Co to jest babie lato? - spytał Peter. Szliśmy aleją wysadzaną czerwonym i bukami.

- Niedawno to sprawdzałam. - Liście szeleściły nam pod nogami. - Babie lato to „okres ciepłej pogody, występujący jesienią lub na początku zimy; także: nieoczekiwanie przyjemny, spokojny czas”.

- To jest nasze babie lato - orzekł, przyciągając mnie do siebie i całując. - Kończy ten straszny czas, kiedy żyliśmy oddzielnie. Prawda, Faith?

- Tak. Koniec. A raczej początek końca.
- Zatrzymamy procedury rozwodowe.
- Zadzwońię do Rory'ego Cheethama-Stabba i wszystko odwołam.

- Na ogół odwołuje się zaręczyny, a nie rozwody - stwierdził sucho Peter. W tej chwili zadzwonił jego telefon z muzyką Andie. Uważał, że jeśli go wyłączy, Andie zacznie coś podejrzewać.

- Cześć, Andie. Tak, wszystko w porządku. Przepraszam, ale jestem bardzo zajęty. Przecież cię uprzedzałem. Tak, świetnie. A co u ciebie? Dobrze. Jesteśmy akurat w trakcie pracy. Ptaki? Nie. mamy otwarte okno. Tak, zadzwonię później, dobrze? Jasne, że zadzwonię. Pa.

- Przepraszam - powiedział, chowając telefon. - Nie lubię jej oszukiwać, kiedy słuchasz. W ogóle nie lubię jej oszukiwać. Na razie muszę, ale już niedługo, ponieważ zrywam z nią w przyszłym tygodniu.

Reszta weekendu upłynęła nam najedzeniu, piciu szampana, spacerach, rozmowach, wspólnych kąpielach w jacuzzi, wspólnym czytaniu gazet i na miłości. Graliśmy w krykieta i trik-traka, poszliśmy do Siad Valey i odwiedziliśmy grób Laurie Lee. Ostatniego wieczoru wybraliśmy się na kościelny dziedziniec w Painswick, porośnięty przyciętymi cisami, których długie cienie padały na trawnik. Potem wsiedliśmy do samochodu i wróciliśmy do Londynu, przepełnieni zadowoleniem i miłością. Peter wysadził nas z Grahamem za rogiem. Nie chcieliśmy, aby ktoś podejrział, że się całujemy, więc tylko uścisnęliśmy sobie ręce.

- Zobaczmy się we wtorek w Snow's - powiedział Peter. - Wtedy postanowimy, co dalej.

- Cukierek czy groźba? - zaczęło mnie paru chłopców w czarnych pelerynach i w maskach wampirów, kiedy we wtorek szłam do Snow's. - Cukierek czy groźba? - powtórzyli zaczepnie. Zapomniałam, że to Halloween.

- Cukierek - odparłam, wyjmując portmonetkę. W przybliżeniu wielkoduszności wywołanej uczuciem dałam im pięć funtów. W restauracji - Petera jeszcze nie było - posadzono mnie przy tym samym stoliku przy oknie, przy którym dziesięć miesięcy wcześniej siedzieliśmy na kolacji z okazji rocznicy naszego ślubu. To był początek naszego rozstania - pomyślałam, a dzisiejsze spotkanie oznaczało jego koniec. W styczniu zapanowała mroźna pogoda, teraz nasz chłód roztopił się jak śnieg. Wyrzałam przez okno i zobaczyłam Petera. Wyglądał na szczęśliwego i rozluźnionego.

- Witaj, kochanie. - Pocałował mnie. - Napijmy się szampana.

- Szampana?-spytałam podejrzliwie.

- Tak, w końcu mamy co świętować.
- Nie jestem pewna, czy już powinniśmy celebrować. Ostatecznie - tu zniżyłam głos - wyrzadzimy krzywdę dwojgu ludziom.
- To prawda - przyznał, przygryzając dolną wargę. - Rzeczywiście będziemy musieli nieładnie się zachować. Dobrze, z szacunku dla naszych partnerów, którzy niedługo staną się byłymi partnerami, napijemy się włoskiego wina musującego.

Kelner przyniósł wino, a my popijaliśmy jak para nastolatków na pierwszej dyskotecie.

- Mówiłaś Lily?
- Eee... Nie, jeszcze nie.
- Boisz się, że nie będzie zadowolona, prawda?
- Nic podobnego.
- A dzwoniłaś do Rory'ego Cheethama-Stabba? - spytał Peter, przeglądając menu.

- Nie mogłam się przez cały dzień dodzwonić, ale dwa razy się nagrałam.

- Będzie wściekły, że traci klientkę.
- Ma mnóstwo innych żon do załatwienia.
- Wiesz, Faith, jestem strasznie szczęśliwy.
- Ja też. Jesteśmy okropni, prawda?
- Jeszcze jak. - Lekko szumiało mi w głowie od miłości i wina. - Ale będziemy dla nich mili - dodał poważnie Peter.

- Oczywiście.
- Zachowamy się przyzwoicie.
- O tak.
- Rozstaniemy się z nimi bardzo delikatnie.
- Bardzo. Tak delikatnie, że w gruncie rzeczy będą zadowoleni, że tak się stało.

- Jasne. Na przykład kupię Andie jakiś wspaniały prezent - powiedział z rozmachem Peter. - Żeby jej wynagrodzić.

- A ja zapłacę za urlop Josa - powiedziałam, żeby być lepsza.
- To bardzo ładnie z twojej strony.
- Zafunduję mu rejs dookoła świata na QE2.
- Jesteś słodka. Na pewno to doceni.

- Postaram się być naprawdę miła - powiedziałam, czując przyjemny szum w głowie. - I powiem mu... - Pochyliłam się nad stołem i spojrzałam Peterowi w oczy. - Przykro mi, Jos, ale muszę ci coś wyznać. Obawiam się, że wszystko skończone. Nie możemy być razem. Dlaczego? Ponieważ tak zdecydowało przeznaczenie.

Bardzo mi przykro, że cię opuszczam, ale zawsze będę cię wspominać z uczuciem i szacunkiem. Zawsze będę o tobie myślała z miłością...

- Zaraz, zaraz - przerwał mi Peter.

- Co? Ach, tak. Zawsze będę o tobie myślała z przyjaźnią. I żałuję, że nam nie wyszło. - Przełknęłam ślinę. - Wiem, że cię ranie - dodałam - lecz nigdy nie zapomnę wspólnie spędzonych chwil. I zawsze będę dumna, że kiedyś byłam z tobą związana.

- Fantastycznie! - Peter zaklaskał w dłonie.

- Muszę przyznać, że nieźle mi wyszło. A ty?

- Nie będę miał szansy, żeby wygłosić taką piękną mowę. Zacznie rzucać przedmiotami, zanim skończę mówić: „Andie, muszę ci coś wyznać”. Ale da sobie radę - dodał rzeczowo. - Nie będzie długo sama. Przepraszam, skarbie, muszę pójść do toalety.

Przyglądając się Peterowi, zauważyłam nagle jakiegoś znajomego faceta. Za żadne skarby nie mogłam sobie przypomnieć, skąd go znam. Siedział sam i czytał gazetę. Kto to jest? - myślałam. Nie rzucał się w oczy, ale skądś go zapamiętałam.

- Mam! - powiedziałam. - Wiem. - To był ten prywatny detektyw, Ian Sharp. Spojrzałam na niego po raz drugi, usiłując uchwycić jego wzrok i prawie pomachałam mu ręką, ale się powstrzymałam. Pomyślałam, że pewnie jest w pracy.

- Znasz tego człowieka, kochanie? - spytał Peter, kiedy wrócił do stolika.

- Co? Jakiego człowieka?

- Tego tam. Przed chwilą się w niego wpatrywałaś.

- Nie, nie, nie mam pojęcia, kto to jest. - Jak mogłam się przyznać? Rzucił mi dziwne, jakby niedowierzające spojrzenie, ale przybycie kelnera załagodziło niezręczny moment. Ja zamówiłam jagnięcinę, tak jak ostatnim razem, a Peter - solę w sosie cytrynowym. Usłyszałam słowa piosenki: *Teraz widzą wyraźnie.*

Teraz widzą wyraźnie, gdy deszcz już nie pada - zawodził Johnny Nash.

- Uwielbiam to - powiedziałam. - Jakby napisane specjalnie dla nas.

Widzą wszystkie przeszkody na mojej drodze...

- A teraz porozmawiajmy o naszych planach - zaproponował Peter. - Powinniśmy się przeprowadzić. Stać nas na to.

Odeszły ciemne chmury, które zasłaniały mi świat...

- Moglibyśmy zacząć od nowa.

Przed nami jasny i słoneczny dzień...

- Moglibyśmy kupić coś nad rzeką.

Teraz, gdy ból znikł, na pewno sobie poradzą...

- Z czterema sypialniami.

Wszystkie złe uczucia znikły...

- W końcu - dodał z uśmiechem - może zechcemy powiększyć rodzinę.

- Mhm.

- Bardzo bym chciał mieć jeszcze jedno dziecko. A ty?

Widzę leczyć, o którą się modliłem...

Przed nami jasny i słoneczny dzień...

Kątem oka zauważyłam, że Ian Sharp poruszył się na krześle. Potem jakby coś do siebie powiedział. I nagle byłam świadkiem dwóch rzeczy, dziejących się równocześnie. Za mną otworzyły się z rozmachem drzwi, a w oczach Petera pojawiło się przerażenie.

- O Boże-jęknął.

Przed nami jasny i słoneczny dzień...

- Peter! - zawołała Andie. Stała przy naszym stoliku. - Czy mogę się przysiąc, kochanie? - spytała z krzywym uśmiechem. - Urocza kolacyjka tete a tete? - dodała i przysunęła sobie krzesło.

- Posłuchaj, Andie - powiedział Peter. - Uważam, że powinnaś zostawić nas samych.

- Nie mam ochoty - odparła. - Chcę z wami porozmawiać.

- Skąd się dowiedziałas, gdzie jestem?

- Odpowiedział mi pewien dobry duszek. - Spojrzałam w stronę stolika Iana Sharpa. Nie było go. Oczywiście. Poczulałam się dziwnie zdradzona.

- Posłuchaj, skarbie - powiedziała do mnie Andie, biorąc kawałek bagietki. - Nie lubię psuć zabawy, ale chciałam cię poinformować, że przegrałaś.

- Nie sądzę.

- Masz na boku romansik z moim narzeczonym? To niezbyt ładnie, prawda? - Spoglądałam na nią w milczeniu. - Dobrze się bawiłaś w Cotswold? Zapłaciłam, żeby ktoś was śledził.

- Porozmawiamy gdzie indziej - szepnęła z irytacją Peter.

- Hotel Painswick bardzo mi się podobał z opisu. Musisz mnie tam kiedyś zabrać, Peterze.

- Chcę ci coś powiedzieć, Andie. Miałem to zrobić jutro, ale powiem teraz.

- Co takiego, kochanie?
- Wracam do Faith. O ile mnie zechce.
- Oczywiście, że zechcę - powiedziałam.
- Odchodzę, Andie - stwierdził pewniejszym tonem Peter. - Przykro mi, że cię ranie, taka jednak jest prawda.
- Nic podobnego - szepnęła. Wyglądała groźnie, a jednocześnie miała bardzo zadowoloną minę.
- Przykro mi, Andie. Odchodzę.
- Nie sądzę, abyś mógł mnie teraz zostawić, kochanie. Jestem w ciąży - dodała z uśmiechem.

Listopad

To już koniec babiego lata - powiedziałam w czwartek, niespodziewanie ostro.

- Osiem, siedem. Faith jest dziś wściekła...
- Mówiłam, żeby korzystać póki czas.
- Sześć, pięć...
- Ponieważ teraz, znienacka...
- Cztery, trzy...
- Pojawił się nieprzyjemny front znad Atlantyku...
- Dwa, jeden...
- Który niesie poważny spadek ciśnienia.
- Ciekawe, kto jej dojadł?
- I będziemy mieli wyłącznie listopadową słotę.
- Zero.
- Dziękuję, Faith - powiedziała Sophie, rzucając mi lekko zdumiony uśmiech i odwracając się do kamery numer 2. - Jeśli dopiero teraz włączyli państwo telewizor, informuję, że oglądacie państwo AM-UK! Po przerwie na reklamy pokażemy państwu potwora z Bodmin, który jest może tylko genetycznie zmodyfikowanym kotem, dziesięć nowych sposobów układania dali i przypomnimy o piątym listopada.
- Tak - wpadł jej w słowo Terry - spoglądając na teleprompter. - W sobotę jest noc Guya Fawkesa i chcemy państwu przypomnieć o zachowaniu koniecznej ostrożności. Masz w perspektywie jakieś fajerwerki, Sophie? - spytał od niechcienia.

- Słucham? - Sophie poruszyła się niezręcznie na kanapie i pokryła zażenowanie niewyraźnym uśmiechem.

- Z jakimś sympatycznym facetem? - zapytał znacząco.

- Ja...

- Nic nie szkodzi - powiedziała, ledwo pokrywając nieprzyjemnym uśmiechem wiszącą w powietrzu groźbę. - Jestem pewien, że twoja noc fajerwerków będzie absolutnie wystrzałowa.

- Minęło wpół do dziewiątej - powiedziała Sophie, ignorując Terry'ego. - A teraz podajemy wiadomości i informacje o sytuacji na drogach.

Nie miałam pojęcia, o co chodziło Terry'emu, ale długo się nad tym nie zastanawiałam, bo on stale dokucza Sophie, a poza tym miałam własne problemy. Poszłam na górę, usiłując opanować emocje. Udawałam, że studiuję wykresy meteorologiczne i połykałam łyżę. Ja, osoba żyjąca z przepowiadania przyszłości, nie potrafiłam przewidzieć tego, co mnie spotkało. To było okropne, straszne, wstrętne. Czułam się tak, jakby ktoś mnie postrzelił. Jak grom z jasnego nieba harpie spadły na ziemię i zabrały moją uczcę. Ponuro wpatrywałam się przez kilka minut w czarne chmury kłębiące się na ekranie, a potem zadzwoniłam do Lily.

- Stało się coś strasznego - szepnęłam. W gardle miałam wielką gulę.

- Co?

- Coś nie do wytrzymania.

- Chyba Jos cię nie rzucił? - zapytała zdenerwowanym głosem, prawie w panice.

- Nie. - Błat biurka rozmazał mi się przed oczami. - Tylko że... Ja... - Podniosłam głowę i zobaczyłam, że kilkanaście par oczu spogląda dyskretnie w moją stronę. - To nie jest rozmowa na telefon - jęknęłam. - Ale ja muszę z tobą porozmawiać.

- Nie płacz, Faith. Nie płacz! Zabierzemy cię z Jennifer na lunch, dobrze? Spotkamy się o pierwszej w Langan's.

- Czy ma pani rezerwację? - spytał kierownik sali nieco lekceważąco, trzy godziny później.

- Tak - odparła Lily, spoglądając na niego władczo. - Nie jestem pewna, czy podobają mi się wasze tapety. Chodź, Faith, usiądziemy tam - powiedziała, zarzucając na ramię szal jak toreador. Posadziła Jennifer pod stołem, a potem wysłuchiwała mojej łązawej opowieści.

- Miałaś romans z Peterem? - zdumiała się, patrząc na mnie oczami jak spodki. Była ogłuszona. - Wielki Boże, Faith, igrałaś z ogniem.

- Wiem - szepnęłam. Zasłoniłam oczy ręką i znów się rozplakałam.

- Jos niczego nie podejrzewa, co? - Potrząsnęłam głową. - Dzięki Bogu - westchnęła, przyciskając do piersi lewą dłoń w geście wielkiej ulgi. - O mało wszystkiego nie popsułaś - dodała ze złością, co uznałam za dość dziwne stwierdzenie.

- Co to znaczy, że o mało wszystkiego nie popsułam? - spytałam. Przesunęła się na krzesło, a potem uśmiechnęła się niepewnie, spoglądając rozbieganym wzrokiem to na mnie, to na stół.

- Chciałam tylko powiedzieć - zaczęła, popijając wodę mineralną - że gdyby Jos się o tym dowiedział, to by cię rzucił i dopiero miałabyś się z pyszna. - Lekko skinęłam głową. Muszę przyznać, że i mnie to przyszło na myśl.

- Mogłoby być znacznie gorzej - dodała.

- Trudno mi to sobie wyobrazić - wychrypiałam. - To wszystko jest takie straszne, Lily. Boże, nienawidzę tej suki! Będzie miała dziecko Petera - jęknęłam. Znów byłam bliska płaczu.

- Nie możesz się złościć na Andie, kiedy to ty miałaś romans - stwierdziła stanowczo Lily. Wielka łza spłynęła mi po policzku. - Musisz przyznać, że uwodziłaś jej faceta i, szczerze mówiąc, to nie było w porządku. Nie, to naprawdę było bardzo nie w porządku - powiedziała poirytowana. - Ale jestem twoją najlepszą przyjaciółką i nie zamierzam cię osądzać.

- A ty co? - zaprotestowałam gwałtownie. - Z iloma żonaty mi mężczyznami się spotykałaś? Mój żonaty kochanek był przynajmniej moim mężem.

- Tak, ale zdradzałaś Josa - powiedziała z uporem. - Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczona.

- Nie potępiaj mnie - jęknęłam, czując, że szkła kontaktowe wypływają mi z oczu. - Gdybym wiedziała, że będziesz taka, to w ogóle nic bym ci nie mówiła. Jesteś moją przyjaciółką i szukam u ciebie współczucia.

- Posłuchaj, Faith - powiedziała spokojnie, podając mi chusteczkę. - Mówię ci, co myślę tylko dlatego, że jestem twoją przyjaciółką. Nie chciałabym, żebyś zmarnowała szansę z Josem, a omal tego nie zrobiłaś.

- A jeśli nawet, to co? - rzuciłam. Oczy znów miałam pełne łez. - Ja chcę Petera, Lily, Petera, i nie wiem, dlaczego masz z tym jakiś problem.

Nagle Lily złapała mnie za rękę i spojrzała mi prosto w oczy.

- Jesteś moją jedyną prawdziwą przyjaciółką na świecie - powiedziała cicho. - Chcę dla ciebie jak najlepiej. - Mimo wszystko, wiedziałam, że mówi szczerze. - Bardzo mi przykro, że jesteś nieszczęśliwa, ale możesz jeszcze naprawić sytuację.

- Jak? - zatkałam, przyciskając do oczu poplamioną tuszem chusteczkę.

- Zapomnij o tej małej niedyskrecji, a Jos nigdy się nie dowie. Peter nie jest odpowiedzią na twoje problemy. To on jest problemem.

- Nieprawda.

- Prawda. Najpierw zdradził cię z Andie, boleśnie cię raniąc, a teraz ją zdradził z tobą i też wyrządził jej krzywdę. Tak się nie robi.

- Robisz z tego coś znacznie gorszego, niż było w rzeczywistości - powiedziałam, gdy kelner przyniósł sałatki. - Owszem, Peter miał romans z Andie, ale pożałował tego i chciał do mnie wrócić. Czyż to nie jest zrozumiałe? Ja też tego chciałam. Ponieważ Peter jest moim mężem - dodałam z pasją, a łzy znowu popłynęły mi z oczu. - Nie mogę go wymazać. - Uszczypnęłam się w ramię. - Jest tutaj, tuż pod skórą. Nie rozumiesz tego, bo nigdy nie byłaś z nikim dłużej niż tydzień. - Lily patrzyła na mnie zdumiona. Jeszcze nigdy tak do niej nie mówiłam.

- Kocham Petera - powiedziałam. - Zawsze go kochałam, teraz to wiem i chcę, żeby do mnie wrócił.

- Nie możesz go mieć - stwierdziła zwyczajnie Lily.

- Nie - jęknęłam. - Już nie.

Peter chciał, żebyśmy, mimo wszystko, zostali razem. Przeszedł następnego dnia - oboje byliśmy zdenerwowani - i zaproponował, żeby to przemyśleć.

- Jakoś sobie poradzimy - powiedział spokojnie. - Zobaczysz. - Spojrzałam na niego zaczerwienionymi oczami. - Zastanawiałem się nad tym - dodał. - Ta sprawa nas nie rozdzieli.

- Właśnie, że rozdzieli - stwierdziłam ponuro.

- Dlaczego?

- Ponieważ dziecko to wielka rzecz. Mogłabym przejść do porządku dziennego nad romansem, teraz to zrozumiałam, ale chyba nie nad dzieckiem. Twoim dzieckiem z inną kobietą.

- Ja chcę być z tobą, Faith. Chcę odzyskać moje dawne życie.

- To za duży problem - załkałam. - Dziecko. Dziecko, które już zawsze będzie. A na myśl o twoim dziecku w brzuchu Andie robi mi się niedobrze. Teraz już wiem, dlaczego śniły mi się góry lodowe -jęknęłam. - Ponieważ groziła nam katastrofa.

- Zostań ze mną, Faith - nalegał.

- Nie mogę. Andie i jej dziecko zawsze będą nam przypominać o tym beznadziejnym okresie naszego życia. Moglibyśmy udawać, że jesteśmy szczęśliwi. O, tak, na pewno byśmy potrafili, ale w środku oboje czulibyśmy się bardzo źle. Ja nie umiałabym sobie z tym poradzić, Peterze. W takich sytuacjach ludzie naprawdę się rozchodzą. Na przykład Jerry Hall zносиła wiele romansów Micka Jaggera, ale dziecko ich rozdzieliło.

- Muszę się zachować honorowo wobec Andie.

- Oczywiście. Przecież wiem. Ja najlepiej ze wszystkich ludzi wiem, że nie potrafiłbyś zachować się inaczej. Ale moje życie byłoby bardzo trudne, a poza tym Andie już na wieczność utkwiliby w twoim życiu. Nie moglibyśmy o niej zapomnieć nawet na moment. Nie, to by się nie udało.

- Naprawdę tak uważasz?

Przytaknęłam.

- Przemyslałam to dokładnie i przyjrzałam się sytuacji z każdej strony, ale muszę ci odmówić. Kiedy wyobrażam sobie, że mogłabym być macochą dla dziecka Andie, wiem, że to niemożliwe. Może inna kobieta potrafiłaby sobie dać z tym radę, ale nie ja. Moim zdaniem, wszystko przepadło, powinniśmy więc pójść każde w swoją stronę.

Tak, wszystko przepadło, pomyślałam z goryczą. Andie pomógł szczęśliwy przypadek i nasze plany zmieniły się w popiół.

- Goniłaś za złudzeniem - szepnęła Lily. - Żyłaś w rajach głupców. Przecież ciąża Andie nie zmieniła faktu, że wcześniej Peter cię zdradził i oszukał.

- To prawda - przyznałam, biorąc liść sałaty. - Faktycznie mnie zawiódł. Umiałam jednak wybaczyć i zapomnieć. Początkowo myślałam, że nigdy nie pogodzę się z jego zdradą, a potem okazało się, że umiałam to zrobić.

- To znaczy, że jesteś idiotką- stwierdziła pogardliwie Lily. Spojrzałam na nią przez stół. Patrzyła na mnie lekceważąco,

a usta miała zaciśnięte w wąską nieprzyjemną linię. Zdesperowana odważyłam się zapytać o coś, czego już dawno chciałam się dowiedzieć.

- Powiedz mi, Lily, dlaczego zawsze jesteś taka bezwzględna wobec Petera? - Nie odpowiedziała, tylko przez chwilę wpatrywała się we mnie z irytacją, a potem zamrugała oczami i odwróciła wzrok. - Co masz przeciwko niemu? Nie rozumiem. Nigdy go nie lubiłaś.

- To prawda - przyznała.

- Ale jeszcze do niedawna go tolerowałaś.

- Owszem - powiedziała, popijając wodę mineralną. - Tolerowałam go. Ze względu na ciebie.

- Ostatnio, od jakiegoś roku, występujesz zawsze przeciwko niemu. Jakbyś go naprawdę nienawidziła. Niczego mu nie odpuszczisz?

- A niby dlaczego? - spytała ostro. - On też mnie tak traktuje.

- Nic podobnego - powiedziałam zdumiona. - Zachowujesz się tak, jakby Peter miał ci coś do zarzucenia. Ale tak nie jest, wierz mi.

- Czyżby? - powiedziała z zagadkowym uśmiechem.

- Tak. Ty jednak zachowujesz się wobec niego tak, jakbyś miała mu coś za złe.

- W porządku - powiedziała, przesuwając na talerzu liście sałaty. - Przyznaję. Ostatnio jestem dość negatywnie nastawiona do Petera. Ale tylko dlatego, że cię skrzywdził - dodała gwałtownie. - Być może, ty dojrzałaś do tego, aby mu wybaczyć, aleja nie.

- To nie ty masz mu wybaczać - powiedziałam. - A jeśli ja postanowiłabym przyjąć Petera z powrotem, to dlaczego, u diabła, tobie miałyby to przeszkadzać?

- Bardzo mi przykro - powiedziała, wrzuszając ramionami - ale nic nie poradzę na to, co czuję. Jeżeli Peter rani ciebie, to rani także mnie. Tak, tak - dodała, dziobiąc widelcem w talerz. - Mnie też zranił.

Opuściłam wzrok na stół i potrząsnęłam głową. Zachowanie Lily, mimo jej wyjaśnień, wydawało mi się zdecydowanie przesadne. Przypomniałam sobie jednak, co czasem mawiała Katie - że gdzieś bardzo głęboko w podświadomości Lily była zazdrosna o Petera, bo uważała mnie za „swoją”. Kiedy patrzyłam teraz na nią, przeniosłam się myślą o dwadzieścia lat wstecz, kiedy

miałymy po szesnaście lat i planowałyśmy, co będziemy robić, gdy skończymy szkołę. Gdzie będziemy się bawić, dokąd będziemy podróżować, jakie przyjęcia będziemy urządzać we wspólnie wynajmowanym mieszkaniu. Tymczasem wyszłam za mąż w wieku dwudziestu lat. Nigdy nie zapomnę szoku, jaki odmalował się na twarzy Lily, kiedy powiedziałam jej o zaręczynach.

- Byłaś przeciwna temu, żebym wychodziła za Petera, prawda? - spytałam, kiedy zapaliła cygaro. Zapadła cisza. Lily wydmuchała dym.

- Owszem - przyznała, wzruszając ramionami.

- Dlaczego?

- Wydawało mi się, że robisz błąd.

- W jakim sensie?

- Po pierwsze, zmarnowałaś szansę na wykształcenie.

- Ty nigdy nie skończyłaś studiów. Rzuciłaś Cambridge na drugim roku.

- Ale wyłącznie dlatego, że trafiła mi się wspaniała okazja robienia tego, co zawsze chciałam: praca w czasopiśmie.

- A mnie trafiła się okazja, żeby zostać tym, kim zawsze chciałam: żoną i matką. - Lily przewróciła oczami. - Dla ciebie to było godne pożałowania, dla mnie było celem życia. Nigdy nie zrobiłabym takiej kariery, jak ty. Nie byłam genialna i ambitna, jak ty. Poznałam Petera, kiedy miałam dziewiętnaście lat, i ugodziła mnie strzała Amora. Mogłabyś zrobić z tego materiał do „Moi!": GDY PIERWSZA MIŁOŚĆ JEST OSTATNIĄ. Tak właśnie było ze mną i z Peterem. Nigdy go nie lubiłaś, ale to jest moje życie, nie twoje. Bardzo bym chciała znów być z Peterem - dokończyłam cicho. - I cierpię, wiedząc, że to niemożliwe.

Lily spuściła wzrok, przesunęła solniczkę i po raz pierwszy w życiu zobaczyłam na jej twarzy cień jakby poczucia winy.

- A czy to jest na pewno jego dziecko? - spytała.

- Tak, nie ma co do tego wątpliwości.

- Czy Peter jest pewien, że ona jest w ciąży?

- Tak, zrobiła test.

- Który miesiąc?

- Trzeci.

- Musiała zająć w ciążę, kiedy byli w Stanach.

- Nie wiem, kiedy to się stało, ale oboje jesteśmy zrozpaczeni - mruknęłam ponuro.

- Mówiłaś dzieciom?

- Jeszcze nie. Nie ma potrzeby. Peter powie im pod koniec semestru.

- Przykro mi - powiedziała Lily, kiedy wstałyśmy od stołu. - Przykro mi, że jesteś nieszczęśliwa. Naprawdę. Ale nadal uważam, że na szczęście masz Josa.

Wyjrzałam przez okno. Mój wzrok przyciągnął czerwony znak „Zakaz wjazdu”.

- Tak, chyba mam szczęście, że on wciąż jest ze mną - przyznałam bezbarwnym tonem.

- Jesteś pewna, że o niczym nie wie? - spytała Lily, podnosząc z podłogi Jennifer.

- Wiesz, to niesamowite, ale on niczego nie podejrzewa.

Jadąc do domu metrem, znów się nad tym zastanawiałam. Uważałam, że to bardzo dziwne, iż Jos niczego nie zauważył, gdy ja przez cały miesiąc zachowywałam się inaczej, niż zwykle. Mój entuzjazm, wywołany spotkaniami z Peterem, musiał być przecież widoczny. Poza tym kłamałam w żywe oczy. Dlatego śniły mi się pajęczyny. Stałam się prawdziwym ekspertem w motaniu kłamstw. Jos jednak nie tylko w niczym się nie zorientował, lecz w dodatku był jeszcze bardziej czuły niż przedtem.

Mam szczęście - pomyślałam z westchnieniem, a Lily, mimo swojej brutalności, miała rację. Zbliżenie z Peterem było złudzeniem. Niczym więcej niż błyszczący miraż. I co mam teraz robić? - myślałam ponuro, tłukąc się pociągiem na zachód. Myśl o samotnym życiu napełniała mnie przerażeniem, nie mogłam sobie tego wyobrazić. A perspektywa zaczynania od nowa z kimś obcym sprawiała przyprawiała mnie o ból głowy. Postanowiłam docenić to, co mam, i trzymać się Josa. Nie byłam szczególnie dumna z tej decyzji. Nawet więcej, czułam do siebie lekkie obrzydzenie. Ale co miałam robić? Jos tkwił przy mnie, zależało mu na mnie, a ja nie chciałam zostać sama. Nie miałam wyboru.

W domu zastałam wiadomość od Josa na automatycznej sekretarce:

- Wpadnę w niedzielę wieczorem, kochanie. Moglibyśmy pójść i obejrzeć fajerwerki.

Kiedy to usłyszałam, odetchnęłam z ulgą, że wszystko jest tak, jak było. Drugą wiadomość zostawił Rory Cheetham-Stabb. Nie odzywał się od dłuższego czasu.

- Przepraszam, że tak długo milczałem - powiedział gładko, kiedy do niego oddzwoniłam.

- Nic nie szkodzi.
- Mam wiele klientek.
- Nie wątpię.
- Pewnie jest pani na mnie zła.
- Nie, to znaczy trochę tak.
- Dziękuję, że odesłała pani papiery.
- Nie ma za co.
- Teraz powinniśmy przyspieszyć z pani rozwodem. W końcu nie ma powodu, żeby go odwlekać, prawda?
- Nie, teraz już nie.
- *Decree nisi* zrealizuje się pod koniec miesiąca, a rozwód stanie się ostateczny po sześciu tygodniach i jednym dniem. To znaczy, że w styczniu będzie pani rozwódką. - W styczniu? W styczniu braliśmy ślub. - Czy upoważnia mnie pani do wystąpienia o orzeczenie rozwodu? Tak będzie prościej i nie będzie pani musiała wypełniać kolejnych formularzy. Czy mam to za panią zrobić?
- Tak, bardzo proszę - powiedziałam ponuro.
- W porządku. Czy jest pani usatysfakcjonowana takim rozwiązaniem?
- O tak, jestem wprost zachwycona.

- Pieniązek dla Guya? - kiedy wysłałam w niedzielę rano po gazetę, zaczepili mnie dwaj mali chłopcy.
- Co takiego?
- Pieniązek dla Guya-powtórzyli. Przyjrzałam się ich brzydkiej kukiełce i niechętnie sięgnęłam do portmonetki.
- Proszę. - Westchnąwszy z irytacją, podałam jednemu z nich dwudziestopensową monetę.
- Tylko tyle? - spytał z oburzeniem.
- Tyle - odparłam ze złością.
- Ludzie dają nam co najmniej funta - pisnął drugi.
- Ja nie dam.
- Niech pani da nam coś więcej.
- Nie ma mowy, niewdzięczne szczeniaki.

Graham uniósł brwi ze zdumienia. Jest bardzo wrażliwy na moje nastroje. Te dzieciaki zebrały - pomyślałam z niechęcią. Nie powinno im się na to pozwolić. Nigdy nie pozwalałam Mattowi na coś takiego. Minęła mnie kobieta w bardzo zaawansowanej ciąży. Wyglądała jak wydufany wiatrem żagiel. Zrobiło mi się niedo-

brze. Potem przeszła koło mnie matka z dzieckiem w wózku. Za-
lała mnie fala żalu. Pomyślałam, że mam depresję przedporodo-
wą. Żałości poranne. Myśl o dziecku Petera w brzuchu Andie na-
pełniała mnie wściekłością i żółcią. Czułam się okropnie. I co
zobaczyłam, jak doszłam do kiosku? „Magazyn dla rodziców”.
O Boże! I „Matka i dziecko”. Nagle mój wzrok padł na jeden
z brukowców i gniew gdzieś się ulotnił.

SEKS SKANDAL W AM-UK! - pisał „Sunday Express”.

WSTYD TELEWIZYJNEJ GWIAZDY! - krzyczał tytuł w „Mail”.

NAMIĘTNE SWAWOLE Z SOPHIE NA SOFIE! - oznajmił
„Sunday Mirror”.

BEZWSTYDNY SEKRET SOPHIE Z TELEWIZJI! - informował
„News of the World”. TYLKO U NAS. NA STRONACH 2, 3, 4, 5, 6,
7, 9 I 23!

Szczęka mi opadła, otworzyłam szeroko oczy i serce zaczęło
walić mi jak młotem. Szybko wróciłam do domu z naręczem gazet
i rozłożyłam je na kuchennym stole. Byłam tak zaszokowana, że
o mało nie zgubiłam szkieł kontaktowych.

Sophie Walsh z AM-UK! każdego ranka staje przed kame-
rami chłodna spokojna i opanowana - pisali w „Mail”. Ale dwu-
dziestoczeroletnia prymuska z Oksfordu ukrywała obrzydliwy
sekret, który teraz może zrujnować jej karierę. Była kochanka
domaga się zwrotu cennych prezentów i biżuterii, jakimi obdaro-
wała Sophie w ciągu dwóch lat. Lavinia Davenport, 45, szefowa
„Digiformu”, produkującego sprzęt telewizyjny, żąda zwrotu po-
darunków wartości dziesięć tysięcy funtów. Jej związek z Walsh
zakończył się gwałtownie osiem miesięcy temu, gdy Walsh za-
częła romansować z piękną przedstawicielką świata mody, Alek-
sandrą Jones, 23. Przyszłość Walsh w AM-UK! stanęła pod
znakiem zapytania.

Aha - pomyślałam. Aleksandra. Czyli Alex. To dziewczyna.
Ale właściwie dlaczego przyszłość Sophie miałyby być zagrożo-
na? Co z tego, że jest lesbijką? Ci wydawcy brukowców to banda
kołtunów. Zaczęłam czytać dalej i jeszcze bardziej się zdenerwo-
wałam.

Lavinia Davenport udzieliła wywiadu jednej z niedzielnych
gazet, w którym mówi, że poznała Walsh, gdy ta pracowała jako
lesbijka-striptizerka w Candy Bar, nocnym klubie w Soho. Da-
venport przyznała, że wsunęła dwudziestofuntowy banknot za
stanik Walsh...

Wzięłam „News of the World” i na drugiej i trzeciej stronie zobaczyłam dwa duże zdjęcia Sophie, trochę młodszej, ubranej tylko w strategicznie zwisające boa i białe wieczorowe rękawiczki. O Boże, pomyślałam. Biedna dziewczyna. To okropne. Darrylowi na pewno się nie spodoba. I w tym momencie przypomniało mi się coś. co Sophie kiedyś powiedziała: „Brukowce miałyby ze mnie dużo uciechy”.

Przeszłam na czwartą i piątą stronę. Tu było zdjęcie zażawionej Lavinii Davenport i jej zwierzenia dotyczące „rozczarowania się” do Sophie.

Byłam zrozpaczona niewiernością Sophie... Utrzymywałam ją przez dwa lata... Ubierałam ją... Chanel, Farragamo... Teraz czuję się wykorzystana i zdradzona... Uważam, że matki dzieciom, które oglądają ją każdego dnia w telewizji, powinny znać nieprzyjemną prawdę o jej przeszłości.

Jakie to obrzydliwe - pomyślałam. Ta kobieta zajmowała poważne stanowisko i naprawdę nie musiała robić czegoś takiego. Kierowała się wyłącznie chęcią zemsty. Chciała zniszczyć Sophie karierę. Teraz przypominałam sobie także złośliwe uwagi Terry'ego na temat „fajerwerków” w niedzielę. To był rzeczywiście wybuchowy materiał - pomyślałam, odsuwając ze wstrętem gazety. Terry i Tatiana. Oczywiście. Kto jeszcze? Terry rzucał na zebraniu jakieś aluzje. Tak, tych dwoje nieźle zabrało się do roboty.

Przez cały dzień wybuchały pojedyncze fajerwerki i za każdym razem podskakiwaliśmy z Grahamem nerwowo. Jos przyszedł o siódmej, przygotowałam dla niego kolację i wszystko wydawało się w najlepszym porządku. Postanowiliśmy nie iść na pokaz w Ravenscourt Park i oglądaliśmy fajerwerki z ogrodu. Niebo rozbłyskiwało na czerwono i pomarańczowo.

Bum! Bum! Bum! - kanonada dział z pierwszej wojny światowej. Pyk-pyk-pyk-pyk - strzały z broni maszynowej. Rzymskie świece wylatywały w powietrze jak race, zostawiając świetlisty ślad w ciemności. Łiiii-łiii-łiii - złowieszczy świst spadających bomb. A po nich dziesiątki wielkich srebrnych kijanek, przemykających po niebie. Stwierdziłam ponuro, że przypominają spernę.

- Oooooch! - wykrzyknęliśmy. - Aaaaach! - gdy ostatnie rakie ty wystrzeliły, niczym pociski typu ziemia - powietrze. Rozbłyły na chwilę, przecinając ciemne niebo, przygasły, rozsypały się i znikły.

Długo w noc słyszeliśmy odgłosy fajerwerków z ogrodów sąsiadów. Leżałam w łóżku i wpatrywałam się w sufit.

- Co ci jest? - szepnął Jos. - Jest w pół do drugiej.
- Słucham?
- Nie możesz spać?
- Nie.
- Masz jakieś zmartwienie?
- Nie, nie, nie - skłamałam. - To tylko te fajerwerki.

W końcu chyba zasnęłam, bo o w pół do czwartej gwałtowny dźwięk budzika wdarł się w moją podświadomość, jak kłująca szpila. Zwlokłam się z łóżka.

Kiedy przyszedłam do pracy piętnaście po czwartej, wypiałam podwójną kawę i wzięłam gazety. We wszystkich Sophie była na pierwszej stronie.

SOPHIE ZAWIESZONA! - krzyczał „Mirror”.

LESBIJKA ZWOLNIONA! - darł się „Sun”.

SOPHIE PRZERWA NA REKLAMY! - oznajmiał „Mail”.

Na zdjęciach blada i zmęczona Sophie wychodziła ze swojego mieszkania w Hampstead. W „Daily Express” zamieścili obrzydliwy wywiad z Terryem, który powiedział, że jest mu bardzo „smutno”.

Wielka szkoda... Miała wspaniałe perspektywy... Nie powinna była się z tym kryć... Nie, nikt z nas niczego się nie domyślał... No, w końcu to jest telewizja rodzinna... Nie, oczywiście, że nie jestem zadowolony... Jestem bardzo tym wszystkim zmartwiony.

Akurat - mruknełam ze złością. Paradował po studiu dumny jak kogut.

- Biedna dziewczyna - westchnął Iqbal, kiedy poszłam do charakteryzatorni. - A tak jej dobrze szło.

- Jest genialną prezenterką - powiedziała Marian. - Nie zasłużyła sobie na to gównu. Taty dopięła swojego - dodała. - Spójrzcie tylko! - Na monitorze w rogu widzieliśmy, jak Tatiana zajmuje miejsce na kanapie obok Terry'ego.

- Myślisz, że Sophie wróci? - spytałam, gdy Iqbal nakładał mi podkład.

- Bardzo wątpię - odparł.

- Ale to przecież nie ma nic wspólnego z jej pracą.

- Wiesz, jaki jest Darryl. Podobno powiedział, że Sophie zdyskredytowała program.

- Co takiego? - wykrzyknęłam. - Jak można popsuć opinię programowi, w którym codziennie pokazuje się psychiczne babcie i papugi na wrotkach?

Jakoś przetrwałam ten ranek, choć do stresu związanego z Peterem dołączył się żal spowodowany brakiem Sophie. Nie mogę powiedzieć, że byśmy bliskimi przyjaciółkami, ale w ciągu ostatnich miesięcy stałyśmy się kumpelkami i sojuszniczkami. Była dla mnie miła i żałowałam, że nie mogę jej pomóc, ale co mogłabym zrobić? Miałam jej domowy numer telefonu i postanowiłam później do niej zadzwonić.

Zadzwonię po południu - obiecałam sobie, kiedy wróciłam piętnaście po dziesiątej do domu.

Wzięłam Grahama na spacer. Trawniki zasypane były resztkami po fajerwerkach. Po spacerze położyłam się do łóżka, ale byłam tak zdenerwowana, że mimo zmęczenia nie mogłam zasnąć. Z rozpaczy nastawiłam radio.

- Mogą państwo słuchać *Kobiecej godziny* jutro o tej samej porze - powiedziała spikerka. - Program przygotowały Jenni Murray i Mimi Clark.

Mimi. Nie rozmawiałam z nią od wielu miesięcy. Ona była zajęta dzieckiem, a ja unikałam wspólnych znajomych ze względu na rozwód. Przypominałam sobie, że kiedyś chciała zaprosić Lily do swojego programu. Był całkiem niezły. *Kobiecej godziny*... Jasne! Odrzuciłam kołdrę, pobiegłam na dół i zadzwoniłam do radia.

- Faith! - zawołała serdecznie Mimi pięć minut później. - Co za cudowna niespodzianka! Myślałam o tobie - dodała - w związku z tymi zawirowaniami w AM-UK!

- Dlatego do ciebie dzwonię - wyjaśniłam lekko zadyszana. - Sophie Walsh jest moją przyjaciółką. Została okropnie potraktowana i potrzebuje promocji. Czy mogłabyś zaprosić ją do swojego programu?

- Właściwie mogłabym - odparła ostrożnie - ale nie jestem pewna, w jakim kontekście. Porozmawiam z moim wydawcą i postaram się coś wymyślić. Wiesz, kto jest jej agentem?

- Swann Baron, jest w książce.

- A co u ciebie, Faith? - spytała delikatnie Mimi. - Przepraszam, że się nie odzywałam.

- Wszystko w porządku - westchnęłam.

- Słyszałam cudowną plotkę, że może znów się zejdziecie z Peterem.

Poczułam się tak, jakby ktoś wbił mi nóż w serce.

- To nieprawda - stwierdziłam ze smutkiem. - Rozwiedzimy się.

- Przykro mi - mruknęła. - Zawsze sprawialiście wrażenie bardzo szczęśliwych.

- Byliśmy szczęśliwi. Przez piętnaście lat.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, zdałam sobie sprawę, że nie rozmawiałam z Peterem od pięciu dni. I właściwie chyba dobrze, bo co jeszcze mieliśmy sobie do powiedzenia? Ranne zwierzęta szukają schronienia i oboje zrobiliśmy to samo. Ponieważ dzieci nie przyjeżdżały do domu na weekendy, Peter nie musiał się odzywać. Mimo że bardzo mi go brakowało, byłam z tego zadowolona. Rozmowa, teraz gdy nie mieliśmy szansy na wspólne życie, zraniałaby mnie jeszcze bardziej. A spotkanie byłoby torturą, bo musiałabym patrzeć na niego z innej perspektywy. Muszę myśleć o przyszłości - powiedziałam sobie stanowczo. Muszę dalej żyć i działać. Muszę spróbować zamknąć pewien etap mojego życia, ponieważ moje małżeństwo niebawem przestanie istnieć. I dlatego, po krótkotrwałym romansie z Peterem, igła mojego emocjonalnego kompasu zaczęła powoli przesuwac się z powrotem w stronę Josa. Przy kolacji opowiedziałam mu o dziecku Andie. Był autentycznie zaszokowany.

- Czy Peter wiedział, że ona chce mieć dziecko? - spytał.

- Raczej nie. Sama podjęła decyzję.

- Uważam, że kobiety nie powinny się w ten sposób zachowywać - powiedział.

- Nie martw się - powiedziałam uspokajająco. - Nigdy bym ci czegoś takiego nie zrobiła.

Sięgnął przez stół i ścisnął mnie za rękę.

- Wiem.

- Ale Andie zrobiła to i wykalkulowała sobie, całkiem prawidłowo, że w tej sytuacji Peter jej nie zostawi. On jest bardzo przyzwyczajonym człowiekiem. Zawsze postępuje tak, jak trzeba.

Jos odstawił talerze i wziął mnie w ramiona.

- Czy to z powodu ciąży Andie byłaś ostatnio taka daleka? - Skinęłam głową, zadowolona, że mam dobry pretekst. - Przypuszczam, że to był dla ciebie szok - dodał.

- Straszny.

- Dlaczego?

- No... To znaczy... Przeżyłam szok, bo... W końcu nie mamy jeszcze nawet rozwodu.

- To przecież nie powinno ci robić żadnej różnicy - stwierdził Jos, a ja pomyślałam: gdybyś tylko wiedział. - Peter ma teraz swoje życie, a ty swoje. Porozmawiajmy o czymś przyjemniejszym. Chcę zarezerwować miejsca na wyjazd do Turks i Caicos. Czy moglibyśmy ustalić daty?

Perspektywa wakacji poprawiła mi humor. Nie wyjeżdżałam nigdzie od ponad roku. Całkowita zmiana dekoracji i ciepły klimat z pewnością dobrze wpłyną na moje usposobienie. Okazja, aby spędzić trochę czasu tylko we dwoje też pomoże nam znów się do siebie zbliżyć. Następnego dnia poprosiłam o urlop, a Jos zarezerwował samolot na Karaiby na piątego grudnia. Tego wieczoru, myjąc zęby, spoglądałam w lustrze na odbicie fresku z palmami i błękitnym niebem i pomyślałam, że wkrótce ten widok stanie się rzeczywistością.

Tymczasem w AM-UK! W ogóle nie komentowano odejścia Sophie. Została wymieciona ze studia jak sowiecki dysydent z podręcznika do historii. W poniedziałek rano na drzwiach jej pokoju nie było już jej nazwiska. Sophie się skończyła. Nie istniała. Dzwoniłam do niej trzy razy, ale za każdym razem odpowiadała automatyczna sekretarka. Najwyraźniej nie chciała z nikim rozmawiać. I dlatego bardzo się zdziwiłam, kiedy w środę wieczorem włączyłam Radio 4 i usłyszałam „Moralny labirynt”.

- W tym tygodniu naszym świadkiem w rozmowie na temat wolności prasy jest Sophie Walsh - zaanonsował Michael Buerk.

- To Sophie! - wykrzyknęłam do Grahama. Pomachał ogonem.

- Pani prywatne życie zostało w tym tygodniu opisane w każdym brukowcu - powiedział Michael Buerk. - Zakładam, że jest pani zwolenniczką prawa do prywatności.

Oczywiście, pomyślałam. Sophie odetchnęła głęboko.

- Francuski historyk Alexis de Toqueville stwierdził, że aby cieszyć się bezcennymi korzyściami, jakie daje nam wolność prasy, musimy także zaakceptować zło, jakie w nieunikniony sposób ze sobą niesie - zaczęła spokojnie. - Jestem zdecydowanie przeciwko ograniczaniu wolności prasy i całkowicie popieram to, co już mamy: samoregulację.

Pozostali uczestnicy dyskusji zachnęli się.

- Czy chce pani powiedzieć, że nie ma nic przeciwko temu, co się pani przydarzyło w tym tygodniu? - spytał z oburzeniem David Starkey.

- Niczego takiego nie powiedziałam - odparła spokojnie. - Oczywiście, że mam. Nikt nie chce mieć ośmiu fotografów czatujących pod domem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nikt nie chce, żeby grzebano mu w pojemniku ze śmieciami czy usiłowano ukraść pocztę. Nikt nie chce, aby jakiś dziennikarzyna wydzwaniał do wszystkich jego znajomych. Ale muszę podkreślić, że moje poparcie dla wolności prasy jest większe niż złość na ograniczanie mojej prywatności.

- Pani prywatność nie została ograniczona, lecz poważnie pogwałcona - zaprotestowała ostro Janet Daley.

- To prawda - przyznała Sophie.

- A rząd, dzięki Europejskiej Deklaracji Praw Człowieka, może teraz uniemożliwić gazetom drukowanie takich historii, jak pani, które nie mają żadnego znaczenia dla szerszej publiczności.

- Tak jest - powiedziała Sophie. - Ja jednak się z tym nie zgadzam. W końcu dojdziemy do tego, że parlament będzie pilnował prasy, a nie mogę sobie wyobrazić nic gorszego. W końcu w większości państw dziennikarze albo są tubą propagandową możliwych tego świata, albo niezależnymi stróżami porządku, często ryzykującymi życiem. Czy chcieliby państwo, aby tak samo było u nas? Nie, prawda? Wolna prasa, czasem działająca na czyjąś szkodę, pozostaje istotnym gwarantem demokracji. W jaki sposób można by wyciągnąć na światło dzienne złodziejskie działania takich ludzi jak Maxwell czy Jonathan Aitken, gdyby można było łatwo zakneblować prasę? Jeśli minister zdradza żonę, a jednocześnie obiecuje swojemu elektoratowi moralne rządy, to jego wyborcy powinni o tym wiedzieć.

- Tak, ale pani historia nie miała żadnego znaczenia dla szerokiej publiczności - podkreślił Michael Buerk.

- Nie miała - powiedziała Sophie. - Była jednak przyjemnie podniecająca, a także prawdziwa, więc nie mogę się skarżyć. Nikt mnie fałszywie nie pomówił, choć odrzucam żądanie pani Davenport oddania pewnych rzeczy, którymi obdarowywała mnie z własnej woli. Poza tym uważam, że stanowczo przeceniła ich wartość, ale sama sobie z tym poradzę. W zasadzie jednak muszę stwierdzić, że potraktowano mnie dość sprawiedliwie.

- Jak pani może coś takiego mówić? - wykrzyknęła Janet Daley z niedowierzaniem. - Czy jest pani masochistką?

- Nie, realistką. Wiedziałam, że było coś takiego w mojej przeszłości i że pewnego dnia może to wyjść na jaw. Z własnej

woli podjęłam pracę, w której występuję codziennie przed pięćmioma milionami widzów. W pewnym sensie w tej sytuacji traci się prawo do prywatności. Przeszkadza mi to, że straciłam pracę, nie tylko dlatego, że to było niepotrzebne, lecz także dlatego, że wykonywałam ją dobrze. To jest jednak zupełnie inna sprawa niż ta, o której tu rozmawiamy. Zajmą się nią moi prawnicy.

- Bardzo pani dziękujemy - powiedział Michael Buerk.

Zadzwoiłam do Mimi.

- Właśnie słyszałam Sophie. Była fantastyczna. To na pewno twoja inicjatywa. Dzięki.

- Słyszałam, że ludzie z *Moralnego labiryntu* planują coś o wolności prasy - wyjaśniła - i zadzwoniłam do nich. Później wszyscy się rozplýwali nad tym, jak znakomicie wypadła.

U agenta Sophie zostawiłam dla niej wiadomość, że bardzo mi się podobała w programie radiowym i żeby się do mnie odezwała. Tymczasem Tatiana została stałą partnerką Terry'ego i życie toczyło się dalej. Jos miał w styczniu zacząć pracę w Opera North, a ja nie mogłam się doczekać urlopu w Parrot Cay.

- Oczywiście, że zajmiemy się Grahamem - powiedziała moja matka, kiedy do niej zadzwoniłam. - Turks i Caicos - super! Stamtąd jest tylko mały krok na Kubę, a stara Hawana jest naprawdę fascynująca. Haiti też jest całkiem blisko, a poza tym moglibyście wyskoczyć do Dominikany.

- Mamo, ja chcę posiedzieć spokojnie w jednym miejscu. Miałam ciężki rok i potrzebuję odpoczynku - dodałam ze znużeniem.

- Naturalnie, skarbie. Czyli z Josem wszystko idzie dobrze, skoro jedziecie razem na urlop, tak? Poznałaś już jego rodziców?

- W przyszłym tygodniu wybieramy się do jego matki. Mieszka gdzieś niedaleko Coventry.

- A ojciec?

- Nie widuje się z ojcem. I nigdy o nim nie mówi. więc lepiej nie pytaj.

- Mam nadzieję, że my też niedługo go poznamy. A jak się miewa Peter?

- Chyba dobrze. Prawdę mówiąc, nie mam pojęcia.

Nie potrafiłam powiedzieć matce o ciąży Andie. Nie chciałam o tym nawet myśleć, a co dopiero rozmawiać na ten temat. Naprawiając stosunki z Josem, usiłowałam jednocześnie nie myśleć o brzuchu Andie.

- Wiem, że moja matka cię pokocha - powiedział Jos, gdy w następnym tygodniu jechaliśmy autostradą M1 w kierunku Coventry. - Uważa, że w pewnym sensie już cię zna - dodał z zadowoleniem - bo często widuje cię w telewizji.

- Ja też jestem pewna, że ją polubię - powiedziałam. Potem wzięłam głęboki oddech i dodałam: - Mam nadzieję, że nie weźmiesz mi za złe mojego pytania. Co jest z twoim ojcem? Nigdy się z nim nie widzisz?

- Nie - odparł ostro.

- Przepraszam - powiedziałam, spoglądając na jego pociemniałą od gniewu twarz. - Nie chciałam być wścibska.

- Nic nie szkodzi. Masz prawo pytać, choć nie mam wiele do powiedzenia. Ojciec niewiele dla nas zrobił. Zawiódł matkę. Porzucił nas, gdy miałem trzy lata, więc go prawie nie pamiętam.

- Dlaczego odszedł?

- Twierdził, że matka przestała się nim interesować i zajęła się wyłącznie mną. Poznał inną kobietę i wyjechali do Francji. To było w 1967 roku i od tej pory go nie widziałem.

- A chciałbyś?

- Nie. On tak. Pisuje do mnie od czasu do czasu, ale obawiam się, że jest za późno.

Spojrzałam przez okno, zastanawiając się nad tym, co usłyszałam. Co za smutna historia - pomyślałam. Odrzucenie przez ojca musi być strasznie nieprzyjemne. To by tłumaczyło pewne zachowania Josa, a zwłaszcza potrzebę miłości i uznania. Biedny Jos. Przypuszczalnie przez całe życie usiłował zrekompensować sobie tę stratę. Niebo zasnuły szare chmury i zaczął padać deszcz. Spojrzałam przez rytmicznie poruszające się wycieraczki na czarną wstęgę drogi. Srebrne brzozy przy drodze, pozbawione liści, wyglądały okropnie nieszczęśliwie. Minęliśmy Northampton, później drogowską na Coventry i zjechaliśmy na M6. Wkrótce zatrzymaliśmy się przed domkiem bliźniakiem, gdzieś w północnej części miasta. Jos zatrał dwa razy i w drzwiach stanęła jego matka. Byli szalenie do siebie podobni, choć Jos miał bardziej męskie rysy. Oboje mieli identyczne szare oczy i kręcone włosy.

- Dzień dobry pani - powiedziałam, wyciągając rękę. Moje lekkie zdenerwowanie wyparowało, a matka Josa wzięła mnie w objęcia.

- Faith! - wykrzyknęła z ciepłym uśmiechem. - Jakże się cieszę! Jos mówi o tobie przez cały czas. Proszę, mów mi Yvonne.

Rozbrojona serdecznym przyjęciem uśmiechnęłam się i weszłam do domu. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać, więc z ulgą przyjął jej miłe zachowanie. Zdjęłam płaszcz, a potem rozejrzałam się i zamarłam ze zdumienia. Wszystkie ściany pokrywały dzieła Josa. Szkice projektów teatralnych i operowych wisiały obok nagród Oliviera. Wzdłuż schodów wisiały oprawione plakaty ze wszystkich jego przedstawień: *Carmen* w Coliseum, *Poławiacze pereł* w Rzymie, *Otello* w Teatrze Narodowym i *Hedda Gabler* w RSC. Każdy metr powierzchni był hołdem złożonym sukcesom Josa. Najbardziej zdumiały mnie zdjęcia: co najmniej osiem jego fotografii wisiało przy schodach, a sześć następnych stało na stoliku w przedpokoju. W małym saloniku jego twarz widniała w przynajmniej dziesięciu lub dwunastu srebrnych ramach. Jos pierwszego dnia w szkole, dwunastoletni Jos na rowerze, w szkole artystycznej odbierający nagrodę, w poplamionym farbą kombinezonie przy pracy nad projektem, gdzieś na wakacjach z włosami wyblakłymi od słońca. Były jego zdjęcia z Bernardem Haitinkiem, Samem Mendesem i Trevorem Nunnem, a także z Darcey Bussellem oraz kilka fotografii z Yvonne.

- O rany! - powiedziałam grzecznie. - Musi być pani bardzo dumna z Josa.

- Oczywiście.

- Przepraszam za te zdjęcia - powiedział z uśmiechem Jos. - Dla mnie są bardzo żenujące, ale mama lubi na nie patrzeć.

- No, jasne! - wykrzyknęła i zaśmiała się perliście. - Jestem jego fanką numer jeden.

Jos pomagał matce w kuchni, a ja myślałam o fotografiach, które mam w domu. Po jednym zdjęciu każdego dziecka na biurku i fotografia ślubna, dawno temu schowana do szuflady. Zasiadliśmy do podwieczorku. Yvonne spytała mnie o pracę i o dzieci. Nieźle mi się z nią rozmawiało, choć wykorzystywała każdą okazję, żeby chwalić się synem.

- Jest naprawdę dobrym chłopcem... Odnosił sukces... Nigdy o mnie nie zapomina, prawda, skarbie...? Chodzę na większość jego przedstawień... Nie mogłam być na *Madame Butterfly*... Żle się czułam... Tak, już lepiej, dziękuję... Tak, Londyn jest bardzo daleko.

Zdałam sobie sprawę, że Jos jest jej całym życiem. Nie miała męża ani innych dzieci. Jos był dla niej najważniejszy i wszystkie jej myśli krążyły wokół niego. Gdy wyszedł do kuchni, żeby zapa-

rzyć herbaty, zostałyśmy same i, aby uniknąć niezręcznej ciszy, postanowiłam powiedzieć jej o Parrot Cay. Nim zdążyłam otworzyć usta, zaczęła mówić, a to, co powiedziała, kompletnie mnie zaskoczyło.

- Chcę ci podziękować, Faith - powiedziała konspiracyjnym szeptem.

- Podziękować? Za co?

- Za to, że Jos jest szczęśliwy. - Zaczerwieniłam się. - Nigdy nie widziałam go tak zadowolonego z życia.

- Naprawdę? - Uśmiechnęłam się i chciałam zmienić temat, ale Yvonne miała jeszcze coś do powiedzenia.

- Wiesz, że miał kilka przyjaciółek - stwierdziła, strzepując okruch ze spódnicy.

- Tak? Nigdy nie opowiada o przeszłości.

- Och, tak, jak najbardziej - wyznała, chichocząc. - Nic dziwnego, jest bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

- To prawda - przyznałam.

- A taki przystojny i utalentowany mężczyzna jak Jos zawsze przyciąga kobiety.

- Mhm.

- Niektóre bardzo chciały za niego wyjść.

- Naprawdę? - Te szczegóły zupełnie mnie nie interesowały.

- Obawiam się, że jedna czy dwie wprost mu się narzucały.

- Tak?

- Och, tak. Dosłownie. - Co chciała przez to powiedzieć? - Czasami przywoził je tutaj - ciągnęła dalej - i przeważnie bardzo się denerwowały. „Yvonne - mówiły - on nie chce się zadeklarować”. Było mi ich żal, ale co mogłam zrobić? Jos nie był gotów, żeby się poważnie zaangażować. W każdym razie, dopóki nie poznał ciebie. Bardzo lubi twoje dzieci - dodała.

- Jest dla nich miły - przyznałam.

- Na pewno będzie fantastycznym ojcem.

- Na pewno.

- Yvonne opowiadała mi o twojej przeszłości - powiedziałam do Josa w drodze powrotnej do Londynu.

- O czym? - spytał poirytowanym tonem.

- Zdradziła mi wszystkie twoje sekrety - zażartowałam.

- Co takiego powiedziała?

- Różne rzeczy - stwierdziłam z uśmiechem. - O twoich byłych dziewczynach. Miałaś cały harem.

- Co naprawdę powiedziała? - nalegał. Usta miał zaciśnięte w wąską linię.

- Tylko żartuję, kochanie - powiedziałam uspokajająco. - Nie mówiła nic złego. Oczywiście, że nie. Jesteś jej oczkiem w głowie. Powiedziała tylko, że na pewno będziesz dobrym ojcem. Ale to już wiem.

Jos włączył radio. Nadawali powtórkę *Początku tygodnia*. Usłyszałam głos Sophie. To dlatego do mnie nie oddzwoniła, była zajęta. Mówiła o Unii Europejskiej.

- Dwutorowa Europa to niebezpieczny pomysł... Francja i Niemcy są sobie bardzo bliskie... W pełni ukształtowany związek polityczny... Rozszerzenie głosowania większości...

- To moja przyjaciółka. Sophie! - poinformowałam Josa z dumą. - Wiesz, z telewizji. - Jos nagle dotknął przycisku. - Proszę cię, nie zmieniaj. Chciałabym posłuchać.

- Europa powinna pozostać stowarzyszeniem niezależnych państw... Instytucje Unii należą do wszystkich członków... Oczywiście musimy zachować nasze prawo do weta.

- Jest bardzo mądra - powiedziałam z przejęciem. - Genialnie zna się na polityce. Tylko się marnowała w AM-UK!

- Dobrze ją poznałaś? - spytał powoli.

- Tak sobie. Krótko pracowałyśmy razem. Ale szalenie ją polubiłam. Zawsze była dla mnie miła i serdeczna.

Przypomniałam sobie -jakoś zupełnie wyleciało mi to z głowy - co Sophie powiedziała o Josie. Ale z drugiej strony mówiła, że nie zna go osobiście, więc nie bardzo rozumiałam, o co jej chodziło. Przypuszczalnie miała na myśli to, że miał wiele przyjaciółek, co potwierdziła jego matka. Tak, to na pewno to - pomyślałam. Choć niespecjalnie się tym przejmowałam, bo Jos był dla mnie naprawdę bardzo dobry. Następnego dnia, kiedy się pakowałam przed wyjazdem na Karaiby, postanowiłam jeszcze raz zadzwonić do Sophie.

- Mówi Faith - nagrałam się. - Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że słyszałam cię parę razy w Radio 4 i byłaś fantastyczna. Chciałabym się z tobą zobaczyć, zadzwoń do mnie. Wyjeżdżam w przyszły wtorek na dwa tygodnie, ale potem będę na miejscu. Mam nadzieję, że się spotkamy, może nawet przed świętami. Jeszcze raz podaję swój numer...

Zabrałam się znów do pakowania i wkładając do walizki nowe bikini, sarong, trzy sukienki z Episode, klapki i dwie książki mia-

łam coraz lepszy humor. Sięgałam właśnie po stary kapelusz od słońca, gdy zadzwonił telefon. Sophie, pomyślałam.

- Czy to Faith? - spytał nieznajomy, damski głos.

- Tak, to ja.

- Pani mnie nie zna - powiedziała z wahaniem. - Mam na imię Becky.

- Aha. W czym mogę pani pomóc?

- No... - zaczęła. - Ja... - Nagle głos jej zadrżał i przycichł. - Boże, to za trudne...

- Co się stało? - spytałam ze zdziwieniem. - Proszę mi powiedzieć, o co chodzi.

- Naprawdę nie chciałam tego robić - powiedziała przez łyżę - ale nie mam innego wyjścia. Od dawna zbieram się na odwagę. Nie chcę sprawiać pani przykrości, ale ja już tak dłużej nie mogę - dodała nieszczęśliwym tonem. - Zacisnęłam dłoń na słuchawce i poczułam na ramionach gęsią skórę. - Widziałam panią... Widziałam panią w telewizji... - Mój Boże, niezrównowazona wielbicielka! - I wiem wszystko o pani... - załkała. O Boże! - Od Sophie. - Od Sophie? - A potem zobaczyłam wasze zdjęcie na meczu polo...

- Zdjęcie? - powtórzyłam słabym głosem.

- W „Moi!” Przypadkiem. Pani i Josa. Jestem zrozpaczona! A on nawet nie chce ze mną rozmawiać. Zablockował moje telefony. Pani tak miło wygląda i Sophie powiedziała mi, że jest pani sympatyczna, więc pomyślałam, że może pani zrozumie.

- Co mam zrozumieć? - Nagle zrobiło mi się słabo. - Co mam zrozumieć? - powtórzyłam.

Zapadła chwila ciszy.

- Nic pani nie mówił?

- O czym?

- O mnie. - O Boże! - pomyślałam. Jakaś rozczarowana była dziewczyna. Jedna z tych narzucających się, o których wspomniała matka Josa.

- Przykro mi, ale Jos nic mi o pani nie mówił. I, prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, czego pani chce i jak mogłabym pani pomóc.

- Nie powiedział pani o... niej?

- O niej? - powtórzyłam. Jeszcze jedna kobieta? - Proszę posłuchać - powiedziała z zirytowanym tonem. - Naprawdę nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

- Nie powiedział pani o Josie? - spytała, płacząc.

- O kim?

- O Josie.

- Kto to jest?

Znów zapadła cisza.

- Nasze dziecko.

Powoli usiadłam na schodach, bojąc się, że się przewrócę.

- Od wielu miesięcy nie przespałam całej nocy - załkała. - Ale Josa to nic nie obchodzi.

Kręciło mi się w głowie. Oparłam się o ścianę, żeby zachować równowagę. Słyszałam, jak ta dziewczyna szlocha i wpada w coraz większą panikę.

- Proszę, niech go pani poprosi, żeby do mnie zadzwonił - błagała. - Niech mu pani powie, że potrzebujemy jego pomocy. Nie mogę już dłużej i jestem po prostu wykończona. Nie pracuję od stycznia. To niemożliwe z takim małym dzieckiem. I nie dostanę żadnego zasiłku, jeśli nie podam jego nazwiska. Nie chcę tego robić za jego plecami, ale Jos ze mną nie rozmawia. A teraz, za każdym razem, kiedy do niego dzwonię - załkała - ta okropna kobieta mówi: „Osoba, do której pani dzwoni, nie przyjmuje pani telefonów”.

Nigdy tej Becky nie widziałam, ale mogłam ją sobie wyobrazić: czerwone oczy, mokre od łez policzki i trzęsąca się broda.

- Ma pani dziecko z Josem? - spytałam słabym głosem. O Boże, o niczym nie wiedziałam. Kiedy się urodziło?

- W lutym. Josie ma dziewięć miesięcy. - Nagle w tle usłyszałam głośny płacz. - Ciii, skarbie, ciii! Przepraszam - powiedziała. - Strasznie mi przykro. Najwyraźniej o niczym pani nie wiedziała.

- Nie - mruknęłam. - Nie wiedziałam. Znam go od siedmiu miesięcy i jesteśmy bardzo związani uczuciowo, ale nigdy nic mi nie powiedział. Jestem... zaszokowana - dodałam żałośnie.

- Wiedziałaś o pani - powiedziała, przełykając łzy. - Od Sophie. Choć nie przypuszczałam, że to tak długo potrwa. Z innymi nigdy tak długo nie był. I zawsze do mnie wracał. Kiedy jednak powiedziałam mu o dziecku... Był wściekły. Kazał mi... Odmówiłam. Myślałam, że w końcu jakoś się z tym pogodzi. Ale tak się nie stało i już nie wiem, co robić.

- Nie daje pani żadnych pieniędzy? - spytałam z niedowierzaniem.

- Ani pensa - powiedziała z płaczem. - Odmawia uznania dziecka. To jest jego córka! - dodała z pasją. - Od razu widać, jak się na nią spojrzy. On mówi, że nie uzna dziecka bez testów DNA, ale one kosztują sześćset funtów. Gdyby tylko przyszedł i ją zobaczył, od razu by wiedział, że to jego dziecko.

- Skąd pani wzięła mój numer telefonu? - Było mi coraz bardziej niedobrze.

- Byłam u Sophie, kiedy pani zadzwoniła. Ona akurat się kąpała i włączyła sekretarkę. Kiedy się zorientowałam, że to pani, zapisałam sobie pani numer i postanowiłam zadzwonić. Sophie mówiła, że nie powinnam tego robić. Uważała, że pani wie, ale nie chce się do tego mieszać.

- A pani jest przyjaciółką Sophie?

- Nie. Jestem jej siostrą.



Grudzień

Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - spytałam następnego dnia Sophie. Spotkałyśmy się w Kensington Café Rouge.

- Jak? Nie znałam cię zbyt dobrze, a poza tym, co niby miałam powiedzieć? Wystrzegaj się Josa, Faith, zostawił moją siostrę w ciąży?

- Gdyby chodziło o moją siostrę, tak właśnie bym zrobiła.

Sophie westchnęła i napiła się cappuccino.

- Kiedy dowiedziałam się, że się z nim spotykasz, miałam wielką ochotę powiedzieć ci o wszystkim. Powstrzymałam się, bo wiedziałam, że jesteś szczęśliwa, a wiedziałam, że wcześniej miałaś kiepską sytuację. Nie chciałam się wtrącać, w końcu to on powinien ci o tym powiedzieć, nie ja.

- Szkoda, że się powstrzymałaś - powiedziałam, wpatrując się w café latte. - To w końcu bardzo poważna sprawa.

- Nic nie mówiłam także dlatego, że Becky prosiła mnie o dyskrecję. Ona go uwielbia. Zawsze go uwielbiała i miała nadzieję, wierzyła, że do niej wróci. I nie chciała, żebym mu psuła opinię.

- Ale pamiętam przecież, że robiłaś różne... aluzje.

Sophie założyła krótki blond kosmyk za ucho.

- To prawda. Nie mogłam jednak posunąć się za daleko. A poza tym myślałam, że prędzej czy później się dowiesz. Mój Boże, jak można ukryć, że ma się dziecko?

Spojrzałam na zdjęcie dziecka, które Sophie przyniosła ze sobą. Josie siedziała w wózku, machając pulchnymi rączkami i nóżkami, z uśmiechem na twarzy, która była miniaturową kopią twarzy Josa.

- I nigdy jej nawet nie widział? - spytałam ze zdumieniem.

- Nigdy. Ani razu.

- A jego matka wie?

- O, tak! - powiedziała Sophie gwałtownie. - Becky wysłała Yvonne zdjęcie małej z nadzieją, że ona wywrze jakiś wpływ na Josa. Ale ta kobieta ma tak wyidealizowany obraz swojego ukochanego synka, że absolutnie odmawia przyjęcia do wiadomości tego, co zaszło. Uważa, że słońce świeci mu z tyłka.

- Wiem. Jej dom to świątynia na jego cześć. - Wyjrzałam przez okno na Kensington Church Street, gdzie rozkoszny święty Mikołaj w czerwonym stroju rozdawał ulotki reklamujące jakiś nowy sklep. Nagle przypomniało mi się coś, co powiedziała Yvonne. Wspomniała, że Jos będzie cudownym ojcem. Tymczasem on już jest ojcem - pomyślałam ironicznie. Choć raczej nie „cudownym”.

- Oczywiście Becky była głupia - powiedziała cicho Sophie. - Powinna była dawno dać sobie z nim spokój.

- Czy to był poważny związek?

- Nie. Becky poznała go w 1997 roku, kiedy studiowała sztuki piękne w Slade. Jos wygłosił tam szereg wykładów na temat scenografii i mieli przelotny romans. Po miesiącu powiedział jej, że zrywa, ale ona już miała najego punkcie obsesję. To było fatalne zauroczenie. Rzuciła studia i zaczęła pracować w Coliseum przy malowaniu sceny, żeby być blisko niego. Jest od niej o trzynaście lat starszy i ma nad nią władzę. Wprawdzie powiedział jej, że nigdy się z nią nie ożeni, ale, z drugiej strony, spotykał się z nią, kiedy nie miał pod ręką kogoś lepszego. Becky oczywiście wmawiała sobie, że to był prawdziwy związek. Wierzyła, że skoro co jakiś czas do niej wracał, to w końcu „przejrzy na oczy”. Tak mi tłumaczyła: „On przejrzy na oczy, Sophie. Jestem pewna”. Ale kiedy poinformowała go, że jest w ciąży... - Sophie przeciągnęła palcem po szyi. - Zachował się obrzydliwie. Wrzeszczał, że musi się pozbyć dziecka, i nie przyjmował do wiadomości, że jest jego.

Jakby Becky kiedykolwiek choćby spojrzała na innego mężczyznę.

- Co zrobiła?

- Postanowiła nie kontaktować się z nim do urodzin dziecka. Bała się, że poroni, gdyby znów zrobił jej karczemną awanturę. Przez siedem miesięcy nie odzywała się do niego, kiedy jednak w lutym urodziła Josie, zadzwoniła i go o tym poinformowała. Nawet nie spytał, czy to chłopiec, czy dziewczynka i ani razu nie widział dziecka.

Słuchając Sophie, przypomniałam sobie, jak poznałam Josa. Jechał swoim odkrytym samochodem, w marcowym słońcu, zadowolony z życia, i rzucał wizytówki nieznanym kobietom, takim jak ja. Wtedy już wiedział, że Becky urodziła jego dziecko. Zrobiło mi się niedobrze. Przypomniałam sobie również, jak bardzo podlizywał się moim dzieciom, kompletnie zaniedbując własne.

- Ignorował telefony Becky - mówiła dalej Sophie. - Groziła, że przyjdzie z dzieckiem do niego do domu, ale zrezygnowała, bo była zbyt wytracona z równowagi. Posłała mu zdjęcie, które też zignorował. Zmienił numer komórki, żeby nie mogła do niego dzwonić, a w domu ciągle miał włączoną automatyczną sekretarkę.

Przypomniałam sobie sposób, w jaki krył się przede mną, odsłuchując nagrane wiadomości.

- A w lipcu Becky przekonała się, że nie może w ogóle do niego zadzwonić; zablokował telefony od niej.

- Aha, „Wolność Wyboru” - powiedziałam.

- Co?

- „Wolność Wyboru?” Usługa Telecomu. Moja przyjaciółka Lily powiedziała mi o niej, bo skarżyła się na nękające go telefony.

- Tak właśnie ją traktował - stwierdziła Sophie. - Ponieważ jednak Becky nie miała już żadnej możliwości, żeby się z nim skontaktować, powiedziała mi, że poprosi cię o pośrednictwo. I ostrzegła Josa listownie, że jeśli się do niej nie odezwie, zwróci się do ciebie. Mówiłam, żeby do ciebie nie dzwoniła. Musiał to być dla ciebie niezły szok.

- Szok to za łagodne słowo. Po prostu nie mogłam uwierzyć, że znam go od siedmiu miesięcy i że ani razu nie wspomniał o dziecku.

- Straszny galimatias - westchnęła Sophie. - Moja siostra ma dwadzieścia cztery lata i dziecko, a nie ma pracy i pomocy od

ojca dziecka. Przez rok opłacałam jej mieszkanie, a poza tym pomaga jej przyjaciółka, Debbie.

- Debbie? Gdzieś słyszałam to imię.

- Znają się ze studiów. Becky poprosiła ją, żeby została matką chrzestną Josie. To bardzo zdolna, młoda scenografka.

Debbie... To była ta dziewczyna z Glyndebourne. Ta, co zrobiła dziwną uwagę. Jak to było? ..Słyszałam, że zajmujesz się ekscytującymi produkcjami". Teraz zrozumiałam, o co jej chodziło. I przypomniałam sobie także kłamstwo Josa, że Debbie była zła bo nie zatrudnił jej przy *Madame Butterfly*. Na myśl o tej operze ogarnął mnie pusty śmiech. Nic dziwnego, że tak się przejmował jej treścią. Najwyraźniej głęboko go dotknęła.

- To gnojek - powiedziałam. Stwierdzenie tego faktu wcale mnie nie zmartwiło. Przeciwnie, czułam się nadzwyczaj spokojna. - Zwykły gnojek - powtórzyłam.

- Tak, to prawda. - Sophie wzruszyła ramionami. - Bez trudu mógłby płacić na Josie. W końcu i tak zostanie do tego zmuszony ale na razie nie dał ani grosza.

- A wasi rodzice?

- Nie żyją. Zginęli w wypadku samochodowym sześć lat temu. To, oczywiście, miało na nas duży wpływ. Chyba większy na Becky niż na mnie. Jest za bardzo uzależniona od innych. A Jos potrzebuje podziwu i uwagi. Ją można wytłumaczyć młodym wiekiem. Po prostu ją wykorzystał.

- Nie przeszkadzało jej, że spotykał się z innymi kobietami?

- Naturalnie, że przeszkadzało. Strasznie cierpiała. Co gorsza, opowiadała jej o tych kobietach, wiedząc, że zawsze mu wybaczy. Wstyd mi mówić tak o własnej siostrze, ale obawiam się, że Becky nie ma pod tym względem godności. Zrobiłaby dla niego wszystko. Jest w jej oczach ideałem.

- Nawet teraz? - spytałam ze zdumieniem.

- Tak, nawet teraz. Jest miłością jej życia. Z miejsca przyjąłaby go z powrotem. Wierzy, że jak zobaczy dziecko, natychmiast do niej wróci. Ja wiem, że nic takiego się nie stanie. Pomyśl o jego życiu - dodała gwałtownie. - Dla Josa ojciec to jest ktoś, kto odchodzi, bo tak zachował się jego ojciec. Ja wprawdzie nigdy go nie poznałam i nie chcę go widzieć na oczy, ale wiem o nim wszystko od Becky. Szuka uczucia i aprobaty - dodała - a kiedy już je ma, czuje pogardę. Chce słyszeć, że kobiety go kochają, ale gdy tylko to usłyszysz, szuka kogoś nowego. Najbardziej odpowiadało

mu spotkanie się z Becky od czasu do czasu. Myślał, że w ten sposób nie będzie miał żadnych zobowiązań, lecz się pomylił.

- Nigdy mu nie powiedziałam, że go kocham - stwierdziłam z namysłem i znów wyrzałam przez okno.

- Mądrze zrobiłaś - pochwaliła mnie Sophie. - Dlatego to tak długo trwało. Gdybyś mu powiedziała, prędko znikłby ci z oczu.

- Nie robiłam tego celowo - wyjaśniłam. - Nie mogłam mu tego mówić, bo wiedziałam, że to nieprawda. Nie kocham Josa i nigdy go nie kochałam - oświadczyłam spokojnie. - Kocham mojego męża, ale się rozwodzimy.

- Bardzo mi przykro - powiedziała współczująco Sophie. - Nie mogłabyś mu... wybaczyć?

- Mogłabym - odparłam, przełykając ślinę. - Najśmieszniejsze jest to, że bym mogła. Ale... - Nie chciałam jej mówić. - Wszystko znów się pogmatwało. I wtedy podjęłam tę desperacką i raczej pożałowania godną decyzję, żeby zostać z Josem.

- Powiedziałaś mu już, że wiesz o dziecku? - spytała, gdy prosiłam o rachunek.

- Jeszcze nie. Musiałam najpierw porozmawiać z tobą. Jos myśli, że poszłam na zakupy do Chiswick. Nie ma pojęcia, że się z tobą umówiłam.

- Co teraz zrobisz? - spytała, gdy wychodziłyśmy z kawiarni. Spojrzałam na fotografię Josie.

- Zobaczę się z nim po raz ostatni.

Przepychając się do stacji metra w Kensington przez tłum ludzi robiących świąteczne zakupy, rozmyślałam o Lily. Nie mówiłam jej o Josie, bo nie miałam ochoty się z nią kontaktować. Byłam na nią zła, nie, nie zła, wściekła za to, że tak mnie na niego namawiała. Od samego początku. Oczywiście nie wiedziała o dziecku; gdyby wiedziała, na pewno by mi powiedziała, o tym byłam przekonana. Ale odkąd go poznałam, nieustannie go wychwalała i teraz zaczęłam się poważnie zastanawiać, dlaczego to robiła. Przypomniało mi się też, że niemal wpadła w panikę, kiedy pomyślała, że Jos mógłby mnie rzucić po moim romansie z Peterem. Jadąc rozklekotanym pociągiem na zachód, przypominałam sobie to wszystko, co mówiła.

„Jest przystojny i utalentowany”.

„Nigdy cię nie zawiedzie”.

„Życie w pojedynkę to koszmar”.

„Peter zdradził cię raz, może to zrobić znowu”.

„Masz szczęście, że spotkałaś Josa”.

„Jennifer i ja jesteśmy niesłuchanie podekscytowane”.

Przypomniało mi się też to, co robiła. Te wszystkie eleganckie ciuchy, które mi pożyczała i to, że zostawała z dziećmi. To, że zaaranżowała nasze zdjęcie do „Moi!**. I jej źle skrywana wściekłość, gdy przyznałam się do romansu z Peterem.

Myślałam o Josie i o tym, że nasz związek od początku był jakiś dziwny. Przypomniałam sobie jego kłamstwo na temat własnoręcznie przygotowanej kolacji i komputera Matta. Flirt z facetem, żeby dostać pracę. Histerię z powodu *Madame Butterfly* i późniejsze kłamstwa w „Sunday Timesie”. Sposób, w jaki krzyczał na Grahama - okropny, a jednocześnie absurdalny. Jego sen o tym, że stał nago w operze. Naiwnie uważałam to za oznakę skromności i tylko Katie zinterpretowała sen prawidłowo: obawa przed wykryciem jakiegoś sekretu, który wolałby zachować w tajemnicy. Teraz już wiedziałam, o co mu chodziło. Nie przeszkadzał mi fakt, że miał dziecko, lecz że nie potrafił się odpowiedzialnie zachować. Najbardziej jednak przeszkadzały mi jego nieustanne bezczelne kłamstwa. Peter nigdy mnie nie oszukiwał. Zawsze mówił prawdę. Ciekawa byłam, o czym jeszcze Jos mi nie powiedział.

Otworzyłam drzwi i Graham wyskoczył mi na powitanie, głośno szczekając.

Ukucnęłam, objęłam go i spojrzałam w brązowe oczy.

- Jestem ci winna przeprosiny - powiedziałam. - Od samego początku miałaś świętą rację.

- Krug! - wykrzyknął radośnie Jos następnego wieczoru. - To dla mnie wielka przyjemność.

- Wiem. Choć obawiam się, że to nie jest najlepszy rocznik.

- Nic nie szkodzi - powiedział z uśmiechem. - Nie zmarnuje się.

- Podobno krug jest bardzo popularny na chrzcinach.

- Naprawdę? - spytał obojętnie. - Nie mam pojęcia.

- To znaczy, że ostatnio nie byłeś na żadnym chrzcie?

- Od bardzo dawna. O, jakie to urocze! - zawołał na widok kalendarza adwentowego, który powiesiłam na ścianie. - Uwiel-

biam kalendarze adwentowe, ale nie otworzyłaś jeszcze dzisiejszego okienka. Zrobię to za ciebie, dobrze? Co to jest? Kuferek. Właśnie, to mi coś przypomina. Czy jesteś spakowana?

- Nie całkiem.
- Podróżujesz z małą ilością bagażu?
- Tym razem tak.
- A cieszysz się na tę odmianę?
- O, tak!

- Mniam, kaczka! - ucieszył się pół godziny później, gdy zasiedliśmy do stołu.

- To jest młode kaczątko - podkreśliłam, stawiając na stole jarzyny: malutkie, młode kartofelki, fasolka, kukurydza mini. miniaturowe marcheweczki i cukinie.

- To prawdziwe warzywne przedszkole - zażartował.

- Uwielbiam miniaturowe warzywa, a ty? - Uśmiechnął się i wzruszył ramionami. - Po prostu kocham małe, słodkie, rozkoszne, dziecinne marcheweczki, groszki i kukurydзки. Lubisz dziecinne rzeczy, Jos? - Skinął głową i napił się szampana. - Naprawdę? Nie jestem pewna. O, nie - powiedziałam, potrząsając głową. - Wcale nie jestem tego pewna. Wiesz, mam wrażenie, że zupełnie nie lubisz dzieci, zwłaszcza własnych.

Powoli opuścił nóż i widelec, i wbił we mnie wzrok, jakby chciał odczytać moje myśli. Postanowiłam jednak, że już dostatecznie długo bawiłam się z nim w kotka i w myszkę. Nie jestem sadystką.

- Ja wiem, Jos - powiedziałam cicho.

W ciszy słyhać było tykanie kuchennego zegara.

- Co wiesz? - spytał z irytacją. - O czym?

- O dziecku.

Jos oparł nóż i widelec na brzegu talerza.

- Pewno Becky ci powiedziała?

- Tak, ale dlaczego, na litość boską, sam tego nie zrobiłeś?

- Bo to nie jest twoja sprawa - odparł spokojnie i wziął widelec.

- Jesteś tego pewien? Skąd ci przyszło do głowy, że możesz być ze mną w poważnym związku przez osiem miesięcy i nie powiedzieć mi o tym, że masz dziecko?

- Posłuchaj - powiedział pewnym siebie tonem. - To był dla mnie... trudny okres. Miałem z nią straszne problemy.

- Słyszałam - stwierdziłam spokojnie. - Słyszałam także, że ona miała straszne problemy z tobą. Oszukałeś mnie - dodałam

bez gniewu. - Robiłeś to już wcześniej. To jest jednak bardzo poważne kłamstwo, Jos, ponieważ sam mówiłeś, że nie masz dzieci. Pamiętasz? Na samym początku naszej znajomości spytałam cię o to i powiedziałeś, że nie masz.

- Nie sądziłem, że jest moje - rzucił obronnym tonem. - I nadal w to nie wierzę.

- A ja tak. Nawiasem mówiąc, to nie jest ono, ale ona. - Wstałam i wzięłam z kredensu zdjęcie, które pożyczyłam od Sophie. - Nie jesteś pewien, czy to jest twoja córka? - spytałam, kładąc przed nim fotografię. Drgnął i odwrócił głowę. - Jest bardzo do ciebie podobna. Takie same duże szare oczy, takie same usta, takie same jasne loki. Nawet imię ma takie samo. - Odłożyłam zdjęcie do szuflady i usiadłam.

- To jest mój problem - upierał się. - Nie ma nic wspólnego z tobą.

- A ja uważam, że ma. Ponieważ teoretycznie mogłaby być moją pasierbicą i dlatego wolałabym wiedzieć. Ale najważniejsza rzecz to to, w czym jeszcze mnie oszukiwałeś.

- To był koszmar, Faith - jęknął, przesuwając ręką po włosach. - Nie chciałem ci zwracać głowy. To byłoby nie fair.

- Daj spokój, Jos - powiedziałam znużona. - Przede wszystkim nie chciałeś sobie zwracać głowy. Sophie mówi, że nie dałeś Becky ani grosza. Czy to prawda?

- To nie jest twoja sprawa, co jej dawałem lub nie dawałem - odparował. - I nie powinnaś słuchać tej kretyńskiej... lesbijki!

Jego agresja wcale mnie nie zdziwiła. W końcu był człowiekiem, który krzyczy na psa.

- Masz rację - powiedziałam spokojnie. - To rzeczywiście nie jest moja sprawa. Już nie. Ponieważ się rozstajemy.

Opuścił głowę.

- Nie rozumiem, dlaczego to miałyby coś zmieniać między nami - jęknął.

- To, że nie rozumiesz, potwierdza tylko, że do siebie nie pasujemy.

- Chcesz mnie rzucić, prawda? - spytał ze złością. Usta miał zacisnięte w znajomą, wąską linię. - Chcesz się mnie pozbyć, tak?

- No, chyba tak.

- Nie zgadzam się! - wykrzyknął. - Nie pozwalam!

- Przykro mi, Jos, ale nie masz wyboru. Wiem, że na ogół to ty porzucasz i odchodzisz, ale tym razem zrobię to ja. Nie z powo-

du dziecka, lecz dlatego, że nie mam do ciebie zaufania. Jesteś kłamcą. Zawsze o tym wiedziałam i prawdę mówiąc, nigdy cię nie kochałam. - Gapił się na mnie zszokowany. - Jest w tobie coś, co zawsze mi przeszkadzało. Teraz wiem, co to jest. Nie jesteś do końca prawdziwy. Jesteś tylko powierzchowny. Jak te twoje piękne freski. Jesteś wyłącznie czarującą iluzją.

- Bardzo dobrze cię traktowałem - warknął.

- Tak, to prawda, ale tylko dlatego, że chciałeś, żebym się w tobie zakochała. „Sprawię, że ta kobieta mnie pokocha”. Tak powiedziałaś, prawda? A ostatnio byłeś wręcz nadzwyczaj miły i teraz już wiem dlaczego. Wiedziałaś, że Becky chce mi wszystko powiedzieć i chciałeś mnie zmiękczyć. Jednak, prawdę mówiąc, twój wdzięk i starania nie mają żadnego znaczenia, skoro potrafiłeś się tak obrzydliwie zachować wobec własnego dziecka.

- Jak byś się czuła na moim miejscu? - spytał gwałtownie. - Jak byś się czuła, gdybyś powiedziała kobiecie, że nie chcesz się z nią wiązać na stałe, a ona zrobiłaby coś takiego? Powinnaś zrozumieć moją sytuację, biorąc pod uwagę, że to samo przydarzyło się Peterowi.

- Różnica między tobą a Peterem jest taka, że on zachował się przyzwoicie. Becky nie ma pieniędzy, a ty do biednych nie należysz.

- W końcu dostanie swoje pieniądze - powiedział z rozdrażnieniem. - Nie mam jedynie zamiaru niczego ułatwiać, kiedy to wszystko jest jej cholerna wina.

- Dlaczego tylko jej? Przecież z nią spałeś. I wiedziałaś, że ma na twoim punkcie obsesję.

- Tak, ale byłem wobec niej uczciwy. Mówiłem, żeby niczego ode mnie nie oczekiwała. Powtarzałem jej... - Jego głos stawał się coraz bardziej piskliwy. - Tłumaczyłem, że powinna znaleźć sobie kogoś innego.

- To pięknie z twojej strony.

- Do głowy mi nie przyszło, że mogłaby coś takiego zrobić - zajączał z twarzą wykrzywioną w grymasie niechęci.

- Właściwie dlaczego tak uważałeś?

- Bo to byłoby emocjonalne samobójstwo. Nie udawałem, że ją kocham. To dlaczego chciałyby mieć moje dziecko?

- Bo ona kochała ciebie. Wiedziałaś o tym. Powinieneś być o tym pamiętać.

- Pamiętałem. Dałem jej pieniądze.

- Dałeś jej pieniądze? Na co?

- Na pigułkę, którą się bierze następnego dnia.

- I to jest twój pomysł na zapobieganie ciąży? - Roześmiałam się głucho. - Mój Boże, chyba podświadomie sam do tego dążyłeś. Biedna Becky. Im więcej się tłumaczysz, tym gorzej wypadasz w moich oczach. Zachowałeś się jak Pinkerton - stwierdziłam spokojnie. - Nie lepiej.

- Ale ona знаła moje przekonania! - syknął. Wstał i gapił się na mnie ze złością. - Doskonale je znała - powtórzył, przecinając powietrze lewą dłonią. - Wiedziała, że z mojej strony to są przełotne spotkania i że może mieć pretensje wyłącznie do siebie.

Już to gdzieś słyszałam - pomyślałam. Dokładnie to samo mówił o *Madame Butterfly*, kiedy byliśmy w modelarni teatralnej.

- Jest zwariowaną, pozałowania godną dziwką - dodał z pogardą. - Urodzoną ofiarą. Mówiłem jej, żeby usunęła - wysyczał, dolewając sobie szampana. - Proponowałem, że zapłacę za zabieg, ale ta głupia krowa się nie zgodziła. Miałem nadzieję, że poroni - mówił dalej, coraz bardziej histerycznym tonem. - Modliłem się, żeby poroniła! - krzyknął. - Modliłem się na klęczkach! O tak! - krzyczał, wymachując butelką szampana. - Gdyby Becky poroniła, wszyscy piliby szampana z najlepszego rocznika. - Jego słowa zabolowały mnie, jakby mnie uderzył w splot słoneczny. Spojrzałam na niego, nie czując nic prócz pogardy.

- Chcę, żebyś wyszedł - powiedziałam spokojnie, choć w środku wszystko się we mnie gotowało. - Zadzwoń jutro do biura podróży i powiedz, że sam jedziesz na Karaiby.

Kiedy zostałam sama, usiadłam w salonie z Grahamem i gapiłam się przed siebie. Pies, widząc, że jestem nieszczęśliwa, położył mi łeb na kolanach.

- Jesteś bardzo mądry - powiedziałam, gładząc go po uszach. - Od razu go przejrzałeś. Myślałam, że Jos będzie moim uzdrowicielem, a to było jedynie złudzenie. - Odruchowo wzięłam do ręki „Moi!”, które dostałam u Cartiera. Jeszcze raz przeczytałam kwestionariusz o wzajemnym dopasowaniu i ogarnął mnie pusty śmiech i przejmujący wstyd.

„Czy twój partner ma jakieś irytujące drobne nawyki?” Tak, oczywiście. „Czy twój partner zawsze mówi prawdę?” Niestety, nie. Kłamie. „Czy twoi przyjaciele i rodzina lubią twojego partnera?” Raczej nie, zwłaszcza pies. I na koniec: „Czy miewasz mieszanane uczucia na temat czegoś, co twój partner robi lub mówi?”

Z ponurym uśmiechem wymazałam krzyżyk przy **odpowiedzi** „nie”, który wstawiłam w lipcu i zaznaczyłam „tak”.

Trzy dni później, kiedy o wpół do jedenastej wróciłam z pracy, zastałam masę poczty i mrugające światełko automatycznej sekretarki.

- Halo, kochanie! - usłyszałam głos Lily. - Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

- Dzięki - mruknęłam przygnębiona.

- Dawno do mnie nie dzwoniłaś. Pomyślałam o tobie, bo wczoraj Jennifer Aniston uciekła z domu.

- To tragiczne.

- Niegrzeczna dziewczynka doszła aż do King's Road.

- Coś takiego.

- Spodziewam się, że Jos zabiera cię dziś w jakieś fantastyczne miejsce, a lada dzień zapewne lecicie na Karaiby.

- Ja nie - stwierdziłam stanowczo i otworzyłam pierwszy list. Życzenia od dzieci.

- Na wszelki wypadek życzę ci przyjemnego wypoczynku. Dzwonię, bo ukazał się właśnie styczniowy numer „Moi!” i chciałam ci przeczytać twój horoskop. Jest absolutnie genialny. Wszystko układa się wspaniale.

- Doprawdy? - burknęłam pod nosem.

- Tylko posłuchaj. - Usłyszałam, jak chrząka teatralnie. - Strzelec w tym miesiącu myśli przede wszystkim o miłości. - Zaśmiałam się sarkastycznie. - Do pełni księżyca szóstego stycznia będziesz już wiedziała, dlaczego jedna szczególnie osoba tak bardzo cię pociąga. Czyż to nie nadzwyczajne, skarbie?

- Nie - syknęłam.

- Pomyślałam, że muszę ci to przeczytać. Paaa!

Mama też się nagrała z życzeniami urodzinowymi i pytaniem, kiedy przedstawię im Grahama. O cholera! Zapomniałam jej powiedzieć. Od razu do niej oddzwoniłam.

- Nie będziesz musiała pilnować Grahama - powiedziałam. - Nigdzie nie jadę.

- Jaka szkoda! Dlaczego?

- Zmieniłam plany.

- W Turks i Caicos jest tak pięknie.

- Wierzę, mamó, ale nie mam ochoty jechać.

- A co z Josem? Co się z nim stało?
- Wybrałam wolność wyboru.
- Co zrobiłaś?
- Wybrałam wolność wyboru. Nie chcę go więcej widzieć.
- Ojej, dlaczego? Tak świetnie do siebie pasowaliście.
- Wcale nie - powiedziałam. - Nic podobnego. - Pomyślałam o trzech nowych letnich sukienkach. - To był tylko epizod.
- To co robisz dziś wieczorem, kochanie? W końcu są twoje urodziny.
- O Boże, mam, nie wiem i, prawdę mówiąc, niespecjalnie mnie to obchodzi.

Otworzyłam resztę poczty. Dostałam śliczną kartkę od Petera. Nic nie napisał, tylko pod życzeniami postawił literkę P i krzyżyk. Dostałam też życzenia od Sary i od Mimi i Mike'a. W kopercie od Rory'ego Cheethama-Stabba znalazłam wniosek rozwodowy. „*Jeecree nisi* uprawomocniło się dziesięć dni temu, ale pomyślałam, że zechce pani kopię dla siebie” - napisał. Niekoniecznie - pomyślałam. Przystudiowałam papier z poczuciem klęski i bólem serca. To był namacalny dowód, że moje małżeństwo się nie udało. Miałam wrażenie, że trzymam w rękach bombę z opóźnionym zapłonem. Ponieważ dzieci miały niedługo przyjechać ze szkoły, schowałam papier do biurka. Chciałam ukryć przed nimi szczegóły naszego rozstania, choć i tak niedługo będą się musiały dowiedzieć o ciąży Andie.

Potem powlokłam się na górę i położyłam do łóżka, poirytowana wesołą melodyjką samochodu lodziarza. To był jeden z tych dni, kiedy, mimo zmęczenia, nie mogłam zasnąć. W dodatku co chwilę dzwonił telefon. Normalnie włączam sekretarkę, ale dziś wstawałam za każdym razem. Najpierw zadzwoniła Sophie, żeby się dowiedzieć, jak przebiegło spotkanie z Josem i powiedzieć, że dostała pracę w BBC. Później zadzwoniła Sara z piorunami na Andie, którą widziała poprzedniego dnia.

- Strasznie się pieści ze swojaciążą! - wybuchła. - To śmieszne! Nie je tego, nie je tamtego, wypytywała mnie, co przygotowałam na obiad i miała pretensje, że poczęstowałam ją niepasteryzowanym serem. Poza tym jest naprawdę dopiero na początku, a już nosi coś w rodzaju namiotu. Peter wyglądał bardzo ponuro, nigdy go takiego nie widziałam. Prawie cały dzień pracował. W niedzielę! Chyba tylko po to, żeby z nią nie siedzieć. Jaki ojciec, taki syn - dodała zgrzyliwie. - Zrobił dokładnie to samo, co mój mąż. Maybelline! - prychnęła pogardliwie. - Co za idiotyczne imię!

Pocieszałam ją przez następne pięć minut, a potem poszłam do kuchni, zrobiłam sobie kawę i otworzyłam kolejne okienko w moim adwentowym kalendarzu. Przy okazji straciłam trochę srebrnego pyłu, który opadł jak płatki śniegu na podłogę. Wszystko straciło blask - pomyślałam. W okienku był rysunek miski z wiśniami.

Przez resztę dnia czułam się równie ponuro. Jak mała łódka porzucona na oceanie. Rozwód nie był już czymś hipotetycznym, lecz jak najbardziej rzeczywistym. Peter niedługo zabierze resztę swoich rzeczy. Chodziłam z Grahamem po domu, odnajdując je. Dwie stare marynarki w przedpokoju, gumowce, jakieś buty. Później zajęłam się książkami. Peter ma ich całe mnóstwo, stoją na półkach w dużym pokoju. Wdychałam ich słodki stary zapach z uczuciem głębokiego żalu. Na półkach stały nowe książki w miękkich błyszczących okładkach, książki w twardych oprawach i kilka cennych pierwszych wydań. Pomarańczowe wydania Penguina i stara klasyka w czarnych okładkach. 1, oczywiście, wszystkie książki jego autorów. Kiedy jest się w specjalnym nastroju, zauważa się różne dziwne rzeczy. Mój wzrok padł na książkę pod tytułem *Koniec romansu*. No, tak - pomyślałam z żalem - nasz romans się skończył. Potem zauważyłam *Czy możesz jej wybaczyć* Trollope'a. Nie - pomyślałam - nie mogę. Następnie moją uwagę zwrócił *Dom na pustkowiu* i pomyślałam, że mój dom jest naprawdę pusty. Po *Zmierzchu i upadku* nadchodziły *Ciężkie czasy*. Na półce stała *Tęcza*, ale swojej nigdzie nie dostrzegłam. Wyciągnęłam *Świat się rozpada*. Tak właśnie się stało, wszystko się rozpadło i została tylko *Garść prochu*. Mój powrót do Petera się nie udał, a Jos okazał się fałszywą zapowiedzią czegoś nowego. Po raz pierwszy w dorosłym życiu zostałam całkiem sama.

Jestem sama - pomyślałam, siedząc tego wieczoru z Grahamem w łazience. Mam trzydzieści sześć lat, dzieci niedługo dorosną, nie mam męża ani partnera. Przyjrzałam się karaibskiemu dziełu Josa z falującymi palmami i turkusowym morzem. Było niesłychanie piękne i kompletnie nierzeczywiste. Zeszłam do piwnicy, znalazłam puszkę białej winylowej farby i pędzel i wzięłam je na górę. Zaczęłam zamalowywać fresk zdecydowanymi pociągnięciami pędzla. W górę i w dół, z cichym pluskiem, likwidując błękitne niebo i błyszczący piasek. Strużka farby spłynęła na muszlę, gdy zamalowywałam odległą łódkę. Załkałam cicho i w końcu na dobre się rozszochałam. Płakałabym zapewne bardzo długo, gdyby znów nie zadzwonił telefon.

- Wszystkiego najlepszego, mam! - zawołał Matt.
- Dziękuję, synku - wychrypiałam.
- Miałaś dobry dzień?
- Cudowny.
- Jesteś przeziębiona?
- Nie - odparłam, przełykając łzy. - To znaczy tak. Mam trochę... kataru.
- Jos cię gdzieś zaprosił?
- Nie - powiedziałam cicho. - Właściwie mogę ci powiedzieć, że Jos już nigdzie nie będzie mnie zapraszał. - Zapadła cisza, potem usłyszałam, że słuchawka przechodzi z ręki do ręki i odezwała się Katie.
- Mam? To ja. Co się stało?
- Nic. Nic nadzwyczajnego.
- I nie jedziesz na Karaiby?
- Nie. Nie jadę. Nie teraz.
- Rzuciłaś Josa?
- No...
- Mam nadzieję, że tak.
- No, skoro pytasz, to tak.
- Super. Nie przepadałiśmy za nim. Nie jest taki fajny jak tata. Chcesz o tym porozmawiać? - spytała z ożywieniem. - Jeśli chcesz, to mogę to z tobą przedyskutować.
- Nie, dziękuję - odparłam stanowczo.
- Uważam, że trzeba ci trochę terapii behawioralno-percepcyjnej.
- Zapewniam cię, że nie.
- Prędzej czy później dojdą do głosu uczucia negatywne.
- Nie mam absolutnie żadnych negatywnych uczuć - powiedziałam, przyciskając do oczu mokrą chusteczkę.
- Co robisz dziś wieczorem?
- Zostanę w domu. Mam... malowanie.
- To jest mechanizm reakcji.
- Nic podobnego, to jest coś, co muszę zrobić. Zmieńmy lepiej temat i powiedz mi, jak wam idzie sztuka.
- Świetnie - odparła beztrąsko. - W tym tygodniu mamy próbę kostiumową. Mam całkiem dużą rolę, a Matt odpowiada za dekoracje. Przyjedziesz na przedstawienie?
- Czy przyjadę? Byłam zbyt rozkojarzona, żeby się nad tym zastanowić.

- Przyjedź koniecznie, mamó - nalegała Katie.
- Dobrze - zgodziłam się nagle. - Przyjadę. Oczywiście, że przyjadę. - W końcu chciałam podtrzymać na duchu moje dzieci, a poza tym, po ostatnich kłopotach, może się nawet rozerwę. - Przypomnij mi, co to za sztuka.
- *Kiedy jesteśmy małżeństwem.*

W następnym tygodniu, kiedy jechałam sama do Seaworth, doszłam do wniosku, że rozwodzenie się przypomina wpadanie do wielkiej czarnej dziury. Nie, jeszcze coś gorszego - wypadanie z samolotu. Teraz wiedziałam jednak, że osiągnęłam końcową prędkość i że na pewno niedługo uderzę o ziemię. Byłam pewna, że się nie zabiję, ale będę poważnie ranna. Będę musiała nastawić połamane kości, wyjść na świat i żyć. Wiedziałam, że to będzie okropne. Czekwały mnie lata bólu. Powiedziałam sobie, że będę musiała być dzielna. Robić rzeczy, których nigdy do tej pory nie robiłam.

Jadąc powoli autostradą, wyobraziłam sobie, że chodzę na jakichś kursy albo w pojedynkę biorę udział w jakichś przyjęciach. Widziałam siebie na randkach ze strasznymi facetami, którzy zanudzą mnie na śmierć opowiadaniem o grze w golfa. Kiedyś często się zastanawiałam, jak to jest być samotnym i teraz będę mogła przekonać się na własnej skórze. Będę musiała dawać sobie radę w wielu nowych sytuacjach. Na przykład nigdy nie byłam w szkole u dzieci bez Petera. Od tej pory tak właśnie będzie, stwierdziłam ponuro. Będę sama. Może już do końca życia, pomyślałam żałośnie, obserwując bursztynowe uliczne światła odbijające się od samochodu. Jak to powiedziała Lily? „Pomyśl o tych wszystkich smutnych rozwódkach, które nigdy nie znalazły nikogo nowego*^o. Przypuszczalnie tak skończę. Będę starą sfrustrowaną i ponurą kobietą.

Z trudem rozpoznałam zjazd z autostrady, żałując, że to nie Peter siedzi za kierownicą. Dzieci poinformowały mnie, że nie przyjedzie na przedstawienie i odczułam dużą ulgę. Podobno powiedział im, że ma dużo pracy, ale ja znałam prawdziwą przyczynę. Nie chciał przyjeżdżać, bo wiedział, że to by nas za bardzo rozdrażniło. Przypomniał mi się ostatni raz, kiedy przyjechaliśmy razem na zakończenie roku. Było strasznie gorąco. Peter zdenerwował się wzmianką w „Mail”, a później była cała ta awantura z Mattem. Tym razem będę musiała sama sobie radzić, pomyślałam, parkując samochód.

Kiedy jesteśmy małżeństwem - stwierdziłam ponuro, zajmując miejsce w zatłoczonej sali. Raczej *Kiedy się rozstajemy* albo *Kiedy się rozwiedliśmy*. Sztuka została opisana jako „zabawnie poważna ocena małżeńskiego życia”. Spojrzałam do programu i z dumą znalazłam nazwisko Katie. Grała jedną z żon z Yorkshire, obchodzących srebrne wesele. Tej rocznicy już nie będziemy obchodzili - stwierdziłam z gorzkim westchnieniem. Przeżyliśmy piętnaście lat - kryształowe wesele - a później wszystko roztrzaskaliśmy. Jednak gdy kurtyna poszła w górę, zapomniałam o problemach i stopniowo dałam się wciągnąć w treść sztuki. Katie grała Clarę Soppit, najbardziej apodyktyczną z trzech żon.

PARKER: Małżeństwo to poważna sprawa.

CLARA: To prawda, Albercie. Jacy bylibyśmy bez niego?

SOPPIT: Wolni.

CLARA: Przestań, Herbercie.

PARKER: Zebraliśmy się tu wszyscy, moi drodzy, aby uczcić rocznicę naszego wspólnego ślubu. Wznoszę toast za małżeństwo.

Później okazuje się, że wikary, który udzielał im ślubu, nie miał odpowiednich kwalifikacji i że przez dwadzieścia pięć lat żyli w grzechu. W tamtych czasach to był niewyobrażalny horror.

PARKER: Możesz się czuć jego żoną, ale, formalnie rzecz biorąc, w oczach prawa nie jesteś jego żoną. Nikt z nas nie jest mężem ani żoną.

CLARA: Nie wszyscy sąsiedzi cię usłyszeli. Może będziesz krzyczał głośniej.

PARKER: Dobrze, dobrze. Niczego jednak nie osiągniemy, jeśli nie pogodzimy się z faktami. Nie jest to nasza wina, lecz nasz pech.

CLARA: A ja twierdzę, że w oczach Boga Herbert i ja jesteśmy od dwudziestu pięciu lat małżeństwem.

PARKER: I znów się mylisz. W oczach Boga nikt z nas nie zawarł małżeństwa.

Kurtyna opadła na przerwę przy wtórce oklasków i wszyscy wyszliśmy na dwór. Tej części wizyty obawiałam się najbardziej, bo nigdy sama nie przyjeżdżałam do szkoły. Wszystkim osobom, które spotkaliśmy na zakończeniu roku, rzuciłam grzeczny, choć zarazem niezbyt zachęcający uśmiech, a potem, żeby pokryć zażenowanie, udałam zainteresowanie programem.

- Pani Smith? - Podniosłam głowę. O Boże, to była ta straszna kobieta, pani Thompson. Ta, która tak wydziwiała w lecie, że Matt dostał nagrodę z matematyki. Stara małpa pewnie znów chciała się do czegoś przyczepić. Szła w moją stronę z błyskiem w oku. Wiedziałam, że bez Petera, i teraz, i już zawsze, będę się musiała bronić sama. Sama walczyć o swoje. Kiedy podeszła bliżej, zauważyłam jednak, że się uśmiecha i wygląda jakoś inaczej.

- Jakże się cieszę, że panią widzę! - wykrzyknęła. Osłupiałam ze zdumienia. - Jak się pani miewa? - spytała grzecznie.

- Dobrze, dziękuję - skłamałam. - Świetnie pani wygląda.

- O, tak, mam się doskonale - powiedziała z ironicznym uśmiechem. Zaczęła paplać coś o sztuce, a ja przyjrzałam się jej dokładniej. Schudła, miała porządny makijaż, a jej sztywną trwałą zastąpiła miękka, wycieniowana i rozjaśniona fryzura. Miała na sobie drogą suknię-płaszcz z angory i pachniała dobrymi perfumami. Znam się na tym, ale w żaden sposób nie mogłam rozpoznać zapachu.

- Katie jest znakomita, prawda? - rozplýwała się, gdy piłyśmy kawę.

- Tak - przyznałam. - Dziękuję. - Ponieważ skomplementowała moją córkę, nagle uznałam ją za moją najnowszą najlepszą przyjaciółkę. - Johnny też jest świetny - dodałam ciepło. Rzuciła mi olśniewający uśmiech.

- Nie jest taki dobry jak Katie - stwierdziła wielkodusznie.

- Ależ jest, jak najbardziej.

- Katie jest urodzoną aktorką.

- Johnny też. I ma doskonałą dykcję.

- Katie jest dziś prawdziwą gwiazdą. Ma fantastyczne wyczucie humoru.

- Johnny jest cudowny - nalegałam, nie chcąc być gorsza.

- To miło, że tak pani mówi, uważam jednak, że pani dzieci są genialne. Ładne i mądre. - Polubiłam panią Thompson do tego stopnia, że miałam ochotę ją ucałować. - Matt każdemu zwrócił pieniądze - powiedziała. - Zrobił na nas wrażenie.

- Słucham?

- Nie wiedziała pani? - zdziwiła się, mieszając kawę. - Odał pieniądze wszystkim przyjaciołom.

- Naprawdę? To... dobrze. Nie wiedziałam.

- Tak, wygrał je.

- Wygrał? Jak?

- W pokera.
- Ale on nie gra w pokera.
- Owszem, gra. I podobno jest znakomity. Powiedział Johnny'emu, że babcia go w lecie nauczyła.
- Nie, nie, to nie może być prawda. Moja matka nauczyła ich grać w... remika. Och - powiedziałam powoli. Czy wyczyny mojej matki nie mają końca?
- Johnny powiedział, że Matt gra w Internecie, korzystając z karty kredytowej swojej babci. To bystry chłopiec, podobno wygrał pięć tysięcy funtów. To znacznie lepsze niż zabawa tymi grupami dot.comami, nie sądzi pani? Ale chciałam powiedzieć coś innego...
- Tak? - Postanowiłam porozmawiać z matką, kiedy się lepiej poczuję.
- Mam nadzieję, że nie będzie mi pani miała za złe...
- Nie...
- Przykro mi z powodu pani rozvodu.
- Och, cóż - powiedziałam z bólem serca. I zdałam sobie sprawę, że wszyscy wiedzą, bo dzieci opowiedziały kolegom.
- Daje sobie pani radę? - spytała pani Thompson troskliwie.
- Naturalnie - skłamałam.
- Ma pani Rory'ego Cheethama-Stabba, prawda?
- Tak, zgadza się. A skąd pani o tym wie?
- Bo ja też go mam - oznajmiła.
- Naprawdę? - zdziwiłam się. - Nie wiedziałam.
- O tak. Mój mąż odszedł z sekretarką, ale, szczerze mówiąc, nic mnie to nie obeszło. Doskonale daję sobie radę i świetnie się bawię. Byłam mężatką przez dwadzieścia lat, wychowałam troje dzieci i nareszcie mam czas dla siebie.
- To... dobrze - powiedziałam ze śmiechem.
- Czyż on nie jest fantastyczny? - spytała, spoglądając na mnie zamglonym wzrokiem.
- Kto? Johnny? Tak.
- Nie Johnny - poprawiła mnie z dziewczęcym chichotem. - Rory Cheetham-Stabb.
- No...
- Uważam, że jest absolutnie cudowny -jęknęła.
- Jest na pewno bardzo sprawny - przyznałam. - Choć raczej bezwzględny.

- O tak - potwierdziła entuzjastycznie. - Jestem bardzo zadowolona, że zajął się moim rozwodem. On naprawdę wie, co robi, nie sądzi pani?

- No...

- Tego mi właśnie było trzeba - stwierdziła z dziwnym błyskiem w oku. - Wie pani, co mam na myśli?

- Tak, oczywiście - skłamałam.

Wymieniłyśmy zapewnienia o odwiecznej przyjaźni i wróciłyśmy na drugą połowę przedstawienia. Trzy pary nie były już pewne, czy chcą zostać ze swoimi dotychczasowymi „małżonkami”. Kiedy się okazało, że formalnie są stanu wolnego, wszystko się zmieniło. Pantoflarz Herbert się zbuntował, a inni też zobaczyli dla siebie nowe perspektywy. Kiedy tak siedziałam, zastanawiając się nad ich problemami, nagle skojarzyłam sobie nazwę perfum pani Thompson. Nazywały się Bez Żalu.

W następnym tygodniu dzieci przyjechały do domu. To miały być pierwsze święta Bożego Narodzenia, kiedy rodzina nie była w komplecie, usiłowałam zatem jakoś je uatrakcyjnić. Poszliśmy posłuchać kołęd, upiekliśmy pierniczki i zawiesiliśmy karty z życzeniami. Niedzielę dzieci spędziły z Peterem.

- I co tam u niego? - spytałam od niechcienia Katie, kiedy ubierałyśmy wieczorem choinkę.

- Wszystko w porządku. Opowiedział nam o Andie. Teraz już go nie puści.

- Mieszka z nią?

- Nie, nadal ma swoje mieszkanie. Biedny tata - powiedziała, rozplątując lampki choinkowe. - Ty też jesteś biedna.

- Dam sobie radę - skłamałam. Prawdę mówiąc, czułam się delikatna i krucha jak szklana bombka, którą trzymałam w dłoni. Jeden ruch i rozleciałaby się na drobne kawałeczki. - Miałś rację na temat Josa - dodałam. - Chciał być tylko kochany.

- Musiał nadrabiać jakieś braki z dzieciństwa.

- Na pewno.

I powiedziała jej, czego się dowiedziałam. Była już na tyle duża, że mogłam z nią na ten temat porozmawiać.

- Och, to nie Grahamowi potrzebny był mały zabieg - stwierdziła oburzona. - Ale Lily go lubiła, prawda?

- Tak.
- Ona jest trochę do niego podobna, wciąż szuka swojej wewnętrznej dorosłości. Mamo - zaczęła z wahaniem, rozwieszając czerwoną cynfolię na dolnych gałęziach - nigdy cię o to nie pytałam, ale dlaczego tak bardzo się przyjaźnicie z Lily?
- Szczerze mówiąc, sama się nad tym czasem zastanawiam - odparłam, wieszając złotą gwiazdę. - Lily czasem doprowadza mnie do szału.
- Zawsze musi być w centrum zainteresowania - rzuciła Katie, przymocowując wróżkę na czubku choinki. - I zawsze musi wygrywać. - Przewróciłam oczami, bo to była prawda. - Ty jesteś całkiem inna, mamo, i dlatego czasami się zastanawiam, jakim cudem zostałyście przyjaciółkami.
- W szkole wiele dziewczyn bardzo źle ją traktowało. Potwornie mnie to denerwowało i postanowiłam być jej sojuszniczką. Kiedy nabrała pewności siebie, okazało się, że jest fajna. Ponieważ ja sama byłam raczej mało przebojowa i dość rozsądna, dzięki dzikiej Lily przeżywałam różne przygody.
- Czyli to było przyciąganie się przeciwieństw?
- Tak przypuszczam. Lily mi imponowała, była odważna i na wiele sobie pozwalała. Mnie lubiła, ponieważ nie stanowiłam dla niej zagrożenia. Wyobrażałam sobie, że z czasem, zwłaszcza po tym, jak wyszłam za mąż, nasze drogi się rozejdą, ale ku mojemu zdumieniu, Lily zawsze podtrzymywała ścisły kontakt.
- Najwyraźniej cię potrzebuje.
- Być może.
- W końcu jesteś jej jedyną przyjaciółką. A ponieważ zna cię od dziecka, prawdopodobnie przypominasz jej, jak daleko zaszła.
- Może i tak - westchnęłam, wieszając na choince maleńką błyszczącą bombkę.
- I widać, że cię uwielbia. - Ręka zawisła mi w powietrzu.
- Czy to jest takie oczywiste?
- O, tak. Nie ma wątpliwości. Jesteś dla niej ważna. Z drugiej strony to nic dziwnego, skoro znacie się od dwudziestu pięciu lat. Może powinniście obchodzić srebrną rocznicę - dodała ze śmiechem.
- Może. Im dłużej się z kimś przyjaźnisz, Katie, tym więcej ta przyjaźń znaczy.
- Jest trochę zazdrosna o tatę - zauważyła. - Uważa, że zna cię lepiej niż on. Może dlatego tata nie za bardzo ją lubi. Trzy osoby to o jedną za dużo, i tak dalej.

- Chyba nie. Tata po prostu uważa, że Lily jest trochę pusta i próżna. Podziwia wprawdzie jej inteligencję, ale sądzi, że marnuje swoje talenty. Mówi, że mogła zostać neurochirurgiem albo naukowcem, a zaprzedała się modzie i błyskotkom.

- Ale to ona decyduje, co robić ze swoim życiem, a nie tata.

- Oczywiście.

- Ja tam lubię Lily - oznajmiła Katie. - Jest zabawna. I intrygująca.

- Intrygująca? - mruknęłam. - Tak.

- Ma bardzo złożoną osobowość - stwierdziła. - Ze skłonnością do obsesji i tendencją do przesady. Choć tata też ciężko pracuje.

- Zawsze tak było.

- Nie, w tej chwili jest czymś bardzo zajęty, ale nie chciałam powiedzieć, co to jest.

- Pewnie negocjuje jakiś drogi kontrakt z nowym autorem - powiedziałam. - Albo kupuje prawa autorskie. Czy jutro wieczorem dacie sobie radę sami? Wyjdę tylko na krótko.

- Oczywiście - zapewniła. - Jesteśmy już prawie dorośli.

- Tak, wiem - stwierdziłam ze smutkiem. - Wiem aż za dobrze.

Kiedy Katie włączyła lampki, które zaczęły błyskać i mrugać, pomyślałam z żalem, że oboje niedługo wyfruną z domu. Peter chciał, żebyśmy mieli jeszcze jedno dziecko. A teraz urodzi je Andie.

- Czy to będzie fajne przyjęcie? - spytała Katie, kiedy chowałam pudełko.

- Niespecjalnie. Przyjęcia biurowe rzadko są udane.

Świąteczne przyjęcie w AM-UK! zawsze było dla mnie dość stresujące. Moja idea dobrej zabawy nie polega na picciu taniego białego wina w sali konferencyjnej. Ale to są moi koledzy - powiedziałam sobie, idąc do pracy w poniedziałek rano, i powinnam wziąć udział we wspólnej imprezie.

Jak zwykle zrobiłam sobie kawę z ekspresu i rzuciłam okiem na gazety. Najpierw na „Mail”, a potem wzięłam do ręki „Independent” i nagle znieruchomiałam z plastikową filiżanką kawy w połowie drogi do ust. BISHOPSGATE PRZEJMUJE FENTON & FRIEND. Poczulałam nagły przypływ adrenaliny i szybko przeleciałam wzrokiem tekst:

Najnowsza poważna fuzja... Przejęcie Fenton & Friend... Bishopsgate zapłacili trzydzieści pięć milionów funtów... Pogłoski

pojawiły się już pół roku temu... Na targach we Frankfurcie... Smith okazał się prawdziwym finansowym geniuszem... Charmaine Duval już odeszła... Oliver Sprawle odchodzi.

Drżącymi rękami odłożyłam gazetę. To nad tym Peter tak ciężko pracował. Co za ironia losu! Rok temu Charmaine chciała zwolnić Petera, a teraz on ją wyrzucił. Usiłując skoncentrować się na mapach pogody, nie mogłam pozbyć się jednej myśli - Peter miał rację, podejrzewając Olivera o przekazywanie informacji do prasy. Teraz wiedziałam, że miał powód, jeśli słyszał o planach Petera. Jeszcze raz spojrzałam na artykuł. Było tam napisane, że Peter planował wykupienie swojego starego wydawnictwa od ponad pół roku. Brat Olivera był bankierem i mógł mu zdradzić, co się szykuje. Stąd nieustanne starania Olivera, aby podminować pozycję mojego męża. Wreszcie wszystko nabrało sensu. Przypomniałam sobie, że Peter robił jakieś aluzje, kiedy dzwonił z targów we Frankfurcie. Powiedziałam, że to on się śmieje ostatni, na co odpowiedział: „Jeszcze nie”. Teraz dopiął swojego, na złość Charmaine i Oliverowi. Byłam z niego tak dumna, że mało mi serce nie pękło. Po chwili ogarnęła mnie fala żalu, bo przypomniałam sobie o rozwodzie. Wieczorem Peter będzie oblewał swój sukces - beze mnie.

- Dobrze się czujesz? - spytał Darryl.
- Co?
- Kiepsko wyglądasz.
- Nic mi nie jest - mruknęłam.
- Przyjdiesz na przyjęcie?
- Tak.

I tak o wpół do ósmej tego samego wieczoru **znalazłam** się w tłumie kolegów z kieliszkiem taniego chardonnay.

- ...Bardzo śmieszne!
- ...Śpiewająca fretka?
- ...Specjalny program o tragedii księżnej Diany.
- ...Widziałaś Sophie w *Wiadomościach*?
- ...Ta dziewczyna ze *Śniadania*.
- ...Selina Scott tam była!

Terry był niesłychanie pewny siebie. Puścili muzykę i usłyszałam tę nieznośną piosenkę *Wesołych świąt*. Dla wielu osób to wcale nie były wesołe święta - pomyślałam. Łącznie ze mną.

Mamy wesołe święta, wszyscy się dobrze bawią...

Ja na pewno nie - pomyślałam.

Patrz w przyszłość, która dopiero się zaczyna.

- Faith! - wykrzyknął Iqyy. Ucałowałam go. - Jak się masz, skarbie?

- Może być. - Wzruszyłam ramionami. - Właściwie czuję się okropnie - dodałam, bo on jest zawsze taki sympatyczny. - Mój rozwód niedługo się uprawomocni.

- Biedactwo! - powiedział ze współczuciem. - A ja w końcu rzuciłam Willa.

- Naprawdę? To dobrze. Z tego, co mówiłeś, okropnie cię traktował.

- To prawda - przyznał z westchnieniem. - Doszedłem do wniosku, że dłużej tego nie wytrzymam i powiedziałem mu, że to koniec. Do widzenia.

- To znaczy, że jesteś szczęśliwszy?

- Tak. I ty też będziesz. - Uśmiechnęłam się i pomyślałam, że nigdy nie czułam się bardziej nieszczęśliwa. Wino zaczynało działać. Iqyy zaczął rozmawiać z kimś innym, a ja zamieniłam parę słów z Marian i Jane z działu planowania, unikając jęczącej Lisy, która sabotowała działanie telepromptera Sophie. Zresztą ona i tak rozmawiała z Tatianą. Znalazłam się obok dziewczyny imieniem Jan, która niedawno zaczęła u nas pracować. Najwyraźniej już sporo wypła i była w nastroju do rozmowy. Dowiedziałam się, że przed przyjściem do AM-UK! pracowała na zastępstwach w gazetach i czasopismach.

- Lubię tę pracę - powiedziała i wypła łyk wina. - Nie jest się nigdzie uwiązany - dodała, ściągając z tacy pasztecik. - Nie jestem osobą wierną. W sensie zawodowym. - Zachichotała. - Lubię skakać z kwiatka na kwiatek.

- Podobała ci się praca w gazetach? - spytałam.

- O, tak. Zwłaszcza w rubrykach towarzyskich. To było zabawne.

- A gdzie pracowałaś? - spytałam, nagle zainteresowana.

- Och, wszędzie. W „Expressie”, „Daily Telegraph” i, przez parę tygodni, w „Hello!”. Pracowałam także w „TV Quick!” a potem przez jakiś czas w „Daily Mail”.

- Naprawdę? Kiedy?

- Od marca do lipca.

- Naprawdę? - powtórzyłam. - To szalenie interesujące. W tym czasie drukowali o mnie nieprzyjemne plotki.

- Pamiętam - powiedziała z pijackim uśmiechem.

- Naprawdę? - zdziwiłam się ponownie. - Czytałaś?

- Osobiście przepisywałam.
- Zabronili ci zdradzać szczegóły?
- Teoretycznie tak, ale wiesz, jak to jest z osobami, które pracują wyłącznie na zastępstwo. Jesteśmy i nas nie ma.
- Czy mogłabyś mi więc podać źródło tych informacji?
- Naprawdę chcesz wiedzieć?
- Tak, choć w gruncie rzeczy chyba wiem, kto to był. Chciałabym tylko uzyskać od ciebie potwierdzenie.
- Dobrze - zgodziła się. - Powiem ci, czy masz rację. Rzuć nazwisko.
- Oliver Sprawie. - Nic jej to nie mówiło. - Pracował z moim mężem w Fenton & Friend. Oboje byliśmy pewni, że to on.
- Oliver Sprawie? - powtórzyła, przygryzając dolną wargę. - Nie, nie znam tego nazwiska.
- Były dwa takie nieprzyjemne teksty - wyjaśniłam. - Jeden w „Hello!” w kwietniu, a drugi w lipcu, w „Mail”.
- Pracowałam wtedy w tych pismach i mogę cię zapewnić, że to nie był ten facet.
- Jesteś pewna? - Skinęła głową. Nie wiedziałam, co o tym myśleć. - Byłam przekonana, że to on. To kto, jeśli nie Oliver?
- Powiem ci, pod warunkiem, że nie pobijesz tej osoby. Mogłabym mieć kłopoty.
- Przysięgam, że nikomu nic nie zrobię. Ale muszę wiedzieć.
- Dobrze. To była Lily Jago, redaktorka naczelna „Moi!”.

Wbiegłam na górę do mojego pokoju, przeskakując po dwa schodki i wystukałam numer Lily, wściekła i lekko podpita.

- Lily! - powiedziała, dusząc się z gniewu. - Chcę z tobą porozmawiać. Ja...
- Tu Lily Jago... - Włączyła się jej automatyczna sekretarka.
- Wiem, że tam jesteś, Lily. Podnieś słuchawkę.
- Dziękuję za telefon...
- Odbieraj, Lily! Słyszysz? Muszę z tobą porozmawiać!
- Wyjechałam na święta do St. Kitts... - Och, faktycznie. Zupełnie zapomniałam. - Wracam trzydziestego wieczorem.

Odłożyłam słuchawkę i patrząc przez okno, zaczęłam się nad tym wszystkim zastanawiać. Dlaczego Lily zrobiła to Peterowi? To proste. Ponieważ go nie lubi. Ale z drugiej strony mnie przecież lubiła. I powinna wiedzieć, że jeśli krzywdzi Petera, to robi

przykrość także i mnie. A poza tym zmyśliła sobie te złośliwe pseudorewelacje, żeby zaszkodzić Peterowi. Jak śmiała - pomyślałam z wściekłością. Jak śmiała! I po co to wszystko? Z dołu dobiegała muzyka i śmiechy. Przez głośne rozmowy przebiły się słowa piosenki:

Jest więcej pytań, niż odpowiedzi - śpiewał Johnny Nash. Przyznałam mu rację. *Im więcej się dowiaduję, tym mniej wiem.* To zupełnie tak, jak ja - pomyślałam. *Tak, im więcej się dowiaduję, tym mniej wiem.*

- Pokój niech będzie z wami - powiedział ksiądz w dzień Bożego Narodzenia. Zabiję ją - pomyślałam.

- Oto czas dobrej woli dla wszystkich ludzi... - Zabiję tę podstępą sukę. - Módlmy się... - Najchętniej wyrwałabym jej serce i nakarmiła nim Grahama, gdybym się nie obawiała, że mu zaszkodzi. A z Jennifer Aniston zrobiłabym kebab. Pierwsze czytanie było o ciężarnej Marii, narodzinach w stajence, dziecku w łachmanach. Myślałam, że zwymiotuję. Spojrzałam na małego Jezusa w żółtku i pomyślałam, że dość mam dzieci po całym tym roku. O Boże, z chóru rozległ się słodki sopran.

Pośrodku ponurej zimy... Nie, tylko nie to. *Wiały mroźne wiatry.* Łzy napływały mi do oczu. To była najbardziej ponura zima ze wszystkich. *Ziemia zamarzła na kość. Woda też.* Ten rok był bardzo ciężki. *Padał śnieg, coraz więcej śniegu.* Tam się wszystko zaczęło, w styczniu w Snows. *Coraz więcej śniegu pośrodku ponurej zimy dawno temu.* Purpurowe szaty księdza zamazały mi się przed oczami. Poczułam, że Katie ściska mnie za rękę. Nie mówiłam dzieciom, czego się dowiedziałam, one także nic by z tego nie rozumiały. Poza tym musiałam najpierw porozmawiać z Lily, a wracała dopiero za sześć dni.

Nijaki okres między świętami a Nowym Rokiem przeszedł w bolesnym zamieszaniu. Przyjechali moi rodzice i Sara, a dzieci naturalnie odwiedziły Petera. Prawie nic nie jadłam i wszyscy uważali, że źle wyglądam, ale przypisywali to rozwodowi. Jakaś dziwna resztką lojalności wobec Lily nie pozwoliła mi powiedzieć im prawdy. Trzydziestego wieczorem siedziałam sama, a w głowie kłębiły mi się różne słowa.

„Ona cię uwielbia, mamo. To widać”.

„Jesteś moją najlepszą przyjaciółką na świecie”.

„Jesteś dla niej ważna. Kocha cię”.

„Chcę dla ciebie jak najlepiej”.

Przyłożyłam do oka mały srebrny kalejdoskop i delikatnie go przekręciłam, obserwując kolorowe szkiełka układające się w fantastyczne kształty. Były skomplikowane, piękne i niemożliwe do zatrzymania na dłużej.

- Jest mroźno - stwierdziłam zdecydowanie następnego dnia w pracy.

- Siedem, sześć... Żle wygląda.

- Tworzy się masywny front polarno-morski.

- Pięć, cztery... Podobno to z powodu rozwodu.

- Już od dłuższego czasu.

- Widziałeś Sophie w *Question Time*?

- Mamy dużo czarnego lodu.

- Była fantastyczna. Dwa, jeden...

- A to może być niebezpieczne.

- Zero.

- Trzeba bardzo uważać.

Lily powinna uważać - pomyślałam ze złością, jadąc do niej wieczorem. Nie uprzedziłam jej o mojej wizycie, bo wolałam działać z zaskoczenia. Wiedziałam, że sylwester to jedyny wieczór w roku, kiedy nigdzie nie wychodzi. Maszerowałam King's Road, a zimny wiatr smagał mi policzki. Świąteczne światłojak paradne naszyjniki, huśtały się tam i z powrotem w porywach wiatru. Na wystawach sklepów królowała cynfolia i czerwone napisy o wyprzedazy, które przypominały otwarte rany. „Wielka redukcja” - obwieszczały. O, tak - pomyślałam. Wszystko się zgadza. Już ja zredukuję Lily do właściwych rozmiarów.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - ktoś zawołał.

Dla mnie nie będzie szczęśliwy. O nie, za sprawą Lily będę miała okropny Nowy Rok. Mijając Wellington Square usiłowałam uporządkować sobie wydarzenia mijającego roku. Szóstego stycznia byłam jeszcze szczęśliwą mężatką. Dziś, dzięki działaniom Lily, zostałam sama i nieszczęśliwa. To wszystko jej wina, stwierdziłam w duchu. I powiem jej to bez owijania w bawełnę.

- Witaj, Faith! - wykrzyknęła, gdy otworzyła przybrane girlandą drzwi. - Co za cudowna niespodzianka. Co się stało? - spytała, przyglądając mi się uważnie. - Jesteś... zdenerwowana?

- Jestem. I to bardzo. Przez ciebie.
- O czym ty mówisz? - spytała ze zdumieniem.
- Doskonale wiesz, o czym.
- Boże Narodzenie to zwykle trudny czas dla wszystkich - powiedziała. - Dam ci drinka.
- Nie, dziękuję - odmówiłam, idąc za nią do mieszkania. - Przyszłam dowiedzieć się prawdy!

W wielkim salonie Jennifer Aniston leżała na białej skórzanej sofie i oglądała w telewizji *Pana i jego psa*.

- Dlaczego nie jesteś bardziej opalona, Faith? - spytała nagle Lily. - Przecież dopiero co wróciłaś z Karaibów.
- Nigdzie nie wyjeżdżałam - oznajmiłam. - Zrezygnowałam.
- Dlaczego?
- Nie miałam ochoty, bo Jos, cudowny, wspaniały, genialny Jos, jak zwykle go określałaś, okazał się świnia pierwszej klasy.

Opowiedziałam jej o Becky i o dziecku. Mało nie się udławiła kanapką.

- Wielki Boże! - szepnęła. - Coś takiego! A wydawał się doskonały.

- Twoim zdaniem - syknęłam.
- Ach, rozumiem - powiedziała, kiwając głową. - Święta najwyraźniej się nie udały i teraz chcesz zwalić winę na mnie.

- Owszem, to twoja wina.
- Dlaczego? Z powodu Josa?
- Tak. Bez przerwy mi go zachwalałaś i namawiałaś, abym się z nim spotykała, twierdząc, że jest wyjątkowo atrakcyjny i że do mnie pasuje.

- Bo tak uważałam!
- Nie mogłaś mnie zostawić w spokoju, musiałaś się wtrącać?
- Zawiodłaś się na Peterze, więc chciałam, żeby twój nowy związek był udany.

- Och, Lily, robiłaś znacznie więcej. Prawie wyreżyserowałaś całą akcję. Manipulowałaś mną zza kulis, jakbyś miała w tym jakiś interes.

Przypomniałam sobie tę intrygantkę, służącą Despinę w *Cosi Fan Tutte*. Miała nieczne zamiary, tak samo jak Lily. Katie powiedziała, że Lily jest intrygująca. Tymczasem ona motała intrygi.

- Ubierałaś mnie w eleganckie ciuchy, siedziałaś z dziećmi, aranżowałaś moje zdjęcia z Josem dla „Moi!”, żeby wszyscy

widzieli, że jesteśmy razem, i w ogóle promowałaś go tak entuzjastycznie, jakby był najnowszą torebką Chanel. A ja przez cały czas czułam, że jest w nim coś pustego i złego.

- To po co się z nim spotykałaś? - spytała z irytacją. - W końcu to jest twoje życie. Mój Boże, jakaś ty naiwna.

- Wiedziałaś o tym. Znasz mnie od dwudziestu pięciu lat. Wiesz, że zawsze cię słucham i tym razem też tak było. Problem w tym, że tym razem przez cały czas konsekwentnie dawałaś mi złe rady.

- To po co się do nich stosowałaś?

- Bo byłam nieszczęśliwa i samotna po tym, co zrobił mi Peter.

- Peter zachował się skandalicznie - powiedziała ze złością.

- Naprawdę? Nie jestem pewna. W każdym razie takie stwierdzenie brzmi śmiesznie w ustach kobiety, która spotykała się z dziesiątkami żonatych facetów. Tak, Peter miał romans. Nie on jeden. Twierdziłaś, że nigdy się z tym nie pogodzę, tymczasem jakoś dałam sobie radę. A kiedy ci powiedziałam, że znów jesteśmy razem, byłaś przerażona i wściekła. Wtedy myślałam tylko, że dziwnie zareagowałaś, ale teraz rozumiem, że kryło się za tym coś więcej, niżby się wydawało na pierwszy rzut oka. Chciałaś, żebym się rozwiodła. To był twój cel od samego początku. Chciałaś, żebyśmy się rozeszli. Wykoncypowałam to sobie podczas świąt. Wszystko zaczęło się w Snows. „Uważam, że jesteś cudowna, że tak mu ufasz”. Tak powiedziałaś mi z tego, ni z owego, wrzuciłaś do rozmowy jak ostry kamień. I wtedy zaczęłam podejrzewać Petera. Wtedy wszystko się zmieniło. A ty podsyciałaś moje podejrzenia, potwierdzałaś moją niepewność, bo to ci odpowiadało. Pokazałaś mi artykuł o niewierności i poradziłaś, żebym znalazła tę stronę w Internecie. Mój Boże, nawet zapłaciłaś za prywatnego detektywa. Musiałaś być pewna, że dostanę dowody. Ale zachowywałaś się niebywale subtelnie. Udawałaś, że o nic go nie podejrzewasz; a jednocześnie robiłaś wszystko, żeby okazało się inaczej. Namawiałaś mnie, wbrew mojej intuicji, żebym spytała go o gumę do żucia i papierosy. I jak tylko się przyznał do tego jednego skoku w bok, błyskawicznie mnie osaczyłaś. Za każdym razem, kiedy chciałam pogodzić się z Peterem, przekonywałaś mnie, że powinnam zostać z Josem.

- Uważałam go za porządnego faceta. To nie moja wina, że nim nie jest.

- Nie, ale twoją winą jest to, że tak się zaangażowałaś. Gdybym cię nie słuchała, wybaczyłabym Peterowi. Niestety, posłuchałam. I będę tego żałować do końca życia. Zniszczyłaś moje małżeństwo! - krzyknęłam. - Byliśmy szczęśliwi, a teraz się rozwodzimy. I to wszystko przez ciebie!

Lily popijała szampana i przyglądała mi się z dobrotliwą pogardą.

- Oszukujesz sama siebie, idiotko - oznajmiła spokojnie. - Wcale nie byliście szczęśliwym małżeństwem.

- Właśnie że byliśmy! Bardzo. Pod każdym względem. Byłam bardzo szczęśliwa z Peterem.

- I potwornie znudzona. Tak, Faith. To nie dało się ukryć. Marzyłaś o jakiejś zmianie.

- Co ty możesz o tym wiedzieć? Nigdy nie byłaś mężatką.

- Wiem, co widziałam. Byłaś znudzona własnym małżeństwem. Peter też. To było wyraźnie widać. Myślałam, że ci pomogę. Przypuszczam, że także byłabym znudzona życiem z tym samym facetem przez piętnaście lat. Z tymi nudnymi wyprawami do Ikei, z nudnym za małym domem i z twoimi nudnymi żalonymi fantazjami seksualnymi, na temat których żartowałaś, ale, jak słusznie twierdził Freud, nie ma czegoś takiego, jak żarty-

- Kochałam Petera. Byliśmy szczęśliwi - upierałam się.

- Akurat. Sama mi mówiłaś, że nie spaliście ze sobą od roku. Wolałaś spać z psem.

- I co z tego? Lubię sypiać z moim psem. Ty też śpisz ze swoim. Poza tym Peter miał trudności w pracy, a ja, jak sama wiesz, pracuję w nieludzkich godzinach.

- Byliście oboje sfrustrowani. Nuda wyłaziła z was wszystkimi porami. Pamiętasz tę dziwną mowę w restauracji, w której Peter określił rocznicę małżeństwa jako kamień młyński? Więc nie wciskaj mi kitu, że byliście szczęśliwi, boja dobrze wiem, że to nie jest prawda.

- Jest.

- Nie jest.

- Jest.

- Nie jest.

- Co ty o tym wiesz?

- Gdybyś była naprawdę szczęśliwa, idiotko, nie słuchałabyś moich rad.

Jej szokująca logika sprawiła, że zaniemówiłam.

- Gdybyś była taka szczęśliwa, jak twierdzisz, to kazałabyś mi się odczepić.

- Żałuję, że tego nie zrobiłam.

- Stoisz i obrzucasz mnie wyzwiskami, i nadal nie rozumiesz, że zawsze chciałam dla ciebie jak najlepiej.

- Cały czas to powtarzasz, a moim zdaniem zwyczajnie kłamiesz.

- Mówię prawdę.

- Bezcelnie kłamiesz. Gdybyś naprawdę dbała o moje dobro, nie sprzedawałabyś gazetom wrednych plotek o moim mężu.

- Lily zastygła z kieliszkiem szampana w drodze do ust. - To byłaś ty - pow iediałam. Strzepnęła nieistniejące okruchy ze spodnicy. - Ty, prawda?

- O czym ty mówisz? - spytała rozdrażniona.

- Ty podałaś te bzdury do gazet.

- Posłuchaj, Faith, ja...

- Nie wypieraj się, bo wiem o tym z pewnego źródła. A w dodatku wysłałaś sobie te plotki z palca. Złośliwe spekulacje, które miały zdyskredytować Petera i przyspieszyć nasz rozwód. Przez długi czas podejrzewałam Andie, a potem Olivera z dawnego wydawnictwa Petera. Ale mimo wszystkich twoich dziwnych zachowań nigdy nie przyszłoby mi do głowy, że to mogłaś być ty. Bo jesteśmy najlepszymi przyjaciółkami, prawda? Od dwudziestu pięciu lat.

- Ja... - Lily najwyraźniej zabrakło słów. Poza tym nie pozwoliłam jej nic powiedzieć.

- Dlaczego to zrobiłaś? Naprawdę chciałabym wiedzieć. Co ja ci takiego zrobiłam, że zasłużyłam na twój gniew? Jaka krzywdę ci wyrządziłam, że czułaś się usprawiedliwiona w swoich działaniach przeciwko mnie? Wiem tylko, że wszystko zaczęło się podczas tej rocznicowej kolacji. Coś się wtedy stało... Mam! - wykrzyknęłam nagle. *Otello*. O to chodziło? Niechący wspomniałam o tej sztuce. Nietaktownie przypominałam ci o sytuacji, kiedy nie wygrałaś. To zawsze był twój słaby punkt, prawda? I tego wieczoru postanowiłaś mnie ukarać.

- Nie bądź śmieszna. Jakby mogło mnie to obchodzić po osiemnastu latach.

- To czym się kierowałaś? Muszę to wiedzieć. Nie wierzę w te bzdury, że robiłaś to dla mojego dobra, gdy niszczyłaś moje

małżeństwo i karierę Petera. I dlaczego tak bardzo go nie lubisz? Przecież nigdy nie zrobił ci nic złego.

- Tu się mylisz! Zrobił mi wielką przykrość.

- W jaki sposób?

- Są rzeczy, których nie wiesz o swoim mężu - wyjaśniła piskliwym głosem. - Nie masz pojęcia, co usiłował mi zrobić. Tak, są sprawy, o których nic nie wiesz - powtórzyła głośno. - A ja się o nich dowiedziałam w zeszłym roku.

- O czym? - spytałam ze zdumieniem. - O czym ty, do diabła, mówisz?

- Powiem ci - stwierdziła spokojniej i usiadła. - W listopadzie, ponad rok temu - zaczęła nerwowo - byłam na obiedzie z wydawcą „Moi!”, Ronnie Keatsem. Z tym facetem, którego poznałaś na meczu polo.

- Pamiętam. Ale co to ma wspólnego z nami?

Oddechnęła głęboko, jakby coś ją bolało.

- Pracowałam w „Moi!” dopiero od miesiąca, kiedy Ronnie powiedział mi tę okropną rzecz. Nie powinien był tego robić. - Lily oddychała przez nos, a w jej oczach pojawiły się łzy. - Powiedział mi - zaczęła drżącym głosem - że kiedy rozważano moją kandydaturę na naczelną redaktorkę „Moi!”, spytano o zdanie czterech osób. Jedną z nich był Peter.

- Wiem.

- Ronnie na ogół za dużo mówi, a wtedy w dodatku trochę wypił i powiedział... - Wyciągnęła chusteczkę z pudełka. - Że jedna z tych osób wystawiła mi bardzo złą opinię.

- Tak?

- I że w związku z tym odbyła się poważna dyskusja, czy w ogóle powinnam dostać to stanowisko.

- Tak?

- Podobno mało brakowało, abym go nie dostała. Peter nigdy mnie nie lubił i wiedziałam, że to musiał być on.

- Ale dostałaś tę pracę.

- Prawie nie dostałam!

- I winisz za to Petera?

- Tak!

- Rozumiem. Dlatego zaplanowałaś zemstę.

- Tak - warknęła, wstając. - Tak. Postanowiłam, że odpłacę mu pięknym za nadobne. W życiu jest się albo ofiarą, albo zwycięzcą. A ja jestem zwycięzcą.

Chciało mi się śmiać.

- Zupełnie zwariowałaś - powiedziałam spokojnie i wstałam.
- Jesteś głupia, zła i żałosna.

- Nie jestem głupia - prychnęła.

- Jesteś wariatką. Nadajesz się do zakładu.

- Nie rozumiesz, Faith? To był szczyt mojej kariery. Pozycja naczelnej redaktorki „Moi!” była dla mnie najważniejszym osiągnięciem życiowym. Walczyłam o coś takiego latami. Musiałam pokazać tym głupim krowom ze szkoły. Pamiętasz, jak się ze mnie wyśmiewały, kiedy mówiłam, że będę wydawać luksusowe pismo? Śmiały się ze mnie te bogate dziewczynki w drogich ciuchach ze swoimi kucykami, z mamusiami i tatusiami. I wtedy sobie pomyślałam, że im pokażę. I pokazałam. Ja się śmieję ostatnia. A później się dowiedziałam, że Peter o mało mi wszystkiego nie popsuł.

- I tu się mylisz.

- To prawda - upierała się. - To był on.

- Nie.

- Mówię ci, że tak!

- Jaki masz dowód?

- Przestań, Faith. Nie potrzebuję dowodów. Peter nigdy mnie nie lubił, więc to musiał być on. Bo kto inny?

- Jedna z pozostałych trzech osób. Ponieważ dokładnie wiem, co Peter powiedział Ronniemu o tobie. Mam ci powtórzyć, Lily? Chcesz wiedzieć? Nie pamiętam, oczywiście, dokładnie jego słów, ale mówił o wielkim talencie, poświęceniu i pracowitości. Ach, tak, wspomniał też o twojej genialnej wyobraźni i cudownych zdolnościach redakcyjnych. Chwalił twój wspaniały intelekt i twoją wiedzę oraz mówił, że świetnie piszesz. Nie pozwolił mi o tym nikomu opowiadać, bo to wszystko było poufne, ale taką właśnie wystawił ci opinię. - Lily spoglądała na mnie osłupiała, jakbym mówiła do niej w obcym języku. - Pomyliłaś się, Lily - powiedziałam cicho. - Peter wyrażał się o tobie w samych superlatywach. - Wpatrywała się we mnie zaszokowana, nawet nie mrugając oczami. Potem jeszcze szerzej otworzyła oczy i położyła dłoń na ustach.

- Cholera - mruknęła.

- Wybrałaś złą osobę.

- Ja...

- Głupio ci teraz, co?

- Ja... Nie rozumiem -jęknęła. - Byłam pewna...
- Myliłaś się.
- Wiem, że Peter mnie nie lubi. Dlaczego miałyby mnie chwalić?
- Bo jego osobiste sympatie i antypatie nie mają wpływu na opinię o twojej pracy.
- Nie rozumiem - powtórzyła.
- Szkoda. Nie możesz zrozumieć, że Peter nie potrafiłby kłamać na temat twoich zdolności zawodowych. Przypuszczalnie dlatego, że niektórzy ludzie, może nawet i ty, nie mieliby skrupułów. Ale Peter zawsze mówi prawdę.
- Och - mruknęła i opadła na krzesło. - Niech to szlag! - Wyglądała na zbulwersowaną swoją potworną pomyłką. - Byłam absolutnie pewna, że chodziło o niego - wychrypiała. - Byłam o tym przekonana, byłam...
- Raczej dostałaś jakiejś obsesji - przerwała. - A wszystko opierałaś na złudzeniach. Na idiotycznym nieporozumieniu. A teraz przez ciebie ja już jestem prawie rozwiedziona, a Andie będzie miała dziecko z Peterem.
- Posłuchaj, Faith...
- Będzie miała to dziecko zamiast mnie. Planowaliśmy z Peterem jeszcze jedno dziecko, ponieważ znów się w sobie zakochał. Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, jak bardzo go kocham. A teraz, przez ciebie, wszystko się skończyło, a nasz rozwód za tydzień się uprawomocni. - Słyszac mój podniesiony głos, Jennifer Anniston zaczęła szczekać. - Andie będzie miała moje dziecko, a ja zostanę z tą świadomością na resztę życia. Mam nadzieję, że jesteś usatysfakcjonowana! - wrzasnęłam. Rozboleło mnie gardło. - Żebyś nie wiem, jak się starała, nie mogłabyś mi bardziej zaszkodzić.
- Poczekaj...
- Wszystko przepadło - powiedziałam. Łzy spływały mi po twarzy. - Wszystko się rozpadło.
- Posłuchaj, Faith...
- To jest po prostu tragiczne - załkałam i zasłoniłam twarz rękami.
- Muszę ci coś powiedzieć.
- Nie chcę tego słuchać! - krzyknęłam. - Już mi niczego nie mów! Mam cię dość, Lily!
- Ale to ważne.

- Hau hau.

- Zamknij się, Jennifer - powiedziałam. - Ty mały tłusty... gargulcu!

- Faith! - zawołała Lily. - Ona wcale nie jest tłusta!

- Właśnie, że jest. Jest tłusta, bo cały dzień siedzi na włocho-
tym tyłku, napycha sobie wstrętną gębę kanapkami i marzy o Gra-
hamie.

- No, wiesz, Faith! To nie było miłe.

- Nic mnie to nie obchodzi. Miałam do ciebie zaufanie i co
mi z tego przyszło? Ufałam ci bardziej niż własnemu mężowi
i teraz za to zapłacę.

- Hau hau.

- Zamknij się, Jennifer! - warknęła Lily. - A ty posłuchaj, Faith.

- Nie. Już nigdy cię nie posłucham.

- Hau hau.

Lily ruszyła w moją stronę, brnąc bosymi stopami w poro-
kładanych wszędzie pismach.

- Jest coś...

- Spadaj! Daj mi spokój! Nie chcę niczego wiedzieć. Jesteś
wstrętna, Lily, wstrętna. Jesteś mściwa i pusta. I w dodatku strasz-
na snobka.

- Nie jestem snobką!

- Owszem, jesteś. Nawet nie latasz liniami Qantas, bo uwa-
żasz, że to nie dość eleganckie.

- Nieprawda! Ale posłuchaj...

- Masz obsesję. „Moi!” to jesteś ty w każdym calu. Twoja
mantra to nie „Om, om, om”, lecz, ja, ja, ja”. A te twoje wszystkie
horoskopy są gównem. Jedynie twój znak do ciebie pasuje,
prawda? Jesteś skorpionem i faktycznie masz żądło w ogonie.
Naprawdę ranisz ludzi. Wiesz o tym? Przysparzasz ludziom nie-
potrzebny ból. Tak, Lily, nic cię nie obchodzą inni, bo liczysz
się tylko ty, prawda? I ciągle chcesz być najlepsza.

Twarz Lily, na której przedtem malował się wyraz skruchy
i niepokoju, nagle się zmieniła. Idąc w moją stronę, niechcący
stała na śliskiej okładce pisma i gwałtownie przewróciła się,
uderzając głową w błyszczący komin z białego marmuru.

- Boże! Lily! Lily!

- Hau hau.

Jennifer Aniston zeskoczyła z kanapy i zaczęła obwąchiwać
nieruchomą postać swojej pani.

- O Boże! - krzyknęłam spanikowana. - Boże! - wołałam, klepiąc ją po rękach. - Boże! Lily! - powtarzałam bez skutku. - Boże! Lily! Lily, odezwij się!

Usiłowałam wyczuć jej puls, a potem rzuciłam się do telefonu i wykręciłam 999.

- Moja przyjaciółka poślizgnęła się, uderzyła w głowę i... - Ledwo mogłam oddychać. - Wydaje mi się, że nie żyje.

Pięć minut, które spędziłam przy nieprzytomnej Lily, były najdłuższe w moim życiu. W końcu usłyszałam dźwięk syreny, a niebieskie refleksy odbiły się na ścianach i suficie, oświetlając pulsującym światłem nieruchomą twarz Lily. Kiedy pędziliśmy karetką małymi uliczkami Chelsea, usłyszałam, że Big Ben wybija dwunastą. Nagle przez zaciemnione okna zobaczyłam wybuchające jak gwiazdy fajerwerki.

- Minęła północ - powiedział sanitariusz. W milczeniu skinęłam głową i rzuciłam mu ponury uśmiech. - Koniec starego roku i tak dalej. Życzę pani wszystkiego najlepszego w Nowym Roku - dodał.

Styczeń

Szcześliwego Nowego Roku - życzyła mi sympatyczna pielęgniarka. Uśmiechnęłam się do niej przez łyżę i spojrzałam na Lily, która już od trzech godzin leżała nieprzytomna.

- Proszę cię, Boże - modliłam się - żeby Lily wyzdrowiała. Zrobię wszystko, jeśli wyzdrowieje. Będę regularnie chodziła do kościoła, będę dawać pieniądze na biednych, mogę nawet zostać dobrą matką chrzestną dla dziecka Andie, tylko niech Lily nie umrze.

Życie Lily zawieszono było na nitce, a raczej na czterech przewodach podłączonych do dwóch monitorów, które popiskiwały z boku.

Pielęgniarka zdjęła kartę Lily z poręczy łóżka i coś zaznaczyła w dwóch miejscach.

- Jakieś zmiany? - spytałam nerwowo.

Potrząsnęła głową zaciśniętymi ustami. Spoglądając na śpiącą twarz Lily, przypominałam sobie ostatnie trzy godziny: jazdę do

szpitala, bieg na oddział reanimacyjny, promienie światła, którymi lekarze świecili w oczy Lily, postukiwanie w jej kolana. Alarmująca wzmianka o rezonansie magnetycznym mózgu i wreszcie przewiezienie Lily na oddział na czwartym piętrze.

Byłam wykończona stresem i brakiem snu, a mój pęcherz o mało nie pękł, spytałam więc pielęgniarkę, czy pobędzie chwilę z Lily, żebym mogła pójść do ubikacji. Drogę w obie strony przebiegałam biegiem, z obawą graniczącą z histerią, że Lily umrze, kiedy mnie przy niej nie będzie. Podczas biegu po niebieskim linoleum odnotowałam lekki zapach środków dezynfekujących, kolorowe obrazki na ścianach, odgłos odległego chrapania i cichy dzwonek telefonu. A kiedy byłam już blisko osłoniętego parawanem łóżka Lily, usłyszałam głos siostry:

- Perrier? - spytała zdumiona.

- Ta-ak... Perr-ie-r - jęknęła Lily. - Perr-ie-r - powtórzyła słabym głosem. Odsunęłam skrzydło parawanu.

- Chce pani wody, Lily? - zapytała pielęgniarka. - Prosi pani o wodę? - Przyłożyła do ust Lily specjalny kubek z dzióbkiem, ale Lily nadal miała zamknięte oczy.

- Perr-ie-r - mruknęła. - Chcę perr-ie-ra.

- Daję pani wodę. Proszę.

- Nie, perrier - powtórzyła Lily rozkazującym tonem.

Siostra spojrzała na mnie i wzruszyła ramionami.

- Zwykła woda powinna wystarczyć, nie sądzi pani? Dobrze, Lily, z gazem czy bez gazu?

- Nie, nie woda, perrier - krzyknęła Lily i w końcu zrozumiałam.

- Ona chce laurenta perriera! - zawołałam. - To jej ulubiony szampan. - Czy chcesz laurenta perriera, Lily? - spytałam, biorąc ją za rękę. Przyniosę ci, jeśli masz ochotę. Przyniosę ci całą butelkę. - Przyniosę ci wielką butelę, tylko się obudź. Lily, słyszysz mnie? To ja, Faith - dodałam z rozpaczą. - Wiesz, kim jestem? - Lily zamrugowała i otworzyła oczy.

- Och - jęknęła, koncentrując na mnie wzrok, a potem podniosła lewą rękę i dotknęła zabandażowanej głowy. - Och - mruknęła ponownie. Zamknęła oczy i nagle szeroko je otworzyła, jakby się czymś przeraziła. - Boże, Faith, tym razem przesadziłam.

- Lily! - wykrzyknęłam, łapiąc ją za rękę. - Dzięki Bogu, że nic ci nie jest. Przepraszam, że na ciebie krzyczałam. To moja wina, że uderzyłaś się w głowę - dodałam.

- Nie, to ja cię przeproszam - wychrypiała z trudem. Razem z pielęgniarką pomogłyśmy jej usiąść. - To moja wina - stwierdziła niewyraźnie. - Wszystko mi się pomyliło.

- Gdybym na ciebie nie krzyczała, to byś się nie przewróciła. Poślizgnęłaś się na „Vogue'u”.

- Vogue! -jęknęła, przewracając oczami. - To mnie zupełnie nie dziwi. Podam ich do sądu. Posłuchaj, Faith, muszę ci coś powiedzieć - dodała niespokojnie.

- To nie ma znaczenia.

- Ma - nalegała. - Problem polega jedynie na tym, że zapomniałam, co to miało być. Wiem, że coś ważnego, ale... Mam!

- Naprawdę, Lily, zapomnijmy o wszystkim, dobrze?

- Nie, widzisz...

- Wcale się nie przejmuję - powiedziała. - Naprawdę. Cieszę się, że nic ci nie jest.

- To o niej - szepnęła.

- O kim?

- O madame Ovary. O Andie - wyjaśniła.

- Co takiego?

Lily odetchnęła powoli, a potem spojrzała na mnie.

- Nie jest w ciąży - oznajmiła.

- Słucham?

- Andie nie jest w ciąży - powtórzyła.

- Co?

- Jej brzuch jest pusty.

- Doprawdy? Och. - Ponieważ byłam zaszokowana, znów powiedziałam: - Och. Skąd wiesz?

- Bo trzy tygodnie temu byłam na przyjęciu w Savoyu. Poszłam do toalety i zastałam tam Andie, która wyciągała tampax z automatu.

- Aha. Rozumiem. Może dla kogoś?

- Wątpię. Miała głupi wyraz twarzy, kiedy się zorientowała, że ją widziałam.

- Jesteś pewna, że to była ona?

- O, tak. Nigdy jej nie widziałam, ale wiem, jak wygląda. To była ona - upierała się Lily.

- I uważasz, że nie jest w ciąży? - spytałam niepewnie.

- Tak, to właśnie chciałam ci przedtem powiedzieć.

- Chwileczkę, Lily - powiedziałam z bijącym sercem. - Dlaczego, u diabła, nie powiedziałaś mi tego wcześniej?

- Dlaczego nie powiedziałam ci wcześniej? - powtórzyła jak echo, patrząc przed siebie. - Ponieważ jestem wstrętą babą. Dlatego.

- Wiedziałaś o tym w połowie grudnia? - Lily skinęła głową. - I nic mi nie powiedziałas? - Znowu skinęła głową. - Zatrzymałaś to dla siebie?

- Przepraszam, Faith - szepnęła, bawiąc się szpitalną opaską na rękę. - Powinnam była ci powiedzieć.

- Oczywiście, że powinnaś! - wykrzyknęłam.

- Wmawiałałam sobie, że to nie ma znaczenia, bo byłaś z Jensem.

- Ale wiedziałaś przecież, że nie byłam z nim szczęśliwa.

- Tak - mruknęła pod nosem. - Wiedziałam.

- I wiedziałaś, że chciałam być z Peterem.

- Tak, to prawda - wyjąkała.

- I wiedziałaś, że jedynym powodem, dla którego nie mogliśmy być razem, była ciąża Andie.

- Tak, masz rację - jęknęła.

- Nie rozumiem, jak mogłaś zrobić coś tak podłego i perfidnego.

Jej wielkie brązowe oczy wypełniły się łzami.

- Przepraszam, Faith - wyszeptała, biorąc mnie za rękę. - Naprawdę wściekłam się na Petera. Dopiero kiedy mi wytłumaczyłaś, jaką cudowną opinię mi wystawił, zrozumiałam swój straszny błąd. Usiłowałam powiedzieć ci o Andie, ale nie chciałaś słuchać i wtedy się przewróciłam.

- To znaczy, że Andie nie jest w ciąży. - Zalała mnie fala euforii i mój gniew się ulotnił. - Ty żyjesz! - wykrzyknęłam - A Andie nie będzie miała mojego dziecka. Bóg jednak istnieje - stwierdziłam ze zdumieniem i w końcu się rozpłakałam.

- Przepraszam - mruknęła Lily. Zmarszczyła czoło ze zdenerwowania, a na brodzie pojawił jej się dołeczek niepokoju. - Naprawdę przepraszam. - Dwie duże łzy spłynęły jej po policzkach. Podała mi chusteczkę, drugą wzięła sobie. - Byłam taka pewna, że to Peter, wściekła i...

- Miałaś obsesję.

- Przepełniała mnie totalna niechęć do niego - przyznała.

- Czułaś się skrzywdzona.

- Tak, ale wiesz, że moja kariera jest dla mnie wszystkim.

- Postanowiłaś ukarać Petera za wymyśloną krzywdę, a tymczasem ukarałaś mnie. Och, Lily, wyrządziłaś tyle zła - powiedziałam ze smutkiem.

- Tak, wiem. - Pociągnęła nosem. - Zrobiłabym wszystko, żeby to naprawić, ale nie wiem jak.

- Ja wiem - oznajmiłam nagle, wycierając oczy. Przełknęłam łzy i spojrzałam na zegarek. Było wpół do piątej. - Chcę, żebyś zadzwoniła do Petera. Teraz, w tej chwili. Zadzwoni i powtórz to, co mi powiedziałaś.

- O tej porze? - spytała z niepokojem.

- Pora nie ma znaczenia. Peter chciałby wiedzieć.

- Nie mam przy sobie komórki.

- Jest telefon szpitalny.

- No, dobrze - zgodziła się. - Przynieś. - Przywiozłam aparat telefoniczny na wózku, włączyłam do gniazdka i wrzuciłam kilka monet dziesięciopensowych. Wykręciłam numer komórki Petera i podałam słuchawkę Lily. Odetchnęła głęboko.

- Halo, Peter, mówi Lily. Tak, wiem, że jest środek nocy. Ale posłuchaj, nie, nie, nie, proszę cię, zaczekaj. Jest coś, o czym powinienś wiedzieć... - Rozmowa nie trwała nawet minuty, a potem Lily podała mi słuchawkę.

- Faith? - powiedział Peter głosem łamiącym się z emocji i ze zmęczenia. - Jesteś tam, Faith?

- Tak, skarbie.

- Wracam do domu. Daj mi czterdzieści osiem godzin.

- Szczęśliwego Nowego Roku! - powiedział do mnie dwa dni później kioskarz.

- Nawzajem! - odparłam, biorąc egzemplarz „Maila”.

- Ma pani nowego psa? - spytał, patrząc na Jennifer Aniston.

- Nie, opiekuję się nią, bo jej mamusia jest w szpitalu.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Nie, choć z drugiej strony - dodałam po namyśle - to się może rozwinąć w coś poważniejszego.

- Długo będzie w szpitalu?

- Tyle, ile będzie mogła - odparłam. Kioskarz spojrzał na mnie pytająco, ale nie miałam czasu na wyjaśnienia. Lily odmówiła wyjścia ze szpitala. A ja wiedziałam dlaczego.

- Ciagle mam... bóle głowy - powiedziała przystojnemu neurologowi, doktorowi Walkerowi, kiedy ją później odwiedziłam. Pielęgniarka spojrzała na nią podejrzliwie.

- Zrobiliśmy pani wszystkie badania, Lily - odpowiedział doktor Walker, sprawdzając jej temperaturę. - Miała pani poważne wstrząśnienie mózgu, teraz jednak uważam, że można już panią wypisać do domu.

- O nie! - zawołała lekko spanikowana. - Jestem pewna, że powinnam być pod obserwacją. Czy nie mogłabym tu zostać jeszcze na jedną noc?

- Jest tu pani już od trzech dni.

- Proszę.

- Niech będzie, w końcu ma pani prywatne ubezpieczenie - zgodził się. - Ale jutro panią wypiszemy.

- A jeśli mi się pogorszy? - spytała z nadzieją.

- Na pewno się pani nie pogorszy.

- Może mam permanentnie uszkodzony mózg? - pytała radośnie.

- To mało prawdopodobne.

- Czy mogę wrócić na leczenie ambulatoryjne? - zapytała z desperacją, gdy lekarz zbierał się do wyjścia.

- To nie jest konieczne.

- Muszę mieć regularne badania kontrolne - powiedziała.

- Dobrze - zgodził się. - Przyjmę panią jeszcze raz.

- Może mógłby mnie pan zbadać w czasie kolacji - zaproponowała. - U mnie w domu. To blisko King's Road.

- Och - powiedział, kiedy wreszcie zrozumiał. - To kusząca sugestia, ale będę się musiał zastanowić ze względu na etykę zawodową. Nawiasem mówiąc - dodał, wskazując na torbę podróżną dla psów od Louisa Vuittona, którą przemyciłam na prośbę Lily. - Na pewno pani wie, że tu nie wolno przyprawdzać psów.

Lily uśmiechnęła się ze skruchą.

- Wiem - odparła, rozpinając torbę. - Ale ona przyszła tylko z wizytą, prawda, moja słodka? Przy niej czuję się lepiej - wyjaśniła, wyjmując prychającą Jennifer z torby.

- Moja matka ma psa tej rasy - oznajmił zniecierpliwiony doktor Walker.

- Naprawdę? - wykrzyknęła podekscytowana Lily.

- Pokazuje go na wystawach w Crufts.

- Naprawdę? - Lily była niezmiernie uradowana. - Myślałam o pokazaniu Jennifer. Jej imię rodowodowe to Złośliwa Fantazja. Ojcem był najlepszy reproduktor. Czyż one nie są cudowne? - spytała entuzjastycznie, gdy tymczasem Jennifer obrzuciła lekarza podejrzliwym spojrzeniem.

- Mhm, tak - przyznał niechętnie. - Jeśli ktoś lubi ten rodzaj psów. Nie sądzę jednak, aby mogła ją pani pokazać w tym roku, bo chyba zdaje sobie pani sprawę z tego, że jest szczenna.

Lily przyłożyła elegancko wymanikiurowane dłonie do ust, a potem popatrzyła ze zdumieniem na psa.

- Moja matka kiedyś je hodowała - wyjaśnił doktor Walker. - Nie mam wątpliwości. - Szturchnął Jennifer, która posłusznie przewróciła się na grzbiet, i kiedy długie jasne włosy rozdzieliły się, zobaczyliśmy wyraźne wybrzuszenie.

- Oszczeni się mniej więcej za miesiąc. Była pokryta?

- O, tak, ma ubezpieczenie na życie.

- Chodzi mi o to, czy zaaranżowała pani spotkanie z psem?

- Nie. Jennifer! - powiedziała ostro Lily. - Jak mogłaś? Ty rozpustnico! - Spojrzała na mnie. - To nie był Graham, co?

- Na pewno nie.

- To się musiało stać, kiedy mi uciekła w grudniu. - Lily przewróciła oczami. - Poszła aż do King's Road. Tak, tak. panno Jennifer Aniston - powiedziała z naganą w głosie, kiwając palcem.

- Poszłaś na całość. Bóg wie, jak będą wyglądać - dodała przerażona. - Wątpię, żeby Jennifer znalazła sobie psi odpowiednik Brada Pitta. O Boże! - jęknęła. - To będą kundle.

- Mieszkańce - poprawiłam ją. - Nie ma w tym nic złego.

- Mogą wyglądać okropnie - stwierdziła. Zachowałam dyplomatyczne milczenie. - To mogą być niesłychanie brzydkie psy, Faith. Z drugiej strony - mówiła dalej podniecona, jakby nagle otworzyły się przed nią nowe możliwości - mogłabym zamieścić jej zdjęcie w piśmie. Tak, oczywiście! - zawołała, sięgając po komórkę. - Już to widzę: Jennifer, naga i szczenna, na okładce „Moi!” Jeśli Demi Moore mogła to zrobić, to dlaczego nie Jennifer Aniston? Tak, zaplanuję to na kwiecień, poświęcimy cały numer psom i nazwiemy go „Dogue”. Znajdę kogoś dobrego do zdjęć - dodała z przejęciem, wystukując numer. - Halo? Polly? Posłuchaj, mówi Lily. Chcę, żebyś zamówiła Johna Swannella.

- Niech się pani tak nie podnieca - ostrzegł ją spokojnie doktor Walker. - Wpadnę po obiedzie.

- O tak, bardzo się cieszę - stwierdziła z anielskim uśmiechem. - Niech pan wpada, kiedy pan tylko chce. Nie sądzisz, że on jest fantastyczny, Faith? - spytała, gdy doktor Walker wyszedł.
- Skinęłam głową. Był rzeczywiście bardzo przystojny i dość miły.
- I pomyśleć tylko, że poznałam takiego wspaniałego mężczyznę dzięki temu, że rozwaliłam sobie głowę - powiedziała z zadowoleniem. - A co u Petera? Co się z wami dzieje?
- Jutro wraca do domu.
- Masz jakąś luksusową nocną bieliznę? - spytała z niepokojem.
- Chyba nie będzie mi potrzebna - odparłam z uśmiechem.

Następnego ranka wstałam o wpół do czwartej, wzięłam prysznic, uperfumowałam się moim nowym cudownym zapachem Cest La Vie! i cała szczęśliwa wylądowałam w pracy kwadrans po czwartej.

Zapowiada się ładny dzień - powiedziałam do siebie, przeglądając mapy pogody.

- Zapowiada się piękny dzień - oznajmiłam entuzjastycznie, zaczynając o wpół do dziewiątej prognozę pogody.
- Co ona mówi? Jest strasznie zimno.
- Temperatura rośnie.
- Bzdura. Jest minus dwa.
- Mimo iż istnieje sześćdziesiąt procent szans na deszcz.
- Osiem, siedem...
- Ale cóż to jest odrobina wody?
- Sześć, pięć...
- Jeśli zaś chodzi o deszcz...
- Dwa, jeden...
- ...bez deszczu nie byłoby tęczy, prawda?
- Ona coś zażywa?
- Proszę się zatem ciepło ubrać, zabrać na wszelki wypadek parasol i cieszyć się kolejnym dniem.

- Zero.

- Dziękuję, Faith - powiedział Terry. Tatiana uśmiechała się sztucznie, siedząc obok niego na kanapie. - Zawsze masz dobry humor. - Uśmiechnęłam się. - A teraz - powiedział, wracając wzrokiem do telepromptera - pomówimy o ważnej, choć kontrowersyjnej kwestii fluorowania wody do picia. Czy lokalne władze powinny mieć możliwości dodawania tej wątpliwej substancji do naszego

wompata liberała Clintona kremu do twarzy... - Terry przerwał, a potem spojrział podejrzliwie w kamerę, wyraźnie zaniepokojony.

- Ogólna prywatyzacja, neurologia, udręczone długości... ptaszki...
- Spróbował jeszcze raz, a potem zamilkł, szukając bezskutecznie jakiegoś sensu w dziwacznej mieszance słów, które pojawiały się na ekranie.
- Rozmiar piersi - przeczytał powoli, szarpiąc palcami kołnierzyk koszuli.
- Pufne zaangażowanie podatników, Livingstone chodnik lakier do włosów... - Patrzyłam z zadowoleniem, jak czerwony na twarzy Terry wije się na kanapie.

- Co tam się, do cholery, dzieje? - syknął mi do słuchawki Darryl. - Co ty robisz, Liso?

- Różowy helikopter babuni kubeł *Sąsiedzi*...

- To nie moja wina - jęknęła. - Wszystkie teksty się pomieszały.

Ignorując zamieszanie na galerii, spojrzałam nagle na Tatianę. Na jej ustach błąkał się mały uśmiezek.

- Ojej, Terry - wtrąciła. - Masz jakieś problemy.

- Ja...

- W twoim wieku to prawdopodobnie z powodu wady wzroku - stwierdziła z udawaną troską. - Powinieneś pójść do okulisty. A teraz przejdźmy do następnego tematu i radykalnie nowego podejścia do komunikacji miejskiej. Jest z nami w studiu Ken Livingstone, burmistrz Londynu, z którym będziemy rozmawiać o planach rozbudowy metra. Dzień dobry panu - powiedziała z lizusowskim uśmiechem. - Witamy w AM-UK!

Poleciałam na górę i zadzwoniłam do Sophie.

- Widziałas Terry* ego? - wy dyszałam.

- Tak. - Zachichotała. - Ale ubaw! Prawie go pożałowałam. A ty widziałas „Daily Mail”?

- Nie. Co tam jest?

- Ja! - Szybko złapałam egzemplarz gazety i przerzuciłam strony. Znalazłam wielkie zdjęcie Sophie w eleganckim garniturze, umieszczone pod tytułem: **RADOŚĆ DYKEA***

Sophie Walsh, wyrzucona niedawno z AM-UK!, po ogłoszeniu rewelacji z jej życia prywatnego, została kupiona przez BBC na podstawie umowy wartej dwieście tysięcy funtów rocznie. Na specjalne życzenie dyrektora generalnego Grega Dyke'a ujawniona lesbijka ma prowadzić nową wersję telewizyjną

* Gra słów: *dyke* jest potoczną nazwą lesbijki.

ny. Graham wskoczył między nas i leżał spokojnie z łbem na łapach.

- Kocham cię - powiedziałam, gładząc jedwabiste uszy psa.

- Ja też cię kocham.

- Mamusia i tatuś oboje cię kochają - powiedziałam. Graham westchnął z ukontentowaniem. Ubraliśmy się i zesłiśmy na dół. Peter otworzył szampana. Zaczęłam przygotowywać risotto. Kiedy mieszałam ryż, omówiliśmy wydarzenia ostatnich paru dni.

- Zadzwońska do swojego adwokata? - spytał Peter.

- Oczywiście. Przedwczoraj. Zostawiłam wiadomość na jego poczcie głosowej.

- A co będzie z *decree nisi*?

- Nic. We właściwym terminie możemy napisać do sądu, aby wyrzucili nasz wniosek o rozwód.

- Oliver odszedł z Fenton & Friend - poinformował mnie Peter, nakrywając do stołu.

- To dobrze.

- Fakt. Choć być może oczerniłem go bardziej, niż na to zasłużył. Myślałem, że ta wredna kampania prasowa była jego dziełem, ponieważ dowiedział się, że chcę przejąć ich firmę. W życiu nie przyszłoby mi do głowy podejrzewać Lily, bo wiedziałem, że nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zaszkodzić tobie.

- No, tak, ale ona wmówiła sobie, że jesteś prawdziwym antychrystem i że robiła wszystko dla mojego dobra. Uwierzyła, że zasługuję na to, żeby mnie uwolnić od nudnego pozbawionego perspektyw życia z tobą.

- Przez jakiś czas byłaś kobietą wyzwoloną.

- Tak, ale wolałam swoje stare życie. Lubię być nudna i małomiasteczkowa - dodałam, całując go - pod warunkiem, że jestem z tobą. Wybaczysz Lily? - spytałam, podkręcając gaz.

- Tak - odparł z namysłem. - Powiedziała, że bardzo jej przykro i że żałuje tego, co zrobiła. To mi wystarcza.

- A Andie? - zapytałam, dolewając bulionu. - Rzucała przedmiotami?

- Nie. Nie mogła sobie na to pozwolić, bo wiedziała, że wszystko skończone.

- Czy w ogóle była w ciąży?

- Nie, ale myślała, że jest. Nie miała dwóch okresów pod rząd i uznała to za pewny dowód. W gruncie rzeczy mnie nie oszukała. To chyba była cięża urojona.

- Myślałam, że zrobiła test ciążowy.
- Owszem, ale była tak podekscytowana całą sytuacją, że nie przeczytała dokładnie instrukcji i coś jej się pomyliło. Kiedy w grudniu okazało się, że nie jest w ciąży, nie potrafiła mi się przyznać. I tak bym się dowiedział, ale rewelacje Lily wszystko przyspieszyły.

Wypiliśmy już szampana i lekko szumiało nam w głowach. Risotto było gotowe. Peter umył sałatę, zrobił sos i otworzył butelkę dobrego sancerre. Gdy siedzieliśmy w kuchni, jedząc i rozmawiając, spojrzałam na niego w migoczącym świetle świecy i pomyślałam, że bardzo go kocham. Nigdy nie pokocham innego mężczyzny. Omal go nie straciłam, ale wrócił.

- Przeprowadzimy się, chcesz? - zaproponował Peter.
- Tak.
- Nowe życie?
- Mhm.
- Zupełnie nowy rozdział. Prawdziwy nowy początek.
- I szczęśliwe zakończenie.
- Tak myślę. Och, Faith, naprawdę mamy dużo szczęścia - dodał, odkładając widelec. - Mój Boże, cudem mi się udało.
- To prawda.
- Nie chciałem znów zachowywać się przyzwoicie pod presją okoliczności - powiedział ze śmiechem.
- Słucham?
- Nie chciałem znów zachowywać się przyzwoicie i działać pod presją okoliczności - powtórzył. - Z Andie.
- Co to znaczy „znów”?
Spojrzał na mnie ze zdziwieniem.
- Przecież wiesz.
- Nie, nie wiem.
- Owszem, wiesz - nalegał. Serce mi się ścisnęło. - Już raz zachowałem się przyzwoicie, kiedy miałem dwadzieścia lat i nie chciałem znów być do tego zmuszony.
- Co insynuujesz? - spytałam i gwałtownie poczerwieniałam.
- Niczego nie insynuuję. Mówię wprost.
- Co?
- Och, Faith - westchnął. - Tyle przeszliśmy. Dajmy sobie spokój.
- Nie - zaprotestowałam, obracając w palcach kieliszek. - Zrobiłeś aluzję do czegoś niezbyt... miłego.

- Posłuchaj, skarbie, oboje wiemy, że byłaś w ciąży, kiedy braliśmy ślub, choć, prawdę mówiąc, to nie było ważne. Udało nam się, byliśmy szczęśliwi, więc już to zostawmy.

- Uważam, że twoja uwaga była nie na poziomie.

- Przykro mi, ale taka była prawda.

- Wzięliśmy ślub, bo się kochaliśmy.

- Zgadza się, jednak głównym powodem, o ile pamiętasz, był trzeci miesiąc ciąży. Proszę, czy możemy zmienić temat? Mój żarcik najwyraźniej się nie udał.

- A więc to miał być żart, tak? - zawołałam. - Jak mówi Freud: „Nie ma czegoś takiego, jak żarty”. Teraz widzę wyraźnie, że przez całe lata miałeś mi to za złe.

- Przecież nie zamierzałem się żenić w wieku dwudziestu lat, ale też nie mogłem zostawić cię samej.

- To bardzo miło z twojej strony - powiedziałam ironicznie.

-I co, twoim zdaniem, powinnam być ci wdzięczna, tak?

- Wcale tak nie uważam.

- Naprawdę nie podoba mi się, że o tym przypominałeś, sugerując, że cię złapałam w pułapkę, a ty po prostu zachowałeś się przyzwoicie. Nie musiałeś o tym mówić akurat dziś, po takim trudnym roku, kiedy znów do siebie wróciliśmy i wszystko tak dobrze się zapowiadało.

- Nadal się zapowiada.

- Masz do mnie pretensję, że nie brałam pigułki, po której robiło mi się niedobrze. Wiesz, ja też musiałam się poświęcić, rezygnując ze studiów, wychowując dzieci, nie mając pieniędzy. Naprawdę nie wiem, dlaczego to powiedziałeś.

- Pewnie dlatego, że rzekoma ciąża Andie mi o tym przypomniała.

- Czuję się obrażona tym, co powiedziałeś i zaczynam mieć wobec ciebie negatywne odczucia. W końcu takie rzeczy się zdarzają, nawet dość często, a ja nie zrobiłam tego celowo i nie powinienem być mówić czegoś tak przykrego.

- Zapomnij o tym, dobrze? - poprosił, sprzątając ze stołu. - Nie przyszło mi do głowy, że to cię tak zaboli.

- Oczywiście, że mnie zabolalo. Oskarżyłeś mnie o podstępne i niehonorowe zachowanie. O to, że złapałam cię na dziecko. Może nawet dlatego miałeś romans z Andie, żeby mnie ukarać, ponieważ przez wszystkie te lata czułeś do mnie niechęć z tego powodu. Jak jednak wiesz, do tanga trzeba dwojga, a mnie raczej

nie przytrafiło się niepokalane poczęcie. Nie podoba mi się to, co powiedziałaś, boja też ostatnio dużo przeszłam.

- Może ty chciałaś romansu? - powiedział. - A może oboje go chcieliśmy? - Spojrzałam na niego, a potem odwróciłam głowę. - Może oboje chcieliśmy jakiejś zmiany, prawda, Faith?

- Chciałam - szepnęłam. - Masz rację. Przez dłuższy czas zastanawiałam się, czy by...

- Ja też. I się przekonałam. Ale to nas nie uszczęśliwiło, co?

- Nie - mruknęłam.

- A teraz jesteśmy szczęśliwi? - spytał.

Mój gniew wyparował.

- Tak - przyznałam ze łzami. - Jesteśmy. Ja jestem bardzo szczęśliwa - dodałam, gdy mnie przytulił.

- Ja też. Jestem szczęśliwy, bo mam ciebie. Nie złość się, skarbie, dobrze? - Skinęłam głową. - Znow jesteśmy razem. Jesteśmy razem - powtórzył. - Tym razem na zawsze - dodał. Spojrzałam na niego. - Wiesz, być może Lily, w pewnym sensie, wyświadczyła nam przysługę.

- Może - rzekłam z uśmiechem.

O wpół do czwartej następnego dnia wstałam z łóżka już po dwóch dzwoneczkach budzika. Peter jęknął przez sen i przewrócił się na drugi bok. Jakby nic się nie zmieniło - pomyślałam, patrząc na niego. Jakby nie było całego tego roku, jakby to wszystko mi się śniło. Myjąc się i ubierając, myślałam też o naszej rocznicy ślubu. Minęło szesnaście lat. Zostawiłam na poduszce kartkę z życzeniami, żeby znalazł od razu, jak się obudzi, uściskałam Grahama i poszłam do taksówki.

W pracy uśmiechnęłam się wesoło do kolegów i koleżanek, wypiałam, jak zwykle, podwójne espresso, a potem włączyłam komputer z tęczą na ekranie. To jest moja tęcza - pomyślałam. Była tu przez cały czas. Teraz mi się przypomniało, że tęczę widać, kiedy się stanie tyłem do słońca. Znow jestem szczęśliwa - pomyślałam. Znow widzę wyraźnie.

Rzuciłam okiem na pierwszą stronę „Timesa”, gdzie zobaczyłam krótką notkę o Lily.

Nowe lepsze „Moi!” - napisali z aprobatą. - Lily Jago, redaktorka naczelna „Moi!”, wystąpiła z apelem pod adresem wszystkich pism kobiecych, aby drukowały okładki na matowym papie-

rze, po tym, jak sama poślizgnęła się na okładce „Vogue'a” i omal nie przypląciła tego życiem. „Moi!” jako pierwsze pismo wprowadzi niepoślizgowe okładki - powiedziała Jago. Od przyszłego miesiąca „Moi!” będzie pierwszym matowym magazynem z górnej półki, choć nie straci wewnętrznego blasku.

Uśmiechnęłam się i przewróciłam stronę. Nagle zobaczyłam zdjęcie Rory'ego Cheethama-Stabba. „Zarzuty wobec specjalisty od rozwodów znanych ludzi”. Szybko przerzuciłam tekst. Rory Cheetham-Stabb... Reputacja rottweilera... Oskarżony o nieprofesjonalne zachowanie... Dlaczego? Co takiego zrobił? Podobno utrzymywał stosunki seksualne ze swoimi klientkami. O Boże! William Thompson złożył zażalenie do Izby Adwokackiej, twierdząc, że romans z jego żoną to jedno, a wystawianie mu rachunku za godziny spędzone z nią sam na sam to zupełnie co innego. Przejrzałam inne gazety. Brukowce miały o czym pisać. ADWOKAT WYKORZYSTUJE KLIENTKI - pisał ironicznie „Sun” cytując pana Thompsona, który powiedział, że odkąd płaci rachunki za rozwód, nie zamierza być podwójnie robiony w konia. Gazeta wyjaśniała, że sprawa miała być tego dnia rozpatrywana w Izbie Adwokackiej. Z jednej strony żał mi było Rory'ego Cheethama-Stabba, z drugiej - nie zdziwiło mnie to, co przeczytałam. W końcu uważał nas wszystkie za „swoje” żony.

Kiedy wstałam z łóżka w porze lunchu, zadzwoniłam do Petera. Już czytał gazety.

- Biedny facet - powiedział. - Robił ci jakieś propozycje?
- Przykro mi, ale nie.
- Och, jestem rozczarowany. Nic nie szkodzi. Posłuchaj, Faith, sprawdziłaś, czy on rzeczywiście odwołał procedurę rozwodową?
- Jestem pewna, że tak. Jest bardzo sumienny.
- Możliwe, uważam jednak, że powinnaś zadzwonić i to sprawdzić.

- Dobrze - zgodziłam się. - Zaraz to zrobię.

Zadzwoniłam do sekretarki Rory'ego Cheethama-Stabba. Powiedziała, że szefa nie ma.

- Jest dziś dość... zajęty - wyjaśniła delikatnie.
- Oczywiście - powiedziałam i spytałam, czy ktoś inny mógłby mi pomóc. Wyjaśniła, że jest jeszcze drugi prawnik, który zna moją sprawę, ale wyszedł na lunch.
- Chciałam sprawdzić, czy pan Cheetham-Stabb zrobił to, o co go prosiłam w związku z moim rozwodem.

- Jestem pewna, że tak, ale obawiam się, że jedyną osobą, która mogłaby pani pomóc, jest pan Blake, a on wróci dopiero po drugiej.

Wzięłam Grahama na spacer, a potem trochę posprzątałam. Schowałam resztę ubrań Petera do szafy i powiesiłam w przedpokoju jego płaszcz. Włożyłam naczynia do zmywarki i nalałam resztę płynu do płukania, który wygrałam rok temu. Wyjęłam z szuflady nasze zdjęcie ślubne, wypolerowałam je i postawiłam na miejsce. Postanowiłam także oddać do naprawy śliczne lustro od Lily w ramie z promieni słonecznych. Słońce znów wróciło do naszego życia. Znów nam świeciło. Tymczasem zrobiło się wpół do trzeciej i zadzwoniłam do pana Blake'a.

- Wie pan, pogodziłam się z mężem - wyjaśniłam. - I trzy dni temu zostawiłam panu Cheethamowi-Stabbowi wiadomość, żeby odwołał podanie o orzeczenie rozwodu.

- Zaraz to sprawdzę. Pani *decree nisi* uzyskało moc prawną dwudziestego drugiego listopada - powiedziała. - A zatem sześć tygodni i jeden dzień od tej daty, plus trzy dni świąt daje nam... szóste stycznia.

- Szóste stycznia? - powtórzyłam. - Ależ to dzisiaj.

- No, tak, zgadza się.

- Tym bardziej muszę się upewnić, czy pan Cheetham-Stabb wstrzymał orzeczenie. Dlatego właśnie dzwonię. - Usłyszałam szelest papierów.

- Prawdę mówiąc, nie widzę tu niczego, co by świadczyło o tym, że to zrobił. W gruncie rzeczy jestem całkiem pewien, że nie zrobił.

- Co?

- Odpowiedź brzmi nie.

- Nie odwołał?

- Obawiam się, że nie, proszę pani.

- Nie rozumiem - powiedziałam słabym głosem. - Trzy dni temu zostawiłam mu wiadomość pocztą głosową, żeby od razu wycofał podanie.

- Strasznie mi przykro, proszę pani, ale wygląda na to, że nic takiego się nie stało. Bardzo, bardzo rzadko się zdarza, aby ktoś chciał się wycofać z rozwodu po uprawomocnieniu się *decree nisi*, a poza tym pan Cheetham-Stabb ma ostatnio trochę problemów.

- Wiem, ale to było dla mnie szalenie ważne. Widzi pan, mój mąż i ja już nie chcemy się rozwodzić.

- Strasznie mi przy kro - powtórzył. Poczułam, że ogarnia mnie panika. - Podanie poszło do sądu. Zostało zarejestrowane dziś rano.

- To trzeba je wstrzymać.

- Nie możemy. Tego rodzaju podania są rozpatrywane bardzo szybko. Obawiam się, że pod koniec dzisiejszego dnia pracy orzeczenie o pani rozwodzie zostanie wydane.

- Ale ja tego nie chcę - nalegałam rozpaczliwie. - Nie chcę się rozwodzić.

- Muszę z zalem stwierdzić, że jest za późno.

- Za późno? Nie! To niemożliwe! Jestem mężatką od wielu lat i zamierzam nią pozostać.

- Proszę posłuchać - powiedział skrzepowany. - Bardzo bym chciał pani pomóc, ale, niestety, nie można już nic zrobić.

- **Ja...**

- Przykro mi, proszę pani, naprawdę. Musi pani zwrócić się z tym do pana Cheethama-Stabba, gdy będzie z powrotem w pracy. Ja muszę iść teraz na zebranie.

Odłożyłam słuchawkę, a ja kurczowo trzymałam moją, wpatrując się w nią w panice. O Boże! O Boże! Nie chcieliśmy się rozwodzić. Postanowiliśmy zostać małżeństwem do końca życia. Zadzwońłam do Petera i powiedziałam mu, jaka jest sytuacja.

- Cholera! To pech! Ja też zaskarżę Cheethama-Stabba o nieetyczne zachowanie.

- Ale co my zrobimy, Peterze? - jęknęłam. - Nasz rozwód dziś się uprawomocnia.

- Zadzwoń do Karen - poradził. - Spytaj ją. Ona coś wymyśli.

Zadzwońłam do Karen.

- Okropność - powiedziała Karen. - Cheetham-Stabb powinien był natychmiast to zgłosić. Zwłaszcza że termin się zbliżał.

- Pan Blake powiedział, że nic się nie da zrobić - wyjaśniłam. Łzy napłynęły mi do oczu. Spojrzałam na nasze zdjęcie ślubne. Czas mijał.

- Możesz spróbować jednego - poradziła - jako absolutnie ostatniej deski ratunku. Mogłabyś pojechać do First Avenue House.

- Co to jest?

- Budynek, w którym mieści się archiwum, gdzie stemplują wszystkie papiery rozwodowe. Wątpię, żebyś coś wskórała, ale

nic nie tracisz - dodała rzeczowo. - To jest przy High Holborn pod numerem czterdzieści dwa. Jedź tam zaraz, poproś jednego z urzędników, żeby wyszukał twoje papiery i, przy odrobinie szczęścia, okaże się, że jeszcze nie zostały ostemplowane. Musisz się jednak pospieszyć, bo kończą pracę o wpół do piątej. - Spojrzałam na zegarek. Boże, za pięć trzecia. Podziękowałam jej i zadzwoniłam do Petera.

- Możesz tam teraz pojechać? - spytałam.

- Nie, od trzeciej do czwartej mam zebranie.

- Musisz je odwołać, to bardzo pilne.

- Nie mogę, mam zebranie z szefem, Jackiem Price'em. Ale potem od razu wyjdę. Weź lepiej taksówkę - dodał.

- Nie mogę ryzykować, że utknę w korku. Pojadę metrem. Umówmy się dziesięć po czwartej na stacji metra przy Chancery Lane.

Wybiegłam z domu nabuzowana adrenaliną i potwornie zdenrowowana. Na szczęście pociąg przyjechał po dwóch minutach, jednak za każdym razem, gdy się zatrzymywał w tunelu, w panice spoglądałam na zegarek. Za dwadzieścia czwarta byłam przy Victorii, za dziesięć - przy Oxford Circus. Zapomniałam jednak ile czasu trwa przesiadka z linii Victoria na Central. Oczywiście wszędzie były tłumy i, oczywiście, nie jeździły ruchome schody. Nim dojechałam do Chancery Lane, było piętnaście po czwartej. Peter już na mnie czekał.

- Chodź! - zawołał. - To chyba tam.

Skręciliśmy w lewo, minęliśmy budynek Prudentialu i poszliśmy w kierunku St. Giles. Nigdzie nie widziałam numeru czterdzieści dwa, robiło się ciemno i nagle zauważyłam numer dwiecieście trzydzieści sześć.

- To nie tutaj! - krzyknęłam. - Numery są za wysokie. Musimy pójść w przeciwną stronę.

Biegiem ruszyliśmy z powrotem. Minęliśmy United House, Rymans i wejście w kształcie łuku do Gray's Inn. Doszliśmy do Alliance House, ale nie znalazłam numeru czterdzieści dwa. Przystanęliśmy, zastanawiając się, czy jednak nie jest po drugiej stronie ulicy.

- Przepraszam... - Odwróciłam się. Jakaś starsza kobieta przyglądała mi się z zaciekawieniem. Musiała mieć co najmniej osiemdziesiąt lat. Niskiego wzrostu, z białymi włosami, lekko przygarbiona, patrzyła na mnie z niespokojnym uśmiechem.

- Przepraszam - powtórzyła. - Ja chyba panią skądś znam.
- Chyba nie...
- Na pewno. Jestem o tym przekonana.
- Ależ nie, poza tym spieszę się...
- Już wiem! - zawołała. - Pani zapowiada pogodę w telewizji. - Westchnęłam i skinęłam głową. - Chciałam tylko powiedzieć... - Pomyślałam, że za chwilę usłyszę, że jestem całkiem beznadziejna, jak twierdził wtedy ten facet w Tesco. - Chciałam powiedzieć, że bardzo mi się pani podoba. Dzięki pani mam miłe dni. Naprawdę - powiedziała z radością, kładąc mi na ramieniu drżącą rękę. Pod pergaminową skórą widziałam siatkę niebieskich żył. - Tak - powiedziała z anielskim uśmiechem. - Pani prognozy zawsze poprawiają mi humor.

- To bardzo miło, że mi to pani mówi, ale obawiam się, że nie mam czasu...

- I wie pani co? Zwłaszcza ostatnio podniosła mnie pani na duchu, bo mój mąż zmarł trzy tygodnie temu.

- Och.

- Bardzo nam przykro - powiedział Peter. - To bardzo smutne.

- Tak, to było bardzo smutne i... - W oczach staruszki pojawiły się łzy. - Byliśmy małżeństwem przez sześćdziesiąt lat - wyjaśniła. - Wzięliśmy ślub jak mieliśmy po dwadzieścia lat. Nie tak, jak dzisiaj. - Wyciągnęła z rękawa papierową chusteczkę. - Wszyscy się tak późno żenią. Sześćdziesiąt lat - powtórzyła z zadumą, przyciskając do oczu chusteczkę.

- To cudowne, ale my...

- A zna pani sekret? - Potrząsnęłam głową. - Miłość. Stale mówiłam mojemu mężowi, że go kocham. Codziennie powtarzałam: „Kocham cię, Harry. I zawsze będę cię kochać”. I tak było. Mam nadzieję, że się pani na mnie nie gniewa, ale miałam wrażenie, że panią znam.

- Nie, nie, wcale się nie gniewam - powiedziałam, czując znajomy ból gardła. - I przykro mi, że straciła pani męża, ale...

- Czy państwo są małżeństwem?

- Tak - powiedział Peter. Staruszka skinęła głową.

- Tak myślałam. Wyglądacie jak zakochani.

Uśmiechnęłam się do niej.

- Jesteśmy zakochani - stwierdził Peter. - Musimy jednak dostać się do First Avenue House przed wpół do piątej, bo inaczej

będziemy rozwiedzeni. Proszę nam nie mieć tego za złe, ale obawiam się, że musimy iść.

- Rozumiem - powiedziała. - Nie będę państwa zatrzymywać. Nie, nie będę. Powodzenia. Dzięki temu, że panią spotkałam, mam dobry dzień. I życzę państwu wspólnych sześćdziesięciu lat.

Teraz, kiedy się od niej odwróciliśmy i pobiegliśmy ulicą, wreszcie zauważyliśmy budynek archiwum.

- To tu! - zawołałam. - Tutaj! Chodź!

Dokładnie w tej sekundzie usłyszeliśmy nad głową dwa głębokie uderzenia. Mimo to nie zatrzymaliśmy się, choć godzina naszej egzekucji wybiła. Staliśmy przed wejściem do First Avenue House. Masywne dębowe drzwi były zamknięte.

- Spóźniliśmy się - powiedziałam. Peter skinął głową. - Spóźniliśmy się, Peterze. Spóźniliśmy się. Jesteśmy rozwiedzeni - dodałam, potrząsając głową. - Przecież wcale tego nie chcieliśmy.

- Nie.

- Jesteśmy rozwiedzeni - jęknęłam. Staliśmy przed zamkniętymi drzwiami pogrążeni w bezsilnej rozpacz. Peter spojrzął na mnie. Miał poszarzałą twarz.

- O Boże! - szepnął.

W milczeniu ruszyliśmy z powrotem tą samą drogą. Peter sięgnął do kieszeni i wyciągnął czerwoną kopertę.

- To kartka na rocznicę naszego ślubu - stwierdził ze smutkiem. - Może teraz nie pasuje, skoro nie jesteśmy już małżeństwem - stwierdził z niedowierzaniem. Wyglądał tak, jak ja się czułam. - Jednak z drugiej strony - dodał, obejmując mnie ramieniem - nie rozstajemy się. Teoretycznie może jesteśmy rozwiedzeni, ale wciąż jesteśmy razem.

- To prawda.

- Bardziej razem, niż przedtem.

- Tak.

- Ach, co tam małżeństwo - rzucił od niechcenia. - Kawałek papieru, nic więcej.

- Oczywiście.

- Mnóstwo ludzi po prostu razem mieszka.

- To prawda.

- Możemy żyć w konkubinacie.

- Tak - powiedziałam, pociągając nosem. - Możemy. - Humor mi się trochę poprawił. Nad nami na granatowym niebie wisiał wspaniały srebrny księżyc w pełni. Co mówił horoskop Lily?

Nim nadejdzie styczniowa pełnia przekonam się, że istnieje dla mnie tylko jeden człowiek. A ta kobieta co czytała z palców stóp wywróżyła mi, że się rozwiode. I tak się stało.

- Będziemy żyć w konkubinacie, skarbie - powtórzył Peter, obejmując mnie w pasie. - Choć z drugiej strony, wiesz, co mogliśmy zrobić?

- Nie. Co?

- To oczywiście. Znow się pobrać.

- Mhm.

- W końcu Elizabeth Taylor to robiła, prawda? Dlaczego by nie wyjść za byłego męża? Co ty na to? Wpadnijmy do urzędu stanu cywilnego. Czy wolałabyś jeszcze jeden ślub kościelny?

- No...

- Nie, nie możemy - powiedział. - Zapomniałem, że katolicy nie mogą brać dwa razy ślubu kościelnego. Choć dla nas mogliby zrobić wyjątek - kontynuował z ożywieniem. - W końcu niewiele rozwiedzionych osób ponownie bierze ze sobą ślub. Sprawdźmy to, skarbie? Moglibyśmy napisać do papieża.

- Mhm...

- Miło byłoby mieć drugi ślub, nie sądzisz? Naprawdę podoba mi się ten pomysł. Czy Lily chciałaby znow zostać druhną? A co powinienem na siebie włożyć? Graham mógłby usadzać gości. Ma w sobie dużo z owczarka, więc dałby sobie radę. Zawiązalibyśmy mu białą wstążkę na obroży. Dzieciakom też by się to spodobało. Tak, już to widzę - dodał rozmarzonym głosem. - Tym razem wesele urządzilibyśmy w eleganckim hotelu. Z zespołem jazzowym. I prawdziwym szampanem, oczywiście. Dostalibyśmy masę prezentów. Tak, Faith, moglibyśmy naprawdę urządzić sobie coś fajnego. Chciałabyś? Superwesele i cudowna podróż poślubna, co? Cemu nic nie mówisz, kochanie? Powiedz mi, co o tym myślisz?

Spojrzałam na niego i uśmiechnęłam się.

- To brzmi fantastycznie-powiedziałam. - Czuję się zaszczycona. Ale czy to nie jest... No, wiesz? Przedwczesne?

- Przedwczesne?

- Widzisz, kochanie, uważam, że nie powinniśmy się z niczym spieszyć. Ostatecznie ślub to bardzo poważna sprawa!

Podziękowania

I znów mam potężny dług wdzięczności wobec mojej agentki, Clare Conville, oraz wydawczynie Rachel Horę. Za informacje o prognozowaniu pogody chciałabym podziękować Helen Young, Sarze Wilmshurst, Andrei Mclean i Tanyi James. Za wgląd w tajniki telewizji śniadaniowej jestem wdzięczna Andrew Thompsonowi i Michaelowi Metcalfowi; za podzielenie się kilkoma sekretami na temat makijażu dziękuję Judy Thonger i Marilyn Widdess. Za wyjaśnienie spraw związanych z przeprowadzeniem rozwodu chciałabym podziękować Sarze Anticoni i Emmie Arkell. zaś wyrazy wdzięczności za zdradzenie tajników z życia prywatnego detektywa ślę do Iana Terry'ego i Annie Sinclair. Ogromny dług wdzięczności mam wobec Colina Maxwella z Royal Opera House i Emily Stubbs z Wigmore Hall. Jestem także wdzięczna mojej matce Ursuli za wspomnienia ze szkoły klasztornej oraz dziękuję za cenne wskazówki Catherine O'Sullivan, Kate Williams, Eleanie Haworth, Amandzie Denning i Jane Cole. Podziękowania dla Lucy Ferguson za jej bystre oko. Kolejny raz dziękuję mojemu ojcu, Paulowi, i Louise Clairmonte, za przeczytanie maszynopisu i zachęcanie do dalszej pracy. Ponadto chciałabym wyrazić wdzięczność wszystkim pracownikom schroniska dla psów Battersea, Marian Covington ze szpitala Chelsea i Westminster, Hester Lacey z „Independent” i Gareth oraz Helen Pugh z hotelu Painswick. Dziękuję także Pecie Heskell, która nauczyła mnie sztuki flirtu, Patrickowi Harrisowi za rady muzyczne, Julienowi Hoferowi za wiadomości na temat gier komputerowych i Jonathanowi Dickerowi za informacje o finansowych operacjach w sieci.

Chciałabym podziękować wszystkim w HarperCollins, a zwłaszcza Fionie Mcintosh, Yvette Cowles, Amandzie McElvie, Annie O'Brien, Venetii Butterfield, Tilly Ware i Jennifer Parr, które sprawiają, że to wszystko jest doskonałą zabawą.

RS